

**Jalu**

**KUREK**

Książka ta jest uwspółcześnioną wersją polską Janosikowego mitu, ambitną próbą zmierzenia się z tradycyjnym tematem przeniesionym z historii do niedawnej przeszłości.

Jest to rozległa opowieść epicka, niejako saga góralska o Jasiu Dziurze, młodym zbójcu beskidzkim z lat międzywojennych, który grasował ze swoją bandą w lasach Podhala i Wysokiego Beskidu jako mściciel krzywdy chłopskiej, w swym przekonaniu obrońca sprawy ludu. *Janosik* Jalu Kurka, choć porodzony z wyobraźni autora, jest jednak wierny zasadniczo klimatowi wieloletniej mitologii zbójnickiej, pokrewny wszystkim wersjom Janosikowej legendy.

A miał Kurek w zapleczu tematycznym nie byle kogo, bo Tetmajera i Orkana. Kto wie, czy nie połączył właśnie w tej powieści osiągnąć dwu wielkich poprzedników dając w *Janosiku* barwność i rozmach Tetmajerowskich harnasiów, ale i ostre widzenie Orkanowe surowej rzeczywistości wiejskiej Podhala. Szeroki oddech epicki ujawnia się w rozlewnym opisie wspaniałej, górskiej przyrody, w żarliwym toku narracji i awanturycznym ciągu przygodowym.

Na tom I obecnego wydania złożyły się:

tom 1, wydania z 1973, pt. *Sława Głuchaczkom* i część tomu 2, pt. *Śpiew ściętej głowy*.

**Jalu Kurek**

**PISMA WYBRANE**

**JANOSIK**

**Tom I**

**SŁAWA GŁUCHACZKOM**

**ŚPIEW ŚCIĘTEJ GŁOWY**

## **Sława Głuchaczkom**

## Rozdział pierwszy

Pod Czorsztynem szumi kręty, wąski Dunajec, dołem drążący wiry. Stara Cyganka patrzy na podaną jej dłoń.

- Cudowna siekiera Jura Janosika, zarębana w skały, ożyła i rozbłysła w słońcu. Idzie nowy zbójnik, zbawca ludu. Będą się z ciebie cieszyli biedni.

Całowała jego rękę, żylastą, lecz drobną; drobną rękę niepozornego chłopca. Można mu było dać z wyglądu lat szesnaście, jeszcze narażając się tą oceną na posądzenie o hojność.

- Co więcej?

- Tobie jest pisana śmierć wysoko.

Uśmiechnął się.

- Kiedy?

Przelekła się tego, co powiedziała. A ileż jeszcze wiedziała, nie śmiać powiedzieć! Patrzyła przerażona na linie dłoni.

- No, dlaczego nie mówisz? - nalegał.

Potrząsała bezradnie głową. - Nie wiem, nie ma znaku - jąkała się, zmieszana.

Z wyglądu nie był to junak dorodny. Przeciwnie: niski, szczupły. Ale miał siłę niespożytą w mięśniach i dziwne spojrzenie szarozielonych oczu, które ludzi drażyło w głąb.

- Jaka to linia? - pokazał Cygance głęboką, krótką bruzdę od pulsu w kierunku wskazującego palca.

- To linia miłości - tłumaczyła zalotnie, lecz w źrenicach jej czaił się strach. - Będą lgnęły do ciebie dziewczęta, będą cię kochały. Ale ty nie będziesz z nich zadowolony.

Popielaty kaszkiet, odsunięty od czoła, ukazywał niesforną mierzwę blond włosów. Twarz pociągła, śniada, figlarne oczy łobuza, na ich dnie zastygał niepokojący, chłodny ognik. Koszula niebieska z wykładanym miękkim kołnierzem, spłowiła od słońca; na ramionach wisząca luźno marynarka w rude pasy. Spodnie sportowe ciemnobrunatne, podwinięte w kolanach, odsłaniały gołe łydki o odcieniu złotawego brązu. Ileż napracowały się kolejno przy łataniu tych spodni kobiety: Agnieszka, Mitanka, Zośka z Górnego Cichego oraz jej matka!

Czy to miał być groźny zbój? Wyglądał dziecinnie, choć zaprzeczało wyglądowi

spojrzenie głębokie, ciało w leniwej drapieżności skupione, głos melodyjny, lekceważący, twarz ostra i napięta. Przerzucał się od jednej skrajności po drugą, cały odziany w sprzeczność. Czasem przymykał oczy jak zmęczony patrzeniem lub utroskany myślami. Oczy lśniły zielonkawo w słońcu, strzeliście bezdenne jak studnie.

- Powiedz no, stara, ile lat będę żył? - próbował podchwycić Cygankę.

Nie dała się zbić z tropu.

- Kiedy umrzesz, nie wiadomo. Tego ręka nie mówi. O śmierci mówi. Śmierć wysoka, sława silna, miłość bujna.

Dziadkiem jego był Głupi Jaś, inaczej Jan Lichota rodem z Naprawy. W któryś rozchlapany ranek kwietniowy wyłoniła się zza drzew jego obszarpana, uśmiechnięta postać. Ludzie pokpiwali sobie z niego, jak to zwykle z matołką, i pędzili go precz od siebie. Nazywano go Głupim, bo nie chciał pracować na roli, lecz włóczył się od wsi do wsi, żebrząc i kradnąc, co mu się nawinęło pod rękę.

Nie wyszedł z lasu sam, obszarpany i uśmiechnięty; towarzyszył mu gajowy gminny Rymczyk w charakterze urzędowym. Wiódł włóczęgę do sołtysa, gdzie zamierzał mu zaaplikować grzywnę za jakąś szkodę w lesie czy inne przestępstwo. Miał złość na niego od dawna, posądzał go o kradzież butów ze stodoły; odbije sobie stare pretensje na dziadydze. Wszak dzisiaj, aby uderzyć chłopą po kieszeni, wystarczy poskarżyć, że zbiera bez pozwolenia poziomki po wyrębach czy patyki w zakazanym rejonie. Sołtys ucieszy się, bo na parę dni załata sobie Jasiem lukę w szarwarku gminnym przy malejowskiej drodze. I tak od złodziejaszka nic nie wyegzekwuje: majątku nie ma, niech więc połupie trochę kamieni na szosie.

Jasia nie dziwił ten częsty kontakt z władzami. Przyzwyczyił się do tego, iż policja łapała go za każdym razem, gdy tylko w okolicy popełniono jakąś kradzież. Za dzień, dwa wypuszczano go z aresztu, okazywało się bowiem, że nie miał z tym nic wspólnego; a wariata nie ma sensu sądzić. Choć wołano go od niepamiętnych lat imieniem zdrobniałym, był to już staruch. Od czasu do czasu ocierał pot z czoła kosmatą, brudną ręką, uśmiechając się dobrodusznie jak dziecko. Był bosy, nogawice spodni związał sznurkiem w kostkach, nad zabłoconymi stopami. Siwą, skołtunioną głowę nosił odsłoniętą (niezwykła rzadkość na wsi, nawet latem). Dopiero w ostatnim roku wygląd jego się zmienił; zgarbił się i postarzał. Coraz rzadziej laził po lasach, lecz gdy poszedł, długo nieraz nie wracał. Nie miał się kto martwić o jego nieobecność. Spodziewano się powszechnie, że któregoś dnia nie wróci z wyprawy. Ulubionym jego zajęciem było polowanie na skarbonki kościelne. Na występach gościnnych

grał najczęściej rolę żebraka; bo też i, mówiąc prawdę, był nim w rzeczywistości. Ileż złotych padało pastwą jego zręczności na odpustach! Jednego razu parobcy na Kalwarii tak go zbili, że omal nie wyzionął ducha w tym świątobliwym miejscu w stanie łaski uświęcającej (albowiem, korzystając ze sposobności, nie omieszkał zapewnić sobie odpuszczenia grzechów, przystępując do spowiedzi i komunii). Namiętność do wódki nie wywietrzała mu z głowy, w miarę jak włosy mu siwiały. Ciągłe też miał niewyczerpane pomysły, gdy szło o ukrycie pieniędzy przy sobie. Raz chciano na posterunku dowiedzieć się, czy uda się z niego wyłuskać choć grosz. Kazano mu się rozebrać z łachów. A przecież spryciarz schował papierową piątkę między palcami lewej nogi, a srebrną dwuzłotówkę trzymał w ustach pod językiem przez cały czas rewizji. Poza tym dwukrotnie po drodze splunął pięćdziesięciogroszówkami w rów przydrożny. Miał tak dobrą pamięć i oko, że nazajutrz bez trudności odnalazł w trawie obie monety.

Jaś szedł powoli ciapkając szerokimi bosymi stopami po ubłoconej ścieżce.

- Marsz, dziadu! - huknął na włóczęgę gajowy, szturchnąwszy go pięścią pod łopatkę.

Wtem od strony olszyn kamyk, rzucony z siłą, uderzył w biodro gajowego. Ugodzony złapał się za kieszeń, zapewne nie zabolalo go to, ale złość skrzywiła mu usta. Ryknął w kierunku zarośli, gdzie spodziewał się domniemanego napastnika:

- Co tam za drań siedzi? Jak wrzepię w tyłek jednemu z drugim, to się wam odechce figli!

Zatoczył wściekłym wzrokiem wokoło, wpatrzył się w zagajnik, po czym żwawo podążył naprzód. Śmiech rozległ się wśród olszyn. Jakiś bosy wyrostek, skryty wśród krzaków, naciągał właśnie procę, celując w gajowego. Trzasnęła gumka zwolniona z napięcia. Kamień szparko zafurczał koło ucha Szymczykowego niby trzmiel; w następnej minucie drugi ciapnął w drogę tuż przy butach gajowego i pomknął po niej parę metrów. Szymczyk przestraszył się nie na żarty, udął jednak, że nic nie widzi, przyśpieszył tylko kroku, pragnąc wydostać się z obrębu gaju na otwarte pole. Popędził przed sobą Jasia.

- Prędzej! - rozdarł się. - To nie spacer. Leziesz jak krowa na jarmark.

Albowiem Jaś potykał się w marszu. Nie był młodzieńcem; mało kto wiedział dokładnie, ile miał lat, ale rachowano mu bitą siedemdziesiątkę. Za olszynami skradał się szybko w las chłopak w rozchełstanej koszuli, z rozwianym włosiem. Jeszcze pod osłoną pni naciągał procę, posyłając kamienie w ślad za gajowym.

Był to jedyny moment w życiu tych dwóch bosych ludzi, który ich zetknął tak blisko, nie pozwalając im wszakże się poznać. W tej wyjątkowej chwili przesunęli się obaj niemal obok siebie w krótkim śpięciu zbliżenia. Pastuch, który uderzył kamieniem gajowego, był

wnukiem prowadzonego do sołtysa Głupiego Jasia. Nie wiedzieli nic o sobie i mieli już do śmierci pozostać wzajem nieznajomi. W ten chmurny kwietniowy poranek odezwała się instynktownie krew jednego, płynąca w drugim. Tak wnuk bronił bezwiednie dziadka, bronił swej biedaczej jedności, objawionej im wspólnie w krzywdzie.

Jakie były dzieje Głupiego Jasia? W młodości, która upłynęła pod opiekuńczymi skrzydłami dobrodusznego imperatora Franciszka Józefa, nie był on znowu taki głupi, za jakiego go ludzie mieli. Uciął sobie romansik z dziewczyną, pasterką krów w górnej Naprawie. Spotykali się oboje, bo Jaś trudnił się latem zbieraniem malin i grzybów, sprzedając je później po jarmarkach, dziewczyna zaś pasła bydło na skrajach lasów lubońskich. Zosia - takie było jej imię - była ładna, choć ponad miarę swojego wieku melancholijna i oderwana od spraw świata; blade, anemiczne stworzenie.

Nie wyjawiała nigdy nikomu, kto był ojcem jej dziecka, wątłej dziewczynki, która przyszła na świat, obciążona przekleństwem garbu. Przyjęto ten dopust losu jako nieszczęście i dar diabła.

- Wiecie, wiecie, Smutna Zośka ma dziecko!

- Cóż to? Taka Zośka nie może mieć dziecka? - oburzał się ktoś.

- Może. Ale garbate - złośliwie uśmiechały się dziewczęta o patentowanej brzydocie i gwarantowanym dziewictwie.

Już nigdy nie zobaczyła się Zośka z Głupim Jasiem. A on widocznie zgłupiał do reszty, gdyż ani razu nie zatroszczył się o los swego nieślubnego dziecka. Mieli go ludzie za głupiego, ale i on może wstydził się tego, iż dziecko narodziło się garbate? Poszedł w góry, nie było go we wsi cztery lata: z tego dwa przesiedział w więzieniu. Kiedy to było? W odległej młodości, która się rozwijała w łaskawym cieniu austro-węgierskiej monarchii. Może to były lata rozhukane i burzliwe, dziś starzec tego nie pamięta. Może już nie przypomina sobie i tego owocnego flirtu? I z pewnością nie wie, jak nazywała się pasterka spod Lubonia. Wołano ją powszechnie Smutną Zośką; nazwisko nosiła Dziura. Na wsi zresztą ważne jest, jak cię wołają, nie jak się piszesz. A nazwisko Zośki dawało tylko okazję parobkom do ordynarnych dowcipów i zaczepk.

Zośka pracowała dzielnie na siebie i na dziecko. Zamieszkała w małej chatce na końcu Naprawy. Trafiał się jej kawaler, bo była robotną dziewczyną, lecz nie przyjęła jego zalotów, twierdząc, iż musi się poświęcić wychowaniu dziecka.

- Chłop mi nie w głowie - odpowiadała na nalegania konkurenta.

- Dziecko miałoby ojca.



- Ono go i tak ma.

- Pewnie, że ma. Ale kto go tam wie, skąd jest i kim jest?

- Wystarczy, że ja wiem.

- Dziecko jest kaleką, przydałby mu się ojciec; ślubny ojciec. Jak się małą zapytają: „Gdzie twój tata?”, co powie?

- Powie, że ma matkę. Matka jest od wychowania dziecka.

Dziecko rosło z garbem na plecach, smutne od urodzenia. Niebawem matka osadziła w chacie swą starszą siostrę, a sama przeniosła się do Rabki, gdzie pracowała jako praczka. Najmowała się do najcięższej pracy, harując po łokcie dla dziecka; nie miała innego celu w życiu. Na niedzielę przychodziła do domu, jako że Naprawa o jedną wieś sąsiaduje z Rabką - i przynosiła dziecinie białą bułkę. Trwało to dwanaście lat. W pianie mydlin ukazywała się zmęczonej matce córka, uśmiechnięta, kwiat jej miłości, nagroda za jej zmarnowane życie. Garbata Walerka (tak ją ochrzczono) dojrzewała jako dziewczyna, choć garb zatrzymał jej wzrost. Matka patrzyła pięknymi, smutnymi oczyma na swoje nieślubne dziecko, tknięte nieszczęsnym kalectwem.

- Stokroć mi miłsza niż ślubna, stokroć piękniejsza niż inne - mówiła ze łzami, głaszcząc jasne włosy córeczki. Której matce córka nie wydaje się najcudowniejszym klejnotem? - I te twoje złote włosy ktoś pokocha - całowała jej gęste, jedwabiste sploty.

W dwa lata potem, któregoś sierpniowego ranka, praczce wydarzyło się nieszczęście. Przypadkowo wylała na siebie kocioł z wrzącą wodą i odniosła dotkliwe poparzenia. Przewieziona, nieprzytomna, do szpitala w Nowym Targu, zmarła na trzeci dzień w straszliwych męczarniach.

Dziecko pozostało samo. Nie dziecko: czternastoletnia dziewczynka. Odziedziczyła po matce chałupinę, krowę i ze trzy kawałeczki ziemi, ale wnet wdała się w to ciotka i garbata Walerka stała się tym, czym była niegdyś jej matka: pasterką krów. Dla sieroty, w dodatku garbatej, to zupełnie odpowiednie zajęcie.

Cóż dalej? Pasała krowę swej matki, obecnie niby to swoją, a właściwie ciotczyną, stapała po tych samych mchach, gdzie jej matka przed laty wylegiwała się z Głupim Jasiem, śpiewała piosenki, jak wszyscy pasterze; ale nie rosła. Była przedmiotem kpin chłopców i dziewcząt. Jej rówieśniczki wysoko prześmignęły nad nią, w niej zaś wiek rzeźbił na twarzy i w ciele swe piętno nie objawiając się jedynie we wzroście. Co więcej, garb jakby nabrzmiwał, tężał, podnosił się. Tworzyło się potworne siodło na plecach. Nie ulegało wątpliwości: to dziewczyna zmarnowana. Już na nią nikt nie popatrzy z pożądaniem. Jaka szkoda!

Miała lat osiemnaście, kiedy powędrowała do roboty o parę wsi dalej na południe, do majątku zakonnicy w Rokicinach pod Chabówką. Tej samej jeszcze wiosny odezwała się w niej niespokojna krew matki. Był to młody parobek spod Tatr; zwano go Jędrak. Pochodził z Jurgowa, spiskiej wsi, położonej nad czesko-słowacką granicą. Ruszył z gór z kosą na ramieniu na zarobek. Górale to nieporównani kosiarze.

Córka włóczęgi naprawskiego, garbuska, na którą nikt nie chciał spojrzeć, wydała na świat w śnieżny styczniowy dzień dziecko. Syna. Dano mu na imię Jan, bo urodził się w dzień świętego Jana. Nazwisko zaś po matce - Dziura. Ojciec pozostał nieznan. Matka zmarła po porodzie w tym samym szpitalu, gdzie niegdyś skonała z poparzenia jej rodzicielka, rabczańska praczka. Tak Naprawa została wciągnięta w dzieje Janosika.

Był to niezapomniany dzień: kulminacja nawałnicy śnieżnej. Na oddziale położniczym nowotarskiego szpitala zapisano w dzienniku dyżurnym pod datą 27 stycznia w rubryce „Narodziny”: „Godzina 10.30. Jan Dziura, syn Walerii Dziura i niewiadomego ojca, zdrowy”, zaś w rubryce „Zgony”: „Godzina 19.10, Waleria Dziura, lat 19 ze wsi Naprawa, powiat myślenicki. Niedowład macicy”.

Od rana ciemniło się na dworze niesamowitym zmierzchem, jakby lada chwila miał zapaść wieczór. Świat zasnęła gęsta, gwałtowna śnieżycą. Dwupiętrowy murowany budynek świszczął, jęczał, drgał na kształt żyjącego organizmu. Od Tatr waliły raz za razem chmury śniegu nawałnego, atakując miasto. Położnica leżała na białym łóżku, patrząc na śnieg sypiący nieustannie za oknami. „Jakby ktoś rozpruł ogromną pierzynę - rozmyślała. - I zbite pierze leci bez końca z dolnego nieba.”

Lud gór rozróżnia rejony wyższego i niższego nieba. Porównanie było trzeźwe, aż dziw, że wyszło z chorego ciała; nadmiernie skróconego, nadmiernie wydętego. Twarz z papieru, oczy przymknięte, jedynie włosy żywe, złote, rozsypane aureolą po poduszce.

Uwijali się koło niej lekarze, oglądali ją po kilka razy dziennie, badając brzuch i tętno. Pokazywali sobie nawzajem jej dziewczęcą jędrność, podwójnie zniekształconą: przez garb i przez ciążę. Nawet zakonnice patrzyły na nią ze współczuciem.

- Ona nie urodzi dziecka.

Męczyła się już trzecią dobę. Podhalański krajobraz, skuty styczniowym mrozem, nie miał dostępu do białej sali, przepełnionej jękiem rodzących kobiet. Więc tu, teraz, w zimie, wśród szalejącej kurniawy ma wydać owoc, którego ziarno przyjęła w siebie w majową noc? Ach, wtedy wszystko było takie piękne! Nigdy nie myślała o tym, co będzie później. A teraz cierpi za to.

Bała się panicznie. Potem było jej już wszystko jedno. „Urodzić dziecko to tak, jakby umierać po trochu”, uświadamiała ją Matuszyna ze Skomielnej, u której Walerka zamieszkała ostatnio. Nie śmiała bowiem powrócić ze swym wstydem do własnej chaty w Naprawie; baby zjadłyby ją do szczeru. „Konasz, zaiste konasz przez cały dzień i znikąd nie ma dla ciebie ratunku. A potem znów wszystko dobrze; tak jak gdybyś się sama narodziła na świat. Tylko odczuwasz wielkie znużenie”.

A ona konała już trzy noce i trzeci dzień. Jęczała monotennie, przeraźliwie, ilekroć przychodziły nawroty bólu, wpatrzona w drzwi, oczekując nadaremnie kogoś, kto by jej przyniósł ratunek. Akuszerka i siostry szpitalne z daleka omijały jej łóżko, ponieważ chwytala je w przechodzie, ciągnąc ku sobie mocno. Tyle razy narobiła fałszywego alarmu, że dyżurne pielęgniarki ignorowały jej krzyki, rozumując po prostu: „Boli ją, niech się wykrzyczy”. Któraś dowcipniejsza radziła uwiązać sznur do nogi łóżka, aby położnica ciągnęła zań, gdy napaśnie ją fala skurczowych bólów.

Nazajutrz po przybyciu do szpitala pod wpływem rozpaczy otwarła przed lekarzem serce, pełne już tylko zapiekłych wspomnień. Gorzka spowiedź ożywiła znowu to wszystko z nieporównaną mocą. Znad kołdry, okrywającej górę brzucha, buchnęło lawą olśniewające doznanie garbuski, którą cierpienie zrównało z normalnym człowiekiem. Rok temu łudziła się, że ma prawo także radość i szczęście dzielić z normalnym człowiekiem. To było bluźnierstwo. I za to właśnie została ukarana.

- Jak się to stało?

Pracowała w majątku sióstr urszulanek w Rokicinach. Na folwarku. Dano jej brudną, kurną chatkę, przerobioną z szopy na siano. Przychodziła do niej tylko na noc. Była wiosna. Pracowała od świtu do późnego wieczora przy obrządzaniu bydła. Padła na słomiane łóżko, zbita wyczerpaniem i dusznym tchem wiosennej nocy. Przez otwarte okno dochodziły piskliwe chichoty dziewcząt i dogadywania parobków. Ach, noce samotne, pełne koszmarnych snów! Noce młodego, świeżego ciała!

Od urodzenia prześladowało ją nieszczęście garbu. Żaden chłopiec nie zwrócił nigdy na nią uwagi, choć twarz miała ładną, a oczy wręcz piękne, jak u matki. Któregoś majowego wieczora wróciła znużona do domu, kiedy już zapadł mrok. Ledwo dowlokła się do swojej budy. Nie zaświeciła lampy. Jak kamień runęła na nędzny barłóg. I wtedy dopiero uczuła, że ktoś leży koło niej.

Był młody i gorący. To wystarczyło. Nie zobaczyła jego oblicza w ciemności. Wiedziała, że to jeden z kosiarzy, zajętych na folwarku. Broniła się, jak mogła, prosiła go: „Oszczędź mnie, jestem garbata, jestem nieszczęśliwa”, płakała rozpaczliwie ze strachu, z

żalu, ze złości, z tęsknoty. Przyszło jej na myśl wszystko, czego się bała przez całe życie, o czym myślała tak często, o czym marzyła, czego już prawie nie spodziewała się przeżyć, pogrążona w kalectwie. Skomliła błagalnie: „Zostaw mnie, masz inne, ładniejsze ode mnie”. Mruknął: „Każda jest tam jednaka”.

Ale nie powiedziała lekarzowi, w mękach na łóżku szpitalnym wyciągnięta, że kiedy poczuła przy sobie młode, zdrowe ciało mężczyzny, ogarnęło ją poczucie niezmiernego szczęścia. Ona, osiemnastoletnia kaleka, ma swojego chłopca! Czyż jej nie czepiały się żądze? Chyba ona także ma prawo czegoś wymagać od życia!

Stało się to nagle, bez miłości; tak wyglądała owa historia w opowiadaniach położnicy.

- Kto to był? - pytał lekarz.

- Nie wiem - odpowiedziała po prostu. - Parobek z Jurgowa. Na imię miał Andrzej, bo kosiarze, co z nim przyszedli od gór, wołali go Jędrak. Kiedy dowiedział się, że będę miała dziecko, przeląkł się płacenia i uciekł na roboty do Francji i więcej go już nie widziałam.

- I tak od jednego razu zaszłaś w ciążę? Po tej nocy?

- Nie. Potem już chodził do mnie.

- Ile razy?

- Ja tam nie liczyłam.

- I nie wiesz, jak się nazywał? - natrętnie dopytywał się doktor.

- Nie wiem.

Czuła ucisk w skroniach, od bólu nie mogła patrzeć. Za oknem zaciniała ukośnie śnieżna nawałnica. - Nie wiem - powtórzyła machinalnie.

Cóż ją to obchodziło, jak się nazywał? Urabiała sobie ręce po łokcie koło bydła, ale i ona była człowiekiem. Była pełna krwi, świeżej, niespokojnie pulsującej w żyłach. Tak chciała zamknąć się, zewrzeć w miłości. Głupia była. W swoim nieszczęściu i zaślepieniu myślała, że miłość to życie. A to była śmierć.

Jęczała nieludzko przewracając się z boku na bok. W przeczuciu nadchodzących boleści stawała się dzika: szukała na próżno najlepszej pozycji, w której mogłaby stawić czoło atakom męczarni. Czepiała się rękami krawędzi łóżka, biła nogami o pościel, wołała na położną:

- Już idzie! Znowu idzie ból!

Znały to wołanie, trwało ono nieraz godzinami. Ból nadchodził, dziecko nie. Trudno było ciągle przy niej siedzieć, przestano nawet wzywać akuszerkę. Bania brzucha miotała się rozpaczliwie na łóżku. Byłaż to ta sama dziewczyna, którą zeszłej wiosny obejmowały głodne, namiętne uściski mężczyzny? Co parę minut potężny skurcz skręcał organizmem

położnicy, a po nim następował wykrztuśny jęk, jakby pochodzący z najgłębszych pokładów trzewi. Po ataku chora rozplywała się w cichym lamencie, jak gdyby cierpienie za każdym nawrotem pozostawiało otwartą ranę we wnętrzu; brzmiało to podobnie do skowyczenia szczeniaka. Tak przez trzy dni i przez trzy noce przebiegały przez nią przyływy i odpływy bólu.

Badano ją zaraz po przyjsciu do szpitala. Wszystko zdawało się być w porządku. Mimo organicznego kalectwa położnicy poród zapowiadał się normalnie, przynajmniej według zdania prymariusza.

- Zostawić poród siłom natury to znaczy zabić dziecko i matkę - niepokoił się sekundariusz, niski, korpulentny, powszechnie lubiany, nazywany pieszczotliwie „doktorkiem”. Pod grubymi szklami okularów rysował się w oczach cień troski.

- Serce u niej słabe, niedokrewność duża.

- Więc tym trudniej decydować się na operację. Poczekajmy do jutra - zawyrokował dyrektor, słuszny, barczysty mężczyzna o siwiejących skroniach i surowym spojrzeniu; chodząca powaga, nieledwie profesor. Co chwila przykładął słuchawki do brzucha dziewczyny. Brzuch jak góra wznosił się na środku łóżka. - Mam nadzieję, że do rana główka się ustali.

Nadzieja okazała się płonna. W ciągu nocy niepostrzeżenie ustąpiły wody płodowe. Kiedy w śnieżnej zawierusze ospale wstał dzień, „doktorek” zjawił się nad łóżkiem położnicy. Zmartwił.

- Wody odeszły.

Przybiegł natychmiast dyrektor. Palce obmacują wzdęte podbrzusze. - Psiakrew! Wyczuwam bark nad wchodem.

Zapewne przez noc główka noworodka zsunęła się na bok, a na jej miejsce zapadło ramię płodu.

- Niedobrze - syczał przez zęby. Tego się najbardziej obawiał. Choć byli obaj przyzwyczajeni do oglądania cierpienia ponad miarę, przecież jęki rodzącej napelniły ich grozą.

- Nie ma czasu do stracenia. Na stół!

Dyrektor przybladł, był wyraźnie podenerwowany, choć nadawał sobie pozory spokojnego chłodu. Jest się czym przejąć: wszak nie codziennie otwiera się w szpitalu jamę brzuszną w celu wydobycia płodu.

Wzięto dziewczynę na stół operacyjny. Rzuciła się długo, zanim ją uśpiono. Krzyczała przeraźliwie, wyła na całą salę: „Zabijcie mnie, bo ginę”.

- Siostrze, proszę zbadać tętno.

Gdy im oznajmiono puls, kiwnęli obaj głowami, nie wiadomo, czy ze zdziwienia, czy z obawy.

Bezradnie spoglądali na blade oblicze leżącej, jakby już pozbawione życia. Z czoł spływały im cienkie sznureczki potu. Na dworze szalała zawierucha; to powiększyło ich zdenerwowanie. Już trzeci dzień bez przerwy w świście wichury niezmordowanie dmie śnieżycą.

- Cięcie.

W ciszy padło to słowo jak wyrok.

Mdły zapach eteru rozszedł się po sali, po nim zaś ostra, drażniąca woń nalewki jodowej, którą smarowano brzuch rodzącej. Niesamowicie wyglądała ta scena: czworo ludzi, białych od stóp do głów, w tym dwóch zamaskowanych, nachylonych nad wyдутą banią cielesną, obłożoną kompresami. Cisza i biel. A za oknami wali ustawicznie śnieżna zamieć.

Operator ciął nożem ostro wąski pasek obnażonej skóry na środku brzucha, wiodąc cięcie prostą, niezachwianą linią od dołu ku górze. Niewątpliwie działało się coś przeciwnego naturze: rozpruwano żywe ciało człowieka. Z ciepłych wnętrzności kobiety wyciągnięto, wydarto trzewiom żywe, ruchliwe maleństwo, zaiste nad miarę ruchliwe.

- Prędko! - syk przez zacięte zęby.

Doskoczyła akuszerka, złapała noworodka za nóżki. Dziecko przywitało świat ostrym płaczem. Ręka lekarza nurzała się już ponownie we wnętrznościach. - A, psiakrew, za długo się z tym bawimy!

- Niech siostra zbada tętno. - Ręce biegały jak na komendę, raz, dwa, raz, dwa. - Zastrzyki! - Upływ krwi wzrastał się i przyspieszał tętno. Torba, nadęta jeszcze przed dwiema minutami, kurczyła się w okamgnieniu; aż ckliwo było patrzeć. Jakby pękł wrzód nabrzmiały, za każdym spojrzeniem malejąc.

Szycie. - Siostrze, zbadać tętno. - Ściągnięta rana macicy znalazła się z powrotem w otwartej ranie brzucha. Znowu szycie. - Prędko, prędko!

- Jaki szew?

- Dwupiętrowy.

Za oknami nasilała się kurniawa, nawet tu w sali słyhać było jej poświs. Niepojęte, z jaką siłą i szybkością wichur wzdymał i niósł tak potworne masy śniegu. Podniecenie lekarzy doszło do zenitu. Obaj oddychali ciężko pod maskami; nie chcieli się nawzajem zdradzić podejrzeniami. Ubytek krwi u położnicy był zbyt wielki; to już chyba nie krwawienie, to krwotok. Kiedy matce zaciągano jedwabne szwy na skórze, w kącie skrzekliwie darło się

dziecko. Nałożono jej opatrunek, wzmocniono zastrzykiem. Gdzież się podziała góra brzucha, która sterczała z kompresów na stole przed pięciu minutami? Garbuska leżała blada, bez ruchu, w głębokim uśpieniu. Chwyтали ją za puls, kręcili powątpiewająco głowami. Popatrzyli na noworodka; namęczyli się nad nim niemało. Kiedy położnicę wynoszono z sali operacyjnej, dziecko kąpano w wanience.

- Zdrowe? - spytał dyrektor.

- Zdrowe.

- Syn czy córka? - nawet nie zdążył sam zauważyć w zdenerwowaniu.

- Syn.

Dziecko wydzierало się z rąk akuszerki, pluskało energicznie nóżkami w wodzie. Twarzyczka jego była czerwona, jakby skrzywiona gniewnie. Cały czas zanosilo się od płaczu.

- Będzie z niego harnaś - pokiwał głową lekarz nad niemowlęciem, pomnąc jego upartą walkę o wyjście z łona matki.

Matka oprzytomniała po dwóch godzinach, mimo to zachowywała się nadal jak zemdlona. Jakby z maleństwem równocześnie odjęto jej nie tylko ból, ale i resztkę życia. Inne matki pragną w takich chwilach zobaczyć owoc ich cierpienia, ona odbiegła od szczęścia i marzeń, dostępnych każdej żebraczce. Leżała nieruchoma, bezwolna, półmartwa, zdana całkowicie na pastwę zniekształconego, pokrajanego ciała. Zapadał zimowy zmierzch; zaczynał się wieczór, najgroźniejsza pora w szpitalu, czas śmierci i podwyższonej gorączki.

Nie można było u niej wyczuć tętna. Lekarze badali, bąkali coś, że słabe. - Najwięcej boję się o serce - mruzczał dyrektor. - Bo to, wiecie, kolego, u garbatych kiepsko z krążeniem. A zwłaszcza poród. I taki ciężki!

Może rzeczywiście serce w niej zamierało? Jęczała, nie głośno, bo brakło jej sił, lecz strasznie. Nie czuła bólu, tylko słabość przerażającą. Jak gdyby rozpręgało się w niej wszystko, jak gdyby roztapiała się w bezwładzie. Uchodziły z niej siły i świadomość. Jak cień zjawiała się przy niej zakonnica i zamiast zawołać lekarza, zaświeciła gromnicę. Jasne było, że chora umiera. Nagle ciałem jej wstrząsnął dreszcz. I kiedy wyciągnęła ręce spod kołdry, ukazała je całe we krwi. Zaalarmowano doktora.

Krwotok. Nie było ratunku. Niedowład macicy. Krew waliła niepowstrzymanie. Kiedy nadszedł dyżurny lekarz, złotowłosa garbuska była martwa. Prześcieradło unurzane w krwistej mazi. Wśród bieli sali położniczej, pośród białych ścian, łóżek, pościeli, fartuchów, w białości śnieżnej zawieruchy za oknami - ta jedna krwawa plama na łóżku umarłej wybijała się czerwienią, jak znak zakończenia sprawy. W krwi narodziło się życie. Jeden człowiek

skonał, aby zeń począł się drugi. Rachunek wyrównany.

Wbrew przepowiedniom matki nikt nie pokochał złotych włosów córki.

- Będzie z niego harnaś - powtarzali lekarze, spoglądając na ruchliwe, rozkrzyczane maleństwo. Nieprawo syn Walerii Dziurówny miał przejść przez życie z oczami zdziwionego dziecka. Jakby w spojrzeniu miał przekazaną krzywdę przejętą od matki w dzień narodzenia. Nie znał nazwiska ani oblicza ojca, który uciekł od dziecka, bojąc się łożyć na jego utrzymanie; nie znał matki, która mu dała życie.

- A to kawałek zbója! - potwierdziła opinię lekarską pielęgniarka, spowijając w pieluszki niesforne niemowlę.

Kiedy znalazł się w Naprawie, przywędrowawszy czystym przypadkiem do wsi swojej matki, kończył lat szesnaście. Był parobkiem do koni, ale oczywiście pasał i było gospodarza. Nie wiedział, iż dziadek jego żył jeszcze w Naprawie; dziadek o grubo przesadzonej sławie kryminalisty, dźwigający siódmy krzyżyk na barach pobitych kułakami i kolbami. Zrobił się teraz z niego prawdziwy dziad. Nie wydał się już prawie ze wsi, choć miał chwilowe okresy, w których włóczył się bez celu po lasach. Mówiono o nim wtedy, że szuka sobie miejsca na śmierć. Jak stary dzik chce się zaszyć w gąszcz i zdechnąć, tak natura ciągnęła starca do tego samego boru, w który właśnie wpatrywał się jego nieznany wnuk, pasący cztery cisawe krowy w głębokiej kotlinie, podbitej chłodnym futrem smreczyny. Wyżej jałowce okalały wieńcem gołą czubę Małego Lubonia. Stąd wzrok chłopca wybiegał swobodnie na południe i na zachód, opierając się na skalnych granicach tysiącletniego, a jednak dziwnie młodego, niedoświadczonego państwa: na Tatrach i na Babiej Górze. Pastuch spoziera na pastwisko, które jest tak wygolone z trawy, że bydłęta drą pyski o ziemię, zanim znajdą kilkanaście włókienek zieleni. Ale pastuch nie myśli o krowach. Myśli o ubiegłych piętnastu latach swego sierocego dzieciństwa, które mu zbiegło od miejskiego złobka w Nowym Targu, przez długi ciąg wiejskiej służby aż po Naprawę, skąd pochodziła jego zmarła matka i żyjący dotąd dziadek. Już zeszłego roku poprzysiągł sobie, że najwyższy czas skończyć z karierą pastucha.

Spodobała mu się inna robota. Przypatrzył się jej kilkakrotnie podczas pobytu w Rabce, dokąd zachodził na jarmarki. Zaznajomił się z Władkiem Juraszkiem, który pracował przy budowie szosy, prowadzonej po dawnym gościńcu z Krakowa do Zakopanego. Właśnie w przebudowie znajdował się chabówczański odcinek drogi. Juraszek pochodził spod Żywca, przybył tu na robotę ubiegłej jesieni. On to właśnie namówił Jaśka do tej pracy.

- Co będziesz gnił w stajni cały rok? Co za to dostaniesz? Sto złotych; za które ledwo



kupisz ubranie; butów już nie. Albo żarcie? Zgniłe ziemniaki, kwaśna wodzianka. Nie będziesz ciągle pastuchem. Masz swoje lata na inną, lepszą pracę. Tutaj dostajesz w łapę zarobek co tydzień. I robisz z pieniędzmi, co ci się podoba.

- To prawda - mruknął przekonany Jasiek. Chował głęboki, skryty uraz, że do ostatka musiał krowy paść. Bolała go ponizona ambicja. To dobre dla dzieci i dziewcząt, on ma już lat siedemnaście.

Władek kuł żelazo, póki gorące.

- A jaki rok zaszary mamy? W marcu drzewa kwitły, w maju śnieg! Jakby się wszystko przewróciło do góry nogami. Co chłop z tej ziemi wyskrobie? Tyle że do pyska nie będzie nawet mógł wziąć. I ty będziesz się męczył na wsi? Na przednówku? Za ogonem krówskim chodził? Z głodu zdechniesz. Nie bądź głupi.

Nie był głupi. Znęciła go niezależność nowego zajęcia, a przyśpieszyło decyzję wspomnienie ciężkiej harówki na służbach. Zakończył więc epokę pastuszą, przenosząc się do Chabówki, sąsiedniej miejscowości, leżącej nad gościńcem zakopiańskim. Przy przyjmowaniu spotkała go w kancelarii mała przeprawa z papierami.

- Masz dokumenty? - spytał go kierownik robót.

- Nie mam - Jasiek wzruszył bezzadnie ramionami.

- Jakże to? - zdziwił się inżynier. - Ile masz lat?

- Siedemnaście. Urodziłem się w Nowym Targu. Ale uciekłem stamtąd z ochronki, gdy byłem dzieckiem. Tam została moja metryka - próbował się uśmiechnąć. - I tak już od tej pory chodzę po świecie.

- Cały czas?

- Cały.

- Co robiłeś dotąd?

- Byłem na służbach. Rozmaicie. Przy krowach - zarumienił się lekko. - Przy koniach - poprawił się.

Inżynier, ludzki chłop, nie był formalistą. Roześmiał się tylko. - A smoczka nie zapomniałeś sobie wziąć z ochronki?

Zamieszkał z Juraszkim w baraku robotniczym przy drodze. Pracowali od siódmej rano do trzeciej po południu; później mieli wolne. Regularnie w sobotę i w niedzielę odwiedzali kino w Rabce. Wieczorem codziennie schodzili się w świetlicy, gdzie grało radio, były gazety, gdzie można było dostać piwo, herbatę i zakąski. Chwalił sobie nową posadę. Dużo nie zarabiał, lecz był dumny z tej płacy. Wszak to jego pierwszy męski, odpowiedzialny zarobek.

Pogoda była okropna. Niektórzy ludzie zapomnieli, że w śniegu i zimnie przeminęła pora orania. Nie wyścibiali nosa z chałup, spojerali przez okno na groźną przyrodę, kiwając głowami.

- Chyba pomylił się święty Jerzy, co układa kalendarz.

Ta pomyłka klimatyczna przeciągnęła się i na lato. Po śnieżnym maju nastąpiła pora ulewnych deszczów. Lało i lało bez końca. Owsy nie dojrzały, stały na polu, niskie, zielone. Każdego nowiu świeży śnieg białął na Tatrach.

Nieraz po pracy, korzystając z długiego dnia, szedł Jasiak do Naprawy, odwiedzał Matulaków. Polubił ich bardzo; przynosił bułki trojgu małym dzieciom. Zawsze kazał pozdrowić Marysię, o ile jej nie zastał. Kiedy pomyślał o niej, nogi same niosły go ku Naprawie. W ciągu jednej godziny przebywał sześć kilometrów, dzielących barak chabówczański od jej chałupy. Kilkakrotnie spotkał dziewczynę zaganiającą krowy z Działu ku domowi. Jeszcze nie tak dawno, tamtego lata, i on gonił za bydłem. Jeszcze wspólnie z dziewczyną wyśpiewywali sobie na przemianę piosenki poprzez pola. Teraz on już nie pastuch; samodzielny pracownik, robotnik drogowy. Patrzył w oczy Marysi; pogłębiły się w wyrazie, stały się ciemniejsze, błysk uwydatniał się w nich mocniejszy. Postać jej stała się, mimo swej jędrności, jakby miększa, bardziej leniwa, kobieca. Dziewczyna dojrzewała i piękniała.

Czy też ja ją kiedy jeszcze zobaczę, gdy mnie stąd los gdzie rzuci? - zamyślił się, wspominając już w łóżku oczy dziewczęcia. Prześmignęły mu w myśli jej zgrabne nogi. To pierwsza w jego życiu dziewczyna, którą całował ze wzruszeniem i uczuciem. Przeląkł się. Tylko nie to! Dobrze, że poszedł z Naprawy; może by zanadto przywiązał się do Matulaków, może by pokochał tę dziewczynę. Jego nie skazał los, jak wszystkich innych, na miłość. Nie czuł w sobie powołania do ożenku. Przeznaczone mu było wędrować. Zdusił w sobie myśl o pięknej istocie, budzącej się do życia, odsunął się od jej siedemnastoletniej młodości jak od kwiatu, którego nie chciał zerwać, obrócił się na drugi bok i usnął.

..Jesień była zimna i wietrzna. Cały ten rok był nieszczęśliwy. Buki przedwcześnie sczerwieniały, smutek wionął po polach. Wichry wiały od gór ogromne. Podczas gwałtownej burzy na oczach pracujących przy drodze piorun zabił dziewczynę, pasącą niedaleko od nich bydło, oraz dwie krowy. Kraj nabrał dzikości i chłodu. Na zachodzie Babia Góra ukazywała się do połowy utopiona w mgłach. Wzdłuż drogi ponuro porastały rzadkie wierzby. Na wzgórzu, zwanym Zbójceckim, kilka wysokich, podskubanych smreków samotnie wystawiało się na niepogodę. Gdy się patrzyło z dołu od drogi, tych parę drzew czarnych kłuło niebo, chwiejąc się w wietrze. Którejś nocy październikowej był taki wichur, że barakiem trzęsło jak

gałęzią; zdawało się, że huragan rozperze budę na drobne deski. Ziemiaki wymarzły. Tamtego roku wykopywano je spod śniegu, a tej jesieni nie było po co kopać. Co za rok!

Jasiek nie zadawał się zbytnio z towarzyszami pracy poza jednym Juraszkiem. Koledzy mieli mu to za złe, nazywając go złośliwie hrabią. Wiedział o tym, machnął ręką. - Ładny hrabia. Prosto od krów. Oni tylko: wódkę chlać, w karty grać, dziewczki macać. Mnie baby nie w głowie, z wódki rzygam, w karty oszukiwać się nie dam. - Co nie przeszkadzało, że pobił tego po pysku dwóch najzazartszych morowców w baraku, przez co zyskał sobie cichy szacunek u wszystkich.

Władek Juraszek pracował przy drodze od roku. Pochodził z Głuchaczek, maleńkiego przysiółka należącego do wsi Przyborów, odpryśniętego daleko od osad ludzkich na zboczach Cyłu, którą to nazwą oznacza się drugi, mniejszy szczyt Babiej Góry. Ponieważ ubiegły rok był płonny w Wysokim Beskidzie, Władek porzucił chałupę, w której gospodarowała jego siostra, ruszając na zarobek ku nizinom.

W listopadzie wstrzymano niespodziewanie prace drogowe na okres zimy. - To się nam już robota skończyła - spluwał ze złością Juraszek, pakując kuferek. Wracał w swoje strony. Jasiek postanowił ruszyć razem z nim. W zimny, słotny ranek poszli przez Jordanów zabłoconą drogą na Suchą. Tam przenocowali u kolejarza, znajomego Juraszkowej rodziny. Nazajutrz ścieżkami wśród lasu, Władkowymi skrótami, darli się ku stopom Babiej Góry.

- Ja już niejednej pracy się miałem - zachęcał byłego pastucha kompan. - Możemy spróbować zarobku w tartaku w Jeleśni albo w Przyborowie. Rozglądniemy się, nie zginiemy.

Jasiek unosił w kieszeni pół trzeciej setki; nigdy jeszcze za pół roku nie zarobił tak wielkiej sumy. To nie to, co łązić bosy po rosie za krowami, żreć, co baba pod nos podetka, wodziankę i kwaśnicę; co gospodarzom z brody skapnie. Ma tego życia dość; będzie się trzymał Władka.

- Ominiemy dołem Koszarawę, wyjdziemy wprost od toru kolejowego na Przyborów - pouczał przyjaciela Juraszek. Zaciągali się dymem tanich papierosów, kluczyli skrajem lasu, pełnego gęstej cetyny, unikając kałuż na rozmięklej, gliniastej ścieżynie.

Otóż i Przyborów. Lał rześisty deszcz. Po pięciogodzinnym chlapaniu się w błocie, maszerując prawie samymi lasami od Suchej, wyszli na wieś, przylepioną do rozległego zbocza. Nie darmo nosiła taką nazwę; leżała przy borach. Nad nią unosił się w dali ośnieżony wierch, stróżujący nad okolicą. To Mała Babia; jej wyższa siostra była stąd niedostrzegalna wskutek bezpośredniej bliskości. A to Pilsko - Juraszek wskazuje w kierunku południowym

na wyniosłą piramidę o regularnym szczytowym profilu, odzianym w sutą czapę bieli. - To drugi wierzch po Babiej - uświadamia towarzysza.

Mieszkali tu ludzie biedni, ale dobrzy. Życie ich upływało w ciągłej walce z przyrodą. Nigdy nie było tu tak, jak być powinno. Zawsze mieli coś do zarzucenia pogodzie. Ustawicznie pozierali na niebo, badali chmury, wączali powietrze, jakby patrzyli Panu Bogu na palce.

- Na dołach jest inaczej. Tylko u nas tak pogoda wydziwia. Co to jest?

Ten spór ludzi z przyrodą trwał tu od setek lat. Przyjmowali zmienną aurę jak dopust niebieski, nie byli z niej zadowoleni, ale też i nie sarkali głośno. Widać tak musi być.

A była to istotnie kapryśna pogoda. Tu miał Jasiak w całej pełni doświadczyć goryczy i surowości klimatu, tu miał poznać ostrość i nędzę codziennego życia.

- Pod Rabką mieliśmy bardzo przykry rok - opowiadał swojemu gospodarzowi, Wołkowi w Przyborowie, u którego zamieszkali we dwójkę z Władkiem. - Wiosna w lutym, zima w maju, wszystko wytracił mróz na polach, lato całe mokre, reszta, co się ostała na polach, zgniła.

- U nas wszystko się także wywróciło do góry nogami - jęknął Wołek. - Sady się rozkwieciły w marcu, na wiosnę padał śnieg. We wrześniu prały tak silne wiatry od Orawy, że wszystkie owsy rozniosły po górach. Nic, tylko żywcem wypada nam tu zdechnąć.

Wołkowa od razu zaczęła się skarżyć swoim lokatorom, że odrabiała całą wiosnę i lato u Grochalki w deszczu, za co? Że jej wypuściła kawałek łąki dla kozy i z dziesięć zagonów ziemniaków. - Zagony wysadziłam własnymi ziemniakami! A z ziemniaków teraz nie mam nic; zgniłe jeden obok drugiego. Rok się popsuł, lato było mokre. Oddam dziecko do ludzi, sama pójdę na służbę. Chłop niech sobie radzi.

Z namiętną satysfakcją odsłaniała swoje autentyczne ubóstwo, aby wzruszyć serca lokatorów. Pojęli to, obiecali regularnie płacić za mieszkanie, a nawet dali drobną zaliczkę. Uspokoiła się. Kupili trochę prowiantu, kazali kobiecie ugotować, poczęstowali ją; od razu wpadła w lepszy nastrój. I od razu stała się celem zazdrosnych, złośliwych westchnień innych bab.

- Ona się tam przy nich nieźle skrzepi - mówiły. Poniekąd podśmiewała się znacząco z miną dobrze poinformowanej. - I ona także jeszcze niestara. Do rzeczy baba. Chłop jej leży w łóżku jak kawał drewna, a tu w domu dwóch chłopaków jak żrebaki.

- Nie ma co, wygrała los na loterii!

- Ma szczęście. Obłowi się.

Tartak w Przyborowie był nieduży, zatrudniał około dwudziestu ludzi; tu co druga

wieś ma tartak. Było jeszcze ciemno, kiedy szli na ósmą do roboty, i również zapadała już ciemność, gdy o czwartej wracali do domu. Pracowali przy dostawianiu kłoców do gatra. Zarabiali swoją uczciwą dniówkę: trzy złote.

Pogoda była w dalszym ciągu pechowa. Rankiem mokry śnieg lepił się po stopach idących, po południu grzęzło się po kostki w błocie. Strumyki ścinały się w lód u brzegów każdego ranka. Obaj chłopcy suszyli co wieczór nad piecem przemoczone buty. Wieś stała się ponura. Nawet piosenka nie przedarła się z szczelnie zamkniętych chałup. Beznadziejny smutek wiał od drogi, pełnej czarnych, grząskich kałuż.

Sobota. Szare chmury ciężko i nisko siadły na górach. Będzie śnieg. Władek mimo to nie traci nastroju. To jego ojczyzna. Przywykł do tutejszego powietrza jak do ziemniaków z żurem. Pogwizduje sobie.

- Jutro pójdziemy na Głuchaczki. Muszę zobaczyć się z siostrą - oznajmia koledze. - Bez względu na pogodę - dodaje, aby nie było wątpliwości co do jego decyzji.

Posepnym rankiem ostatniej niedzieli przed adwentem wybrali się w odwiedziny do rodzinnego domu Juraszków. Pięli się od tartaku ponad dwie godziny w śniegu, rozmiękłym na wodnistą papkę; później brnęli w białym, dziewiczym pokładzie. Na grzebieniu Dzielicy wstąpili w lasy sosnowe. Tu owiał ich gwałtowny wiatr. W jego zimnym tchnieniu dotarli do obszernej kwadratowej polany, u której szczytu czerniło się kilka chałup. Z jednej, stojącej najwyżej, wił się jasnoniebieski sznurek dymu.

- Siostra gotuje obiad - zauważył Władek.

- Myślałem, że kolację na jutro - zakpił złośliwie Jasek, wyciągając przemoczone buty ze śniegu.

- Nie bądź wściekły. Pierwszy raz wydaje się daleko, ale później przyzwyczaisz się. Tu się idzie śpiewająco.

- To śpiewaj.

Juraszek nie dał się prosić. Wziął żart poważnie i rozdarł się na cały głos:

*Malutki Jezusek, malutki nieduży,  
siedzi na przypiecku, papierosa kurzy.*

Aż z jednej z chałup wyjrzała na dwór zaintrygowana kobieta.

- Mitanka wyszła się patrzeć. Myśli, że jestem pijany.

Polana była niedawno wykarczowanym lasem. Jeszcze gdzieniegdzie podrastały kępki smreków, gdzieniegdzie snuł się garbaty jałowiec. Na południe przed oknami Agnieszczynej chałupy na dobry rzut kamieniem ścielił się las bukowo-jodłowy. Tym lasem półtora

kilometra - i już granica.

Trafili istotnie na sam obiad. Do sieni za próg wyszła przywitać się z bratem chuda kobieta o twarzy kościstej, ustach wąskich, spojrzeniu złym. To pani tego domu, Agnieszka Juraszkówna, prawie trzydziestoletnia dziewica. Sama prowadziła gospodarstwo, odkąd ojciec umarł, a obaj bracia opuścili Głuchaczki. Tego lata przygarnęła ciotkę współ z dwunastoletnią wychowanicą, Filomeną.

Mówiła szybko, ale właściwie z natury była mrukliwa. Opowiadała krótkimi zdaniami. O Józku, bracie, który się ożenił w Jeleśni, o urodzajach, o pladze dzików. Że w lipcu miała cielę od Kawuli; przysadziła na jałówkę. Że w Rabczy u Słowaków było morderstwo. Że koło Bożego Ciała niedźwiedź zabił dwoje bydła na Czarnej Hali Rabczyckiej. Że w Przyborowie nad Koszarem umarła Madzielucha, chrzestna matka Agnieszki. Co jeszcze?

- A co słyhać u was, na polanie?

- Stara bieda. Nikt nie umarł ani się nikt nie urodził.

Głuchaczki trwały w tym samym stanie, co i przed rokiem, gdy Władek ruszał w doliny na zarobek.

- Kiedy się wydajesz, Agnieszka?

- Albo co? - zachnęła się w odpowiedzi.

- Nic. Tak się pytam. Byłby czas - uśmiechnął się Władek.

- Nie bój się. Ja mam czas.

- Ale Broniek nie ma.

- Nie martw się o Bronka.

Jakoś nie śpieszyło się Agnieszce do ślubu, choć była najstarsza z rodzeństwa. Już drugi rok kręcił się koło niej Broniek Płonka z sąsiedniej Koszarawy, przedni kawaler. Wszyscy przebąkiwali, że lada chwila ma się z nią żenić; podawano ciągle nowe terminy ślubu. Ale dziewczyna wbrew kobiecemu obyczajowi zwlekała z zamążpójściem. Dziwiono się powszechnie, że taka oporna; skoro parobek chce się żenić, powinna iść do ołtarza bez pytania. Już tam nie jest młoda ani urodna, tyle że ma siłę w ręce, obrotna i gospodarna. Broniek zaś, choć lubi popić i w karczmie się pobić (inaczej co by za chłop był z niego?), ale jest morowy, robotny, ma zmysł do interesu. Co on widzi, swoją drogą, w tej Agnieszce? Mógłby mieć świetniejsze partie. Sam Władek nieraz żartował sobie ze staropanieństwa siostry:

- Puści cię kantem, zobaczysz.

- To co?

- Wstydz.

- Tobie nie będzie wstyd, tylko mnie.

Poza chałupą Juraszków Głuchaczki liczyły pięć gospodarstw. Najbliższe obejście to chata dawnego gajowego, Mitany, mieszkającego z żoną i teściem, zwanym Ślepkim. Niżej rozsiadły się trzy domostwa: Klimca, Sapety i Maziarza: ten ostatni gnieździł się z żoną i czterema synami, rosłymi jak buki. Kiedy rodzina siedziała przy jedzeniu, nikt się więcej już nie mógł zmieścić w izbie, tak ciasno było od ich obecności. W prawym kącie polany osobno, na uboczu, stała w cieniu potężnych jesionów chata wdowy Naściuli. To było całe osiedle ludzkie.

Dwaj goście z Przyborowa podjedli sobie żuru owsianego z ziemniakami, posłuchali babskich plotek, naćmili moc papierosów. Władek odwiedził na chwilę sąsiada Mitanę: Jasiek rozprawiał przez ten czas z Agnieszką. Mówiła twardo i ostro, często ścinając zęby w nieprzyjemnym zgrzycie. Widać w niej było mocną, energiczną dziewczynę. Jasiek przyglądał się jej. Dlaczego właściwie nie wychodzi za mąż? Być może, iż miała tyle kłopotu z gospodarstwem, że brakło jej czasu i sposobności na znalezienie sobie kawalera. Ale skoro kandydat jest, powinna go w rękę pocałować i lecieć w te pędy do kościoła. Z taką urodą? Szpeciła ją długa, końska twarz, oczy przeraźliwie niebieskie, jasne jak kwiat lnu, ale wypukłe i rybie, jakby stale wytrzeszczone. Natura poskapiła jej cech kobiecości. Spojrzenie złe, włosy skudłaczone, głos kłótniwy, w zdenerwowaniu przechodzący w skrzek, chód kanciasty, piersi płaskie, ruchy ciężkie. Wysoka, zaniedbana w ubiorze, brudna.

O trzeciej ruszyli z powrotem w dół.

- Więc byłeś na Głuchaczkach. Chciałeś je zobaczyć, widziałeś.

- Widziałem.

Tak, to były Głuchaczki. Przednia straż Przyborowa, wysunięta w knieje. Chmury opadły na południe. Niebo przetarło się nad Pilskiem. Szczyt jego, po słowackiej już stronie leżący, trwał zimny w śniegowej bieli. Od zachodu zawiął wiatr. Szybko zapadał zmierzch.

- Tu byłoby nam nieźle - mówił Juraszek. - Naokoło grube lasy; można zawsze coś ustrzelić, sprzedać skórkę, nawet i mięso, uciąć jedlicę albo jesion, spuścić w dół, splawić handlarzowi. Jakiś szmugiel odstawić; ja już nieraz chodziłem na tamtą stronę. I jakoś się wyżyje. Nic się nie robi. Forse się zarabia. Wszyscy tu tak żyją, co pod granicą mieszkają. Nic się nie robi - powtórzył - a pieniądze się ma. Rozumiesz?

- Rozumiem.

Weszli w przesiekę, wyrąbaną między dwiema ścianami wysokopiennych jodeł. Rozległ się świst bicia i przed nosem prześmignęła im dziewczyna siedząca na przedniej karze wozu, zaprzężonej w konia. Na karze wiozła beczkę.

- Baśka z Gajki wiezie wodę do domu - powiedział Władek.

Codziennie jeździła do potoka po wodę, bo nie mieli studni w zagrodzie. W przejeździe uśmiechnęła się do obu chłopców. Wkrótce usłyszeli jej gwizd, silny i dźwięczny jak u mężczyzny.

- To moja dawna miłość - przyznał się z uśmiechem Juraszek. - Najbardziej podobało mi się w niej to, że furmanic umie lepiej od chłopca. A tak gwizdać jak ona żaden parobek przyborowski nie potrafi.

Kiedy już leżeli w łóżku, zapytał Władek przyjaciela:

- Jak ci się podoba moja siostra?

Tamten uśmiechnął się niewyraźnie.

- Ostra kobieta.

- Ona ma naturę chłopaka. Matka mówiła zawsze, że powinna się urodzić mężczyzną.

Ale ma dobre serce.

Dmuchał w lampę raz, drugi raz; zgasił. Zaraz usnęli obydwaj mocnym snem zdrowych ludzi.

Mieszkali przy drodze opodal tartaku, aby im było blisko do pracy. Co dnia o ósmej rano stali już przy gatrze. Ich gospodarz, Wołek, był dozorca tartaku, od roku nie wychodził z domu, złożony ciężką niemocą. Cierpiał na bolesne zapalenie stawów. Były dni, w których nie mógł poruszyć się w łóżku: był jak sparalizowany. Żona jego zarabiała na utrzymanie szyciem na maszynie. Mieli sześciolletnią córeczkę, Jagusię; drugie dziecko umarło im przed laty. „Dziady” - mówił o nich z pogardą w głosie sołtys gromady przyborowskiej. „Ciagle tylko chodzą na pożyczki”. Istotnie, Jagusia nieraz biegała z kieliszkiem pożyczając sól po chałupach. Kiedy Wołka przywaliło drzewo w lesie (zanim jeszcze został dozorcą tartaku), żona jego chodziła do sołtysa po zaświadczenia na uzyskanie szpitala. Ile się wstydu najadła - po prostu kmiecie zjeść ją chcieli! Albowiem Wołek nie był dawniej dziadem: stał się nim wskutek swej manii pieniackiej. Od lat procesował się ze wszystkimi sąsiadami naokoło. O wszystko: o wypasioną miedzę na podnajętej łące, o szkodę w owsie, który dziobały cudze kury, o przyorany kawałek ziemi pod chałupą, o zdrapaną ściółkę w lesie, o wyciętego smreczka, o obrazę słowną. Stracił na tym cały majątek. Sędziowie żywieccy znali go lepiej niż własnych protokolantów; adwokatom także nie dawał wytchnienia. Najwięcej pieniędzy zżarł trzyletni proces o ścieżkę przed domem. Kupił mianowicie od gminy łączkę, przez którą biegła ścieżka. Naturalnie nikt nie myślał nakładać drogi dlatego tylko, że łąka zmieniła właściciela; i wszyscy, jak dawniej, od niepamiętnych lat, chodzili ścieżką, chociaż Wołek



zagroził ją żerdziami i cierniami. Ile się nazłościł, ile wydał setek! Z paru nędznymi zagonami koło chałupy został dozorcą w miejscowym tartaku. Nie służyła mu ta praca; wnet przyplątała się do niego choroba i tak postradał Wołek swą ostatnią posadę.

Śnieg sypie od rana. Ubielił całą wieś. Chłopcy przyszli do domu, bijąc butami o próg sieni. Zimą nasilenie pracy w tartaku było większe; niemal wszyscy chłopci z Przyborowa pchali się do roboty w zimowe miesiące. W domu nudy, a pieniądze potrzebne. Wołek leżał w łóżku, dzisiaj ostrzej dokuczały mu stawy. - Będzie zmiana - mruzczał.

- Jakaż może być zmiana? - pokpiwał Jasiak. - Albo śnieg pada, albo będzie padał. Nie potrzebuję chorować na stawy, aby to wiedzieć. Chyba że o innej zmianie mówicie? Może zostanę dyrektorem tartaku?

Wołkowa wróciła późnym wieczorem. Szukała po ciemku zapalek, nie mogła znaleźć. Wścicka się. Nie wiedziała, że obaj młodzieńcy są w domu, gdyż w drugiej izbie nie świeciło się. Jasiak i Władek wysadzili gołe nogi na piec, ćmiąc papierosy w ciemności. Piec jeszcze zachował ciepło od południa, poza tym na nogi narzucili koce.

- Psiakrew, znowu nie ma zapalek! - rozdarła się w ciemności kobieta, macając na oślep po nalepie. - On wszystko wynura, ten diabelski chłop! Na papierosy ma pieniądze, ale zapalek kupić nie może!

Podejrzewała męża, że dostaje od lokatorów papierosy lub że, co gorzej, kupuje za ich pośrednictwem w karczmie. A skąd ma pieniądze? Okrada ją. - Nic nie mam z tego dziada! Leży pod pierzyną, niczym baba w połogu. Wszystko czeka na mnie. Na dom zarobić - ja, zreć ugotować - ja, chłopu i dziecku miskę pod nos podstawić - ja. Szkoda, że jeszcze mnie nie zawoła, aby mu tyłek obetrzeć. Jaga leć no z garnkiem po ogień do Marcinka. Powiedz, że mama teraz dopiero przyszła do domu i nie ma czasu rozpalić na kolację. Niech ci da trochę żaru.

Po wyjściu dziecka jeszcze dalej pomstowała na męża, - To kuternoga cholerny! Zapalki wziąć potrafi, ale ich na miejscu nie położy!

Na próżno sumitował się biedny Wołek, że zapalek nie brał i że nie ma pojęcia, gdzie są, bo wypalił dziś zaledwie dwa papierosy (dawniej był namiętym palaczem), i że oba razy poczęstował go ogniem sąsiad, który go odwiedził po południu.

- Naturalnie - syknęła ze złością - ty sobie leżysz w łóżku, papierosa w gębie cmokasz, a ja zdrowie niszczę, abys, nicponiu, miał co do pyska wziąć. Znajomi do ciebie na wizyty chodzą! Taki chłop nie może ze sobą zabrać na pamiątkę pudełka zapalek? Przyda mu się w domu. Dał ci przecież za to papierosa.

Byłaby nie skończyła. Aż Jasiek, słysząc tę kłótnię, zwłóknął się z pieca i ułagodził Wołkową, podarowawszy jej pudełko zapalek.

Wigilię Bożego Narodzenia spędzili obaj chłopcy na Głuchaczkach. Po drodze, brnąc w górę zaspami, spotkali znów na przesiece Baškę Słowikównę, sunącą saniami po wodę do potoku. Gwiżdżąc, uśmiechnęła się do nich.

- Zgrabna dziewczucha - zauważył Jasiek. Zaraz za nią wyłonił się od strony Gajki, lekko utykając na nogę, stary Tramek, szwagier Ślepka z Głuchaczek. Mitanka mówiła mu „stryjku”. Jej obecny dom był domem rodzinnym żony Trankowej; spędziła ona w nim pół swego życia i dzisiaj jeszcze nieraz zachodziła na górę do brata.

Pogadali we trójkę. Stary, swoim zwyczajem, zaczął skamlać na pogodę, na biedę.

- Niech nas Bóg od nieszczęścia uchwowa! Żniwa były mokre; na dolinach powódź. Czego mróz na wiosnę nie zniszczył, czego woda nie zamuliła, to wichur dobił. Już w zimie glód mamy. A co będzie na przednówku?

Zacierał ręce, skostniałe od zimna, przestępował z nogi na nogę, chuchał, ciepła para z ust walczyła kłębami z lodowatym tchem powietrza.

- Do siostry idziesz?

- Tak. Na Wilię.

- Pozdrów ją. To dzielna kobieta. Umie gospodarzyć. Kiedy się wydaje?

Każdy o to pytał. O zamęściu Agnieszki gadano bez końca. Już dwa lata trwało to żelazne narzeczeństwo. Władek uśmiechnął się.

- Kto ją tam wie! Baba, jak baba. Ma swoje sekrety,

- Wesołych świąt!

- Daj, Panie Boże, i wam też!

Pożegnali się. Na Wiliu zastali Bronka; przyszedł z Koszarawy, ubrany odświętnie. Był to zapalony kłusownik. Jego triumfy myśliwskie słynne były na całą wieś. Z cierpliwością czekał na oblubienicę, której nie było pilno do ołtarza. Rówieśnicy we wsi docinali mu: „Bronku, kiedy się żenisz? Bo ci się w deski chałupa rozleci”. Narzeczony liczył bowiem najbardziej na dom Agnieszki, nowo pokryty gontami. Uśmiechała mu się z wielu względów zagroda na Głuchaczkach: las pod nosem, granica za miedzą, ach, tu byłoby życie dla kłusownika!

Podczas Wiliu wspomniano zmarłych i niewiasty popłakały się ze wzruszenia. Wybierali się na pasterkę do Jeleśni, ale nie poszli, bo zaczął sypać obfity śnieg. W dodatku Agnieszka podpiła sobie nieco i objawiała skłonność do snu.

- Dobrze by było coś ustrzelić - zaproponował Władek. - Poszedłbyś, Jasiak?

- Strzelby nie mam.

- O fuzję się nie bój. Broniek ci da. Ile dziupli w starych bukach, tyle strzelb on ma pochowanych w lesie.

- Jutro nie można - odezwał się Broniek. - Arcyksiążę poluje z gośćmi pod Zawoją. Będą na Czatoży w pierwsze i drugie święto. Mówił mi Misiółek, bo chodził zmawiać wczoraj nagonkę po Koszarawie.

Zapolowali jednak nazajutrz we trójkę, przemknawszy się na słowacką stronę. Szczęście im nie dopisało; Broniek tylko ubił zającą. Szlakowali sarnę, posłali jej dwie kule, wycofali się jednak wnet z pościgu w obawie przed strażnikami. Wrócili zmęczeni nad samym wieczorem w śniegu uciążliwym, kopnym.

W styczniu zasypało Głuchaczki po dachy. Jakby pragnąc odrobić obowiązki zaległe ubiegłej zimy, śnieg upadł silnie. Mróz za to był skromny. Ludzie skłonni tu, w górach, do wyrzekania na ciągle kaprysy aury, chwalili sobie tę zimę.

- Taka powinna być. Suta, ale nieostra.

W niedzielne południe spoglądał Jasiak przez okno Wołkowej izby, rozmyślając o Władku, który gdzieś wywiał na karty. W drugiej izbie Wołek, rozłożywszy niedowładne kulasy, golił się przed lusterkiem, mało co większym od pięści. Oczy Jaškowe tonęły w czarnej masie lasów posypanych białą mąką, usiłując wypatrzeć na zboczach Cylu miejsce, w którym się kryła polana Głuchaczek.

Mała Babia, nazywana Cylem, była tu o wiele ważniejsza niż Wielka, przechrzczona Diablakiem. Cały Przyborów żył dosłownie i przenośnie w cieniu Cylu, który zasłaniał sobą starszego, wyższego brata. Starszy brat królował daleko, całe wschodnie niebo wsi zajmował Cyl. I on wypełniał życie tutejszych mieszkańców; najdalsza meta ich spojrzeń, najdalszy cel ich nie zrealizowanych wędrówek. Pilsko na zachodzie to tylko góra do patrzenia; kto by tam wylazł, takie światy! Diablak, jeszcze niedostępniejszy wzrokiem, już należał do legendy. Nie odwiedzało się go nigdy. Pozostawał w dziedzinie czarów i opowieści, oddalony o półtorej mili wspinania, wyniośle strażujący nad dwoma powiatami i nad całą górną Orawą. Za to Cyl nachylał się ku wsi przyborowskiej grzbietami Przegibu, Wężowca, Wysokiej i Ostrego Wierchu. Od północy łączył się długim ramieniem z Mędralową, na wschód zaś wpiętrzał się w główny skalisty trzon babiogórski, ukoronowany Diablakową turnią. Na południu wreszcie wpływał majestatycznie w rozłogi Borsuczej, roztopiając się niżej w słowackich halach.

W śniegu zmieniło się ukształtowanie terenu. Jakby tu wyrósł nowy świat. Wszystko wydało się świeższe i wyższe. Ludzi ogarnął lepszy nastrój pod wpływem tej regularnej i

normalnej pory. Odpoczywali niemal z ulgą po katastrofie ubiegłego roku, po pechowej wiosnie, nieszczęśliwym lecie i podłej jesieni. Jedyne Agnieszka chodziła zła, kąśliwa, wiecznie niezadowolona, fenomen pracy. Od czasu do czasu przyciskała dłoń do policzka; bolały ją zęby. To jej stała choroba. Od rana do wieczora ta kobieta była na nogach, zima czy lato. Wstawiała jeszcze po ciemku, kładła się spać w późną noc; Zawsze zajęta, nie miała nigdy czasu umyć się, uczesać włosów, wdziać coś lepszego na siebie, zeszyć podarte łachy. Pochłaniało ją gospodarstwo. Po sieni chodziła boso w największe mrozy; tyle że po wodę obuwała kierpce.

- Ciotko, weźcie łapcie - prosiła ją Filomena. I Agnieszkę także nazywała ciotką, podobnie jak swą opiekunkę. Młoda ciotka mruknęła coś pod nosem; dziecku szkoda odpowiadać. Nie pozwoliła, aby konewki z wodą niosła stara Budzikowa, bo parę razy, gdy niosła, rozlała wodę w sieni.

- Więcej mam sprzątanania z tego, niż jak sama sobie do studni pójde.

Ciotka umilkła, zawstydzona, Juraszkówna chwyciła się za szczękę, zacisnęła zęby. „Znowu muszę owinąć gębę, bo mi puchnie”, pomyślała. Widocznie, gdy była zła, wzbierał ból zębów; to samo działo się, gdy była słota. Uwzględniwszy obie te okoliczności, można było powiedzieć, iż Agnieszce prawie zawsze dokuczały zęby.

Pod koniec miesiąca obaj koledzy zmienili posadę, przenosząc się do tartaku w Jeleśni. Tu już było większe przedsiębiorstwo i płaca wyższa. Dla upamiętnienia tego awansu w karierze sprawili sobie obaj na raty buty z cholewami; czyż przysłowie nie mówi: poznać pana po cholewach? Zamieszkali u Stachonia, jeleśniańskiego filozofa, działacza ludowego. Sprowadzili się do niego w dzień pożaru. Na granicy przyborowskiej gminy, na roli Kielbasówka, stała w ogniu pusta chata, sąsiadująca z domostwem muzykanta Malisza. Płonęła silnie jak snop. Wyniosły jesion pomiędzy obu domami powstrzymywał dzielnie atak gorącego żaru. Ludzie zlewali wodą gonty Maliszowego domu od strony płomieni. Wiatru na szczęście nie było. Iskry jednak padały tu i tam po gontach. Jasiak wyszedł po drabinie na dach i mokrą szmatą, zatknął ją na żerdzi, miętosił zarzewie. Jakoś wybroniono chałupę Malisza od ognia; spaliła się tylko stara, niezamieszkała chata, używana na szopę. Jeszcze z miesiąc stał wśród pogorzeli jesion, nagi, opalony z kory, pozbawiony gałęzi, czarny od zwęglenia, jak drzewce chorągwi sterczące na pobojuwisku; bohater, który wstrzymał nawalę ognia od chałupy. Aż zlitował się nad poparzoną, obumartym biedakiem Malisz i ściął go; będzie z niego robił skrzypce.

To drugi pożar, który oglądał Jasiak z bliska w swoim życiu. Pierwszy ułatwił mu

pamiętną ucieczkę z nowotarskiej ochronki. Patrzył w płomienie jak zahipnotyzowany. Jakaś przemożna siła wciągała go w orbitę żywego ognia.

- Psiakrew, sikawka by się przydała! - zaklął Władek, spoglądając na dymiące zgliszcza spalonej budy. - Nie ma czym gasić.

Ledwo zabrali się do pierwszego posiłku na nowym mieszkaniu, świeżo upieczony gospodarz z zapalem podjął dyskusję na ten aktualny temat i uraczył ich przedsmakiem przyszłych przyjemności. Nie było bowiem tematu, którego by nie zaczepił ten zapoznany mówca, na który by nie wjechał na swoim ulubionym koniku politycznym. Jego dudniący bas asystował im nieznużenie przy kolacji.

- Straż ogniowa jest u nas, musicie wiedzieć. Ochotnicza. Ośmiu zarejestrowanych strażaków. Prezes także jest, a jakże; naczelnik urzędu pocztowego, szlachcic Gozdawa. Ale sikawki nie ma. Takie zakichane porządki u nas.

- Harnęgę widziałem kiedyś, jak cały w złocie szedł do domu parafialnego - wtrącił Juraszek.

- Naturalnie, jak jest festyn, obaj bracia Harnęgowie w hełmach złotych, z toporkami za pasem paradują po Jeleśni. Mundury mają niczym generałowie. Ale do pożaru strażaków nie ma. Z czym pójdą gasić? Z hełmem? To tak, jakby poszli z nocnikiem. Remiza także jest; zrobiona z gminnej szopy. Mają z niej salę na wiece. W Krakowie obiecali subwencję na zakup sikawki, ale pod warunkiem złożenia większej sumy na organizację „Strzelca” w powiecie. Głupie gadanie; jakby naczelnik miał pieniądze, to by sam sikawkę kupił, a nie w „Strzelca” pakował. A to wszystko dlatego, że Gozdawa jest narodowcem. Gdyby był senatorem, sikawka by się na pewno znalazła.

Spadł znowu duży śnieg. Władek pracował teraz przy obsłudze gatrów, Jasiak zaś woził drzewo z Korbielowa do tartaku. Sanie sunęły lekko po wyslizganym pokładzie drogi. Dzieci, piszcząc z uciechy, wieszały się u końca wiezionego drzewa, który rył głęboką koleinę w twardej białej nawierzchni. Jasiak strzelał wesoło z bata, śmigając przez jeleśniański rynek. Do okna podchodziła Walerka, służąca ze sklepu Pasika, tęga, zalotna brunetka, uśmiechając się do furmana. Jasiak trzykrotnie w ciągu dnia nawracał z Korbielowa do tartaku; ona zaś tak dokładnie wyczuwała, kiedy miał przejeżdżać przez rynek, że nie potrzebował nawet strzelać z bicia, aby się ukazała w oknie. Chodził z nią przez tydzień, może dłużej. Zniechęcił się do niej po bliższym poznaniu. Była łatwa do zdobycia, raziła go jednak brudem, trywialnością w mówieniu, zazdrością i awanturniczym usposobieniem. Zwłaszcza zazdrością, ach, tego nie lubił. Była zepsuta ponad miarę wiejskiej dziewczuchy. Służyła rok w Bielsku i pół roku w Żywcu; tam polizała trochę bezczelności oraz światowej

edukacji. Miała lat dwadzieścia. Chłopcy mówili o niej z wielomówiącym uśmiechem: - To morowe ziółko! Temu ziółku zawdzięczał Jasiak pierwsze głębsze doznania erotyczne przy wybitnej zresztą inicjatywie dziewczyny. Wnet jednak zarzucił ten flirt, przeląkł się bowiem, iż czarnowłosa pragnie go złapać w sidła jako męża. A poza tym słyszał coś niepochlebnego o Walerce w towarzystwie męskim; coś takiego, co odebrało mu resztę smaku do niej: że mianowicie należy się jej wystrzegać, bo ma w sobie brzydką chorobę. „Nie podoba mi się” - wyperswadował ją sobie i zwrócił uwagę na Marysię Medesównę z Sopotni.

Marzec, który stanowi najgrubsze nasilenie wierzchowej zimy babiogórskiej, zapowiadał się w dolinie pogodnie, prawie wiosennie. Potoki nie zaczęły jeszcze huczeć od roztopów, w stodołach dawał się słyszeć czysty, pracowity stukot dziecięcia, wypukującego owady między dylami. Na odkrytych pagórkach uwijały się skowronki.

Nad wieczorem, gdy młodzieńcy wracali po pracy do domu, rozpoczynał Stachoń w ich obecności swoje codzienne wykłady. Nareszcie zyskał dwóch stałych słuchaczy, a chorował na nieuleczalny nałóg gadania. Był to wieczny malkontent, były socjalista, obecnie zażarty ludowiec, patrzący na wszystko przez pryzmat polityki. Regularnie dzień w dzień męczył ich przy kolacji problemami, od których można było dostać bzika: że za metr żyta dostaje się obecnie dziewięć kilogramów cukru, a przed wojną było to dwa razy tyle; dlaczego, czy cukier był inny, czy żyto wtedy rodziło się odmienne? - Czego ten stary od nas chce? Co nas to obchodzi? - buntowali się młodzieńcy. Nie zrażony Stachoń zaczynał z innej beczki. Jak Franczak został wójtem? Było trzech kandydatów, ale Franczak postawił najwięcej wódki. Chłopi sobie podpili i dali głosy temu, co najlepiej fundował. - I dostaliśmy złodzieja na naczelnika gminy. - Chodźmy spać - groził na głos Jasiak, dodając ciszej: - Bo uśniemy na kolanach temu nudziarzowi. - Stachoniowa natychmiast dokładała do pieca, pragnąc przyśpieszyć wieczerzę. - O, wybory, to te draby robić umieją - mrucał swoje w kółko gospodarz. Chłopcy zagrali w karty. Pies zaczął szczekać, bo do izby wszedł sąsiad Błaszczak, i obaj rozwlekli dopiero teraz przy mdłej lampce naftowej swoje nieśmiertelne biadania.

- Płacić, ciągle płacić, a grosza nie zarobisz znikąd - skomlał gość. - Policja robi ci o byle gówna protokół: żeś psa spuścił, że studnia nie nakryta; to, że nakryta, ale zbutwiała deska; że deska, choć nie zgniła, ale powalana gnojem albo wapnem; a to, że do wychodka nie ma drzwi, bo właśnie tydzień temu wicher rozwalił; a to znowu, że drabiny nie widać na dachu, że gnojowisko nie w porządku. Co chwila płacić kary do starostwa. Niech ich diabli wezmą! Gnębią lud na wszystkie sposoby.

- Gdyby chłopci do sanacji przystąpili, to by żadnych kar nie było - ironizuje Stachoń. - I żaden policjant nie dojrzałby otwartego wychodka.

- Żebyś wiedział, że się tak za Witosa mszczą; że nie chce iść z rządem. Mnie kiedyś policjant w Żywcu zapisał, że źle stanął na ulicy. Nie po tej stronie, co trzeba. Koń powinien stać głową do rynku.

- To znaczy zadkiem do kościoła?

- Nie śmieję się, takie są teraz przepisy. Koń ma stać po prawym kraju drogi przy chodniku. A on stał odwrotnie. Nie głowę miał odwróconą do rynku, tylko co innego. Śmiech śmiechem, ale policjant spisał mi protokół. I siedzę u niego w notesie. Jeszcze z tego nic nie było, a przeszedł już tydzień. Może się skończy na tym notesie.

- Nie cieszcie się zawczasu, Błaszczyk - zakrakał złowróźnie Jasiek od kart. - Papierek może się spóźnić. Chyba że pojedziecie do komisarza policji w Żywcu, weźmiecie do koszyka gęś, może was kara ominie. Pan komendant urwie łeb sprawie, a pani komendantowa za ten czas urwie łeb gęsi w kuchni. I na obiad będzie gęszyna.

- Skąd wezmą gęś? - obruszył się Błaszczyk. - Nie gadajcie głupio.

- To będziecie płacić.

- Nie zapłacę, bo nie mam z czego.

- Posiedzicie dwa dni w areszcie.

- Posiedzę - usta ścięły się mu wyrazem złowrogiego uporu.

Nazajutrz była niedziela. Młodzież z całej okolicy paradowała w odświętnych ubraniach po rynku jeleśniańskim między kościołem a karczmą. Jasiek dojrzał Maryskę Medesównę z Sopotni, wychodzącą z sumy. Postali na rynku, pośmiali się, pogadali. Dwukrotnie przewinęła się przed nimi Walerka w krótkiej miejskiej spódniczce, taksując ze zjadliwym uśmiechem zgrabne nogi oraz jasnoblonde warkocze Jaśkowej towarzyszki; sama oczywiście nosiła obcięte włosy. Wisiała u ramienia wysokiego młodego draęala o krościatej twarzy, z długimi jak małpa rękami. Dryblas poglądał z przyjemnością na przesmyk między bujnymi piersiami Walerki, widniejący wyraźnie w rozchyleniu bluzki. „Niech i on sobie trochę użyje” - westchnął w myśli Jasiek nie bez ironii. Pod szynkiem Habera spotkali Mitankę z Głuchaczek, ubłoconą po kolana; zapowiedzieli na przyszłą niedzielę wizytę, obiecując sobie małe pukanie. - Żeby tylko pogoda była! - mruczał Włodek, drapiąc się po kosmatej głowie. Nad rzeczką Bystrą, którą przekraczali dwa razy dziennie, idąc i wracając z pracy, wylazła z trawy cała armia żab na ciepłe gody. - Kopciuszek gwizda, będzie ładnie -

Jasiek pokazał słowika, podrywającego się z kamienia na kamień. Juraszek zatarł ręce z radości. - Głuszce tokują w Czatoży, mówił mi dzisiaj Bronek.

Wyszli w sobotę po południu. Zjedli kolację u Agnieszki. Zdawała się być w dobrym humorze; w każdym razie nie bolały ją zęby. Na niezmiennie pytanie brata o termin ślubu oświadczyła, iż mają się pobrać z Bronkiem po Zielonych Świątach.

- Ileż już tych Zielonych Świąt minęło! - bąknął Władek pod nosem, a głośno dodał: - No, to się doskonale składa. Już nie będę potrzebował kosić siana. Mąż to załatwi.

- Czy tak, czy owak, on i tak skosi za ciebie.

O północy wyszli z chaty i brnęli Buczynką pod zbocza Mędralowej. Podeszli o świcie na znajomą polankę. Wysoko na gałęziach jedli śpiewały dwa koguty. Jeden zwał się, ubity Jańską kulą; drugi poderwał się, zapadając bez śladu w gąszcz. Gdy słońce wzeszło wyżej, zobaczyli w górze krążącego orła. Wspaniały ptak zataczał bez końca koła nad przepastnym borem. „Pewnie poluje na żaby przy strumieniu albo oblatuje narzeczoną”. Stracili ze dwie godziny na zabawę z nim. Próbowali ściągnąć go z powietrza; niósł się jednak za wysoko. W pewnym, zdawało się, odpowiednim momencie posłał mu Władek kulę. Orzeł rozgniewał się i wolno, nie śpiesząc odleciał na południe ku dalekim bielejącym skałom Uwrocia.

Dobijali w zmierzchu do Jeleśni. Pod cmentarzem zmarłych na cholere zobaczyli sześć bocianów, ciągnących od wschodu. Wielkie ptaszyska spadły na pniaki w wyrębie. „Teraz sobie wsuną porządną kolację, bo w trawie pełno żab siedzi”. Jasiek ominął domostwo Stachonia; pogonił do Sopotni, gdzie w Gajce umówił się na spotkanie z Maryską Medesówną. Już dochodząc do Gajki, ujrzał w ciepłym mroku bociana żeglującego widmowo nad łąką; kołował, wybierając sobie nocleg. Wziął to za dobrą wróżbę. „Będę miał szczęście”. Nie pomylił się. Wrócił o północy. Stukał długo do Stachonia, nikt mu nie otwierał. Aż, zniecierpliwiony, wśliznął się do stodoły i usnął na górze, tak jak stał.

Tuż przed Wielkanocą wiosna popsowała się. Wszystko już zieleń się na dobre, ciepło rozchodziło się po polach, gdy nagle nastąpiła długotrwała ślota. Jasiek rznął w karty z Władkiem przy oknie, oblewanym strugami ulewy. Stachoń za to był w swoim żywiole. W deszczowe wieczory miał bowiem najwięcej słuchaczy. Dziś był u niego stary Tramek z Przyborowa. Pykał fajkę, stukając od czasu do czasu w podłogę podeszwą kulawej stopy, bo mu cierpła. Był jakimś tam dalekim powinowatym Stachonia po swej pierwszej nieboszczce żonie i z tego tytułu powierzał mu co parę tygodni strzyżenie maszynką swoich siwych włosów. Po znajomości, czyli za darmo.

- Dlaczego władze nie dadzą się rozwinąć spółdzielniom na wsi? - wykladał



zawodowy nudziarz. W tej słusznej zresztą skardze brzmiał jego własny ból. On sam bowiem kilka lat temu próbował założyć spółdzielnię w Jelesni i zbankrutował, zarwawszy przy tym pewną firmę krakowską na pięć tysięcy złotych. Uwikłało go to w długi, przykry proces. - Pośrednicy miejscy muszą na nas zarobić. Mleko i zboże oni od nas za bezcen wyciągną, ale jak pójdziesz gwóźdz kupić albo sierp, to ci zaśpiewają!

- Tak, tak - Tramek potwierdza swą zgodę tupaniem ścierpniętej nogi. - Tak mówicie, jak jest.

- Weźcie takiego Walka spod Mirka. Kupi parę jajek po chałupach i idzie pieszo we wtorek do Żywca. Zarobi dwa, trzy złote, tyle, co sobie kupi soli i zapalek. I pół litra nafty. Przysłali mu teraz z urzędu skarbowego nakaz na dwadzieścia siedem złotych podatku obrotowego i trzynaście złotych na wykupienie patentu handlowego. Że on niby kupiec.

- A to go dostało! Walek kupiec! - rechotał Tramek.

- Powiedźcie, czy jest sprawiedliwość, żeby tak niszczyć chłopą? Chciał sobie byt nędzny poprawić, a oni posyłają mu kwit na czterdzieści złotych.

- Gdyby miał pieniądze, nie brałby się do handlu, tylko by gospodarzył. On przecież nawet krowy nie ma.

- No, nie ma.

Pluli obaj rześście na podłogę. Na blasze od pieca kipiała woda. Stachoniowa zaczęła podnosić pokrywki, dmuchać. Na dworze ściemniło się, deszcz nie ustawał. Ktoś w sieni tupał, otrzepując się z wody. Wszedł Maliniak, stolarz, posuwając sztywno nogę. Nie mógł jej wyprostować w kolanie.

- Same kuternogi się zlążą - bąknął pod nosem Władek. Maliniak podszedł do młodych, opłyniętych chmurą dymu tytoniowego, podał im szerokie, mokre łapsko; lewą dłoń przyciskał do lewego uda. Następnie usiadł za stołem, wytarł ręce o kapotę i zaczął kręcić papierosa. Sublokatorzy przenieśli się od okna pod piec; tu było cieplej. Wokół Maliniakowych buciorów zbierały się dwa stawki na podłodze.

- Dwóch kulawych i jeden gaduła; do północy będą mieli zajęcie.

- Stachońka wypędzi ich bez ceregieli, nie bój się.

Rozpoczęli przy kartach rozmówkę o chromych. Władek oświecał kolegę, dlaczego co czwarty góral utyka na nogę:

- Bo każdy parobek w młodości u nas pracuje przy drzewie i każdy prawie zatnie się siekierą w nogę. Albo w lesie, albo w tartaku, albo w chałupie. Tyle tu jest z drzewem do roboty, że każdy chłop musi mieć znak od topora. Co wart jest ułan, który z konia nie zleciał? Ojciec ciągle mi mówił, a musisz wiedzieć, że miał pół małego palca od ręki odrąbane:

„Uważaj na siekiere, bo to żywe stworzenie. Żebyś się broń Boże, nie skaleczył. Bo ja mam na ręce znak od rąbanicy. Mój ojciec, a twój dziadek, wbił sobie siekiere w stopę i dwa palce odciął. Jego zaś ojciec przez całe życie chodził kulawy, tak wrębał sobie żelazo w kostkę". A nasza Agnieszka ma dziurę w pięcie od ostrza siekiery na jeden palec szeroką. My ludzie lasu i znaki od tego nosimy.

Posłyszeli ulewę, zacinającą w okno, zaczęli kłać na deszcz, ile wlało. Juraszek zaraził się widocznie od Stachonia, bo znów zaczął głądzić. - Dlaczego u nas ciągle leje? Posłuchaj. Po niebie idą chmury lekkie i ciężkie. Ciężkie są naładowane wodą, więc wiszą nisko; idą dolnym niebem. A u nas są góry wysokie. Co idzie chmura ciężka, to utknie o wierch. Rozpruje się i wszystko się z niej wylewa jak z rozbitego cebrzyka.

Ledwo pozbyto się obu koślawców. Energiczna Stachoniowa bez słowa zaczęła rozścielać oba łóżka, dając gościom do poznania, że już najwyższy czas zabrać się do domu. Gospodarz odprowadził ich gościnnie na dwór; po dłuższej chwili wrócił do izby, strzepując błoto z butów. Podeszedł ku żonie, zapytał półgłosem:

- Julka, masz jakie pieniądze?

Skoczyła jak oparzona.

- Czego chcesz? Pewnie na grzywnę? Nie mam. Napłaciłam się dość.

- Turcula chce pożyczyć od nas dziesiątkę. Odda na pierwszego, jak siostra dostanie pensję.

- Nie mamy pieniędzy. Kupiliśmy przecież cielę, powiedz jej. Co tam będziemy mieli? Z piętnaście złotych wszystkiego. Jak jej pożyczymy, baba rozgada, że na setkach leżymy. A długu i tak nie odda. Nie znasz Turculi? Powiedz, że nie ma.

Wyszedł z odmowną odpowiedzią, zgryziony, kwaśny. Stachoniowa aż zesłabła ze złości i położyła się do łóżka. Długo nie mogła się uspokoić; gniewała ją bezczelność tej baby, pożyczającej drobne sumy na prawo i lewo i obmawiającej wszystkich bez wyjątku. Wielu udzielało jej pożyczek, przeważnie bezzwrotnych, z obawy przed jej językiem. Był to bowiem najjadowitszy pysk w całej parafii.

- Nie wstydy się od nas dziesiątkę pożyczać! Od dziadów! Myśli, że się jej boimy. A i tak psy na nas wieszają. Czy jej dasz tę dziesiątkę, czy nie, i tak gęby jej nie zatkaś.

Długo w noc Jasiek słyszał w drugiej izbie piskliwy, choć przytłumiony jazgot zdenerwowanej gospodyni. Mąż jej, zawodowy gaduła, wyjątkowo milczał.

Ostatniej kwietniowej niedzieli Władek drapał się z Jaśkiem na Głuchaczki. Wyszli wczesnym rankiem. Dzień wstał ponury. Później zrobiło się okropnie. Wiatr trząsał drzewami,

gdzieś w dali łamały się korony jodeł, górą wichura zawiewała deszczem, pomieszany ze śniegiem. - Ktoś powiesił się na Babiej Górze - mruczał Juraszek.

Agnieszkę właśnie bolały zęby. Ukazała się im skrzywiona, zła, z twarzą podwiązaną czerwoną szmatą. Wyglądała jak posąg boleści. Niosła przed sobą putnię z wodą, w której pływały resztki ziemniaków, zacierki i liście z kapusty. Oburącz trzymała putnię, pochylona w przód. Bose nogi odsłaniały sińce i skaleczenia na łydkach, potężne żyłaki oraz brud na piętach. Nie przemówiła do nich, póki nie napiła bydląt. Wróciła. Zamknęła na skobel drzwi od stajni, huštała putnią na wszystkie strony, próbowała się uśmiechnąć. Spod czerwonej chustki wydobyło się lekkie skrzywienie ust, oczy błysnęły przyjaźniej.

- Cóż to, Agnieszka, znowu ci spuchła gęba?

Machnęła ręką w odpowiedzi bratu. Już przyzwyczaiła się do tego bólu. Chmury rozstawiały po niebie swoje ruchome, krótkotrwałe namioty. Wiatr zelżał nieco. Deszcz wisiał tuż, tuż. Ale nie spadł. Zjedli obiad.

- Chodźmy postrzelać trochę do lasu - zaproponował Władek.

Pomaszerowali w przygnębiający ziąb. Kropili w zające raz po raz, jakby się znaleźli na bepańskim terenie. Uśmiechnęło się do nich szczęście. Przynieśli do domu cztery szaraki; trzy z nich były zasługą Jaśka. Miał bystrzejsze oko od Władka i szybką decyzję w strzale. Oprawili zdobycz zaraz, skórki dali Agnieszce do wysuszenia. Natarła je od wnętrza popiołem, wywinęła włosom do środka, rozciągnęła na widelkach z patyków i położyła za framugą pieca. - Niech się suszą. - Dwa zające zostawili Agnieszce, dwa zabrali ze sobą.

- Stachońka zrobi nam pieczeń w tygodniu. My także możemy jeść mięso. Nie tylko dyrektor tartaku.

Stachoń odprawiał właśnie u siebie kilkusobowe zebranie, jak zwykle w niedzielę. „Oho, znowu wiec mamy, niech to szlag trafi” - kłął Jasiak swojego gospodarza w duchu. Stachoń miał na nosie okulary; czynił to zawsze, ilekroć czytał gazetę. W niedzielę przychodził do wsi tygodnik ludowy z Krakowa. Prenumerował go Wojnar, ale niezmiennym obyczajem od wielu miesięcy pożyczzał sobie od niego wieczorem czasopismo Stachoń.

- Wojnar dostał znowu wezwanie do Żywca - szepnął ktoś przy stole.

- Które to już w tym miesiącu?

Wojnar był popularną postacią w Jeleśni. Przed rokiem założył miejscowe koło „Wici”, skupiając koło siebie młodzież ludową. „Wici” rozwinęły się od razu w najruchliwszą placówkę społeczną w okolicy i od razu otoczone zostały czułą opieką miarodajnych czynników. Proboszcz co niedziela grzmiał z ambony przeciw bolszewikom chłopskim, którzy czytają gazetę podczas uroczystej sumy w kościele albo słuchają odczytu o

spółdzielczości.

Stachoń był cichym rywalem Wojnara; gdzież mu się było otwarcie z nim mierzyć? Miał za złe tamtemu, że był zbyt ugodowy, podczas gdy on sam mienił się z dumą radykalnym. - Tak jakby on nie siedział od was częściej w kryminale! - zauważał złośliwie Jasiek, gdy jego gospodarz konfrontował swoje poglądy polityczne z Wojnarowymi.

Większość mieszkańców Jeleśni opowiadała się czynniej lub bierniej za programem ludowym. Wierzono zresztą w najrozmaitsze odcienie tej ludowości. Jedni mówili, że porządek nastanie dopiero wtedy, kiedy Witos wyrzuci z rządu wszystkich ministrów w krawatach i sam zacznie rządzić. Inni znów, że jak chłopstwo z kosami i siekierami powyrzyna jaśnie panów, wtedy będzie sprawiedliwa Polska. Jeszcze inni: zgoda zapanuje na wsi wtedy, gdy wojewodą w Krakowie będzie autentyczny chłop, najlepiej góral. Bo taki tylko może zrozumieć potrzeby ludu wiejskiego.

- Chłop musi wyznawać chłopską politykę - ujmował to lapidarnie Stachoń. - Wojnar jest zielony, ja jestem czerwony - wywodził chełpliwie. - Ale my obaj chłopsy ludzie. I razem idziemy do Polski ludowej. Chłopskiej.

Szli do Polski ludowej, chłopskiej, ale na razie doszli do kryminału. Stachonia zamknięto w areszcie żywieckim wskutek dwóch doniesień policyjnych. Pierwsze zarzucało mu, że któregoś tam niedzieli urządził u siebie nielegalne zebranie, połączone z czytelnią, drugie zaś dotyczyło nieporządków gospodarskich; pies Stachoniów gonił w nocy bez kagańca. - Wszystko dlatego, że nie pożyczyłem Turculi dziesięciu złotych - biadał chłop. To jasne; naraził się wszechwładnej plotkarce i denuncjatorce. Siostra jej służyła u dyrektora tartaku, w opinii wszystkich mieszkańców - starościńskiego szpiega. Gdy Stachoń wtajemniczył w swą przygodę Wojnara, ten nazwał to ordynarnym szantażem. Niemniej „czerwonego” ludowca nie było przez parę dni w domu. Jasiek z Władkiem błogosławili ten czas, albowiem zasypiali o wiele wcześniej, pozbawieni interesujących wykładów politycznych.

- My jesteśmy - mówił Juraszek - jak ceber z pomyjami, do którego Stachoń leje swoje gadanie. Co mnie to wszystko obchodzi? Po pracy chcę się trochę rozerwać, papierosa zapalić, pośmiać się z dziewczuchami, napić się wódki albo piwa, połupać w karty. Ale w politykę się bawić? Jeszczem nie zgłupiał.

Któregoś popołudnia gospodyni pocieszyła młodzieńców:

- Już jutro przyjdzie.

Pociągała nosem, chlipiąc, co miało oznaczać żal z powodu poświęcenia się męża i nieproduktywności jego idealnej ofiary. Wnet jednak wybiegła, zaalarmowana krzykiem

jedenastoletniego syna, który pasł bydło opodal. Zaraz zaczęła głośno psykać i hukać pod chałupą, aby odpędzić ptaka-drapieżnika. Czarna kania, postrach gospodyń, Dolatywała niespokojnie nad chałupami jęcząc żałośnie. Kury z przerażeniem zmykały pod okna mieszkalne, słysząc zawroźnienie swego prześladowcy.

Trzeciego maja padał deszcz. Młodzież ze szkoły parami ciągnęła do kościoła, złote hełmy braci Harnęgów błyskały pod chmurnym niebem. W gali strażackiej obchodzono dzień święta narodowego. Cała Jeleśnia wystawiła na pokaz swój świąteczny patriotyzm. Z każdego stryżka powiewała ojczyzna. Chór dziewcząt piskliwie intonował hymn państwowy w domu parafialnym. Policjanci przechadzali się odęci, ważni. Wójt Franczak, uśmiechnięty, lecz urzędowo dostojny. Zespół muzyczny Chwistków z Koszarawy rozdrabniał od rana w remizie zapas swych szczupłych umiejętności. Po południu przyjechała orkiestra dęta z Żywca, napęliła rynek uroczystą wrzawą; wszyscy byli olśnieni i zachwyceni. Władek z Jaśkiem wybierali się od wczoraj na Głuchaczki, lecz wobec słoty zrezygnowali z wycieczki.

- Co będziemy mokli jak głupki? Agnieszkę będą na pewno zęby bolały - przepowiadał Jasiak z dużą dozą prawdopodobieństwa. - Idę na zabawę straży pożarnej do Habera. A ty?

- Ja idę na karty.

- Uważaj Majchrowiczowi na palce, bo oszukuje w grze.

Po obiedzie deszcz zelżał, obaj młodzieńcy wynieśli się z domu. Ledwie wstąpili w sień Haberowej karczmy, wpadli w kotłowisko muzyki. Młodzież roznosiła temperamentem obszerną izbę; buty parobków, zda się, ciosały podłogę na wióry. Niepohamowana żądza uciechy kipiała w ludziach. Unosiła się nad nimi woń gnoju, kapuścianej kwaśnicy, potu oraz świeżo zżętej trawy. Jedyna to chwila, w której mogli oderwać się od obór, od chałup, od lasu i odetchnąć dozwolonym zgiełkiem użycia. Lekarz, proboszcz, nadleśniczy, wójt, naczelnik poczty, przodownik poszli już, gmin używał więc sobie bez ograniczeń.

Znano tu namiętność taneczną Jaśka Dziury. Za hulanie dałby się posiekać. Niewysoki, szczupły, zgrabny, silny, czuł się doskonale w tańcu. Dziewki sunęły ku niemu na przemiany, jedna przez drugą. Oho, jest i Walerka; gdzież by jej brakło? Podeszła do niego, nieprzyjemna, natrętna, tłusta, zgrzana, brudna. Nieźle tańczyła. Ręce miała wilgotne, bluzkę mokrą pod pachami, krucze włosy wyglądały jak przyklepione do czoła. Owiewała ją ostra, cierpka woń potu.

- Zatańczysz ze mną, Jasiak?

- Poszukam sobie innej - uśmiechnął się beczelnie, pozostawiając ją na środku.

Przewinał się pod ścianami z pięcioma czy sześcioma: nie czuł zmęczenia.

- Chodź się napić, Jasiak - wołał go jakiś krepki parobek spod drzwi.

- Wolę słuchać muzyki - potoczył uśmiechniętymi oczyma po dziewczętach. Czekają na jego wybór. Nie pojął żadnej w tan. Ujawszy się pod biodra, zaczął podśpiewywać:

*Idzie woda, idzie, drobny piasek niesie,*

*Czekaj mnie, dziewczyno, w smreczynowym lesie.*

Rzucił parę złotych muzykantom. Zawiedli gęstą, huczną melodię.

*W zielonym gaiku gołąbeczek siedział,*

*Kochamy się, dziewczę, nie będzie nikt wiedział.*

Dojrzał pucułowatą gębę Walerki; błysnął ku niej oczami i uśmiechem, włożył ręce w kieszenie i huknął:

*Nie płacz, frajereczko, nie płacze daremnie,*

*będziesz mieć innego, będziesz się śmiać ze mnie.*

Był w dobrym humorze. Tak zawsze nastrajała go muzyka. Wracił w noc ciepłą, duszną od wilgoci parującego z ziemi opadu. W oknach u Wojnara (mieszkał na wzgórzu) świeciło się światło.

„Pewnie czyta gazetę albo radzi z chłopami”.

Wojnara miała najbardziej na oku policja jeleśniańska. Niemało miało z nim roboty starostwo żywieckie. Żadną miarą nie mogli go zgnębić ani wójt Franczak, ani przodownik Kaczmarczyk, ani dyrektor tartaku, piastujący urząd prezesa prorządowej sanacyjnej partii, ani leśniczy, samotny odludek, starej daty narodowiec, pieniący się wśród lasu na Żydów i wywrotowców, co buntują lud. Jasiak poznał przywódcę jeleśniańskich ludowców na zebraniu chłopskim u niego w domu, dokąd wybrał się ze Stachoniem. Gospodarz zrobił na młodzieńcu duże wrażenie. Przede wszystkim, w przeciwieństwie do Stachonia, nie był gadułą. Oczy niebieskie, spokojne, głos niski, mowa opanowana, wyrażał się poprawnie, inteligentnie. Był dawniej jednym z bogatszych górali, obecnie żył resztką zamożności, gdyż zniszczyły go policyjne i starościńskie kary. Przecież nie dano mu rady. Miał szesnaście doniesień do starostwa o to, że urządził w domu nielegalne zebrania, że robił u siebie wspólną czytelnię, że organizował pochód na zjazd młodzieży kół wiejskich do Żywca, nie licząc złośliwości policyjnych w rodzaju nie nakrytej studni czy wałęsającego się nocą psa. Ogółem, jak skrupulatnie naliczył, przesiedział w areszcie trzydzieści osiem dni, poza

grzywnami na łączną sumę osiemset siedemdziesiąt pięć złotych.

Ale nie tylko Wojnar nie spał w tę noc niedzielną. Czuwał także i Stachoń. Siedział przy stole, z okularami na nosie, studiując pożyczoną gazetę. Nigdy nie usnął, dopóki nie przeczytał jej całej, od deski do deski. Jutro rano trzeba ją oddać. I znów cały tydzień będzie bez lektury. Stary chciał częstować Jaśka nowinami, ale ten wymówił się zmęczeniem.

- Ledwo mnie nogi wloką - łągał, bo mógłby jeszcze na muzykę do Przyborowa lecieć. - Już będzie północ. A trzeba wstać o szóstej.

Spod ściany dochodziło miarowe, chrobotliwe chrapanie Juraszka.

Przy studni na Głuchaczkach spotkała się Mitanka z Agnieszka. Spojrzały obie na niebo czyściutkie, bez chmurki. Mitanka zaczęła trzaskać na palcach; taki miała zwyczaj.

- Chwała Bogu, ładnie się zrobiło i moje gołębie odetchną. Jastrzębie poszły w górę do Czatoży, do tokowisk głuszców. Będą sobie teraz tam polowały.

- I kury moje też odetchną - przyświadczyła Agnieszka - bo kanie idą wzdłuż wody ku wierchom. Będzie ciepło.

Gil głośno gwizdał w buczynie. Drapieżne ptaki powylatywały na żer. Na łąkach czatował sokół-pustułka na ulubioną zdobycz: koniki polne. Krogulec uwijał się wśród głazów, wypatrując jaszczurek między kamieniami w gorącym słońcu. Orlica krzykliwa wlatywała co chwila na jodłę, gdzie w wyniosłej koronie sposobiła gniazdo, w którym za tydzień miała złożyć jaja.

Był piękny dzień od rana. Przez jeleśniański rynek przejechał wozem w drodze na stację kolejową sołtys korbielowski, dumnie rozparty na siedzeniu, ubrany w strój górala żywieckiego. Aż oczy ćmił kolorami. Jechał jak pan, nie jak chłop, odwoził go parobek. Dzieci powyłaziły na drogę, poniekąd ze starszych wychylił głowę od pracy, aby popatrzeć, jak jedzie na kolej, pewnie w sprawach urzędowych, głowa sąsiedniej gromady.

Na wzgórzu, poniżej swej chałupy, okopywał ziemniaki Wojnar z żoną i córką. Godzinę temu wyszedł im pomóc z motyką sąsiad Jędras. Posłyszawszy turkot wozu wyprostowali wszyscy czworo zgięte krzyże, otarli dłońmi pot z czoła i osłoniwszy rękami oczy, patrzyli pod słońce na drogę.

- Oho, sołtys z Korbielowa jedzie - poznał go od razu Jędras. - Ubrał się na ostatni guzik. Jaki blask od niego bije!

- Pewnie znowu ma jakiś zjazd góralski w mieście - domyślił się Wojnar. - Ten dopiero wygrał na loterii interes z góralszczyzną! Na gruncie nic nie robi od lat, najmuje sobie chłopów, a sam jeździ po kraju jako delegat górali żywieckich.

Pochylił się w brudzie i podjął przerwana pracę. Ale dalej ciągnął swoją mowę:

- On tam będzie za nas żarł i pił, będzie obiecywał w naszym imieniu niestworzone rzeczy. Będzie się podlizywał, płaszczył, zgodę zawierał z panami. Ile to kosztuje? Takie zjazdy, przyjęcia, zarcie, pijaństwo, święta gór? Zakupić mydła, soli, nafty i rozdać ludziom; to będzie prawdziwe święto dla nas.

- To paka grandziarzy, którzy się dopchali do żłobu - wyrzekął Jędras, waląc rydłem w zbitą, gliniastą ziemię. - Rany boskie, chyba kilofa trzeba by do tej ziemi, nie kopaczki, takie to twarde.

- Na nich trzeba by także kilofa - zaśmiał się Wojnar. - Na tych złodziei i gałganów.

- Cicho bądźcie! - mitygowała ich kobieta. - Jakby tak Kaczmarczyk wylażł gdzie zza między, mielibyście się z pyszna!

- Sołtys i Kaczmarczyk to jedna ręka. Dodaj jeszcze do tej kupy wójta Franczaka, pisarza Świątkiewicza, dyrektora tartaku, starostę z Żywca, komendanta policji powiatowej. Kogo jeszcze? Witka-Cholerę ze Sporysza, sanatora od świń, sołtysa Kamienieckiego i Witkowskiego z Przyborowa. Cała banda gotowa.

Tak to w słoneczny, wiosenny ranek pod nieświadomość policji i sanacji jeleśniańskiej rosły nastroje opozycyjne przy okopywaniu ziemniaków. Chłopstwo cierpliwie zginało plecy, przerzucając motykami po wielekroć zruszaną ziemię naokoło ziemniaczanych naci, ale w nadziejach i w marzeniach maszerowało do Polski ludowej, chłopskiej.

W majowy zmierzch - słońce świeciło bez przerwy od rana - Jasiak wracał z trafiki od Bleisena. Pasik, największy kupiec w Jeleśni, zamykał właśnie sklep. Na rynku koło studni terkotała niezmordowana Turcula. Mełła najnowsze wiadomości: że Schlechtinger, kupiec drzewny z Korbielowa, zbankrutował i siedzi w więzieniu za umyślne bankructwo.

- Nie będzie siedział długo. Podpłaci, gdzie trzeba, i zwolnią go za kaucją do rozprawy. A później wyjedzie za granicę. I nie zobaczą go już w sądzie. Mało to tysięcy zarobił tamtego roku na drzewie, co wysyłał do Anglii?

Opowiadała dalej, ręce włożywszy pod fartuch, że straż graniczna skonfiskowała u Szywały w Sopotni przemyt z Czech. Podobno cały wóz tym wyładowali; samych jedwabnych pończoch miało być kilkadziesiąt kilo.

- Idźcie, idźcie! Chyba z rok musiałby zbierać Szywała ten szmugiel - korygowali przesadną wiadomość znający się na rzeczy. - Albo musiało ich z dziesięciu iść za granicę, żeby to aż wóz wypełniło!

Następna wiadomość była pikantniejsza: że do nauczycielki z Jeleśni przyjeżdża jakiś



narzeczony, akademik z Krakowa. Plotkarka nachylała się przy tym do ucha bab i z uśmiechem dodawała: - Który to już będzie z rzędu narzeczony?

Towarzyszki podśmiewały się grubo, bijąc się rękami po biodrach. - My już takich widzieliśmy, co przyjeżdżali tylko na nocleg do panienki, a później ślad po nich ginął.

- Jak było z nauczycielką z Węgierskiej Górki? Uczyła w naszej szkole przez rok. W zimie jeździł do niej niby to na narty jakiś młodzik; mówiła, że to krewny. Gdy śnieg zniknął, krewny przestał przyjeżdżać, a pani nauczycielka w ciąży. Musiała do Krakowa jeździć, aby ją doktorzy wyskrobali. I teraz ciągle choruje po tym.

Ostatnią wiadomość rezerwowała Turcula tylko dla zaufanych: wójt Franczak ma mieć rozprawę w starostwie o jakieś pieniądze, z których się nie wyliczył. Podobno z Krakowa przyjechała komisja na dochodzenie w tej sprawie.

Ksiądz proboszcz siedząc na plebanii wypatrywał przez okno, czy kwiatki rozwijają się w ogrodzie. Później wyszedł na ganek i oglądał troskliwie pędy nowo szczepionej róży. Za chwilę zje kolację; lekarz zalecił mu jedzenie wieczorem najmniej na dwie godziny przed snem. Posłucha wiadomości radiowych, a następnie, wdziawszy lekki płaszcz, pójdzie na kuracyjny spacer wieczorny wzdłuż siatki drucianej. Wychodził zawsze uzbrojony w laskę; bowiem stale w ciemności lekkomyślni przechodnie, korzystając z mroku i zarośli, zanieczyszczali ścieżkę pod ogrodową siatką, nic sobie nie robiąc z tego, że ogród należy do duchownej osoby. Po przechadzce jeszcze parę partyjek preferansa z dyrektorem szkoły.

Z hukiem przejechało auto, przewiało kurzem. Pewnie wali do nadleśnictwa w Korbielowie. Ktoś z zarządu dóbr arcyksiążęcych wybiera się na brydża do nadleśniczego i jego pięknej, eleganckiej żony. Albo dyrektor fabryki dywanów z Żywca jedzie na karty do swego przyjaciela, emerytowanego prokuratora, osiadłego we własnej przytulnej willi. Albo po prostu nadkomisarz z Bielska jedzie na inspekcję do placówki granicznej.

Pod pustą karczmą Habera siedzi na ławie kilku chłopów, opowiadając sobie stare historyjki. U Króla piszcza jak zwykle dzieci. Nauczycielka nie może wyznać się wśród nich. „Iluż was jest właściwie w domu, Królewiczów?” - pyta ich niemal codziennie, zadowolona z własnego dowcipu. Zasmarkane dzieci przez cały dzień biją się wzajemnie. W przerwach między bitką pospólną łoś je pasem rodzony ojciec, wieczny pijanica.

Mimo rosnącego mroku Srokówna, z opuchniętym okiem siedząc przy otwartym oknie, stuka na swej nieśmiertelnej maszynie do szycia. Ten instrument, importowany przez jej ojca własnoręcznie z Ameryki, utrzymywał trzy siostry Srokówny oraz ich sparaliżowaną ciotkę.

Od wodopaju wlokły się leniwie krowy. Słońce, które do tej chwili jeszcze trzymało

się na górach, zagasło nagle od jednego razu, jakby zdmuchnięte. Dopiero teraz kraj głęboko pociemniał, poznawszy, że już nie ma ratunku przed napierającym królestwem nocy. Jakieś dziecko biegło drogą z kromką chleba w ręce. Niski wiejski wieczór spadał wprost na chłopskie strzechy. Psy uganiały swobodnie po opłotkach.

Tego wieczora przyszedł w odwiedziny do Stachonia Błaszczyk. Wyglądał na zmartwionego.

- Co ci dolega, Michał? - spytał troskliwie gospodarz. Zdjął okulary, dziś bowiem dorwał się do jakiejś nadprogramowej gazetki od Wojnara.

- A! - zatchnęło gościa ze złości. Machnął ręką z goryczą i splunął na podłogę z pogardliwą pasją, a zmiarkowawszy, że gospodyni kręci się koło blachy, roztarł hałaśliwie plwocinę podeszwą. - Miałem przejście z Kaczmarczykiem.

- Do ciebie się także dobiera?

- Pojechałem dziś do miasta po gonty Walczakowi. Jestem już za stacją, mijam szkołę, a tu Kaczmarczyk wyłazi zza węgła, kiwa na mnie ręką: „Halo, Błaszczyk, poczekajcie”. Stałem. Myślałem, że może chce się zabrać ze mną do Żywca. On dochodzi do mnie i pyta się, czy mam książkę na konie. Mówię: „Nie mam, gdzie będę książkę nosił ze sobą, zgubię jeszcze.” On powiada: „To będziecie płacić”. Proszę go, tłumaczę mu, kto u nas kiedy książkę na konia ze sobą nosi? Ale teraz już, jak będę wyjeżdżał, będę książkę zabierał. On nic, tylko pisze protokół. Zebrała mnie taka wściekłość, żebym się wnet porwał na niego i kark mu do ziemi przydusił.

- Nie rób głupstw, Michał - przestrzegał go Stachoń. - Tylko się nie denerwować. Bo to się może źle skończyć.

- Nie mogliście żony posłać, Błaszczyk? - wtrącił się Jasiek. - Z kwaterką masła albo z parą kurcząt do pani przodownikowej? Skręciłoby się jakoś łeb protokołowi.

- Ja mojej baby do Kaczmarczyka nie pošlę. Po pierwsze, nie na to mam żonę, aby ją po policjantach włóczyć. Po drugie, czy ja masło ze studni dobywam w konewce, żebym mógł przekupywać przodownika? Skąd wezmę? A po trzecie: Kaczmarczyk jest na moją kobietę zły, bo się przystawiał do niej i pokłócili się. Ona obiecała mu zęby wybić, jak jej nie da spokoju. I dał spokój. Ale teraz, cholera, ma oko na mnie.

- No - Stachoń zatarł ręce z emocji - to czeka cię maleńka pigułka z Żywca. Myślę, że dwa dni aresztu albo dwie dziesiątki grzywny. Ale my ich przetrzymamy. Idziemy do Polski ludowej.

- Dobrze, ale kiedy nastanie ta Polska ludowa? Do tego czasu puszczą nas z torbami.

- Nie bój się. Wszystko do czasu - pokazał palcem na gazetę. Palec raz po raz dziobie papier, szeleszcząc złowróźnie, o mało dziury nie przedrze. - U nas chłop na wsi może sobie pozwolić zaledwie parę razy do roku na kupno cukru, a tymczasem świnie w Anglii karmi się polskim cukrem.

- Co opowiadasz!

- Minister w Warszawie powiedział, że handel z Anglią nie pójdzie, jak jej nie sprzedamy za bezcen naszego cukru. I dlatego angielskie świnie żrą polski cukier. Aby handel szedł. A my zostaliśmy bez cukru.

- Postępują z narodem jak ze stadem głupich baranów! - dziwił się oburzony Błaszczuk.

- Albo pomyśl sobie: przedtem każdy chłop kupował sól bydłą do solenia potraw w domu. Żeby było taniej. Nie podobało się to rządowi. Skazili sól bydłą jakąś farbą zieloną. Po co? Żeby chłop nie mógł za tanie pieniądze posolić ziemniaków w garnku. A my nic. Znosimy jedno po drugim. Robią z nami, co im się podoba. Dlaczego?

- Ja wiem dlaczego?

- Bośmy głupi.

Rozcapierzył się nad gazetą. Zegar wybił dziesiątą. To zmitygowało Stachonia. Słuchał uważnie, ile godzin wybije, po czym złożył we czworo gazetę, schował za obraz i powtórzył:

- Bośmy głupi.

Księżyc wyskoczył z lasu. Pierzaste obłoczki szybowały po ciemnoszafirowym firmamencie. Pachniały mięty na moczarze. Błaszczuk ciągnął wolno do domu, zmęczony całodzienną robotą, przybity pesymistycznym kazaniem. Jeszcze przed zaśnięciem powtarzał sobie krakanie sąsiada:

- Bośmy głupi.

Mięty uparcie pachniały na moczarach.

Podczas kiedy maj był za suchy, w czerwcu spadły obfite deszcze. Znowu źle. Na odwrót, niż być powinno. Ulewa przemywała niebo ukośnymi strugami. Ochlapły, zmokły krajobraz zbielewał od deszczu. Tak cieknie siąpiawica już ósmy dzień. Dwa dni słonecznej pogody, tydzień deszczu.

Od rana szły czarne chmury z zachodu, niosąc nieuchronną słotę. W Jeleśni zerwał się jękliwy płacz sygnaturki. Ludzie, słysząc dzwonięcie, zegnali się nabożnie i odmawiali Anioł Pański na intencję odwrócenia deszczu. Jeden Majchrowicz, młody żonkoś, któremu karta

szła zadziwiająco (był po prostu oszustem, grał znaczonymi kartami), śmielszy od wszystkich, wyglądał przez okno na chmury, splunął soczyscie i zaklął:

- Psiakrew, żyto mi zgnije.

Przez cały czerwiec (który górale nazywają Wielkim Majem) tartak jeleśniański stał, piły były w naprawie. Wszystkich jednak robotników zatrudniono nadal przy porządkowaniu kłocowiska, przy pracy na rampie kolejowej, przy ładowaniu desek: połowa załogi była zajęta w lesie ścinaniem i dowozem drzewa. Przedsiębiorstwo przygotowywało się do kampanii jesiennej. Cięto i zwożono nowe sztuki na plac tartaczny. Przez tydzień Jasiak z Władkiem walili jodły w korbiewskim odcinku. Warunki były ciężkie, choć płaca lepsza. Za to z wiktem i spaniem nieporęcznie; do domu mieli prawie milę. Drzewa z hukiem słały się pokotem na zboczach, skąd spychano je w dolinę potoku, stamtąd zaś ryzowano ku drodze, gdzie czekali woźnice. Z dala od ogniska niósł się śpiew drwali.

Deszcz mżył nieustannie. Jaskółki polatywały nisko wzdłuż drogi, zszywając powietrze gwałtownymi ściegami. Ten smutny, rozchlapany dzień wstał i kończył się pod znakiem pieśni. Pod obejściem Stachoniowym, na tyłach domu Jędrasa, pulchna Kaśka ciągnęła wodę ze studni, podnosząc pod ołowiane niebo piskliwą melodię:

*Poniechał mnie jeden, ja ich mam dziewięciu,  
W Przyborowie czterech, a w Jeleśni pięciu.*

Mimo tak szumnej reklamy nikt nie zwrócił uwagi na zalotne, śpiewające dziewczę. Postąpiła chwilę przy studni, ciapkła po kałuży bosymi stopami; nikt się nie zgłosił na jej zew. Nawet najzaciętsze plotkarki siedziały kamieniem w domu. Zatknęła kraj spódnicy wysoko za pas, odsłaniając kolana grube jak konwie. I tak chlapała się z wiadrami po błocie do domu.

Ale nie na śpiewaniu Kaśki miał się skończyć ponury czerwcowy dzień. Przy kolacji bowiem Stachoń, rozdrażniony długotrwałą słotą, zaczął swoją starą piosenkę:

- Od roku mamy we wsi koło „Wici”. Prezesem został Wojnar. Pytam się, co zrobiły „Wici”? Prawda, był kurs hodowli świń. I kurs przysposobienia rolniczego. Jak gnojówki zakładać. To wszystko.

- Czego wy chcecie? - oburzył się Jasiak na wiecznego malkontenta. - Żeby wam po sto złotych dodawali i zegarek złoty w prezencie? Na kursach uczą rolnika, jak ma rozumnie gospodarować i doskonalić pracę, aby była wydatniejsza, chcą wyrwać chłopca z ciemnoty, w której dotąd tkwi. Już nie mówmy o tym, brzuch mnie boli z tego biadolenia.

Usnęli. Tak zawsze w tej chałupie kończył się dzień stałą porcją Stachoniowych narzekań. Jasiak znał na pamięć jego styl, jego ulubione chwytły, pytania, odpowiedzi.

Pewnego razu, spotkawszy Wojnara, zgadał się z nim o swoim gospodarzu. Zażartował:

- No dobrze, idziemy do Polski ludowej. Ale broń mnie Boże, abym miał iść w towarzystwie Stachonia. Zanim dojdę, zamęczy mnie na śmierć swoimi żalami.

Wojnar nie powiedział nic, tylko uśmiechnął się lekko, na pół dobrotliwie, na pół smutnie. O, to mądry człowiek; gdy się uśmiechnie, nie wiadomo, co myśli.

W niedzielę przy pięknym słońcu pomaszerował Władek z Jaśkiem na Głuchaczki. Agnieszkę znowu bolały zęby. Przewiązała sobie twarz chustką, błyskała złym spojrzeniem spoza zaczerwienionych powiek, oschła, niedotykana; czarownica.

- Zatrulałam je octem. Nie pomaga.

Pod blachą buzował morowy ogień. Kocioł, cały osmolony, stał wśród garnków, w których kipiała woda. Agnieszka podniosła pokrywkę, tuman pary wzniósł się znad wrzątku. Odsunęła kocioł, płomienie buchnęły z dziury; nakryła płomień kólkami, na kólkach znowu ustawiła gary.

- Na cały tydzień chyba to gotowanie?

- Mam to czas w dzień powszedni koło garnków stać? - syknęła ze złością. - Roboty tyle, że człowiek ledwo na noc wydoli do łóżka. Zgotuję sobie na parę dni. Ciepło na polu, to się i zimne przy robocie zje. A trzeba się uwijać na gwałt, póki pogoda. Na samo siano pod Koszarzyskiem zejdzie dwa dni.

- Miałaś się wydać po Zielonych Świątach. Bronek miał zrobić z sianem.

- Jak mógł kosić, kiedy cały tydzień była słota?

Położyli się obaj w wysokiej trawie wyrębu. Spoglądali na białe, pierzaste chmurki, płynące wolno po głębokim błękitcie.

- Jak długo będzie ładnie? - pyta Władek.

- Dopóki deszcz nie spadnie.

- Wypluj to słowo, bo urzekniesz pogodę.

Od tygodnia bowiem pracowali na kłocowisku tartacznym pod gołym niebem. A nie jest przyjemnie moknąć przy robocie, suszyć później ubranie na piecu i wysłuchiwać, jak gospodarz nabija im głowy polityką.

Którejś niedzieli poznał Jasiek na zabawie w Przyborowie Zośkę Masłowską, dziewczynę z Koszarawy. Tańczyli ze sobą dwukrotnie, przypadli sobie do gustu. Od razu odczuła w nim instynktownie niepośledniego tancerza. I nie zawiodła się.

- Jak ci na imię?

- Zośka.

- A mnie Jasiek. Nie jesteś zmęczona?

- Ani trochę.

- Zatańczmy jeszcze.

Szła w tańcu zgrabnie, lekko, z wdziękiem. Prowadził ją zdecydowanie a miękko. Czowała się dobrze w jego ramionach.

- Tańczyłabym tak całą noc - zwierzała mu się w krzykliwym zgiełku orkiestry.

- Ja także. Nie jadłbym, a tańczyłbym.

Odpowiedziała odmownie kilku parobkom, napierającym się tańca. Była szczęśliwa przy swoim chłopcu - tak go sobie nazwała w myśli od pierwszego razu. Wzbudziło to zazdrość i gniew u poszkodowanych. Nie ma większej obrazy na wiejskiej zabawie, niż gdy dziewczucha odmówi tańca kawalerowi.

- Zatańcz z którymś z nich - proponował jej ugodowo Jasiak. - Dla świętego spokoju.

- Po co? Będą mi po nogach deptali. Ja tańczę dla własnej przyjemności - rysy jej ścięły się wyrazem uporu. - Tańczyłam z paroma, jeden trzymał się mnie tak, jakby miał za chwilę utonąć. Mam sińce od niego na rękach. Zatańcz jeszcze ze mną - patrzyła mu w twarz prosząco. Objął ich hałas gromady, gorąco oddechów, dzwonienie śmiechu. Znów utonęli oboje we własnych oczach; oto przyjemny dzień. Parobcy gonili ich wzrokiem rozeźlonym, ironicznym.

- Zośka! - odzywa się Jasiak.

- Co? - dziewczyna podnosi brwi do góry, jakby się czemuś dziwiła. Ale usta ma roześmiane

- Zośka! - powtarza jej młodzieniec nad uchem i śmieje się.

- Co chcesz?

- Nic.

Śmieją się oboje: oto przyjemny dzień. Nie puścił jej z rąk. Wpatrywał się w nią w tańcu. Miała oblicze ściągłe, białe, regularne, jakby rzeźbione w marmurze. Blondynka, średniego wzrostu; podobna w urodzie do Matki Boskiej na obrazie wiszącym pod powalą w domu Agnieszki.

Nagle przerwano upojenie młodych. Ktoś pchnął Jaśka łokciem tak brutalnie, że ten zatoczył się pod ścianę. Przekrwionymi białkami łypnął ku niemu awanturnik jeleśniański, Mrugacz. Jasiak nie zareagował, tańczył dalej. Napastnik nie dał za wygraną. Olbrzymim wzrostem górując nad zbitym kołem tańczących, w płasach zbliżał się do Jaśka. Potężny cios kolana odbił chłopca od partnerki. Mrugacz puścił swą dziewczynę, chwytając Zośkę za łokieć, drugą ręką pchnął Jaśka w pierś.

- Teraz ja sobie trochę potańczę. Marsz stąd, gówniarzu!

Jasiek zbladł. Muzyka ucichła. Pary zaczęły wycofywać się pod ścianę. Zabawa ustawała, przerażając się, jak zwykle, w bójkę.

- Coś powiedział? - Dziura zbliżył się do draba. Rzekłbyś: dziecko u stóp olbrzyma.

- Gówniarzu! - krzyknął tamten i szybko wyrznął pięścią młodzieńca w skroń. Jasiek zachwiał się, drugi cios spadał na niego. Uchylił się przed nim błyskawicznie, oberwał w ucho. Złamany w kolanach i w biodrach, odbił się momentalnie i obu wyciągniętymi rękami pchnął z całej siły przeciwnika w żołądek. Mrugacz przegiał się w tył, załopotał rękami, usta otworzył, jakby chciał złapać oddech, chwycił się za brzuch. Potężne jego ciało zważyło się jak drzewo podcięte siekierą. Jasiek doskoczył do leżącego na podłodze, ugodził raz jeszcze w szczękę i w nos.

Z koła uczestników zabawy wychodził już ku zwycięzcy brat pobitego, nie ustępujący mu we wzroście. Szedł pomścić sławę brata, rozciągniętego bez ruchu na zdeptanych buciorami deskach. Jasiek stał ze wzrokiem utkwionym w przeciwnika. Ten się nie bawił; z gardłowym rykiem rzucił się na chłopca, który w okamgnieniu upadł, nie wiadomo, czy pod naporem zwalistego cielska, czy ze strachu przed nim. Był to jednak podstęp. Padł na ręce i nogi. W następnej sekundzie zadał awanturnikowi cios w brzuch, poprawił wyciągniętą pięścią w skroń, lewym kułakiem palnął na odlew w nos. Mrugacz jęknął, przytknął dłoń do twarzy, już leciał na ziemię. Między palcami pociekła krew.

- Farba idzie - roześmiał się ktoś cynicznie.

Jasiek rozejrzał się kołem po widzach.

- Kto jeszcze na ochotnika?

Nikt nie wystąpił. Pięść Jasia Dziury zrobiła swoje. Nie wyglądał ani trochę na zmęczonego, przybladł tylko mocno. Starszy Mrugacz co chwila dotykał palcami krwawiącego nosa; próbował się podnieść, oddychając ciężko. Jasiek nachylił się nad nim.

- Masz dość, czy jeszcze chcesz się bić? Możemy spróbować się jeszcze raz.

- Odwał się - wycharkał pobity ponurym głosem; sinawo podbiegał mu guz na czole. Obok leżał jego brat bez ruchu, zemdlony. Podniesiono ich obu, ocucono młodszego i odprowadzono do drugiej izby. Parobcy z uznaniem komentowali walkę, chwając Jańskową siłę, sprytną taktykę, szybkość orientacji, moc pięści, trafność ciosu, zgrabność ruchów.

- Ależ walił, co się zowie! Jak w bęben. Aż dudniło.

- Przecież on przy nich jak dziecko! Popatrzcie.

- Ale im dał sosu!

- Jak trzepnął jednego w brzuch, chłop rymnął od razu jak kłoda.

- Do ramienia im sięga, a dał im rady!

- I to takim cwaniakom na całą Jeleśnię!

- Musi być sam cwaniak!

- Sieroty zawsze takie silne do bitki. A on sierota.

Jasiek-Sierota. Zośka stała w kącie pod ścianą, z przerażeniem obserwując walkę. Zgodnie z psychiką swej płci, która zawsze wybiera zwycięzców, tym bardziej przylgnęła do Jaśka. Wydał się jej narzeczonym z marzeń. Odprowadzał ją nocą do Koszarawy. Powietrze było rześkie, czyste jak szkło. Księżyc wisiał, zaczepiony wysoko. Sklepienie niebieskie, wygwieżdżone, oddalało się od ziemi, przez pogodę zyskując na odległości.

- Co powiesz matce, że wracasz tak późno?

- Matka wie, że poszłam z Rolkowymi dziewczętami. One już wyszły przed godziną z zabawy. Kto będzie wiedział, kiedy ja przyszlłam, a kiedy one? Zresztą, co mi tam o to! - machnęła ręką. - Nic mi się nie stanie. Nie pierwszyczna mi chodzić po nocy.

- Nie boisz się?

- Nie. A ty?

- Czego?

- Tego, czego i ja.

- Nigdy nie znałem, co to strach. Od dziecka łąziłem nocą sam po lesie.

Na rozstaju za Przyborowem, gdy minęli ostatnie chałupy, przycisnął ją do siebie i pocałował. Jakby się przestraszyła; zaniemówiła, wlepiwszy weń duże oczy w ciemności. Była blada, jej cienkie nozdrza drżały. Tak wygląda zapewne dziewczyna, którą po raz pierwszy całuje mężczyzna. Powtórzył całus; próbowała się bronić, ale bardzo lekko, bez przekonania. Za trzecim razem ośmieliła się, poznawszy rozkoszny smak tej przygody. I odtąd całował ją co chwila. Z godzinę trwała ich wędrówka do Koszarawy. Dziewczyna nie mieszkała w samej wsi, lecz w górnym przysiółku, zwanym Ciche. Za buczyną na polance tkwiły samotnie chałupa i stodoła jej matki, która tu przed laty przywędrowała z Zawoi. Odprowadził ją na skraj bukowego gaju.

- Kiedy się zobaczymy?

Z ust obojga padło to pytanie. Roześmieli się. Umówił się z nią na niedzielę na zabawę w domu parafialnym w Jeleśni.

- Nie wiadomo, czy proboszcz pozwoli tańczyć - martwiła się. - Jak będzie wikary, pozwoli. On lepszy.

Wracał do domu w doskonałym humorze. Gospodyni długo otwierała mu drzwi; wyszła rozespana, nie mogła znaleźć po ciemku zasuwki od drąga, macała palcami po drzwiach bez skutku. Później znów źle odczepiła skobel. Aż obudził się Stachoń i czujnie



nadstawił uszu. Kobieta mruczała coś pod nosem, czego Jasiek nie mógł zrozumieć. Rozebrał się po omacku i szybko usnął przy boku Władka.

Nazajutrz, jak grom z jasnego nieba, spadła na nich wiadomość o redukcjach w tartaku. Obaj stracili pracę. I tak w dwa dni po wesołej zabawie przyborowskiej Jasiek Dziura przestał pracować na kłocowisku.

- Mówią, że sierota ma szczęście! Psiakrew! - wyrzekął. - A wołają mnie Sierotą.

- Nie bój się - pocieszał go kolega. - Sieroty mają szczęście w bitce, w interesach i w miłości. Ale do ciężkiej pracy nie są stworzeni. Ja także sierota.

- Co robimy?

- Idziemy na Głuchaczki. Tam damy sobie radę. Z takim kompanem jak ty będzie się zarabiało świetnie.

- Na czym?

- Na pańskim drzewie i na szmuglu.

Stachoń na wiadomość o zwolnieniu obu młodzieńców z tartaku rozpoczął od razu wykład o lajdeckich metodach sanacji, po czym jako dobrze poinformowany, zawyrokował:

- Tartak zamknięty jest, żebyście wiedzieli, przez władze skarbowe. Mówią, że oba gatry się zepsuły, że trzeba gdzieś za granicę posyłać po części składowe. Ale to pozór, czyli bujda. Tartak jest winien państwu piętnaście tysięcy za zaległe podatki. Ani mu sanacja nie pomoże, ani protekcje pana starosty, ani łapówki. Znalazł się ktoś sprytniejszy i uczciwszy w Krakowie czy w Warszawie. I on wykrył te świństwa w tartaku.

- Niech ich wszystkich szlag trafi! - klął zawiedziony Jasiek. Poczłapał w błocie do Pasika, kupił papierosów za dwa złote i ćmił w blasku lampy, puszczać chmury w płomień.

Wieczorem przyszedł Jędras. Gospodarz zabrał się do naprawy buta. Usiadł na niskim zydlu, wsadził kopyto.

- Odchodzi mi zelówka, muszę sobie przybić.

Założył na nos okulary i zaczął bić z pasją młotkiem w skórę, aż płomień lampy dygotał. Odpowiednio do siły uderzenia wzmogło się i jego biadanie. Przez otwarte okna wpływał słodki zapach siana, bzykały koniki polne. Jędras opowiadał o Durkowej, której mąż wyemigrował przed laty do Ameryki. Od siedmiu lat nie odzywał się więcej. Aż przed paru dniami buchnęła wieść po Jeleśni, że staremu Durkowi urwało obie ręce w fabryce i że wdowie przyznano odszkodowanie w kwocie dwudziestu tysięcy dolarów. Ta radosna wiadomość, nie wiadomo skąd wyssana, nie potwierdziła się niestety i Durkowa nie otrzymała żadnej informacji o mężu, nie mówiąc już o dolarach.

- Takiego mieć pecha! - z zazdrością westchnął Stachoń. Na drodze skrzypiał zapóźniony wóz, Jędras dudnił coś tam jeszcze. Skończyło się naturalnie na polityce. - Cholera! - zaciął zęby przypadkowy szewc. Zaczął głądzić o jakimś Koniku, synu sklepikarza z Suchej, który został inspektorem w starostwie przez protekcję, bo w legionach służył. Jędras wywdziękzył mu się opowiadką o jakiejś kobiecie, którą sędzia skazał na dwa lata więzienia za to, że ukradła trochę bobu dla dzieci. Obaj zgodzili się w opinii co do Mamuta, nie ukończonego czeladnika piekarskiego, zawikłanego w jakieś oszustwo czy zabójstwo, który teraz wypłynął w Krakowie i robi majątek jako jasnowidz. Taka to sprawiedliwość za sanacji!

- Taka to sprawiedliwość! - krzyknął Jasiek, zirytowany skomleniem nudziarzy, podenerwowany własnym zmartwieniem, i poszedł spać do swojej izby. O parę chałup dalej niezmordowana Turcula terkotała najnowsze, przesadzone wiadomości o niedzielnej bitce na zabawie przyborowskiej. Dzięki tej kobiecie sława Jaśka Dziury wyszła poza jeleśniańskie opłotki. Tylko jedna Walerka od Pasika nie znalazła dobrego słowa dla Jaśka. Taiła ze wstydem dumę, zranioną dotkliwie przez łobuza, który odrzucił jej zaloty, zadając się z wymokła, bladą kozą z Koszarawy albo z tym sopotniańskim straszidłem, co nie ma piersi, a za to dwa powrózki konopne spływające z karku. Przedtem, gdy jeszcze sądziła, że złapie w nim męża, nie mogła się go dość nachwalić przed koleżankami, teraz zmieniła zdanie.

- Jak tylko przejrzałam, co to za gagatek, od razu przestałam z nim chodzić. Kupa dziada: groszem nie śmierdzi, gruntu nie ma, ze świata przyszedł. Ma tylko portki na nogach i to co w portkach - dodawała bez żenady, wywołując uśmiechy towarzystwa. - Dla mnie to za mało. A łeb do góry zadziera, ha, ha! Kto go wie, czym on dawniej się zajmował! Pewnie z jakiego kryminału wylazł! Tylko głowy ludziom po weselach rozbijać umie.

Nastąpił lipiec, po góralsku Świętojański. Tydzień gorącego słońca, po nim parodniówka chłodnej, mokrej słoty.

W deszczu zaprzął Błaszczyk swojego młodego kasztana, wybierając się na jarmark do Suchej. Ledwie wyjechał spomiędzy chałup i wtoczył się na kocie łebki rynku, patrzy: przodownik Kaczmarczyk stoi na drodze i kiwa na niego palcem.

- Halo, Błaszczyk, stańcie no.

Stanął. A ten zaczyna od razu: - Książkę na konia macie?

- Mam.

Chłop sięga do kieszeni za pazuchę, ale policjant macha ręką, że nie trzeba, chciał go tylko złapać. A nuż dziś znowu nie wziął z sobą książki? Obszedł wóz, ujął w palce tabliczkę i mówi:

- Trzeba ją przywiązać po prawej stronie wozu. I żeby to było napisane czytelniej, nie tak koślawo.

No, dobrze, to się zrobi. Błaszczyk już myślał, że Kaczmarczyk sobie pójdzie, ale gdzie tam! Policjant podchodzi do konia, łapie go za chomać i mówi:

- Koń jest źle kielzany.

- Tak zawsze się u nas kielza. Cóż mu brakuje?

- Brakuje dwóch rzemieni do uzdy. Było rozporządzenie o uzdach dla koni. Wisi w urzędzie gminnym. Trzeba się tym zainteresować. Spiszemy protokół.

Wyciąga notes i pisze. Woźnica zacisnął zęby, nic nie mówi. Przodownik mruczy:

- Wszystkiego was trzeba uczyć. Na to są przepisy, aby je szanować. Jak dostaliście grzywnę, nauczyliście się nosić książkę na konia przy sobie.

Pisze w notesie i uśmiecha się. „Śmieć się, psubracie” - myśli Błaszczyk. Powoli schował ołówek, zamknął notes, wsadził do kieszeni i jeszcze raz zbliży się do konia. Jeszcze czegoś szuka. Dziury w całym. Znalazł. Łapie konia za nogi, ogląda wszystkie cztery podkowy. Trzyma za lewą tylną i krzyczy do chłopca:

- O, panie Błaszczyk! To wstyd tak męczyć konia! Koń nie jest kuty na wszystkie nogi. Na zgromadzenie do Wojnara macie czas chodzić, a konia okuć czasu nie macie? Za to jest kara. Spiszemy jeszcze raz protokół.

Uśmiecha się i wyciąga notes. Zapisuje. Błaszczyk nie spojrzał na niego, tylko myśli: „Kiedy ty, draniu, nareszcie skończysz? Już byłbym za ten czas w Pewli, zanim on mnie tu przejrzy”. Nie odezwał się jednak nic. Zacisnął zęby i czeka. Przodownik zapisał. Schował notes powoli, zapiął kieszeń na metalowy guzik opatrzony orzełkiem, uśmiechnął się jeszcze raz, zadowolony z pomyślnego wyniku oględzin, i pokazał palcem drogę. W stronę kościoła.

- Proszę. Możecie jechać.

Z wściekłością i zalem opowiadał Błaszczyk Wojnarowi o przeprawie z Kaczmarczykiem. Musiała go zdać Turcula, że przesiaduje u przywódcy ludowców, skoro przodownik tak wyraźnie pił do niego. Ze złości odwiedził ostentacyjnie Wojnara po południu. Dziesięcioletni syn gospodarza, Felek, wyganiał w pole dwie krowy; jego siostra, Hanka, dorastająca dziewczyna, okrzesywała choinę przed chałupą. Na progu stajni siekała świeżo zżętą trawę żona Wojnarowa, zapobiegliwa kobiecina. Gospodarz wymiatał stodołę przed nadchodzącymi zniwami. Na pogródce siedzieli Stachoń z Jaśkiem i rozmawiali.

- Góralu, czy ci nie żal? - dowcipkował z gorzką ironią Wojnar. - Nie martw się, Michał. Zapłacisz piętnaście złotych kary. Przecierpimy i to. Nie ma z czego robić tragedii. Trudno, takie jest życie.

Usiadł na progu, ocierał ręką pot z czoła. Jasiek poczęstował papierosami towarzyszy: zdawało mu się, że przez ten gest nabiera w siebie ich stateczności i powagi. Na dołach już rozpoczęły się żniwa, donosił Wojnar. - Poplotkujmy trochę - zachęcił zaraz zebranych do weselszego tematu, bo jeśli zaczyna się mówić o zbożu, to wyciąga się rozpaczliwą bolączkę chłopa. Zaczną znowu kłać, spluwać, wspominać austriackie czasy, ho, ho, jest co opowiadać!

Zdjął kapelusz, przeczesał włosy palcami raz, drugi raz, nadstawił twarz do upalnego słońca, obserwował z zajęciem cytrynowego motyla, po czym odezwał się:

- Czytam w gazecie, że rząd zastanawia się, jak pomóc wydatnie wsi. Nad czym się tu zastanawiać? Niech się rząd nas zapyta, my go poinformujemy. Prawda, Stachoń? Prawda, Błaszczyk?

Ominął w pytaniach Jaśka, aż chłopca zabolalo to zlekceważenie. Czemu? Przecież on sam na cały głos westchnął z rozpaczą, ledwo przyszedł i usiadł na pogródce: - Rany boskie, znowu odchodzi polityka! - Po cóż innego przychodzi się do Wojnara? Czyż nie miał tego po same uszy u swego gospodarza?

Błaszczyk kiwał głową, zgryziony, jedynie Stachoń, nieopatrznie sprowokowany, nie popuścił okazji. Wypluł papierosa z gęby, odchrząknął, charknął plwociną na maki kwitnące w ogródku i rozpoczął:

- Jak się wam taki porządek podoba: Żydzi chodzą teraz po wsiach i skupują jaja po cztery grosze, bo teraz najtańszy okres. Ułożą jaja w kadzie, zaleją wodą wapniową, a w zimie sprzedają je po dziesięć, nawet po piętnaście groszy. Wynajmują sobie kobiety, które w koszykach na targu roznoszą jaja jako świeże. Dlaczego chłopci sami nie założą sobie takiego handlu?

Słońce nielitościwie gorzało, zawieszony w zenicie, lokomotywa piszczala przeraźliwie pod stacją jeleśniańską, dopominając się raz po raz o prawo wjazdu. W sieni Hanka Wojnarówna odcedzała ziemniaki do cebrzyka w kącie. Przez otwarte na oścież drzwi Jasiek widział ciemnozłote spadające na ramiona włosy i nachyloną postać, ze spódnicą uniesioną z tyłu wysoko. Oglądał zgrabną linię odsłoniętych łydek i w górę śmigające silne zawężenie ud. Ogarnęło go gorąco; przypomniał sobie Zośkę. Postanowił pójść do Koszarawy. Już się zegnali, Wojnar klepał po plecach Błaszczyka.

- Przecierpimy i to. My twardy naród.

Odchodzili od niego wszyscy trzej, zgnębieni jego mową, ale równocześnie umocnieni nadzieją tego mądrego człowieka.

Były to ostatnie dni, jakie spędzał Jasiek u Stachonia przed wyprowadzeniem się na Głuchaczki. Choć wrócił do domu na samą kolację, gospodarz nie oszczędził mu codziennego

wykładu i rozpoczął przeżuwanie historii zasłyszanych wspólnie dopiero przed paru godzinami. Teraz Jasiek, odwiedzając częściej Wojnara, ocenił, ile natchnienia czerpał „czerwony ludowiec” z chaty na wzgórzu. Przecież to z Wojnarowego ziarna pochodziło to nudne, jałowe przesiewanie Stachoniowych plew.

Nie było rady na gadułę. Jasiek z Władkiem usiedli do wieczerzy, zapowiadając, że zaraz idą spać. Gospodarz wyszedł przed próg, aby popatrzeć, czy niebo się na jutro aby nie chmurzy. Wnet zaczął spluwać, parskać jak rozwścieczony kot, bo w mroku dojrzał Turculę, która przewiała za płotem niby ciemny obłok.

- Ta cholera już się kręci, co by tu na jutro wymyślić i roztrajkotać. Niedoczekanie twoje, psiawiaro! - ujął. - Ile ci zapłacili za podsłuchiwanie? Podsłuchaj lepiej pod moim wychodkiem, ja tam zaraz pójde.

Nie mógł tego zapomnieć, że przez nią siedział tydzień w areszcie. Stał, nasłuchując, czy Turcula się nie odezwie na ten grad zniewag. O, bo pysk miała nie od parady. Był nastrojony groźnie, gotów do awantury. Ale nikt się nie odezwał z ciemności. Przydreptała na próg żona. - Nie krzycz - łagodziła go. - Jeszcze cię zda na policję ta cholera z zemsty, gdy usłyszysz, że na nią wygadujesz.

- Niech mnie zda. Mam ją gdzieś! - podniósł głos w odpowiedzi. - Mam ją w dupie! - rozdarł się dosadniej, aby nie było wątpliwości, do kogo to jest skierowane. - Niech słyszy! Mam ją w dupie!

Jasiek przypomina sobie kubek w kubek podobną babę w Naprawie: Rejkę od Czubina, wszystko wiedzącą, naczelną dewotkę parafii łątowskiej. Ta także dała się wielu ludziom we znaki.

Już zasypiał. A nudziarz w drugiej izbie sierzcił się jeszcze ciągle w ciemności.

Ponad pół mili od najbliższych osad ludzkich leżały Głuchaczki. Sześć gospodarstw rozrzuconych na polanie, na której przed dwustu laty chwiały się wysokopienne jedlice. Od północy przysiółek związany był z Przyborowem wąskimi nitkami ścieżek jak siatką czułych nerwów; zresztą zewsząd otaczała go dokładnie knieja. Tu jeszcze dochowały się resztki dawnych borów, ostatki dumnej wspaniałości. Gdzie indziej przy poręczniejszych dolinach strzelisty starodrzew został poszarpany i wywieziony do tartaków. To, co narosło przez wieki, zginęło w ciągu tygodni od siekiery i piły. Stary świat umierał, deptany morderczą stopą zwycięzców.

Z weselem Juraszkówny znowu się coś popsuło. Jeszcze zimą oblubienica obiecywała, że ślub odbędzie się w karnawale, później przesunęła datę na Zielone Świąta. Ale jakoś

zwlokło się do lata i do tej pory nie padły oczekiwane zapowiedzi w jeleśniańskiej parafii.

- Kiedy się nareszcie wydajesz, Agnieszka? - męczył ją brat po raz nie wiadomo który.

- Co tobie to ciągle w głowie siedzi? - rzuciła się nań zjadliwie. - Czy ty masz być moim chłopem? Mam swoje lata. I swój rozum. Wiem, co robię.

Spokorniał.

- Ja tylko chcę dla ciebie dobrze, Agnieszka. Zawsze to inaczej w gospodarstwie, jak chłopą będziesz mieć w chałupie.

- Teraz przecież jest was w chałupie dwóch chłopów.

- Ale zawsze w żniwa coś by pomógł - upierał się przy swoim Władek.

- Takie żniwa! Cóż my tu mamy tyle do zbierania na tych trzech płonych kawałkach?

- On ma u siebie w Koszarawie prawie cztery morgi.

- Ty się o jego morgi nie martw. Będzie komu zbierać.

- Po co komu innemu? Jużbyś tam ty mogła robić. Zezłościła się. - Nie wtrącaj się do tego! Idź, przynieś wody.

Jasiek nie miał prawie żadnej roboty u Juraszków. Spełniały ją w gospodarstwie kobiety. Chodził więc z Władkiem na drzewo w las. Obłożyli chałupę sutym zapasem na zimę, później zainteresowali się smykami. Ścinali w dzień grubą sztukę, jedną lub dwie, nisko, tuż przy samej ziemi, świeży pień nakrywając zielskiem i mchem, gałęzie odnosząc w odległe miejsce. Kiedy się ściemniło, pożyczali konia od Maziarza, zaprzęgali do drzewa i wlekli nocą do wąwozu pod Koszarawę. Tam sprzedawali drzewo szynkarzowi Berkowi. I wtedy już otwarcie z wąwozu, przy pomocy konia, wwozili towar do składu przed żydowską chałupą. Berek zaś puszczał go dalej do swego szwagra, który miał tartaczek w Lachowicach pod Suchą.

To było zajęcie godne górala. Wszyscy mieszkańcy tych okolic byli raczej drwalami, pasterzami, kłusownikami, przemytnikami, handlarzami, wyrobnikami sezonowymi, a najmniej rolnikami. Ciągnęło ich bardziej wychodźstwo, robota w mieście, handel, coś, z czego był natychmiastowy zarobek. Tęsknili do gotówki. Chętniej garnęli się do tartaku niż do żniw. Niektórzy wyrabiali udatnie z drzewa naczynia domowe, sprzęty gospodarskie oraz zabawki dla dzieci i sami roznosili je po jarmarkach. Zbierali jagody i grzyby, sprzedając je po letniskach. Zimą łazili po nizinach z wszelakim towarem wsi; na wiosnę, gdy zbliżała się pora orania i siewu, wracali w góry od Krakowa i Katowic, sprzedawszy swoje cebrzyki, łyżki, przynosząc z dołu pieniądze i rozmaite choroby.

Rankiem, nieraz do dnia, wychodził Jasiek wraz z Władkiem, aby zapolować. Czasem towarzyszył im Broniek. Dziura kupił sobie od niego strzelbę i ukrył ją w dziupli drzewa,

zawiniętą w tłuste szmaty. We trójkę opatrywali nasadzone przez Bronka wnyki na zajęce. Jaś-Sierota okazał się dobrym myśliwym. Całe dni spędzał w borze. Rosła w nim wiedza leśna od drzew, od nocy, od śpiewu ptaków, od tropów. Odgadywał szelesty gałęzi w bezwietrznej ciszy, chrzęst cetyny pod stopami, łamanie patyków, szum liści, zdławione jęki, urwane piski, przeraźliwe gwizdy, nagłe łopoty skrzydeł. Jako utalentowany samouk, instynktem przeznaczony do tego życia, sycący wrodzoną namiętność, kształcił się i zadziwiająco szybko wyrastał na mistrza

Kończył się lipiec, miesiąc najgwałtowniejszych deszczów i krótkich, ostrych burz w babiogórskim masywie. Nawet ulewa nie przeszkadzała im w kłusowniczej robocie. Oddali się tylko chwilowej przymusowej beczynności, kiedy ich ostrzegł Bronek, iż w przyszłym tygodniu nastąpi dwudniowe polowanie na dziki, wydane przez arcyksiążęce nadleśnictwo w Hucisku. Jakby w przeczuciu czekającego je głodu dziki rozzuchwaliły się do rozmiarów plagi. Opuszczały nocą swe legowiska w zapadłych wertepach Czatoży, zstępując w dół na żer. Tratowały łąny owsa, niszczyły młode krzaczki ziemniaczane, ryły łąki w poszukiwaniu korzonków. Samej nagonki poszło w obławie około trzydziestu ludzi. Ubito ładny łup: pięć sztuk, w tym dwa odyńce. Jeden z nich nosił w sobie trzy kule z dawnych czasów. Ślepek za swych młodych lat pamiętał tu jeszcze niedźwiedzie, które przychodziły swobodnie od borów z węgierskiej strony. Pod Starym Groniem rosła gruba jodła, której pień opasywało rękoma dokoła siedmiu chłopów. Miała mieć sześćset lat.

- Wszystkie górne lasy były samosiejne. Gajowi Habsburga nie sadzili ich w szkółkach. Ani im wichher nie dał rady. A teraz?

- Teraz my im damy radę - rzekli dwaj młodzieńcy w odpowiedzi na prowokacyjne oświadczenie starca. Wieczorem przyciągnęli smykem dwie piękne jedlice spod Barańcowego Potoku. Ku wielkiemu zgorszeniu kobiet porżnęli je nazajutrz, w niedzielę, na trzymetrowe kloce. Ciotka Agnieszki głośno narzekała na bezbożność młodego pokolenia:

- Drzewo rzną w święty dzień. Świat się kończy! Właśnie kiedy suma jest w kościele.

- Ciotko, właśnie teraz gajowy modli się na sumie, to najlepiej rznąć - uspokajał ją Władek. Schowali kloce w stodole. - W tygodniu zwieziemy do Berka. I będzie załatwione - zacierał ręce Juraszek.

- Zarobimy po dwie dziesiątki - oceniał ze znanstwem Jasiek.

Tego pechowego lata odprawiono zniwa późno i szybko, w przerwach między jednym deszczem a drugim. Jakaś nerwowość udzieliła się ludziom w czas zbiorów. Pracowali pośpiesznie, bez wytchnienia, jak gdyby miała przyjść katastrofa. W nocy nawet, parującej

wilgocią, zwożono snopy do stodół. Mało który chłop miał osobną stodołę. Połowę stajni zajmowało klepisko; zboże chowano na strychu. U niektórych górali wszystko razem: krowy, zbiory i mieszkanie, mieściło się w jednej chałupie.

Nie było zresztą dużo zbierania. Zboża pogniły na pniu od poprzednich nieustannych ulew. Część pozrastała się w snopach podczas nagłych sierpniowych nawałnic. W chałupach przeklinano to mokre lato. I tym razem nieszczęście dotknęło tylko górskie ziemie, na dolinach bowiem żniwa wypadły bardzo ładnie. Napełniły się komory i spichlerze. Zboże staniało. Górale załamywali ręce.

- Co za płony rok! - lamentowali. Tak ciężko wydarli ziemi tę odrobinę ziarna.

- Niech to szlag trafi! - klął siarczyście młody Tramek, bawiący w odwiedzinach na Głuchaczkach. Juraszek miał również lapidarny pogląd na tę sprawę: - Mówiłem wam tyle razy, że góral nie jest stworzony do obrządzania roli. Niech to robią Lachy na dolinach. Dla nas jest przeznaczona inna robota - mrugnął okiem znacząco w stronę Jaśka.

Któregoś dnia szynkarz Haber ubijał interes z Juraszkiem w izbie za szynkwasem. Szło o większą partię zagranicznej waluty, którą Władek miał przenieść do spółki z Jaśkiem do Namiestowa na Orawie, gdzie mieszkał szwagier Habera. Mówiło się do Namiestowa, ale miało się na myśli wieś Mutne, leżąca u południowych podnóży Pilska. Tam bowiem siedział w ustronnej gajówce pośrednik przemytników, Lisek. On przekazywał towar dalej i stamtąd dostarczał odwrotną kontrabandę. Nazajutrz obaj przyjaciele odwiedzili jeleśniańskiego kupca, aby obgadać sprawę ponownie. W izbie aż pociemniało od dymu tytoniowego. Haber częstował ich wódką. Juraszek przechylił kieliszek raz, drugi i trzeci. Jasiak nie pił. Wszyscy trzej podali sobie ręce i rozeszli się.

Był ciepły wieczór, kiedy Jasiak wyruszył w towarzystwie Władka na swój pierwszy chód przemytniczy. Otworło się przed nimi nocne życie lasu - tajemnicze tylko dla obcych, bo przed tymi ludźmi natura nie miała żadnych sekretów.

- Dwa razy przechodziłem tędy ze strzelbą - zwierzał się kompanowi Jasiak. - Mnie wystarczy raz popatrzeć w lesie na jakieś miejsce, a poznam je za rok.

Wniknęli w buczynę pod Jałowiecką Przełęczą. Z odległego starodrzewia słychać było stłumione parskanie sowy. Na południowo-wschodnim horyzoncie nad Tatrami wschodził wąski sierp księżyca. Nad głowami ich zerwał się przeraźliwie ptak, łopocząc ciężko skrzydłami, aż zapadł w gałęzie.

- To duch strażnika - zaśmiał się cicho Jasiak, rozgarniając ostrożnie kłujące wierzchołki choiny.



- Strażnik śpi na pewno w jakiejś stodole w Krzyżówkach. Chciałoby się mu tu po nocy chodzić! Za sto dwadzieścia złotych miesięcznie! Po takich wertepach!

Na Wężowcu zawiał wiatr, szarpał niespokojnie jodłami. Jasiek pomyślał w tej chwili o śmierci. Ilu ludzi umiera na szerokiej ziemi owej nocy? Gdyby strażnik przyczajony w zasadzce wezwał ich do zatrzymania się, naturalnym odruchem człowieka byłoby wiać. A wtedy posłałby im kulę. I pozostaliby tu w smreczkach na zawsze.

Jak można o tym myśleć? O śmierci? Zawstydział się. Była to pierwsza i ostatnia jego myśl tchórzowska, której już odtąd nigdy nie miał zaznać w swoim leśnym życiu.

Władek był zdumiony jego znawstwem i orientacją, chociaż sam twierdził, że taki chód to nic wielkiego. Trzeba tylko umieć na pamięć teren i dostatecznie wyznawać się na zwyczajach strażników.

- Najgorsze - uświadamiał towarzysza - to minąć wiatrołomy Wężowca, przejść drogę na Glinne i wreszcie przebyć siodło między Pilskiem a Opalenicą, gdzie często zasadza się straż w gęstym młodniku.

Tam raz wpadł w ręce strażnikowi młody Tramek z Przyborowa. Siedział za to dwa miesiące w Żywcu. Z wyjątkiem przejścia przez gościniec korbielowski szło się przez cały czas lasami. - A smreki to moi bracia - powiedział Jasiek. Zaułki kniei, nie trzebione wskutek swej niedostępności, kryły leża dzika. Pierwotny, parusetletni las jodłowo-bukowy, opadający stromo ku dolinie Stonownicy, zaścielony chrustem i listowiem, był pełen ciszy, mroku, posepnej pustki i zgnilizny.

Odpuścili chwilę na zboczach Pilska. O świcie zobaczyli przed sobą oddzieloną wzgórzem wieś Mutne. Władek pozostawił towarzysza na szczycie wyrębu, gdzie rozwidlały się ścieżki, sam zaś ruszył do gajówki. Mieli się ponownie spotkać na tym miejscu o zmroku.

W drodze powrotnej wysunął się Jasiek na przewodnika. Noc była wyiskrzona. Księżycowy ogarek szybko maszerował po niebie. Ale oni sunęli jeszcze szybciej. Jasiek prowadził śmiało i zdecydowanie, bez kluczenia.

- Żeby choć z daleka pokazał się jaki strażnik! - szarżował. Jakże daleko odbiegł w tej chwili od myśli, która go nawiedziła wczoraj na Wężowcu w pierwszą noc jego debiutu!

- Oni mają także swoje chody - tłumaczył mu przyjaciel. - A jak my je znamy, możemy gwizdać na graniczników. Bo oni nie znają naszych. Najgorsze, jak nastanie nowy strażnik. Ale i taki nie wysila się zbytnio na obchód. Odprawia służbę tak, jak mu kolega pokaże. Zamarłym Wąwozem żaden z nich nigdy nie śmie się ruszyć. Bo tam straszy.

- A my chodzimy.

Śmiali się obaj. Śmiejąc się przebyli Wężowiec i już byli w domu. Wstawało wczesne

letnie słońce. Zarobili na tym szmuglu po trzydzieści złotych.

- Można żyć - skonstatował Jasiak, chowając pieniądze do kieszeni. Haber poczęstował ich wódką i papierosami. Wyszli, pełni fantazji i humoru.

- Świat jest piękny! - westchnął Juraszek.

Zanosiło się znowu na deszcz.

Przed chałupami piał wyzywająco koguty. U Maziarzów krowa w oborze ryczała raz po raz z rozdzierającym smutkiem jakby przewidując, że dziś ominie ją pastwisko. Niebo od wczesnego ranka wisiało nad oknami, brudne i poszarpane. Kawki zbierały się w gromady, zwiastując ulewę. Wrony odprawiały hałaśliwe, nerwowe narady, przenosząc się z miejsca na miejsce.

- Tydzień sloty murowany - mruzczała Agnieszka. I w przeczuciu deszczu zatrzęsło nią zimno, a od zimna zaboląły ją zęby. Mimo to nie straciła zwykłej energii. Wodziła rej w domu, wszędzie jej było pełno. Jej głos kłótlivy, choć samotny, wypełniał ściany. Wrzaskliwie ogłaszała swoje pretensje do ciotki, głośno karcila Filomenę, opryskliwie zwracała uwagę bratu na zaległości w robocie. Bo Władek lubił lenistwo. Chętnie polegiwał z papierosem w gębie, spoglądając w sufit, przemyślując, jak by tu dużo się nie napracować, a dobrze zarobić.

- Próznik jesteś - robiła mu wyrzuty siostra. - Psim swędem żyjesz. Radziłam ci, idź do miasta, tam jest lekka robota. Tu tylko naharujesz się i co z tego będziesz miał?

Żeby to chciał się przenieść do miasta na stałe! Byłoby to spełnieniem jej marzeń. Zostałaby sama na gospodarstwie. Myśl o dziedzictwie całej ojcowizny chowała w sercu tak skrycie i głęboko, jak zwykle się tylko chować brzydkie uczucia ludzkie: nienawiść lub zazdrość. To niewygasłe, uparte pragnienie uczynienia wspólnego dotąd domu wyłącznie jej własnym nadało może Agnieszczynemu życiu cechę owej goryczy, surowości i denerwującego pośpiechu. W swojej gorliwej pasji oszczędzała jedynie Jaśka. Nie wypadało przecież traktować go jako domownika. Gościowi należały się pewne względy. Może miała inne powody ku temu? Faktem niezaprzeczonym było, iż zmieniała się na korzyść pod wpływem obecności obcego mężczyzny w domu. Budziła się w niej uśpiona kobiecość. Włosy uplatała już teraz starannie w warkocze (Boże, pożał się, jakie warkocze!). Szyi, co prawda, nadal nie myła, lecz kołnierz od bluzki stale zapinała wysoko. Przywiązywała wagę do doboru spódnic. Głowę przyodziewała chustką. I, dziwna rzecz, czasem zajrzała w lusterko, przybite na ramie okiennej.

Tego tygodnia obu chłopcom udało się gładko chód na Orawę. Odprawiali walutę od

żywieckiego Żyda, Majera, a przynosili do Polski cenny transport specyfików lekarskich. Zarobili na tym przemyśle (w obie strony) sto dwadzieścia złotych, czyli na każdego przypadło po sześćdziesiąt. Jasiak kurzył z zadowoleniem czeskie papierosy i wspólnie z Juraszkiem narzekał na złą pogodę:

- Szkoda, że nie kupił prezentu do domu - żałował ponieważ. - Agnieszce przydałyby się pończochy. Ciotce także.

- Daj mi spokój z ciotką! - Władek nie lubił starej. Wyrażał się o niej stale z przekąsem: „lewa ciotka”. Twierdził, iż od dziecka nie przypomina sobie istnienia takiej krewnej.

- Anim tytoniu fajkowego nie kupił Ślepkowi!

Ślepek był to prawie siedemdziesięcioletni starzec, jeszcze wcale rześki, mieszkający w chałupie swej córki, Mitanki. Nie wiadomo, z jakiego powodu nadano mu takie przezwisko, gdyż właściwie nazywał się Janiczak. Może dlatego, że miał zwyczaj częstego zmrużania oczu. Płatał się koło gospodarstwa, szył rzemienie, robił powrozy, obrządzał bydło. Szlachetna, rasowa twarz, patriarcha Głuchaczek. Wysoki, lekko przygięty, siwe długie włosy, orli nos, ostre rysy twarzy, oczy jasno zblękitnione. Całe życie przeżył pod Babią Górą. Jego ojciec i ojciec Maziarza, jako smolarze, w dzikim sercu boru założyli Głuchaczki. Znał na wylot wysokobeskidzką puszcę, wtajemniczał w jej sekrety Jaśka. Kiedy podczas wojny światowej nadciągnęli z południa honwedzi węgierscy, bezlitośnie rekwirując mienie ludzkie po wsiach na drodze przemarszu, on wyprowadził całe bydło z Przyborowa na Wężowiec i przez tydzień ukrywał je tam przed zachłannością plądrujących wojsk.

Śmiały, szczery chłopiec z chałupy Juraszków przypadł od razu do serca Ślepkowi. Co wieczór przychodził do niego, siadał na łóżku starego pod oknem, rozmawiali do późna. Mitanowie zajmowali drugą izbę „światlicę”. W pierwszej, kuchennej, „piekarni”, mieszkał ojciec. I Jasiak także przylgnął do Ślepka. Dzieciństwo jego było bezdomne. Pozbawiony był ciepła rodzinnego od niemowlęctwa, nie miał ojcowizny, do której mógłby się przyznać i powiedzieć: to moja ziemia. Więc tę ziemię, która przygarnęła go, pokochał jak rodziną; tak jak pokochał i Śleпка, którego z dumą nazywał dziadkiem. Stary bowiem nie doczekał się wnuka od swych dzieci, wnuka, którego tak bardzo pożył. Miał dwóch synów, obaj zginęli tragicznie. Jeden, rozdarty przez maszynę w fabryce na Węgrzech (porwał go w tryby pas transmisyjny), drugi zaś, ulubieniec ojca, zmiażdżony w lesie przez spadające drzewo. Jeszcze niedawno sędziwy góral, wspominając go, nucił sobie przy oknie, spoglądając na wschód:

*W Mędralowym lesie stała mi się szkoda,  
syna mi zabiła jedlicowa kłoda.*

Z córką Maryną, która wydała się za byłego gajowego i dzieci nie miała, nie potrafił się ojciec pogodzić. Wolał już raczej zięcia, choć ów znajdował się całkowicie pod wpływem żony; a ta dyrygowała wszystkim.

Przyjaźń Jaśka ze Ślepkiem doszła do tego, że z początkiem jesieni młodzieniec przeprowadził się do Mitanów. Ulokował się w izbie Ślepkowej. Obiecał dawać gospodarzowi pięćdziesiąt złotych na utrzymanie.

- To za dużo - przestrzegał go stary.

- Dajcie spokój, dziadku, jak mam pieniądze, dlaczego ich mam nie dać? Będziemy za to lepiej jedli.

- To nie znasz mojej córki - brzmiała znacząca odpowiedź, podkreślona machnięciem ręki.

Jasiek chodził teraz prawie cały dzień na smyk. Znaleźli doborowego ekspedienta w postaci młodego Tramka, który z Przyborowa odwoził drzewo wprost pod stację w Jeleśni, gdzie sprzedawał je Żydowi Wulkanowi. Sprytny chłop, wyrośnięty na schwał, a tak silny, że można by go do wozu zaprzęgać. Obaj głuchaczkowcy przemycili dwukrotnie z Polhory transport pomarańcz przez Pilsko; nieśli w plecakach po dwadzieścia kilogramów owoców. Zostawili towar w schronisku pod Pilskiem (oczywiście w znowie z dzierżawcą) i w ciągu tygodnia ściągnęli go do Żywca. Teraz, po przeniesieniu się do Mitanów, Jasiek zakrzętnął się koło przygotowania opału na zimę. Pracował pilnie w państwowych lasach, uwijał się z siekierą i z piłą. Rosły kubiki polan, jeden na drugim, w komórce stodoły i pod strzechami chaty. Mimo tak rozległego zajęcia nie zapomniał o Zośce Masłowskiej. Pomógł jej przy sprzęcie owsa, zwiózł drugie siano z polany Modrzewiowej. Któregoś dnia, schodząc spod Mędralowej do Cichego, natknął się na dziewczynę przy krowach na łące. Stała prosta, mocno związana w biodrach; nogi zgrabne, cienkie w kostce. Z fartuszka podwiniętego na podółku ciągnęła się gruba wełniana nić. Zośka robiła szydełkiem sweter. Rozjaśniła się od Jaśkowego spojrzenia.

- Może byś mi zrobiła pończochy? - uśmiechnął się. - Na zimę.

- Dobrze, zrobię ci - odpowiedziała bez wahania.

Wieczorem przy czyszczeniu strzelby zgadał się coś ze Ślepkiem i Juraszkiem na temat dziewczyny.

- One są bogate - mówił stary.

- Kto? - Jasiek zmrużył wyzywająco oczy.

- Matka i córka. Mają pieniądze po zbójach. Matka starej Maśliny mieszkała w Zawoi. Miała chałupkę odpryśniętą od wsi, hen, w stronę Sidziny. Tam, gdzie diabeł mówi dobranoc. Usługiwała zbójom. Mieszkali u niej. Prała im i gotowała stawę. Płacili jej suto. Później zrobiono koniec zbójom, a Maślina przeniosła się z grubymi pieniędzmi nad Koszarawę. Umarła, ale pieniądze pozostały.

Agnieszka miała pranie od wczesnego ranka. Już z samego świtu była gniewna, podenerwowana. Przy cebraze stał wielki, płaski kamień. Namydliła bieliznę, przepłukała w drugim cebrazyku, wyjęła z grubsza, kucnęła, położyła mokry kawałek na kamieniu, wałąc wań łopatkowatą kijanką. Plaskanie było słychać na całe Głuchaczki. Bo też miała i ciężką rączkę. Szeroko na ziemi stojąc, ukazywała parę silnych, przemarzniętych. Pokrytych żyłakami nóg i nisko odsłonięty, chudy, brudny kark, po którym tułały się zmierzwiłone kosmyki włosów. Warkocze, uplecione i spięte w dniu wczorajszym, rozłaziły się, zawiązała więc głowę chustką. Nie miała czasu uczesać się ze względu na pranie. Zresztą Jasiek i tak przeniósł się na mieszkanie do Mitanki. Nigdy go w domu nie ma, ciągle lata po lesie.

- Szczęść Boże!

- Daj Panie Boże i wam też! - odpowiedziała i wyprostowała się, aby zobaczyć, kto jej tak z rana poszczęścił przy robocie. Przechodził koło niej Maziarz z niedalekiego sąsiedztwa, ojciec czterech rosnących synów, ubrany odświętnie. - Gdzież to wybieracie się tak wczas?

- Idę do miasta. Do hipoteki.

Przegadali jeszcze do siebie uprzejmie ze dwa słowa, po czym chłop skierował się na ścieżkę, wiodącą do Przyborowa. Z obrzydzeniem patrzył na Juraszkównę. Nie podobała mu się: długa, końska gęba, ciągle nachmurzona, posępna, podwiązana czerwoną szmatą, z opuchniętymi prawie stale policzkami, o mowie twardej, ostrej jak u chłopca. I ona śmiała przypalać się do jednego z jego chłopaków!

- Stara dziopa! - splunął z pogardą. - Dziwię się Bronkowi, że leci na takie kościste chuchro. Co on widzi w niej? Ale to będzie jędzal!

Było chłodno, słońce jeszcze nie wstało. Stary Maziarz miał przed sobą ponad trzy mile drogi do Żywca. Pragnął tam coś załatwić w hipotece. Wiadomo, jak to na wsi: do jednego kawałka roli jest dwudziestu właścicieli. Aby się raz na zawsze dowiedzieć, czyja jest ta miedza, na której trawę rzniesz do udoju, twoja, czyli też Naściuli, musisz, człowieku, iść do katastru i do mapki, to znaczy do hipoteki. Wybrał się więc Maziarz raniutko do Żywca. Długo jeszcze w ciszy wschodzącego poranka słyszał za sobą donośne plaskanie

Agnieszczynej kijanki. Szedł żwawo. Ej, żeby to tak cały czas do Żywca można było schodzić z góry, to by człowiek prędko zaleciał!

Po trzech godzinach pieszego marszu znalazł się w mieście. Wszedł do sądu, bo urząd hipoteczny znajdował się w budynku sądowym na parterze. Stanął pod drzwiami, zapukał. Nikt się nie odzywa. Powoli schodzi się parę osób. Urząd jeszcze zamknięty. Minęło może pół godziny, do biura wkracza pisarz hipoteczny, a z nim trzech panów. Rozmawiają ze sobą jak znajomi. Zamknęli się na klucz za drzwiami, z pokoju słychać jakieś śmiechy; wesoło im. Nareszcie wyszli ci trzej. Pisarz, w okularach, odprowadził ich do drzwi.

No, jak wdział okulary na nos, to znaczy, że rozpoczyna się urzędowanie. Zaczęli wchodzić klienci. Maziarz puścił przed sobą jednego, choć niby jemu należało się wejść pierwszemu, ponieważ najwcześniej przyszedł. Ale jako człowiek wsi, kępował się wejść najpierw. Niech nie od niego zacznie się ten dzień w hipotece. Może to przesąd, ale on czuje, że później nabierze większej śmiałości, gdy tamten swą sprawę załatwi. Tym bardziej że był to jakiś miejski pan, więc dał mu pierwszeństwo. Upłynął kwadrans, zanim klient wyszedł razem z pisarzem. Urzędnik był bez okularów, zamknął drzwi na klucz, ale nie wdział zarzutki ani kapelusza. Wyszli gdzieś na górę.

Chłopu zrobiło się głupio. Tyle czasu czeka, a tu nic. Zachciało mu się czegoś, zaczął szukać, nie mógł znaleźć. Za pół godziny wrócił znacznie spokojniejszy. Już ludzi pod drzwiami kilkoro.

- Jest pan pisarz?

- Jest.

Właśnie drzwi się otworzyły, wyszła jakaś kobieta. Maziarz pcha się do biura. - Powoli, powoli, gdzie się pchacie? - krzyczą na niego inni.

- Z przeproszeniem pana pisarza, ja tu byłem pierwszy. Od rana stoję.

- Ależ, człowieku! - tłumaczy mu łagodnie urzędnik. Zza okularów w złotej oprawie błyszczą dobrotliwe oczy. - Poczekajcie chwilę. Niech pani wejdzie.

Przepuścił sam do drzwi starszą panią i zamknął się z nią. Chłop zacisnął zęby i czeka. Za kwadrans klientka wyszła z jakimś papierkiem w ręce. Za nią w na pół otwartych drzwiach ukazał się pisarz. Mieszkaniec Głuchaczek znów wysunął się przed jego oblicze.

- Ja was zaraz zawołam - rzekł pisarz do chłopca. - Poczekajcie sobie na korytarzu - pokazał mu palcem miejsce w kącie. Po czym wybrał sobie z kilkusobowej kolejki młodego mężczyznę, ubranego na pół po miejsku, na pół po wiejsku, zapraszając go do wnętrza. Młodzieniec kłaniał się urzędnikowi jeszcze przed drzwiami. Z pół godziny trwała ta audyencja. Tymczasem przyszedł wysoki, porządnie ubrany pan. Nie pukał, nie czekał, wszedł

od razu do środka. Dwaj jego poprzednicy, którzy stali pod drzwiami, stracili widocznie cierpliwość, bo wzruszyli ramionami i odeszli, zrezygnowawszy z wizyty w urzędzie.

Maziarz czekał nadal w swoim kącie. Po pewnym czasie wyszedł rozpromieniony młodzieniec, cały w dygach. Jeszcze po zamknięciu drzwi kłaniał się niewidocznemu urzędnikowi. „Teraz nie wypada wejść - pomyślał góral - bo tam pozostał jeszcze ów elegancki pan.” Nawet tu słysząc ich rozmowę i śmiechy. Pewnie to adwokat. Występuje na rozprawie w sądzie, on ma pierwszeństwo przed innymi. Może od razu załatwia interesy kilku klientów? Maziarz przybliżył się ze swego kąta ku drzwiom. Pisarz i adwokat rozmawiali z ożywieniem. Gdybyż chłop mógł podsłuchać ich rozmowę! Rozmawiali przecież o najświeższych ploteczkach żywieckich.

„Co się będę pchał? Powiedział, że mnie zawoła, to zawoła.”

Niebawem elegant opuścił biuro. Drzwi się zamknęły. Wreszcie! Twarda jest dola petenta wyczekującego za drzwiami. Ale doczekał się. Wszystkich przetrzymał, choć sam pierwszy przyszedł. Teraz jego kolej. Podchodzi ku drzwiom, wyciąga rękę, aby zapukać, wtem drzwi się otwierają, ukazuje się pisarz hipoteczny bez okularów, w kapeluszu, w zarzutce, ubrany jak do wyjścia. Zamyka drzwi na klucz, spostrzega wieśniaka. Przypatruje mu się, jakby go sobie przypomniał, mruży oczy, ma zapewne słaby wzrok.

- A! - zdziwił się. - Jeszcze tu jesteście! Przyjdźcie jutro, bo mi się dzisiaj godziny skończyły. Po południu urzęduję jeszcze przez dwie godziny, ale nie dla stron. Przyjdźcie jutro rano.

Chłop złożył błagalnie ręce jak do modlitwy. - Panie, przyjmijcie mnie dzisiaj! To będzie tylko chwilę trwało. Pan rejent popatrzy się na mapkę i już wystarczy.

Urzędnik zmrużył oczy, machając ręką. - Nie zawracajcie głowy. Ja także jestem człowiekiem, mnie także należy się obiad. Chyba mam prawo odpocząć po urzędowaniu. I trochę pomieszkać - gniew jego wzrastał z każdą chwilą, jak u choleryka. - Co wy sobie myślicie? Że urzędnik to koń, który cały dzień orze bez wytchnienia? Przyjść jutro rano! O ósmej!

Święty by nie wytrzymał. A chłop nie był świętym.

- To taki zaszary urząd jest? - huknął. - Ja tu czekam od samego rana, kiedy biuro było jeszcze zamknięte, a pan mi każe przyjść jutro? Przyszedłem spod Babiej Góry i pół dnia straciłem na czekanie. Dwadzieścia cztery kilometry zrobiłem piechotą po próżnicy! Jeszcze ciemno było, jak wyszedłem z domu! I teraz mam z niczym odejść? Niech was szlag trafi z takim urzędowaniem!

Pisarz zawołał policję, zabrali Maziarza na komisariat, spisali protokół.

Wracał z miasta ponury i struty. Przez cały czas nie wziął nic do ust, mimo że miał w kieszeni pajdę czarnego suchego chleba. Nawet jeść mu się nie chciało ze zgryzoty. Wlókł się na Głuchaczki ponad cztery godziny. Wstąpił do domu Mitanów i opowiedział Ślepkowi swoje zmartwienie. Ślepek zaś przed spaniem wtajemniczył Jaśka w Maziarzową przygodę. Nazajutrz Jasiek był u Wojnara i nie zrobił z tego tajemnicy, odtwarzając przed zebranymi barwną rozmówkę mieszkańca Głuchaczek z żywieckim pisarzem hipotecznym. Śmiali się wszyscy do rozpuku.

- Ale powiedział mu do słuchu parę słów, jak trzeba było!

- Posiedzi sobie za to - zakrakał Wojnar melancholijnie. - Z miesiąc lub dwa za obrazę urzędnika w służbie. Gdy chłop w rozdrażnieniu coś powie, zaraz protokół i rozprawa. A jak urzędnicy odnoszą się do chłopca? Jak do bydła. I nie ma się komu poskarżyć.

Kiedy Wojnar mówi, ma usta złożone jakby do uśmiešku, lekka a gorzka ironia zabarwia jego słowa. Jasiek z przyjemnością wsłuchuje się w ten głos spokojny, męski, pozbawiony nasilonej krzykliwości Stachonia.

- Mój dziadek mówił - odezwał się z progu śniady, krępy góral - że starosta żądał od nich trzech dni obróbki tygodniowo z roli, a naród miał obowiązek odpracować tylko dwanaście dni do roku. Tak ustanowiła cesarzowa Maria Terecja.

- A jakże! - potwierdził kruczowłosy Błaszczyk, siedzący pod sztachetami ogródka. Był ładny dzień, siedzieli więc sobie pod chałupą na słońcu. - Moja babka, świeć jej, Panie Boże, nieboszczce, musiała nosić do wójta nie tylko kury i gęsi, ale gonty i przędzę.

- Moi dziadowie zdechnąć tu chcieli za starosty Komorowskiego. Musieli na Orawę uciekać, boby ich był zeżarł z imentem. Dopiero od ojca myśmy wrócili do naszych gruntów.

To mówił sędziwy koszarawski chłop o siwych włosach, sięgających karku, doskonały lekarz chorób koni i bydła. Przyjeżdżały po niego furmanki spod Zwardonia i Wadowic, taką miał sławę. Jego przodkowie byli poddanymi z bożej łaski pana starosty żywieckiego. Któryś z jego dziadów uciekł z robót. Schwytano go i ówczesnym zwyczajem hajducy starościńscy oznaczyli go piętnem hańby. Wypalono mu gorącym żelazem literę „U” na czole, jako zbiegowi. U - na znak, że uciekł. Pomimo to góral po raz drugi zwiął za granicę na Orawę. Od tego poszło ich nazwisko: Upalony. I tak miano tej rodziny dotrwało do dziś dnia na wieczną hańby pamiątkę.

- Mało się zmieniło od tego czasu - zakonkludował Wojnar. - Teraz nie nosi się baranów ani zboża, ani gęsi, tylko pieniądze; to na jedno wychodzi.

- Albo na gorsze - rezonował Upalony. - Bo gęś jeszcze przychowasz, a pieniędzy nie nadoisz znikąd.



- I jak w terminie nie zapłacisz, to egzekucja. Niech ci braknie pięćdziesięciu groszy, grunt ci sprzedadzą.

- Rany Boga! - jęknął któryś. - A ceny ciągle spadają. Czytaliście w gazecie? Za sto kilo żyta ozimego kupcy płacą dziesięć złotych. Nie pozostaje nam nic innego, jak tylko powiesić się i zdechnąć.

- Kupisz liche buty pasterzowi na jarmarku i metr żyta w okamnienu pękł.

- Za metr żyta buty!

- niesprawiedliwość i tyle! Ładnych czasów doczekaliśmy się, zła krew! - chłopcy strzykali śliną zza zębów, poglądając w błękitne, rozświetlone niebo, jakby spodziewając się stamtąd jakiego znaku. Ale znak nie przychodził. Zaczęli się więc zabierać jeden po drugim. Przeciągali się w barach, bo im się zasiedziały kości, trzaskali na palcach rąk. Ciepło grzało im odsłonięte karki. A i od wspólnego biadania nad krzywdą dawną i obecną zrobiło się im także ciepło.

Jasiek zagospodarował się na dobre u Ślepka. Izba była niska, powała, zdawało się, lada chwila zwali się na siedzących. Ławy chropawe, obrazy rzędem ustawione pod pułapem; można ich dotknąć wyciągniętą dłonią. Jezus zakurzony, upstrzony od much, rozciąga ręce na krzyżu, już, już, myślisz, zleci na ławę. Ściany nie bielone; była to izba czarna, czyli piekarnia. Łóżko Ślepka stało pod ścianą między oknem a drzwiami. Naprzeciw w kącie zmajstrował sobie łóżko Jasiek i nakrył ciemnym, włochatym kocem. W drugiej izbie, mniejszej, lecz widniejszej, spał Mitana z żoną. Tu już były dwa okna, zasłonięte rozłożystymi fuksjami, które zakwitwały w najmniej spodziewanych porach. Tu już bielilo się parę poduszek na łóżkach.

W tej chałupie żyje jeszcze stara bieda. Gdzie indziej mleko kwasi się w blaszanych garnkach, kapustę gotuje się w glinianych. Niżej w Jeleśni wiszą w kuchniach piękne polewane półlitrowki z blachy, garnuszki z fajansu lub nawet z porcelany. Tu pokutują jeszcze kamienne i żelazne gary, gliniane garnuszki i jeden pośród nich, arystokrata, fajansowy, nadłuczony, pamiątka z wizerunkiem Kalwarii Zebrzydowskiej. Gdzie indziej jada się łyżkami metalowymi, tu jeszcze mają drewniane. Ślepek i Maziarz palą po dawnemu fajki, ale młode pokolenie papierosa z gęby nie wypuści.

Jasiek pomógł Mitanom skosić i zwieźć drugie siano z górnych łąk. Były dwa konie na całych Głuchaczkach: Maziarzów i Klimców. I nimi opychano robotę przez cały rok na sześciu gospodarstwach.

Zza Babiej Góry przycwałowała ciemna chmura i zawisła nad polaną. Właśnie ukończyli robotę w stodole. Zaczęły spadać rzadkie, ciężkie, duże krople jak poziomki. Jaśka

ścisnął lęk przed gniewem przyrody.

- Będzie grad.

- Tu nie spadnie - uspokoił go Ślepek.

- Dlaczego?

- Bo ja mam syna przy gradzie.

- Jak to?

- Ho, ho, będzie temu z piętnaście lat, jak mój Bartek jechał zimą do lasu kraść drzewo. Zwaliła się na niego przy ścinaniu jodła i zabiła. Na wiosnę śnił mi się syn i powiada we śnie: „Tatusiu, wszyscy my, co nas tam na świecie w lesie pobiło, służymy teraz przy gradzie. Robimy w lecie grad, rozwozimy go chmurami po niebie i sypimy nim po polach. Ale ja już będę uważał na was, tatusiu, żeby wam tam pod Mędralową, gradu nie sypać”. No, i nie mieliśmy tu od lat gradu - uśmiecha się Ślepek. - Na dole w Jeleśni był, a jakże, wszystkie owsy wymłócił. U nas nie.

- To syn taką protekcję wam wyrobił w górze? - Jasiek układa wargi w ironiczny grymas.

- Ma się rozumieć. Sam mi to mówił - odparł poważnie starzec. - Któregoś lata słyszałem na własne uszy mojego syna, jak zaklinał chmury i kłócił się z innymi planetnikami, aby nie spuszczały gradu nad Słuchaczkami. A oni jęczeli, że już nie mogą utrzymać ciężaru. Kłócił się z nimi, aż huczało. I poszli z chmurami na zachód, aż za Żywiec, i tam wysypali grad. Okropne szkody tam porobili.

Ślepek rzadko się uśmiechał i nigdy nie grzeszył gadatliwością. Przed jednym Jaśkiem otworzył usta i serce. Niegdyś o takim wnuku marzył. Zanim pokładli się spać, wychodzili przed chałupę, siadali obaj na pniu i milcząc, palili tytoń.

- Kiedy tak idę nocą - odezwał się młody - i patrzę na gwiazdy, czuję, że ktoś z czarnego nieba spogląda na mnie i widzi, jak się przemykam między drzewami. Jak myślicie, dziadku?

- Każdy człowiek ma w górze swojego ducha, który go śledzi dniem i nocą. Przed nim się nie skryjesz nigdzie.

- Nieraz mi się zdaje, że ten duch mnie woła z góry: Chodź do mnie. I śmiałość taką od tego mam nocą, że łąziłbym po ciemku lasami jak wilkołak. Bo duch czuwa nade mną. A smreki to moi bracia. Kto wie, może tam lepiej w górze?

- Życie przed tobą stoi otwarte, jak polana nie zżęta na wiosnę. Co opowiadasz!

- Dziadku, tak źle na świecie, że się rzygać chce.

- Nie przejmuj się tym. Tak było i tak będzie. Rób, co ci przeznaczone.

- Żeby się to dało!

Młodzik pluje, starzec kaszle. Zarysy gór zlały się w jedno z ciemnością. Tylko nad pniem żarzą się ogniki: z fajki i z papierosa.

Przy wąskim ogarku księżyc, co chwila zaciemnianym przez szybujące chmury, wstąpił Jasiak na szlak południowo-zachodni. Szedł do Mutnego, skąd miał odebrać przemyt z Namiestowa dla Berka. Od pewnego czasu koszarawski szynkarz (zresztą syn jeleśniańskiego Habera) powierzał Jaśkowi Dziurze swoje zlecenia na Orawie, mając do niego większe zaufanie niż do Juraszka, a przede wszystkim wierząc bardziej w jego szczęśliwą gwiazdę.

Pod nogami grunt był mokry od ostatnich deszczów. Między Pilskiem a Opalenicą brodziło się po kostki w moczarze leśnym.

„Psiakrew, jak ta ziemia rozmiękła!”

Tu żył pierwotny bór, nie uregulowany ludzkimi prawidłami. Od wieków kwitł i gnął na tym samym miejscu. Konarami obrastały drzewa już od ziemi, a dołem rosło morze wszelakiego zielska, paproci, łośpuchów. W splątanym gąszczu drzewo wyrastało z drzewa. Z próchna umarłego olbrzyma wydzwiga się w górę młody, prężny smrek. Usiłowały go przewyższyć pokrzywione krzaki, wdzierające się pod jego gałęzie. Wszystko, co żyło, pchało się do góry, walcząc o światło w dzikiej, ciemnej gospodarce żywiołu. W największej ciemni, dołem, mech wyścielał wilgotną glebę, szczęśliwy i nie deptany niczymi stopami. Ani człowiek, ani gruby zwierz nie przecisnął się tędy, chyba czasem zaplątał się w tej kniei ryś, zielonooki straszliwy kot leśny. Zapędzał się tu nieraz za kuną.

Szarzało już nad Pilskiem, gdy Jasiak stanął na długim grzbiecie góry, zwanej Paździorną. Znał ten przypłaszczony szczyt, porośły skarłatymi świerczkami. Niżej, pod kamienistą bulą, było źródło lodowatej wody, pobudzającej apetyt, stąd ochrzczone Głodną Wodą. Zawsze, ilekroć szedł tędy, nie omieszkał się jej napić.

Mutniański przemytnik, dawny znajomy Jaśków z trzech jego poprzednich pobytów, czekał już z partią gotowego towaru. Jasiak przespał cały dzień w sianie na strychu, po czym, ugoszczony kolacją, zabrał się z powrotem. Była gęsta, czarna noc, niebo pokryte chmurami. W ciszy zerwał się ciężki trzepot skrzydeł wśród gałęzi. To drapieźnik puchacz polował na jeże i myszy. Drobne ptactwo z szumem śmigало między drzewami w ucieczce. To na pewno puchacz; on nie popuścił słowikom, gilom ani drozdom.

Młodzieniec rozmyślał po drodze o dziewczynach: o Walerce, o Maryśce, o Zośce. Na ostatku o Zośce. Chyba ta dziewczyna nie pragnie go chwycić za męża. To byłoby okropne. Stracić wolność! Chociaż stracić wolność przy takim stworzeniu? „Cóż użyłem? I związać się

na ślub, na dzieci, na amen, do końca życia, o, rany boskie! To nie dla mnie." Każda dziewczyna chodzi z chłopcem po to, aby prędzej czy później wydać się za niego. Tak było zawsze i tak jest. Jedną chyba Agnieszka Juraszkówna w całej Polsce stanowi wyjątek. Zdenerwował się i porzucił ten niewdzięczny temat. Zaczął myśleć o Stachoni, o Juraszkach, o Mitanach, o Ślepku. Aż myśl jego zatrzymała się na Wojnarze. Jasiek Ignął ku niemu coraz silniej. Jego jednego rozumiał w tym środowisku. Nieraz, kiedy obserwował naokoło siebie głuchaczkowe, przyborowskie, jeleśniańskie życie, zapytywał sam siebie ze zdziwieniem: „Kim są ci ludzie? Co mnie to wszystko obchodzi? Skąd ja się tu wziąłem?" Pochodziło to stąd, że zawsze, od urodzenia, był samotny. I tak wyostrzył w dali od ludzi swe marzenie, że żył zgoła innym światem i zetknięcie z gorzką rzeczywistością raniło go boleśnie. Przez siedemnaście lat przyjmował wszystko, co się działo wokół niego, z obojętnością, później z obrzydzeniem, a jeszcze później z bólem wewnętrznym. Patrzył z odległości jak postronny widz na walkę ludu ze wszystkim, na mękę, na zacołanie, na chaos. Więc to jest życie? Dziwne to było u niego: syn i wnuk bezprzykładnej nędzy, który nie chciał gnić pośród ciemnoty i łajna, który uciekał od ludzi w lasy. Jakby gniewał się o ten nieodpowiedni przydział w życiu. Lecz nie buntował się; uchodził od odpowiedzialności.

Dopiero od paru miesięcy, nie bez wpływu Wojnara, zaczął dojrzewać myślowo i dociekać przyczyn swojej obcości. - Człowiek siedzi pod strzechą, zje ziemniaki, napycha brzuch, marnuje życie, zmęczy się i umrze, nic nie zrobiwszy - mówił przywódca jeleśniańskich ludowców. - Tobie nie wolno zmarnieć. Ty mógłbyś dużo zdziałać.

Jasiek nie myślał o tym nigdy, bo i po co? Kiedy się ma lat osiemnaście, czy można się nad tym zastanawiać, zwłaszcza jeśli się było dotąd pastuchem przy krowach? Teraz wyraźniej przypatrywał się ludziom: wydało mu się naturalne, że powinien wziąć udział w ich bólu i walce. Nie można się od tego wymigać - uczył Wojnar. - To byłoby tchórzostwo. Czymże będzie jego życie, jeśli nie zwiąże go z nimi, jeśli w jakiś sposób nie będzie wpływało z ich wspólnoty? Beznadziejną włóczęgą, awanturniczym próżniactwem. Samotność? To dobre dla bernardynów - dowcipkował Wojnar. Więc tak wygląda życie! Przecież nie będzie się ciągle chodziło z kontrabandą ani kradło państwowych smreków do śmierci. Ani tańczyło z dziewczkami u Habera.

Na rozmyślaniach zeszała mu cała noc. Tylko połowę uwagi pochłaniały myśli; jednocześnie napinał czujność, zmysły i wolę. Znów brnął w mokradłach Opalenicy, w nawiedzonym nieraz przez strażników ryzykownym miejscu, z którego podnosił się właśnie kwaśny opar wilgoci. Gładko przebył szlak; nad Tatrąmi powstawały zarysy brzasku. Na Jałowieckiej Przełęczy zaległa mleczna, gęsta mgła. O świcie wkraczał w obejścia

Głuchaczek, w trwożne pianie kogutów. Mitanka, wczesnoranny ptaszek, już ruszała się po izbie. Wlazł na strych stodoły i usnął. Tego samego wieczora Berek w Koszarawie otrzymał swój transport, a Jasek dostał umówione czterdzieści złotych. Kupił papierosów i kiełbasy, urządził u Ślepka ucztę, na którą zaprosił oboje Juraszków.

Słońce zachodziło tego dnia szkarłatnie. Naokół, gdzie spojrzeć, ciemniała jednostajna gęstwa świerkowa. Ledwie w dolinie Jasienicy i na Wężowcu wybijały się żółciejące już plamy buków. Co minuta rosło natężenie czerwieni, przeraźliwie jaskrawe. Długimi pasami układały się chmury w krwawe widowisko. Jakby cała Orawa stała w ogniu. Aż odbłask łuny położył się na krajobrazie. Ślepek wyszedł przed próg, wlepił zmrużone oczy w płomienisty zachód.

- Jutro będzie wielki wiatr.

Nietrudno to było zresztą przepowiedzieć, jeżeli taka pożoga rozlała się po niebie.

- Powietrze coś za bardzo przejrzyste - dodaje Jasek. - Będzie deszcz. Po liściach zgaduję słotę na jutro - podszedł do młodej brzoźki, urwał gałązkę. - Popatrzcie, dziadku, jak te listki stężały i stwardniały. Dotknijcie palcem. Trzymają się sztywno napięte, jakby je kto nastroszył. Tak zawsze jest na deszcz.

Zachód już dogorywał, górą na niebiesko, dołem na liliowo. Ślepek trzymał w ręce liść, ważąc długo słowa w myśli. Miał twarz proroka, spojrzenie siwe, ostre, jastrzębie, brwi krzaczaste, zrośnięte nad nosem.

- Tyś taki sam, Jasek, jak ten listek. Chudy, cienki - miał w palcach miążgę roślinną jak papier - delikatny. Byle wiatr dmuchnie, już w ruchu. Same nerwy.

- Kto wie, może i przyszłość umiem przeczuć, jak liść burzę? - twarz rozjaśniła mu się chłopcym uśmiechem. - Więc powiadacie, zem jak brzoźowy listek? Taki nerwowy? Niech będzie - popatrzył dalekim, niedosiężnym wzrokiem w ścielący się nad borem zmierzch. - Podobno Kubisz spędza jutro owce z Jałowcowej. Dlaczego tak prędko?

- Dzień już krótki, nocą zimno, a po wsiach zacznie się robota koło ziemniaków.

Istotnie, nazajutrz, jak przepowiedział Jasek, przyszedł deszcz z wiatrem. Agnieszka wyszła z sieni z owiniętą twarzą. Uważała, że jej ból zębów był związany z niepogodą. Właśnie o tym rozprawiała z Mitanką. Mówiły do siebie na odległość, z chałupy do chałupy.

- Możliwe, że ci od słoty te dziąsła puchną - przyświadczała Agnieszce sąsiadka.

- Na pewno, bo jak jest ziąb, to mi gębę chce roznieść z boleści.

- Kto wie, czy cię kto nie zazonął z tymi zębami. Czy wiesz, Agnieszka, że czarownica urzekła mi mleko?

- Co ty mówisz? - zaciekała się Juraszkówna. O, to było coś dla niej.
- Krowa mi się nie doi od wczoraj wieczora. Nie popuści ani kropli z cycka.
- Obracałaś garnek uchem do ognia? - padło fachowe pytanie.
- A jakże! Trzy razy. Nie pomogło.

Tu zniżyła głos i syknęła poprzez chałupy: - To robota Naściuli - a potem dodała głośniejszym głosem: - Nawet szpilki wsadzałam do powąski i rozłożyłam na skopcu. Nic. Nie strzyknęła ani kropelki.

- Nie inaczej, tylko Naściula musiała ci odebrać mleko.

Jednocześnie przyznały rację swoim domysłom. Naściula, która zajmowała najniższą chatę na polanie, żyła wraz z synem w odosobnieniu, na uboczu. Była wdową. Miała jednego syna, ale się jej nie udał. Był bowiem kaleką od urodzenia. Jedną rękę i jedną nogę miał skręcone w tył; robił poza tym wrazenie matołka i mówił niezrozumiałym bełkotem oraz błyskał przeraźliwym zezem w jednym oku. Siłę miał za to olbrzymią. Najmował się do rąbania drzewa. Lewą, kaleką ręką, dłonią w kułak niezgrabny zarosłą podtrzymywał polano z wbitym w nie siekierą, unosił prawicę w górę i opuszczał w dół ciosem straszliwym, który mógłby rozłupać żelazo.

Obie kobiety chętnie rzuciły na Naściulę podejrzenie o złe uroki. Nie przeszkodził temu nawet fakt, że Naściula krytycznego dnia przebywała u swej zameżnej siostry w Przyborowie. Mitanka posłała pod jej adresem całą litanię soczystych przekleństw i nieprzyjemnych życzeń, z których najdelikatniejsze dotyczyło złamania nogi. Kiedy jednak w południe krowa niespodziewanie przypomniała sobie zaległe obowiązki, Mitanka sfołgowała nieco w nienawiści do Naściuli, bynajmniej zresztą nie uwalniając jej od winy zaczarowania bydłęcia.

- Przeleżała się widocznie, zem jej ruszyła męża w grobie, i odczyniła urok.

Jaskółki nisko szybowały nad ziemią. Mimo słoty Jasiek łąził po lasach sosnowych na Dzielicy, opatrując zastawione wnyki. Był wczesny ranek październikowy. Z obmokłych polan wznosił się uparty śpiew skowronków. Gile dziobały ziarnka jałowców. Szczygły urządowały na ostach.

Zboczył na wschód do Cichego. Zośka dojrzała go z daleka. Widzieli się krótko; nie miał czasu. Przymykał oczy, objęty jej pieścizotą. Spod zwieranych powiek wypływał blask, który ją urzekał. Kochała go za to spojrzenie. Szedł od niego chłód, który rozpalał.

We wnykach nie było nic. Ruszył ku Mroźnej Szczelinie, gdzie miał ukrytą strzelbę; już zdążył kupić dwie od Bronka. Sprzyjało mu szczęście tego dnia; zabił lisa. Sam sobie nie

mógł dać wiary, że mu się tak poszczęściło. „Będzie z dwadzieścia złotych za skórę”. Schował puszystą sztukę do torby, przywarował z godzinę pod Wężowcem. Nasłuchując, czy huk strzału nie zwabił przypadkiem gajowego. Ukrył następnie strzelbę na zwykłym miejscu i wracał spokojnie do domu. Na pół kilometra przed polaną wybiegła mu na spotkanie Filomena od Juraszków.

- Nie idź teraz do domu, Jasiu - mówiła zziębnięta. - Ciotka Agnieszka powiedziała, że gajowy czeka na ciebie pod chałupą. Mówi, że będzie u nas nocował, jakbyś do wieczora nie przyszedł. Ma do ciebie interes, tak powiada.

Pogłaskał ją po zmęczonej twarzy. - Idź do domu. Wszystko będzie, dobrze. Ciotce powiedz na ucho, aby leśny nie słyszał, żeś mnie widział. Gdzie on czeka?

- Siedzi na ławce koło okna. Na pogródcie.

Od razu zawrócił, wsiąknął w buczynę, obszedł bokiem, ostrożnie od dołu wyłaniając się z lasu. W górnym kącie polany widniała chata Juraszków z przylepioną do niej stodołą, trochę opodal szeroka chałupa Mitanów i ustawiona na poprzek stodoła. Bystre oko Jaśka dostrzegło gajowego w ciemnej kurtce, obciśniętej żółtym wojskowym pasem. Przechadzał się z rękami w kieszeniach od Agnieszczynego domu ku stodole. Jasiuś uśmiechnął się pod nosem.

- Możesz sobie tam czekać, bratku.

Wpuścił nabitą torbę pod surdut, pochylił się i złamany wpół nabił od lasu wprost na chałupę Maziarza, leżącą w dolnym rogu polany. Powiedział Maziarzom, jak i co, schowali mu natychmiast torbę z łupem na strychu, w sianie. Za pięć minut maszerował rześkim krokiem po ścieżynie biegnącej od przyborowskiego koszar i, gwizdząc wesoło, zdążył w górę do Mitanów. Ręce w kieszeni, głośnym gwizdem zwracał na siebie uwagę gajowego. Ten zgłupiał, widząc, że podejrzany przez niego kłusownik nie wychodzi z lasu, lecz od dołu polany, to znaczy wraca ze wsi.

- Dzień dobry, panie Dziura - zagadnął go. - A skąd to Bóg prowadzi?

- Z dołu - odparł powściągliwie młodzian. - Idę z Krzyżowej. A co?

- Nic. Tylko cały dzień nie było cię w domu, więc byłem ciekawy, gdzie chodziłeś. Bo słyszałem strzały w lesie.

- Co mnie to obchodzi? Wyście gajowy, od tego jesteście, aby słuchać, kto strzela. Może to strzelał wasz kolega, Leś z Korbielowa? - zagadnął bezczelnie z głupia frant.

- Nie rób z siebie wariata, Dziura - wybuchnął gniewnie gajowy. - Gdzieś był?

- Powiedziałem wam, że w Krzyżowej. Cóż to? Protokół policyjny ze mnie ściągacie? Nie wolno mi chodzić, gdzie mi się podoba?

- Nie udawaj. Wiesz dobrze, o co pytam.

- Byłem u jednej kobiety w Krzyżowej, która mi winna piętnaście złotych, com jej pożyczył zeszłego tygodnia w Żywcu. Chodziłem odebrać dług.

- Odebrałeś? - pyta tamten drwiąco. Mruży oczy, lustruje postać Jaśka. „Jaki on, psiakrew, chudy - myśli. - Nic nie ma przy sobie, to pewne.”

- Odebrałem - śmieje się chłopiec, patrząc mu śmiało w oczy. - Ale tylko część. Resztę zostawiłem sobie na później. My mamy ze sobą stare porachunki. Porachunki stare - powtórzył - ale kobieta młoda. U takiej lepiej sobie trochę zostawić na potem, żeby było jeszcze raz po co przyjść.

Gajowy był wściekły w swej bezsilności. Podejrzewał, wiedział niemal z pewnością, że Jasiek wraca z polowania. Był przekonany, że go zaskoczy z łupem, tymczasem nie złapał go na niczym. Strzelby ani nawet torby nie miał przy sobie, zdobyczy nie niósł żadnej, a w dodatku przychodził nie z lasu, lecz ze wsi. Nie można mu nic udowodnić. Splunął ze złością, wziął strzelbę spod ściany, zarzucił na ramię i jął zstępować w dół Przyborowa. Wyjął papierosa z kieszeni, zapalił. - Szajka bandytów - mruczał.

Istotnie, na gajowych miał Jasiek swoje sposoby. Nieraz leśny zasadzał się koło górnego koszaru nad Krzyżową albo koło Gronia Niesłychanego pod Mędralową, czekając, aż kłusownik będzie wracał ze zwierzyną. Ale on zawsze potrafił ominąć zasadzkę. Miał słuch wyostrzony do ostatnich granic. Potrafił po chrzęście gałązek wyczuć rodzaj zwierza. Pasterze byli w zмовie z Głuchaczkami. Gdy tylko strażnicy albo gajowi kręcili się w okolicznych lasach, wznosił się suty ogień na polanach. Jeśli niebezpieczeństwo było tuż, tuż, chłopcy nakrywali ogień świeżą choiną; kłębił się wtedy gęsty, biały dym pod niebo, sygnalizując wiadomość kłusownikom.

Któregoś dnia Jasiek Dziura znowu narobił ruchu w Przyborowie. Wracał właśnie z Jeleśni, gdzie załatwiał sprawunki w sklepie Pasika. Po drodze wstąpił do starego Tramka, a po wyjściu z jego chałupy poczuł nagle ochotę na jabłka. Nie namyślając się wiele, wskoczył do niedalekiego sadu Chwastka, natrzepał sobie kilkanaście jabłek. Na to Pan Bóg nagodził owoce w jesieni, aby ludzie mieli co jeść, mawiał wszakże Ślepek. Ale Chwastek był innego zdania i zdanie to, co gorsza, podzielał jego syn, zięć sołtysa Kamienieckiego. Po sprzeczce, krótkiej, lecz gwałtownej, zabrali się do bitki. I Jasiek nadwerżył trochę obu chłopów. Kiedy szedł w stronę koszar, zasadziło się na niego pod Gajką trzech podmówionych parobków z bukowymi łagami (wiedzieli, że zawsze tędy wracał na górę). Przeszedł im pod nosem, nie



zobaczyli go. A właściwie zobaczyli go, lecz jakaś nieznana siła unieruchomiła ich w miejscu. Nie ruszyli kijami, coś im związało ręce i nogi.

- Inkluzja ma - szeptała przerażeni na wspomnienie dziwnej przygody.

- Tak, tak - perswadowała akuszerka Kościółkowa. - On z planetników jest. Po oczach widać, że pochodzi z dolnego nieba.

Skąd przyszedł? Nikt nie wie. Gdzie jego ojciec? Matka? Sierota - powiadają. Lud chmur go tu przysłał. Góry z chmurami dobrze żyją. Trzeba się mieć przed nim na baczności. Kościółkowa była wprawdzie pijana, lecz słowa jej w Przyborowie nie podlegały dyskusji (jedna Turcula stanowiła wyższy nad nią, bezsporny autorytet). Piła rzadko, lecz umiała popić tężej od chłopca. Twierdziła, że zdrowie ma od tego żelazne. Istotnie, nigdy w życiu nie chorowała.

Wojnar niechętnie przyjął do wiadomości wyczyn Jaśków. Dla paru jabłek pokaleczyć dwóch chłopów? Narazić się sołtysowi Kamienieckiemu?

- Ej, Jasiek, Jasiek! Co ci przyjdzie z tego rozbijania?

I znowu rozpoczął swoje apostołskie gadanie, jak to Wojnar: spowiednik nawracający grzesznika. Naturalnie, wszystko skończyło się na polityce.

- Siłę nie na próżniactwo obracaj. Nie będziesz zawsze łobuzem. Szkoda cię.

- Nie wódcie mnie na pokuszenie. Kocham swobodę.

- Życie to ciężka walka, mój chłopcze. Aż nieraz człowiekowi brzydnie.

- Życie jest piękne. Nie wierzę wam.

Niedawno mówił Ślepkowi, iż na świecie jest tak źle, że się rzygać chce. Co ten chłopiec naprawdę myśli?

Jesień w Beskidzie jest długa i zła. Deszcze i błota. Błota i deszcze. Wyjątkowo na nowiu Pan Bóg wykroił z chmur parę dni pięknych i pozbawionych opadu.

W Przyborowie kopano ziemniaki. Wiał ostry, lodowaty wiatr od Babiej Góry. Te wschodnie wiatry szpik człowiekowi z kości zdolne wytrząsnąć. Co chwila skostniała kopalnia prostowali plecy i bili się rękami po łopatkach jak podczas najcięższych mrozów. Przez trzy dni pomagał Jasiek kopać ziemniaki Maślinie w Cichem. Podarował matce i córce dwie grube chustki-odzieżaczki w brązowe kraty, które zamówił u gajowego Liska na Orawie. Piękne, bo zagraniczne; przedmiot dumy właścicielek, cel zazdrości innych kobiet.

Pomimo zimna pogoda była słoneczna, a zbiory ziemniaków dobre. Jarzębiny grzały się kępami czerwonych koralików, a na bukach jeszcze żywo płomieniały nie opadłe liście. Śpiewaki jednak odleciały z lasu, ściągając w dół ku sadybom ludzkim. Kwiczoły

gromadkami zapadały w jałowce, a wieczorami rozróżniał Jasiak w kosodrzewinie głos koguta cietrzewia. Na wyrębach uwijały się przepiórki. Rwało się serce do polowania. Przy opatrywaniu wnyków zajęczych spotkali Bronka, płatającego się ze strzelbiną nad potokiem. Umówili się na wspólnego smyka na dzień następny. Spuścili jarem trzy piękne jodły, okorowali, porznęli na pół, schowali pod stodołę. Na drugi tydzień Jasiak miał znowu chód na Orawę. Obiecał Zośce kupić jedwabną kwiecistą chustkę na głowę, jakie noszą tamtejsze góralki.

W niedzielę obchodzili Juraszkowie imieniny ciotki; miała na imię Urszula. Władek, choć jej nie lubił i podawał w wątpliwość jej krewieństwo, uważał ten powód za dobrą okazję do popicia. Wyłożył dwie dziesiątki, Jasiak dał drugie tyle, nakupili papierosów, wódki, kiełbasy, Agnieszka napięła chleba. Zapowiadała się uczta. Zaproszono oczywiście Bronka. Przyszedł rano, niosąc pod kurtką skruszałego zająca.

Agnieszka miała dobry humor tej niedzieli. Ukazała twarz radosną, niemal w uśmiechu, w każdym razie nie spuchniętą. Zadowolona, błyskała oczyma na swego konkurenta. Nie po raz pierwszy przynosił jej mięso z leśnych łupów. Wszystko dla jej szarych oczu. A właściwie dla jej chałupy. Napili się wódki, podjedli, znów powrócili do picia. Zaproszono Mitankę z sąsiedztwa. W izbie zrobiło się mglisto od dymu, niewiasty zaczynały widzieć wszystko w wielorakich kształtach. Biesiadnicy jęli sobie docinać śpiewem.

Szybko zapadał zmierzch. Chata Juraszków dudniła od śpiewu, nawet solenizantka wydzierała się jak szalona, nie bacząc na powagę wieku. Pызaty miesiąc wylazł na niebo, kiedy troje ludzi wytoczyło się z obejścia. Jasiak opuszczał zabawę wraz z Mitanką, zgoła podciętą, sam ciężki od picia, lecz wesoły od śpiewu. Broniek skręcił w dół na Koszarawę, lekko chwiejąc się, choć łeb miał do pijatyki jak mur. - Nawet pies, psiajucha, nie zaszczeka. Aż głupio się człowiekowi robi, psia jego mać - kwękał, obsikując beztróska płot pod chałupą. Kto wie, może w bliskiej przyszłości będzie to jego własna chałupa? Jasiak obliczał przed spaniem i klócił się ze Ślepkiem, ile dostanie od Habera za trzy skórki zajęcze, które Mitanka suszyła za piecem. Bolała go głowa; musiał wypić trzy kieliszki. Nie cierpiał wódki, nie smakowała mu nigdy, ale jakże nie wypić w towarzystwie? Obrażą się. Księżyc zanurzał swój żółty krąg ponad Mędralową, kiedy Broniek dowlókl się do domu. Obalił się na drzwi, wołał wszystkich z wewnątrz po imieniu, szarpał klamką, o mało zawiasów nie wyrwał. Szwagrowa wpuściła go; położył się na łóżku w ubraniu i tak zasnął. Słyszała go stara Maślina, gdy darł się, przechodząc koło jej obejścia. Zośka Maślowska przewracała się właśnie wtedy niespokojnie pod kocem, śniąc o Jasiu z Głuchaczek.

Późna jesień. Zbliża się pora wielkich łowów.

- Zwierz jeszcze przy warował w gąszczach. Gdy tylko zrobi się zimniej, zwierzęta powyłażą w las, zaczną się gonić. Krew zacznie je grzać. Wtedy dopiero będziemy strzelali!

Władek, zażarty myśliwy, był dzieckiem w porównaniu z przyjacielem. Jasek miał węgł gończego psa, a oczy rysia. Widział doskonale na kilkadziesiąt metrów w głąb boru. W trafności strzału i w podchodzeniu do zwierza przewyższał nawet Bronka. Wybierał się często na zwierza z Misiółkiem z Krzyżowej, który przez rok chodził z arcyksięciem żywieckim jako kierownik nagonki. Misiólek znał wszystkie odcinki puszczy i orientował się znakomicie w obyczajach gajowych. Jak każdy góral, miał z natury pociąg do pukawki. Od wczesnych lat zaprawiał się do strzelectwa, jako chłopak posługując nadleśniczemu. Zostałby już dawno gajowym, gdyby nie to, że był pijaczyną. Nadleśniczy, choć go lubił, żywił słuszne obawy, iż pod opieką Misiółka wytepieno by wszelką zwierzynę w rewirze, a prym w tej robocie dzierżyłby zapewne sam gajowy. Podczas wojny światowej zbiegł Misiólek w góry, uchylając się od służby wojskowej. Poszukiwała go żandarmeria austriacka, on zaś pędził sobie spokojne i swobodne życie w borach po stronie naówczas węgierskiej. Krewni przynosili mu co pewien czas żywność, składając ją na umówionym miejscu. On sam miał strzelbinę, ukrytą w dziupli starego świerka, toteż nieraz coś świeżego upolował. I tak przeżył dwa lata, aż się rozpadła stara wielojęzyczna monarchia. Teraz zażywał wielkiego miru w gromadzie, choć kłusownictwa nie porzucił - a może właśnie dlatego.

Dziki tego roku trzymały się dość nisko. Przyborowianie znali dobrze ich ostępy. Między Przegibem a Czatożą, gdzie wznosiła się gęsta knieja samosiejnej jedliny, w gąszczach poprzerzynanych jarami opatrywano ich legowiska. Misiólek znał odyńca, który miał stale barłóg w jednym miejscu, w kępie olchowych krzaków, niedaleko strumyka wśród dzikiego chmielu. Zwierzę poznawało wyraźnie miejscowych chłopów, nic sobie nie robiło z leśnego, ostro jednak strzygło uszami i darło w las na widok obcej postaci. Bywało, iż Misiółków odynec leżał nieraz nie dalej jak dwieście metrów od rębaczy spuszcających jodły do ryzy pod Jałowcową. Tej jesieni dziki zaległy przy wsi w parowach zarosłych leszczyną, a nocą schodziły na żer w kartofliska, kontrolując dokumentnie pracę kopaczy. Jeden dzik padł w tym miesiącu na Głuchaczkach z winy Jaśka i Władka. Oczywiście, stało się to w najgłębszej tajemnicy, ale wszyscy wiedzieli o tym. Gorzej, znalazł się ktoś usłużny, kto zdał Juraszka, że miał jakoby w tym udział (Jaśka lubili wszyscy bez wyjątku, a może bali się go). Juraszek dostał wezwanie do sądu o kłusownictwo. Wyparł się, że nigdy ze strzelbą nie chodził. Puszczone go wolno, tylko na dwa tygodnie oddano pod nadzór policyjny. Ile razy chciał wyjść z Przyborowa, musiał meldować sołtysowi, dokąd idzie. Zmyślał, jak się

dało: że ma interes do sklepu w Jeleśni albo że chce załatwić coś w Korbielowie, a właśnie szedł pukać do zajęcy pod Gajdówką. - Kłamstwem człowiek żyje - śmiał się w oczy zastrachanej ciotce. - Tyle mojego, co Panu Bogu psim swędem spod pazuchy wyciągnę.

Poza polowaniem odchodziła na Głuchaczkach w całej pełni robota tartaczna, jak ją nazywał Jasiak. Wykonywali ją sprawnie dwaj byli wykwalifikowani robotnicy tartaku. Berek w Koszarawie, ich stały odbiorca, nie chciał teraz przyjmować drzewa smykowego, lecz porżnięte kloce. Ledwo więc chłopcy ścięli i zwlekli jodły z lasu, rznęli je na dyle trzymetrowe, odstawiając o zmroku do kupca. Ten wywoził je wprost na stację do Suchej, stąd zaś drzewo szło koleją w świat do przeróbki.

- Do tartaku nie mogę drzewa posyłać - tłumaczył szynkarz Jaškowi - bo ktoś szwagra zdał i do Lachowic przyjechał nadleśniczy z Korbielowa razem z policjantem. Oglądali drzewo; możemy mieć z tego nieprzyjemności. Jak ściągniecie sztukę, porżnijcie od razu na kloce; kupię, załaduje się z miejsca na rampę. I zawsze mogę powiedzieć, że to chłopskie.

Rzeczywiście, jakiś łajdak musiał z zawiści donieść coś do nadleśnictwa, bo policjant był także w tej samej sprawie u młodego Tramka. On to poza Berkiem rozprawdzał drzewo z Głuchaczek, do Jeleśni lub Pewli, a nawet sam woził do Lachowic, do Berkowego szwagra,

- Może Turcula zdała, bo ona ma wściekły pysk - odezwał się Władek, który przyniósł tę wiadomość. - Niech jej gardziel uschnie.

Agnieszka była skłonna obciążyć podejrzeniem Naściulę.

- Który policjant był u Tramka? - spytał Jasiak.

- Jeden jest tylko w Przyborowie. Witkowski.

- Naturalnie. Pies.

Wszyscy mieli tego Witkowskiego powyżej uszu.

- Tramka się czepia, a nas nie - zdziwił się Jasiak.

- Nie bój się - odparł złowróźnie Władek. - On węższy i za nami. Kto by go nie znał, drania?

Któregoś listopadowego dnia Jasiak zapuścił się pod Pilsko w pogoni za jeleniem; wytropił jego świeże ślady w górnych Buczynach. Wkrótce zobaczył go przez sekundę, jak przedzierał się między płataniną boru: olbrzymie bydlę, płowe, z ciemnymi długimi włosami na grzbiecie, unoszące nad sobą gałęzistą koronę rogów. Jasiak zapomniał o wszystkim, wiedziony jak we śnie jawą żywego, wspaniałego zwierza. Jeleń uciekał starym tropem ludzi i zwierząt, szlakiem południowo-zachodnim, ku orawskim granicznym kniejom, odwieczną ścieżką raubsicerki. Gonili się zboczami Pilska, okrążyli od południa Lipowską, przekroczyli granicę, jeden urzeczony trwogą, drugi zaślepieniem. Wiatr wiał babiogórski, nieznośny,

przenikliwy, niosąc ze sobą ostry ziąb wysokich szczytów. Jeleń darł prawie pionową ścianą boru, zwanego Jaszczurczym. Miał Wiatr w nozdrzach, wiatr pomieszany z wonią człowieka. To wzmagало jego pęd.

I Jasiak miał nogi jak jeleń. Już parę godzin kluczył po słowackich lasach. Słyszał chrzęst patyków łamanych przez grubego zwierza. Od czasu do czasu postrzegał ostrą żrenicą jego płowoczną sierść w gęstwie roślinności. Nie wyszedł mu na strzał. W tej gonitwie, obłąkany pasją myśliwską, zapomniał o czasie, o głodzie, o przestrzeni, o niebezpieczeństwie. Po południu stracił jelenia bez śladu w wąwozie wśród zbutwiałych trupów drzewnych. Kołował z godzinę, przepadło. Zapadał wczesny listopadowy zmierzch. Gdzieś w dali, bardzo daleko, posłyszał przytłumiony odgłos siekiery. Wychodził na obszerną polanę, za którą niżej jaśniała druga. Teraz dopiero pojął, iż wieczór się zbliża i że zapędził się zbyt daleko za zwierzyną. Odczuł przemożny głód.

Choć mrok otulał ziemię, szybko zorientował się po terenie, że znajduje się w okolicy Mutnego. Owionęło go przygnębiające zimno jesienne. Na północy wynurzała się wyniosła kopuła Pilska, może trochę zanadto na wschód wysunięta, może zanadto oddalona. Czyżby zmierzch tak ją oddalał? Ale ten szczyt na zachodzie jest wyższy od Lipowskiej; czy to nie Romanka? Ten znów jest goły u wierchu; nie zna tej góry. Pilsko stąd chyba ze dwie mile odległe. Co to jest? Na wszelki wypadek dobije na noc do gajówki Liska, z którym nieraz łączyły go interesy przemytnicze. Pomaszrował na szczyt polany, rozejrzał się naokół. Mało co mógł stąd zobaczyć w oćmie, coś mu się jednak nie widziało, aby to było Mutne. Gdyby było jaśniej, musiałby rozróżnić chatę sołtysa, krytą czerwoną dachówką, oraz jednopiętrową białą murowaną szkołę na wzgórzu. Niżej, na stokach, nie widać w ogóle chałup. Bór i bór. To nie jest Mutne. Zrobiło mu się głupio. Zabłądził, Postanowił mimo nadchodzącej ciemności, mimo zmęczenia i głodu wracać do domu. Zawrócił na północ.

„Ciemno jak diabli. Chyba wleżę pod smreka i zdrzemnę się do czasu, aż się noc wygwieździ.”

Rozglądał się za jakimś gęstszym drzewkiem, pod którym mógłby przeczekać wieczór, pełen zdradliwych mroków. Nagle wzdrygnął się. Błyskawicznie zdjął strzelbę z ramienia, przywarował w postawie obronnej. Przed nim na skraju polany wyłoniła się w mroku niewidoczna na tle lasu dziewczyna. Zbiegała w dół z koszyczkiem w rękę. I ona wstrzymała się w biegu. Stali, oddaleni od siebie o pięć metrów. Nie okazała strachu. Patrzyła na mężczyznę z ciekawością.

- Ktoś ty? - huknął na nią.

- Dziewczyna - odpowiedziała spokojnie, zbliżając się do niego.

Uśmiechnął się. Trudno się było nie uśmiechnąć, słysząc taką odpowiedź. Wyglądał rzeczywiście groźnie. Kaszkiet nad uchem, włosy zmierzwione. Kosmyki czupryny przylepiły mu się ze zmęczenia do czoła, spadały spod czapki na oczy. Ale przecież spod niesfornych włosów wyblysnęło spojrzenie, które zastanowiło nieznajomą.

- Tyś raubsic?

- Aha - mruknął niewyraźnie. - A ty skąd jesteś?

- Z Herdučki - pokazała twarzą na południe. - Nie bój się. My swoi ludzie - mówiła, patrząc na jego strzelbę, trzymaną ciągle w pogotowiu. Ale on patrzył poza nią, w las, przebiegał wzrokiem mrok. Śledził, czy ktoś nie wynurzy się za dziewczyną.

- Sama jesteś?

Kiwnęła głową potakująco.

- Co tu robisz po nocy w lesie?

- Nosłam jedzenie ojcu i bratu, którzy rąbią jesiony. Niżej w koszarze mamy konie. Kiedy gajowy śpi, my ściągniemy przez noc dwa jesiony. Już ścięte i oprawione; będziemy zaraz ładowali. Chodź po konie. Pomożesz nam.

- Masz co zjeść? Zgłodniałem.

- Mam w szalasię. Chodź ze mną.

- Aha, niegłupim - uśmiechnął się.

Nie dowierzał jej. Nie wypuścił strzelby z rąk. - Przynies tutaj. Poczekam.

- Dobrze, przyniosę ci. Skąd jesteś?

- Po co ci to? Musisz wiedzieć?

- Nie muszę.

- Z Polski - przekrzywił głowę na północ, wskazując kierunek. - Tyś Polka?

- My tu Słowaki na tych wierchach. Jak ci na imię?

- Jasiek.

Spoglądała na niego rozwartymi w ciemności oczyma, wzrokiem pełnym olśnienia. Wydał się jej taki, jaki był: niski, szczupły, o oczach pałających spod spoconych, zmierzwionych włosów - jakimś cudem, wysłańcem niebios, rzuconym na poprzek jej drogi.

- A ciebie jak wołają?

- Jaga. Spuść tę strzelbę.

Uczynił to, choć niechętnie. Stali teraz koło siebie. Była wyższa od niego.

- Boisz się? - spytała go.

Bezczelna dziewczyna.

- Czego się mam bać? - wzruszył ramionami.

Roześmiała mu się w oczy.

- Źeś dziewczynę spotkał zamiast gajowego. Ciągle trzymasz rękę na strzelbie w pogotowiu, jakbyś się czego spodziewał.

- Od tego mam strzelbę.

- Ubiłeś co?

- Nie. Przez cały dzień gnałem za jeleniem. Od samego Pilska.

Cmoknęła z podziwu, zdając sobie sprawę z odległości.

- I od Pilska idziesz za nim?

- Idę od Babiej Góry.

Złapała się za głowę.

- Aż tu dopiero uciekł mi w potok. I ślad za nim przepadł.

- Za farbą? - spytała fachowo jak kłusowniczką. Widocznie ten zawód nie był jej obcy.

Zaprzeczył.

- Nie wyszedł mi na strzał. - Po chwili dodał: - Daj mi coś zjeść.

Pogłaskała go po ramieniu. Oczy miała tuż, tuż przy jego twarzy. Ujrzał parę głębokich źrenic, włosy gładkie, lśniące, biały rozdział nad czołem w pośrodku. Poczul ciepło jej twarzy koło siebie. Pocałowała go w same usta nagle, a jednak powoli, schwyciwszy go lekko palcami za ramiona kurtki.

- Poczekaj tu. Przyniosę ci chleba ze słoniną.

Zmrużył oczy, mierząc ją od stóp do głowy.

- Pewnie chcesz iść po strażnika?

Wpatrzyła się w niego poważnie i rzekła chłodno:

- Głupi jesteś.

Odeszła cichutko. Jej kierpce miękko i bezszelestnie sunęły po trawie. Jasiiek usiadł na mchu wilgotnym od rosy, oparty plecami o pień drzewa. Ułożył fuzję na kolanach, patrząc przed siebie ostro na polanę, gdzie zniknęła Jaga. Równocześnie natężył słuch. Nie wyłowił żadnego podejrzanego hałasu.

Cóż to za przygoda! Gonił jelenia, a złapał dziewczynę. Czy to nie będzie zasadzka? Niewątpliwie odezwała się w nim wyższa rasa myśliwców; żeby aż tak daleko odprysnąć za jeleniem! Zamyślił się. Chyba obleciał dziś ze trzy mile. Minał może kwadrans, kiedy pochwycił z dołu lekki, metaliczny pobrzęk uprzęży końskiej. Przezornie wstał, cofając się parę metrów w głąb między drzewa. Nie od dzisiaj niebezpieczeństwo wyostrzyło w nim instynkt czujności. Zbliżała się Jaga, prowadząc dwa konie.

- Jesteś?

- Jestem - wyłonił się z lasu.

- Weź to.

Przełożyła do jednej ręki lejce i wagę z łańcuchem, drugą wyjęła z zapaski zawiniątko. Odwinął szmatkę, wyjął ćwiartkę chleba i kawał słoniny. Krajał scyzorykiem i jadł. Patrzyła w milczeniu, jak nasyczał głód

- Jeżeli chcesz tu zanocować, możesz iść w dół. Na drugiej niżniej polanie stoi na pół rozwalony koszar. My w nim owce trzymamy w lecie Mógłbyś się tam przespać.

- Pójdę do domu, tylko sobie podjem. Już nieraz tędy nocą chodziłem.

- Najlepiej od nas iść na Lehotę, przejdiesz grzebień i już jesteś pod Jastrzębicą. Stamtąd godzina do Pilska. Nie pomożesz nam ściągnąć drzewa?

- Nie.

- Mój ojciec też był strzelcem. W młodości chodził z czarnymi chłopcami na zbój aż do Polski. Jak będziesz kiedy w tych stronach, możesz u nas zawsze nocować. My jedni z Herdučki najbliżej Lehoty mieszkamy. Nikt ci u nas krzywdy nie zrobi. My ludzie lasu. Z lasu żyjemy.

- Ja także - podchwycił. Poczł niemal wdzięczność do nieznajomej dziewczyny. Ale zmysł ostrożności czuwał. - Już idę - porwał strzelbę. Nie dowierzał mimo wszystko tej przygodzie.

- Dokąd? - zapytała.

- Do domu - odparł z pełną gębą jedzenia. - Po drodze zjem resztę - wepchnął chleb do kieszeni od kurtki. - Dziękuję ci za dobre serce, Jaga - zawołał ją po imieniu, zawahawszy się nieco. - Do widzenia.

- Do widzenia - odrzekła niskim głosem, pełnym niezachwianej pewności. Rzuciła wagę wraz z rzemieniami na ziemię, aż konie drgnęły, przestraszone; łańcuchy brzękły. Objęła ramionami kłusownika. - Bądź zdrow. Szkoda, że już odchodzisz.

Oczy jej były wlepione w jego źrenice. Przywarła ustami do męskich warg, przechyliła na bok głowę. Zamiast granatowego nieba widziała jego ciemną, skłonioną twarz. Z kolei on objął ją w pól, trzymając w mocnym uścisku. Palcami obu rąk odgarniała mu spadające na oczy kosmyki.

Objęła ich ciała ekstaza nagiego porywu w ten zimny wieczór listopadowy. Kiedy ochłonęli z pocałunków, ogarnął ich ziańb i przypomnieli sobie, że czas się rozejść. Dziewczyna poprawiła włosy, podjęła wagę z lejcami. Jeszcze raz odwróciła się ku mężczyźnie, jakby usprawiedliwiając się przed nim:

- Czekaają na mnie z drzewem.



Cmoknęła na konie i zniknęła w lesie. Górą wiał przenikliwy wiatr. Minąwszy polanę, Jasiak rozpoznał na północnym wschodzie kłującą dalekie niebo piramidę Pilska. Ten zachodni przysadzisty, goły wierch, to Lehota. Na prawo od niego ostry profil Jastrzębicy, za którą rozwałił się potężny garb Romanki. Znał już swój kierunek.

Nie ufając nowej drodze, obszedł od wschodu wskazany przez Jagę szlak. A więc to były lasy Herdućki! Firmament wyczyścił się, pojaśniał, wysklepił gwiazdami. Niefortunny kłusownik okrążał z prawej jaśniejącą goliznę hali; tu dopiero będzie hala Mutniańska. Przemykał gąszczem, aż wyszedł na jakąś czubę. Opadła go nagle wierchowa ćma, wznosząca się od doliny. Dopiero teraz uczuł znużenie w członkach. Wbił się w gęstwą jałowców i usnął, rozgrzany ciepłem gałęzi oraz własnego oddechu.

Zbudził się, gdy szarzało. Przedranny wiatr zawiewał ostrym zimnem; to już listopad. Natrafił w kieszeni na pajdę chleba i resztę słoniny; zjadł ze smakiem. Kroczył raźnie, pokrzepiony snem i jedzeniem. Niemal pod samymi nogami zerwała mu się i wzniosła ciężko chmara kuropatw. Nawet strzelby nie zdjął z ramienia. Nie chciało mu się złożyć do strzału. Podchodził jelenia, a teraz będzie się łakomił na głupią kuropatwę?

Rozmyślał o Jadze. Jakże właściwie wyglądała ta dziewczyna? Czy przypatrzył się jej dobrze? To było o zmroku, kiedy zaciera się granica ostrego widzenia. W dodatku był oszołomiony jej pocałunkami. Ale jego bystre oczy rozróżniły tyle: dziewczyna silna, mocno zbudowana, kruczowłosa, cera śniada, oczy czarne. Piękna.

Na tle szerokiej kopuły Pilska dymił wążutko komin schroniska na Hali Miziowej; gotowano śniadanie. Schował strzelbę w kryjówce na Paździornej, niedaleko Głodnego Źródła. Drugą strzelbę trzymał w Mroźnej Szczelinie pod Cylem. Kiedy schodził przez Glinne na gościniec korbielowski, zobaczył po przeciwnej stronie na lasach babiogórskich biały, kłębiasty dym, wznoszący się spod Wężowca. Wiatr zawiewał dym na zachód aż nad Krzyżową. To sygnał dla Jaśka. Dobrze, że zapakował fuzję w dziupli. Niebezpiecznie jest teraz wracać na Głuchaczki. Cofnął się w dół. Zszedł przez Krzyżówki do Jeleśni, a stąd z powrotem obrał drogę na Przyborów, aby jasne było na wszelki wypadek, że idzie z dołu, a więc, że był we wsi. Zejdzie mu ze trzy godziny dłużej, ale będzie miał w razie czego doskonale alibi. Nie śpieszy mu się nigdzie, czasu ma dość.

Wstąpił do Wojnara, usiedli w izbie, zaczęli gwarzyć. Jasiak gryzł chleb, popijał słodkim mlekiem, śledząc spode łba krzątającą się koło garnków Hankę, Wojnarową córkę. Co to jest, że dziewczyna, wbrew zwyczajowi wiejskich kobiet, otula zawsze szyję chustką, wiążąc ją w ścisły węzeł pod brodą? Nie spuszczał z niej oka podczas dyskusji z ojcem. Nawet myjąc naczynie przy rozpalonym piecu nie zdjęła z karku chustki. Aż wreszcie dopadł

odpowiedniego momentu, kiedy Hanka podniosła głowę w górę, sięgając po przetak na nalepie pod samą powałą. Z lewego boku szyi wylazła nad chustkę gula wielkości pięści. Hance puchła szyja. Widać robił się wól. Wól, postrach młodych dziewcząt, nieustanny powód kpin parobków. Co za wstyd na całą wieś! Z czegoż to się robi? Nie wiadomo, może z wody, może z marnego jedzenia, może z przepracowania.

Jeszcze na drodze przyborowskiej stała mu przed oczyma Hanka. Ładna, młodziutka; nie ma nawet osiemnastu lat. Już może się szykować do zamążpójścia.

Zewsząd dochodził gwar wsi w ów chłodny listopadowy dzień, w którym ludzie pośpiesznie nadrabiali zaległości ubiegłej sloty, jakby w obawie, że ich śnieg przysypie. Jasiak włożył ręce w kieszenie kurtki, oglądając w przechodzie ten pejzaż pracy z zaciekawieniem, niby przybysz z odległego, miejskiego świata. Tak jak gdyby obca mu była ta namiętność, jak gdyby on sam nie grabił ściółki i nie rąbał drzewa. Konie wlokły brony po zaoranych kawałkach, chłopcy wydzierali się na nie bez potrzeby, w piwnicach przebierano ziemniaki, poniekąd młócili w stodołach; robiono opał na zimę, okładano drwami ściany, wożono ściółkę z lasu. Gnojowiska za chałupami ziały pustką. W powietrzu niosły się wołania kobiet, piski dzieci, beczenie owiec, skrzywienie drzwi. Bose dziewczynki latały z chałupy do stodoły i od stodoły do studni: do samych śniegów dzieciśka biegają tu boso. Kury urządzały podróż inspekcyjną po świeżo zasianej ozimie, wygrzebując i dziobiąc płytko zakopane ziarno. Po dachu łąził ostrożnie i delikatnie jak w kaloszach wielki biało-czarny kot.

Tak wygląda codzienne życie Przyborowa. Zapewne nie jest takie, jakie dla siebie wymarzył Jaś Dziura. Wołkowa huknęła nań przyjaźnie zza węgła; przyjemnie przyznać się do znajomości z facetem, którego pięść rozkłada na podłodze chełpliwych zabijaków. Stara Tramkowa dojrzała młodzieńca przez okno i przesłała bratu na górę parę deka drożdży.

Nad samym zmierzchem dobrnął Jasiak do domu z wesołym gwizdem. Na Głuchaczkach wszystko było w porządku. Ognisko na Wężowcu dawno zdążyło zagasnąć. Strażnicy i gajowi siedzieli w swoich izbach w oczekiwaniu kolacji, zażywając rodzinnego ciepła. W drzwiach przywitał chłopca rozrzewniony Ślepek jak marnotrawnego, odnalezionego syna.

W parę dni później koło południa spotkał Jasiak Wojnara na granicy Jeleśni. - Wy w nasze strony?

- Idę do Koszarawy orczyk kuć u Topolaka - chłop pokazał orczyk, przymykając jedno oko z filuternym uśmiechem. Jasiak uśmiecha się także. Wie, że Topolak, który jest zaufanym Wojnara na Koszarawę, jest z zawodu kowalem. Będzie pewnie dziś u niego zebranie. Na

wypadek denuncjacji Wojnar asekuruje się złamanym orczykiem.

- Chodź ze mną, Jasiiek. Posłuchasz, co chłopci radzą, przyda ci się to.

Wojnar wierzył bardzo w Jaśka; jego doświadczone oko dojrzało w góralskim przybłędzie materiał na działacza, choć przyborowska akuszerka zapatrywała się na to prościej: - Płanetnik, co tu dużo mówić. - Było naprawdę coś niepojętego w chłopcu, co przykuwało doń ogólną uwagę. Kiedy przemawiał, oczy rozpały mu się chłodnym blaskiem; chcąc nie chcąc musiało się go słuchać z przejęciem. Miał bowiem moc panowania nad ludźmi, narzucał im swą siłę nieświadomie a nieodparcie.

Dał się namówić do Koszarawy. Miał w tym swój osobisty cel. Zanim doszli do Topolaka, odprysnął w górę, spod jesiona, pod którym przykucnęła figurka świętego Jana Nepomucena, i buchnął w ścieżkę nad miedzą.

- Przyjdę do was za pół godzinki.

- Żeby to nie były dwie godziny! - westchnął smętnie Wojnar, przewidując dokładnie metę tej wycieczki. - Bo przy dziewczynie czas szybko leci.

Jasiiek wybiegł zza brzoźowego gaju, gwizdnął trzykrotnie. Zośka znała jego sygnał. Wyszła z chałupy, poczerwieniała ze wzruszenia. Przeszli ku leszczynom.

- Zimno ci będzie - otulał jej ręce, gołe aż poza łokcie. Wiał istotnie przejmujący wiatr od wschodu; babiogórski wiatr, przedzimowy. Zawsze tak zwykł był dąć w miesiącu Seświętniku, poprzedzającym adwent.

- Mnie nigdy nie zimno - szczebiotała wesoło błyskając zębami.

Pocałowali się.

- Co ty tu robisz, Jasiiek?

- Wracam od Habera i zabrałem się z Wojnarem po drodze, aby cię odwiedzić. Ale idę do Topolaka. Tam się z nim umówiłem.

- Poczekaj jeszcze.

Pozostali przez chwilę, jakby rozmawiając ze sobą spojrzeniem. Machinalnie ciągnęła Jaśka za guzik od kurtki, poprawiała mu kołnierz, to znów chwytala go za rękaw, nie zdając sobie zgoła sprawy z tych gestów. Szukała z nim bliższego kontaktu, jak gdyby zbliżając się doń poprzez pieszczotę odzienia.

Patrzyła długo za nim, znikającym wśród olch. Kiedy się rozstawali, oczy jej szklily się od łez. Pytała go na odchodnym:

- Kiedy się spotkamy?

Uśmiechnął się.

- Następnym razem.

Zawsze miał dla niej taką odpowiedź.

- Kiedy to będzie?

- Nie wiem.

Tymczasem u Topolaka wrzała ożywiona gawęda. Żona kowala stała przez cały czas w drzwiach, przebijając w przetaku ziarno i uważając naokoło.

- Zawsze lepiej popilnować - zwierzała się Jaśkowi. - Licho nie śpi. Powiedzą, że jaką rewolucję się robi albo co? I nieszczęście gotowe. Chłop z chłopem nie może pogadać swobodnie, bo policjant węszy bunt i od razu doniesienie do starostwa pisze, że się przeciw rządowi spiskuje.

W izbie siedziało pięciu gospodarzy.

- Najlepszą część obrał Jasiak - odezwał się od stołu żartobliwie Wojnar. - Wracam bowiem od stęsknionej dziewczyny. Podatków nie płaci. Nie martwi się, że mu żyto albo ziemniaki po deszczu zgniją.

- A wam co pomoże, że się martwicie? - wybuchnął młodzieniec. - Wy ciągle to samo: źle i źle. Nie ma końca waszemu biadaniu. Czegóż wy chcecie? Zwrócił się do nich, pytając rozcapierzając dłonie. Byli ciemni na twarzach, wąsaci, stateczni ową godnością, jaką nadaje ciału wieloletnie spracowanie. - Czegóż wy właściwie chcecie? - powtórzył.

Zachęcił ich Wojnar ze swoim ledwo dostrzegalnym gorzkoironicznym uśmiechem, plątającym się w kącikach warg.

- Jak pragnie wiedzieć, powiedzcie mu nasze żądania.

Odpowiadali hurmem jeden przez drugiego, jak uczniowie dobrze wyuczoną lekcję:

- Naszych wybrańców w Sejmie!

- Dać chłopom reformę rolną!

- Wywłaszczyć wielkie majątki! Komasacja!

- Obniżyć podatki od gruntów!

- Pożyczki na rozbudowę gospodarstw!

- Spółdzielnie po wsiach! Szkoły zawodowe! Ośrodki zdrowia!

- Synów chłopskich do szkół za darmo przyjmować!

- Żyto powinno podrożeć, a sierpy i ubrania stanąć.

Całkiem jak na wiecu. Nauka Wojnara nie poszła w las. Wszystkie oczy patrzyły pytająco na chłopca.

Porwała go złość.

- Wy tylko gadacie. Robić trzeba. Nie biadać. Kto się nami zajmie, jak nie my sami? Jaśnie panowie z Warszawy zajęci są czym innym. Kto będzie pracował nad podniesieniem

wsi? Ta paka drani, co stoi przy źłobie i myśli tylko o tym, aby sobie napchać kieszenie? Sami musimy dźwigać swoją wieś.

- Sprawiedliwie radzi. Ale jak mamy dźwigać?

Zafrasowali się; nie umieli sobie odpowiedzieć. Jasiak podnosi rękę, zaciska dłoń w kułak, pokazuje im pięść. - Jest nas siła. Trzeba jednego człowieka, który by nas wziął w rękę i uczynił z nas pięść.

- Był taki jeden - ozwał się posepnie Ziomek z Sopotni, niski, śniady jak Cygan. - Musiał uciekać do Czech.

- Pułkownik jakiś chciał go do lochu wtrącić.

Na wspomnienie katorgi Brześcia poczęli się zżymać.

- Wygonić trzeba tych złodziei od koryta, jak złe zielsko z korzeniami wyrzywa się po zagonach, i odrzucić precz!

- Bydłu na pożarcie.

- Nawet krowy by tego nie żarły, boby się zatruiły. Dopiero w ukropie trzeba to sparzyć, żeby cała gorycz odeszła.

Jeden Wojnar nie mówił nic. Kiedy opuszczali chatę kowala, powiedział Jaśkowi:

- To marni gospodarze. Na paru morgach kamienistej ziemi. Ale swój olej we łbie mają.

We wtorek wybrał się Jasiak z Agnieszką na jarmark do Żywca. Powąłęsał się tu i tam, odwiedził Majera. Pod koniec tygodnia kroił się mu chód na Orawę. Wyszedł od Żyda, poczęstowany piwem i dobrym papierosem. Kupił na straganach naszyjnik ze szklanych paciorków dla Filomeny i paczkę fajkowego tytoniu dla Ślepka.

Nad rzeką była targowica końska, bydłeca i świńska. Jasiak przeciskał się właśnie przez nią, gdy w zgiełku jarmarcznym dosłyszał krzyk człowieka i podniesione głosy kłótni. Przepchnął się w grząskim błotku, ugnojonym bydłecymi odchodami. Wśród pobekiwania baranów, przygnębiającego ryku krów, rżenia koni i chrząkania świń dobił do miejsca awantury. Pierścień gapiów otaczał scenę. Rozsunął ciekawskich. W środku pustego koła stał gruby, postawny mężczyzna z czerwoną, nabrzmiąłą od gniewu twarzą, w zatłuszczonej skórzanej kurtce, i trzymając lewą ręką jakiegoś chłopca za koszulę pod szyją, prał go drugą ręką po twarzy. Tamten szarpał się, nie mógł się bronić, albowiem dzierżył w rękach kurczowo sznur; sznur zaś był przywiązany do nogi świni, która dreptała niespokojnie, przerażona bójką. O nią poszła cała awantura. Jasiak rozpytał się w lot.

- Co się tu stało?

To Witek, świński handlarz ze Sporysza pod Żywcem, kupił świnie od chłopca z Korbielowa. Miał mu zapłacić sześćdziesiąt złotych, zgodzili się, zabrał świnie, ale przy wypłacie oszukał chłopca na dziesiątkę. Odliczył mu na rękę pięćdziesiąt złotych, wmawiając w tamtego, że zataił przed nim dziesięć.

- Oddaj mi świnie! - rozległ się chrapliwy, przepity głos handlarza.

- Nie oddam! - dyszał chłop, trzymając powróż w ręce. - Dodajcie dziesiątkę.

Świnia zaczęła się gwałtownie wyrwać. Witek złapał ponownie właściciela za kołnierza od koszuli i wyrzucił chłopca w pysk raz, drugi raz, aż zaklaskało.

- Oddasz! Oddasz!

Szybko roztrącił Jasiak pierwszy rząd gapiów. Doskoczył do Witka, ciosem pięści buchnął go w szczękę, drugą pięścią dołożył w skroń. Następnie oburącz chwycił kupca za rękawy kurtki, podstawił mu nogę, zwałiste ciało chlapnęło na ziemię wydeptaną przez racice i kopyta na gęstą papkę. Stało się to tak szybko, że napadnięty nie zdołał wykrztusić ani słowa. Widzowie powitali jego upadek gromkim śmiechem. Z wargi Witka ciekła krew; musiał sobie ją zębami przyciąć, padając. Jasiak nachylił się nad leżącym, uderzył go w twarz.

- Abyś i ty wiedział, jak to smakuje - pokwitował policzek spokojnie.

Rozwścieczony handlarz podnosił się. Jasiak porwał bicz z wozu.

- Nie ruszać się z miejsca! - rozkazał. Zwierzęcy ryk dobył się z paszczy Witka. Podniósł się z ziemi, szedł z głową pochyloną jak byk ku młodzieńcowi. - Stać!

Świsnął bat. Po nogach kupca, po cholewach, po udach, po biodrach. Zanim Witek zdołał ochłonąć z razów końskiego bicia, runął ku niemu Jasiak. Handlarz oberwał potężnie w łeb, zatoczył się pod koła, oparł się o wóz, oddychając ciężko. - Bandyta, bandyta! - stęknął.

Koło widzów oniemiało w zapatrzeniu.

- To Jaś z Głuchaczek - udzielano sobie informacji.

- Znalazł się jeszcze morowszy od morowych!

- On bije tych, którzy innych biją.

Jasiak zwrócił się do właściciela świni: - On wam zaparł dziesięć złotych?

- Żeby tak jutra nie dożył - sumitował się chłop - dał mi do ręki pięć dziesiątek i w żywe oczy wpiera we mnie, że było sześć. Garnarczowa była świadkiem.

- Ja widziałam, że tak było - świadczyła baba koło wozu.

- Ja ci pokażę, zasrańcu jeden - kłął Witek, poprawiając na sobie zbłocone ubranie. - Odechce ci się wtrącać do cudzych spraw!

- Co powiadasz? - Jasiak powoli zbliżył się do Witka, trzymając rękę w kieszeniach. W

leniwych ruchach czuło się przyczajony skok. Nieświadomie udzielał się respekt dla jego mięśni. Słyszano już tu coś niecoś o nim.

- Włóżcie mu do kieszeni pięćdziesiąt złotych, które wam dał.

Chłop spełnił rozkaz. Kupiec nie ruszył się z miejsca. Zmartwił w ataku złości, porażony zuchwałością napastnika.

- Zabierać stąd tę świnię! A wy już, panie handlarzu, jej nie kupicie.

Przez okamgnienie zdawało się, że kłębiaste, nalane krwią cielsko runie na chudziaka. Mierzyli się spojrzeniami. Witek uległ, paroksyzm jego wściekłości słabnął. Powlókł się do swego wozu.

- Z bandytami nie będę zaczynał. Z bandytami, którzy noszą noże w kieszeni.

Młodziak chwycił za nóż fiński, tkwiący w pochwie skórzanej. Dostał go w podarunku od dzierżawcy schroniska na Babiej Górze; używał go do krajania chleba.

- Odrzucę nóż i będziemy walczyli na pięści. Żebyś nie ujadął, że z bandytą nierówna walka.

- Nie chcę - mruknął kupiec, odchodząc w głąb targowicy. - Znajdą się na ciebie inne sposoby, szczeniaku. Posiedzisz sobie za to w kryminale.

- Stul głębę, opasły byku! - krzyknął za nim Jasiek. Opuścił jarmark, pogwizdując. Palił papierosa za papierosem; był zdenerwowany. Zabrał się po drodze jakąś furmanką ku wsi. Prędko pokazały się domy Jeleśni. Wstąpił do Habera, odnowił zapas papierosów. Napił się kieliszek wódki. Nienawidził wódki, nigdy nie czuł do niej pociągu, nie smakowała mu po prostu. Ale przecież trzeba było golnąć na odwagę, zalać robaka, jak mówią.

Wyszedł z karczmy, natknął się na Wojnara wracającego z Żywca.

- Byliście w mieście? Nie widziałem was. Byłbym się zabrał z wami

- Tyś mnie nie widział, ale ja o tobie słyszałem. Dziś głośno na jarmarku o Jasiu z Głuchaczek. Podobno wyłoiłeś batem Witka ze Sporysza. Strzeż się, to kawał łotra.

- Co mi zrobi? On bił po pysku chłopca niesłusznie, bo tamten się o swoją krzywdę upomniął. A ja się ująłem za chłopem. I bitka pospólna była. Świadców będę miał, jeśli mnie zaskarzy.

- On cię nie zaskarzy. On się zemści inaczej.

- Nie boję się go.

- Tak nie mów. Nie darmo nazywają go Witek-Cholera. On ze wszystkimi w powiecie za pan brat. Staroście posyła kiełbasę, jest kierownikiem „Strzelca” w Sporyszu, z komendantem policji w Żywcu zna się doskonale, z policjantami ciągle odprawia konszachty, a i z waszym Witkowskim pije po szynkach. On znajdzie sposób, żeby ci odplacić za tę

nauczkę.

- Nie mogłem - tłumaczy się Jasiek - nie mogłem się wstrzymać, jak ten drab prał po pysku chłopca. I za co? Kiedy świadkowie są na to, że mu zaparł bezczelnie dziesięć złotych! W żywe oczy.

- To podobne do niego. Wszyscy go znają i dlatego nikt nie chce z nim zadzierać.
- To ja zadre - butnie oświadczył Jasiek.

Już i Głuchaczki dudniły głośno o Jaśkowym wyczynie na jarmarku. Władek drapał się po głowie: - Toś sobie wroga upiekł! - stękał. Wszyscy przyznawali, że porwać się na Witka było dowodem niezwyklej odwagi, ale i wyjątkowej lekkomyślności.

- Żebyś sobie tylko, Jasiek, jakiegoś kłopotu nie nawarzył! - biadał Ślepek szczerze zmartwiony.

Młodzik machnął bagatelizującą ręką.

- Co będę się martwił na zapas?

W dwa dni po żywieckim jarmarku wracał z dołu od Pasika, któremu sprzedał dwa wianuszki suszonych grzybów. Rad z dokonanej transakcji, wybierał sobie w myśli tereny pod jutrzejsze polowanie. Jest koniec listopada, pogoda słoneczna, sucha, choć zimna. Świetna pora. Może by się zasadzić na rogacza pod Wężowcem? Wybierze się dla odmiany z Bronkiem. O świcie wyciągnie go z Koszarawy, w czas południowy zapadną u wodopoju.

Właśnie wychodził od Wojnara (nie omieszkął go nigdy odwiedzić, ilekroć znalazł się w Jeleśni), gdy odezwała się do niego na drodze płowowłosa Salka, córka Jędrasa:

- Jasiek, zdaje się, że była u was na górze policja.

Chłopak drgnął.

- Tak? - zdziwił się z dobrze udaną niedbałością.

- Mówiła mi Turcula, że rano szedł na Głuchaczki Witkowski z karabinem. A ona ma oko jak jastrząb.

- Prawda - przyświadczył z przekonaniem. - Ona wszystko wie - mruknął pod nosem i uśmiechnął się przyjaźnie do blondynki. Nie warto przejmować się zbyt tą wizytą. Może nie w jego sprawie przyszedł? A gdyby nawet? Co mu może zrobić? Witek na pewno nie będzie skarżył, bo to wstyd. Cała sprawa rozniosłaby się tylko.

Trudno. Gdy się zaczęło wojować z łajdakiem, trzeba ponieść konsekwencje.

W sieni wyszedł na jego spotkanie stroskany Ślepek.

- Policja tu była.

- I co?



- Robiła rewizję.

- U nas?

- U Juraszka także. Szukają za czymś.

- Za czym?

- Ja wiem za czym? Pytałem się go, czego szuka. Powie mi to?

- Kto był? Witkowski?

- Kto by był inny? Innego policjanta nie mamy.

- Pytał się o mnie?

- Pytał. „Czy tu mieszka u was Jan Dziura?” Mieszka. „Skąd on jest, jak dawno mieszka?” Powiedziałem prawdę, jak jest; żeś ze świata przyszedł, spod Nowego Targu, żeś mój wnuk. On się pyta: „Co on u was robi?” Powiadam: „Pracuje, przedtem w tartaku był, teraz pomaga jak zwykle przy gospodarstwie w domu”.

- On przyszedł tu za mną powęszyć. Rewizja to tylko tak, dla zamydlenia oczu.

Tego samego zdania był i Włodek Juraszek. - Wąchają za tobą. To robota Witka-Cholery.

- Możliwe, iż podmówił Witkowskiego. Słyszałem, że są obaj ze sobą na ty. I piją razem w karczmie.

Tak samo przewidywał Wojnar.

- Wiedziałem, że z tego coś wyniknie. Bo Witek nie da za wygraną. Będzie się mścił.

- Wszyscy mówią, że oni obaj to jedna ręka.

- Naturalnie. Łączą ich wspólne machlojki. Witek i Witkowski to jedna zgraja. Nawet podobnie się nazywają, prawie jak bracia. Bo są braćmi w draństwie.

- Tak jak my w Chrystusie - odpowiedział ironicznie Jasiek. Zapalił papierosa, puścił suty kłąb dymu. Był trochę zdenerwowany. - E, nic z tego nie będzie - pomyślał kładąc się do łóżka w Mitanowej piekarni. A przecież nie mógł pokonać nurtującego go niepokoju. Szumiały w uszach słowa Wojnara: - To tak, jakbyś się rzucił na nich wszystkich. To jedna szajka: wójt Franczak, starosta żywiecki, komendant policji, przodownik Kaczmarczyk i jego granatowe pieski, pisarz Świątkiewicz, sołtys przyborowski, Witek, Witkowski, ilu ich tam jeszcze jest. Cała zgraja. Jednego wyrznąłeś w pysk, tak jak byś im wszystkim po mordzie dał. Naraziłeś się im wszystkim. Bo to bracia w draństwie. I będą cię chcieli utracić.

- Nie utracą mnie - palił papierosa za papierosem. Ślepek coś tam pod ścianą mruczał do niego, rozespany. Jasiek nie rozumiał, rzucił niedopałek na podłogę, przycisnął go butem podjętym spod łóżka, pomyślał przez chwilę o Zośce. To go uspokoiło. Usnął z jej obrazem przed oczami.

W górze przywiał już śniegiem. Ciemnym wieczorem wyruszył Jasiak z towarem do gajówki Liska w Mutnem. Cały dzień przeleżał w łóżku kompana, który wyjechał rowerem do Namiestowa, aby oddać towar i dostawić nowy przemyt. Pod zachód wrócił z kilkoma drobnymi paczuszkami w kieszeni. Pograli w karty, zjedli kolację, poczem przemytnik pożegnał się i wsiąkł w leśne ciemności. O świcie dotarł do Głuchaczek.

W obejściu Maziarzów upiornie piał kogut. Głos jego brzmiał jakby przytłumiony przez wielką odległość, jakby należący do innego wymiaru, jakby wydobyty z samych wnętrzności nocy, która właśnie odchodziła.

Ślepek przywitał chłopca nowiną:

- Witkowska zabrała mojej siostrze płótno.

- Jakie płótno? Jakiej siostrze?

To była cała historia. Siostra Ślepka, Tramkowa (żona starego Tramka), pożyczyła w lecie dwanaście złotych od Witkowskiej. Potrzebowała na asekurację. Były żniwa, nie miała u kogo pożyczyć, poszła do pani posterunkowej, zaniósła cztery jaja i dostała od niej pożyczkę. Do kogo pójść po pieniądze?

- Jak się uwinę ze zbiorami, oddam. Sprzedam cielę, będę miała pieniądze.

Ale w jesieni cielista poszła na jarmark, a długu Witkowskiemu się nie spłaciło. Rok był ciężki, skąd we wsi tyle złotych zdobyć? Krowa zachorowała, nie mogła się doić, całe wymię jej spuchło. Mleka nie było, nie było skąd masła urobić na sprzedaż. Witkowska upominała się o zwrot pieniędzy. Tramkowa zaniósła jej osiem jajek za procent. - Jak będę miała, to oddam. - Nie miała, nie oddała. Teraz, na zimę, kto ma we wsi pieniądze?

- Wywiesiła sobie baba wczoraj na drągu pod oknami płótno, które uprzedła w jesieni - opowiada Ślepek. - Przychodzi do niej w południe Witkowska, nie pyta nikogo, ściąga płótno z żerdzi, zwija pod pachę i mówi do mojej, siostry: „Tramkowa, jesteście mi winni dwanaście złotych. I to z procentami od lata. Zaraz po żniwach mieliście mi oddać. Czekałam cierpliwie aż do tej pory. Nie oddaliście mi, biorę wam płótno za ten dług.” Płótno było z osiem metrów. Tramkowa w lament. „Nie bierzcie mi, pani Witkowska, tego płótna. To sobie uprzedłam na koszule dla siebie i dla chłopca. Skąd wezmę pieniądze, aby wam oddać pożyczkę? Poczekajcie do wiosny.” - „Co mnie to obchodzi? Czekałam pół roku. Jak mi do wieczora dzisiaj nie oddacie długu, płótno będzie moje.” Zabrała płótno i poszła do domu. Czyste lniane płótno. Osiem metrów długości, metr szerokości. Kosztowałyby ze dwadzieścia złotych zapewne. „Do wieczora macie się zgłosić u męża w kancelarii. Jeśli pieniędzy dziś nie będzie, pożegnajcie się z płótnem.” Baba płacze. „Poczekajcie jeszcze trochę. W ciągu grudnia postaram się.” - „Czekałam pół roku. Dość się naczekałam.” I płótno przepadło.

- Ach, że mnie Tramkowa nic nie powiedziała! - wybuchnął Jasiek. - Pożyczyłbym jej od razu te parę złotych. Pójdę do niej, dam jej pieniądze, niech sobie wykupi płótno. Albo sam zaniosę Witkowskiemu, niech odda, co zabrał.

- Ty nie pójdziesz do niego - odzywa się Władek. - Dopieroś wrócił z Orawy. Ja zaniosę pieniądze Tramkowej. Żeby tylko nie było za późno. Bo Witkowski to chytry lis.

Jasiek wręczył przyjacielowi piętnaście złotych. - Odda mi, jak będzie miała. A jak nie odda, także nie zbiednieję.

Weź dwadzieścia - dodał mu piątkę. - Bo może będą chcieli procenty.

Juraszek szedł do Przyborowa, Jasiek tymczasem powsadzał paczuszki z przemytem za krokwie dachu pod słomę.

- Na wszelki wypadek, gdyby tu diabli kogo przynieśli, niech szuka. Licho nie śpi.

- Licho nie śpi - przyświadczył Ślepek.

Agnieszka także miała wiadomość dla Jaśka.

- Prosiła cię w niedzielę na wesele Maryśka Medesówna z Sopotni.

- Za kogo się wydaje?

- Za Felka, syna sołtysowego. Spotkałam ją wczoraj w Jeleśni.

- Przyjdę.

To się dobrze składa. Rano pójdzie do Majera z paczuszkami, dostanie pieniądze za chód, będzie forsa na zabawę. Ach, natańczy się znowu! Pomyślał o Maryśce. Lubili się. Był czas, że dziewczyna szalała za nim. Kiedy pracował w tartaku, w każdy wieczór sobotni zachodził na piwo do szynku Habera i spotykał w rynku Maryskę. Odprowadzał ją przez Gajkę do Sopotni. Była szczupła, wysoka, o drobnych piersiach, włosy bujne, jasne. Miała zawsze śmiejący się wyraz w piwnych oczach. Przy uśmiechu ukazywały się dwa dołeczki w policzkach. Była zazdrosna o niego; to może zniechęciło go do niej. Kiedy się całowali przy kapliczce, skryci za smrekami, trzymała go za włosy rękami, twarz przy twarzy, i mówiła zdyszonym głosem, na pół żartobliwie, na pół namiętnie:

- Masz w Koszarawie dziewczkę.

- Lubię miłość - odpowiadał jej prosto z mostu.

- Ja jej ślepią wydrę.

- Tyś wściekła baba.

I później jakoś poniechali się.

Nad wieczorem przyciągnął się Władek z dołu. Przyszedł wprost do Ślepka z oklapniętą miną.

- No i co? - pyta rozgorączkowany stary.

- A! - machnął ręką Juraszek. - To drania kawał.

- Nie oddał płótna?

- Przepadło. Wczoraj Tramek nie zdążył nigdzie pożyczyć pieniędzy. Pokuśtykał do Witkowskiej razem z żoną, obiecują, że do niedzieli spłacą dług. A ta z progu powiada: „Idźcie do męża do kancelarii, on będzie z wami załatwiał”. Wiecie, jak Witkowski załatwia sprawy. Zaczął tyrpać kobietę i Tramka, kłął na nich, ile wlaźło. „Pieniądzy nie daliście, wyznaczyłem wam termin, nie dotrzy maliście go, płótno jest moje. Nie ma apelacji, zaskarżcie mnie, jak chcecie.” I wypchnął oboje starych za drzwi.

- To łajdak - zatrzęsła się Mitanka.

Ślepek drżał cały ze zdenerwowania.

- Przychodzę dziś do Tramków, oboje płaczą. „Nie płaczcie - powiadam - przyniosłem wam pieniądze.” „O, dziś za późno.” - „No, zobaczymy. Idźcie wy - mówię do Tramkowej - oddajcie pieniądze Witkowskiej, odbierzcie płótno.” Poszła, wróciła za chwilę spłakana. Witkowska nie chciała z nią gadać, policjant wyśmiał babę i wyrzucił ją ponownie. „Choćbyś mi teraz, kobieto, pół setki dawała, przepadło. Dałem wam termin? Dałem. I nie zwróciliście pieniędzy. Ja z gęby nie robię cholewy. Skończone, marsz!”

Władek ciągnął dalej:

- Mimo wszystko spróbowałem ja jeszcze raz szczęścia. Wziąłem ze sobą Tramka, poszliśmy do Witkowskiego. Mówię mu, co i jak; że się złożyłem na wykupno płótna. Tłumaczę, że i ja miałem mieć z tego koszulę i gacie. Witkowski wstał wściekły ze stołka i krzyczy: „Do jasnej cholery, powiedziałem już raz, nie chodźcie mi tu więcej! Płótno wasze, Tramek, przepadło za dług, który mi się należał od pół roku z procentami. Dość się naczekałem. Gdybyście w sądzie jeden dzień w wypłacie prześlepili, to by was zlicytowali; krowę by wam sprzedali za te dwanaście złotych. Jak się wam nie podoba, zaskarżcie mnie do sądu. A jeśli jeszcze raz przyjdziecie, wypiorę was na zbity pysk i jeszcze doniesienie na was pošlę, że mi przeszkadzacie w urzędowaniu i nachodzicie mnie w domu.” Trzasnął drzwiami i wyszedł do kuchni. No, to i my wyszliśmy. W sieni wrócił z kuchni Witkowski, dopadł nas, bierze mnie za rękaw i pyta: „Tyś z Głuchaczek?” Odpowiadam: „Tak.” - „Słuchaj, ty się nie mieszaj do nie swoich spraw. Radzę ci po dobru. Bo się to dla ciebie gorzko skończy. Ja całą waszą szajkę rozpędzę.”

- To do mnie pił - zauważył Jasiak.

Kładł się do łóżka, pełen niespokojnych myśli. Już we śnie uśmiechnęła się doń Maryśka Medesówna, odsłaniając zalotne dołki w policzkach; Maryśka, która za trzy dni ma

być poślubiona sołtysowemu synowi. „Ale sobie użyję na jej weselu w tańcu!” - marzył. Już przybladła Maryśka; zasnuwała ją świeżym ciepłem Zośka z Koszarawy. Ale zza obu dziewczyn wyrzało ostre, najbardziej dojmujące przeżycie: drobna, brutalna twarz Witkowskiego o czarnych, krótko przyszytych wąsikach. Twarz, której właściwie Jasiek nie znał; widział bowiem policjanta wszystkiego raz czy dwa razy, i to z daleka. Oblicze to ukazało mu się jednak prawdziwie takie, jakie było: chytne i złe.

„Ja całą waszą szajkę rozpędzę!”

Ślepek coś mamrotał, martwił się nieszczęściem siostry, przewracając się z boku na bok. I tak obaj usnęli nerwowo, ciężko, z groźną zjawą Witkowskiego w myślach. Niefortunnie skończyła się interwencja Głuchaczek w sprawie Tramkowego płótna.

Nazajutrz rano przydreptał na polanę stary Tramek, utykając na nogę. Jego druga żona była rodzoną siostrą Ślepka. Poślubiła męża, podówczas wdowca, przed piętnastu laty, mając prawie czterdziestkę na karku; żyli ze sobą bardzo zgodnie. Najmłodszy syn Tramków z pierwszego małżeństwa, Leon, był współnikiem obu młodych głuchaczkowców w smyku, rozprowadzając kradzione drzewo po Żydach w dole.

Gościa przywitał w progu rozżalony Ślepek.

- Bieda się na was zwała, szwagier.

- Ano, woła boska - rozłożył tamten ręce bezradnie. Usiedli na ławie pod ścianą, zapalili fajki. Ślepek poczęstował kuternogę wyborowym tytoniem, fundowanym przez Jaśka. Drżącą ręką wyjął Tramek spod blachy zwęgloną szczapę; przypalili. Pierwsze kłęby dymu wyrzucali w milczeniu, jakby oddani wyłącznie smakowaniu wonnego oddechu. Ale myśleli obaj o tym samym.

- Hm - mruknął pierwszy Ślepek.

- Hm - powtórzył refleksyjnie Tramek. Po czym przystąpili do właściwej rzeczy.

- I cóż - rozważał swoje szanse szwagier Ślepków. - Choćbym go i zaskarżył o płótno, kto wie, czy wygram? A ile pieniędzy sąd kosztuje? A adwokat? A stemple?

- Na co wam adwokat? - wtrąciła się Mitanka. - Powiecie sami prawdę w sądzie, jak było.

- Bez adwokata nie poradzi - obruszył się Ślepek. Jasiek nabijał w sieni siekierę na nowe stylisko i słyszał całą rozmowę.

- Z kim to chcecie wygrać sprawę w sądzie, Tramek? - huknął na starych. - Z policjantem? Czyście z byka spadli? Nie ma sprawiedliwości dla chłopca. Wybijcie sobie sąd z głowy.

Obaj starcy stropili się pod wpływem tego śmiałego wystąpienia.

- Ja też tak myślę - odezwał się Ślepek. - Prawować się nie prawujcie, szwagier. Przecie policjant to osoba rządowa, jemu nie wolno przegrać w sądzie. Inaczej już by nie mógł być policjantem. Sędzia wam nie uwierzy, tylko jemu.

- Przegracie, stracie płótno, wydacie pieniądze na sprawę, a jeszcze i areszt możecie zafasować - ostrzegła spod pieca Mitanka.

Nadeszła Agnieszka, wzięła także udział w naradzie. Stroskany Tramek powtarzał:

- Przegram płótno, pieniądze stracę na sprawę i jeszcze areszt mogę dostać.

- Lepiej tego nie ruszać - radzi Juraszkówna. - Z policjantem jeszcze nikt nigdy nie wygrał. Zwłaszcza z takim psem jak nasz Witkowski.

- Tak - kiwał głową stary Tramek, przecierając powieki; miał stale wilgotne oczy, jakby zapłakane. - Jak on mi babę tyrpał, jak mnie wypychał za drzwi! Oczy mu się świeciły jak wilkowi. Jak się pienieł do Władka, że całą tę bandę na Głuchaczkach rozpędzi!

- Nie ma co, wziął się na nas - westchnął Ślepek.

- Ale czego on chce od nas? Co my tu winni? - dziwiła się Agnieszka.

Jeden Jasiek nie dziwił się. Zawzięcie obciosywał koniec toporzyska. Czuł, że chociaż on jedyny z obecnych nie miał dotąd przyjemności znać osobiście Witkowskiego, to jednak cały ten kłęb złości, o której mówili, obraca się właśnie i wyłącznie około niego. „O, ale ja go chyba poznam jeszcze”.

Podano śniadanie. Zasiedli wszyscy do miski z prażuchami. Przy jedzeniu zgodził się już definitywnie stary Tramek z tym, że nie ma co wszczynać sprawy w sądzie.

- Mnie tu właśnie po to żona wysłała na górę, żebym się z wami naradził, jak i co robić.

- Musicie temu dać spokój. A o płótnie zapomnijcie.

- Krzyżyk trzeba zrobić na tym - uzupełniła Mitanka.

- Tak, jakbyście płótna nie mieli.

- Żeby im kością w gardle stanęła ta kradzież! Żeby się, gadziny, udławiły cudzą krzywdą!

- Nie lamentujcie, szwagier. Przyjdzie i na takich koniec.

- Przyjdzie - ironizował Jasiek. - Pan Witkowski kupi sobie, jak zeszłego roku, cielę albo świnię.

Tramek nie mógł przeboleć swej straty, wracając ciągle do tego samego tematu. - Wczoraj Luzarka przyniosła jej mleko, rozlało się trochę po podłodze, baba schyla się, aby zetrzeć, a Witkowska śmieje się: „Ja sobie to zetrę, mam parę metrów zgrzebnego płótna, co

się suszy na górze - pokazuje ręką na powałę - to akurat potnę na ścierki".

- Na ścierki! Będzie miała z tego ze cztery prześcieradła.

- Ona umyślnie tak mówiła, że niby ma sobie to płótno za nic.

- Złodziejka - konkluduje Jasiak. - Mąż ma siuchty tajemne z Franczakiem, żona miałaby być inna?

- Te złe krwie narobiły mi więcej szkody, niż gdybym prosię stracił - mamrotał stary, przełaząc ciężko przez próg. - Zostańcie z Bogiem!

- Boże was prowadź, szwagier!

W niedzielę wybrał się Jasiak do Żywca. Restaurator przyjął go gościnnie. W ustronnym pokoiku wypakował młodzieniec z kieszeni paczuszki z sacharyną, kamykami do zapalniczek oraz fiołki z lekarstwami, poowijane w staniol. Gospodarz postawił na stole flaszkę piwa, zakąskę, pudełko papierosów. Chłopcu wpadły do kieszeni cztery dziesiątki. Zadowolony wracał do miasta. Po drodze nakupił papierosów, ćmiąc jednego za drugim; wypościł się od rana. Dziś idzie tańczyć na wesele Maryśki Medesówny do Sopotni. Uśmiechał się przyjaźnie do napotkanych ludzi, pogwizdywał. Nie omieszkał zajrzeć do Wojnara. Zapadał zmierzch, gdy wstępował w obejście Medesa. Pod oknami, jak to na wiejskich weselach, pełno gawiedzi. Tańczono już od południa. Połowa gości była pijana. Dwie izby trzęsły się od zgiełku i dzikiego tupania. Jasiak od razu wszedł w wir zabawy. W obszernej izbie tłoczyło się mnóstwo ludzi. Zobaczył w tańcu Maryśkę, znużoną, pobladałą; rozkwitła słabym uśmiechem. Następny taniec przetańczył z nią.

- Zmęczonaś?

Kiwnęła głową.

- Od obiadu już tańczę.

Trzymał ją siłą, aby nie upadła.

- Zadowolona jesteś, że wyszłaś za męża?

- Na jedno tak, na drugie nie - odpowiedziała zagadkowo.

- Nie jesteś szczęśliwa? - napierał.

- Czy ja wiem? - uchyliła się wymijająco od odpowiedzi. - Co to dzisiaj można mówić?

Jasiak dobrał sobie czarnowłosą niską dziewczynę, tańczyli bez przestanku od ściany do ściany. Aż muzyka osłabła i przestała grać. Pary tancerzy wycofały się do drugiej izby. Parobcy wyszli na dwór, aby ochłonać. Dziewki popiskiwały, niektóre miały już porządnie w czubie. Mężczyźni bez żenady odlewali się pod samymi oknami w ciemności wieczora. Kilku

śmielszych zaczęło podmacywać swoje partnerki. Jeden Jasiak był niezmordowany w tańcu. Rzucił pięć złotych muzykantom, porwał znów w tan brunetkę.

W świetle lampy płonącej na środku izby pod powałą kurzył się opar oddechów i wódki. Dudniły głucho ochryple głosy parobków. Wyziwy spoconych ciał kobiecych stały się nieznośne. Orkiestra słabła. Jasiak rzucił raz jeszcze piątkę grajkom i wpadł w taneczne kłębowisko. Mógł nie wziąć nic do ust przez całą noc, trwając w tym szaleństwie. Tańczył znowu z panną młodą. Ledwo trzymała się na nogach, ślaniając się ze znużenia, a pewnie i z alkoholu. Parę razy natarczywie mignęła przed Jaśkiem wysoka, barczysta figura płowowłosego drąga. Coś przygadywał złośliwie do młodzieńca, czego ten nie mógł zrozumieć w hałasie zabawy. Nie był to jednak komplement, sądząc po ponurej twarzy dryblas. Już go gdzieś widział, pamięta tę twarz krościatą, ach, i te długie ręce! Ten typ spacerował którejś niedzieli z Walerką po jeleśniańskim rynku, wtedy kiedy on stał pod szynkiem Habera z Maryską z Sopotni. Jasiak zauważył niebawem, że inni parobcy spoglądają na niego z nie ukrywaną złością. Dostało mu się parę razy ostre kopnięcie. W pewnej chwili dostrzegł koło siebie mężczyznę z laską.

- Po jakiego licha wziął do tańca laskę? Jeśli jest kulawy, to nie może tańczyć.

Zanim zdążył zanalizować tę niepokojącą refleksję, poczuł potężny cios w skroń, od którego zachwiał się i stracił przytomność. Rozległ się trzask szkła, ktoś rozbił laską lampę. Zrobiło się ciemno. Przeróżliwy pisk i krzyk napełniły izbę. Jasiak walił się poprzez gęstwinę ciał na podłogę. Brutalnie oderwano go od Maryski. Jeszcze resztką uciekającej świadomości poczuł uderzenia na ciele. Ktoś w ciemności okładał leżącego kułakami, ktoś kopał go gdzie popadło, w uda, w brzuch, w plecy, w piersi. Bito go po głowie, już nieprzytomnego.

Kiedy się ocknął, zobaczył, że leży w sieni na gołej podłodze. Było mu bardzo zimno. Czuł dziwną omdlałość w członkach. Próbował się poruszyć. Ból przeszył ciało. Kłucie dotkliwie odezwało się w łopatkach. Ujrzał w świetle naftowego kaganka klęczącą obok niego pannę młodą.

- Ale mnie oporzadzili! - jęknął i natychmiast zamknął oczy.

- To Gałaś. On namówił chłopaków.

Patrzyła w jego skaleczoną twarz, odgarniała kosmyki włosów ze skroni. Owinęła mu głowę czystą chusteczką.

- Oni mieli na ciebie o coś złość, Jasiak. Ja temu niewinna - tłumaczyła się. - Boli cię?

- Po to walili, żeby mnie bolało - odyskiwał już swój dawny, wesoło-drwiący sposób mówienia.



- Brat przyjedzie za chwilę, zawiezie cię do domu. Już zaprzęga. Tylko nie mów nigdzie o tym, aby nie było awantury z policją.

- Nie bój się. Wesele weselem. Ja ci ślubu nie zepsuję. To już tylko między nami, chłopami, zostanie.

Machinalnie głaskała go po włosach. W izbie kotłowała się znowu muzyka. Pijacy wydzielali się głośno, pragnąc nadaremnie przekrzyczeć orkiestrę. Otworzyły się drzwi, wzmożony hałas buchnął z głębi głośną eksplozją, ktoś chrypliwie zawołał od wejścia:

- Maryśka!

Wołał ją ślubny mąż, dostatecznie pijany. Odeszła od Jaśka.

Przed chałupę zajechał wóz. Weszło dwóch mężczyzn, wzięli leżącego na ręce. Krzyknął z bólu.

- Ostrożnie!

Ostrożnie, jak tylko mogli, nieśli ciało pobitego, układając je na słomie na dnie wozu. Przykryli je sianem. Wszystko odbywało się w milczeniu. Panował ziąb. Noc była wyiskrzona. Wóz ruszył, furman cmoknął cicho na konia, śmignął batem. To najmłodszy syn Medesa. Jasiek spod siana zawył:

- Wolno jedź!

Jechali wśród uspiętej wsi. - Ale mnie oprawili! - pojękiwał młodzieniec. Powoli usiłował odzyskać możliwość ruchów. Zdołał wyzwolić rękę podwiniętą pod siebie i dotknąć głowy; okręcona była szmatami.

„Rozbili mi łeb” - uprzytomnił sobie. Bolało go całe ciało, jak gdyby członki wszystkie podległy omdleniu. Nie mógł ruszyć nogami. Czuł każdą nierówność gruntu, w którą zapadał wóz. Jęczał za każdym razem, gdy koła wjeżdżały w wyboje. Miał oczy zamknięte. Przed chwilą drżał z zimna, teraz znów zrobiło mu się ciepło. Może to gorączka? Obmacał lewe ramię - jakby dotknął otwartej rany.

„Jakiś guz. Żeby mi tylko kości nie złamali!”

Wóz przejeżdża przez rzeczkę. „Aha, jesteśmy w Jeleśni. Teraz już będzie lepsza droga.” Leżąc na wznak i nie mogąc poruszyć głową, mógł się orientować tylko po czerniejących na tle nieba wierzchołkach wzgórz. Minęli rynek jeleśniański, na lewo zamajaczyła wieża kościelna. Za cmentarzem zmarłych na cholera rozpoczęła się męka Jaškowa. To Przyborów. Wzdychał już przedtem, zanim wjechali w przyborowskie grunta: „Żeby mnie tylko nie obijało na kolenach!”

Wóz, wjechawszy na gminną drogę, zaczął się chybotać. W ciszy nocnej skrzyp kół, chrobotanie kary, pobrzękiwanie uprzęży niosły się daleko. Rzucano pobitym na boki.

- Rany Boga żywego! Uważaj, jak jedziesz - jęczał.

Jak mógł woźnica uważać w ciemności? Wóz toczył się dalej, koń odbywał flegmatycznie swą drogę. Furman zachowywał milczenie. Jasiek w pewnej chwili zawołał:

- Daleko jeszcze?

- Dopiero minęliśmy tartak.

- Psiamać, jak ten koń się wlecze!

Pomyślał przez chwilę, że mógłby przenocować u Wojnara albo u Stachonia. Ale sprowadziłby im tylko kłopot na głowę. Zaraz by się to rozniosło po wsi, śledztwo by było, doniesienie do starostwa, że ludowcy nocują u siebie w tajemniczych okolicznościach podejrzanych osobników. I dopiero teraz uprzytomnił sobie, że już przejechali dawno Stachonia i Wojnara.

- Jedź, psiakrew, ostrożnie! - darł się na woźnicę.

Ból coraz wyraźniej dawał się odczuwać w lewym boku. Pobity usiłował odwrócić się na prawy bok, nie miał siły. Przytulił głowę policzkiem do siana. Twarz pałała gorącem.

„Ale mnie uszlachcili! To Gałaś z parobkami. Chcieli mi dać nauczkę. Żeby się chłopak z innej wsi nie pchał na obce wesele. Ja się jeszcze z nimi porachuję!”

Zaczął stękać. Otworzył oczy, wpatrując się w gwiazdy. Niebo całe było nabite świetlistymi kropeczkami. Jak długo trzeba by lecieć samolotem do takiej gwiazdy? Koło znowu wtoczyło się w wybój, aby za chwilę, stuknąwszy porządnie, wspiąć się na kamień.

- Jezus, Maria, zdechnę na tym wozie!

- Cccicho, cccicho - uspokajał go Medes.

- Ostrożnie jedź, cholero! - jęczał.

Znowu wpadli w koleinę. - Jak jedziesz? Jak jedziesz? - wznosił się wściekły syk nad kupy siana i obolałych mięśni. Wóz skręcił z pischaniem osi i klekocząc, piął się w górę. Młody wyrostek walił konia batem.

- Gdzie jesteśmy?

- Wjeżdżamy do Gajki.

- Słuchaj, Medes, wieź mnie do Koszarawy. Do starej Masłowskiej w Cichem. Na Głuchaczki mnie nie dowieziesz. Przecież wozem się tam nie wydrapiesz po nocy. Wywrócisz mnie.

Woźnica usłuchał. Stał.

- Można po ciemku przekopyrtnąć się - przyświadczył.

- Spadnę tu gdzie jeszcze, zemdleję i dojdę do reszty. Na amen. Rano mnie znajdą w krzakach gotowego. Jedź do Cichego - rozgadał się Jasiek.

- Na Koszarawę droga lepsza. Jedzie się nad szkołą?
- Nie dojeżdżasz do szkoły. Od Jana Nepomuka, wiesz, gdzie to?
- Wiem. Figurka pod jesionem.
- Od figury jest droga koło potoka przez cały czas. A za gajem brzozowym chałupa

Maślina.

Zboczyli w lewo. Od nowa rozległo się biadanie. - Psiakrew, dobijesz mnie na tym wozie!

Męczarnia nie ustawała. Koła skrzypiały, gruda była twarda, chwycił przymrozek. Każde zagłębienie, każda wypukłość gruntu wbijały się gwoździem w ciało Jaśkowe.

- Ty chamie zbuntowany! Powtarzam ci: wolno jedź, bo mnie żywym nie dowieziesz.

Krok za krokiem, metr za metrem posuwał się koń po koszarawskiej drodze. Jasiek myślał o niespodziance, jaką zrobi Zośce. „Przestraszy się, gdy zobaczy mnie pobitego jak dziurawy garnek." I w głos rozpoczął swoje:

- Niech cię szlag trafi! Uważaj, bo z wozu wypadnę.

Wóz nachylił się niebezpiecznie, skręcając tuż nad potokiem. Oczy Jaśkowe spoczęły na rozłożystej masie jesiona, pod którym schroniła się figurka świętego Jana Nepomucena. Odtąd jechali cały czas w towarzystwie potoku.

Było już dawno po północy; wieś spała. Ani jeden pies nie zaszczekał w okolicy. Bodaj tego Gałasia diabli wzięli! Jasiek rachował gwiazdy poprzez nagie gałęzie olszyn.

- Jak jedziesz? - warknął. Jeszcze z dziesięć minut i będzie koniec mordęgi. - Czekaj, draniu, jak tylko wyzdrowieję, mordę ci zbiję! - odgrażał się, nie wiadomo, czy Medesowi za jazdę, czy Gałasiowi za pobicie.

Nareszcie, przebywszy gaj brzozowy, wtoczyli się przed chałupę Maślina. Jakaś żerdź dziobnęła półkoszki w przejeździe, ofiara weseliska zakłęła soczyście, wóz zakiwał się i stanął. Medes zlazł, zastukał we drzwi. Przez dłuższy czas nie odzywał się nikt z uspiętego domostwa. Wyrostek cierpliwie stał i pukał. Wreszcie podszedł do okna, zabębnił w szybę. Stara wyszła do sieni. Porozumiewali się najpierw przez zamknięte drzwi. Następnie gospodyni zbudziła córkę i obie ukazały się na progu. Były widocznie przerażone.

- Gdzież on?

- Na wozie. Leży.

- O Matko Boska! - krzyknęła Zośka.

- Nie bój się, Zośka - rozległ się spod siana głos Jaśków. - Nic mi nie jest. Tylko ciało mam zbite. Jutro wstanę. Nie mógłby mnie wywieźć nocą na Głuchaczki, kazałem mu tu zajechać.

Silił się na spokojny ton, choć drżał, aż mu zęby kłapały.

- Któż to cię tak urządził, biedaku? - spytała stara Masłowska, którą powszechnie nazywano Maśliną.

- Parobcy sopotniańscy.

- Bierzmy go.

Wzięli go we dwójkę, Medes ze starą, ułożyli na łóżku Zosinym. Dziewczyna zmywała mu twarz delikatnie ciepłą wodą, z tkliwością wpatrując się w jego oczy.

- Trzeba mu będzie zdjąć te szmaty. Tu już przeciekło pod skronią. Jezus, jakiego sińca ma pod okiem!

- Nie trzeba zdejmować bandaża - zaprotestowała matka. - Ja go rozbiore. Ty, Zośka, zagotuj wody. Zgłodniałeś - odezwała się do Medesa, który uśmiechał się niemrawo. - Zośka, rzuć siana koniowi. Zaparzmy ziółek. Żeby było świstacze sadło! Albo borsucze!

- Może by mu przynieść wody z Morskiego Oka od Markowych Szczawin? - poddała córka. - Woda z bezdenne stawku dobra byłaby na rany. Obmyłoby się go, pomogłoby.

- Bajesz! Taka kuracja nadaje się na lato. Na adwent będziesz go oblewała wodą z morza? Lepiej zrobiłyby bańki.

Według wiary ludu niezgłębione okienko wody na Markowych Szczawinach, które można okroczyć, łączy się bezpośrednio z morzem.

Za chwilę Jasiek, uwolniony z ubrania, leżał w łóżku. Woźnica zajadał odgrzane ziemniaki z kwaśnym mlekiem. Rozmawiali o tym i o owym.

- Na drugi raz odechce mu się chodzić po weselach - prawiała wdowa, pokazując oczyma łóżko. - Usnął - ściszyła głos. - Nie będzie już więcej szukał guza na łbie po obcych wsiach.

- Żeby to! - machnęła ręką Zośka. - Na nim tak jak na psie przyłatał.

Robił się brzask, gdy Medes opuszczał chałupę w Cichem. Jasiek spał przykryty dwoma wełnianymi kocami, napojony gorącym odwarem z ziółek.

Rankiem pobiegła Zośka na dół do wsi, do Sitarza, który bacował pod Mędralową. Nie miał niestety świstaczego sadła. Już od tamtej zimy nie zostało mu ani kapki - tłumaczył się. Kupiłby sam, gdyby się trafiło. Ale wie, że sadło ma Kudłoń, znachor w Sidzinie.

Jasiek obudził się koło południa. Napił się ciepłego mleka, jeść nie chciał.

- Jedz, zmoro, jedz - nalegała nań Maślina. - Dość chudy jesteś, jeszcze jadł nie będziesz.

Przewinęła mu bandaż na głowie, napoiła go ziółkami. Skrzywił się. - Dajcie mi papierosa - zaskomlił.

- Toś trafił! - odburknęła. - Śpij. Nie będziesz palił.

- Nie chce mi się spać.

- To leż.

Leżał z oczyma wpatrzonymi w powalę. Od czasu do czasu przemknęła koło łóżka Zośka. Nie mógł przekrzywić głowy, aby ją śledzić wzrokiem, ponieważ czuł ból w mięśniach szyi i w ramionach. Nad wieczorem usnął i spał tak twardo, że stara nie budziła go nawet na kolację.

- Dobrze się wyspać to lepiej niż zjeść. Ciepło mu po ziółkach, niech się wyśpi. Odpocznie sobie.

Zgasiły światło, położyły się spać obok siebie, rozmawiając półgłosem przed snem. Spod okna dochodził miarowy, spokojny oddech śpiącego.

Spał do południa. O zmierzchu młoda pojawiła się w izbie, zdyszana, zaczerwieniona od zmęczenia. Jasiak obserwował ją znad poduszki.

- Coś przyniosła, Zośka?

- Sadło świstacze.

- Od kogo?

- Od znachora z Sidziny.

- Bój się Boga, chciało ci się gonić na taką marną pogodę! Więcej niż dwie mile! Będziesz mnie kurowała?

- Będę. Śpij.

Ale Jaśkowi nie chciało się spać. Dziewczyna rozpałała pod blachą, sadło zaczęło skwierczeć.

- Zośka, chodź tutaj. Siądź sobie.

- Nie mam czasu - broniła się bez przekonania. Stara bowiem plątała się ciągle po izbie. Wmieszała się wnet do rozmowy.

- Ja mu sama natrę piersi. Idź, obrządź krowy.

Odstawiła rondel, przemieszała zawartość, zbliżyła się do łóżka, poprawiła poduszkę. - Głowa cię nie boli?

Potrząsnął przecząco głową. - Ciężko mi przewrócić się na bok.

Odsunęła koce. - Zdejmę ci koszulę.

Ściągnęła z piersi koszulę, ostrożnie przewlokła przez obandażowaną głowę. Ukazała się klatka piersiowa obciągnięta cienką skórą, obwiedziona wystającymi żebrami. Pomacała palcem sadło, czy nie za gorące, i zaczęła rozcierać po ciele chorego.

- Jakiś ty chudzina! Same żebra!

- To nic, matusiu. Ale swoją siłę mam.

- O, ja wiem, masz. Po co napadłeś Witka ze Sporysza? Potrzebna ci była ta awantura?

- Witka przyłapał chłop na oszustwie, a oszust sprzął jeszcze chłopą po pysku. Jak się wam to podoba? Wyłoiłem go batem za oszustwo i za pobicie.

- Igraj, igray, aż się doigrasz! Idziesz na wesele jednej dziewczyny, łeb ci rozbijają; druga dziewczyna cię kuruje. Aż kiedyś tak ci się przydarzy, że ci już nikt nie pomoże. I wtedy przestaniesz myśleć o dziewczkach. Kości ci przetrąca. A kości już nie złatasz. Ani Kudłoń nie da rady. I będziesz do końca życia jak rozbity garnek.

Sadło dobrze zrobiło Jaškowi. Posilił się wieczorem kaszą z mlekiem i usnął natychmiast snem młodego ciała, wracającego do zdrowia.

Rano we środę przyszedł Władek w odwiedziny do przyjaciela. Chory o mało z łóżka nie wyskoczył, tak się ucieszył.

- Jakżeś mnie tu znalazł? Pewnie Ślepek martwi się o mnie, gdzie zniknąłem?

- Płacze za tobą: „Gdzie mi się Jasiak podział?” Ja mówię: „Dziadku, nie bójcie się, nic mu nie będzie. Pokaleczyli go trochę parobcy na weselu w Sopotni, wnet będzie zdrowy”.

- Skąd wiedziałeś, że tu jestem?

- Agnieszka była na dole i spotkała Turculę. A Turcula wszystko musi wiedzieć.

- Przed nią się nic nie ukryje.

- Ślepek biadał przez cały dzień: „On taki już jest, ten Jasiak, lekkomyślny bitnik, gorąca krew. Nie popuści żadnej okazji”.

- Ja się wcale nie biłem, to nieprawda. Mieli na mnie chrapkę. Wszystko było przedtem przygotowane. Może i Maryśce kazali umyślnie zaprosić mnie na wesele. Rozbili lampę w tańcu i w ciemności tłukli mnie na kwaśne jabłko.

- Ja słyszałem, że to była podmówka Witka-Cholery. Bo Gałaś maczał palce w tej robocie. A musisz wiedzieć, że on wozi świnię Witkowi. Zawsze razem jeżdżą po jarmarkach i razem piją w karczmach.

- Tak, to jego sprawka, bo sama Maryśka przyznała mi się, że Gałaś zmówił na mnie parobków. Niech oni się nie cieszą, ja sobie to jeszcze odbiję.

- Podobno wczoraj Witek pił u Habera z Witkowskim.

- A co robi Tramek?

- Płacze za płótnem i klnie na policjanta.

- Taki drań tuczy się krwią biednych i idzie później do szynku chlać wódkę z drugim draniem. Sumienie mu na to pozwoli.

- Gdzie on tam ma sumienie!

- Pójdę do niego, tylko wyzdrowieję.

- Co pleciesz? - wybuchnął Władek. - Ani się waż!

- Dlaczego? Pójdę do Witkowskiego, upomnę się o Tramkowe płótno.

- Czyś ty, chłopie, zwariował? Czy masz gorączkę? Tego by jeszcze brakowało! Zapakuje cię do ciupy, nie wyleziesz stamtąd prędko!

- Będę chciał od niego odkupić to płótno. Dam mu nawet sto złotych, wszystkie pieniądze, jakie mam. Będę widział, co powie.

- Nie wydziwiał, Jasiu! Czego ci się zachciewa? Witkowski tylko na to czeka, aby mieć jakiś powód do zaczepki z tobą. Pamiętaj, że już na tobie wisi skarga Witka-Cholery. On wczoraj musiał cię ładnie wymalować w szynku przed policjantem! Nie darmo z nim wódkę pił. Chcesz się dostać do kryminału?

- Skądże? Broń Boże!

- To siedź cicho.

- Podobno u wójta w Jelesni odkryli świństwa, mówiła mi Zośka - Jasiu podjął inny temat. Ale poprzednia myśl, jak zakiełkowała, tak nadal uparcie świdrowała mu w mózgu.

- Tak mówią - przyświadczył kompan. - Słyszałem, że tę składkę na Ligę Powietrzną, co zbierano po wsiach, Franczak schował do swojej kieszeni. Coś dwa tysiące zginęło w gminie. I wójt nie mógł się z tego wyliczyć.

- Co robi Witkowski? - Jasiu przerzucał się z tematu na temat.

- Czy ja wiem? Nie chodzę za nim. On jest policjantem, chodzi za ludźmi jak pies. Ja jestem zadowolony, gdy tej mordy nie widzę.

- Witkowski ma być także w to wmieszany - nieznuzenie ciągnął swój dyskurs Jasiu.

- W tę machlojkę ze składkami na Ligę Powietrzną.

- Po złotemu musiał każdy chłop dawać. A kto nie miał, to wójt go namawiał: dawać jaja albo masło! A później siostra Franczakowej sprzedawała to na jarmarku.

- Naturalnie, on ma wszędzie protekcję. Zobaczysz, że i tę sprawę umorzą. Starosta ukrepi jej łeb. Boby więcej jeszcze świństw przy tej sposobności wylazło na wierzch. Nie jeden wójt kradnie; cała kompania. Zobaczysz.

- Możliwe.

Władek ziewnął potężnie, aż szczęki zatrzeszczały mu w zawiasach, za jego przykładem nieświadomie poszedł Jasiu. Juraszek nachylił się nad łóżkiem. - Nie powiedziałem ci jeszcze jednej nowiny.

- No?

- Zgadnij.

- Straż graniczna wyleciała w powietrze? Gajowy Leś powiesił się? Pani nadleśniczyna powiła trojaczki?

- Nie - przyciszył głos jak na spowiedzi. - Ubiłem wczoraj dzika z Bronkiem.

- Gdzie? - ożywił się Jasiek.

- Jak się wychodzi do Przegibu od Szumiącej Jedliny. Skoro świt wracał z czeskiej strony, zawsze wracał na to samo miejsce. Broniek go wytropił. Był mały śnieg, szliśmy za tropem. Idziemy może kilometr, a tu na dnie parowu w krzakach obiegł odyniec, czarny, zwałisty jak krowa.

- Misiółków? Ten z Jałowcowej, jego znajomy? On nosi w skórze jego dwie kule.

- Nie ten. Tamten jest stary, rudawy, a nasz miał czarny, gęsty włos. Ciarki aż wyszły na mnie. Ale dzik zerwał się i uszedł. Dostał strzał od Bronka, nic, ani się nie zachwiał; pruł gąszcz, zaczął ledwo farbować. „Będzie nasz” - mówimy. Ale dość nas jeszcze wymęczył. W dolince potoku, gdzie był śnieg głębszy, tarzał się zadem, widać było.

- I co potem? - oczy Jaśkowe płonęły z niecierpliwości.

- Uchodził dalej. Ale Broniek znał jego chody, zabiegł mu drogę i pod brzoškami wlepił kulę w komorę, ja dodałem w oko i dzik poległ. Ściągnęliśmy go na dno jaru za kły i za nogi, pocięliśmy i przewieźliśmy do domu.

- Ach, psiakrew! - wyrwało się Jaśkowi przekleństwo. Opadł na poduszkę podniecony.

- Że też mnie tam nie było! Muszę tu gnić z poharatanym łbem. Wszystko przez tego drania Witkowskiego!

- Przecież to nie on ci mordę skuł, tylko Gałaś.

- Ja wiem. Ale u początku całego zła stoi Witkowski. On winien wszystkiemu. Czuję, że się ze sobą pokłócimy.

Już w czwartek nudził się w łóżku. Od rana chciał się zerwać i ubierać. Ale obie kobiety nie pozwoliły mu wstać.

- Leż, jak ci dobrze - ofuknęła go stara. - Wyglądasz jak nieboskie stworzenie. Popatrz do lusterka.

Wziął lusterko od lampy naftowej wiszącej na ramie okiennej. Oczy podbite krągłymi sińcami, rozcięta skroń, skaleczone ucho. Gdy się poruszył, odczuwał dziwną mdłość, rozlazłość w ciele. Może by nie mógł nawet zająć na Głuchaczki? Uczuł się przekonany argumentami Maśliny i uspokoił się.

Także i w piątek zrywał się od rana do wyjścia, lecz znów natrafił na zdecydowany opór niewiast.



- Lepiej dzień dłużej poleżeć, niż miesiąc kwękać.

- Gdy ktoś w łóżku leży, zawsze będzie chory. Jak wstanę, nic mi nie będzie.

W dodatku baby schowały mu gdzieś ubranie. Nadaremnie wyglądał przez cały dzień Władka. Zośka proponowała mu, aby poleżał do przyszłego tygodnia, jak polecił znachor. Odrzucił z oburzeniem tę myśl.

- Zgniłbym tu w łóżku do przyszłego tygodnia. Jutro wstaję, żeby się świat walił. Już dziś mógłbym iść pieszo do Żywca. Kto wie, sypnąłbym się nawet na Orawę.

Rzeczywiście, pomimo protestów w sobotę rano wstał, ubrał się, zjadł śniadanie. Pożegnał się z Maśliną, pocałował ją w rękę.

- Dziękuję wam, matusiu, żeście się mną opiekowali w chorobie.

Surowo, choć dobrotliwie skarciła go: - Uważaj na siebie, Jasiek. Boś ty w gorącej wodzie kąpany.

- Jakoś to będzie, matusiu.

Podał rękę młodej, wybladły, zmizerniały. Patrzyła w niego jak w tęczę.

- Bądź zdrowa, Zośka.

Wymknęła się za nim do sieni. Zanim matka zdołała także opuścić izbę, zdążyli się pocałować. Przypadła do jego ust namiętnie, długo czekała na tę chwilę. Podczas choroby udało się jej tylko raz być z nim sam na sam. Matka, czujna jak niedźwiedzica, stale była przy nich, a gdy wychodziła na dwór, zawsze brała ze sobą córkę. Wodę ze studni nosiła Zośka, krowy obrządzała Zośka; robota w domu należała do matki. Kiedy za pierwszym razem owego dnia - było to nazajutrz po przywiezieniu Jaśka - przytuliła się do jego twarzy, na pół spał, na pół był przytomny. A głowę całą miał w szmatach. Teraz zaś, kiedy się pocałowali, znów uczuła przy sobie jak dawniej jego ciało, ciepłe i gibkie. To był jej chłopiec z Głuchaczek, którego kochała, którego wykurowała znachorskim lekiem, biegnąc poń w śniegawicy aż do Sidziny, parę mil drogi; nie drogi - bezdroża.

Rekonwalescent z posiniaczoną twarzą wymaszerował przed południem. Masłowska z córką były przekonane, że wraca do domu. Ale on nie zjawił się tego dnia w Głuchaczkach. Przyszedł dopiero po północy. Zapukał trzykrotnie do Ślepkowego okna. Starzec ukazał się za szybą w bieliźnie, chudy jak mara z za grobu. Otworzył Jaśkowi drzwi, młodzieniec wszedł do sieni. Zapalił lampę.

- Coś ty taki gruby?

Jasiek w odpowiedzi przyłożył palec wskazujący do warg na znak milczenia. Rozpiął kurtkę, ukazując krótki fartuch, ściągnięty w pasie sznurkiem. Rozplatał węzeł, wyciągnął płótno, którym był owinięty.

- To połowa Tramkowego płótna - informował szeptem. - Schowamy to gdzieś w stodole.

- Płótno? Od Witkowskiego? - zaczął się jąkać z wrażenia Ślepek. Jeszcze raz palec Jaśków tajemniczo przypieczętował jego wargi, nakazując bezwzględny sekret.

- Ani słowa Mitanom.

Nie mówił dużo ze starcem. Wyszli w noc ku stodole. Wrócili za pięć minut.

- Teraz chciałbym spać. Zmęczenie powaliło go na łóżko.

Pieścił ten plan w umyśle już od paru dni. Kiedy szedł nocą ku Głuchaczkom, serce obciśnięte zwojem płótna rozpieierała duma, że dopiął swego. Leżąc na łóżku Zośki Masłowskiej obmyślił wszystko sprytnie co do najmniejszego szczegółu. Jeśli ktoś nie ma przez pięć dni nic innego do roboty poza myśleniem, może coś dobrego wymyślić.

Z gotowym planem schodził z Cichego. Najpierw udał, że idzie na Głuchaczki, lecz od brzożowego gaju, straciwszy z oka chatę opiekunek, skręcił w prawo, zwolnił tempo, włókł się w stronę Przyborowa, czekając, aż zapadnie zmrok.

Po dwóch godzinach leniwego kołowania znalazł się na wysokości pierwszych chałup wsi. Z paru pól podnosiły się nagle dymy nad kupkami palącego się perzu i suchych badyli ziemniaczanych. W ten sposób nawożono tu i poprawiano glebę pod przyszły zasiew. Obchodząc pola chaszczami, celował ku małemu wąwozowi, za którym, na szczęście trochę odosobniona, stała chałupa Witkowskiego. Jasiek przysiadł w krzakach nad wąwozem. Dokładnie upatrzył sobie drogę powrotną: wzdłuż strumyka w górę, miedzami do chaty Tranków, stamtąd jest ścieżka do Gajki i przesieką w las. A dalej już - bajka.

Wcześniej zapadł grudniowy zmierzch. Pod osłoną oćmy przybliżył się Jasiek ku osiedlu ludzkemu, kucnął w leszczynie. Poza szczekaniem psów Przyborów nie dawał znaku życia. Skądś odezwało się wesołe gwizdanie; miejskie, poznać po melodii. Policjant wracał do domu. Jego obchód wieczorny polegał na odwiedzeniu młodej wdówki Chmielowej (flircik z nią odbywał się nie tylko za wiedzą, lecz i z aprobatą pani Witkowskiej) oraz na wizycie u sołtysa przyborowskiego. Tam posterunkowy wypalał dwa papierosy, roztrząsał nowiny dnia (miał radioaparat w domu), dzielił się swoimi podejrzeniami, słuchał sołtysowych skarg - i po wspólnej wymianie zdań w interesującej ich obu dziedzinie wracał do mieszkania. Jasiek już dawniej wywiedział się o codziennych obyczajach obrońcy miejscowego bezpieczeństwa. Po kolacji Witkowski rozbierał się, słuchał wiadomości dziennika radiowego, następnie koncertu, po czym gasił lampę i zasypiał przy dźwiękach muzyki, nie zapominając wszakże wyłączyć prądu w ostatniej chwili. (Akumulatory trzeba było co dwa tygodnie ładować w tartaku). I tak znojny dzień policjanta przechodził z wolna w

zasłużony sen.

Wieczór ogarniał wieś, która kładła się spać z nastaniem pierwszych ciemności. W oknach Witkowskiego zapłonęło światło. Jasiak podsunął się pod chałupę na odległość trzydziestu kroków. Usiadł skulony pod miedzą i patrzył. Okna nie miały firanek. Widział doskonale (a wzrok miał znakomity), jak Witkowski jadł kolację, następnie pił coś z garnuszka. Po chwili wstał, narzucił na siebie bluzę, widać było, jak rozprawia w kuchni z żoną. Później znikł. Jasiak czekał, aż rozświecili się okno w lewej stronie domu, gdzie mieściła się tak zwana szumnie kancelaria policjanta. Lecz wkrótce rozległ się skrzyp drzwi od sieni. Młodzieniec przywarł do trawy. Witkowski wychodził na dwór.

„Idzie do wychodka.”

Nie potrzebował nawet wychodka, wystarczył węgiel chałupy. Policjant był w dobrym humorze, pogwizdywał pod nosem. Rozległ się zgrzyt przesuwanego w zamku klucza i krótki definitywny stuk zasuwki. Zamykano drzwi na noc.

Za chwilę Jasiak dojrzał ponownie postać Witkowskiego w oświetlonym oknie pokoju. Policjant usiadł na stołku, zdejmował buty z cholewami. Zrzucił z ramion szelki, zdjął spodnie. Z wzrokiem utkwionym w oświetlone okno młodzieniec parł ku domostwu. Po drugiej stronie widać było w kuchni gospodynię myjącą wraz ze służącą naczynia. Witkowski, już w bieliźnie, szedł do łóżka. Kucnął przy stoliku, regulował głośnik radiowy. Jasiak okrążał chałupę dokoła, zatrzymał się przy środkowych węglach, stanowiących ścianę kuchni. Przystawił ucho do dyli, rozróżnił głuche terkotanie obu kobiet. Pan posterunkowy zapewne rozgrzewa się teraz ciepłem pierzyny i, wsłuchując się w muzykę, ocenia dobrodziejstwo cywilizacji.

Wszystko, co się stało potem, było dziełem jednej chwili. Nie było sensu dłużej czekać. Wieś spała, policjant w gaciach smyrnął do łóżka, zdmuchnął lampę, zasłuchał się w muzyce, obie kobiety zaś zajęte były w kuchni garnkami i plotkami. Cicho i zgrabnie jak kot wspiał się Jasiak po węglach na strych, przesunął się pod strzechą między dylami (prześliznął się, chudzina), już był na górze. Jak słusznie przewidywał, płótno wisiało rozpostarte na sznurze przez całą szerokość strychu. Na powałę pokazywała właśnie Witkowska, mówiąc Luzarce o ścierkach do podłogi, które, sobie z płótna wykroi. Jasiak nie zapomniał tego szczegółu w opowiadaniu Władka.

Zwinął płótno w niekształtny rulon i puścił je między dylami powały a strzechą, jak gdyby wysypywał kupę szmat. Długa płachta upadła miękko w trawę. Następnie sam opuścił się po węglach bez najmniejszego hałasu, tak jak wszedł. Obawiał się trochę, czy aby nie poczuje jego obecności pies Witkowskiej. Lecz był to piesek pokojowy, który stale asystował

przy kuchni i nie ruszał się prawie spod pieca.

Cała operacja nie trwała dłużej nad pięć minut. Serce łomotało Jaśkowi ze wzruszenia. Zwinął zdobycz starannie i wsadził pod pachę, dusząc nią bicie wzruszonego serca. Długimi krokami sadił jak bocian do wąwozu. Stąd w zupełnej ciemności na pamięć pogonił prosto do Tramków. Uważał przede wszystkim na to, aby go nikt nie widział. Na szczęście nie spotkał nikogo na drodze.

Tramkowie byli z początku przerażeni. Później, uspokojeni przez chłopca, pogodzili się z niespodziewaną sytuacją i omówili plan dalszej akcji. Rozcięto płótno na dwie części, z których jedną zaniósł natychmiast Tramkowa do pasierba mieszkającego w bliskim sąsiedztwie, drugą zaś miał zabrać Jasiek na górę, do Ślepka.

- Gdyby was kto o co pytał, macie jedną odpowiedź: nie wiecie o niczym.

Okręcił się połową płótna jak fartuchem (było tego cztery metry), związał w pasie sznurkiem, zapiał kurtkę i wyszedł w noc.

Nazajutrz była niedziela. U Mitanki wszyscy spali do późna. Po obiedzie zajrzała do nich Agnieszka Juraszkówna z nowiną, wróciwszy właśnie z kościoła.

- Tej nocy okradli Witkowskiego!

- Co ty mówisz? - zdziwił się Ślepek.

Jasiek wtajemniczył w swój plan tylko dziadka. Nocą ukryli płótno, upchnąwszy je w słomę między dylami nad stajnią. W czarnym bezgwieździu kroczyli ku stodole. Nawet Mitanów nie wciągnęli do zмовy.

Oczywiście i Jasiek uważał za stosowne zdziwić się:

- Chwała Bogu! Okradał ludzi, teraz jego okradli. Dużo mu wzięli?

- Płótno mu skradli! To Tramkowe! - wykrzykiwała Agnieszka.

- Wiecie, wiecie, to płótno ma coraz więcej amatorów! Pewnie jedwabne, że się tak ludzie na nie łakomią - zapalił papierosa i zaczął wdziawać buty.

- Żeby to tylko płótno! - terkotała Juraszkówna. - Wzięli mu jeszcze trzysta złotych gotówką i srebrny zegarek.

- Miał pies buty, a Witkowski srebrny zegarek! - zauważył zgryźliwie młodzieniec i wyprostował się, zaintrygowany wiadomością.

- Mało tego - meła w dalszym ciągu informatorka - skradli mu jeszcze trzy koszule, poszwę na koldrę, jakieś prześcieradło, a żonie jego dwie bluzki.

- Ho, ho, ho, a to się złodziej odkuł! - zdumiał się chłopiec nie na żarty. - Gacie żadne mu nie zginęły, tylko koszule?

- Na tysiąc złotych szkód poniósł podobno Witkowski.

- Od kogo to wiesz, Agnieszka?

- Wszyscy pod kościołem dziś o tym brzęczeli. A Przyborów cały huczy,

- Pomyślcie, pomyślcie - mruczał Jasiak. Był wściekły; zezłościła go ta wiadomość poważnie. Być może, że to Turcula, parszywy pysk, naplotła na własną rękę, co jej ślina na język przyniosła. A może Witkowski sam rozpuścił pogłoskę o rzekomym rabunku jego mieszkania, aby odwrócić uwagę od właściwego obiektu kradzieży? Aby się zrobić męczennikiem bez dużych zachodów? Aby prawo tym ostrzej ścigało przestępcę?

Po obiedzie zerwał się wielki wiatr. Pilsko wystawiało pod niskie, popielate niebo szczyt unurzany w śniegu. Tylko dwa najwyższe wierchy Beskidu nawiedził biały opad zimy. Jasiak patrzył przez szybę na miotaną wichrem ławę lasu i pracowicie wytrzępywał resztki tytoniu z pudełka. Skręcił papierosa z trocin, z samego prochu, zapalił. Ogień co chwila zlatywał z bibułki na ziemię. Dujawica świszcziała za oknem. Chłopiec utkwiał wzrok w szybie, którą do połowy przyskoczyła brzuchata, granatowa fala Wężowca. Wołała go tęsknota za szlakiem południowo-zachodnim. Pod wieczór odwiedził go Władek.

- Masz co palić?

Tamten wzruszył ramionami. - Z przyborów do palenia przyniosłem ze sobą tylko gębę.

- Nie mogłeś powiedzieć Agnieszce, była na dole, mogła kupić papierosów do cholery i trochę.

- Spałem jeszcze, gdy wyszła. Zresztą miała nie iść do kościoła.

- Poszłoby się do lasu coś ustrzelić, Władek!

- Nie mam już patronów. Ani prochu.

- Mnie też się już kończy. Zajdę jutro do Berka, to kupię. Odbiorę sobie przy sposobności siedem złotych, których mi nie dopłacił.

- Weź od niego sto patronów i trzy małe paczki prochu; tak jak zawsze brałem. Śrut mamy. To będzie kosztowało dziesięć złotych; czyli że na mnie przypada pięć. Daję ci osiem złotych: za trzy złociaki kupisz setkę papierosów.

W poniedziałkowe mroźne rano wybrał się Jasiak do Berka. Po wczorajszym wietrze i deszczowej nocy odsłonił się widok wierzchołków przyprószonego śniegiem. „Dobrze byłoby teraz podejść rogacza”. W szynku koszarawskim, smętnym i pustym, była tylko żona Berkowa.

- Męża nie ma. Poszedł do ojca, do Jeleśni. Jeśli go trzeba, pošlę po niego chłopaka.

- Nie trzeba. Sam pójdę. Mogę to także załatwić ze starym Haberem.

Kobieta uśmiecha się. Wie, że jej męża i teścia łączą rozmaite interesy z Jaśkiem Dziurą. Także i on uśmiecha się z kolei. Twarz ma posiniaczoną; na uchu, nad wargą, na skroni widnieją jeszcze wyraźnie ślady rozcięcia.

Koło południa pochmurny dzień nieco się rozjaśnia. Błyska na chwilę słońce, niskie, nieruchawe, prawdziwie grudniowe. Nogi ślizgają się w czarnym, grząskim błotku. Jasiak zachodzi do szynku od tyłu. Wejście to zarezerwowane jest wyłącznie dla domowników oraz dla zaufanych. Ojciec rodu Haberów, starzec z chorymi oczyma, z długą siwą brodą, siedzi przy stole z synem, obliczając coś z ołówkiem w ręku. W połowie finansuje on karcznię Berka w Koszarawie. I co pewien czas dokonują razem rozrachunków. Syn oddaje ojcu połowę czystego zarobku, drugą połowę zachowuje dla siebie.

Haber żył dobrze z narodem gór i lasów. Jasiak ubił z nim kilka niezłych interesów.

- Przyszedłem do was po patrony i po proch.

- Zrobi się - Żyd pogładził brodę, sięgającą pępka. - Pójdziecie strzelać?

- Pójdziemy - zbył go krótko młodzieniec.

- Kupię jaką ładną skórkę. Dobrze zapłacę - Haber wbił ruchliwe palce w gąszcz brody. - Miałbym dla ciebie, Dziura, dobry chód. Gdzieś za tydzień. Dobry - cmoknął wywracając przekrwione białka.

- Już się nie da. W górze zaległ śnieg - twarz chłopca przekrzywiła się wskazując w kierunku Pilska.

Szynkarz wyszedł do sklepu, przyniósł żądany towar, zrobili krótki rachunek. Jasiak schował paczki do kieszeni, zapiął kurtkę.

- Berek, czemu tu dziś urzędujesz u ojca? - spytał koszarawskiego karczmarza.

- Obliczamy się. Dziś się nam szabas zaczyna.

- Dziś przecież poniedziałek.

- Jutro mamy wielkie święto. Pojednania.

Jasiak zapalił papierosa, obszedł dokoła karcznię i wkroczył głównym wejściem jak zwykły śmiertelnik. Usiadł w kącie na ławce, kazał sobie podać chleba z kiełbasą oraz szklanę piwa. Za szynkwasem płatał się w czarnym długim chałacie wnuk Habera, chłopiec wysmukły, cienki - tak cienki, iż zdawało się, że lada chwila złamie się jak łydyga. Większą część jego delikatnej twarzy koloru kości słoniowej zajmowały oczy wielkie, wyłupiaste, smutne.

Obszerna knajpka nie mogła się pochwalić dużą frekwencją. W przeciwległym kącie siedziało trzech młodych chłopów przy piwie, grając w karty. Dalej ku środkowi rozparło się

za stołem dwóch gości, z wyglądu rzekłbyś, na poły mieszczan. Jeden to miejscowy piekarz, drugi, chłop dorodny, tęgi, wąsaty, nie był znany Jaśkowi. Stała przed nimi wódka, piwo i zakąski. Obaj rozmawiali półgłosem i od czasu do czasu rechotali grubym śmiechem.

Jasiek zajadał i obserwował. Haberowa ustawiała flaszki na półkach. Zeszła ze stołka, zaczęła ścierać piwo rozlane po ladzie. Smutny chłopak w czarnym chałacie oparł się o futrynę okna, zawiesiwszy wzrok na Pilsku. Kto wie, o czym myśli? Ojciec pragnie go wysłać do Żywca na naukę śpiewu, chce z niego uczynić sławnego kantora. Dziadek chowa w zanadrzu dla wnuka karierę duchowną. Trzeba wysłać Mordkę, powiada, do Krakowa jako kandydata do szkoły rabinackiej.

Ale serce Mordki nie słucha ojca ani dziadka. Serce Mordki tęskni za dziewczyną. Za smolistymi oczami Reginy, córki fryzjera spod stacji.

Drzwi rozwarły się na oścież i marzenia Mordki zostały brutalnie przerwane. Wszedł wysoki chłop ze zmierzwionymi jasnobłond włosami. Zmierzał wprost do stolika z zakąskami.

- Czego tu chcecie, Maściak? - huknął na niego zza stołu wąsaty mężczyzna.

Tamtę zdarł czapę z głowy, stanął w kornej postawie, skulony, miętosząc czapę w rękach.

- Ja, panie wójcie, jeszcze raz przychodzę do was po to świadectwo ubóstwa.

- „Ach, więc to wójt!” - przeleciało przez mózg Jaśka

- Nie dam! - wybuchnął groźnie wąsacz i wyrznął w stół, aż szklanki zadźwięczały. -

Powiedziałem wam raz i koniec!

- Ja chcę jutro złożyć podanie w Żywcu. Do środy jest termin.

- Idźcie do księdza proboszcza.

- Byłem u księdza. Ale świadectwo ma wydać urząd gminny, tak jest powiedziane w starostwie.

- No, to urząd gminny wam takiego świadectwa nie wyda. Szkoda chodzenia, Maściak.

- Przecież wszyscy zaświadczą, panie wójcie, że jestem biedak, że jestem małorolny, że krowy nie mam, że mam dziecko małe.

- Co mnie obchodzi wasze małe dziecko? Po jaką cholere przyłazicie tu za mną, aby mi duperele opowiadać? Świadectwa ubóstwa ode mnie nie otrzymacie. Zresztą, znowu tacy biedni nie jesteście. Posyłałem po was w lecie, abyście mi wyszli do żniw popracować, to się z was zrobił hrabia. Nie przyszlście. Więc wy teraz do mnie przychodzicie po świadectwo, a ja mówię: nie ma.

- Panie wójcie, przecież dobrze wiecie, że wtedy nie mogłem wam wyjść do roboty w

polu, bo pracowałem w tartaku, a żona była zgodzona do Pasika na całe zbiórki. Nieraz tam nocowała z dzieckiem. Jak mogliśmy pójść?

- Jak tam było, to było, szkoda o tym gadać, Maściak. Nie nachodźcie mnie więcej, bo jeżeli jeszcze raz przyjdziecie do mnie, doniesienie na was złożę, że mi przeszkadzacie w urzędowaniu. Tak, w urzędowaniu - powtórzył donośnym tonem, aby się to nikomu śmieszne nie wydawało - bo ja tu mam właśnie rozmowę dotyczącą spraw gminnych.

Oczy jego rzucały groźne błyski. Jasiak zapalił papierosa, dopił piwo i obserwował wójta z przeciwnego kąta. Więc to jest ów słynny wójt jeleśniański, Franczak! Prawa ręka i zaufany starosta, przyjaciel Witka-Cholery, przodownika Kaczmarczyka, Witkowskiego, kompan pisarza gminnego i sołtysa przyborowskiego, ciemna, wszechwładna na całą okolicę postać. Ich brat w draństwie. Psubrat.

Maściak nie dał za wygraną. Przystępując z nogi na nogę, mnąc czapę w obu rękach, niezdarly i bezradny, przeczekał, aż minie wybuch wójtowskiej złości i rozpoczął:

- Ja tam się nie mieszam do nie swoich spraw. Ani też nie chcę nic nadzwyczajnego. Nie chcę zapomogi, co przyszła do gminy dla najbiedniejszych, choć przecie wszyscy we wsi wiedzą, że w całej Jeleśni Maściak i Kropielnik to największe dziady. Nie upominam się u pana wójta o mydło, że przyszło dla nas, biedaków, a nikt z nas go nie dostał, choć już trzy miesiące minęły od tego czasu. Ktoś inny wyprał nim swoje gacie. Nie dostał Kropielnik ani Gralina, co ma sześcioro dzieci i żyje z niczego. Ani ja, ani Czul. Mydło ze starostwa przyszło, ale kto je widział?

Wójt zacisnął zęby, puścił obelżywe gadanie mimo uszu. Poczzerwieniał tylko z irytacji. Wziął do ust szklanekę z piwem, dzwonił po szkle zębami z wściekłości, wychylił napój, przelknął, aż w całej izbie było słychać. Maściak, schylony pokornie, ciągnął dalej:

- To znaczy, ktoś tam widział to mydło. Ale nie my, biedacy. Pani wójtowa, pani pisarzowa, pani posterunkowa, pani sołtysowa na pewno prały nim swoje brudy. My nie praliśmy. Ale my przecież nie biedacy - podnosił głos rozzuchwalony chłop. - Bo ja już czwarty raz chodzę do pana wójta o świadectwo ubóstwa. A pan wójt za każdym razem mi odmawia. Więc ja nie dziad, bo nie dla mnie zapomoga, bo nie dla mnie mydło, bo nie dla mnie świadectwo ubóstwa. Ja hrabia, bo ja nie wyjdę pracować do pana wójta w żniwa. Ale pan wójt mydło wziął i biedakom nie dał. Kto tu jest dziad?

Pytanie groźnie rozległo się po izbie. Wójt zerwał się z za stołu, doskoczył do Maściaka, wyrznął go w twarz.

- Ty chamie!

Zaczął go prać po głowie z furją, raz, drugi, trzeci, chłop się zasłonił rękami, wójt



kopnął go w pośladki, aż się Maściak zgiął. Wreszcie pchnął go wyciągniętymi rękami poprzez ławę, tak że tamten upadł. Leżącego jeszcze kopał z ponurym, zaciętym sadyzmem.

W jednej sekundzie Jasek zerwał się, przewrócił stołek, chybnął na rozłożyste plecy Franczaka, objął go rękami, załamał w krzyżu wół i wywrócił na grzbiet.

- Kto wam dał prawo do bicia tego człowieka?

Wójtowi zabrakło tchu w gardle od nagłej napaści. Podnosił się właśnie z ziemi przy pomocy piekarza. Wytrzeszczył oczy na młodzieńca, zdumiony jego bezczelnością.

- Kto ci pozwolił mieszać się do nas, zasrańcu?

Z wyciągniętymi pięściami szedł na Jaśka. Ten nie czekał ciosu. Błyskawicznie podjął stołek, lunął nim w nadciągającego. Rozległ się trzask złamanego drewna. Wójt chwycił się za ramię, zakląwszy straszliwie. Przegiął się w biodrach, padając na kolana. Wszystkim obecnym zaparło dech w piersiach. Franczak zwrócił nabiegłe krwią oczy na napastnika. Złapawszy za stołek z dwiema utraconymi nogami, poderwał się z kolan przy jego pomocy, po czym ujął w obie ręce zdemolowane narzędzie, któremu zawdzięczał swój upadek. Widząc ten niedwuznaczny zamiar, Jasek uprzedził wójta i wytrąciwszy mu stołek z rąk, grzmotnął go pięścią między oczy. Przeciwnik zmykał w kąt, rycząc boleśnie:

- Ty bandyto! Ja już coś słyszałem o tobie!

Jasek wolno ruszył ze środka izby ku niemu. Piekarz schronił się pod oknem.

- Słyszeliście już o mnie? W takim razie usłyszycie jeszcze więcej, panie wójcie!

Zbliżał się groźny, skupiony, blady. I w tym momencie wobec wszystkich, którzy byli w szynku, dumny, potężny wójt Franczak skoczył za ławę, skulił się pod stołem, krzycząc:

- Policja! Mordują!

Haber z Berkiem delikatnie odciągnęli Jaśka z pola bitki, perswadując mu ostrożnie: - Daj spokój, Dziura! Daj spokój!

Dał spokój. Patrzył roziskrzonym wzrokiem na ofiarę przypadłą pod stół ze strachu. Tymczasem trzech karciarze podnieśli Maściaka z podłogi, posadzili na ławie, otrzepywali go z błota. Piekarz drżał przy oknie. Jeden wójt nie przestawał pokrzykiwać spod stołu:

- Policja! Napad bandycki w biały dzień! Policja!

- Stulić pysk! - krzyknął Jasek i wójt ucichł.

- Płacić!

Przybiegła Haberowa, cała roztrzęsiona.

- Panie Dziura, po co to wszystko było robić? - zakwiliła.

- Ile? - huknął na nią.

- Złoty pięćdziesiąt.

Rzucił jej dwa złote. Poprawił marynarkę, z rozpiętą kurtką wyszedł z karczmy. Żydzi tymczasem łagodzili rozjuszonego wójta. Wylazł spod stołu, klnąc na czym świat stoi, szturchnął w plecy płatającego się pod nogami Mordkę.

- Ja mu pokażę, temu bandycie! Zgnije w kryminale!

Wygrażał pięściami w stronę drzwi. Długo, troskliwie przy pomocy Haberowej czyścił powalane ubranie, poprawiał zmiętoszony krawat. - Popamięta sobie mnie ten awanturnik!

Powietrze gęstniało zimnym zmierzchem. Sine tumany chmur waliły znad Cylu. Wiatr pędził je od Tatr i należało przypuszczać, że do rana zrobi się z nich siąpa lub śnieg. Wnuk Habera, ze smutniejszymi jeszcze niż przedtem oczyma, zamykał żelazne drzwi szynku kluczem wielkim jak bagnet. Babka sprzątała ze stołu kufle, wsadziła do blaszanego szaflika z wodą. Już późno, nie ma czasu myć.

- Oj, tak niedobrze się szabas rozpoczyna! - westchnęła. Poglądała niespokojnie na drogę, czy się przypadkiem nie pokaże policjant. Berek chyłkiem, przezornie umknął do domu; zdąży jeszcze przed ciemnością. Na wszelki wypadek - nic nie widział, nie był obecny przy awanturze. Przyszedł załatwić rachunki z ojcem, siedział przez cały czas w kuchni.

Stary Haber wzniósł się ponad troski domowe. Odsunął od siebie myśl o niedawnej bójce, jak człowiek odpędza natrętną muchę. Gotował się do rozmowy z zaświatem, z Jehową surowym i sprawiedliwym. Nadchodziła święta godzina mroku. Wdział czarny, połyskliwy chałat jedwabny, zapalił świece. Dom, z którego przed chwilą wygnano zgiełk kłótliwego świata, stał się domem modlitwy.

Długo jeszcze złość szumiała w Jaśku. Wciąż przeżywał swą przygodę u Habera. Więc stało się! Zadarł z wielkim wójtem Franczakiem! I to pobił go nie w swojej sprawie. W obronie jakiegoś chłopca, którego nawet nie znał. Maściak, Maściak, nigdy nie słyszał takiego nazwiska.

Zmrok otulał ziemię gór, od dołu zaś skuwał ją lodowaty dech. Na wsi nie było żadnego ruchu, droga jak wymarła. Jasiek pomyślał o jutrzejszym polowaniu i w wyobraźni dobierał sobie tereny łowne od Przegibu po Romankę. „Czy ktoś poza mną chodzi lasem w taki czas?” - zastanowił się i zadziwił swej wytrwałości i odwadze. Minął Gajkę, posuwał się w wysokopiennym lesie świerkowym. Pod nogami chrzęściła zwarta, stwardniała gruda.

„Witkowski zaraz się o tym dowie” - powracał ciągle myślą do tego samego tematu. - „Jakżeby wójt nie poskarżył się przyjacielowi? Przecież Franczak z Witkowskim to jedna ręka. I Witkowski gotów jutro przyjść po mnie na górę” - przestraszył się. Przyśpieszył kroku. Teraz już poważnie zadarł z władzą; to nie przelewki. Siła i moc urzędu zostały naruszone.

Pogada na górze ze Ślepkiem, z Władkiem, poradzi się ich, co ma robić. Najlepiej poradziłby mu Wojnar, do niego miał największe zaufanie. Ale teraz nie będzie wracał; wychodził już bowiem pod przyborowski koszar.

„Może mnie zaaresztują” - wyciągnął papierosa, palił w zdenerwowaniu. W ciemności ognek rozżarzał się co chwila. „Jeszcze gdyby Witkowski odkrył, kto mu skradł płótno, ho, ho, miałbym się wtedy z pyszna! Tylu ludzi mieć przeciwko sobie: Witka-Cholere, Franczaka i Witkowskiego! E, chyba mnie nie wezmą” - uspokajał się z kolei. - „Może mnie wójt najwyżej zaskarzyć. Chłopi zaświadczą, że bitka była pospólna.”

Ale niebawem przypomniawszy sobie nieludzkie postępowanie wójta z Maściakiem zawrzał ponownie gniewem. „Ktoś musiał dać im nauczkę. Wszyscy będziemy cierpieć, a oni nas będą kopali nogami, bili po pyskach, nazywali chamami? Czy wójt Franczak nie jest takim samym chamem jak Maściak? On także nie może dostać po mordzie?”

Zajrzał do Władka, powiadomił go o wszystkim. Juraszek nie wróżył nic dobrego z tej historii. Kręcił nosem zmartwiony.

- To się niedobrze skończy. Franczak nie da za wygraną. To pies. A Witkowski drugi pies. Bez litości, jak się na kogo uweźmie.

- Więc co mam robić?

- Nie pójdziesz jutro na polowanie. Wójt jutro przyśle po ciebie policję. Powie, żeś go napadł w czasie urzędowania albo że to był napad rabunkowy. Za to jest gruba kara. Pobicie urzędnika w służbie. To nie w kij dmuchał!

- Zwariowałeś? w karczmie?

- Nie znasz tej bandy. Dla nich nie ma nic niemożliwego. Cóż to szkodzi, że w karczmie? On jest osobą urzędową i tyś na niego czatował. Zdybałeś go w knajpie i tam go napadłeś. On zrobi z tego napad bandycki, pobicie urzędnika w służbie oraz rabunek. Trzeba ich znać, tych drani.

- Mam ich gdzieś.

- W każdym razie radzę ci, abyś się zaszyl na jutro u Zośki w Cichem. Lepiej, aby cię w chałupie nie było, gdyby przyszli. Jakby się pytali u Mitanki, niech Ślepek powie, że poszedłeś w dół, na roboty do Żywca albo do Bielska. Jak Witkowski tu przyjdzie, dam ci znać do Zośki.

Jasiek przybity opuścił chatę przyjaciela. Ślepek już spał. Młodzieniec usiadł ciężko na ławie i rzekł:

- Dziadku, będzie nieszczęście. Może jutro przyjdzie tu po mnie policja.

Stary wytrzeźwiał w okamgnieniu. Zerwał się przerażony z poduszki.

- Tutaj? Po ciebie?

- Pobitem dzisiaj wójta w Jeleśni. Wójt zaczął pracować po pysku jakiegoś chłopca zupełnie niewinnie. I ja ująłem się za chłopcem. To było w szynku u Habera.

- Bój się Boga, chłopcze, że też ty sobie spokoju znaleźć nie możesz! Co w tobie siedzi? - starowina był zrozpaczony. Wezwali Mitana z drugiej izby i zaczęli radzić.

- Coś ty narobił? To się może źle skończyć. Trzeba, abys wywiązał stąd. Przynajmniej na parę dni. Żebyś zniknął z oczu Franczakom i Witkowski.

- Zniknę - odpowiedział chłopiec ponuro.

- Gdzie? - zatroskał się Mitana.

- Może się zaszyć w Cichem u Maślina?

- Nie - sprzeciwił się Ślepek. - Od razu się rozniesie, że tam jesteś. Turcula już wie, żeś się u Zośki lizał, jak ci łeb rozbili. Tam niedobrze. A i na nich może się policja później mścić.

- Dokąd pójde? Na Orawę do Liska?

- Tak daleko nie potrzeba.

- Do schroniska na Babią? Topór mógłby mnie przechować.

- Tam mogą się jacyś obcy ludzie przyplatać. Nie zawieraj nikomu. Słuchaj, na Koziej Polanie pod Rówienkami jest bróg z sianem. Tam się wbij, przesiedź przez jutrzejszy dzień. Jutro nocą zagładnij do nas ostrożnie. Jakby Witkowski u nas nocował, będę trzymał lampkę sprzed Matki Boskiej zaświeconą przez całą noc na moim oknie. Przez jutro się namyślimy, co będziesz robił dalej.

- Kiedy mam wyjść? Rano?

- Myślę, że jak wyjdiesz do świtu, to wystarczy. Połóż się od razu. Prześpij się. Zapakuję ci trochę jedzenia do plecaka.

Odgrzał mu pośpiesznie kolację. - Jak będzie trzeba - mrucał - to później przygotuję ci się coś więcej. Maryśka napiecze chleba.

- Może tak źle nie będzie - odezwał się Mitana. Oczy kleiły mu się do snu. - Może Witkowski się nie zjawi? - ziewnął potężnie i poszedł spać. Oni także ułożyli się w łózkach. Ślepek wsadził chłopcu do plecaka bochenek chleba i garnuszek z topioną słoniną.

- Nóż masz?

- Mam.

- No, to śpij.

Leżeli w głębokiej ciemności, chrząkając od czasu do czasu. Z drugiej izby dochodziło podwójne chrapanie. Żaden z nich nie przemówił ani słowa, choć obaj instynktownie myśleli o tym samym. Spanie nie przychodziło na nich. Gdzieś w kącie nad piecem rozpaczliwie

bzyłała mucha, usidlona w pajęczynie. O tej porze muchy jeszcze żyją? W grudniu? Co prawda, jest im wszystko jedno, skoro życie upływa im nad blachą. W ciepłe nie zmarnieją, myślą pewnie, że to lato. Już z pół godziny rozlegało się brzęczenie śmiertelnie zaplątanego owada. „Twarde jest życie muchy” - rozważał Jasiak. Po chwili odezwał się w głos:

- Staruszkule kochany, co będzie ze mną, gdy nas od siebie oderwą?

- Chłopcze, chłopcze, dasz sobie radę beze mnie. Ty masz sprytu za dwóch. A życia w tobie siedzi za pięciu.

Kiedy o północy, zmęczeni obopólnym myśleniem, nareszcie oddalali się od spraw powszedniego życia, żeglując w krainę snu, doszło do ich rozluźniających się zmysłów gwałtowne stukanie. Jasiak, czujniejszy, sprężył się i zerwał z pościeli.

- Ktoś puka do okna.

Jak błyskawica przebiegła mu myśl: „Przyszli po mnie”. Ślepek wygramolił się spod koców.

- Ty nie chodź. Pójdę sam otworzyć.

Wlepił twarz w szybę, rozpoznał za oknem stojącego młodego Tramek.

- Otwórzcie, to ja, Tramek.

Pobiegli obaj do sieni. Leon wpakował się do izby zziębnięty, z kołnierzem od kurtki podniesionym na uszy; potężny chłop. Rozsiadł się szeroko na ławie, aż deska zatrzeszczała. Zwrócił oczy ku Jaśkowi i od razu zaczął:

- Ja tu do ciebie walę po ciemku w pilnej sprawie.

- Policja po mnie? - domyślił się chłopiec.

Tamten skinął głową.

- Ojciec przysłał mnie, abyś natychmiast wiał z chałupy, bo raniutko do dnia wybiera się po ciebie Witkowski. Dowiedzieliśmy się bokiem przez jego służącą, że ma cię aresztować za napad rabunkowy i za pobicie Franczaka. Ojciec mój mówi: „Biegaj do niego na górę, choć w nocy, i ostrzeż go, co mu grozi, niech chłopak straci się gdzieś z domu. No, i przyszedłem.

Odetchnęli wszyscy trzej ciężko, zdając sobie sprawę z powagi sytuacji. Pierwszy oprzytomniał Jasiak:

- No, tom sobie długo pospał dzisiaj - rzekł wesoło i zaczął się ubierać.

- On miał i tak iść w las, ale dopiero rano - informował Ślepek.

Chłopiec w mig przygotował się do drogi. Wdział drugą koszulę, naciągnął od dołu pod spodnie drugie pończochy, czarne, Zosine.

- Pamiętaj, że idzie zima, zmarzniesz - dudnił mu starzec nad uchem. Młody Tramek

nie pozostał długo na Głuchaczkach. Szło mu o to, aby dla uniknięcia wszelkich podejrzeń był rano w domu. Wyszedł więc w powrotną drogę na dół jeszcze przed Jaśkiem.

- Dziękuję ci, Leon, że ci się chciało po nocy targać do nas - rzucił jeszcze z progu za nim w ciemność Ślepek. Jaś także był gotów do wyjścia.

- Ubrałeś się ciepło? To jest grudzień, uważaj - pomarszczone, żylaste dłonie obmacywały go troskliwie.

- Nawdziewałem dość na siebie, wystarczy.

- Że ty się musisz, chłopcze, tak nocami poniewierać!

- To nic, dziadku. Ja przyzwyczajony do nocnych chodów.

- Znajdziesz ten bróg? Tam są właściwie dwa brogi. Ten wysoki.

- Znam je. Tyle razy przechodziłem tamtędy. Wstał i zaczął się żegnać.

- Czas mi w drogę.

Starzec w kalesonach, w kożuchu narzuconym na koszulę, uściśnął mu prawicę. Wzięli się w ramiona.

- Nie gniewajcie się na mnie, dziadku, zem wam tyle kłopotu narobił.

Ucałował pokornie jego rękę. Ślepek trzymał go nadal w ramionach.

- Niech cię Bóg prowadzi. Jasiek! Tyś mi tak bliski jak syn. Jak wnuk - poprawił się. - Z ciebie jest dobry człowiek, tylko nagły. Bo młody. Przyjdź jutro w nocy. Możeś niepotrzebnie uciekał.

Głaskał jego włosy, miękkie jak zawsze.

- Bądź zdrow.

Odprowadził go przez sień do drzwi. - Boże cię prowadź! - posłał za nim w mrok ostatnie pożegnanie.

Zamknął drzwi, przyparł drągiem. Jasiek wyszedł w noc. Ogarnęło go ostre, siekące zimno grudnia. Otwierała się przed nim przygraniczna puszcza. Zniknął w ciemności.

## Rozdział drugi

Nazajutrz raniutko Witkowski zaczął się dobijać do chałupy Mitanów. Zanim Maryśka otworzyła mu drzwi, już krzyczał, że nie myśli czekać na mrozie.

- Dlaczego nie otwieracie? - huknął, czerwony z gniewu.

- Przecież nikt pod drzwiami nie stoi - odparła rezolutnie gospodyni. Ona była najenergiczniejsza w tym domu. - Trzeba wstać z łóżka, odziać się. Nie wyjdę w koszuli witać gościa. I to w grudniu.

- My jeszcze spali - usprawiedliwiał się jej mąż, jako zgodliwszy i uleglejszy z natury. Policjant roztrącił nogą drzwi od izby, ogarnął okiem ściany. Ten człowiek, który znał ludzi tylko z przykłej strony, przed którym zwykła się obnażać zazwyczaj nędzna i karygodna część człowieka, miał dla wszystkich spojrzenie nienawiści, ogień przyczajonego podejrzenia, nieufność, niechęć.

- Gdzie jest ten bandyta?

Ślepek wyłaził z łóżka w kalesonach, z rozmierzwionymi siwymi włosami. Ponieważ pytanie pozostało bez odpowiedzi, Witkowski powtórzył:

- Jan Dziura jest?

- Nie ma - odpowiedzieli chórem.

- Gdzie jest?

- Wczoraj zszedł w dół. Rano. Na robotę. Do miasta. Widzieli go ludzie, że był w Jeleśni. Może pojechał do Żywca albo do Bielska.

- A tutaj go nie było wczoraj wieczorem? - policjant zmrużył oczy.

- Nie - odparła bez zająknienia Mitanka, wytrzymując jego świdrowate spojrzenie. Przełknął tę wiadomość w milczeniu, zdumiony i oburzony. Umyślnie przyszedł tak wcześniej, zerwał się z domu przed brzaskiem, odwalił cztery kilometry w szarości świtu, przekonany, że wyciągnie łobuza z łóżka i pod karabinem odstawi do aresztu. A tu plan zawiódł na całej linii. Zwierzyna wymknęła mu się spod ręki. Rozglądał się bacznie po wnętrzu mieszkania. Wstąpił do drugiej izby.

- Tej nocy tu nie spał? - warknął do stojącego przy łóżku Mitany.

- Nie.

Oczywiście Ślepek po odejściu Jaśka nie omieszkał zaścielić jego łóżko.

- Otwórzcie tę szafę.

Zaczął się mocować z szafą, która była zamknięta. Gospodyni pobiegła do obrazu, gdzie tkwił schowany klucz. Szukała, szukała, nie mogła znaleźć. Witkowski w pasji targał za listwę drzwi.

- Będzie ten klucz, do cholery, czy nie?

Nie czekał na klucz. Wepchnął listwę w głąb, podważył ją lufą, rozszerzył szczelinę, rozepchnął zamek, rozległ się suchy trzask. Odrzwia załamały się. Właśnie nadbiegła Mitanka z kluczykiem. Triumfująco schylił się policjant we wnęce szafy, wyrzucając na podłogę koszule, spódnice, spodnie, prześcieradła, chustki. Skończył, zbliżył się do łóżka, pomacał pod siennikiem. Ślepka opadł ziąb.

„Czego on tam szuka?” - myślał Mitana. Niezrozumiała była dlań ta rewizja. Przecież Jasiek chyba nie schował się do siennika.

„Płótna szuka” - przestraszył się potwornym domysłem Ślepek. Ale policjant nie miał żadnego celu w wywracaniu izby do góry nogami. Chciał tylko wyladować swą złość. Na drugim łóżku porozwalał pościel, nie podarował piecowi, nalepie. Szukał za obrazami, ciskał garnkami po ziemi. Wylazł po drabinie pod strych, przewracał siano widłami. „Czego on tam szuka?” - nie mógł wyjść ze zdumienia Mitana. - „Płótna szuka” - truchlał Ślepek.

Nic nie znalazł. Był rozżarty z wściekłości. Pchnął Ślepka przed sobą w sieni: - Co mi łazisz pod nogami, stary dziadu?

Zwrócił ku wszystkim trojgu jadowity wzrok:

- Wyście tu tego łajdaka chowali.

Milczeli.

- Ładne ziółko z niego wyrosło! - darł się, chodząc z kąta w kąt, szukając, gdzie by tu jeszcze nos wsadzić. Przewrócił pustą beczkę w sieni, odsunął ławę, kopnął wiadro, chcąc dostać się do worka z wapnem.

Potem wybiegł z chaty jak oparzony. Popatrzył na dach. Zauważył, że wylot komina jest szczerbaty; kilka cegieł odpadło. Zaszedł na tył chałupy.

- Gdzie jest drabina?

- Jest pod stodołą - odpowiedział Mitana. - Powylatywały z niej szczeble, pogniły od deszczu, zdjąłem ją z dachu, będę naprawiał.

Na wzmiankę o stodole ciarki przebiegły po ciele Ślepka. A nuż policjant poleci tam na rewizję? Ale Witkowski miał dość szukania. Tym bardziej że już coś znalazł. Podstawę do drobnej choćby zemsty: nadwerężony komin i brak drabiny na dachu. To ważne uchybienie w



obronie przeciwpożarowej. To wykroczenie przeciw bezpieczeństwu mieszkańców. Usiadł na progu, wyjął z kieszeni notes, zaczął pisać protokół.

- Jak się nazywacie?

- Wojciech Mitana.

- Który to numer?

- Sto siedemnaście.

- Nauczycie się szybciej naprawiać zgniłe szczeble u drabiny, jak posiedzicie sobie parę dni w areszcie.

Wstał, schował notes do kieszeni, zapalił papierosa, przewiercił kolejno obu mężczyzn małymi piwnymi oczkami, po czym, zarzuciwszy karabin na ramię, ruszył ku chałupie Juraszków. Tu już przygotowano się na jego przyjęcie. Całe Głuchaczki dowiedziały się w mig o wizycie policjanta. Tu nawet psy inaczej szczekają na człowieka z karabinem. Chowano na gwałt po dziurach paczki z przemytu, patrony, skórki z zajęcy.

Ale na przekór obawom Witkowski przestał szaleć. Widocznie uspokoił się trochę poprzednim protokołem. Zrobił powierzchowną rewizję. Nie spodobał mu się w tym domu tylko Władek. Wszak to on interweniował u niego w kancelarii w sprawie Tramkowego płótna.

Psiakrew, znowu z tym płótnem historia! A żona upominała go: „Zapomnij o tym, szkoda się denerwować. Kiedyś się ta kradzież i tak wykryje, będziesz miał możliwość tego dochodzić.”

- Broń macie?

- Nie.

- A ulotki?

- Nie. Skąd byśmy takie rzeczy mieli?

- Jan Dziura chodził do was?

Odpowiedziała Agnieszka, szybsza i roztropniejsza od brata:

- Nie chodził. Czasem, jak się zaglądało do sąsiadki pożyczyć garnka albo co, tośmy go widzieli u Mitanów. Ale tutaj każdy ma swoją robotę i każdy swojego patrzy.

- Dokąd on poszedł?

- My nie wiemy.

Nikt nie wie. Zapalił papierosa i z niczym schodził do Przyborowa w stężalym mrozie przedpołudnia. Rozsadzała go gorycz doznanego zawodu. I - wbrew troskliwym radom żony - pragnienie zemsty z powodu skradzionego płótna. Okradziono policjanta, kradzież nie wykryta, nimb władzy został zachwiany. Witkowski nie znał oczywiście sprawcy zuchwałego

czynu. Skarga wójta jeleśniańskiego pchnęła go na Głuchaczki; należy nauczyć moreasu bezczelnego awanturnika. Ale czyż nie powinien on ucierpieć podwójnie? Także i za płótno? W tym samym czasie, kiedy sławę jego narażono na szwank, pod bokiem panoszy się zawadiaka, rozbijający gęby ludziom publicznie w trzech wsiach i jednym mieście! Niech na nim się skrupi to, co nie może osiągnąć innego.

A tymczasem Jan Dziura wymknął się karzącej dłoni sprawiedliwości!

- Ale ja jego jeszcze złapię! - sierzcił się Witkowski. Obejrzał się za siebie, dostrzegł odziany śniegiem wycinek Cyłu, splunął z pasją. - Ja go muszę wykurzyć z Głuchaczek!

I tym bardziej zawział się na niego, nieobecnego, nieuchwytnego, zbiegłego.

Jasiek przespał noc z poniedziałku na wtorek na Koziej Polanie, zakopany w brogu siana. Noc była mroźna. Mógłby tu śmiało parę tygodni nocować, aż do zapadnięcia śniegów, gdyż dopiero wtedy zwozi się siano saniami do stodół. Komu by się chciało brnąć po błocie i kamieniach, pośród mrocznego lasu, w siekącym wichrze, w lodowatym deszczu, w zimnie, przełazić przez kilkanaście potoków, wbijać się w gąszcze, od których biła wilgoć i stęchła woń zgnilizny?

A jednak miejsce to nie wydało mu się bezpieczne. Jakież schronienie jest na środku widnej, przestronnej polany? Cóż prostszego, niż dać się zaskoczyć we śnie?

„Nie po to z domu uciekałem, aby mnie Witkowski złapał w sianie jak barana.”

Wpadła mu pewna myśl do głowy. Miał ją jeszcze ubiegłej nocy, gdy zasypiał. Pamiętał ciasny, stromy wąwóz, zwany przez Ślepkę Piekłem. Leżał on w drodze na Cyl, w niewielkiej odległości od Wilczego Potoku. W ścianie jaru, zarosłego buczkami, znajdowała się duża jama w ziemi pomiędzy dwoma wykrotami. Chował w niej przez pewien czas strzelbę, zanim nie znalazł lepszego miejsca. Prawdopodobnie jama rozszerzała się w dalszym kierunku. Co prawda, wejście miała wąskie, lecz można je będzie pogłębić.

„W ziemi można mieszkać. Zimą nawet ciepło. Zwierzęta mogą wyżyć, dlaczego by człowiek nie mógł? Zobaczę, jak to wygląda.”

Kręcił się ze dwie godziny tam i z powrotem, zanim znalazł to miejsce. Pamiętał je bowiem z lata, zarosłe bujną roślinnością, prawie niedostępne. Teraz spadzisty jar pokryty był warstwą zeschniętego listowia, ukazując przeświecającą gdzieniegdzie nagą skałę. Zbutwiałe, omszone pnie maskowały naturalnie teren od góry i z przeciwległego zbocza. Ściany wąwozu były porośnięte płataniną dzikich, gołych krzaków. Pod grubym, dawno zgniłym pniakiem, dwa metry ponad dnem parowu, w gęstwie obumarłych chaszczów widniało wejście do jamy, latem całkowicie zarosłe paprociami.

Ostrożnie rozsunał zeschnięte badyle i wsunął się, zgięty w kucki, do wnętrza. Zaświecił latarkę kieszonkową. Odczepił dwa nietoperze wiszące na wystającym krzaku, rzucił w wąwóz. Korytarz kończył się. Jamę stanowił przedsionek długi na cztery, szeroki na trzy metry, wysoki na wzrost przeciętnego człowieka. Oświetliwszy ziemię pod nogami, Jasiek dotknął jej dłonią; była sucha. Pomacał rękami po ścianach: skała. Niegdyś musiały wody hulać w wąwozie i wymyły tę dziurę. W kącie rozpoznał bytność lisa. Zapewne chroniły się tu i inne zwierzęta. Gdyby nie wąskie wejście, można by przyjąć, że była to dawniej gawra niedźwiedzia.

Schronienie spodobało mu się.

„To będzie teraz moja gawra.”

Przez cały dzień pracował nad urządzeniem nowego mieszkania. Nałamał masę choin jodłowych, wyścielił dno jamy. W kącie ułożył grubszy pokład. „To będzie łóżko.” Zmordował się niemało, przetoczywszy duży głaz z wąwozu pod samo wejście. Aczkolwiek było ono latem prawie niewidoczne, teraz jednak maskowało się lepiej po umieszczeniu kamienia naprzeciw otworu. Gdy wejście było nim przywalone, nikt z bliska nawet nie mógł się tu domyślić pieczary. Jasiek wszedł do środka (wejść należało w pozycji półzgiętej) i spróbował obu rękami od wnętrza przysunąć kamień do otworu. Udało się. Tak więc również gdy przebywał w środku, miał zamaskowane wejście do mieszkania.

Nawiedził go dobry humor. Nie zauważył nawet, że przy tej robocie zszedł mu cały dzień. Nie czuł zimna od wysiłku, choć ręce marzły mu na kość. Nawet jeść mu się nie chciało. Już w mroku odmierzył, dnem wąwozu idąc, pięćdziesiąt kroków w dół i na tej linii umieścił dwa duże kamienie obok siebie pod ścianami jaru. „Na znak, abym potrafił odszukać jamę w ciemności.” Pięćdziesiąt kroków w górę od tych dwóch kamieni trzeci kamień, samotny w prawej ścianie wąwozu, znaczyć ma wejście do kryjówki.

Wpełzł do nowej siedziby, uczył się zmęczony i zadowolony. Wyciągnął się na jodłowym posłaniu i zaczął zajadać po ciemku chleb ze smalcem, wspominając tkliwie Ślepka.

„On mi jak ojciec. Co on tam teraz robi? Pewnie się martwi o mnie.”

Myśl jego z jamy powędrowała niżej: na Głuchaczki. Co robią jego najbliżsi? Czy policja była u Mitanów? Może wójt da za wygraną i nie zrobi użytku z bójki u Habera? Cóż, najwyżej może zaskarżyć Jaśka do sądu. Ale policji nie ma prawa wysyłać. Wtedy i Maściak zaskarży wójta, że go pobił. Jasiek zaś wystąpił w obronie bitego Maściaka, i to dopiero w tym momencie, kiedy chłop już leżał na ziemi.

„Jakoś to będzie” pocieszał się, sięgając po nową kromkę. Ach, prawda! Przypomniat

sobie - przecież dziś w nocy miał zejść na Głuchaczki, aby dowiedzieć się nowin od Ślepka, aby zabrać prowiant. - „Trudno, już dziś stąd się nie ruszę. Usnę prześpię się, nic się przez tę noc nie stanie - perswadował sobie. - Jutro przyniosę sobie przede wszystkim koc. Będę miał królewskie spanie.”

Wyciągnął się na choinie, przykrył kurtką i usnął natychmiast, utrudzony, wśród stęchłego, lecz łagodnego tchu podziemnej pieczary.

Tego samego wtorkowego dnia Witkowski, wróciwszy z Głuchaczek, zjadł ze smakiem obiad i długo samotnie nad czymś rozmyślał. Wreszcie wstał, założył płaszcz i wyszedł.

Wstąpił do chaty starego Tramka. Już w sieni zawołał na kobietę:

- Tramkowa, bierzcie chustkę i chodźcie ze mną do kancelarii.

Przeraziła się nie na żarty, zaczęła coś bełkotać.

- Chodźcie, chodźcie, nic wam nie będzie. Porozmawiamy trochę.

Tramek zaniepokoił się także, chciał coś zapytywać, kuśtykał zakłopotany koło żony, zapomniał języka w gębie.

- Cicho, stary, nie marudź - odprawił go policjant z kwitkiem. Zabrał Tramkową do siebie; na posterunek, jak zwykli byli mawiać we wsi; do kancelarii, jak się wyrażał Witkowski. Na przesłuchanie.

Wprowadził kobietę do izby po drugiej stronie sieni. W piecu trzaskało wesoło, było ciepło. Tramkowa poczuła, że za chwilę będzie jej jeszcze cieplej. Policjant usiadł przy swoim urzędowym stole. Tu bowiem załatwiał sprawy związane ściśle z jego zawodem. Co prawda, do kancelarii także przynoszono mu masło, jaja i kurczęta, ale to musiało mieć związek z interesami służbowymi Witkowskiego.

Policjant zwrócił się do kobiety oschle, rzeczowo, wpadając jednak w ton przyjacielski:

- Słuchajcie, Tramkowa. Chcę z wami porozmawiać jak z rozsądną kobietą. Czy można?

- Dlaczego nie? Można - uśmiechnęła się niewyraźnie, nie wiedząc, do czego zmierza.

- Skradziono mi wasze płótno z mojego domu. Wiem, kto ukradł.

Przebiegło ją nieuchwytnie drzenie.

- Nie jesteście dzisiejszą kobietą. Żyliście już trochę na świecie. Mówię z wami szczerze. Ja od was nie żądam, abyście mi zdradzili, kto ukradł płótno, bo ja to wiem. Chcę tylko, abyście mi płótno oddali.

- Przecież ja nie wiem, gdzie płótno! - zakłęła się kobieta. - Odkąd pani Witkowska wzięła je ode mnie z pogródki, nie wiem, co się z nim stało!

- Chcę wam przemówić do rozumu - ciągnął niezrażony policjant. Za kradzież odpowiada nie tylko ten, co ukradł; także ten, co pomagał. Wy jesteście też zaplątani w to złodziejstwo, a więc ponosicie współwinę. Podaję wam jednak sposób, jak możecie z tej winy się oczyścić. Jeżeli mi oddacie płótno, ja wtedy nie wyciągnę wobec was żadnych konsekwencji służbowych. I nic wam za to nie będzie.

Strach załopotał w oczach kobieciny.

- Panie posterunkowy! Niech pan ma Boga w sercu! Czego pan chce ode mnie? Przecież ja nie wiem, kto skradł płótno u pana!

- Toteż ja nie chcę wcale dowiadywać się od was, kto ukradł. Bo ja to wiem. Chcę tylko, abyście wy mi oddali to płótno. Rozumiecie?

- Nie rozumiem - w oczach jej pokazały się łzy.

- Bo nie chcecie zrozumieć.

Wstał, krzyknął przez sień do kuchni:

- Różka!

Służąca stanęła w progu.

- Idź do starego Tramka, powiedz mu, żeby zaraz przyszedł do mnie.

Tramkowa zaniósła się płaczem. - Ile my mamy nieszczęścia z tym płótnem! Wolałabym, żeby go nie było! - jęczała. Policjant wyciągnął papierosa, zapalił. Wbił w kobietę czarne, drażące oczka i puszczając kłęby dymu rzekł obojętnie:

- Oddajcie mi płótno, nie będziecie mieli nieszczęścia.

- Skąd wezmę płótno?

Z tą samą obojętnością co poprzednio odpiął rewolwer z pasa, położył na stole, mruknąwszy:

- Jak nie chcecie oddać płótna, będziecie cierpieli za to.

- Jak mogę oddać płótno, kiedy go nie mam?

- Możecie powiedzieć, gdzie jest ukryte - w oczach policjanta błysnął ogień triumfu.

Poczuł jakiś ślad.

- Kiedy ja nie wiem, gdzie ono jest! - wybuchnęła gorzko. - Matko Boska, czego pan chce od nas?

- To będziecie cierpieli - rzekł twardo, wydmuchując suty kłąb dymu. Ślad, nadzieja na ślad rozplynęła się. Witkowski już, już był pewien, że rybka połknęła haczyk. - To będziecie cierpieli - powtórzył.

- Za co? Czy nie dość się nacierpiałam, że własnego płótna w domu nie mam? Że mi wzięli?

- Mnie także wzięli.

Bębnił palcami po stole, papieros tlił się w zaciśniętych zębach. Szybko przydreptał Tramek, zziębnięty. Oddychał astmatycznie, z trwogą spoglądając na żonę, całą splecioną. Witkowski otworzył mu drzwi, równocześnie wypuszczając kobietę. Uważał, aby ich przedzielić sobą, by oboje nie zdążyli się porozumieć ani nawet oczyma się spotkać.

- Idźcie, Tramkowa, do domu. Wszystko będzie dobrze, nie martwcie się. Mąż tam zaraz przyjdzie.

Zamknął za nią drzwi na klucz, usiadł przy stole i rozpoczął:

- Mój kochany Tramek, zanim wezwałem waszą żonę, a później was, dowiedziałem się przedtem wszystkiego o płótnie. I dlatego właśnie was wołałem.

Starzec zbladł, przelknął ślinę, ze strachem patrząc na indagującego. Ten niepokój nie uszedł uwadze Witkowskiego.

- Po to jestem policjantem, abym miał nos diabelski. I żeby wszystko wywąchał. Taka ze mnie cholera.

Mówił powoli, akcentując każde słowo skinieniem głowy. - Dlatego też i w sprawie tego waszego płótna, które mi zostało skradzione ze strychu, doszedłem po nitce do kłębka. Wiem wszystko, kto ukradł, kiedy i tak dalej. Nie wzywałem was ani waszej żony po to, aby się dowiedzieć, kto jest złodziejem, bo to wiem dawno bez was.

Rzecz prosta, kłamał. O niczym nie wiedział. Skąd mógł wiedzieć? Tramkowi zatrzęsły się ręce. Więc wszystko przepadło. Ten pies i to wynypał!

- Ale ja chciałbym z wami sprawę po przyjacielsku załatwić - perswadował słodziutko.

- To znaczy, po dobremu. Wy mi płótno dostarczycie do domu, a ja przeciwko wam żadnych kroków sądowych wszczynać nie będę.

Tramek zachnął się gwałtownie. - Panie posterunkowy, przecież ja nic nie wiem o płótnie! Kto je skradł, gdzie było? Skądże znów ja do tej sprawy? - odzęgnywał się hałaśliwie. - Nam pani Witkowska zabrała płótno spod okien ze żerdzi i my odtąd o płótnie nic nie wiemy. Czego pan od nas chce?

- Tramek, nie udawajcie przede mną głupiego, bo to się na nic nie zda. Powtarzam po raz trzeci: nie żądam od was informacji, kto mi ze strychu ukradł płótno. To moja rzecz. Ja to wyśledziłem. Od was żądam jedynie, abyście mi dostarczyli do domu płótno z miejsca, gdzie jest schowane.

- Skądże ja wiem, gdzie ono jest?

- Wiecie - rzucił nieubłaganie Witkowski.

- Niech pan zrobi rewizję u mnie w domu. Jeśli znajdziecie płótno u mnie, bierzcie i skarżcie mnie na więzienie - zapierał się Tramek. Aż chwycił go atak kaszlu.

- Nie miejcie mnie za idiotę, Tramek. Jestem sprytniejszy, niż wam się wydaje. Daję wam ostatnią szansę. Obiecuję, że nie będziecie mieli żadnych nieprzyjemności w sądzie.

- Gdzie ja pójde po płótno? Ja nie wiem, gdzie jest! - biadolił swoje chłop.

- Posłuchajcie mnie, Tramek. Szkoda się wam męczyć i wypierać. Ja wiem wszystko i ja płótno dostanę, ale wy sobie za to grubo posiedzicie w kryminale. Wezwałem tutaj was i waszą żonę, ponieważ chcę was wybawić od kłopotów sądowych. Żebyście nie mieli z tym nic wspólnego; z aresztowaniem, z przesłuchaniami, z wyrokiem, z więzieniem. A uwolnicie się od tego tylko w tym wypadku, jeśli mi dostarczycie skradzione płótno.

Tramek, już bez słów, załamywał w rozpacz ręce, wodząc bezradnie niebieskimi, zmętniałymi oczyma po ścianach.

- Chodźcie tu bliżej - policjant kiwnął palcem na nieszczęśnika i zwierzył mu się jak w sekrecie ściszym głosem: - Nie powiedziałem wam tego dotąd, bo myślałem, że zgodzicie się od razu. Otóż przed chwilą żona wasza przyznała się do wszystkiego...

- Nie może być! - zaprzeczył gwałtownie Tramek.

- ...przyznała się do wszystkiego - mówił dalej Witkowski, ignorując protest starego. - Dobrowolnie się przyznała, skoro ja jej przedtem wyśpiewałem, jak się rzeczy mają. Poznała kobieta, że przede mną nie ma żadnych tajemnic. „Widzicie więc Trankowa - powiadam do niej - ja wiem o wszystkim bez was. Ale ja pragnę was ocalić od sądu, który wam grozi. W gruncie rzeczy nie zrobiliście mi nic złego. Że byliście lekkomyślni, to inna rzecz. Mimo to ja nie chcę waszego nieszczęścia. Po co macie siedzieć w kryminale, kiedy możecie być wolni? Przynieście mi na miejsce płótno, a przez ten postępek zmażecie z siebie wszelką winę poprzednią i unikniecie więzienia.”

Tramek jak nieprzytomny wbił oczy w Witkowskiego, oszołomiony tą mową. Wargi zaczęły mu drgać.

- Panie posterunkowy! - szeptał. - Panie posterunkowy!

- I wtedy Trankowa zapytała: „Nie będziemy mieli żadnej winy?” Odrzekłem: „Nie”. Wtedy ona powiedziała mi, jak cała sprawa wyglądała, i kazała wezwać was. Powiada: „Niech mąż to załatwi. On przyniesie panu płótno. Ale my z tego nie będziemy mieli żadnej biedy więcej?” Odparłem: „Nie będziecie mieli”.

Założył nogę na nogę, zapalił nonszalancko drugiego papierosa.

- Ale ja was, Tramek, nie zmuszam do tego. Macie wolną wolę i dwie drogi do

wyboru. Albo przynieść płótno i winę z siebie precz odrzucić, albo wszystko zataić, to znaczy nic nie powiedzieć. To wam także wolno. A wtedy ja się do was zabiorę. Milczenie wam nie pomoże, bo ja wiem o wszystkim. Ale za trwanie w uporze pocierpicie. Na rozprawie sądowej będziecie siedzieli jako oskarżony. Waszej żony nie podam do sądu, bo okazała skruchę i przyznała się. Ale wy poniesiecie pełną odpowiedzialność. Będziecie siedzieli nie tylko na ławie oskarżonych, ale także i gdzie indziej. W ciupie. Nie chcę was straszyć. Lecz kara będzie ciężka. To płótno wam w pięty pójdzie. Wspomnicie moje słowa, gdy już będzie za późno.

- Panie posterunkowy! - trząsł się stary. - Żona tak powiedziała? - przełknął ciężko ślinę, zająknął się.

- Żona była mądrzejsza od was - odrzekł Witkowski. - Mógłbym sam płótno odebrać, ale chcę wam dać sposobność do oczyszczenia się z winy. Bo jak mi płótno przyniesiecie z powrotem, ja w stosunku do was odstąpię od sprawy. Co było, to było, ja o tym zapomnę.

- Sprawy nie będzie?

- Nie.

- Przyrzeka pan?

- Przyrzekam.

- Ręka?

- Ręka.

Podali sobie ręce. Tramek wyciągnął dłoń z drżącym zapalem człowieka, który się ratuje przed ostateczną zagładą. Policjant przyjął tę prawicę chłodno, z pogardliwym wahaniem, jak nieodwołalną konieczność.

- Jeśli powiemy, nic nam nie będzie? - upomniał się dodatkowo kulawiec, nie czując, że wpadł. Witkowski był czujny na każde słowo.

- Nie macie co mówić. Nic mi nie powiecie ciekawego, czego bym ja nie wiedział. Macie przynieść płótno.

- Jak przyniosę, nic nam nie będzie?

- Powiedziałem wam już, Tramek, dałem wam rękę - policjant udał znudzenie. - Jeśli oddacie mi płótno, nic wam nie będzie. Jeśli nie oddacie, odbiorę płótno sam, a wy zgnijecie w kryminale.

Wstał ze stołka na znak, że uważa przesłuchanie za skończone. Ach, zakończył je strasznym słowem: „kryminał”. To było dobrze powiedziane. Gdzież Tramkowi na starość w kryminale się poniewierać?

- Przyniosę panu płótno.



- Gdzie macie? - ciął z góry i ostro policjant.
- U syna. Ale pół. Drugą połowę dam jutro.
- Gdzie jest?
- U szwagra na Głuchaczkach.
- Kto zaniósł?
- Jasiek Dziura.

Pożałował, że wmieszał w to chłopca. Wypnęło mu się to bez namysłu. Policjant pyta tak groźnie, że trudno nie odpowiedzieć. Przyciska do muru, on umie to robić! Ależ on przecież i tak wszystko wie! I żonie przedtem powiedział, jak było, i żona wyaplala całą sprawę. Już nie ma tajemnic z płótnem. Wszystko stracone.

Starzec był złamany. Któż by się nie załamał, wiedząc, że czeka go kryminał? Któż by się nie załamał, zwłaszcza kiedy Witkowski przesłuchuje?

Poszli obaj o zmierzchu do chaty młodego Tramka. Witkowski przezornie towarzyszył ofierze. Poczekał na niego na dworze, skracając sobie czas papierosem. Za dobrą chwilę przykuśtykał ojciec, niosąc pod pachą zwój płótna.

- Jutro rano gotujcie się do drogi. Wstąpię po was, pójdziemy na Głuchaczki.

Wracał do domu z miną zwycięzcy. Podstęp udał mu się w zupełności. Dziś rano jeszcze nie wiedział o niczym, teraz już wie wszystko. I połowę płótna odzyskał! Nie ulega wątpliwości: płótno skradł ze strychu Dziura. Nie zostało to wprawdzie sprecyzowane wyraźnie, ale jako złodzieje mogli wchodzić w rachubę jedynie Władek Juraszek, Leon Tramek i Jasiek Dziura. Wystarczyło się zastanowić przez sekundę nad tą trójką, aby wybrać właściwego sprawcę. Ktoś, kto potrafi strzaskać stołek na głowie wójta, potrafi i okraść policjanta. Tylko ten drab zdolny był do takiej bezczelności.

Nazajutrz rano zabrał Witkowski kulawego Tramka i zaczęli drapać się przez Gajkę na Głuchaczki. Stary szedł przybity, zamknięty w sobie, miał wygląd ponury. Nie spał prawie całą noc. Także i policjant był dzisiaj nastrojony milcząco. Palił papierosy, zbywając odezwania się Tramka mruknięciem. Jak gdyby już traktował kuternogę jako aresztanta. W pewnej chwili odezwał się Witkowski. Długo namyślał się, jak postawić pytanie, aby się nie zdradzić:

- Po co Dziura niósł tę drugą połowę na Głuchaczki? Jak ukradł, nie mógł tego schować we wsi?

Pytanie było głupie. Ale chodziło o wciągnięcie do tej sprawy nazwiska Dziury jako złodzieja płótna. Stary wzruszył ramionami zamiast odpowiedzi. Już dość namartwił się w ciągu nocy, kiedy dowiedział się od żony, jak chytrym kłamstwem wyduszono od niego

przyznanie się do współdziałania w tym planie, który tak haniebnie zawiódł.

Witkowski kombinował w myśli: jeżeli Tramek wzruszył ramionami w odpowiedzi na jego pytanie, to znaczy, że Dziura ukradł płótno. Gdyby tak nie było, staruch by od razu zaprotestował. Już nie zamienili z sobą ani słowa do samych Głuchaczek.

Ślepek dojrzał ich z daleka, kroczących po polanie. Taka wizyta rzuca się w oczy od razu. Wyszedł przed próg i widząc po bezradnym spojrzeniu Tramka, że wszystko przepadło, załamał się od razu.

- Stary, oddaj płótno! - huknął na niego od progu Witkowski, Nie próbował nawet się sprzeciwić. Połaził do stodoły, wygrzebał znad powały zdobycz i przyniósł policjantowi.

- Gdzie ukrył złodzieja? Tyś to schował, co on ukradł. Gdzie on jest?

- Nie wiem. Nie ma go od poniedziałku.

Sługa sprawiedliwości uśmiecha się zjadliwie. Jak doskonale postawił pytanie! Nie wspomniał nazwiska Dziury, pytał tylko o złodzieja płótna. I sędziwy, prostoduszny Ślepek, sądząc, że wszystko jest wyświetlone, potwierdził podejrzenia policjanta. Mówił przecież wyraźnie o Jaśku Dziurze, który przepadł bez śladu od niedzieli. Posterunkowy Witkowski to szczwana sztuka. Nie takim dawał radę. Wszyscy zatem wskazują zgodnie na Dziurę jako na złodzieja płótna. Jak wprawny detektyw ciągnął dalej nić przewodnią śledztwa:

- Dlaczego przechowywaliście skradzione płótno? To podlega karze, zarówno jak i sama kradzież.

- Ja nie przechowywałem.

- Ale Dziura chował u was. On skradł i on schował.

- Ja nie wiem, czy on skradł.

- Ja wiem, to wystarczy. Wyście mu pomagali w ukrywaniu skradzionego płótna.

- Nie wiedziałem, że to wasze płótno.

- A czyje?

- To było Tramkowe.

Gadaj z nim! Nie da sobie rady z upartym. Jasne wszakże jest jedno, jego nos policyjny to wyczuł: cała historia z kradzieżą płótna była zasługą Jana Dziury. On zbuntował całe Głuchaczki.

„Już ja sobie użyję na tym drabie!” pomyślał w duchu. A głośno rzekł:

- Powiedźcie mi, gdzie się znajduje Jan Dziura?

To było skierowane do Ślepka. Fama głosiła, że on był opiekunem i powiernikiem chłopaka.

- Skąd mogę wiedzieć?

- Wiecie dobrze, gdzie jest. U was mieszkał ten bandyta. Będziecie podani do sądu za to, że przetrzymywaliście złodzieja.

- Mnie on nic nie ukradł - odezwał się posepnie stary.

- Ale mnie okradł! Zegarek srebrny, trzysta złotych, koszule, prześcieradła!

Ślepek wydał pogardliwie wargi w odpowiedzi.

- Wy jesteście z nim w zмовie! - huczał mu nad głową policjant. - Przechowujecie rzeczy pochodzące z kradzieży, jesteście więc współwinni w przestępstwie. I będziecie o to oskarżeni. Rozprawa was nie minie i mam nadzieję, że kryminał was także nie minie. Ja was tu wszystkich rozpędzę na cztery wiatry! Jeden wart drugiego!

Zapiął płaszcz, zarzucił karabin na ramię.

- Weźcie to płótno - rozkazał Tramkowi i zaczęli obaj schodzić po przymarzłej ścieżce, która niżej zamieniła się w zabloconą drożynę. Nie wypada przecież policjantowi uzbrojonemu na ostro taszczyć toboły pod pachą. Od czego ma przy sobie chłopca? Kroczył rosły, barczysty, w wysokich butach, w ciepłym, watowanym płaszczu, milczący, ciężki, ważny. Nic dziwnego; wypasiony na darowanym maśle, na jajach, na mleku. Koło niego potykał się niezgrabnie kulawiec. Zaniósł swoje płótno, z którego go tak niecznie wyzuto, panu posterunkowemu do kancelarii. Ogień trzaskał wesoło w piecu, zupełnie jak wczoraj. Ta izba widziała wczoraj jego klęskę, dzisiaj zaś ogląda jego hańbę.

Czwartkowy dzień wstał jasny, przeraźliwie mroźny. Słońce ukazało się nad Babią Górą, rozelśnione na błękitie pozbawionym jednej chmurki. Promienie skrzyły się na śnieżnej bieli szczytu, aż oczy ćmiło patrzącemu.

Witkowski siedział w swoim pokoju, rozparty na stołku, bez bluzy. Na spiczastym szczycie czaszki sterczała czarna szczeć włosów, krótko przyciętych na jeża. Małe, ruchliwe oczy, głęboko osadzone pod brwiami, rzucały przebiegłe błyski. Pod nosem dwa prostokątne skrzydełka wąsików. W izbie było przyjemnie, ciepło. Z radioodbiornika stojącego koło łóżka rozchodziły się dźwięki skrzypiec. Posterunkowy puszczał gęste kłęby dymu z bursztynowej cygarniczki, rozpamiętując w myśli sukcesy ostatnich dni. Miał się czym cieszyć. Sprawa z płótnem, zdawałoby się beznadziejna, przybrała niespodziewanie doskonały obrót, a to dzięki policyjnemu sprytowi Witkowskiego. O, jemu zapewne, nie Kaczmarczykowi, przysługiwał awans na przodownika; jemu, nie Kaczmarczykowi, należał się odpowiedzialny posterunek w Jeleśni. Ale powoli wszystko się zrobi. Wójt Franczak obiecał mu, że go poprze u komendanta powiatowej policji w Żywcu, że szepnie za nim słówko staroście, a ci znów ze swej strony ruszą wojewódzką komendę w Krakowie i wszystko załatwi się pomalutku a

pomyślnie.

Tylko żeby dostać w ręce Jana Dziurę! To mało, że ten drań ośmielił się policjantowi skraść płótno ze strychu. Ale pobił Witka ze Sporysza i wójta Franczaka. Jedno się zrobi za drugie. Rączka rączkę myje, noga nogę wspiera. Kluczem do protekcji będzie Dziura. Czyż wójt nie powiedział wyraźnie: „Panie Witkowski, im prędzej doprowadzi pan bandytę do rąk sprawiedliwości, tym spokojniejsza będzie nasza gmina, tym łacniej wyjdą pańskie zasługi na jaw. To może panu otworzyć drogę do awansu albo do korzystnego przeniesienia. Nie pożałuje pan swojego pośpiechu. Ja już za panem powiem temu, komu trzeba, to co trzeba, i tam, gdzie trzeba.”

Ach, byle dopaść awanturnika! Policjant już widzi siebie z karabinem, eskortującego złodzieja ze skutymi rękami.

Któż to jest Jan Dziura? Nie rodził się chyba na Głuchaczkach, bo tam nie ma takiej rodziny. Dziura, Dziura... Witkowski szukał w myśli takiego nazwiska po całym Przyborowie; także nie ma. Skąd on się tam wziął? Stary Janiczak mówił, że ze świata przyszedł, ale podawał go za swojego wnuka. Pewnie przygarnął do chałupy bękarta po którymś ze swoich dzieci. Wszystko jedno, skąd się tam wziął. Ale już go tam nie będzie.

„Muszę go stamtąd wykurzyć. Choćbym miał całe Głuchaczki rozpędzić. Albo on, albo ja. Dla nas dwóch miejsca tu nie ma.”

Tymczasem Dziura zwiął. Zapadł się pod ziemię. Stróż bezpieczeństwa, zawiedziony w swych planach, spoglądał na Pilsko, na Babią Wielką, na Babią Małą, na łagodne, obszerne zbocza szczytowe, silnie ośnieżone, błyszczące niepokalaną białością w rozjarzonym słońcu. Dym z papierosa, niebieściutki jak błękit nad górami, snuł się na tle szyby śladem marzeń posterunkowego.

„Ja go spod ziemi wygrzebię!”

I zapalał Witkowski szaloną, nieprzepartą chęcią zdobycia jeszcze jednego lauru po triumfach ostatnich dni: Jana Dziury. Słyszał o nim od strażników i gajowych, że to przemytnik, kłusownik, złodziej drzewa państwowego. Nikt się nie ostoi w okolicy, kiedy się nań uweźmie posterunkowy Witkowski.

Trwał zawzięty w swej złości, zapatrzony w jaśniejący od słońca, odziany śniegiem czub Diablaka. Niżej, w połowie drogi na Cyl, otoczony czarną puszcza, wybijał się nie tknięty jeszcze łapą zimy, wycięty regularnie kwadrat Głuchaczek. Tam spoczęły gniewne jak osy małe, ciemnopiwnie oczka Witkowskiego.

„Ja go spod ziemi wygrzebię!” - mruknął z zaciśniętymi zębami.

Gdzieś wyżej, o kilkaset metrów ponad nim, Jan Dziura spał właśnie w jamie pod

ziemią.

Trzeciej nocy zajrzał Jasiak na Głuchaczki. Targała nim niepewność. Czy policja szukała go? Może wójt Franczak zapomniał o bitce w karczmie i wszystko rozplynie się w niepamięci?

Ostrożnie obchodził wkoło chałupę Juraszków. U Ślepka było ciemno. Nie odzywał się z wnętrza żaden głos. Wszyscy spali. Na wszelki wypadek postanowił zejść najpierw do Juraszka. Pukał kilkakrotnie, zanim usłyszał chrobotanie. Rozwarły się drzwi izby, z sieni dobiegł się donośny głos Władka.

- Kto tam?

- Ja, Jasiak. Otwórz, Władek.

Skrzyp odsuwanej drągi. W ciemności ukazał się Juraszek w bieliźnie, nakryty kocem.

- Są nowiny. Wejdz do izby - zaprosił przyjaciela. Weszli. - Widziałeś się ze Ślepkiem?

- Nie. Dopiero idę do niego.

- Była u nas przedwczoraj policja.

- Kto był?

- Witkowski. Przyszedł po płótno.

- Po płótno? - młodzieniec zachwiał się z wrażenia, rękami poszukał oparcia o ścianę. - Po płótno? Jak to? - zdawał się nie rozumieć, choć od razu pojął wszystko.

- Zabrał płótno od Ślepka.

Jasiak opadł na ławę z wiadrami, gwizdnął przeciągle.

- Zabrał płótno - powtórzył bezmyślnie, tocząc nieporadnie oczyma. - Cała moja robota na darmo.

- Przyłazł raniutko, darł się na całe Głuchaczki, kazał Ślepkowi iść natychmiast do stodoły i przynieść płótno.

- A Tramek?

- Witkowski przyprowadził go ze sobą. Z powrotem wsadził mu jeszcze płótno pod pachę i tak kuternoga kuśtykał na dół, odnosząc swoją własność policjantowi. Witkowski był wściekły, że ciebie nie zastał. Groził wszystkim kryminałem. Resztę ci powie Ślepek. Jest tak zmartwiony, że nawet mówić ze mną nie chce.

Trzykrotnie zapukano do okna dziadka. Przez dobrą chwilę nie odzywał się nikt. Tylko gołębie zbudziły się pod strzechą i zaczęły gruchać. Pukanie powtórzyło się głośniejsze. Stary, usłyszawszy znajomy sygnał, wylazł z łóżka, potknął się o ławę, namacał lampę, zaświecił,

narzucił płaszcz, wyszedł do drzwi.

- Byłeś u Władka?

- Byłem.

- Mówił ci?

- Mówił.

- Nie podarowali nam, złe krwie.

- Najgorsze to z płótnem.

- Co miałem robić? Przyszedł z Tramkiem, huknął na mnie: „Stary, dawaj płótno!”

Poznałem od razu, że sprawa się wydała. Nie było co taić. On wszystko już wiedział. A od szwagra drugą połowę płótna jeszcze poprzedniego dnia odebrał.

- No, to wszystko przepadło - rzekł Jasiak, ciężko usiadłszy na swoim łóżku.

- Wczoraj była Maryśka u mojej siostry na dole. Płacze przez cały dzień, szwagier rozchorował się ze zmartwienia. Najbardziej boli ich to, że Witkowski nic nie wiedział o tym, kto mu ściągnął płótno, i tylko chytrym podstępem wy dostał zeznanie. Zmusił szwagra rewolwerem, aby mu przyniósł płótno do domu.

- Więc tak wyszedłem na złodzieja - westchnął chłopiec, przetykając ślinę. - Witkowski pytał o mnie?

- Ma się rozumieć. Wygadywał niestworzone rzeczy. Żeś go okradł z koszuli, z zegarka, z pieniędzy.

- Kłamstwo.

- Pienił się, krzyczał: „Gdzie jest ten bandyta, którego ukrywacie?” Groził mi kryminałem za to, że przechowuję skradzione rzeczy. Obiecywał, że wszystkich nas tu na cztery wiatry rozpędzi.

- Niech spróbuje.

- Gdzie nocujesz, Jasiak?

- W ziemi - uśmiechnął się. - Ani nie uwierzycie, dziadku. Pierwszą noc przespałem w sianie na Koziej Polanie. Później znalazłem sobie pod Cylem starą gawrę niedźwiedzia.

- Bajesz. O niedźwiedziach od lat pamiętnika nie ma.

- Dawniej musiała to na pewno być gawra. Na dnie wąwozu szeroka jama w ziemi, wybita wodą w stoku; tylko wąskie wejście do niej. Wyłożyłem sobie choiną, spałem dwie noce doskonale jak król. Najważniejsze, że ciepło. I jama prawie niewidoczna.

- Maryśka nie upiekła jeszcze chleba - tłumaczył się Ślepek. - Wczoraj dopiero kupiła drożdże, jutro będziemy piekli, przygotuję ci prowiant na niedzielę.

- Nic nie szkodzi. Mam jeszcze dość chleba.

Starzec zgarnął do rondla oślizłe ziemniaki, pozostałe od obiadu, wkrajał trochę słoniny, rozpalił w piecu. Wnet skwarki zaczęły się topić, miła woń polechtała nozdrza.

- Gdzie ci to na zimę przyszło w ziemiance jak zwierzowi warować, biedaku!

- Nic mi nie będzie. Jak myślicie, czy Witkowski przyjdzie tu jeszcze po mnie?

Starzec postawił przed Jaśkiem rondel z ziemniakami, przyniósł z sieni duży garnek z kwaśnicą.

- Jedz.

Usiadł na ławie i odpowiedział na poprzednie pytanie: - Myślę, że on tu jeszcze nieraz przyjdzie. Uwziął się na ciebie i będzie nas pilnował. Tylko ty się mu na oczy nie pokazuj. Nic ci nie zrobi.

- Mnie w lesie nikt nie da rady.

- Przez parę dni posiedź w ukryciu. Napieczemy chleba, przygotuję ci trochę pieniędzy, dam jakiego łacha, pojedziesz sobie za jaki tydzień na dół za robotą. Do miasta. Możesz przejść górami do Bielska albo do Nowego Targu, a stamtąd nawet do Krakowa. Robotę zawsze znajdziesz.

- Pewnie. I Witkowski może mi gdzieś nadmuchać.

- On nam nie da spokoju, będzie nas nachodził. Bo to nie jego tylko sprawa jest w tym, ale i wójta Franczaka, i Witka-Cholery. Wszyscy trzej mają złość na ciebie. Ten za to, żeś mu płótno wziął, tamten za to, żeś go sprął po łbie, a tamten znów, żeś mu dał po pysku i batem wyłoił. Oni ci tego nie popuszczą. Dlatego musisz się im stąd usunąć.

- Pójdę stąd, dziadku.

- Na razie jeszcze poczekaj na górze. Śniegu nie ma, zima łagodna, dawnośmy takiej nie mieli - popatrzył na jego buty, ubłocone po kostki. - Dam ci ze dwie pary wełnianych onuc, boś pewnie przemókł. Ja wiem, co to znaczy łaźić po takich wertepach. Zaglądnij nocą, tak jak teraz, przygotuję ci coś do zabrania. Cholewiaki będziesz miał już naprawione. Ktoś od nas zejdzie do kościoła, weźmie ci je z dołu.

Jasiek już odchodził. - Dziadku, dajcie pięć złotych z moich pieniędzy Władkowi, niech mi kupi za nie papierosów.

To było wszystko, co miał tu do załatwienia. Opuszczał chatę Ślepkową bez żalu, szedł do nowego mieszkania, do którego już się przyzwyczaił. Pozostawał za nim jego kąt w tej chacie, łóżko nie nawiedzone jego obecnością od tygodnia, wszystkie sprawy tego miejsca, pozbawione jego osoby, jego spojrzenia, jego ręki. I tu wniósł na czas swej bytności tajemnicę niespokojnej krwi, i tu też, jak wszędzie gdzie indziej, nie zagrzebał miejsca, wiedziony fatalnym przeznaczeniem ku nowym przygodom.

Las roztaczał przed nim ciemny, groźny urok. Taka noc w borze przejmowała ludzi zimnym lękiem. Ale Jasiak nie znał strachu. Od dziecka żył wśród przyrody. Od dawna czuł się przynależny do tego świata. „Smreki to moi bracia” - mówił nie na próżno. Po dwóch godzinach nieomylnego chodu zapadł w sen w przytulnej jamie Piekła, jak drapieżny zwierz kniei, zmęczony nocnym polowaniem. Już nie będzie wędrował wśród chałup ocienionych zielenią, utopionych w gajach, otoczonych łąkami, wśród wielorakiego gwaru wsi. Skończyły się zabawy z chichotliwymi dziewczętami, ćmienie papierosów w gronie parobków, dni nieskrępowanej swobody, noce niezwykłych przygód, życie młode i bujne.

Nazajutrz aresztowano starego Trameka. Właśnie rozżagwił się różowo świt, kiedy w próg wkroczył Witkowski z karabinem, w lśniących, wyczyszczonych butach.

- Tramek, zabierajcie się ze mną do Żywca. Prędko, bo już po siódmej.

Przed samą dziewiątą odjeżdżał pociąg do miasta. Chłop, jako chromy, co chwila pozostawał w tyle, nie mogąc nadążyć za konwojentem. Policjant popędzał go, spoglądając na zegarek; bał się spóźnić na stację. Od kościoła Jeleśniańskiego przysiedli się na jakąś furmankę i dzięki temu dotarli do dworca znacznie przed czasem.

Zrobiło się głośno we wsi. Wiadomość o starym Tramku przeniknęła na całą okolicę. Szeroko komentowano ten wypadek jako związany niewątpliwie z historią płótna.

- Rabusie włamali się do Witkowskiego - opowiadano. - Nakradli mu na dwa tysiące.

- Jaś z Głuchaczek stał na czele bandy.

- I stary Tramek także ma być w to wmieszany - uzupełniali dobrze poinformowani. - Witkowski znalazł u niego swoje rzeczy pochodzące z kradzieży.

Mit o fikcyjnym rabunku rozszerzał się dzięki wydatnej pomocy pani Witkowskiej i jej służącej. Turcula miała obfite, od miesięcy nie notowane żniwo; zabrała się do niego z entuzjazmem.

Gdy syrena jeleśniańskiego tartaku obwieściła o czwartej po południu koniec pracy, młody Tramek przyszedł do domu na obiad i dowiedział się od żony, że ojca zabrała policja. Pogonił od razu na posterunek. Przyjął go Witkowski, który przed chwilą wrócił ze stacji. Właśnie rozpinał guziki od płaszcza, chuchając w zziębnięte ręce. Był w złym nastroju, jak zwykle mężczyzna gdy głodny. Stracił pół dnia na wypełnienie twardego obowiązku służbowego, nic w drodze nie jadł i dopiero teraz miał zasiąść do zasłużonego obiadu.

- Gdzie jest mój ojciec?

- Powiedz najpierw, Tramek, dzień dobry, jak wchodzisz - zwrócił gościowi uwagę Witkowski ze zjadliwą grzecznością.



- Gdzie jest mój ojciec? - spytał ponownie przybysz.

Witkowski, który chodził tam i z powrotem po pokoju, aby się rozgrzać, odwrócił się nagle ku chłopu i huknął:

- Zdejm czapę ze łba, gamoni, jak jesteś w mieszkaniu!

Tramek zmitygował się, zdarł czapkę z głowy, ale nie spuścił wzroku z policjanta. Przez zaciśnięte zęby mówił:

- Przyszedłem do was, panie Witkowski, zapytać, gdzie jest mój ojciec?

- Co mnie to obchodzi? - odpowiedział policjant, nie przestając chuchać w rękę.

- Dlaczego pan zabrał ojca do Żywca pod karabinem?

- Bo tak mi się podobało. I nie będę tobie zdawał sprawy z tego.

- Jakim prawem mówi mi pan „ty”? - oburzył się Tramek. - Ja taki sam pan jak i pan.

- Nie taki sam, panie Tramek, nie - Witkowski zdejmował powoli płaszcz, wieszał go pieczołowicie na gwoździu. - Nie taki sam, o nie - powtórzył ironicznie.

- Wszystko jedno - zaciął szczęki tamten. - Wyście pan, a ja chłop. Chciałbym wiedzieć, pod jakim zarzutem aresztował pan mojego ojca? Jaka on zbrodnię popełnił?

- Brał udział w złodziejstwie - rzekł chłodno policjant.

- Jak to? To było jego płótno. W dodatku pan obiecał, że ojcu nic nie będzie za to, jak płótno panu przyniesie. On płótna nie kradł.

- To co, że nie kradł? Ale maczał palce w kradzieży. Był współnikiem złodziejstwa. I jest tak samo winien jak złodziej. Zresztą ja nie będę sądził. Sąd rozstrzygnie. Jeśli będzie niewinny, to go uwolnią. Nie martw się.

- Ale pan przyrzekł ojcu, że nie będzie miał żadnych dochodzeń sądowych! Rękę mu pan dał na to. Tak pan dotrzymuje przyrzeczeń?

- Nawet takie stare chłopiska dają się wywodzić w pole - uśmiechnął się złośliwie pan domu. - Głupi był, że słuchał. Po co słuchał? Mógł mnie nie słuchać.

- Ale to jest oszukaństwo! Haniebne! Siwego, chorego człowieka chce pan zniszczyć? Sądem? Kryminałem? Czego pan chce od niego?

- Tramek, uspokój się. Idź do domu, nie mieszaj się do nie swoich spraw, bo źle na tym wyjdiesz.

- Skąd pan przychodzi mówić mi „ty”? Smarkacz jestem? Gospodarz żonaty, dzieciaty, mam swoje lata, a pan mnie traktuje jak parobka! Minęły te czasy, kiedy wygadywaliście chłopom od chamów!

Policjant podszedł ku niemu, zadarł głowę, bo gość był bardzo wysoki - i wbił weń malutkie, ruchliwe oczy.

- Odkąd to zrobiłeś się takim bolszewikiem, Tramek? - cedził wolno. - Pewnie od czasu, jak chodzisz do Wojnara. Radzę ci, nie szarp się. Nie mam czasu z tobą po próżnicy mówić. Głodny jestem i chcę zjeść obiad. Nie awanturuj się, bo cię złapię za kark i wyrzucę za drzwi - syknął przez zęby ze wzrastającym rozdrażnieniem.

- Ja się pytam, coście zrobili z moim ojcem?

- Zrobiłem to, co mi się podobało. A ty stąd marsz! - Witkowski pokazał mu drzwi z roziskrzonym wzrokiem. - I uważaj, bo i ty także tam wnet pójdziesz! Ty w tym złodziejstwie również maczałeś palce, jak i twój tatuś.

- Ja?

- Nie nadymaj się, głąbiu kapuściany! Nie jestem głuchy. Ani się nie oglądniesz, jak znajdziesz się za kratkami w Żywcu.

- Za co?

- Jesteś współnikiem Jaśka Dziury.

- Jakże ma pan dowody?

- Nie podoba mi się twoja gęba. To wystarczy.

Tramek skoczył do policjanta jak kot i załatwił się z nim w okamgnieniu. Zwaliste ciało poleciało na szafę, wyrznęło w nią plecami, aż sprzęt się zachybotął, i ciężko zważyło się na podłogę. W drzwiach, zaalarmowana klótnią i stukiem, ukazała się Witkowska.

- Ratunku! Męża mordują! - zawyła.

Tramek roztrzącił w drzwiach kobietę i wybiegł z chałupy. Żona policjanta przy pomocy służącej wszczęła lament na cały dom. Witkowski podnosił się z podłogi, lewą dłoń przykładając do guza na głowie, prawą zaś otrzepując ubranie. Zaciśnął zęby, odchrząknął.

- Cicho bądź. Nie rób zgielku! - zgromił żonę. - Nic mi się nie stało. Dawaj obiad.

Zjadł obiad w napiętym milczeniu; nie ośmieliła się doń słowa przemówić. Wypił herbatę (taki miał zawsze zwyczaj po obiedzie) i zabrał się do czyszczenia munduru, który ucierpiał trochę podczas ранnej podróży do Żywca, a także podczas ostatniej przygody między stołem a szafą. Następnie wdział płaszcz, zarzucił karabin na ramię i wyszedł.

Skierował się prosto do chałupy młodego Tramka. Nadchodził wieczór. W izbie świeciła się mdło lampa. Policjant wszedł do środka, rozejrzał się. Tramkowa prała w cebrazku; dwoje małych dzieci siedziało pod piecem, bawiąc się klockami.

- Gdzie jest mąż?

- Nie wiem - zdziwiła się niewiasta. - Poszedł na posterunek, jak tylko wrócił z roboty. Obiadu nawet nie tknął. I do tej pory go nie ma. Może wstąpił do macochy. Nie był u pana?

- Był - odparł sucho Witkowski. - Ale już wyszedł.

Obrócił się na pięcie i w drodze powrotnej do domu zaszedł do starej Tramkowej. Siedziała na nalepie splakana. Podniosła oczy na policjanta, spodziewając się jakiejś wiadomości o mężu. Ale on zapytał tylko o pasierba, Leona. Nie, nie było go tu dzisiaj. Wrócił z niczym do domu. „To nic, nie ucieknie mi. Ma żonę i dzieci. Nie dziś, to jutro.”

Ale młody Tramek nie pokazał się w domu ani dziś, ani jutro. Ani następnych dni. Przepadł bez śladu, jak kamień w wodzie. Nikt we wsi nie umiał nic o nim powiedzieć. Nawet wszytkowiedząca Turcula stanęła przed zagadką. Odbywała lotne zebrania ze znajomymi przy płocie; gdy ją pytano, gdzie się podziewa bohater zajścia z policjantem, robiła bezradną minę, trzaskając zawzięcie wyłamywanymi palcami. „Uciekł gdzieś - konstatowała, wzruszając ramionami.

W niedzielną noc Jasiak znów odwiedził Ślepka. Dziadek zmroził go od razu nieprzyjemną nowiną.

- Wzięli mi szwagra do Żywca.

- Kto?

- Któż by? Witkowski.

- Za co?

- Czy policjant powie kiedy, za co bierze do aresztu? Pewnie za płótno. Powiem ci jeszcze więcej: Leon pobił się z Witkowskim o ojca i uciekł w góry.

- To dopiero ruch we wsi! Jakże to? Bitka była?

- Jak tylko Leon przyszedł z tartaku na obiad, żona mówi mu, co i jak: że rano zabrał policjant ojca do Żywca i pojechali. Ten, gdy to usłyszał, nie ruszył obiadu, poleciał zaraz na posterunek upomnieć się o ojca. Witkowski właśnie dopiero przyjechał z miasta. A że obaj jeszcze nie obiadowali, więc byli wściekli. Od słowa do słowa, zaczęli się przegadywać, zrobiła się awantura. Leon pyta się: „Co pan zrobił z moim ojcem?” Policjant mówi: „To samo, co i z tobą zrobię: do kryminału pójdziecie obaj”. I buch go w pysk. Chłop też nie ułomek, że dwa metry go będzie, trzasnął Witkowskiego przez łeb, aż szafę zawalił. No i uszkodzony jest trochę policjant. Leon tak się tym przestraszył, że już nawet nie wrócił do żony ani do dzieci, ani do obiadu, tylko prosto strzelił w las i poszedł w góry.

- Gdzie on się teraz będzie plątał?

- On ma swoje chody. Ja nawet miarkuję, gdzie on poszedł. Ale lepiej, niech nikt o tym nie wie. On niegłupi chłop.

- Naturalnie, że niegłupi, skoro się nie dał policjantowi. O, chłopci teraz mądrzejają - Jasiak zacierał ręce. - Zaczynają się brać do wójtów, do policjantów. Pewnie, chłop także

umie bić. Dotychczas tylko jego bili.

- Tylko żeby Witkowski nie mścił się na Tramkowej! Bo to psubrat jest.

- Ludzie by nie dali. - Czy on się ludzi boi?

Młodzieniec zjadł odgrzaną kolację, wzuł na nogi świeżo podzelowane buty z cholewami; od razu poczuł się w nich rażniej i weselej. Ślepek włożył mu do plecaka trzy bochenki chleba, kilogram sadła oraz papierosy. Rada w radę, uchwalono, że Jasiak wyjedzie za pracą do Nowego Targu. Oczywiście, aby nie wpaść komu w oczy, zejdzie lasami do Suchej i tam wsiądzie w pociąg.

- Jedną strzelbę, tę Bronkową, mam schowaną w Mroźnej Szczelinie. Władek wie, gdzie ona, niech sobie ją weźmie. A druga, którą kupiłem od Misiółka, jest pod Pilskiem ukryta. Na Paździornej. Nic się jej nie stanie, jak sobie parę miesięcy poleży; jest w tłustych szmatach.

Było już dobrze po północy, gdy Jasiak zarzucił sobie plecak na ramiona i uściskał serdecznie Ślepka. Ogarnęło go wzruszenie, kiedy do Jaśkowych oszczędności w kwocie trzydziestu złotych starzec dodał swoje, pieczołowicie chowane za obrazem, czterdzieści trzy złote.

- Weź, Jasiak, przydadzą ci się. Na co mnie, staremu, pieniądze? Pogrzeb i tak mam wymówiony od córki w kontrakcie. A dla ciebie każdy złoty teraz dużo znaczy, zanim nie otrzymasz pracy.

Następnego ranka zaczął schodzić mieszkaniec ziemianki pod Cylem przez czatożański las do Stryszawy, w kierunku na Suchą. Na nowe życie. Za pracą. Knieja gęsta i twarda nie puszczała człowieka. On jeden znał tu najtajniejsze szlaki. - Chyba zima będzie tego roku bez śniegu - mrucał do siebie, przemykając gęstwą bukowego młodniaka. Kierował się nieomylnym instynktem dziecka natury, wyczuwając drogę na odległość. Pod stopami wił się prawie niedostrzegalny chodnik zwierzęcy, ścieżka dzików i saren. Ach, poszłoby się z Bronkiem na strzelanie! Ale cóż? Trzeba uciekać przed oczu Witkowskiemu; trzeba opuścić teren błogosławionej polowaczki. Przyglądał się zielonym nurtom strumienia, mknącego z pośpiechem po kamieniach. Brzegi i boczne zastoiny skute były szklivem. Dotknął palcami wody, jakby się z nią witał; była lodowata. Zamyślił się nad strugą zieloną i zimną, biegnącą w doliny i równie.

„Życie jest jak bystry, kręty strumień, pędzący do ujścia. Do śmierci.”

Skąd u tego chłopca myśl o śmierci? Spojrzał za siebie w bór, objęty zimową pustką i ciszą. Na tym ostrym zboczu, odzianym w zwarty las, pozostawiał Głuchaczkową swobodę, kto wie, może budzące się szczęście?

Po paru godzinach wyszedł na goły wierch, spojrzął z łysiny na północ. Polany były sine od szronu. O pół mili niżej na przeciwstoku rozsiadły się chałupki, niskie, brunatnoczarne; pod nimi wystrzelała prosta dwulinia szyn kolejowych. To Stryszawa.

Zapalił papierosa. Głuchaczki leżą już dwie mile poza nim, przedzielone knieją. Dwie mile od rejonu Witkowskiego. Stąd jeszcze półtorej mili do stacji w Suchej. Jasiak ma głowę pełną pomysłów. Układa sobie życie na najbliższą przyszłość. Ileż ma pieniędzy? Siedemdziesiąt trzy złote. A chleba na cztery, pięć dni. To niewielka suma. Ale i z nią, jeśli się ma spryt - a Jan Dziura go ma - można także rozpoczynać nowe życie.

W tym samym czasie, gdy Jasiak schodził ku Suchej, Wojnar, idąc z kupcem Pasikiem po rynku, natknął się na wójta Franczaka. Prawie nigdy nie rozmawiali ze sobą, dzieliła ich wzajemna niechęć, dystans władzy. Tym razem jednak spotkanie było nieuniknione, gdyż Franczak miał interes do Pasika. Podali sobie ręce obojętnie, jak gdyby nigdy nic, ale i tak wzbudzili sensację: największy dygnitarz jeleśniański, filar reżimu, w towarzystwie najzarliwszego opozycjonisty w okolicy! Wójt zamówił się na rozmowę z kupcem; skierowali się do Habera - to przecież reprezentacyjny lokal publiczny wsi. Wojnar zaczął się z nimi żegnać.

- Niech pan nas odprowadzi, panie Wojnar - zaproponował słodko wójt, który nigdy nie tytułował panami chłopów swojej gminy. - Jak tam gospodarstwo?

- Dziękuję.

- Ładną mamy pogodę.

- Bóg nagodził dobry czas.

- Ale zboże znów staniało, słyszeliście? Urzędowe ceny wyszły z ministerstwa.

- Nie słyszałem - odpalił zainteresowany. - Jestem zajęty teraz przesypywaniem ziemniaków z szopy do piwnicy.

Wójt nie dał za wygraną; raz jeszcze przesunął rozmowę na teren polityki.

- Niby mamy komasację, dobrodziejstwo dla rolnictwa, a tu rząd obniża ceny zboża. Czy rząd nie pójdzie na rękę chłopom, jak pan myśli?

- Nie wiem. Nie moja rzecz sądzić rząd.

- Niech się pan nie boi mówić, panie Wojnar. To jest rozmowa prywatna i to zostanie między nami. Ja z tego nie zrobię użytku.

Wojnar nie dał się skusić.

- Nic się pan ode mnie nie dowie, panie wójcie - uśmiechnął się.

Podali sobie ręce pod karczmą i rozeszli się chłodno.

Góral podchodził wolno ku swej chałupie na wzgórzu. Blade, grudniowe słońce robiło,

co mogło, aby utrzymać pozory pogody. Cztery wsie babiogórskie, wsie obróbki drewna, teren administracyjny wójta Franczaka, gniły w posepnym bezwładzie w sąsiedztwie swoich lasów. Śpiewano tu zagadkowe starodawne pieśni, których by się wstydzono już w dolinach. Wojnar zamyślił się. Nuda, jeszcze raz nuda: przymrozki ranne i smród krowiego łajna. Co jeszcze? Świństwa i świństwka ludzkie. Głupie podrywki Franczaków. Tfu! Dlaczego śniegu jeszcze nie ma?

Stary Tramek przydreptał nazajutrz z aresztu żywieckiego z powrotem do domu. Wypuszczono go z tym, że ma się stawić w sądzie, gdy otrzyma wezwanie na rozprawę. Chcieli go nawet wypuścić tego samego dnia po przesłuchaniu, lecz góral nie chciał wracać po ciemku piechotą do chałupy; nie miał zaś pieniędzy na kolej. Przenocował więc w komisariacie na ławie pod ścianą.

Od tartaku przyborowskiego zбочzył z drogi na ścieżkę; przechodził koło płotu Wołka. Żona Wołkowa rozwieszała bieliznę na długiej żerdzi. - Nie wiecie, co z synem? - spytała.

- Z Leonem? Co miałoby być? - zdziwił się.
- No, czy się znalazł?
- Co się z nim stało? - drgnął, tknięty strachem.
- Mieli go zabrać za wami do Żywca.
- Kto?
- Któż by? Witkowski.
- To pies, nie człowiek.

Przyśpieszył kroku, aby prędzej znaleźć się w domu. Jakież cios go oczekiwał! Pół dnia spędził u synowej, pocieszając ją, jak mógł. Do tej pory nie miała żadnej wiadomości o mężu. „Teraz dopiero będzie się na nas mścił Witkowski!” - pomyślał z goryczą, wychodząc od zmartwionej kobiety. Nazajutrz wygramolił się na Głuchaczki, aby się wyżalić przed Ślepkiem.

- I Jasiak także ukrywa się przed policją już od tygodnia - zawiadomił go szwagier.
- Słyszałem o tym. Dybią na niego.
- Bo im pokazał, co umie. Pobił w Żywcu świńskiego kupca, dał radę wójtowi i Witkowskiego wywiódł w pole. Chłopak ma swój honor i nie da sobie w kaszę pluć. A policja takich nie lubi. Więc powiedzieli sobie: huzia na niego! Zrobimy z niego bandytę, posiedzi w kryminale, uspokoi się.

- Dlaczego on się tak wścieka, ten Witkowski? Powiedzcie, szwagier.

Zaczęli obaj wspominać i chwalić stare czasy, narzekać na nowe, przeklinać biedę i

wzdychać do lepszego. Wywołali z grobu widmo wszechpotężnego, łaskawego kajzera Franza Josepha, rozczulili się nad taniością tabaki i chleba w okresie cesarsko-królewskiej monarchii; uronili niejedną łzę nad epoką, która leżała w grobie, osnuta ich tkliwą pamięcią. Cóż im dała piętnastoletnia postępową republiką rodaków? Gdzież jej było do splendoru austro-węgierskich mundurów, do solidności budowy, do taniości towarów?

- I wieś była wtedy spokojna, i ludziom było dobrze.

- Był jeden żandarm na cały powiat, a i tak roboty nie miał.

- Granicę madziarską mieliśmy pod nosem, ale żaden „filanc” palcem nie skrzywił, jak ktoś przez lasy z tej strony przechodził na tamtą.

Mitanka postawiła przed obu starcami obiad. Utopili zmartwienia w kwaśnej wodziance, przegryźli gorycz wspomnień ziemniakami. Zjedli, zapalili fajki. Ślepek spoglądał w ośnieżoną kopułę Pilska, przez którą dawniej biegła węgierska granica, tak jak dziś czzechosłowacka. Tramek rozcierał kolano u koślawej nogi. Znowu od początku rozpoczęli przedpołudniowe biadanie. Kiedy od strony lasu nadpełził szarzejący zmierzch, Tramek porwał się z ławy, stęknął i pożegnawszy się szybko, opuścił chałupę Mitanów. Utykał niezdarnie po polanie, odprowadzany radosnym piskiem Maziarzowych szczeniąt.

- Nie zajdę przed ciemnością do domu - wzdychał.

Młoda Tramkowa już piąty dzień była pozbawiona wieści o mężu. Rozpaczała, myśląc, że popełnił gdzieś samobójstwo. Może go gajowi albo strażnicy w borze postrzelili? Aż przyszła do niej któregoś dnia mieszkanka Sidziny, idąc niby to na jarmark, i doniosła kobiecie w najgłębszej tajemnicy, że mąż jej żyje i jest zdrowy. Nie może zdradzić, gdzie się znajduje, ale jest to w każdym razie bezpieczne miejsce. Tramek prosił, aby żonę jego powiadomić o tym, nie wolno jej tego jednak rozgłaszać nikomu. Nawet rodzinie. Pod przysięgą - nikomu.

Przeszła połowa grudnia. Poza najwyższymi wierchami śniegu nie było niżej ani na lekarstwo. Trwał ranek ponury, zimny i chmurny. Spod kościoła jeleśniańskiego odezwało się uparte skomlenie cmentarnego dzwonka.

- Kogo to chowają? - odezwał się Maściak, mieląc żyto na żarnach.

- Lutyka z Krzyżowej - wyjaśniła go żona, przebierając ziarno na przetaku. - Tego, co miał astmę.

- Już ze trzy tygodnie nie chodził.

- Mógł był jeszcze pożyć. Córeczka go tak wykurowała. Opowiadała mi Walerka od Pasika, której matka mieszka koło Lutyka, że córka wyganiała ojca po wodę w mróz w

koszuli i w samych portkach, bo kabata nie miał. I stary dostał zapalenia płuc. Dużą miał pociechę z córki? Zapisał jej cały grunt, a sam żył gorzej od psa. Jeść mu nie dawała.

Przypięła się ręką do kija zatkniętego w kamień żarnowego młynka i meła wespół z mężem. Maściak podjął dyskusję: - No, miał ciężką astmę. A dobiła go jeszcze przepuklina uwięznięta. I stary też był.

- To co, że stary? Dyrektor Klimond ma osiem krzyżyków. Jak wygląda? A nasz proboszcz? Siedem, a chodzi prosto jak parobek. Jaką kto ma opiekę, to jest najważniejsze; jak się mu jeść daje. Widziałam Lutyka w kościele może ze dwa miesiące temu. Skarżył się na córkę, mało nie płakał. Taka pijawka z niej była, że mu skwarka do ziemniaka żalowała.

- Swoją drogą, zgodny chłop był. Nigdy się z nikim nie wadził. Nie miał wrogów.

- Radziłam mu, aby nie zapisywał wszystkiego córce. Aby sobie wymówił ze dwa kawałki koło chałupy. Mógł iść do Janiczki, chciała go przyjąć. Miałby opiekę i spokój za te trochę pola, co by jej zostawił. Nie musiałby się własnej córki o chleb prosić. Zawsze mógłby wyżyć z tych dwóch kawałków gruntu. A tu co miał? Klótnie, awantury i głód.

- No, to sobie już biedak odpoczął - zakonkludował Maściak. - Będzie już teraz miał spokój.

Dzwonek cmentarny trząsał się dalej. Małżonkowie szeroko omawiali wady i zalety umarłego, nad którym grabarz pośpiesznie usypywał mogiłę ze stwardniałej gliny. Ksiądz opuścił już pogrzeb. Chciał się wyręczyć wikarym, ale ten pojechał do chorego do Korbielowa, więc na proboszcza spadła ta funkcja. Staruszkowi spieszno było do drugiego śniadania i koncertu radiowego. Gospodyni na plebanii z niecierpliwością wypatrywała jegomościa. - Wystygnie kawa i co? - mruzczała. A ksiądz lubił gorącą kawę.

Jedynie Maściakowie przy żarnach nie opuścili tak prędko duszy nieboszczyka. Z zajęciem komentowali chorobę Lutyka, omawiali szanse jego życia w innych warunkach, aż Maściak pierwszy, zmęczony dyskusją, przerzucił się na inny temat.

- Gdzie tam się teraz młody Tramek poniewiera? Ten, co uciekł przed Witkowskim. Z Przyborowa.

- Kto wie, czy on nie będzie w Sopotni Wielkiej - rzekła żona. - Bo on tam miał, zdaje się, jakichś krewnych po babie.

- Na takie zimno z chałupy uciekać!

Ale nieznużona Maściakowa powróciła znowu do swojego umrzyka. - Jak Lutyk zaniósł raz pięć jajek do Habera i kupił za to paczkę fajkowego tytoniu, to mu córka w domu na podłogę tytoń wysypała ze złości. Pozbierał sobie palcami z ziemi i tak kurzył we fajce razem ze śmieciami. Córka pomstowała, że ją w domu okrada. Na co spadł biedak, na co?



Taki gospodarz!

Maściak nie miał ochoty kontynuować tej rozmowy. Poświęcił zmarłemu (którego mało zresztą znał) dość dużo uwagi i sądził, że można już zająć się czym innym. Zaczął więc swoje:

- Jakby Witkowski się dowiedział, że Tramek siedzi w Sopotni, on by go tam zaraz wywęszył.

Zmęczyli się żarliwym mieleniem. Zatrzymali młynek. Maściakowa wyprzęgła kij z dziury wybitej w kamieniu, wsadziła palce w otwór; był gorący od tarcia. Niech i kij sobie odpocznie. Chłop wycierał spocone czoło brudnym rękawem od koszuli.

- Za to, że człowiek miał śmiałość postawić się ostro policjantowi i nie dać się prać po pysku, musi z domu uciekać! A oni gonią za nim jak za zbrodniarzem! Co za sprawiedliwość!

- Usiadł na ławie, tarł żylaste łokcie. - Albo z tym Jaśkiem z Głuchaczek - ciągnął dalej. - Za to, że on jeden dał radę naszemu wójtowi, to sobie teraz ludzie na nim pyski strzępią.

- Słyszałam tylko dobrze o nim - odezwała się żona.

- Ale co wygaduje o nim policja albo pisarz, albo wójt! Bandytę z niego zrobili. Franczak wziął się na niego i wszystkich przeciw niemu podmówił.

Wstał, złapał za drąg, wsadził go w otwór i znów zaczął z pasją obracać kamień żarnowy. Po chwili przypadła do kija ręka żony i oboje wspólnie „wodzili głupiego dokoła”, jak się zwykło na wsi żartobliwie określać mielenie na żarnach. Co pewien czas Maściak odrywał prawicę od kija, chwycił zań lewą ręką, prawą zaś zanurzał w przetaku, wsypując szybko pełną garść ziarna w środkowe wydrążenie kamienia.

Nagle usłyszeli skrzyp drzwi. Równocześnie, jak na komendę, oboje odwrócili głowy, patrząc: drzwi się otwierają. Kto wchodzi? Wchodzi wójt jeleśniański, Franczak, we własnej osobie! Postawny, dorodny, z lekka przymilnie uśmiechnięty.

- Pochwalony - rzecze.

Opuścili młynek, przzerwali mielenie.

- Na wieki - odpowiedzieli oboje, skonsternowani. Taka wizyta!

Wójt usiadł na ławie przy stole, rozpiął kurtkę, grubą, watowaną, zdjął czapę futrzaną, dobył z kieszeni papierośnicę, wsadził do ust papierosa, drugiego wziął w palce, podał gospodarzowi.

- Zapalcie sobie, Maściak.

Gospodarz zawahał się trochę, ale wziął. Zapalili. Zwarły się ich dwa kłęby dymu w jeden obłok. Na tle tego obłoku gospodarz uważnie badał twarz wójta. Co to będzie? Maściakowa z uszanowaniem spoglądała na potężne ciało wójtowskie, rozsiadłe przy stole.

Czy kto kiedy mógł przypuścić, aby do nich, biedaków, pod ich nędzną, przeciekającą strzechę zawitał sam wszechpotężny wójt Franczak, władca trzęsący gminą zbiorową, Jeleśnią, oraz należącymi do niej gromadami: Przyborowem, Krzyżową i Korbielowem? Wójt, w którego terenie istnieją trzy tartaki, stacja kolejowa, apteka, urząd pocztowy, sześciu policjantów, siedem karczem, dwóch leśniczych oraz placówka straży granicznej? Oto wygodnie wyciągnął przed siebie nogi, zaciągnął się papierosem, wypuścił nosem dym i rozpoczął:

- Słuchajcie, Maściak. Myślałem ja w domu dość długo nad tą awanturą, którą mieliśmy kiedyś u Habera, i doszedłem do przekonania, że najlepiej będzie, jak o tym zapomnimy.

Aha! Tędy go wiedli! Do czego to zmierza?

- Przyszedłem, aby się z wami przeprosić i zaproponować zgodę. Puśćmy w niepamięć to zajście w szynku. I tego, żeśmy się bili, nie pamiętajmy sobie.

- Ja was nie biłem - sprostował przytomnie chłop.

- No, tak. Aleście krzyczeli, podnosili głos na mnie wobec ludzi, wyzywaliście mnie, przeszkadzaliście mi w rozmowie urzędowej.

- Wyście mnie skopali, panie wójcie, jak psa. Ja przyszedłem was poprosić o świadectwo ubóstwa.

- Przyjdźcie jutro do gminy, dostaniecie świadectwo.

- Już za późno - odparł tamten ponuro. - Zeszłego tygodnia upłynął termin.

- W każdym razie - wójt nie zraził się tym - jak nie teraz, to później będzie wam pewnie potrzebny taki papier. Przyjdźcie tylko do urzędu gminnego, wystawi się wam. Ja z mojej strony nie będę nic przeciwko wam zaczynał. Żeście się odgrażali mi jakimś doniesieniem do starostwa o mydle... - zaczął kręcić niezręcznie głową.

- Ja o tym nie mówiłem - wyparł się Maściak.

- Może być. Ale na wszelki wypadek zwracam wam uwagę, że gdybym ja się na was zawziął, to wam by nie pomogła żadna skarga na mnie. W starostwie znają mnie dobrze i ja znam wszystkich dobrze. Nie uzyskalibyście nic, a tylko bylibyście pociągnięci do odpowiedzialności za fałszywe doniesienie. A za to jest gruba kara.

- Są świadkowie - mruknął Maściak, nie bardzo pojmując, do czego zmierza wójt.

- Owszem - podjął Franczak wyzwanie. - I ja także mam świadków. Świadek a świadek, to jest różnica. Moi świadkowie są wiarygodni - akcentował triumfująco podniesionym tonem. - Ale ja nie po to przyszedłem do was, Maściak, aby się z wami kłócić. Tamta sprawa już jest za nami. Chcę z wami zgody. Nie szukajcie ze mną zaczepki, bo źle na

tym wyjdziecie. Jeszcze nikt nigdy ze mną sprawy nie wygrał. Pogódźmy się. Na zgodę przyniosłem wam ten kawałek mydła. A tu macie dwa złote, kupcie sobie co za nie do domu.

Położył na stole funtową kostkę mydła do prania, zawiniętą w gazetę, oraz srebrną dwuzłotówkę.

- Ja nie chcę żadnego mydła - zaprotestował gospodarz. - Wyżyję bez cudzej łaski. Nie było jej dotąd, obszedłem się bez niej, obejdę się i dalej - odepchnął mydło po stole na znak odmowy w kierunku wójtowej piersi. - Ani pieniędzy nie będę brał od was - moneta również powędrowała w ślad za mydłem. - Po co mi to? Żyta sobie namiele - pokazał żarna - zrobię prażuchy, zjem. Zawsze będzie co do pyska włożyć. Po co mi pieniądze?

- Nie upierajcie się, Maściak - perswadował wójt. - Weźcie to, przyda się wam. Ja to przyniosłem tylko na znak zgody. Zapomnijmy nawzajem o tym zajściu w szynku i ani wy nie będziecie na mnie żadnego doniesienia do starostwa pisać, że się z wami źle obszedłem, ani ja żadnej skargi przeciwko wam nie wytoczę. Zabierzcie to mydło, Maściak. I te dwa złote.

- No, weź, kiedy ci pan wójt daje - namawiała żona.

- Widzicie? - wójt uczepił się Maściakowej jak deski ratunku. - Żona wasza rozsądna kobieta. Dlaczego mamy żyć w niezgodzie? Nic złego sobie nie zrobiliśmy. A to, co było złego, zapomnieliśmy. Weźcie to mydło, Maściakowa. Wyście dobra gospodyni, wy mydła za okno nie wyrzucicie. Przyda się wam, jak trzeba będzie mężowi uprać koszulę. I te dwa złote weźcie. Na papierosy dla męża.

Kobieta już, już ulegała namowom wójtowskim. Oczyma tylko jeszcze pytająco spoczęła na mężu, lecz spotkała się z jego wzrokiem twardym i upartym.

- Więc jak będzie, Maściak? - wójt wstał od stołu, wyciągnął raz jeszcze papierośnicę, dobył dwa papierosy, jednego dał gospodarzowi, drugiego włożył między zęby i zapalił. - Nie będziemy sobie pamiętali złości? Będziemy żyli ze sobą obaj w spokoju. Tak?

- Pan jest wójt, a ja dziad - odpowiedział Maściak.

- Co tam będziemy się o to spierali. To nieważne. Jesteśmy ludźmi, mieszkamy w jednej wsi, po co się mamy kłócić?

- Ja się nie kłóczę.

- No, to dobrze. Nie będziecie na mnie skargi wnosili do Żywca? Że się uniosłem i obraziłem was?

Chłop patrzył tępo w podłogę. Gość powtórzył pytanie. - Ja zapomnę o tej całej historii. I wy nie będziecie pisali na mnie skargi do Żywca. Co?

- No, powiedz - nalegała na męża żona.

- Nie będę pisał. Tylko weźcie sobie to mydło i te dwa złote. Ja tego nie chcę - wargi zwały się chłopu ściśle na znak uporu. Położył srebrniaka na mydle i wręczył wójtowi. Ten zrobił nieszczęśliwą minę.

- Ależ to nie ma żadnego znaczenia, Maściak - upewniał go z gestem zakłopotania. - Wyście honorny chłop, ja wiem. Mogłem być przynieść wódki albo piwa i pudełko papierosów, jak to gospodarz chodzi w odwiedziny do drugiego z poczęstunkiem. I pogadalibyśmy przy piwie. Ale już nie mam na to czasu, bo jestem zajęty sprawami gminnymi. Więc ja wam daję, Maściakowa, te dwa złote, kupcie mężowi ode mnie papierosów. I tak będzie, jak bym ja przyniósł poczęstunek dla męża. A ten kawałek mydła to znowu dla was prezent. Maściakowa. Jaka byłaby z was gospodyni, żeby się wam mydło na gospodarstwie nie przydało?

Korzystając z jej niemej aprobaty, złożył mydło i monetę na kamieniu żarnowym, po czym skwapliwie wyciągnął rękę do Maściaka.

- Zgoda, Maściak, między nami, tak?

- Tak - wydusił chłop, zmęczony mieleniem, pobity wójtowską wymową.

- Do widzenia - rozległo się w drzwiach. I wójta już nie było.

Z ulgą wracał do domu. Ileż wysiłku kosztowała go wizyta u Maściaków! Chwała Bogu, już ma to za sobą. Odetchnął z przyjemnością, zapalając za płotem trzeciego papierosa. Splunął w prawą garść i wytarł o kurtkę.

Po odejściu Franczaka Maściak oprzytomniał.

- Coś on w tym ma, że do mnie do domu przyszedł - głowił się. - I że tak natarczywie nalegał, aby do starostwa skargi na niego nie pisać. Trzeba było nie brać od niego ani tego mydła, ani tych dwóch złotych. Ja nie chciałem. Po coś przyjęła? Teraz może powiedziec, żeśmy łapówkę wzięli.

- Właśnie przeciwnie! - obruszyła się żona. - Jakby przyszło do czego, to mamy dowód, że on chciał nas łapówką przekupić.

- Niby tak - przyznał mąż. - Widocznie on się boi, abym o tym mydle do starostwa nie napisał. Plótl coś o obrażaniu, ale ja dobrze wiedziałem, o co mu szło. Przeląkł się od razu, jak tylko zacząłem o tym mówić u Habera. Przecież dlatego zaczął mnie prać po pysku, bo wyrznąłem mu prawdę o mydle dla biedaków. To znaczy, że wójt boi się, aby jego świństwa z mydłem nie doniosły się do Żywca. Ale ja go teraz za to trzymam za pysk. I zawsze mam drogę otwartą. Doniesienie mogę kiedy bądź zrobić.

- Jak to? Teraz, kiedy wzięliśmy mydło?

- Ja nie wziąłem. Ja nie chciałem wziąć - poprawił się. - Zresztą mydło możemy mu

oddać. I te dwa złote też. A te dwa papierosy, co mnie poczęstował nimi, jeszcze mogę mu odkupić. Na tyle mnie stać.

- Bartek, zlituj się - tłumaczyła mu żona - przecież jak on nam dał pół kilo mydła, to już nie można go donosić do starostwa, że mydło ukradł i rozdał swoim, a nie biedakom. Bo myśmy mydło dostali. Tak czy nie?

Zawahał się.

- A, to spryciarz! - syknął przez zęby.

- Tak czy nie? - nastawała Maściakowa.

- No, tak - przyznał po namyśle. - Zatkaną nam gębę funtem mydła.

- A więc już nie możesz na niego skargi pisać. W dodatku ręce sobie podaliście na zgodę. Tak czy nie?

- Tak.

- Trudno. Pogodziliście się. To tak, jakbyś przysiągł. Jak przyrzekłeś, musisz dotrzymać. Dziady jesteśmy, ale swój honor mamy. Dałeś rękę, musi być zgoda.

- Musi być.

Zabrali się z powrotem do mielenia żyta.

Kiedy Franczak przyszedł do domu po wizycie u Maściaka, usiadł przy stole i zamyślił się. Po niebie tłoczyły się grube chmury popielistego koloru. Może wreszcie spadnie śnieg? Wójt zaczął coś pisać w zeszycie. Siedział nad tym z kwadrans, nie szło mu łatwo, kreślił, poprawiał, pisał od nowa. Na klepisku stodoły tłuczono len. Zeszło się sześć kobiet, posiadały pod ścianą. Pomimo ogłuszającego, monotonnego huku języki babskie nie dały za wygraną; przy pracy w najlepsze odchodziły plotki. Później znad lejących paździerzy, ponad drewniany łoskot walących kijanek wzbil się chór zawodzących głosów. Niebawem kobiety dostały w jednej misce ziemniaki, w drugiej kapustę, omaszczoną skwarkami. Jadły, chlipiąc głośno i wcale nie przestając trajkotać. Przy akompaniamencie jazgotu swoich robotnic wójt ukończył pismo. Przeczytał je raz, drugi raz, uznał za dobre. Wyjął z szuflady arkusz papieru i pisał starannym, kaligraficznym charakterem:

*Do Starostwa Powiatowego  
w Żywcu.*

*Poufne.*

*Doszło do mojej prywatnej wiadomości, iż mieszkaniec gminy Jeleśnia, Bartłomiej Maściak, mieszkający w rzeczonyj gminie pod nrem 213, od dłuższego czasu zadaje się z elementami podejrzanymi na terenie tutejszej gminy zbiorowej i utrzymuje kontakt z osobami*

*zdradzającymi tendencje komunistyczne i poszukiwanymi przez organa policji. Szkodliwa działalność Bartłomieja Maściaka ujawnia się szczególnie przez rozpuszczanie fałszywych pogłosek, podważających zaufanie do urzędów i podrywających autorytet władz. Ze względu na to, iż moje informacje potwierdziły wywrotowy charakter podejrzanej roboty wyżej wymienionego Maściaka Bartłomieja, z obowiązku urzędowego oraz obywatelskiego poczuwam się do konieczności zwrócenia uwagi Starostwa na jego osobę.*

Franczak Józef  
wójt gminy zbiorowej Jeleśnia.

Zaadresował kopertę: „Do Jaśnie Wielmożnego Pana Starosty Powiatowego w Żywcu”. Dopisek z boku: „Poufne”.

„Odejdzie jutro z urzędu gminnego jako pismo urzędowe, polecane. Za recepisem” - pomyślał. Zatarł ręce, zapalił papierosa, wysuszył pismo, odczytał jeszcze raz, poprawił wyraźniej parę liter, przybił pieczętkę u dołu i u góry, włożył do koperty, opieczętował i zalepił. Był zadowolony ze swego dzieła. „Wziąłem chłopca na kiel - mrucał do siebie. - Zamknąłem mu pysk funtem mydła i dwoma złotymi. Przypuszczam, że nie napisze skargi do starostwa w sprawie mydła. Za głupi jest na to. Chyba żeby go Wojnar namówił. Ale my i do Wojnara się zabierzemy.”

Zaczął przechadzać się po izbie. Po chwili machnął lekceważąco ręką. „Gdyby nawet napisał doniesienie, to po tym liście będę miał argument w ręce. I Maściakowi, jako podejrzanemu, nikt nie uwierzy.”

- Napił się kieliszek wódki, poczuł przyptyw ulgi. Bądź co bądź, stała się rzecz poniżająca dla niego i przykra. Śmiertelny wróg przeproszał wroga, dla którego czuł pogardę. Przeczytał raz jeszcze brulion listu, zmiażdżył go w palcach i spalił nad popielniczką. Zemsta jest słodka.

„I taki żebrak odgraża mi się skargą. Taki śmieć!”

Jasiek Dziura nie wyjechał do Nowego Targu, jak sobie to zamierzył. Zeszedłszy przez Magórkę do Suchej, kręcił się po peronie. Miał jeszcze trzy godziny czasu do odjazdu. Zaczął rozmawiać z ludźmi ładującymi kłocę na stacji. Od słowa do słowa, zgodził się do pracy na rampie przy obróbce i ładowaniu drzewa. Właściciel składu sam ofiarował mu miejsce w swoim domu. Miał w ogrodzie małą willę drewnianą, którą latem wydzierżawiał letnikom, a która w zimie stała pustką. Dowiedziawszy się, że młodzieniec obznajmiony jest z pracą tartaczną, przyjął go chętnie, proponując mu na mieszkanie kuchnię w owej willi.

- Da mi pan dziesięć złotych na miesiąc za mieszkanie, a drzewa będzie pan sobie tyle palił, ile pan zechce.

Już nazajutrz Jasiak pracował przy drzewie. Było mu to na rękę, iż nie potrzebował nazwiska swojego podawać do wiadomości władz, bo pracodawca wymówił sobie, że go nie myśli ubezpieczać (nie chcąc płacić stawek). Gdyby go kto pytał, ma powiedzieć, że jest dopiero od dwóch dni w pracy, jako przyjęty na razie na próbę.

W sobotę otrzymał wypłatę tygodniową - dwadzieścia cztery złote. To niezła płaca. Czyby się tu nie można było ustabilizować? Wszak tu inny powiat, trzy mile od Jeleśni. Chyba go nikt nie wysledzi. Nikt na niego nie zwróci uwagi, zatarg z policją zatrze się i wszystko znowu będzie dobrze.

„Wszystko będzie dobrze”, pocieszał się idąc niedzielnego ranka na Głuchaczki. Porozmawia ze swoimi, zobaczy się ze Ślepkim, z Juraszkim, dowie się, co słyhać. Może Witkowski przestał się już wściekać?

Jeszcze tylko tydzień do świąt Bożego Narodzenia, a śniegu nie ma. Za to mróz chwycił dziś porządny. Biedny Ślepek, podarował chłopcu ciepłe, wełniane rękawiczki; dba o niego jak o syna. Trzeba mu choć było kupić paczkę fajkowego tytoniu.

Okna Zośki w Cichem Koszarawskim błyskały do bladego słońka, kiedy Jasiak przemykał się ku Głuchaczkom. Nie zajdzie do Zośki, mógłby go ktoś zobaczyć. Ile byłoby gadania! Witkowski zaraz zacząłby węszyć. I Zośka miałaby nieprzyjemności. Roztkliwił się nad pierwszymi pocałunkami, jakie ich złączyły w księżycową noc na drodze między Przyborowem a Koszarawą. „Gdyby nie to, że jestem włóczęgą i nie mogę żyć ciągle w jednym miejscu, ożeniłbym się z Zośką.” Dziewczyna wabiła go do siebie myślą, spojrzeniem, uśmiechem przez dystans bezśnieżnej, skutej mrozem ziemi.

W taki dzień jak dzisiaj gruba zwierzyna szaleje tam w górze. Na polanach, utopionych wśród gąszczów, rozlega się zapewne rechanie dzików. O świcie rozpoczynają się jelenie gody. Przeciągły ryk wzywający konkurentów do łani huczy potężnie po borze. Z czym można porównać rozkosz takich łowów? Polany zasłane rudą murawą, wielomilowe gąszcza jodeł i buków, dzikie poszycie wszelakiego krzewia, poszarpana rzeźba wąwozów, potoków i groni - oto ojczyzna Jana Dziury, od ziemi do połowy nieba sięgająca. Ach, chciałoby się tu wrócić!

Wyszedł z lasów Mędralowej, ogarnął wzrokiem znajomy kwadrat hali. U Juraszków kurzy się z komina. Dadzą mu zapewne obiad. Agnieszka lubiła Jaśka. Choć miała naturę oschłą, surową i usposobienie niemal męskie, zdawało mu się, jakoby żywiła ku niemu głębsze uczucie. Czemu, kiedy mówiła z nim, policzki jej pały rumieńcem? Czemu, kiedy

spojrzał na nią, opuszczała w dół oczy, zawstydzona jak nieletnie dziewczątko? Czemu, kiedy jeszcze mieszkał w ich chałupie, dawała mu lepiej jeść niż bratu i wyróżniała go na każdym kroku? Czemu, dawniej zaniedbana, nie umyta, nie uczesana, od pewnego czasu przywiązywała wagę do starannego ubioru i do przyjemniejszego wyglądu?

Ech, bzdury! Kury zawodzą na klepisku stodoły, jak gdyby to była wiosna. Drzwi od sieni uchylone, jakby to było lato. Jasiak wchodzi do izby. Od pieca trzaskającego jodłowymi polanami podbiega Władek.

- Jak się masz?

Przy stole siedzi Agnieszka z jakimś młodym parobkiem. Jasiak nie zna go. Dziewczyna uśmiecha się do nowego gościa, ale jej brat bierze go pod ramię i wyprowadza do sieni.

- Chodźmy do Ślepka - mówi półgłosem.

- Kto jest u was?

- Syn Chruściela z dołu. Oni tu mają łąki nad koszarem.

- Niedobrze, że mnie widział. Zna mnie?

- Czy ja wiem? Co go to obchodzi? Pogadamy sobie swobodniej u dziadka. Co ty tutaj robisz?

- Pracuję na stacji w Suchej. Już od tygodnia. Przy drzewie na rampie. Zarabiam nieźle: cztery złociaki na dzień. Tylko o tym nikomu nie mów. To tajemnica.

- U mnie gęba jak mur. Myślisz tam zostać?

- Jak się da, myślę zostać.

Ślepek, rozradowany, przyjął chłopca obiadem. W ubiegłym tygodniu miał u siebie wizytę strażnika granicznego, który szukał za bronią i przemytem. Nic nie znalazł oczywiście.

- To robota Witkowskiego - dowodził Juraszek. - Przywarował, aby nas uspić, aby wyglądało, że dał spokój. Pośle strażnika, aby wybadał sytuację pod pozorem szukania przemytu. Aż później któregoś dnia policjant zniemacka zagładnie do nas. Pomyśli sobie: Może właśnie teraz zastanę zbijaka?

- Więc jeszcze nie zapomniał o mnie? - śmiał się Jasiak, lecz ten śmiech brzmiał fałszywie.

- Nie znasz Witkowskiego - zakrakał Ślepek złowieszczo. - On cię nie zapomni. Cała wieś się z niego śmieje. Mówią: Dziura okradł złodzieja. O tym płótnie, wiesz?

- Wiem.

Zrobiło mu się trochę głupio. Więc Witkowski nadal za nim goni! Miał nadzieję, że przecież kiedyś uda mu się wrócić na Głuchaczki.



- Trudno, niech gonią. Nie złapią mnie.

- Ja też tak myślę - potwierdził z przekonaniem dziadek.

Rozgadali się na rozmaite tematy. W niespełna godzinę młodzieniec pożegnał się z nimi, wyłaząc na tyły chałup. Władek skoczył do domu, aby na wszelki wypadek zabawić swego gościa (podejrzał go jednak). Jasiak wsiąknął w las. Gdy tylko poczuł naokoło siebie drzewa, wrócił mu humor.

- Cała policja z Żywca może za mną gonić. Nie dam się. Czego oni chcą ode mnie?

Dzień prędko osnuwał się cieniem. „Nie dam się” - powtarzał sobie samotny wędrowiec leśny. W mroku schodził ku światłom stacji węzłowej w Suchej.

We wtorek przed południem, kiedy odbywało się ładowanie drzewa na wagony, przysłała po Jasiaka policja. W dwa dni po jego wizycie na Głuchaczkach zjawił się w składzie drzewa w Suchej Witkowski wraz z miejscowym policjantem.

- Czy tu pracuje Jan Dziura?

- Pracuje - odpowiedział właściciel i struchlał.

- Gdzie jest?

- Na rampie.

- Proszę nas zaprowadzić na rampę.

Jasiak odrywa ręce od kłoca i widzi dwóch policjantów: karabiny przewieszane przez ramię, długie ciemnogranatowe płaszcze, w połowie spięte pasem. U pasów rewolwery. Lśniące blaskiem guziki, wyczyszczone buty, czapki ze srebrzystym okuciem, groźne miny. Nie ulega wątpliwości: idą po niego. Krótka jak piorun myśl: uciec. Ale dokąd? Wszędzie przestrzeń otwarta: plac, kłocowisko, tory, parcele, pola. Ach, gdyby to było w lesie! A policjantów dwóch: każdy z nich ma karabin na ramieniu i rewolwer za pasem.

Opuścił ręce, czeka.

- Dzień dobry, panie Dziura - ironizuje Witkowski. - My po pana przyszliśmy.

- Bierzcie mnie - odpowiada spokojnie młodzieniec. - Chcecie mnie skuć?

- Po co? Nie będziesz chyba uciekał, Dziura, co? - powoli odpina futerał, wyjmując lśniący, naoliwiony rewolwer, bawi się nim, wodzi ręką po lufie. - Po co kajdanki? To wystarczy, gdybyś chciał uciekać. Wystarczy czy nie, panie Dziura?

- Wystarczy.

Wzięli go, tak jak stał, od roboty, od kłoców. Poszli z nim tylko do kancelarii, podjęli dla niego wypłatę w kwocie sześciu złotych. Witkowski odprowadził go do mieszkania, z którego Jasiak zabrał, co doń należało. Policjant nalegał: - Prędko, bo pociąg odchodzi. -

Zaledwie zdążyli kupić bilety. Jasiak musiał dać dwa złote na bilet dla siebie. Lokomotywa już gwizdała. Policjant suski żegnał ich z peronu. Odjechali. W pociągu usiłował Jasiak nawiązać rozmowę z konwojentem.

- Za co się pan tak na mnie wziął, panie Witkowski?

- Cicho bądź! - zgromił go policjant - Nie mam teraz z tobą nic do gadania. Pogadamy później. Ty mnie nie znasz, Dziura. Ale mnie jeszcze poznasz,

- Tak jest.

- Co: tak jest? - wrzasnął tamten groźnie, myśląc, że aresztant żartuje.

- Że jeszcze pana poznam.

Któż by nie znał Witkowskiego? To postrach Przyborowa i okolicy. Gdy on się do kogoś przypnie, wszyscy święci opuszczają ręce; taką opinię głosi o nim Turcula z Jeleśni, najlepiej poinformowana o wszystkich i o wszystkim.

Więc Jasiak Dziura jedzie do aresztu. Nareszcie marzenie Witkowskiego spełnione. Chłopiec patrzy przez okno na lesiste wzgórza Magórki, którymi dopiero przedwczoraj przemyczał w drodze na Głuchaczki. Wtedy jeszcze był wolny.

Wolność! Rozgląda się: w całym przedziale, zajmującym pół wagonu, nie ma poza nim nikogo. To lokalna linia Sucha-Żywiec, ruch jest minimalny, a zresztą ludzie niechętnie wsiadają do przedziału, w którym policjant eskortuje więźnia. Sześć rzędów ławek daremnie czeka na pasażerów.

Witkowski zapala papierosa, zaciąga się, puszcza z ulgą fontanny dymu. Nic nie mówi. Czasem spojrzy na krajobraz, by zorientować się, gdzie się znajduje. Owija kolana połami grubego płaszcza, wyjmuje gazetę z kieszeni, składa i czyta. Na wszelki wypadek karabin postawił w kącie, przed sobą, a futerał z rewolwerem przesunął po pasie z boku na przód.

Pociąg klekocze nieznośnie, przewala się z boku na bok, aż okna trzeszczą w ramach. Stacja Stryszawa. Przy zatrzymaniu parowóz szarpnął, wagony drgnęły, otwierają się drzwi od platformy. Zimno grudniowe zawiewa do przedziału, policjant wstaje, podchodzi ku drzwiom, zamyka. Drzwi nie chcą się zamknąć, trzaska nimi, klnie na porządki kolejowe, po czym wraca do gazety.

Nikt nie wsiadł, nikt nie wysiadł. Pociąg ruszył. Teraz będzie się wspinał do góry przez dwadzieścia minut do Huciska. Jasiak patrzył przez okno, jak ptak w klatce przez pręty spoglądający na wolność.

- Dokąd jedziemy? Do Żywca czy do Jeleśni? - zapytał.

- Dowiesz się, jak wysiądziemy - odburknął policjant.

Parowóz śwista, dyszy, ledwo ciągnie. Teraz idzie wśród lasu, za chwilę wyjdzie na rozległą halę. Później będzie wyrąb pokryty młodymi smreczkami, później na południowym wschodzie wyłoni się kosmaty łeb Mędralowej. A potem będzie można zobaczyć przez okno Cyl z uczepioną doń u dołu polaną Głuchaczek.

Tak Jasioł Dziura dostał się w ręce Witkowskiego. „Niech mnie gonia, nie złapią mnie” - powiedział wobec Ślepka i Juraszka. Kiedyż to było? Niedawno. Wszystkim obiecał, że go nie złapią. Czego oni chcą od niego? Chcą go zniszczyć. Wszyscy się uwzięli: policjant z Przyborowa, wójt z Jeleśni, handlarz ze Sporysza, parobcy z Sopotni. Uciekać!

Skąd Witkowski wiedział, że Jasioł jest w Suchej? Ktoś musiał go zdać. Może go kto poznał przy pracy na rampie? Może go ktoś śledził w drodze na Głuchaczki? Czyżby wypaplał ten parobek od Agnieszki? Wystarczyło, aby Turcula posłyszała jedno słowo, w mig dowiedziałyby się o tym cała parafia jeleśniańska.

Uciekać! Pociąg wspina się ciągle jeszcze przez las. Tu będzie połowa drogi ze Stryszawy do Huciska. Serpentydami wagony podjeżdżają w górę, parowóz płacze uciśnioną parą, sunie wolno, jakby nie mógł uciągnąć ciężaru. Przecież wagony prawie puste!

Jasioł patrzy na krajobraz, na gołe buki, na pokład listowia koloru zaschniętej krwi, na ciemnozielone smreki, ojczyznę jego młodości. „Smreki to moi bracia” - zwykł był mawiać. Oczy mu się rozszerzają. Wolność! Patrzy na Witkowskiego, policjant czyta gazetę, drugą rękę włożył do kieszeni od płaszcza; rewolwer na pępku. Pociąg wlecze się powoli, ach, jak powoli, ledwie dyszy, tak jakby umyślnie dawał aresztantowi czas do decyzji, jakby mu ciągle jeszcze pozostawiał nadzieję. Zepsuta klamka od nie domykających się drzwi hałasuje, stuka, jakby się ktoś z platformy dobijał do wnętrza. To ziemia, kołami odwalana w bok od szyn, upomina się o swojego człowieka. Tak jego serce właśnie tłucze się w piersiach, serce tęskniące za swobodą.

A w więzieniu już klamka na dobre zamknie się za tobą, Jasiu. Przyciemniało, pociąg wjechał w korytarz wycięty wśród napierającego lasu. Wagony biegną obok prostopadłej ściany drzew, gałęzie świerków tuż, tuż koło okna, prawie muskają szybę. To las woła cię, Jaśku. Drzewa tęsknią za tobą. To drzwi zapraszają cię do wyjścia.

Porwał się jak błyskawica, odbił rękami od przeciwległej ławki, jednym skokiem był przy drzwiach, szarpnął klamkę, kopnął, drzwi. Odskoczyły, chłopiec potężnym susem hipnął z platformy. Wpadł, skulony jak piłka, ale przytomnie jak kot: na ręce i nogi. Buchnął w trawę oszołomiony. Leżał przez chwilę w zgniózielonej szkarpie. Przed oczami migały mu wagony, jeden za drugim, jeden za drugim. Dziwne, że tak prędko pędzą. Gdy siedział we wnętrzu, zdawało mu się, że pociąg niemal się wlecze, a teraz ucieka zawrotnie szybko.

Wstał. Poczł się silny i zdrowy. Dlaczego policjant nie strzelał za nim? Pewnie zgłupiał. Z radością popatrzył na mknący w przesiece pociąg. Uciekać! A nuż Witkowski zerwie sygnał alarmowy i zatrzyma lokomotywę?

Tym lasem ku stokom Mędralowej! Prosto na wschód. W biegu rozmyślał: „Pociąg stanie w Hucisku, Witkowski zejdzie na stację, zatelefonuje do Jeleśni, zorganizuje pościg”. Sam roześmiał się do tej myśli.

„Policjant mnie w lesie nie znajdzie.”

Poczucie wolności dodawało mu skrzydeł. Wpakował się W wąską dolinę, nie mógł się z niej wydrapać, czepiał się palcami wystających korzeni. Tu hulał na wiosnę strumień. Na dnie sterczały barykady nagromadzonych kamieni, pniaków i gałęzi.

Wybrnął, pomagając sobie przekleństwami. Więc policja nie pozwoli mu zostać porządnym człowiekiem. Przeganiają go z miejsca na miejsce. Będą ścigali go jak zbrodniarza. Dokąd pójdzie teraz, tropiony i szczuty? Skryje się w swojej jamie na Cyłu.

Długo przebijał się przez lasy Mędralowej. Znów zabrnął w gąszcz młodych smreczków, nie mógł z nich wyleźć, wbijał się między gałęzie jak w żywy mur. Ciężko puszczały, trudno było zawracać, parł naprzód. Nareszcie wyszedł ze schłostaną, podrapaną twarzą. Zdawało się, że nie ma końca tej ucieczki. Jak długo już idzie? Niebo szarzało, wiodło, nadchodził szybki zimowy zmierzch. Brał silny mróz.

„Nie dojdę do dziury przed nocą. Nie wydrapię się na Cyl w ciemności. Zejdę na noc do Zoški.”

Cienie wypełzły powoli zza drzew, omroczyło się. Im bardziej świat czerniał, tym więcej wzmagalo się nasilenie mrozu.

Koszarawa! Koszarawa! Ta wieś będzie schronieniem zbiega. Ale tylko na dzisiejszą noc. Wyprą go stamtąd precz, gdy tylko ślad poczują. Skradał się wolno, ostrożnie pomiędzy krzakami. Wyrósł jak spod ziemi przed chałupą. Zoška szła właśnie z latarnią do krów. Poznała go z dala od razu. Wiedziona nieomylnym kobiecym instynktem, zapytała:

- Gonia cię?
- Uciekłem policjantowi z pociągu. Przenocuj mnie w stajni. Jutro rano pójdę stąd.
- Chodź. Dam ci coś zjeść.
- Kto u was w domu?
- Nikogo nie ma. Matka.

Głaskała go po twarzy, czerwonej, zziębniętej, twardej. Schylił się matce do rąk; nie pozwoliła się pocałować.

- Cóżes znów nabroił? Czego chcą od ciebie?

- Nic im nie zrobiłem. Pobiłem wójta w Jeleśni, bo skopał nogami jakiegoś biedaka w karczmie. Nawet nie znam tego chłopca, za którym się ująłem.

- Słyszałam. Szeroko o tobie mowa idzie. Maściak się nazywa ten chłop; taki jeleśniański dziadyga. Źeś ty też taki prędki do bitki! To cię zgubi.

- Co komu pisane, to go nie minie - uśmiechnął się gorzko.

- I za to cię chcą brać do aresztu?

- Potem miałem jeszcze taką historię z płótnem. Mówiłem o tym Zośce.

- Jak się ten pies, Witkowski, na kogo rozeźli - kiwała głową stara - to przypadło. Ilu on ludzi uczciwych do kryminału zaprowadził! Mojemu siostrzeńcowi w Koszarawie, co mieszka pod tartakiem, dwa zęby wybił, jak go lunał w pysk. Za co? Że mu się na czas nie usunął z drogi, gdy jechał rowerem.

- On tu może będzie za mną szukał jutro u was.

- Niech szuka - zachnęła się z zawziętą determinacją.

Posilił się, Zośka poszła mu pościelić na górze w sianie, nad oborą.

- Od krów będzie ci ciepło - persadowała Maślina. - Zagrzeb się w sianie. Masz dwa koce.

Wyszła razem z nim po ciemku, pokazała mu posłanie. Chciała dopilnować córki, aby nie pozostała sama z chłopcem.

- Chodźmy. Wyśpij się, Jasiek. Wstaniesz wcześniej, czy będziesz spał dłużej?

- Rano mnie tu nie będzie. Kiedy chcesz iść?

- Skoro świt.

- Mróz straszny - jęknęła.

Machnął ręką.

- Zośka! Przynies pół chleba i kawałek słoniny.

Dziewczyna oddaliła się. Jasiek poderwał się za nią. - Zapomniałem czapki w izbie - usprawiedliwiał się w przejściu przed wdową. Jak ciężko uwolnić się od nałogu! Kobiety ciągną bardziej ku sobie niż złoto, zwłaszcza tych, którym obce jest bałwochwalstwo pieniądza. Spotkał się z Zośką w sieni domu. Przyłgnęli do siebie ustami. Nie chciała go puścić. - Zostań u nas - prosiła. - Ukryjemy cię.

- Nie mogę.

- Dokąd pójdziesz? Tu pewniejsza kryjówka niż u Ślepka.

- Idę dalej niż do Ślepka.

- Gdzie?

- Daleko.

Wodziła palcami z miłością po jego policzkach naokoło oczu; to miejsce najbardziej kochała w jego twarzy. Odsunął ją od siebie delikatnie, lecz stanowczo.

- Idź już. Matka będzie zła.

Wybiegła. Pokręcił się po sieni, z kieszeni wyjął kaszkiet, nałożył na głowę. Na klepisku stodoły pożegnał się z obu kobietami, wylazł po drabinie nad stajnię.

- Dobranoc wam.

- Dobranoc, Jasiek.

Ciężko wstał ponury dzień zimowy. Kiedy Zośka wbiegała do stodoły, będącej w połowie stajnią, wiedziała już, że Jaśka nie ma. Rozglądała się po kocach odrzuconych bezładnie na sianie; jeszcze bił z nich rozgrzany dech żywego ciała, które tu spoczywało. Osłabła od wzruszenia, osunęła się na posłanie. Tu leżał niedawno jej najmilszy; mężczyzna, którego kochała z całej siły. Już nikogo nie będzie tak bardzo miłowała w życiu. Przejmowało ją technienie Jaśkowe, bijące z wygniecionego gniazda, pieczęć jego fizycznej bytności. Nie był śmigły jak smrek, nie był urodziwy, elegancki, ani bogaty jak królewicz z bajki. Zjawiał się cichaczem, po kryjomu, skradając się z lasu, zgoniony, z nieśmiałym uśmiechem, jak gdyby niepewny, czy go przyjmą.

Wstała, zabrała koce i poduszkę. Schodziła powoli ze szczebli drabiny; z wyżyn tkliwości i uczucia na uklepaną ziemię powszedniego dnia i codziennej roboty. Matka ze skopcem wchodziła do obory.

- Poszedł już?

- Poszedł.

- Biedny chłopak. Żeby był spokojnie siedział na miejscu, to by mu było dobrze. Ale w nim już taka krew.

Chłopak dochodził właśnie do swej jamy. Dziś nocą odwiedzi Głuchaczki, zostawi Ślepkowi dwie dziesiątki, niech mu napieką chleba i kupią słoniny. Będzie tym żył z miesiąc. Za miesiąc wybierze się po nowy prowiant. Martwiły go trochę ślady, jakie wyciśnie w śniegu, ale na razie szkoda się tym przejmować. Będzie się gryzł, gdy spadnie śnieg.

Gawra chowała swoje ciepło. „Przyniosę sobie od Ślepka koc, którym się okrywałem.”

- Porachował swoje oszczędności. Miał osiemdziesiąt dziewięć złotych. Z tym na pewno przetrzyma. Z wiosną przejdzie na Orawę, a stamtąd do Nowego Targu; tam znajdzie robotę. A jak nie tam, to w Zakopanem.

Wieczorem schodził z Cyłu ku Głuchaczkom. Miał złe przeczucia. Zdawało mu się parę razy, jak gdyby zjawa Witkowskiego czaiła się wśród smreków. Przywołał się szybko do

przytomności: „Tędy nikt nie pójdzie w nocy, kto dobrze nie zna lasu. A ten las znam tylko ja i Juraszek. I Ślepek”.

Grudzień, ziąb lodowaty, a śniegu nie ma. Może by mróz zelżał przy opadzie. Tyle że w lesie tak nie dmucha. Chyba jest jedynym człowiekiem, który o tej porze w mroźną noc ugania po lasach. I to po jakich lasach! Czuje się wyprany z wszelkiego uczucia strachu jak zwierz, tak samo otrząskany z ciemnością, tak samo wszystkimi zmysłami zjednoczony z przyrodą, czujny w samotności.

Raźno wyszedł na polanę oświetloną księżycem. Trzykrotnie zapukał do okna Ślepka. Stary zerwał się prędko z łóżka, przylepił twarz do szyby, zaczął stękać: „Jasiek, Jasiek!” Otworzył drzwi i w progu przywitał go:

- Policja była tu dzisiaj.
- Szukali mnie - chłodno odezwał się Dziura.
- Rewizję miałem. Do sądu mnie podali.
- Kto był? Witkowski?
- Witkowski.

- Sam?

- Sam.

- Uciekłem mu z pociągu. Aż w Suchej mnie drań złapał. Ktoś mnie musiał zdać.

- Wściki był. Przyszedł o wschodzie słońca.

- Myślał, że mnie tu zastanie.

- Nikt przecież nie czeka w sieni na policjanta, aż przyjdzie. Trochę czasu musi upłynąć, zanim człowiek wdzieje coś na siebie - przecież to zima - zanim wyjdzie do sieni, odeprze drąg. A on bije w drzwi pięściami, przysadził się całym ciężarem raz, drugi raz, myślał, że rozwali wrota. Drąg nie puścił. Rozeźlił się na to, poleciał do okna, rozbił kolbą od karabinu, ramę wyłamał; tak mu się śpieszyło. Maryśka aż spazmów ze strachu dostała.

- Bał się, że ucieknę za ten czas, zanim wy mu będziecie drzwi otwierali. Dlatego tak naglił.

- Cholera, nie chłop! Krzyczał, że bandytę przechowuję, że on to gniazdo złodziei i bandytów rozkurzy na cztery strony świata.

- Niech się tak nie szarpie. Wścika się, bo nie może przeżyć hańby, że mu uciekłem spod karabinu i rewolweru. On mnie jeszcze poszuka. Dziadku, znacie Gajdową Polanę?

- Znam. Tam Juraszek ma siano.

- Myślę, że będzie lepiej, gdy mi tam przyniesiecie prowiant, bo sam nie chcę schodzić do was, aby wam nie nawarzyć piwa. A nuż policja będzie zaczajona? Zostawiam wam

dwadzieścia złotych, kupcie za to jedzenia. Tu są osobno trzy złote na setkę papierosów. Co dzisiaj mamy?

- Środę. A właściwie już czwartek, bo północ przeszła.

- W sobotę będę czekał na Gajdowej Polanie. - W sobotę jest wilia.

- Wilia? - zdziwił się Jasiak. - To już święta?

- Już święta - westchnął starzec. - Na co ci to przyszło? Świętować w gawrze.

Przyjdziemy razem z Juraszkiem w piątek koło południa.

- Dobrze. Bądźcie na Polanie, tam gdzie potok spada z Gajdowego Wierchu, pod złamanymi jodłami. W południe będę krzyczał jak wrona trzy razy; odpowiecie mi tak samo. Biorę sobie koc, co się nim odziewałem. Co z Leonem?

- Ślad zaginął. Starego Tramka puścili do domu do czasu rozprawy. Mnie Witkowski zapowiedział, że będę miał sprawę w sądzie. Wszystko o to płótno.

Rozmawiali z sobą jeszcze z godzinę o wójcie Franczaku, o Witkowskim, o ucieczce z pociągu. Jasiak zjadł ziemniaki z kwaśnicą, tkwiły w nich resztki ciepła. Zabrał bochenek chleba, garnuszek smalca, zawiniątko sera.

- Biedaku, jak ty się poniewierasz!

- Ja przyzwyczajony od dziecka do niewygody. Za czasów pasterskich co roku zimowałem w innej wsi.

- Ale w górze ciężka zima.

- Przetrzymam.

- Gdyby choć śnieg upadł, pofolgowałoby zimno. Oby ci Bóg dał dobrą porę do przetrwania!

- Bóg się na mnie obraził, dziadku.

Przemykał jak wilk wysokopiennym lasem. Chwycił porządny mróz. Księżyc lodowaty, jasny oświetlał trawę na polanach, ściętą siwym szronem. Na kopie przeciwległej Pilska błyszczał śnieg w poświacie jak szkło. Góra odcinała się srebrzyście na tle nieba. Ach, gdyby to było w lecie! Jasiak byłby królem tych borów!

A tymczasem niespodziewanie nadeszły święta. Jaś z Głuchaczek będzie obchodził je w ziemiance.

W piątkowe południe odwiedzili Jaśka na nowym mieszkaniu obaj przyjaciele, stary i młody. Przybyli nad Gajdowy Potok, obładowani prowiantem, zwołali się krakaniem wronim. Jasiak zaprowadził ich do Piekła.

- W razie czego powinniście wiedzieć, gdzie mnie szukać.



Nie bardzo rozumieli, co to znaczy „w razie czego”, ale szli. Prowadził ich skrótami sobie tylko znanymi: lasem jodłowym, później karłowatymi bukami, potem znów jodłami wśród splątanych korzeni i omszałych, gnijących pni. Przebijali się przez gęsty szpilkowy młodniak, ciągle trzymając się kierunku: w górę na wschód. Było ostre, dojmujące zimno. Czuba cyłońska spała nad nimi w głębokim śniegu.

- Tymi świerkami wychodzi się na Małą Babią. Później ścieżka wchodzi w kosodrzewinę. A do mojego domu trzeba przeleźć Potok Cyłoński i na lewo. Do Piekła.

Uśmiechnęli się wszyscy trzej.

- Od tego głazu w dół - objaśniał. - Niżej wąwóz się rozszerza i tam go nazywają Borsuczym Jarem.

- Tak, to jest Piekło - potwierdził stary.

Nad brzegiem wąwozu gruby smrek. Na korze ma dwa nacięcia na krzyż. W dole, na dnie parowu obok siebie dwa kamienie. W ścianach wąwozu miejscami wychodzi naga skała. O pięćdziesiąt kroków stąd w górę - Jaškowa jama.

- To tu.

Gęstwa zeschniętych krzaków, płatanina badyli. Kamień zatoczony przy wejściu. Wehód zawalony od góry zbutwiałym pniakiem. Wczołgali się. Rozprostowali się w pieczarze. Władek wyciągnął nawet z kieszeni lampkę naftową.

- A tu masz litr nafty - zaśmiał się, podając mu flaszkę.

Wyładował z plecaka prowiant.

- Ha, ha! - zaświeciły się oczy Jaškowi. - Teraz mogę gwizdać przez miesiąc na Witkowskiego! Niech go szlag trafi! Jakie nowiny?

- Aresztowano młodego Tramka.

Jaškowi zrzęda mina:

- Leona? Znalazł się?

- Przyszedł wczoraj wieczorem do domu ukradkiem, bo mu tęskno było za żoną i dziećmi. Może chciał spędzić z nimi święta, a może myślał, że się wszystko uspokoiło, że Witkowski zapomni i da spokój. Dość na tym, że w nocy spał w chałupie. Raniutko, prawie do dnia, policjant zjawia się u nich

- To cholera, teraz nauczył się wczas wstawać.

- Jak on to wywąchał? Puka do okna, Tramek w łóżku. Żona mdleje, dzieci płaczą, krzyku co niemiara. Witkowski zabrał go ze sobą, wybierał się z nim do Żywca, było już późno na pociąg, nikt nie chciał dać fury na stację, każdy się wymawiał robotą. Policjant pienieł się ze złości. Nareszcie wpadł na pomysł. Powiada tak: „Tramek, ja was zamknę u

siebie na posterunku, a jutro rano o dziesiątej pojedziemy do Żywca. Niech wam żona przyniesie coś do zjedzenia, a na noc poduszkę i koc; prześpicie się u mnie". I tak zrobił. Od rana siedzi Tramek w kancelarii u Witkowskiego, Karakon nie odstępuje go na krok, nawet do wychodka z nim chodzi.

Władek uzupełnił relację Śleпка: - Podobno kiedy go Witkowski prowadził, dwa razy próbowali go chłopcy odbić. Wtedy zdjął z ramienia karabin i zagroził, że będzie strzelał.

- Idę z wami - poderwał się nagle z choin Jasiak

- Po co? - uśmiechnął się Ślepek. - Jakiś ci tyle prowiantu nanieśli?

- Zejdę do Przyborowa.

- Czyś ty zwariował? - wybuchnął stary, widząc, że młodzieniec nie żartuje.

- Nie. Odbiję Tramka.

- Jasiak, nie wyzywaj licha! Co w tobie siedzi? Dopieroś uciekł sprzed nosa Witkowskiemu, będziesz mu znowu w pysk lażał?

- Powiedziałem, że odbiję Tramka. Ja mam swoje porachunki z Witkowskim. On mnie z domu wygnał, on ze mnie zbója zrobił.

W świetle naftowego kaganka zobaczyli twarz Jaśka, zmienioną, uduchowioną, jakby natchnioną. I w twarzy dwoje oczu błyszczących niesamowitym blaskiem.

- Chodźmy - rzekł.

Bez słowa podnieśli się i ruszyli. Nie mówili już nic o Tramku. Opowiadali sobie nowiny ze wsi; z braku śniegu wróżyli o przyszłych urodzajach. W trzy kwadransy zbiegli na Głuchaczki. Niepoczyszony Ślepek patrzył od studni na ołowiany zmierzch, wciągał powietrze w nozdrza.

- Mróz coś zelżał. Śnieg upadnie, czuję to. Pan Jezus łaskaw na nas. I na ciebie, chłopcze.

- Pan Jezus gniewa się na mnie, powiedziałem wam już, dziadku - odezwał się posepnie Jaś, niktając im z oczu.

Nic nie chciał od Tramkowej, jedynie potwierdzenia wiadomości. Tak, mąż siedzi od samego rana na posterunku. Zaniósł mu obiad oraz dwa koce i poduszkę. Jutro rano na dziewiątą mają jechać furą do stacji do Jeleśni, a stamtąd do Żywca.

- Jutro wilia. Na święta go aresztowali! Czego oni chcą od niego? - załamywała ręce, lamentując.

- Nie bójcie się - rzekł Jasiak - Leon będzie świętował na wolności.

Nie zrozumiała go. Płakała dalej. Był głuchy, smutny wieczór. Jasiak okrążył z daleka

dom Witkowskiego. Znał dobrze rozkład mieszkania z poprzedniej wyprawy po płótno. Tramek zapewne zamknięty jest na klucz w kancelarii. Posterunkowy bałby się spać razem z aresztantem, aby ten nie splatał mu w nocy jakiego figla. Będzie więc spał, jak zwykle, z żoną po drugiej stronie sieni. Po dokonaniu oględzin terenu Jasiak wrócił do Tramkowej.

- Kolację zanieśliście mężowi?

- Zaniósłam.

- Dawno?

- Z godzinę temu.

- Daliście mu co na drogę?

- Dam jutro rano.

- Dziś zanieście mu pół chleba i kawał słoniny.

- Mówił, aby mu przygotować koszulę ciepłą i kalesony.

- Tak zróbcie, jak ja mówię - nakazał. - Macie zapakować koszulę i gacie, dalej, macie ukroić pół bochenka chleba i zanieść to wraz ze słoniną do kancelarii. Poproście Witkowskiego, że chcecie sami to wręczyć mężowi. Jeśli policjant będzie obecny przy waszej rozmowie, dajcie jakoś znać mężowi, może na migi, by jeszcze dziś sobie chleb na kromki pokrajał. Powiedzcie mu: „To chleb z Sidziny”, on już będzie wiedział. Jeśli nie będzie Witkowskiego przy was, szepnijcie na ucho mężowi, że w chlebie jest kartka, a w niej napisane, co ma robić. Pamiętacie?

- Pamiętam - odpowiedziała bezwolnie.

- Nic się nie bójcie. Nic wam nie będzie. Wy nie wiecie o niczym.

Usiadł i pisał ołówkiem wielkimi literami na świstku papieru: „Zapukam trzy razy w okno. Gotuj się. Gdy usłyszysz brzęk szyb rozbijanych, wrywaj przez okno w góry do wujka. Nic ci nie grozi. Ja idę za tobą”. Zwinął papierek na kształt cienkiej trzaseczki, wsunął głęboko w ośrodkę, zalepił otwór miększym nie do poznania.

- Idźcie. Ja tu poczekam na was. Gdyby nie było Witkowskiego przy waszej rozmowie, powiedzcie mu po prostu od razu to, co jest napisane na kartce: że za godzinę przyjdę, zapukam trzy razy w okno kancelarii na znak, aby się gotował do ucieczki. Rozbiję okno u policjanta i będę udawał włamanie. Za ten czas Leon niech drapnie przez okno na Głuchaczki. Do Ślepka. Ja go tam dopędzę. Gdyby was ktoś o co pytał, pamiętajcie: wy nie wiecie o niczym.

Poszła. Czekał na nią w domu. Wróciła za pół godziny.

- Jak tam?

- Witkowski był cały czas ze mną przy rozmowie. Ale mąż dorozumiał się czegoś.

Mrugałam na niego: „To chleb ze Sidziny. Dobry - powiadam. - Kraj i jedz. Zaraz kraj”. Domyślił się, bo do mnie mrugnął. I takeśmy się rozeszli.

Zaczęła płakać.

- Nie płaczcie. Wszystko będzie w porządku. Gdzie będzie spał mąż?

- W kancelarii.

- Sam?

- Sam. Już mu pościeliłam.

- Połóżcie się spać. Dobrze będzie.

Podał jej rękę, opuścił dom w ciemności. Jak zjawa przechodził przez miedze, obszedł chatę policjanta. Krążył jak sęp koło padliny. Świeciło się tylko w pokoju Witkowskiego. Kancelaria była ciemna. Księżyc właśnie wzeszedł. Mróz był mniejszy niż w inne noce. „Może spadnie śnieg nareszcie” - wdychał woń powietrza tchnącego wilgocią przyszłego opadu.

Witkowski miał złego pieska, który stale nocował w kuchni. Mały, zjadliwy kundel. Ale jak się okazało już poprzednio, odznaczał się słabym węchem, oddając się kuracji tuczającej i nie wydalając się poza obręb ciepłego pieca. Może więc nie zepsuje ułożonego planu. Jaś wytyczył sobie drogę ucieczki. Najkrócej, najprościej: w zagajnik i wzdłuż potoku do góry. Później nabieć na Gajkę.

„Żeby tylko Leon zdążył wyskoczyć. Mnie Witkowski po nocy łapał nie będzie. Uciekłem mu w biały dzień, w nocy potrafię to jeszcze lepiej”.

Cisza we wsi panowała zupełna. Czasem zaszczekał pies. Mrok był przesycony wilgocią, a ziąb łagodny, pozbawiony wiatru. Rzeczywiście od Orawy szedł śnieg. W pokoju Witkowskiego ciągle świeciło się.

„Dlaczego on nie idzie spać? Może radia słucha?” Podszedł bliżej. Bał się podsuwać ku oknu, aby go pies przedwcześnie nie poczuł. Z odległości dwudziestu metrów zobaczył, że światło w lampie jest lekko przykręcone, a Witkowskiego nie ma przy stole.

„Śpi, na pewno śpi - pomyślał. - Będzie świecił lampę przez całą noc na znak, że czuwa”.

Obszedł chałupę z boku. „To spryciarz! Zamknął okiennice od kancelarii, aby Tramkowi odciąć ucieczkę albo porozumienie. Ale ja mu otworzę”.

Śmiało przystąpił do jedynego okna w kancelarii, otworzył okiennice, jedna trochę zaskrzypiała, lecz żadnej reakcji w mieszkaniu nie było. Ukazała się twarz Leona, przylepiona do szyby. Jasiak dał mu znak ręką, aby otworzył sobie okno i wyskoczył, a sam pobiegł na drugą stronę domu.

Rozległ się alarm psi. Dziura chwycił za otwarte okiennice oświetlonego okna, zaczął je wyłamywać z zawiasów. Pies szczekał coraz głośniejsze. Ktoś zerwał się z łóżka, zdmuchnął lampę, rozległ się w głębi brzęk szyby rozbitej. „Tramek ucieka”, przemknęło przez mózg Jaśka. Policjant stukał butami, ryczał coś, żona jego piszczała, pies chrypl od ujadania, nocny włamywacz walił w szyby w pokoju. Brzęk szkła, skrzyp otwieranych drzwi - i Jasiek jednym susem był za chałupą. W świetle księżycy dojrzał, jak przez zagony sadzi skokami wysoka postać Tramka. Gwizdnął nań. Zbiegli się razem tuż przy zagajniku.

Dwa strzały, jeden po drugim, przeszły powietrze. A po nich rozległ się śmiech.

- Możesz nam nastrzelać do tyłka!

Darli szybko w górę potokiem. Nie obejrżeli się w dół aż po kwadransie, kiedy minęli las, osiągnąwszy górny Przyborów. Zgrzali się, zaczynał padać śnieg.

- Ho, ho! Jutro tu będzie białe. Nawet śladów Witkowski po nas nie zobaczy. Zwolnijmy. Już teraz nam nic nie robi.

Odetchnęli. - Znalazłeś kartkę w chlebie?

- Znalazłem. Pokrajałem chleb scyzorykiem na kromki. Musiałem zapalkę świecić, bo mi lampę zabrał, a okno zaparł okiennicą od pola.

- Nie spałeś, jak podszedłem pod okno?

- Nie spałem. Co będzie z żoną?

- Co ci o żonę? Jesteś wolny. Żonie nic nie będzie. Powiedziałem jej, jak ma mówić. Ona nie wie o niczym. Zabrałaś bieliznę?

- Przecież nie zostawię Witkowskiemu.

- Przyda ci się. Wstąpimy na chwilę do Ślepka, a później pójdiesz ze mną.

- Dokąd?

- Zobaczysz. Chcieli z nas zrobić zbójów, będą ich mieli.

Śnieg padał coraz gęstszy. Siekl tak obficie, że o mały włos nie zabłądzili; zamiast na Głuchaczki, wyszliby na Ciche Koszarawskie.

Ślepek miał dość wrażeń w tym tygodniu, nie ma co.

- Wujku, dajcie mi koc, bo zmarznę w górze - prosił Tramek, gdy mu już stary upakował zawiniątko. - Odbierzecie sobie mój od żony.

- Pamiętajcie: nic nie wiecie o nas - upominał Jasiek. - Kamień w wodę.

- Żeby mnie pod topór brali, ode mnie się nic nie dowiedzą - zaparł się twardo Ślepek. - Zostańcie chwilę, przekąsicie coś. Jutro jest wilia, a wy na taki święty dzień musicie się tulać w śniegawicy! - zatrząsł się od wewnętrznego oburzenia.

Zaszklily mu się oczy, kiedy przystąpił do nich z opłatkiem.

- Jutro będziecie sami obchodzili wilię. Życzę wam, abyście jak najprędzej wrócili do domu. Abym doczekał się szczęśliwie chwili, kiedy będziecie na swoim gospodarstwie żyli w pokoju i bez zmartwień. Niech wam Bóg błogosławi!

- Dziadku, po raz trzeci wam mówię: Bóg się na nas pogniewał. Bóg stoi po stronie Witkowskiego. A tak chciałem spędzić z wami święta. Wyście mi jak ojciec. On mnie oderwał od was: Witkowski. Co ja mu zrobiłem?

Ucałowali się ze wzruszającą tklivością, zaczęli jeść gorączkowo zupę fasolową, przegryzając chlebem. Jasiak naglił do pośpiechu.

- Będę spokojniejszy, gdy znajdę się w drodze.

Wzięli dwa tobołki na plecy i wyszli w czarność pojaśnioną śniegiem. W lesie nie odczuwało się wcale zimna.

- Chwała Bogu, zasypie nam ślady. Zapamiętaj sobie, jak idziemy. Znają ten chód tylko Juraszek i Ślepek. I nikt więcej nie śmie go znać.

- Daleko jeszcze?

- Zobaczysz.

Zapalili papierosy.

- Tak to, bracie, na święta musimy się tułać.

- Niech się tułam, ale będę na wolności. Nie pójdę do kryminału.

- Nie dali nam żyć w domu, będziemy żyli w ziemi.

Za godzinę siedzieli w gawrze w obłoku tytoniowego dymu. Ułożyli się w kącie, suto wyścielonym choiną, przykryli się kocami, rozmawiając w niezmiennej ciemności pieczary. Wzruszenie przygody nie dało im spać. Rozprawiali długo, aż się znużyli. Jasiak wstał.

- Jak myślisz? Czy jest jeszcze noc?

- Popatrz.

Chłopiec podczołgał się na czworakach do wyjścia, odsuwając gałęzie oraz umyślnie założony kawałek zbutwiałego pnia. Między kamieniem zajaśniała biała szczelina.

- Tramek! - krzyknął. - To już dzień! Białe na świecie! Śniegu naprało! Zasypie nas po dach!

- Dzisiaj wilia - rzekł ponuro Tramek.

- Tak. Święta spędzimy w ziemi. Teraz będę spał.

Runął na barłóg i usnął, ciężki od zmęczenia.

Przez cały dzień wigilijny padał śnieg. W pierwsze święto stajął, a nazajutrz było tak ciepło, że można było chodzić w rozpiętym ubraniu. W Przyborowie huczało. Wszyscy mówili tylko o jednym człowieku: o Jaśku z Głuchaczek.

- Uciekł policji z pociągu. Wieźli go do Żywca ze Suchej w kajdanach, rewolwer przy skroni, pociąg w największym pędzie. A on roztracił policjantów nogami, szarpnął kajdanami, wyłamał i buch przez okno! Rozbił okno, wpadł w las. Tyle go widzieli. Pociąg zatrzymali, ale śladu po zbiegu nie zostało.

- I z lasu zeszedł na dół, aby odbić z posterunku młodego Tramka. Poszedł z gołymi rękami. Otworzył okno Tramkowi, wszedł do pokoju. Witkowski łapie za rewolwer. Jasiek nic. Wypuścił Tramka i uciekł. Ile się za nim nastrzelał Witkowski! A Jaś śmiał się tylko.

Z Przyborowa do Koszarawy i Jeleśni, stąd do Korbielowa i Sopotni, a stamtąd na cały Wysoki Beskid poszła wieść o Jasiu, co się nie dał policji, co nie pozwolił krzywdzić biednych, co ujął się za prześladowanymi.

- Teraz uciekł z młodym Tramkiem w góry. Usłyszymy jeszcze o nim.

Przez niego to szalał w Przyborowie Witkowski. Wziął żonę Tramkową na przesłuchanie, trzymał ją w kancelarii prawie pół dnia, aż przeląkł się i puścił ją, bo ludzie zaczęli gromadzić się przed jego chałupą, gotowi do buntu. Zrobił rewizję u starego Tramka, był u Ślepka na Głuchaczkach. Spisał protokół z Wojnarem, posłał doniesienie do Żywca. Miał na niego złość o to, że brał ze sobą Dziurę na zebrania ludowców; chłopaka widziano niejednokrotnie u chłopskiego przywódcy.

Za pośrednictwem Ślepka otrzymała Tramkowa wiadomość o mężu, że jest zdrow i cały i że nie wolno jej wiedzieć, gdzie przebywa. Gdyby ją kto pytał, ma odpowiadać: „Nie wiem”.

Wieś zapadała w ciężki, zimowy sen. Dopiero od stycznia chwycił tęgi mróz. Którejś nocy ześliznął się Jasiek na Głuchaczki po prowiant. Zbiegł podczas opadu, aby śnieg zasypał ślady.

Ślepek uważnie oglądał chłopca. Schudł, szerniał na twarzy, tylko oczy gorzały mu fanatycznym blaskiem. Zostawił dziadkowi dwadzieścia złotych, zabrał żywność i papierosy.

Na Gajdową Polanę wyszedł mu naprzeciw Tramek. Kroczyli w milczeniu, w śniegu i w mroku. W promieniu wielu mil naokoło panoszyły się lasy, spowite w białą zaspę. Oni zaś szli po tym bezludziu jak jego dwaj władcy.

Gęste, ciemne chmury napływały od wschodu. Wiatr zrywał śnieg, prznosił go ponad leśne czuby, wysypując na strome dolinki, pocięte potokami. Olchowe gaje, pozbawione liści,

smutnie kiwały się na boki. Brudne niebo nie mogło udźwignąć stropu, wisiało tuż nad szczytami świerków, a szczyty gór leżały już w chmurach.

Była to pora hukania się dzików. Samury i odyńce tłumiły się w gąszczach, tętniły rojnie na polanach. Pod młodymi białopiennymi brzoškami rozgrywały się krwawe walki. Zwierzęta były rozjuszone, zmęczone, poranione cięciami kłów.

Tymczasem dwaj zbijacy przywarowali pod ziemią w Piekło. Przeżywali pierwsze tygodnie niezwyklej przygody, swobodę, pomieszaną ze strachem. Tu oto nie wciśnie się policjant ani wójt, ani egzekutor skarbowy. Ale jak długo żyć można w jamie? Któregoś dnia wysunęli się ku ujściu pieczary, wywatowanemu sutym śniegiem, i usłyszeli strzały. To arcyksiążę polował na dziki. Rozległy się trąbki, naszczekiwania zażarte psów, krzyki tropicieli, strzały myśliwych. Obchodzono górne mioty Mędralowej.

Za parę dni ktoś odwalił kamień u wejścia do gawry. Porwali się obaj na równe nogi. Kto w taki podły czas może im składać wizytę? Wraz z powiewem lodowatego zimna wsunął się ciężko i niezgrabnie do jamy Ślepek, a za nim Maściak, obsypani białymi gwiazdkami szronu.

- Ja do was - rzekł Maściak.

- Witajcie - odpowiedział Jasiek.

- Znacie mnie?

- Znam.

Popatrzył na imponującą postać gościa, zgiętego w krzyżach, bo trudno się było wyprostować w pieczarze. Tak samo wyglądał wtedy drab z płowymi wąsami, gdy stał przed wójtem Franczakiem w karczmie, miętosząc czapkę w ręce.

- Ja o was biłem się z wójtem jeleśniańskim.

- Dlatego do was przychodzę.

- Przystajecie do nas?

- Chcę być wolny - odparł potężny chłop, patrząc małemu w oczy.

Rozpoznawali się w spojrzeniu. Olbrzym skulił się jeszcze bardziej.

- Dobrze. Zostań.

Usiedli. Z dołu dostała się im żywność od Mitanki i od Tramkowej żony. Gryźli chleb, wykrawając scyzorykiem kawałki słoniny. Przybysz rozwiódł wszystko od początku. O wizycie wójta w jego chałupie w dzień pogrzebu Lutyka, o tym, jak mu Franczak dał dwa złote i kawałek mydła, aby na niego skargi do starostwa nie robił. - Ja nie chciałem wziąć - powiada - żona zaczęła mnie namawiać, on skorzystał z tego, położył mydło i dwa złote na młynku i poszedł.



- Nie podałeś skargi na niego, że cię chciał przekupić? To łapówka.

- Nie, bo żona mi mówi: „Co będziesz z wójtem zaczynał, jeszcze nikt z nim sprawy nie wygrał. Zrzuńujesz siebie, a jemu to nic nie zaszkodzi. A zresztą, jak nam gębę zatkał mydłem i dwoma złotymi, jakże można skargę przeciw niemu pisać?”

Za trzy dni przyszedł do Maściaka policjant z Żywca. Zrobił rewizję, szukał ulotek komunistycznych. Nie pomogły tłumaczenia chłopca, że nic nie słyszał o komunistach. Spisano z nim protokół, a za tydzień otrzymał wezwanie na rozprawę do Żywca, jako oskarżony o działalność komunistyczną.

- Ktoś cię oskarżył fałszywie. Nie dziwiłbym się, gdyby to właśnie wójt tak cię wymalował w starostwie.

- Przecież doszliśmy do zgody! Nastawał na to z pół godziny. „Pogódźmy się i pogódźmy się” - dudnił. Podał mi rękę na pożegnanie. Ja mu powiedziałem, że nie będę na niego pisał skargi do starostwa. Nawet nigdy takiej myśli nie miałem. Skądże i za co chciałby mnie wójt w ten sposób wsypać?

- Właśnie dlatego. To wygląda tym bardziej na wójta. Tu cię chciał ułagodzić albo uspić, a tam za plecami wsypał. Bał się na wszelki wypadek, że go oskarżysz, więc on ciebie oskarżył. Ubiegł cię. I teraz już ci nie będą wierzyli. Bo on na ciebie pokazał: to komunista, wróg państwa. Co wójt powiedział, starosta przypieczętuje. Uciekłeś przed rozprawą?

- Ma się rozumieć. Zanim bym się wytłumaczył, zamknęliby mnie. A za komunizm podobno zamykają na pięć lat. Żona lamentowała, synek płakał: „Tatusiu, nie odchodźcie”. Jakże nie odejść? Mają mnie brać do więzienia, wolę uciec. Ale kto mnie tak urządził, nie może mi się w głowie pomieścić. Ja nigdy o polityce z nikim nie mówiłem. Co to znaczy?

Drapał się w kosmatą głowę.

- To znaczy - tłumaczył mu gospodarz ziemianki - że wójt pragnie się zemścić w ten sposób na mnie i na tobie za to, co go spotkało u Habera. Na pewno on ciebie oskarżył o komunizm. Choćbyś teraz powiedział, że on skradł mydło biedaków, nikt ci nie uwierzy. Jeszcze mógłbyś za to dostać kryminal.

Tramek podprowadził Ślepka do Gajdówki. Czas był okropny, ciał śnieg. Szli żwawo w milczeniu, pierwszy wujek, za nim Tramek. Nazywał go wujkiem nie bardzo właściwie słusznie, gdyż starzec był bratem jego macochy. Jasiek pokpiwał sobie z tego lewego krewieństwa, ale zaraz dodawał: „Ślepek także mój lewy dziadek, a daj Boże, aby wszystkie wnuki tak kochały swoich prawych dziadków jak ja jego. Leon wrócił do kompanów po ciemku, wściekły, zmoknięty, przewiany wiatrem do kości. Ucięli jeszcze krótką dyskusję o policjancie, którą Jasiek zakończył lapidarnym westchnieniem: - Niech zdechnie. - Kurzyli

tytoń przyniesiony z dołu, mówili o pogodzie, o dzikach, o Słowakach, o cudach i strachach, o nadchodzących weselach oraz o świństwach wiejskich dygnitarzy. Kiedy Maściak zaczął ponownie przeżuwać swoje przygody z jeleśniańskim wójtem, Tramek mruknął:

- I sołtys przyborowski nie lepszy - obrócił się na bok i pierwszy dał hasło do zaśnięcia.

- Jedźmy ostrożnie, bo kto wie, czy nie jesteśmy na dwa miesiące odcięci - przestrzegął Jasiak. - Jak zima porządnie potrzyma, to się tu do nas stopa ludzka nie dostanie.

- Jeszcze lepiej - rzekł Tramek. - Lubię spokój.

- Ale żresz za dwóch, w tym rzecz.

- Ja nie winien, zem taki wielki. Najwyżej tata i mama.

- Ciekawe. A twój tata mały.

- Nieboszczka mama była duża.

Mróz skuł kraj twardym pancerzem, dusił ludzi, parzył. Ziemię i lasy smagały gwałtowne wichry. Była to kulminacja najostrejszej zimy. Trzej mieszkańcy podziemnej jamy nie opuścili Piekła ani na krok prawie do końca lutego. Zaspy były po pas. Ściany wąwozu w nawisach, góra w szklistych lodoszreniach. W ostatnich dniach miesiąca dopiero zelżało. Śniegu ciągle waliło się moc, lecz ziąb przeraźliwy minął. Dni były chmurne; hulały wiatry. Chłopcy w ziemiance nudzili się, śpiewali na głosy, grali w karty, rachując tygodnie dzielące ich od wiosny. Od ujścia jamy dmuchało do środka nieprzyjemne zimno, musieli zatykać szczeliny choiną. Ba, codziennie nadmuchiwało u wylotu suty snopek śniegu, który trzeba było odmiatać.

Skończył się sezon zabaw w parafii jeleśniańskiej, za którym tęsknił Jasiak w ciemnej, stęchłej gawrze. Parobcy szaleli w karnawale po karczmach, odłupując obcasami wióry z podłogi. Pod ścianami snuły się samotne, choć rozrywane w tańcu, dziewczęta Jaškowe: Walerka od Pasika, Maryśka Medesówna, obecnie młodziutka mężatka, i Zośka Masłowska z Cichego, marząc na próżno o niezawodnych ramionach niedościgniętego tancerza, o jego pocałunkach, o jego silnej a delikatnej pieśczoście. Przez słabo oświetlone okna biła muzyka, dziwna i dzika, oraz śpiewy, nasilone, krzykliwe, monotonne.

W niedzielę zapustną uradzali sobie starzy przyborowscy górale w chacie Wołka, byłego gospodarza Jaškowego. Siedzieli na długiej ławie, spoglądali zmrużonymi oczyma w słońce, chwalać łagodną pogodę i opowiadając nowiny. Śnieg grubą okiścią zalegał na konarach jodeł.

- Chłopaki nie mają nic do roboty, bo karnawał się skończył, więc rzną się nożami. W

lecie będą rozbijali gniazda ptasie przy krowach.

- U Bobra w Korbielowie zapaliły się sadze w kominie. Spaliły się dwie stodoły. Ani nawet ubezpieczone nie były. To się nazywa pech!

- Syn Maślakowej pojechał do Chorzowa na Śląsk, do huty. Wywrócił się na niego wózek z rudą i zabił go. Dostali odszkodowanie i zaraz się w domu trochę poprawiło. To się nazywa szczęście!

- Sylwik chodził przez parę miesięcy do roboty w Wapienicy. Wdziewał kalosze, trochę były za wielkie, nogi owijał w szmaty. Ale cóż, kalosze mu się zdarły i robota się urwała. Na jedno pech, bo zarobku nie będzie miał, na drugie szczęście, bo sobie w domu siedzi i nie choruje na przeziębienie.

- Nawet do kościoła musi pożyczać buty od brata. On idzie na ósmą, a brat na sumę. I tak obsłużą obaj Pana Boga w jednej parze butów. Jak się cieplej zrobi, będą chodzić bosy.

- Jak się cieplej zrobi, to i człowiekowi różniej będzie na duszy.

- My tak każdej zimy schodzimy się i radzimy, że jak przyjdzie ciepło, to będzie lepiej. A tu głównie lepiej.

- Zagląдалиście w Buczynki? Dziki znowu chodziły do stogów. Były ze trzy albo cztery świnie.

- Ej, żeby tak strzelbinę pod pazuchę wziąć, wypatrzyłoby się jakąś sztukę.

- Ja mam strzelbę schowaną w gaju. Ale wiecie, jak to teraz jest. Zeszłego roku próbowałem strzelby w lesie, tom sobie posiedział tydzień w Żywcu. Pamiętacie?

- Chyba żeby się dało co stropić po tamtej stronie. Mogłoby się obciągnąć, schować i po kawałku znieść do domu.

- Zanim byście co stropili, gajowy by was prędeż stropił.

- E, Jasiak z Głuchaczek! Ten sobie strzela zwierzynę! Jak król!

- Albo jak sam arcyksiążę. I to we trójkę. Z Maściakiem i Tramkiem.

- Myślicie, że Maściak do niego przystał?

- A dokąd miał pójść, jak chciał uciec przed aresztowaniem? W górach jest.

- Gdzie oni się tam poniewierają, biedaki?

- Nie bójcie się. Źle im tam nie jest.

- Jasiak może będzie gdzie w Lipnicy siedział. Dziewczyna go trzyma. Bo on tam do jakiejś dziewczki zachodził, słyszałem.

- Taki nie zginie. To morowy chłopak. On tam musi mieć kilka schowań. Jak go wypatrzą w jednym, idzie do drugiego. Albo każdej nocy gdzie indziej siedzi. Jak było trzy lata temu, gdy była obława na Latacza? Poszedł na Pilsko, tam miał kryjówkę, a czasem spał

na Lipowskiej w szalasię. Raz przyczaili się na niego na Lipowskiej, siedzieli w zasadzce całą noc i pół dnia. A on sobie najspokojniej spał w Sihelnem u Słowaków.

- Jasiek niegłupi. On sobie z policją umie radzić.

- Kto jak kto, ale Ślepek musi wiedzieć, gdzie się chłopak obraca.

Zaczęli kaszleć, chrząkać, słuwać. Wyczerpali bieżące tematy. Znowu wrócili więc do nieśmiertelnej historii: do wspomniania dawnych czasów. Szybko podążało ku zachodowi blade słońce zimowe, z trudem sycąc blaskiem zmęczone oczy górali. Nad chałupami Przyborowa przebijała się w rozwodnionym śniegu stara Tramkowa. Wracała właśnie z Głuchaczek od brata, gdzie dowiadywała się nowin o pasierbie i dokąd nosiła mu jedzenie.

W pierwszą niedzielę marca w południe oczekiwał Jasiek Ślepka u wyjścia z Gajdowej Polany. W dzikim plątwawisku krzaków i podrastającej młodej smreczyny stały tam dwie wyniosłe, osamotnione jodły z wierchami urwanymi od wichru. Stary przytaszczył tłumok z żarciem. Cholewy miał do połowy łydek unurzane w błocie. Błoto było plonem czterodniowej pracy orawskiego wiatru.

- Że się wam chciało, dziadku, na takie błoto leżeć! Władek nie mógł pójść?

- To lenia kawał. Gdybyś mu dał dziesiątkę, może by polazł.

To się nazywa przyjaźń! Ile Władek napożyczał od niego złotych na wieczne nieoddanie, ile poczęstunków wyżłopał, ile papierosów spalił! I nie chciało mu się starca w noszeniu wyręczyć; jemu, który tyle przy Jaśku zarobił! Skrzywił się na wspomnienie przyjaźni, którą trzeba było opłacać. Zaczęli rozmawiać o tym i o owym, po czym przeszli do spraw najważniejszych. Dziś w nocy znowu była policja na Głuchaczkach.

- Myśleli, że ciebie zastaną. Po raz pierwszy byli w nocy. Witkowski z Kowalem. Widocznie boi się chodzić samotnie. Teraz łążą we dwójkę.

- Macają.

- Podobno wójt Franczak miał rozprawę w starostwie, jeździł dwa razy do Żywca. Dzień przedtem jakaś komisja z Krakowa badała przez pięć godzin książki w gminie. Wójt gościł ich obiadem, żarli, pili do wieczora. Odwiózł ich, pijanych, dwoma furami do miasta. Nazajutrz pojechał z pisarzem do starostwa. Na drugi dzień to samo. Kiedy wrócili, byli w dobrych humorach. Wstąpili zaraz do Habera, popili wesoło. Widocznie nieźle im poszło.

- Oni ze starostą idą ręką w rękę. Nikt im nic nie zrobi. Kradną razem, w porozumieniu.

- Jasiek - rzekł Ślepek - nie mów tego Tramkowi. Witkowski pobił mu żonę. Po co się ma chłop martwić? Jeszcze gotów coś głupiego strzelić.

- Co ten pies chciał znowu od niej?

- Mści się za męża. Przyszedł do niej kiedyś wieczorem na przesłuchanie, jak mówił. Nie puściła go, niech przyjdzie w dzień, powiada. I słusznie. Teraz dzieci śpią, nie pora na przesłuchanie. Wściekł się ze złości. Podobno był pijany. Inni mówią, że się dobierał do baby. Kazał jej, aby mu jajecznicę przygotowała, naturalnie grosza jej nie dał. No, nie wiadomo, jak tam było, dość, że ją poturbował.

- Maściakowej dają spokój?

- Do niej się znowu przypiął wójt. Przyszło do gminy zboże do siewu, dawali po pół metra. Poszła i ona; wójt wyrzucił ją. „Jak mąż przyjdzie, to mu wydam. Z babami nie mam nic do czynienia” - tak powiedział. Dwa razy wyspał jej karę, że nie miała uporządkowanego obejścia pod chałupą i że płot miała połamany. Trzydzieści złotych musiała zanieść do gminy.

- Hulają psiekrwie, jak chcą.

- Był u mnie kiedyś Wojnar - kończył swą relację dziadek. - Pytał się o ciebie.

- Powiedzieliście mu?

- Po co? Mówię: „Nie wiem, gdzie jest”. I na nim sobie także policja używa. Ciągłe otrzymuje wezwania do starostwa, ciągle pisze rekursy, że nie może płacić grzywien. Wszystko przez te „Wici”. Że to niby chłopci idą do Polski ludowej, chłopskiej.

- Tak. Że to niby idą do Polski ludowej - powtórzył w zamyśleniu Jasiek.

Popatrzyli obaj na pogodne niebo, które gwałtowny wiatr południowy do cna wyczyścił z chmur.

- Gromnicznik nam się już skończył - podjął starzec.

- Prędko zleciał.

- Dawno nie było takiej łagodnej zimy. I marzec także chyba zleci. Ani się człowiek nie postrzeże.

- Pewnie.

- Ciepło się będzie robiło, Jasiek.

- Ciepło.

- Myślę, że przedwiośnie ruszy się w tym roku wcześniej. Zanim budzikwiat wstanie.

- Ja też tak myślę.

- Na Diablaku jeszcze śniegu grubo, ho, ho, chyba ze dwa metry, ale już dołem woda rwie pod śniegiem. Ja słyszę. Tylko patrzeć, jak runie potokami.

- Za dwa tygodnie zaczną się roztopy.

- Może prędzej. To chociaż dobrze, że wam nie zimno.

- My przyzwyczajeni i do zimna.

- Człowiek do wszystkiego się przyzwyczai. I do cierpienia także - przyświadczył Ślepek.

- Ja przyzwyczailem się do wolności, tak jak Franczak do złodziejstwa. Mówię, że jeżeli bić zajaca długo i bez ustanku, można go nauczyć papierosa palić. Nie wiem - dwa wesołe ogniki strzeliły z oczu młodzieńca. - Mus to wielki pan. Ale tu, w górze, ja pan.

Popatrzył uważnie na Kościstą, wyschlą twarz starca. Drapieżny nos niby ostry kamień, czoło rozległe, silnie sklezione, głębokie oczodoły, nakryte kępami długich, siwych brwi, szczęki wydatne o szerokim, zwierzęcym zgryzie, grdyka wystająca z chudej szyi, niby koniec zaciśniętej pięści - obraz sękatego pokolenia, które już zeszło do grobu. Tak musieli wyglądać wszyscy przodkowie Ślepka, na pół dzicy myśliwi puszczy, tak by wyglądali zapewne jego synowie, gdyby ich śmierć tragiczna nie wyrwała z grona ludzi żyjących. Mocarne ciało babiogórskiego górala pomimo niszczącej pracy i starości jeszcze było krzepkie.

- Chłopcze, chłopcze, aleś mi się zmarnował na tej poniewierce.

- Staruszkule kochany, nie jest mi źle. Mam co jeść i żyję na swobodzie. To najważniejsze. Życie jest piękne.

- Co będziecie robili, Jasiu, gdy przyjdzie wiosna?

- Ruszymy się.

- Gdzie?

Dziura wzruszył ramionami, spojrzał na starego.

- Nie wiem, dziadku.

- Kiedy będziesz wiedział?

- Jak się zrobi wiosna.

- Nie trzeba wam czego? Przyniosę wam.

- Nie. Wszystko mamy. Jednego nam tylko trzeba.

- Czego?

- Wiosny.

Jeszcze przez miesiąc ciężka zima zalegała w górnych partiach babiogórskich. Trudno było się dostać do ziemianki chłopców, tak ją przywalała zaspą. Mimo to Władek Juraszek odwiedził ich dwukrotnie w marcu, nieczuły na śnieg, brodząc w wysokich butach po kolana. Nieczułość ta była dostatecznie wytłumaczona setką papierosów, którą za każdym razem dostawał od Jaśka. Koleżeństwo koleżeństwem, rozumował, ale za fatygę należy się

wynagrodzenie. Jak każdy człowiek wsi, był chciwy i przepadał za lekkim zarobkiem. Jasiak nie dziwił się temu.

- Przez trzy złote mnie nie ubędzie. A nie będę Ślepka męczył noszeniem tobołów na takie zaspę.

Zapalili papierosy. Władek przyniósł w torbie chleb, kiełbasę i mleko. Jasiak nie ruszył jedzenia, za to kompani raczyli się skwapliwie.

- Co słyhać na dole?

- Nic takiego.

- Witkowski się wścieka?

- Nawet nie zanadto. Coś tam o tobie wójt wygadywał w karczmie.

- Niech mnie pocałuje...

- Jeździł przed paru dniami do starostwa z pisarzem. Odgrażał się na rynku pod Pasikiem, że bandytę z lasu het przepędzi.

- Niech poczeka trochę, jak śnieg sfolguje, zejść do wsi i wysmaruję mu gębę, to pan Franczak zmięknie trochę.

Przewiały kilkakrotnie ostre wiatry halne i pod koniec marca Piekło pozbyło się śniegu. Zboczami waliły potoki, napuchłe wodą z niższego tajania. Zapowiadało się huczne wezbrania. Osty dech dmący z Orawy wylizał resztki brudnej bieli do gołej ziemi. W doliny nadciągnęło przedwiośnie. Na przyborowskich polach wykluły się nieśmiało blade śnieżyczki. Któregoś dnia mieszkańcy gawry usłyszeli u wejścia gwizdającego skowronka. Jasiak odwalił kamień i krzyknął:

- Chłopcy! Ciepło! Już dość się należeliśmy. Trzeba się gdzieś ruszyć.

- Gdzie? - zaciekawili się obaj.

- W świat - odpowiedział i umilkł.

Wieczorem dopiero przy lampie naftowej, kręcąc papierosa, rozgadał się.

- Nie wolno nam wrócić do domów, policja nastaje nam na pięty. Oni z nas zrobili bandytów. Ślepek mi mówił, że policja, jak tylko śnieg się usunie, zrobi na nas obławę po lasach.

- Tu nas nie znajdują.

- Nigdzie nas nie znajdują. Pójdziemy w doliny, będziemy zbijali. Poszukamy sobie pieniędzy u złodziei, jeszcze się biedni przy nas pożywią. Jak bandytyzm, to bandytyzm. Sami będziemy sobie sprawiedliwość wymierzać, skoro u nich istnieje fałszywa sprawiedliwość. Za krzywdę - zemsta.

O, to coś ciekawego: awanturnik i pastuch, któremu zachciało się świat ulepszać. Nie

odważyli się uśmiechnąć, słuchali pilnie.

- Kiedy raz szedłem w nocy przez las, wydało mi się nagle, że ktoś mnie z góry woła. Jak powiada Ślepek, nad każdym człowiekiem czuwa z nieba duch. Dniem i nocą. Duch powiedział mi: „Rób, co ci przeznaczone”. Przeznaczone było mi iść w las. Może gdzieś istnieje szczęśliwe życie. Ja go nie znam. Wychowywałem się w stajni. Muzyką moją od rana do wieczora był ryk krów. Chcę walczyć o życie dla siebie i dla was. Pomóżcie mi.

W słabym pobłysku lampy wzrok jego załśnił jak u kota dwoma świetlistymi słupami fosforyzującej zieleni.

- Chcecie iść ze mną na śmierć i na życie?

- Chcemy - odpowiedzieli, patrząc w jego jarzące oczy.

- Czy jesteście gotowi zaprzysiąc zemstę łotrom, którzy nas pozbawili domów, rodziny, którzy kazali nam włączyć się po lasach, kryć się pod ziemią i uciekać przed ludźmi?

- Gotowi.

Siedzieli nad naftowym płomyczkiem, dwa młode, silne, rozrosłe chłopcy. On zaś pomiędzy nimi mały, drobny, smarkacz wśród drabów.

Słowik w mroku nocnym improwizował strzeliste trele.

Jakby ośmielał się ze wzrastającą ciemnością; melodia wybijała się coraz zapalczywiej, stawała się natchniona.

Wójt Franczak lubił pić, ale najsmaczniej piło mu się na cudzy rachunek. W tych dniach nadarzyła się dobra okazja do popitki. Na drzwiach urzędu gminnego widniało ogłoszenie o urzędowo rozpisany konkursie na remont szkoły, dwupiętrowego, największego budynku w Jeleśni. Już trzeci dzień kręcił się koło wójta Kubicki, zamożny chłop miejscowy. Był zapobiegliwy, ale i przezorny; poił Franczaka nie w karczmie, lecz w jego własnym domu, aby nie było ludzkiej obmowy. Do końca tygodnia należało składać oferty na dostawę wapna i cegieł.

Sprawę jednak załatwiono już wczorajszego wieczora, choć tydzień jeszcze miał minąć do rozstrzygnięcia konkursu. W czterech ścianach swej kancelarii powierzył Franczak Kubickiemu dostawę materiałów potrzebnych do remontu szkoły. Popił zdrowo z kmieciem i otrzymał od niego siedemset złotych za grzeczność. - Ale złóż ofertę do soboty - napominał świeżo mianowanego dostawcę - bo musi tak być, aby się nazywało, żeśmy ciebie wybrali z konkursu.

- Świątkiewiczowi trzeba coś dać jeszcze?

- Dasz mi sto złotych dla niego, resztę ja z nim załatwię.



Kubicki skrzywił się, trochę niezadowolony z nowego wydatku, wnet jednak udobruchał się i nawet posłał po piwo do Habera. Co to jest sto złotych wobec tego, że uda mu się wszystkie łapówki wliczyć w koszty przy dostawie? Nie przegrałże sam zresztą zeszłej niedzieli stu dwudziestu złotych w karty do Gałasia z Sopotni? Tamte pieniądze wpadły jak w błoto, a te mu się dobrze opłacą.

Za oknami lunął deszcz, pierwszy prawdziwie wiosenny deszcz. W ciemności rozpruła niebo długotrwała, trzepotliwa błyskawica, grom przewalił się nad światem. Tręcili się szklankami, sączyli w siebie powoli jasnobrunatne piwo. Nad Jeleśnią trzaskały pioruny. Zapalili papierosy. Strzecha tętniła od nawałnicy.

- No, jutro się nam trawka podniesie.

Znów błysk. Aż szyby w oknie dźwięczały od wzmożonego ataku ulewy. - Nie mogę nawet wyjść w taki czas - mruknął Kubicki.

- Gdzie ci się spieszy? Zagrajmy w karty.

- Ale nie o pieniądze! - zastrzegł się gość drgnąwszy. Przypomniawszy sobie Gałasia.

- Nie, to nie, mnie wszystko jedno. O pieniądze grać honorowo. Ale jak chcesz, może być bez.

Zagrali dwie partyjki, drzwi się otworzyły, wójtowa zaprosiła męża na obiad. Wstał, przeciągnął się w rosłych ramionach, wyszedł z kancelarii, pożegnał się z Kubickim, klepiąc go po plecach. „Będę pamiętał” - obiecał konfidencjonalnie i zasiadł na ławie przy stole. Chłop wychodził, przyjaźnie obszczekiwany przez wójtowego brytana, Franczak zaś zaczął przemyśliwać przy jedzeniu, jakby można od Kubickiego wyciągnąć jeszcze parę setek w ciągu dostawy przy pomocy jakiegoś drobnego podstępu. Może zagrozić przerwaniem robót? Albo nastraszyć go inspekcją starostwa? Błyskawica przecięła zygzakiem chmury, które na sekundę podbiegły siną czerwienią; krótko przewalił się trzask. Już pewnie Świątkiewicz po południu nie przyjdzie, skoro się tak rozlało. Jutro od rana trzeba będzie zaprząć parobka do orania.

O tej samej porze ta sama ulewa siekła strugami o ściany jaru Piekła. Grzmoty dudniły głucho w lasach. Chłopcy śpiewali piosenkę o swoim żywicielu, Ślepku.

*Tatusiu, tatusiu, gołąbeczku siwy,  
dopóty nam dobrze, dopókiś nam żywy.*

- Kiedyś, gdy nasycimy prawowitą zemstę - wywodził Jasiek - i uzbieramy trochę grosza, możemy sobie znaleźć spokojny kąt gdzieś daleko, w dużym mieście, gdzie można będzie zgubić się w ciżbie, założyć dom, nowe życie.

- Albo do Ameryki wywiać z forsą w kieszeni - wzdychał tęsknie Maściak.

- Tylko mi nie mów o Ameryce - zerwał się Tramek jak oparzony. - Mojego wujka rodzzonego cisnęli w morze potworom na pożarcie. Jechał zarabiać dolary, umarł na okręcie i wyrzucili go w prześcieradle rybom na kolację. Bałbym się jechać do Ameryki. Pół miesiąca trzeba jechać po wodzie.

- Takie jest życie. Człowiek ze smakiem zajada ryby, niech i ryby spróbują człowieka - zbeczczył cynicznie Jasiek pamięć Tramkowego wujka. On sam nie bardzo wierzył w możliwość spokojnego życia, w wizję dużych miast na dołach, w Amerykę; on, który ukazywał tę perspektywę kompanom. Przeczuwał gorycz wielu wyrzeczeń. Przecież i jego nawiedzały, choć rzadko, chwile ludzkiej słabości. Wtedy nie marzył o dołach, o Nowym Świecie za oceanem, miał o wiele skromniejsze wymagania, takie, jakie mógł żywić każdy prześladowany chłopiec na jego miejscu. Oto pieścił w umyśle niedorzeczną nadzieję, że spór z Witkowskim się przesili i że kiedyś powróci na Głuchaczki do Ślepka, który mu zastąpi ojca, do Zośki, do szmuglu, do polowaczki, do lasów, po których wędrował niezależny jak król.

Zachłusnął się dymem z papierosa.

- Nie musisz jechać do Ameryki, Tramek, jeżeli się boisz morza. Z pieniędzy można wszędzie żyć. Ale zanim kieszeń nabijemy tysiącami, umęczymy się honorowo zbójowaniem. Ja was poprowadzę w doliny na bał; krzywdy mścić, ze złodziejami hulać. Znak wam dam, kiedy macie pójść.

W połowie kwietnia, „budzikwiata”, jak go zwą starzy górale, rozpoczęły się ogromne roztopy. Wierchy babiogórskie uwalniały się spod jarzma grubych wiosennych firmów. Rozzarte potoki rwały jak rzeki z wściekłym hukiem; nawet, rzecz niezwykajna, dnem Piekła kłębił się strumień; zdawało się, że ich dosięgnie i zatopi. Potok Kamienny niósł z sobą połamane drzewa, całe pnie. Pomimo wezbrania wód, pomimo ścieżek nie do przebycia zaczęli powoli wychodzić z jamy, jakby zaprawiając się do trudów przyszłych wypraw. Jasiek i Tramek, nie zrażeni przeciwnościami, odważyli się zapolować po czeskiej stronie. Ubili sarnę, jedli ją ze cztery dni.

- Nie darmo rzeźnikom puchnie kark od takiego jedzenia.

- Mnie wystarczy raz najeść się do syta, mogę później przez tydzień nic nie jeść, tak się przyzwyczailem do głodu - śmieje się ten, który prawie nigdy mięsa nie jadł. Patrzą na niego. Rzeczywiście: szczupły, niewyrośnięty, twarz zapadnięta, w ciele widnieją wypisane lata nędzy, cała młodość pastusza, utopiona w bezbarwnej przygodzie. Miał rodziców

wieśniaków: skąd ta inteligencja? Dzieciństwo i młodość spędził przy krowach; skąd tyle w nim marzenia? Z jaką gwałtownością gorzeć musiała w nim wyobraźnia, nie zapłodniona pracą kształtującą przodków! Czy tylko płótno Tramkowe sprawiło, iż zamiast być oraczem, stał się zbójem?

Był piękny poranek, wypełniony słońcem. Jasiak stał z rękami w kieszeniach, z dymiącym papierosem w zębach na stokach Mędralowej, oglądając Koszarawę. Za plecami rozlewało się ciemnozielone, aż granatowe morze lasu, oparcie dla zmęczonych, schronienie dla ściganych. Ukośnie biegł potok zawalony drzewami, wytarganymi z ziemi, z połamanymi gałęziami, z poobdzieraną korą. Jeszcze tydzień temu woda niosła tu na grzbiecie potężne wykroty i głązy, które pozostały w miejscu, gdzie je poniechała wściekłość żywiołu. Pod stopami patrzącego wykwiatało odpryśnięte od wsi, rozsiadłe pod borem Górne Ciche. Ostatnia w górę na odrębnej, własnej polance stała chałupa jego dziewczyny. Pragnął miłości, tak samo jak pragnął odprężenia w nieustannym napięciu. Miał ciało podległe takim samym zachceniom jak umysł, oddany trawiącym procesom marzenia. Wiosna budziła nowy pęd w sokach ziemi i we krwi człowieka. Niegdyś w tym lesie wywiezionym na wagonach w świat zbójnicy odprawiali w letnie noce swoje narady. Tu, choć wycięto starodrzew, przestrzeń goła jakby oddychała jeszcze świeżą wonią dzikości. Jak gdyby wichur tu jeszcze hulał po gałęziach. Przyborów - zwany tak, bo leżał przy borach, Jeleśnia - od jeleni lśniących nazwana, które tu łowiono. Dwie czapy: Babiej i Pilska, królowały nad dolnym pospółstwem, przyodziane bielą. Po siedem miesięcy noszą śnieg na sobie. Ale wiadomo, że tam jest już inny świat, tam brodzi się po szyję w niebie. W dali pomiędzy nimi szumiała leśna ojczyzna Jana Dziury, nieobca, znana jego oku. Odchodziła coraz dalej i wyżej, w głąb, w czarną nieskończoność.

- Chłopcy, nie mamy koszul. Spodnie nam się dra. Pójdziemy do Sopotni Wielkiej. Znam tam jednego bogacza, z którym mam porachunki. Kiedy córkę za mąż wydawał, zostawiłem u grajków na weselu dwadzieścia pięć złotych. A on parobków na mnie zmówił, żeby mnie w jego domu na kwaśne jabłko stłukli. Tramek, pójdiesz ze mną.

Wymknęli się we dwójkę po południu. Na wieczór byli w Gajce, która oddzielała Korbielów od Sopotni (tu każda wieś ma swoją Gajkę). W drodze natknęli się na Ziomek, działacza ludowego, którego Jasiak znał z czasów, gdy mieszkał u Stachonia.

- Idź za mną lasem. Ja się go trochę rozpytam - zlecił Tramkowi.

Ziomek zrobił wielkie oczy; nie spodziewał się takiego spotkania. Jasiak poczęstował go papierosem. Pogadali, popalili, pożegnali się. Chłop był tak zaskoczony niespodziewanym

wrażeniem, że nawet nie śmiał zapytać swego rozmówcy, co tu robi, dokąd idzie. Wszyscy we wsiach naokoło wiedzieli, że ukrywa się w górach, lecz o jego czynach opowiadała tylko plotka.

Jasiek wsiąknął w mrok. O dziewiątej godzinie, kiedy cała Sopotnia ułożyła się do snu, szykował się do łóżka także Medes, właściciel młyna wodnego, bogacz, który kilka miesięcy temu wydał córkę za syna sołtysowego. Wdowiec, astmatyczny skąpiec, żył wspólnie z synem na swych dostatkach, władca na dziesięciu morgach uprawnego pola, dwudziestu trzech morgach lasu i osiemnastu morgach łąk w górach. Rozebrany, w białym, wszedł do łóżka, nakrył się pierzyną, ujął w rękę lampę, aby zdmuchnąć płomień. W tej chwili wyrósł przed nim Jasiek.

Stary struchlał. Już, już lampa upadłaby na ziemię, gdyby nie podtrzymał jej gość.

- Poznajecie mnie, ojciec Medes?

- Tak - wybełkotał stary.

- Jak się nazywam?

- Jasiek Dziura.

- Zgadliście. Mam do was interes. Kiedy wydawaliście córkę za męża, zostawiłem na weselu dwadzieścia pięć złotych u muzykantów. Nie przekąsiłem kawałka kołacza, nie napiłem się szklanki piwa. Wyście kazali mnie wygnać z chałupy za to, że tańczyłem z waszą córką, że byłem parobkiem z obcej wsi, że byłem przybłądą bez morgów. I wasi sopotniańscy chłopcy rozbili mi łeb. Teraz ja do was przyszedłem upomnieć się nie o rozbity łeb, to chłopska rzecz, tylko o te ćwierć stówki.

Powoli wyciągnął z kieszeni fiński zakrzywiony sztylet, który mu podarował Topór, dzierżawca schroniska na Babiej Górze. Jemu zaś tym nożem wypłacił się jakiś narciarz za pobyt. Medes zaczął coś jąkać niewyraźnie ze strachu; drżał na całym ciele.

- Nie bójcie się. Potrzebuję za te dwadzieścia pięć złotych, które mi się należą, koszul, kalesonów i spodni, bo nie mam w czym chodzić. Dajcie mi to, co potrzebuję, od razu, prędko i nie róbcie krzyku. Jak tylko piśnecie, przejadę wam nożem po gardle. A w sieni stoi mój kompan.

Rzęząc z przerażenia i astmy zwłóknął się starzec spod pierzyny, podszedł do szafy. Niechętnie podał koszulę i kalesony.

- Jeszcze jedną parę! Dodał.

- Mało. Mam dwóch towarzyszy. Medes oprzytomniał, zaczął jęczeć.

- Nie mam więcej. To moje ostatnie łachy. Mam tylko to, w czym jestem.

- Kłamiecie. Jesteście bogaczem, a udajecie żebraka. Liczę do dziesięciu. Jeśli nie

wyciągniecie trzeciej koszuli, zedrę wam z pleców. I jeszcze nożem podrapię po łopatce. Raz, dwa, trzy...

Stary błagalnie spojrzął na Jaśka, ale spotkał się z oczyma świdrującymi na wskroś, nieubłaganie. Poznał, iż opór byłby daremny. Sięgnął na spód szafy, podał trzecią parę bielizny.

- A to sam sobie biorę - rzekł młodzian, zdzierając z kołka popielate spodnie. - Bo nie lubię długo czekać.

Gwizdnął na Tramka. Starzec w gaciach jęknął boleśnie na widok drągała wyższego od drzwi.

- Dawać pieniądze! - rozległ się nagle zjadliwy szept i obaj napastnicy stanęli jak kaci nad ofiarą. Ofiara wskazała na szufladę od szafy. W niej książka, w książce niebieska koperta, w kopercie banknoty. Rabuś nie liczył, schował kopertę w zanadrze. Medes stęknął, jakby go dobijano.

- Połóżcie się!

Poczekali, aż się ułożył.

- Tak macie cicho i grzecznie przespać pod pierzyną do rana. Niech się wam przypadkiem nie zechce wyjść i gębę rozewrzeć na ludzi. Do widzenia, ojciec Medes, kłaniajcie się pięknie ode mnie Maryśce. Niech się od was dowie, że tańczyła z bandytą.

Zniknęli jak cienie. Brnąc po kostki w rozmięklej ziemi, nabili przez miedze prosto w las Gajki. Chłop rzeczywiście przeląkł się i nie miał odwagi wyjść na dwór. Lekkim jękiem tylko nawoływał syna, który spał na górze:

- Józek! Józek!

Bał się podnieść głos do krzyku, aby go nie spotkała zemsta ze strony opryszków, którzy mogli stać zaczejeni pod oknami. Przez ten czas syn Medesa, dorastający parobek, obrządzał konie w stajni, później zaś przeszedł do obory asystować Kaśce, pasterce, która odbywała wieczorny udój. Asystował jej bynajmniej nie ze względu na zainteresowanie bydłem. Ich wspólny pobyt w stajni przeciągał się co wieczór znacznie dłużej, niżby tego wymagały obrządki gospodarskie. Stary rzucał się po łóżku niespokojnie, podczas gdy w stajni trwała idylla młodych. Nieświadomi wypadków w chałupie, położyli się na strychu i spali do rana.

Pierwsza samodzielna wyprawa świeżo upieczonego rabusia wzbogaciła każdego z trójki o nowe przewleczenie oraz o trzy setki nad wyraz lekkiego zarobku. Na trzeci dzień od występu w Sopotni, kiedy Tramek golił się właśnie w krzakach Maściakową brzytwą, a

wszyscy trzej namyślali się, co by sobie sprawić najpilniejszego z ubrania za zdobytą gotówkę - ukazał się Ślepek u wylotu wąwozu.

- Jest u mnie jeden człowiek, który chce przystać do ciebie.

- Po co?

- Chcą go aresztować. On zabił człowieka w Żywcu.

- Nie chcę spółki z mordercami.

- To nie zbrodniarz. On zastrzelił komornika za to, że zaraził jego siostrę chorobą weneryczną. Zemścił się za nią.

- Gdzie jest?

- Przyjdzie na Głuchaczki pod wyrąb, gdy będzie huczała czwarta na jeleśniańskim tartaku. Mam mu dać od ciebie odpowiedź. Słyszał o tobie, nie wiedział, gdzie cię szukać.

- Zайдę do niego. Skąd on?

- Z Korbielowa. Znałem jego ojca. Za austriackich czasów woziliśmy razem drzewo Madziarom do Polhory. Nazywa się Michoń.

- Idźcie do domu. Będę o czwartej przy Trójkątnym Głazie.

Przybył punktualnie, jak powiedział. Przed nim stał młody, wysoki chłop. Krucze włosy spod czapki nachodziły niesfornie na oczy. Spojrzenie ostre, usta zacięte. Ręce trzymał w kieszeni. Przy nim stał Ślepek. Jasiiek podszedł ku nim, oparł się ramieniem o pień buka i powiedział do Ślepka, jakby nie widząc tamtego drugiego:

- Już się nam zima skończyła, dziadku.

- Wiosna idzie - przyświadczył stary.

- I drzewa wystrzelą wnet do słońca pączkami.

- Orzeł buduje już gniazdo na Huściańskich Szczawinach.

- Czas by nam się wypuścić na swobodę, dziadku.

- Czas.

Patrzył uważnie w błękit, jakby wypatrując stamtąd poświadczenia swej gotowości. Nagle zwrócił się do nieznajomego, cedząc wolno słowa przez zęby:

- Wy byście chcieli do bractwa wolnych chłopców przystać?

Nie zdjął ręki z pnia, spozierał nieustępliwie na ponurą gębę naprzeciwko. Oczy ich spotkały się. Czarnowłosy miękł w spojrzeniu; siwy wzrok harnasia przebił go na wylot.

- Czego chcecie?

Chłop wyjął rękę z kieszeni, przymknął powieki i zatrzeszczał suchym, niskim głosem:

- Ja do waszej kompanii chciałem się dostać. Idę do was z dołu.

- Macie rewolwer?

- Mam.

- Dajcie mi.

Podał mu brauning bez słowa. Jasiak schował broń do kieszeni.

- Dziadku - rzekł do Ślepka - idźcie do domu. My pójdziemy w las. Pogadamy.

Odszedł parę kroków za starym, szepcząc mu na ucho:

- W niedzielę w południe bądźcie na Polanie - po czym powrócił do Michonia i ponownie oparł się ramieniem o pień.

- Patrzcie mi w oczy - rozkazał. - I mówcie. Coście zrobili w dolinie, że musicie do nas uciekać.

To było w Żywcu. Siostra Michonia, szesnastoletnia dziewczyna, służyła przez pół roku u pewnego starszego pana, który od paru lat przyjeżdżał latem na wakacje do Korbielowa. Miał ponad sześćdziesiątkę. Był emerytowanym komornikiem sądowym, wdowcem; mówił, że chowa córkę przy sobie. Ubiegłej jesieni, wracając z Korbielowa do domu, zabrał Nastkę na służbę do siebie, do Żywca. Okazało się, że córki wcale nie miał. Mieszkał sam. Dawniej jakaś dziewczka chodziła do niego na sprzątanie. Mówili o niej, że była jego kochanką. Okradła go i siedzi w więzieniu. Miał podobno żonę, ale od dawna z nią nie żył; mieszkała gdzieś w Krakowie. Nastka pisała z początku, że jej dobrze na służbie. Emeryt płacił jej, jeść miała co, nie narobiła się dużo. Aż rodzice dowiedzieli się któregoś dnia okrężną drogą, że Nastka jest w szpitalu. Chora na chorobę weneryczną. Leżała dwa miesiące. Wypisali ją. Nie miał kto za nią płacić.

- Emeryt zaraził ją paskudną chorobą. Umorzili sprawę w sądzie. On podpłacił, pił z sędziami. On się tam zna ze wszystkimi w Żywcu, przecież był komornikiem w tym sądzie. I adwokata sobie wziął dobrego aż z Krakowa. Uchwalili, że Nastka nabawiła się tej choroby gdzieś u kogo innego. Zrobili z niej uliczną dziewczynę i odesłali do domu pod dozór rodziców.

Patrzył ponuro w twarz Jaškowi. Ten wyciągnął papierosy.

- Palcie.

Zapalili. Michoń ciągnął dalej:

- Dwa tygodnie temu przyjechała Nastka do Korbielowa. Wyglądała jak śmierć. Nie było jej nawet połowy. Przyszła ze szpitala do emeryta, ten wypędził ją z domu na pole, na śnieg, na mróz. „Ja cię będę w domu moim trzymał, szmato, a ty mnie będziesz po sądach włóczyła?” - darł się na całe mieszkanie. Zaczęła płakać w przedpokoju pod drzwiami. Była zima. „Gdzie się mam podziać?” - pyta go. „Co mnie to obchodzi - warczał. - Kurwiłaś się z innymi chłopami, idź do nich.” Tak powiedział. Dał jej dwadzieścia złotych do ręki, obrócił ją

tyłem do drzwi, pokazał jej schody. „Odczep się ode mnie, kup sobie bilet i jedź do domu, skąd przyszedłeś. Niech cię moje oczy więcej nie widzą. Syfa przez ciebie złapałem.” Doktor mówi, że Nastka długo nie pociągnie, a z tej choroby już nigdy w życiu się nie wyleczy. Kiła.

- Pojechaliście do Żywca?

- Tak.

- Zabiliście go?

- Tak. Zastrzeliłem. Za krzywdę naszą, za to, że dziewczynę nam zhańbił i wypędził z domu na mróz z dwudziestu złotymi, jak sukę. I za to, że ją zaraził śmiertelną chorobą. Niech ginie jak pies.

Dziura wyciągnął ku niemu rękę, tamten chwycił ją w mocny uścisk.

- Chodź do nas. Będziemy żyli razem.

Pięli się stromym wąwozem Przegibu.

- Rewolwer twój ja będę nosił. Ja nad wami przewodzę. W drodze dowiedział się szczegółów historii Michonia. Po zabójstwie emeryta żona zabójcy uciekła do swych rodziców. W domu pozostał tylko jedenastoletni synek, Józek. I on chciał z ojcem iść w góry. Z trudem oderwał go Michoń od siebie, umieścił u swego ojca.

- Powiedział, że przyjdzie mnie odwiedzić w górach. I prosił, abym kiedy do niego na dół zaglądnął do dziadka. Już tydzień chodzę po lasach.

- Daj sobie spokój, Michoń. Tak będziesz żył, jak gdybyś nie miał domu.

- O dziecko mi idzie. Miałem dwóch synów, jeden, młodszy, umarł dwa lata temu. Miał cztery latka, zleciał ze stołu na podłogę, dostał zapalenia mózgu, do tygodnia poszedł. Stefan mu było. Został mi teraz tylko Józek. Za całą rodzinę.

- Tak będziesz żył, jak gdybyś nie miał syna. Nie wolno ci o nim myśleć.

W połowie kwietnia po kilku dniach chlapaniny zakwitły na Gajdowej Polanie niebieskie i żółte krokusy. Górska wiosna podchodziła coraz wyżej. Przyleciał zadyszany Juraszek.

- Szukają cię.

- To nie nowina dla mnie. Niech szukają.

- Za politykę. W Sporyszu był wiec chłopski. Przemawiał Wojnar i Ziomek. Policja rozbiła ludzi.

- Co ja mam z tym wspólnego?

- Komendant z Żywca mówi, że to twoja robota. Że ludzie byli podbuntowani przez ciebie.



- Niech on lepiej pilnuje złodziei, co browar rabują. Nic nie wiem o żadnym wiecu.

- Gwiazdoń zeznał, żeś ty z Ziomkiem w Sopotni we wtorek siedział i umawiał długo w noc. „To ręka Jasia z Głuchaczek” - powiada Gwiazdoń.

- Ten nędzny sklepikarz dostanie od nas po pysku za kłamstwo. Ja z Ziomkiem rozmawiałem o Medesie i o jego córce, co się roku zeszłego wydała za syna sołtysowego. I nie rozmawiałem z nim w Sopotni, tylko w Gajce, bo tam go spotkałem na drodze. I nie długo, tylko przez pięć minut. I nie w nocy, tylko nad wieczorem. Za to wszystko, co Gwiazdoń zełgał, oberwie.

Posłał za pośrednictwem Władka kartkę na dół do Wojnara, aby ten skontrolował, czy opowiadanie Michonia jest prawdziwe, i wywiedziało się o przeszłości nowego kompana w jego wsi rodzinnej. A nuż to prowokator nasłany przez policję? Wprawdzie Ślepek go polecał, ale i jego mogli okłamać. Jasiak był sprytny ponad miarę swego wieku. Nie dowierzał ludziom, życie nauczyło go tego.

Nie zlekceważył też przestrogi Juraszka. Wiedziony instynktem osaczonego zwierza, opuścił z kompanami gawrę, zapadając po przeciwnej stronie Cylu w skaliste, pełne rozpadlin złomy Gronia Niesłychanego, aby przeczekać obławę. Na wschodzie pysznił się Diabłak resztką nietkniętej jaskrawej bieli, niby dziewica ślubnym welonem. Zbój wylegiwał się już drugi dzień wraz z trzema wielkoludami w szczelinie dzikiego kotła, grzejąc się do słońka. Wzrok jego błędził po kamiennej pustyni, zasłanej głazami. Dołem, lasami, zachodnim stokiem szła obława.

- Chyba do naszego Piekła nie trafią.

- Kto wie?

- Ślady są od włożenia przy wejściu.

- I ziemia wydeptana od wąwozu.

- Kto tam będzie na ziemię patrzył?

- Zejdę dziś, jak się ściemni, popatrzę na gawrę - powiedział Jasiak.

- Ja z tobą - odezwał się Tramek.

- Nie potrzeba mi kolegów. Rano spotkamy się pod Gradowym Kamieniem.

- Chyba przez dwa dni Witkowski nie robi obławy.

- Pewnie. On za wygodny. Zawsze to przyjemniej, gdy żona obiad pod brodę podetka.

- Lepiej w domu siedzieć i słuchać muzyki z radia.

- Gdybyśmy mieli jakie dobre mieszkanie, moglibyśmy mu świsnąć to radio.

Gralibyśmy sobie całymi dniami.

- He, bracie! Muzyka! To jest myśl!

- Wieczny kłopot z akumulatorami - ostudził ich zapal Tramek. - Miałem to świństwo pół roku, co parę dni musiałem nabijać w tartaku.

- W takim razie będziemy musieli sobie sami śpiewać jak dawniej.

Nad samym zmierzchem zaczął Jasiak okrążyć Cyl, schodząc ku swojemu zimowisku, z którego wyemigrował przedwczoraj pod nakazem wyższej konieczności. Ptaki, jak zwykle po zachodzie słońca, podnosiły wrzaskliwe gwizdanie w gęstwie choiny oraz wśród gołych gałęzistych rusztowań buków.

W łagodnym powietrzu czuło się wiosnę. W zupełnej ciemności cyłońskiego boru człowiek instynktem odgadywał kierunek. „Smreki to moi bracia.” Instynkt nie zawiódł go. Po półtoragodzinnym upartym marszu w nieprzebitej nocy natrafił na znajomy wąwóz. Pomimo mroku rozeznał wyraźnie kształty parowu rozszerzające się w Borsuczy Jar. Pierwszy to raz nachodził nań z góry. Jeszcze trochę niżej, z pół kilometra.

To tu. Na brzegu jaru rośnie rozłożysty buk. Rośnie krzywo i u pnia zaplątał mu się mały smrek. Takiego niezdare pamięta się dobrze. Zsunął się stromą ścianą pod zwałoną od wichru kłodą wprost nad samo wejście do gawry. Wlaź po kostki w rozmiękle, zbutwiałe łożysko pnia. Kamień był nieco odsunięty. Czyżby go tak, odchodząc, zostawili? Widocznie zapomnieli o tym w pośpiechu. Nasłuchiwał przez chwilę głosów dookolnej głuszy, po czym, pochylony w pół, wpełznął w jamę.

Przywitał go oślepiający błysk. Rozległ się potworny huk, wyolbrzymiony ciasnotą przestrzeni. Jakby waliły się ściany groty, jakby cała pieczara wyleciała w powietrze. Jasiak runął w przejściu na kolana, krzyknął: „Co jest?” - i szybko wczołgał się do wnętrza. Wyjął rewolwer, strzelając wprost w stronę błysku; naprzeciw siebie. Zakotłowało coś przy ziemi, ktoś zawadził o niego butem, przebiegł do wlotu, Jasiak wzdrygnął się. Człowiek wysunął się z jamy. Jasiak wybiegł natychmiast za nim nie bacząc, że napastnik może doń strzelać, zaczajony u wejścia.

Usłyszał chrzęst liści w oddali. Nocny gość uciekł dnem wąwozu w dół. W ucieczce wystrzelił dwukrotnie w stronę kryjówki czerwony ogień. Echo strzałów odbiło się głośno o wyniosłe drzewa. Gałęzie pod nogami uciekającego łamały się ciągle.

„Wykurzyłem go. A jednak nas tu wytropili!”

Wrócił do gawry, zaświecił odważnie lampę naftową, poznał ślad obcego człowieka w poprzewracanych rzeczach. Nie namyślając się, zabrał resztę zapasów, strzelbę, patrony, zawinął wszystko w oba koce, zarzucił na plecy i zaczął pisać się w górę w kierunku odwrotnym do ucieczki napastnika.

To musiał być sam Witkowski. Tylko ten drań może być tak zawzięty. Z tobodem na

plecach przeciskał się Jasiek w stronę Gradowego Kamienia, gdzie zamierzał położyć się i zdrzemnąć do rana. O wschodzie słońca umówił się tu z kompanami.

W połowie drogi przeciął powietrze przeraźliwy krzyk sowy-puchacza, dwukrotnie powtórzony. Tak właśnie krzyczą samce, walcząc o samice. Ale Jasiek rozpoznał w tym sygnał kolegów. Odpowiedział im takim samym krzykiem. Później nastąpił jeden przeciągły chichot, jak głos śmiejącego się człowieka. Tak bowiem odprawiają swoje zbliżenie puchacze. Po nim dał się zaraz słyszeć identyczny odzew Jaśka. Spotkali się. Zwabieni strzałami, zbiegali w dół, aby nieść pomoc przywódcy.

- Nie potrzeba - uśmiechnął się. - Wykurzyłem go jak lisa z jamy. A mógł mnie sam świetnie złapać do ręki, bo wlałem mu pod nos. Tylko widocznie przeląkł się, kiedy wchodziłem.

- Siedział w środku?

- Tak. Odważna z niego sztuka. Strzelił do mnie na ślepo, jak tylko wszedłem. Zrobiło mi się głupio, że mnie tak przywitał. Ale co miałem robić, jak się już wczołgałem? Nie miałem wyjścia. Byłbym go złapał za gardło, bo trudno kropić po ciemku. On buchnął w przejście, wysliznął się i zwiął. Nawet butem o mnie zawadził. Jeszcze dwa razy strzelił w ucieczce na postrach.

- Słowiki może straszyć, nie nas.

- Słuchajcie, chłopcy, czuję, że Witkowski zleci na Głuchaczki; musi tam kogoś mieć. I teraz dopiero pójdzie za nami obława. Na wszelki wypadek powynosiłem wszystko z jamy. Weź to, Maściak, boś ty silny, choć wójtowi nie mogłeś dać rady. Wiejemy pod Pilsko, przez Glinne. Po drodze, żeby nie zapomniał, ktoś musi pójść i dać po łbie Gwiazdoniowi. Co się obiecało, musi się wykonać.

- Ja pójde - zgłosił się na ochotnika Tramek.

- Powiedz mu, że to prezent od Jaśka z Głuchaczek, aby na drugi raz kłamstw przed policją nie paplał.

Od Przegibu przez Wężowiec zeszli w lasy Krzyżówek, stąd przecięli drogę korbielowską, wznosząc się na przełęcz Glinne. Tramek wziął na ramię flintę Jaśkową, skręcając ku Sopotni.

- Tylko spraw się dobrze - upominał go Maściak.

- Będziemy rano przy rozwalonym szałasie, w górę od Uszczawnego Lasu. Jak się przechodzi na Lipowską, wiesz gdzie?

- Wiem.

- Tam się spotkamy.

Gwiazdoń dostał po łbie, jak mu było przyrzeczone. Witkowski po nieudanej nocnej zasadzce (on to był bowiem, jak słusznie przypuszczał wypłoszony mieszkaniec gawry) zaalarmował śpiących na Głuchaczkach dwóch kolegów i nazajutrz o świcie obława posunęła się aż na szczyt Babiej, przetrząsnęła, jak umiała, bory, przenocowała w schronisku, powracając z niczym.

W powrotnej drodze raz jeszcze obejrzeliby we trójkę jamę, z której, ku ich zdumieniu, zdążył Dziura wynieść te same rzeczy. Witkowski zwierzył się kolegom z zamiaru założenia oklepców u wejścia, tak aby bandyta, wchodząc, złapał się w żelaza. „Jak sarna w sidła” - dorzucił z ironicznym uśmiechem.

- Daj pan spokój z oklepcami - wykpił jego plan. - Przecież oni mają latarki. Za mądzy są na to, aby się dać schwytać jak mysz na łapkę.

- Zresztą on tu i tak już nie przyjdzie, kiedy wie, że nakryta kryjówka. Szkoda się ludzić.

W niedzielę Jasiak z kompanami znowu nawiedził zbocza Cyłu. W południe wyszedł Dziura na Gajdową Polanę, jak zwykle na spotkanie Śleпка. Niedziela bowiem była ich dniem umówionym. Czekał trzy godziny i nie doczekał się. Zaniepokoiło go to, bo dziadek nigdy się nie spóźniał; a gdyby nie mógł przyjść, przysłałby Juraszka.

- Pewnie nie może wyjść z domu, bo go Witkowski śledzi.

Ponury, zwarzony, wracał do kompanów. Zanoceowali w starym szałasie na Jałowieckiej z zastosowaniem koniecznej ostrożności; jeden czuwał, reszta spała. Nazajutrz wczesnym rankiem zakomenderował:

- Będziemy szukali sobie pewniejszej kryjówki. Znam jedno miejsce, ale nie wiem, czy trafimy. Widziałem je tylko raz z daleka. Ślepek mi mówił, że tam jest dobre schowanie.

Wyszli pod sam wierch Cyłu, opuścili się ku wschodowi, znów brodzili w lesie. - To ma być na ćwierć drogi ku Diablakowi. Jak Czatoża podchodzi od północy, na prawo widać Groń Niestychany, w lewo sterczą stare wiatrołomy, Później są białe skałki, nazywają się Świstowe. A tam, gdzie my szukamy, są Kotlarczyska. Koło Świstowych Skałek.

Z rzadkiego, wysokopiennego lasu zaczęły wyłaniać się potężne głazy o fantastycznych kształtach. To powinno być gdzieś tu. Głęboki kocioł, naokoło same skały. Na górze z lewej strony porasta las, strzaskane zeschłe świerki.

Szukali niemal przez cały dzień. W południe Jasiak odstrychnął się od nich i pomaszerował na Gajdową Polanę. Z zegarkiem Maściakowym w ręku oczekiwał nadejścia Śleпка. (W dni powszednie ustalona była na spotkanie godzina czwarta). I tym razem nie doczekał się dziadka do zachodu słońca.

- Coś musiało zajść ważnego - zachodził w głowę. - Nie inaczej, tylko Witkowski siedzi na Głuchaczkach i nie mogą się ruszyć z domów na krok.

Zgwizdał się ostrożnie z kompanami. Przespali wszyscy noc, chyłkiem przypadłszy w załomy gładów. Nie dali za wygraną, muszą znaleźć tę pieczarę. - Rozumiecie - tłumaczył im Jasiek - w tych Kotlarczyskach ma być Wysoka kazalnica, nazywana Jastrzębim Zamkiem. Pod nią jest szczelina, którą między skały wpuścić się trzeba. I tam dopiero ma być jaskinia, przez którą z boku woda idzie i przepada w kamieniach. Tak mi mówił Ślepek. Podobno lepiej się tam można schować niż w Kościółkach.

Rozprawiał już teraz z samym Tramkiem, bo inni chrapali. - A na Kościółkach jest najdziksze miejsce na Babiej Górze. Byłem tam ze trzy razy. W maju tam nieraz śnieg leży jeszcze na skałach.

Zapalili papierosy. - Ach, pięknie tam jest! Kamienna Dolinka; ściany, jakby je ktoś siekierą okrzesał, gładziutkie, ścięte pionowo, palca nie wścibisz nigdzie. Pełno jaskiń i grot. Łaziliśmy tam raz w lecie z Juraszkiem przez dwa dni. Komin Złotej Studni, Żleb Poszukiwaczy Skarbów. A w Kotlarczyskach jeszcze piękniej. Musimy to znaleźć.

Od wczesnego rana zapędził ich do roboty. - Szukajmy, To tu będzie. Od Świstowych Skałek na północ, ku Czatoży. To nie szpilka w sianie, szukajmy.

Znaleźli. Po sześciu godzinach kołowania. Stracili dwa dni na szukanie. Był to dziki kocioł skalny, zięjący przeraźliwą pustką, jezioro fantastycznie poprzewracanych kamieni, cmentarz skalnych zwalisk. Niebo siniało w zmierzchu, góry liliwiały. Powietrze tężało chłodem od tych kamiennych ścian.

- To tu! - wykrzykiwał radośnie Jasiek. Jakby jakaś katastrofa żywiołowa przerzuciła krajobraz o pół mili na zachód od Kościółków lub Izdebczysk. Wieżyce skalne, ruiny gór, rozpadliny. Na dnie kotlinki wynosiła się iglica, Jastrzębi Zamek. Rozleźli się koło jej stóp; wypatrzyli, właściwie wymacali grotę, o której mówił Ślepek, tak była nieuchwytna oku. W czatożańskim ostępie zwęszyli małą, głuchą polankę, wycięli na drzewie krzyż, taki sam wykuli na okrągłym gładzie pod samym urwiskiem.

- W nocy tu nie trafisz, chyba w dzień.

- Przyzwyczajmy się.

Nanieśli choin, wyścielili pieczarę, ułożyli się w niej. Tu było o wiele wygodniej niż w poprzedniej jamie. Przede wszystkim jasno; dwa okna na błękit w wypiętrzonych, niedostępnej turnicze. Uskokiem ciekła pod ścianą strużka kryształowej wody, niknąc z powrotem w drugim kącie.

- Dobrze, że jest woda - rzekł Maściak.

- I komin - dodał Michoń.

Jasiek niepokoił się o Ślepka. - Co jest ze starym? W niedzielę nie był, w poniedziałek nie był. Może chory? Chodź ze mną, Tramek. Idziemy na Głuchaczki.

- Idziemy.

W izbie oświetlonej mdłą, zakopconą lampą naftową konał Walenty Janiczak, zwany Ślepkiem. Jasiek uklęknął przy jego łóżku. Chory nie poznawał chłopca.

- Co wam, dziadku?

- Od południa już nie wie, co się z nim dzieje - objaśnił Mitana.

Jasiek patrzył na pofałdowaną zmarszczkami twarz starca, na kości policzkowe obciągnięte skórą, na oczy jasnoniebieskie, zmętniałe, aż prawie białe, spoglądające na niego, ale pozbawione wyrazu.

- Co mu się stało?

- Będzie umierał.

To wystarczyło za odpowiedź. Jasiek powstał z klęczek, chwycił bezwładną rękę starca. Do izby weszła Ślepkowa córka.

- Na co zachorował?

- Na zapalenie płuc. Leżał na ziemi prawie całą noc i przeziąbnął. Pobity został na posterunku.

- Kto go pobił?

- Witkowski.

Zaczęli opowiadać, mąż z żoną na przemiany. We czwartek, nazajutrz po dodatkowej obławie, Witkowski, wracając na dół z dwoma jeleśniańskimi policjantami, wziął do Przyborowa starego Ślepka.

- Ktoś musiał zdać, że się tata z tobą widuje, albo ktoś go szpiegował.

- Widocznie. Wyszlakowała go jakaś cholera, bo inaczej jak by się dostali do naszej kryjówki? - potwierdził Jasiek domysły Mitanki.

Śledztwo trwało przez cały dzień. Dziadek trzymał się mocno, mówił, że nic nie wie. Od rana do wieczora Witkowski męczył go na posterunku pytaniami.

- Powiedźcie, gdzie się chowa Jan Dziura?

- Nie wiem i nie wiem.

- Ty stary dziadu, przede mną będziesz się wypierał? Widujesz się z nim, chodzisz do niego.

- Nie widziałem go.

- Kłamiesz.

Bił go, myśląc, że się załamie. A on: nie i nie. Sprął go ponownie i wypuścił wieczorem, obiecując nazajutrz przyjść na Głuchaczki. Ślepek zaczął się wlec do domu, wyszedł za Gajkę i osłabł w lesie. Upadł; tyle że sobie choin nałamał, układając się na nich. I tak przeleżał całą noc. A wyszedł rankiem w samej kapocie. Przeziął chudzina do kości, bo ostatnio na nowiu kilka nocy było bardzo zimnych. Rano poderwał się, nieborak, i laź do góry. Chłop nie ma dwudziestu lat, to już nie młodzik, a i zbity był porządnie. Właśnie Władek zbiegał do Przyborowa, aby się dowiedzieć, co ze Ślepkiem, i znalazł go, docierającego do polany. Był bez sił. Przyprowadzili starca do domu, postawili mu bańki. Przez cały piątek leżał, mało co mówił, tyle że opowiedział, jak i co z nim zrobili. W sobotę nic się nie odzywał, tylko wspominał, aby Jaśka zawiadomić, że będzie obława, niech ucieka na czeską stronę. W niedzielę zdawało się, że mu będzie lepiej, ale też nic nie mógł mówić. Wczoraj od rana stracił przytomność. Był u niego ksiądz wikary z Jeleśni. Już go nie mógł wypowiadać, namaścił go tylko olejami świętymi.

- Ja od razu wiedziałem, że się coś z nim stało, bo nie przyszedł w niedzielę na spotkanie ze mną - mówił Jasiek. Spoglądał na chorego, skurczonego na pościeli; na żalosne szczątki gasnącego człowieka. Był mu prawie ojcem. I teraz ginie za niego. Wezbrała żalność w jego sercu jak burza.

- Jak się go pytał Witkowski o mnie?

- „Powiedźcie, gdzie się chowa Jan Dziura.”

- A on co?

- Odpowiadał: „Nie wiem”.

- „Ty się z nim widzisz. Chodzisz do niego”, tak się go pytali?

- Tak. A on nic, tylko: „Nie widziałem go”. Nie i nie.

- Dziadku! - spoglądał z boleścią na ostrokościstą twarz, na czaszkę pokrytą długimi siwymi włosami. - Dziadku! - rzucił się na kolana, chwycił leżącego za rękę.

Starzec słyszał może te słowa, ale ich nie rozumiał. Docierało do niego wołanie chłopca jak z dalekiej przepaści, nie mógł się w nim dołapać sensu.

- Staruszkule kochany, widzisz mnie? To jestem ja, Jasiek, wasz wnuc przybrany.

Może i Ślepek go widział, ale świadomość nie wiązała tych kształtów ze znanym mu obrazem. Jasiek głąskał dłoń swojego żywiciela. - Nie będzie żył? - zwrócił się do obecnych.

- Nie. On ku śmierci idzie.

Nachylił się nad chłodną dłoń, pozbawioną krwi, przycisnął do niej usta, po czym podniósł się z kłęczek, pocałował nieprzytomnego w policzek.

- Giniesz za mnie. Pomszczę cię.

Odwrócił się i skoczył ku drzwiom. - Bądźcie zdrowi. Tramek, chodź ze mną.

Walili w górę ku Kotlarczyskom. Późno wyspinał się na niebo ostry sierpek ponowia. Nie mówili nic. Chłopiec powtarzał do siebie od czasu do czasu:

- Zbity za mnie. Za mnie umiera.

W ciągu niecałych dwóch godzin znaleźli się u stóp Jastrzębiego Zamku. Wiatr skowyczał w krzakach, mierzwił wystające spod czapki włosy Jaśkowe. Skakali przez kamienie, przeciskali się przez gęstwinę jak sarny. Jasiak gwizdnał trzykrotnie wśród głązów; odpowiedział mu taki sam gwizd. Wkrótce obstarpił go dwaj kompani.

- Idziemy na dół. Do Przyborowa. Ślepek umiera. Witkowski zbił go na śmierć. Chciał się dowiedzieć od niego, gdzie się ukrywam. Pomścimy dziadka.

Ruszyli w dół jak lawina. Po drodze Jasiak wydawał im instrukcje, jak mają otoczyć posterunek. - Ja i Tramek wejdziemy do środka, zabierzemy mu dwa rewolwery.

- Ma jeden pod poduszką, drugi w kancelarii.

- A wy podpalicie z dwóch stron dom.

Było już dobrze po północy, gdy cztery cienie zbiegły z gór do wsi. Nawet psy spały o tak późnej porze.

Pierwsza wszczęła alarm Witkowska. Za ten czas Maściak i Michoń, wygarnawszy słomę spod strzechy, podpalili chałupę. Jasiak kolbą rewolweru wybił szybę w oknie, wskoczył, Tramek wpadł przez okno kuchenne. Słychać było trzask odbezpieczanego brauninga.

- Panie Witkowski, oddaj pan rewolwer, bo dostaniesz kulę w łeb - ryknął Jasiak nad uchem policjantowi. Ten zerwał się na równe nogi w bieliźnie, ale natychmiast usiadł, kiedy napastnik przytknął mu do piersi zimną pieczętkę lufy. Pies wyleciał z charkotem spod łóżka, Jasiak kopnął go, lewą ręką namacał rewolwer policjanta na kołdrze; schował go do kieszeni. Żona policjanta wrzeszczała wniebogłosy.

- Spokój, spokój - ciszył ją opryszek. - Nic nie będzie. Żadnych gwałtów, Tramek, idź do kancelarii, w szufladzie będzie drugi rewolwer.

Towarzysz wybiegł, za chwilę wrócił. - Mam.

- Schowaj.

Na stoliku leżała latarka kieszonkowa. Jasiak złapał ją, puścił wiązkę światła na Witkowskiego. Policjant siedział na łóżku w koszuli i kalesonach, bezradny. Tylko oczka, jeszcze mniejsze ze snu niż zazwyczaj, błyskały jadownicę.

- Panie Witkowski, znamy się nie od dzisiaj. Zabiłeś pan człowieka.



- Kogo? - zapytał tamten, kłapiąc zębami. Nie tyle z lęku spowodowanego nagłym najściem, jako że miał twarde nerwy, ile z zimna. Opadł go ziąb z rozspania.

- Śleпка - zbył go krótko harnaś. - Mógłbym pana zastrzelić jak psa tu, w łóżku, skoro wyście mnie bandytą zrobili, ale ja właśnie jestem człowiekiem. Przez pańskie łotrowskie śledztwo ginie niewinny starzec. Przeze mnie nie zginie nikt. Najwyżej przeprowadzicie się z tego domu.

Jeszcze raz oświetlił policjanta. Pierś, zarosła czarnymi kudłami, wyzierała spod rozchełstanej koszuli. Ogarnęła go nienawiść do tej włochatej piersi; bez namysłu uderzył w pysk Witkowskiego, aż tamten się zachwiał.

- Chodźmy!

- Nie zapomnę ci tego, Dziura - pobiegł za nim głos.

- Ja tobie też - zasyczał zbój na odchodnem, gramoląc się na okno.

Do okna zaglądali towarzysze.

- Już czas.

Belki trzaskały od ognia. Z kuchni dochodziło bez przerwy jazgotliwe ujadanie psiaka. Skoczyli w miedzę. Za nimi podniósł się straszliwy krzyk Witkowskiej:

- Pali się!

Wysuszona sośnina pękała, długie języki płomienia obwijały się dokoła strzechy, wspinały się na dach. Jasiek przystanął. Poczul serce gwałtownie bijące pod żebrami. Oto płonie buda łajdaka. Od pożaru szło ku oczom patrzącego groźne natchnienie. Może tak udzielał mu się szal żywiołu? Czerwone wstęgi wyblyskiwały znad kalenicy. Nie mógł oczu oderwać od nich. Tak oto będzie się odtąd mścił ogniem Jaś z Głuchaczek.

Z wysoka jeszcze patrzyli na pożar, unoszący się w ciemności nocy jak ptak niespokojny, chybotający się na strony. Nie do wiary, iż ręka człowieka zdolna jest rozpętać coś tak wspaniałego. Patrzył jak urzeczony, przykuty fascynującym obrazem zemsty. Jestże coś cudowniejszego w żywiole ponad ten płomienisty zalew? Świetlisty pióropusz wybucha co chwila; żywy wytrysk czerwonego złota, niepojęte ruchliwe kwitnienia ognia. Tak idzie w zgliszcza kurnik Witkowskiego w odwet za Śleпка.

Zapadli w las. Nie odzywali się do siebie, szanując milczenie i żal Jaśka. Darli wżwyz jak ciemne duchy pogromu. Niewątpliwie stało się tej nocy coś wielkiego. Oto zerwali ostatecznie z dołem. Wstało słońce, gdy odpoczęli w pieczarze na Kotlarczykach.

- Jesteśmy uzbrojeni, tylko Michoń nie ma jeszcze rewolweru.

- Na pociechę będzie nosił tymczasem zegarek - powiedział Tramek. - Coś, czego my nie mamy.

W ciągu całego dnia nie wspomniał nikt słowem o Witkowskim. Pod wieczór Jasiek stał się dziwnie niespokojny, w dodatku zgubił gdzieś zdobytą tej nocy latarkę elektryczną.

- Co ci jest? - spytał Tramek, najbliższy jego kompan.
- Chciałbym wiedzieć, czy Ślepek jeszcze żyje. Pójdę popatrzeć na niego.
- Nie chodź - prosili go. - Będzie na pewno obława.
- Pójdę - uparł się.
- Pójdziemy wszyscy.
- Nie. Wy pozostaniecie. Mnie nawet pies nie poczuje, gdy zejdem na polanę.

Spojrzał swoimi przenikliwymi oczyma na towarzyszy i zrozumieli, że nie oprą się jego woli.

Poszedł. Kołował długo pod chałupą, zaglądał w okna Juraszków, zapukał. Z ciemności wrót wyłonił się Władek i bez pytania rzekł:

- Umarł.
- Kiedy?
- Dziś rano.
- Mówił co?

Juraszek potrząsnął głową przecząco.

- Nie. Od poniedziałku był bez przytomności. Słyszałem, żeś spalił posterunek Witkowskemu.

- Tak. Za Ślepka. Kiedy pogrzeb?
- We środę.
- Można go zobaczyć?
- Można.
- Gdzie leży?
- Na klepisku w stodole. Pójdę z tobą.
- Nie trzeba. Sam pójdę.

Wyciągnął z kieszeni uprzednio przygotowany banknot.

- Wynieś w sobotę w południe na Gajdową Polanę ze cztery chleby i słoniny za dziesięć złotych. Zaświstasz trzy razy, wyjdzie ku tobie Tramek. Bądź zdrow.

Wyszedł w mroku wprost na stodołę Mitany. Otworzył wrota. W ciemności zamajaczyła przed nim trumna. Szedł od niej wiew świeżej sosnowej żywicy. Zaświecił zapalkę. Błysnęła przed nim twarz stężała, o oczach zamkniętych, przeraźliwie chuda szyja, oblicze o woskowej żółtości; ciało nieżywe, rzecz niepotrzebna, która będzie pojutrze zakopana w ziemi.

„Pieniądze mi dał, gdy szedłem w góry. Jakby mi je dał w testamencie." Zaświecił drugą zapałkę. „Dziadku!" - nawoływał pieszczotliwie starca, którego dech dawno stąd uleciał, starca, którego nie było. Po raz trzeci oświetlił twarz Ślepkową, jakby ją sobie chciał zapamiętać, zanim ją ziemia pochłonie.

„Zginąłeś za mnie. A ja będę żył za was wszystkich" - rozprężył się w ramionach. Czwarta zapałka mignęła mdłym płomykiem nad głową zmarłego. Jasiak nachylił się nad nią wbijając sobie raz jeszcze w pamięć ukochane rysy. „Dziadku" - wodził palcami po jego włosach w ciemności. Zaświecił jeszcze jedną zapałkę. Oto oblicze drapieżne, niegdyś pełne ojcowskiej miłości; oczy, które się już nigdy nie otworzą. „Dziadku" - powtarzał bezmyślnie z żalu, który mu dławił gardło. Aż nagle wybiegł zatrzasnąwszy wrota stodoły.

Trup został za nim. I za nim, pędzącym na oślep w górę, zostawało wspomnienie dotychczasowego głuchaczkowego życia.

Pierwszy raz zagospodarowali porządnie swą kolibę w głązach. Dziura wyszedł tego samego dnia nad Koszarawę. Patrzył z wysoka na chałupę Zośki w Małym Cichem.

- Może nie będzie się chciała widywać ze zbójem?

Miał twarz nieruchomą jak powierzchnia wygładzonego kamienia. Usta ścięte, powieki wpół przymknięte; jakby krew nie obiegała tego oblicza. Od kobiety przebiegł myślami do mężczyzny. Wspomniał starca, którego ród urwał się bezpotomnie w drugim pokoleniu. Dwóch synów zginęło w kwiecie młodości, córka wprawdzie żyje, lecz jest bezpłodna. Zmarniało piękne góralskie nasienie.

Wieczorem lunął deszcz na Kotlarczyskach, padał przez całą noc. Poranek wstał zapłakany, chmurny. Ulewa groziła od świtu.

- Idę na pogrzeb - zakomunikował hetman.

- Chyba na swój - zakpił ponuro Tramek. - Jasiak, nie żartuj - próbował go przestrzegać. - Złapią cię.

- Chciałem cię wziąć ze sobą, ale widzę, żeś tchórz, więc zostań.

- Ja tchórz? - obruszył się drągal. - Jeszcze mi tego nikt nie powiedział.

- Ja ci to mówię.

- Żebyś się nie nazywał Jan Dziura, dałbym ci tak po mordzie, że byś to musiał na klęczkach odszczekać.

- Zostań, zostań, Trameczku. Ja sam pójdę. To tak, jakby ojca mojego chowali, rozumiesz? A chleb i słoninę żresz od niego. I wujkiem go nazywałeś!

Żółta droga, przecinająca całą Jeleśnię, pełna płynnego, ciepłego błota, wyglądała z

daleka jak struga wezbranego strumienia. Nad drogą dygotały świerki rzadkie, płone, zahartowane na zboczach w ciągłych zmaganiach z wiatrem. Na sam pogrzeb koło południa wypogodziło się niespodziewanie. Słońce rzuciło jak podarunek parę jasnych promieni na trumnę biedaka, spuszczaną do dołu na jeleśniańskim cmentarzu.

Ludzi nie było dużo. Na weselu więcej bywa, także i na chrzcinach. Zwłaszcza że można popić sobie później. A na pogrzebie? Ludzie płaczą, są zdenerwowani, smutni. Zresztą, co to kogo obchodzi, że jakiegoś starego dziada chowają skądś, z wysoka, z lasów, z samych Głuchaczek? Zeszło się trochę przyborowskich ludzi.

„Jasiek ma być na pogrzebie” - szeptano między sobą. Doszło to do uszu policji. Witkowski jednak nie pokazał się w Jeleśni. Przeprowadzał się z pogorzelska na nowe mieszkanie. Ale nie to tylko było powodem jego nieobecności. Nie chciał się ujawniać ludziom na oczy, obawiając się wybuchu gniewu z ich strony. Przecież rozniosło się, że to on zbił Ślepkę na śmierć. Staremu już tam wiele nie brakowało, ale Witkowski wpakował go w zapalenie płuc. Za to policjant Kowal z jeleśniańskiego posterunku kręcił się koło bramy cmentarnej. Niby to nieumyślnie zaglądał, to znów jakby szedł ku plebanii. Czatował. A nuż Dziura dotrzyma obietnicy?

Dotrzymał. Kiedy ksiądz pokropił trumnę i odszedł do zakrystii, z gromadki ludzi nad grobem podniósł się śpiew żałobny. Od strony zachodniej przeskoczyli przez murek cmentarny dwaj mężczyźni, zbliżając się ku świeżo wykopanej mogile.

Poznano Jaśka z daleka po ruchach. Zdjął czapkę z głowy, odsłonił wysokie czoło. Jasne, połyskliwe włosy rozwiały się na wietrze. Za nim stał Tramek.

Pokazywano go sobie oczyma, nie śmiąc przemówić. - Jasiek z Głuchaczek! Widzicie go?

Stanął w pierwszym szeregu nad dołem, schylił się, rzucił grudę gliny na trumnę.

- Dziadku! Odszedłeś od nas na zawsze - dobył się szept z zaciśniętych warg. Czyżby zaciskały się i pięści? Już nie zawoła nań więcej: „Staruszkule kochany”, nie usłyszy od niego najmilszego wezwania: „Jaśku”. Dziadka zaczną od dzisiaj toczyć robaki.

Ludzie skończyli pieśń, rozchodzili się do domów. Jasiek ukląkł na glinie. - Tyś krzywdy nie zrobił nikomu. A ciebie jakże skrzywdzili! Będziesz pomszczony.

Wstał, wyjął z kieszeni garść banknotów. Wręczył dwudziestozłotówkę grabarzowi. - Usyp mu, bracie, mogiłę, jak się patrzy. Wysoką. Żebym poznał ten grób, gdy po raz drugi przyjdę pokłonić się dziadkowi.

Stary dziad cmentarny podpełzł, biadoląc, ku harnasiowi, który rozdawał pieniądze na prawo i lewo.

- Weźcie, wyście biedacy. Na ten pogrzeb przyszli tylko biedni. To nasz człowiek umarł.

Połamany kalectwem żebrak zaczął bębnić w głos pacierze. Jakaś baba, rozcapierzona niby kwoka, w suto naodziewanych łachmanach, dziamdała: „Boże, przyjmij do swojej chwały grzeszną duszę niegodnego sługi, Walentego!” Jasiak zdziwił się: „Jak to: grzeszną? On był czystszy od księdza proboszcza przed Bogiem!” Machnął ręką: - Jemu to już w ziemi nie pomoże. Ale wy uczcijcie pamięć Ślepka.

Włożył jeszcze raz rękę do kieszeni, wyciągnął resztę banknotów. - I wy, i wy, i wy - rozrzucił naokoło siebie dziadygom, koślawcom, babom pomarszczonym, zawodowym płaczkom żałobnym. Nad grobem wzniósł się szum modlitw, hojnie opłaconych. Jasiak myślał: „Dusza starca na pewno tu się znajduje nad mogiłą”. Może wśród pączkujących gałęzi kasztanów unosi się nad gromadką kilkunastu osób? Grabarz pieczołowicie oklepywał łopatą trapezowe ściany mogiły.

Bieгли wśród grobów, przesadzili murek, zniknęli. I tyle ich widziano. Posterunkowy Kowal wściekał się, dowiedziawszy się o tym, iż opryszek był na pogrzebie. Niektórzy jednak twierdzili, iż policjant widział Jaśka na cmentarzu, lecz bał się doń dostąpić. Było ich bowiem dwóch i mieli broń.

W morzu liściastych gajów wybijały się plamy brzoź, nakrapianych świeżą, jasną zielenią. Nad Mędralową szedł spóźniony ciąg słonek: trzy klucze po trzy ptaki, jak samoloty sprawione w szyku. Ciągnęły tuż przed zmierzchem z zachodu na wschód, niespokojnie pokrzykując. Aż zniknęły nad młakami w Markowych Szczawinach.

Jasiak spotkał Wojnarę na jeleśniańskim Przysłopie. Przywitali się serdecznie. Wiejskim zwyczajem zaczęli rozmowę od pogody. O czym ważniejszym mogła tu być mowa?

- Już Beskidy poczerniały i zima uciekła w zleby pod Diablak - pierwszy podjął rzecz Wojnar.

- Na polanie rozkwitły kwiaty.
- Siano rośnie.
- Mamy wiosenkę. Ciepło.
- A ty się na zbijaczkę puściłeś?
- Policja wyszczuła mnie z domu, muszę się tulać po lasach.
- Chciałbyś wrócić do życia dawnego?
- Pewnie że chciałbym. Ale jak? To niemożliwe.
- Grozi ci więzienie.

- Do więzienia nie pójdę.

- Bez więzienia nie dałoby się wrócić - Wojnar kombinował w myśli. - Musiałbyś się ukorzyć i odpokutować za swoje postęпки. Choć może by się jakoś załagodziło tę sprawę? Spróbuję delikatnie wywąchać, jak są nastroszeni Franczak i Witkowski. Gdyby się otwarła możliwość naprawienia tego wszystkiego, czy przeprosiłbyś wójta i policjanta za to, coś im zrobił?

Zapytany namyślał się przez chwilę. W głowie przemknęły mu błyskawicznie obrazy tego, co by przez swój powrót zyskał: życie spokojne, dziewczęta, tańce po karczmach, muzyka; dni swobodne, noce bezpieczne, smyk, kłus i szmugiel, lekkie zarobki. I po namyśle rzekł:

- Przeprosiłbym.

Spoglądał daleko przed siebie, jakby zapatrzony we własne myśli. - Możecie się wywiedzieć, ale wątpię, czy oni się zgodzą na polubowne załatwienie sprawy.

- Każdy się dzisiaj na wszystko zgodzi, gdy się grubo posmaruje.

- Ja nie mam pieniędzy.

- Nie bój się o to.

- Kto zapłaci? - Jasiek podniósł na Wojnara szaroniebieskie zdziwione oczy dziecka.

- Ja.

- Ho ho ho! Nie jestem wart tyle. Nie wypłacę się wam z długu. Zresztą czuję, że oni będą nieustępliwi.

- Zobaczymy.

- Parę dni temu Franczak w karczmie głośno rozpowiadał, że on tego gówniarza, Dziurę, z błotem zrówna. Tak mi mówił Władek. A Witkowski. On jest jak hycel, tylko do kryminału nagania. Ja do więzienia nie pójdę. Za młody jestem na to, aby gnić za kratami. Nic jeszcze nie użyłem w życiu.

- Przydałbyś się nam, Jasiek, we wsi, posłałibyśmy cię do Krakowa, do Warszawy, uczyłbyś się. Masz przyszłość przed sobą.

- Nic z tego nie będzie. Tu moje miejsce: w lasach. Zakreślił ręką koło, wskazując przestrzeń swojej swobody.

I oddalił się, wręczając Wojnarowi pół setki „na gazetę”. - Kupujcie dwa egzemplarze, aby Stachoń nie musiał od was pożyczać - zaśmiał się na odchodnym. Wojnar patrzył za nim. Drobny kształt chłopca malał, wpływał między drzewa, aż wreszcie stopniał, wsiąkł w zieleń. Tylko dzięcioł pracowicie pukał w buczynie. Wrota lasu zawarły się za Jaśkiem.

Wojnar, wróciwszy do domu, zaczął analizować swoje spotkanie z młodzieńcem. Żal

mu się zrobiło tej natury śmiałej i szczerzej, którą należałoby ściągnąć z powrotem na drogę normalnego życia. Wszak to teraz przestępca, który naruszył ustalone zasady ładu i sprawiedliwości.

W jaki sposób mógłby Jan Dziura znaleźć się znowu, jak dawniej, na Głuchaczkach, uniknąć więzienia i wieść żywot spokojny? To zależy tylko od Franczaka i Witkowskiego. Czy zrezygnują z zemsty? Jeden publicznie znieważony, drugi - niedawny pogorzelec z winy Jaśka. Oczywiście, trzeba by było grubo im posmarować, aby odstąpili od złości. Kto wie? Podobno za pieniądze można i miejsce w niebie kupić.

Nazajutrz wybrał się do największego kupca jeleśniańskiego, Pasika, cieszącego się opinią poważnego i szanowanego obywatela. Poprosił go, aby porozmawiał poufnie z Franczakiem oraz z Witkowskim zapytując ich, czy byliby skłonni załatwić polubownie spór z Jaśkiem Dziurą. Wchodziłoby w grę odszkodowanie i przeproszenie. Czy więc za cenę prywatnego załagodzenia konfliktu odstąpiliby od sądowego ścigania Dziury.

Skąd wziąć pieniądze? Wygrzebie je spod ziemi, opłaci mu się wydatek. Ten młodzieniec wart jest więcej. Aby umożliwić mu powrót do życia uczciwego, Wojnar gotów był zastawić swój grunt za parę tysięcy.

Już po trzech dniach dowiedział się o wyniku Pasikowej interwencji. Rzecz nie miała widoków powodzenia. Wójt Franczak nie chciał słyszeć o zgodzie.

- Ja miałbym się poniżyć do takiego kroku? Upokorzyć się przed opryskiem? Nawet już nie o mnie idzie, ale o wieś! To zakała całą okolicę. Medesa obrabował w Sopotni, straż graniczną złupił w Korbielowie, Witkowskiego z dymem puścił. Rabuś! Podpalacz! Bandyta! Jakieżbym szacunek miał we wsi, gdybym się zgodził paktować z szubrawcem? Niech nikt nie myśli, że mnie za kilo masła może przekupić.

Jako ostatni atut wyciągnął kupiec jeleśniański najmocniejszy argument, dając do poznania, iż wchodziłaby w grę kwota mogąca wystarczyć na zakupienie nie kilograma masła, lecz całej mleczarni. - Oczywiście, on gotów jest pana przeprosić i wynagrodzić poniesione krzywdy według uznania pana wójta.

- Co mi z tego, że mnie gówniarz przeprosi? A to, że mnie zhańbił wobec ludzi? Żadne tysiące tego nie opłacą. Musi karę odcierpieć w więzieniu. Choćby mnie po rękach całował, co mi z tego przyjdzie? Ja nie jestem prywatnym człowiekiem, który może sobie z drugim osobiste nieporozumienia w cztery oczy załatwiać. Jestem głową gminy zbiorowej i urząd mój nie pozwala na brudne kombinacje. Dużo będę miał z tego, że mnie taki śpik przeprosi? Niech mnie w dupę pocałuje, a i tak posiedzi w kryminale.

Rozwścieklił się, zachłysnął, zaczął parskać, sapać, nie było sensu z nim dalej

rozmawiać. Witkowski za to od razu wyłożył spokojnie swój punkt widzenia.

- Nie ma mowy o żadnym polubownym załatwieniu sprawy. Proszę zrozumieć, że ja należę do służby bezpieczeństwa i z nakazu władzy państwowej muszę ścigać przestępcę. Mnie w ogóle mówić na ten temat nie wolno. Ja wypełniam twardą policyjną służbę. Z tą chwilą, kiedy Jan Dziura wszedł na drogę bandytyzmu, mam obowiązek aresztowania go i doprowadzenia do więzienia. Nie istnieje dla mnie inne załatwienie sprawy.

- On w tym wypadku jednak przeprosiłby pana za obrazę i za krzywdę oraz wynagrodziłby panu wszystkie straty, jakie pan przez niego poniósł.

- Czy on panu tak powiedział? - wypiął pierś dumnie policjant.

- Nie. Ja jego nie znam, nie mówiłem z nim. Ale upoważnili mnie do tego obywatele, którzy zapewne cieszą się jego zaufaniem i którym zależy na załagodzeniu sporu - prześliznął się sprytnie Pasik.

- Proszę pana - wywodził obiektywnie Witkowski - nie ma co gadać o przeprosinach, bo to nie imieniny u cioci Femci. Ja się na niego nie gniewam osobiście, to państwo się na niego gniewa - puszył się z emfazą. - Mnie z tego nic, że mnie ten gołowąs przeprosi. I tak żadna zapłata nie wróci mi spalonej chałupy.

- Mógłby pan sobie nową za te pieniądze zbudować - zaryzykował odważnie kupiec.

- Tu zostało dokonane przestępstwo - mruknął niewzruszony posterunkowy. - I ono musi być ukarane. Od tego ja jestem policjantem i za to mi państwo płaci, abym tępił przestępstwa. Tu nie o mnie idzie, tu idzie o bezpieczeństwo publiczne. A ja jestem jego przedstawicielem.

Zasłonił się autorytetem państwa, uchylając w ten sposób dyskusję. Również spełzła na niczym kuchenna interwencja żony Wojnarowej poprzez służącą policjanta u Witkowskiej, a przez nią u męża, oraz druga za pośrednictwem bratowej Franczaka do otyłej wójtowskiej połowicy. Stawało się jasne: droga Jaśka Dziury do życia uczciwego prowadziła nieuchronnie przez więzienie.

Następnej niedzieli Wojnar wybrał się na górę i w towarzystwie Władka Juraszka, niosącego żywność zbijakom, dotarł do Gajdowej Polany. Spotkał się z Jaśkiem, usiedli na rozgrzanym od słońca mchu. Młodzieniec, zaciągając się łapczywie papierosem i osnuwszy się nieprzeniknioną chmurą dymu, słuchał relacji o nieudanej interwencji osób trzecich celem pogodzenia go z wrogami.

- Od razu nie wierzyłem w to, aby się zgodzili - przyznał. Oddalała się od niego w myślach coraz bardziej wizja spokojnego życia na Głuchaczkach. - No, trudno - strzepnął popiół z papierosa. - Chciałem to załagodzić. Nie ma wyjścia.



- Jest.

- Jakie?

- Zgodzić się na więzienie. A po odsiedzeniu zaczniesz nowe życie.

Sam Wojnar bez przekonania wygłosił ten projekt, tak bardzo wydał mu się nierealny. Ale to było jedyne rozwiązanie kwestii, dzięki któremu dokonałby się legalny powrót Jaśka między porządnymi ludźmi. Jasiak uciął od razu w zarodku Wojnarowe kombinacje.

- Wolę po stokroć to nowe życie, które teraz prowadzę. A o więzieniu mi nawet nie wspominajcie. Będę tu żył do śmierci.

Prezes wiciowców uśmiechnął się dobrodusznie. - O śmierci mówisz? Ileż ty masz lat?

- Osiemnaście.

- Chłopcze mój, mógłbym być twoim ojcem. Kiedy wyjdiesz z więzienia, jeszcze będziesz młody.

- Dlatego, że możecie być moim ojcem, odpowiem wam grzecznie. Nigdy nie byłem tchórzem. Ale żeby pchać się żywcem do więzienia, to czysty idiotyzm. Nawet mi teraz żal, żeście zaczęli z nimi gadać o zgodzie. Nie może być między nami zgody. Ja ich mam przepraszać, ja im mam łapówki dawać, aby mnie zostawili w spokoju? Oni bezkarnie mogą w dalszym ciągu hulać? Człowieka niewinnego o śmierć przyprawiać, okradać ludzi, oszukiwać, poniewierać, bić po pyskach, kopać? Zamknęli mi powrót do domu, będę siedział w lasach. Zaczniemy wojnę ze sobą.

Maj niósł się nad polanami ciepłym, prawie dusznym tchem. Krogulec uwijał się wśród skał Izdebczyk, szukając gniazd jaszczurczych wśród głazów. Orzeł polował krzykliwie na żaby koło strumienia.

Dzisiaj kompania Jaškowa nie poszła do groty na noc. Przespali się wszyscy czterej w kosodrzewinie. O świcie schodzili na Policową Hałę. Głuszcze namiętnie tokowały w wysokopiennych jodłach Czatoży. Dziura posłał Tramka do Sidziny po znachora Kudłonia.

- Przyrowadzisz go ze sobą do szałasu.

- Jakże go przyrowadzę, kiedy on ślepy?

- Dlatego właśnie pójdziesz po niego. Nie bój się, on by trafił i bez ciebie. Powiesz mu, że Jasiak z Głuchaczek chce z nim mówić.

Drugiego olbrzyma wyprawił z plecakiem do Zawoi, aby nakupił chleba, kiełbasy i piwa.

- Wódka by się przydała - wtrącił nieśmiało Maścik.

- Zakazuję pić wódkę! - warknął Dziura przez zęby. - Możesz sobie pić, gdy będziesz

na weselu u Kasi. U mnie nie. Jutro idziemy na wyprawę.

W południe wrócił pierwszy Maściak, obładowany prowiantem. Usiedli pod starym, pustym szałasem. Wódz w zamyśleniu wpatrywał się w bór czatożański, ścielący się dołem, w dalekie domki Zawoi, jak kropeczki widne na północnych zboczach, w niezgrabny szczyt Policy, obrosły lasami. Wnet wynurzył się na hali Tramek. Wiódł siwowłosego ślepca, obok którego dreptało małe bosc pacholę, wnuk znachora. Kiedy zbliżył się ku szałasowi, wyszedł im naprzeciw Jasiak i stanął przed Kudłoniem.

- Nazywam się Jan Dziura. Wołają mnie Jasiak z Głuchaczek. Słyszeliście o mnie?

- Słyszałem - odparł stary spokojnie. Mętne, zbłękitniałe szkliwo jego oczu, nieczułe na obraz, było skierowane w stronę głosu. Dłoń starca wyciągnęła się.

- Podaj mi rękę.

Trwał przez dobrą chwilę, ujawszy w garść prawicę Jaśkową, jakby rozpoznając chłopca w uściśnieniu. Palcami szybko, chwytnie obmacywał skórę, stawy, mięśnie, paznokcie. Wreszcie wypuścił z uwięzi jego rękę i rzekł:

- Wyzdrowiałeś.

- Tak.

- Ta dziewczyna cię kocha.

- Może być.

- Musi tak być - poprawił znachor i zamilkł. - Ale szczęścia od ciebie nie zazna. Czego chciałeś ode mnie?

- Siadajcie - zaprosił go Jasiak. Usiedli, zaczęli jeść i pić. Słońce rzucało ciepłe błyski na halę. Wszystko dokoła było widne jak na dłoni. Kudłoniowe oczy, pozbawione nerwów, patrzyły prosto w blask słoneczny. Znachor był nieco podobny z oblicza do Ślepka. Chociaż ślepotą uduchowiała go nieco, przecież nie był tak rasowy jak patriarcha z Głuchaczek.

Głowa porosła rzadkimi włosami; twarz niegdyś była pełna, teraz skóra obwisła i zapadła się w setki drobniutkich fałd. Po prawej stronie szyi wyrastał wół wielkości pięści, podbiegający aż pod brodę. Ta gula ogromna, przeraźliwie biała, odsłaniała się pod dolną szczęką jak coś bezwstydnie nagiego.

Kudłoń żył w ascezie. Ponieważ miał wzrok zamknięty przed naporem światła, tym silniej nawiedzał go świat olśnień. W czasie gdy księżyc przybierał, staruch nie jadł wieczerzy przez dwa tygodnie, od nowiu do pełni, przejmował natomiast od miesiąca siłę dla niezbadanych pokładów swej podświadomości. Wówczas wzmagaly się u niego zdolności jasnowidztwa.

- W tamtym tygodniu pochowaliśmy Ślepka z Głuchaczek - zaczął Jasiak. - Był mi

prawie ojcem. Policja go zbiła, przetrącili mu krzyż. Za mnie. Bo mnie szukali, a on mnie nie chciał zdradzić. Obiecałem, że pomszczę się za niego. Spaliłem posterunek w Przyborowie, obrabowałem straż graniczną w Korbielowie. Jutro idziemy na nową wyprawę. Po łupy. Chcemy żyć. Policja i łajdacy zrobili z nas bandytów. Będziemy się więc mścili za nas, za was i za cały lud. Będziemy kradli bogatym i rozdawali biednym.

- Tyś jest ich hetmanem?

- Ja.

- Ilu was jest?

- Czterech. Będziemy góry równali z dolinami. Wyciągnął banknot z kieszeni, wręczył starcowi. - Macie dwadzieścia złotych. Kupcie wnukowi buty.

Zbliżył się do niego, usiadł pod ścianą drewnianej budy, chwytając go za przegub dłoni. - Tyś jest człowiekiem, który widzi więcej od nas. Zawołałem cię przed wyprawą, pierwszą, na jaką się wspólnie bierzemy, abys mi powiedział, co o mnie myślisz. Radź mi. Co mi zostaje innego do roboty? Wezmą mnie, zakują w kajdany, wsadzą do więzienia na wiele lat. Nie skrzywdziłem nigdy żadnego człowieka, chyba łotra, i to ze sprawiedliwej zemsty. A chcę tylko jednego: żeby nam pozwolono żyć w spokoju. Już się to koło nie zatrzyma, które zaczęło się toczyć.

Trzymał ciągle starca za rękę, mówił porywczo, żarliwie, gorączkował się. Kudłom słyszał już o nim; trudno było nie słyszeć: że to przemytnik, zbijak, kłusownik, że ma zatargi z policją. Teraz poznał go z bliska. Ziemia była dla znachora ogromną izbą, zaludnioną znajomymi dźwiękami, pełną swoistych zapachów oraz form namacalnych. Ogarniał więc ciało siedzące naprzeciw słuchem, węchem i dotykiem. Wpił się w nie trzema wyostrzonymi zmysłami i owym czwartym, niepowszednim, któremu właśnie zawdzięczał swą mądrość.

Po woni czuje: młodzieniec dużo przebywający w lesie, palący papierosy, podszyty ostrym tchem wiatru. Ale to wszystko nic. Ta woń przenikliwa dziwniejsza jest od woni rozgrzanej macierzanki, ognia czy żywicy; dziwniejsza od woni mężczyzny w gromadzie. Co to jest? Dotyk - nie byle jaki. Skóra delikatna, mięśnie jak stal, ręka - mała, wąska ciepła. Czuje po dotknięciu: jasnowłosa, smagły, ściągły na obliczu, drobny w ciele. Ogromna siła.

Wysłuchuje się w głos młodzika. Uderza weń słowo dźwięczne, stanowcze, czysty metal. I czuje - już nie po mowie, lecz poza zmysłami, ową drażącą, nadludzką skrytowiedzą - że ten, co siedzi naprzeciw niego, musi mieć niezwykle oczy. Takie spojrzenie przewierca nawet ślepeca.

Starzec odwrócił ku harnasiowi twarz, całą w zmarszczkach. Słońce wyświetla na niej niesamowity krajobraz gór i dolin, pociętych ostrymi liniami. Tylko oczy ślepe panują nad

tym pejzażem wyrazem nieziemskiego spokoju. Puścił rękę chłopca. Przyłgął plecami do ściany szałas, jakby przyjmując w siebie jasnowidzenie.

- Widzę cię - wyrzekł powoli. - Masz oczy szaroniebieskie i jesteś szczupły. Kule świszczą koło twojej głowy, ale tobie nic się nie stanie. Galopujesz po lasach na koniu. Wielu przez ciebie przeniesie się na tamten świat. Pójdiesz na zachód i na wschód, pójdiesz na północ i na południe. Gdziekolwiek pójdiesz, będzie głośno o tobie.

Trzech olbrzymów przybliżyło się do Kudłonia. On zaś mówił jak w transie:

- Jedno zmartwienie przeżyjesz; wielkie. Drugiego nie przeżyjesz; jeszcze większego. Będą cię ludzie nieznajomi po rękach całowali.

Jasiek patrzył mu w twarz: - Wróż mi o naszej wyprawie.

- Tobie się wszystko uda. Trzymaj się z dala od dziewcząt.

Harnaś zniżył się ku kolanom siedzącego.

- Tak samo mówił mi Ślepek: „Strzeż się dziewczyn”. Błogosław mi, starcze, na naszą zbijaczkę.

Schylił głowę ku ręce Kudłonia. Ręka drżała, uwężlona nabrzmiałymi żyłami, gładziła miękkie, jasne włosy Jaśkowe. Nagle znachor wstrząsnął się. Ślepiec, żyjący dotąd w sferze dotyków i zapachów, objawił w sobie widzenie. Źrenicą odwróconą do wewnątrz ujrzał dokładnie młodzieńca, którego miał przed sobą. I usłyszeli wszyscy pod szałasem potężny głos starego, jakby z innych ust wychodzący, rzeczywisty głos natchnienia:

- W ubóstwie począłeś się i w krzywdzie, przez boleść zbliżyłeś się do ludu. Ja ciebie przeznaczam, synu matki-kaleki i niewiadomego ojca, ja ciebie przeznaczam do zemsty. Będziesz Janosikiem.

Ujął jego głowę w obie ręce i ucałował twarz. Wszyscy byli wstrząśnięci, wzruszenie odjęło im mowę. Kudłoń podnosił się z murawy wolno, jak po omdleniu. Gładka, wypuknięta torbiel na szyi drgnęła niesamowicie. Niesamowicie w ogóle wyglądała naciągnięta aż do lśnienia, papierowobiała powierzchnia wola w porównaniu z brązową, obwisłą, pomarszczoną skórą policzków.

- Chodź, Jędrus.

Obdarowali go hojnie. Na odchodnym Kudłoniowa ręka szczepiła się z dłonią zbója. - Pilnuj się. Ciebie nikt nie dosięgnie. Tyś jest błyskawica.

Nazajutrz wczesnym rankiem zjawiała się na Głuchaczkach Zośka Masłowska. Przyszła pożyczyć jakiegoś ośnika czy bruśnika. Bogaczka chce czegoś od dziadów! Ten gospodarski interes miał być pozorem usprawiedliwiającym jej przybycie. Dziewczyna rozpoczęła z

Mitanką rozmowę o pogodzie; że trawa puściła się pięknie, że suche ciepło przyda się ziemniakom i zbożu; następnie przeszła do celu swej wizyty.

- My tu nie mamy. Ktoś w dole, we wsi, będzie chyba miał.

- Szkoda - westchnęła dziewczyna, zakręciwszy się dokoła izby.

- Jeśli u was nie ma, na takim grubym gospodarstwie, czy może być u nas, chudziaków?

Piła zatrutym żądłem w stronę bogactw Maśliny. Nikt tego głośno nie mówił, ale wszyscy wiedzieli. Po zbójach ma pieniądze, córka jej ze zbójem żyje, zbójckiego majątku używa. „Wiemy, wiemy, nie mówi się o tym, cicho, sza! Jeszcze by nas Jasiak za to spalił.”

- Jasiak nie zagląda tu czasem? - spytała Zośka tonem niedbałym, jakby się dowiadując o rzecz drugorzędną.

Gospodyni odburknęła skwapliwie, skrzywiwszy twarz: - Skądże? Kto go tam wie, gdzie on się teraz podziewa? Jak dał nura w las, tak śladu po nim nie ma. Dobrze pewnie na Orawie siedzi.

Oczywiście z uwagi na własną skórę była bardzo ostrożna, gdy szło o Jaśka. Już dość kłopotów nacierpiała się z tego powodu. Nawet szafa do dziś dnia nie naprawiona, a rozbite okno zasłonięte kawałkiem dykty.

- I nie wiecie nic, gdzie się obraca? - nalegała tamta z nagłą troskliwością.

- Ani słychu, ani dychu - wzruszyła ramionami Mitanka i poszła do swojej roboty. Wiedziała dobrze o flircie Jaśka i to tym bardziej uprzedziło ją do Zośki. - Nie wiem, nic nie wiem. Od pół roku nie mam pojęcia, co się z nim dzieje. Jeszcze zanim ojciec umarł, chłopak przestał do nas chodzić - odżegnywała się z pasją, rzucając złe spojrzenie na Masłowską. Ta, widząc, że się niczego nie dowie, wycofała się. Umyślnie przedelfilowała przed oknami Juraszków. Władek właśnie ciosał drzewo przed stodołą. Poszczęściła mu w pracy; z ochotą odpoczął sobie. Usiadł okrakiem na jedlicy, zapalił papierosa. Przyjemnie pogwarzyć z ładną dziewczuchą. On także naturalnie nie wiedział nic o Jaśku. Od dwóch miesięcy nie widział się z nim.

- Miał na Tatry gdzieś iść - wyrzucił lekceważąco wraz z kłębem dymu i głową kiwnął w kierunku na wschód.

- Co go tam ciągnie? Nie mógł to lepiej na Orawę? - zdziwiła się Zośka, wskazując na południe. - Tu byłoby bliżej i pewnie.

- Nie wiem, co go tam ciągnie, jakie on plany ma - wymigiwał się Władek, jak mógł, od śliskiego tematu. O wszystkim innym chętnie by mówił, byle nie o tym.

Zośka zaśmiała się perliście. - Musi tam coś mieć, skoro go tak ciągnie ku Tatrom.

Może jaka dziewczyna?

- Prędzej by się znalazła na południu - parobek znów wysunął brodę ku Orawie.

Zośka zainteresowała się nie na żarty.

- Ma tam jaką dziewczkę?

Agnieszka, widząc, kto przyszedł, wyszła umyślnie z sieni z koszykiem, przemykając ku stodole. W przechodzie spotkały się oczyma. Zośka pierwsza kiwnęła głową, Juraszkówna coś jej tam odpowiedziała. Zamknęła za sobą drzwi od stodoły i zaczęła tłuc się przy jakiejś robocie. Słuchała jednak pilnie, o czym była mowa, albowiem całe wyjście z koszykiem zainscenizowała jedynie w tym celu.

Władek nie palił się do dyskusji o Jaśku, a tym mniej do informowania o jego erotycznym życiu. Odparował więc wymijająco pytanie Zośki. - Ja tam nie wiem - bąkał pod nosem, aż Agnieszka przez dyle nadstawiła uszu. - Miał w Sopotni Maryśkę Medesównę za czasów, jak robiliśmy w tartaku, ale teraz? Maryśka wydała się tamtego roku, Jasiak nawet oberwał po głowie na jej weselu. A czy teraz ma jaką dziewczynę, to nie wiem. O tobie słyszałem - uśmiechał się - ale więcej? Choć to chłop nieraz nie lubi na jednej poprzestać.

- Pewnie - śmiała się i ona, pragnąc go zachęcić do dalszego mówienia. - Nie wierzę w to, aby miał tylko jedną dziewczynę. Co by za chłop był, żeby się zadowolił jedną? - prowokowała Władka.

- Nie wiem - sumitował się. - Gdzieś u Słowaków miał jakąś frajerkę, coś mi o tym wspominał. Ale nie wiem więcej, co mnie to obchodzi?

Rzucił papierosa, wstał, wyprostował się i ujawszy siekiere podjął przerwana pracę. Agnieszka wyszła, aby dobić dziewczynę. Nie mogła bowiem strawić tego, że brat zapomniał powiedzieć o jednym jeszcze flircie Jaśkowym.

- A i Walerka od Pasika podpałała się do niego. Dawno już mieli się ku sobie - rzekła z nietajoną złościwością, z jaką każda kobieta nawet podświadomie o drugiej się wyraża. Wiedziała, jak bardzo ta wiadomość zabolili Zośkę, gdyż Walerka była znana z tego, że puszczała się na prawo i na lewo. - Oni oboje nadali się do siebie - wymierzyła jeszcze jedno zatrute pchnięcie - ona morowa dziewczka, on też nie w kij dmuchał.

I wróciła do sieni z pustym koszykiem, uśmiechając się ironicznie. Zośka odchodziła z raną w sercu. Więc Jasiak zadawał się z Walerką, której lekka sława promieniowała na całą Jeleśnię; z Walerką, która walała się po miedzach między żytem z byle chłystkiem od krów, od której nocą wychodzili chłopcy procesją, jeden za drugim? I u Słowaków miał mieć jakąś frajerkę. Zapłakała. Wybaczyłaby mu flirt z Maryśką Medesówną, z jakąś dziewczyną z Orawy, ale z Walerką? Z takim śmieciem, który, jak słyszała, w miastach sprzedaje się za

pieniądze i podlega kontroli policji?

U strumyka polatywała żółta pliszka, wesoło kręcąc zadartym ogonkiem. Zośce kapały łzy z oczu. Po co wybrała się na Głuchaczki? Gnała ją tęsknota za Jaśkiem, chciała się o nim czegoś dowiedzieć.

I dowiedziała się.

- Jasiek z Głuchaczek to jest harnaś! Wszyscy tylko o nim mówią. Był nieślubnym dzieckiem, urodził się gdzieś pod Zakopanem. Był pasterzem krów, później furmanem, później przemynikiem. A teraz jest hersztem.

Tak sobie radzili w karczmie korbielowskiej chłopcy przy piwie.

- Ja go znałem jeszcze, kiedy pracował na tartaku w Jeleśni - cedził słowo po słowie młodzik z rozwianą czupryną. - Robiłem razem z nim. Morowy chłopak.

- Tak, tak - kiwał głową ktoś inny. - Jeszcze wtedy nie był zbójem.

- Powiedźcie mi, dlaczego jego wybrali czarni chłopcy na hetmana? - dziwił się któryś.

- Dlaczego nie Maściaka, który podkowy łamie w ręce? Albo Michonia, przed którym policjanci portkami trzęśli? Albo Tramka, który podpalił w biały dzień zagrodę Bońców za to, że mu nie pożyczili trzech złotych na wódkę? I sam pożar zagasił. Ten ma fantazję! A Jasiek?

- Prawie dziecko. On nie ma więcej jak osiemnaście lat.

- Może nawet nie ma tyle. Ale on ma z nich największą siłę.

- Podobno jak z nim rozmawiać, kolana się pod człowiekiem uginają, taki strach bije od niego.

- Kiedy powiedział, że przyjdzie na pogrzeb zabitego Ślepka - opowiadali dalej - a był wielki deszcz tego dnia, wypogodziło się nagle na sam pogrzeb. On mowę miał nad grobem, choć policja kręciła się naokoło. A musicie wiedzieć, iż dwa dni temu zapowiedział po wsi, że będzie na pogrzebie. Tak jak wszedł, tak wyszedł z cmentarza, dumnie i jawnie. Na oczach wszystkich. I wsiąknął w lasy. Konia mu pod cmentarz podprowadzili. Ależ narabował się na bogaczach pieniędzy! Dziadom po dwadzieścia złotych rzucał, aby się modlili za duszę Ślepka. „Nic nie będzie - śmiał się - z tego waszego klepania pacierzy. Ale wy znajcie Janosika”.

- Jak on wygląda? Kto wie, czy moja baba go nie widziała - wmieszał się do rozmowy filozof korbielowski, Bury. - Tydzień temu może szła górą Uboczą. Aż tu wychodzi z lasu chłop wysoki jak jedlica, rosły, barczysty, dwa pistolety mu wiszą u pasa. Spojrzał na nią, aż ciarki po niej przeszły, nic się do niej nie odezwał, zakręcił się i polazł z powrotem w bór.

- To on będzie. Bo on ma takie spojrzenie, że człowieka mrowie napada od lęku.

- Tak, to on. Chłop jak mur. I nigdy się nie śmieje.

Weszło do szynku dwóch mężczyzn, jeden mały, drugi wielki, nie ogoleni, z ponapychanymi kieszeniami. Kazali sobie dać piwa, usiedli w kącie i pili. Jacyś robotnicy leśni. Górale mierzyli ich oczyma niechętnie i niegościnnie, jak każdego we wsi, kogo się nie zna. Teraz tylu obcych się tu kręci; trwają wyřeby w arcyksiężących lasach; z całej okolicy zjeżdżają się po drzewo, z tartaków, ze składów żydowskich. Drwale albo furmani, jakaś nędzota. Chłopi podjęli z powrotem przerwany temat. Filozof ciągnął:

- Siłę podobno ma ogromną. Kiedyś na Hali Boraczej strzelił w pysk pasterza, który mu nie chciał dać sera, i pasterz padł trupem na miejscu. Wszystkie zęby miał wybite.

- Jak krzyknie w lesie, jakby zwierz ryczał.

- O kim to mówicie? - wmieszał się do rozmowy mały z kąta.

- O kimże by? O Jaśku z Głuchaczek.

- Ja słyszałem - rzekł ów mały - że on ma być niewielkiego wzrostu i chudy. Tak mówili ci, co go widzieli.

- Nie pleć głupstw - skarcił go któryś od stołu. - Nie wierz bajaniom. Chłop wysoki na dwa metry, okazały, przystojny. Jego się żadna kula nie ima.

- Policjanci i strażnicy strzelali do niego jak do zająca - uzupełnił filozof. - Kilkanaście kul wybili do niego. Kto inny byłby podziurawiony jak sito, a on nic, tylko uskoczył lekko w krzaki. Ani jednego draśnięcia nie dostał.

- Podobno nosi koszulkę drucianą przeciw kulom - wtrącił młodzik, były kompan bohatera z tartaku jeleśniańskiego.

- On ma inkluzę. Zaczarowany jest i kula nie śmie się go czepić. Chyba żeby była poświęcona w dziewięciu kościołach.

- Więc powiadacie, że on wysoki? - mały wstaje od piwa i płaci przy ladzie. Spoziera z uśmiechem na radzących chłopów.

- Jakżeś myślał? Gdyby był cherlak, to by się go policja nie bała.

- Chłopy - odezwał się nieborak, podchodząc ku drzwiom - nie wierzcie tym bzdurom. Ten, o którym mówicie, nie jest wysoki. On jest niski.

Rzucił im na stół srebrną dziesięciozłotówkę. Metal ciężko dźwięknął o drewniany blat. Chudzina zamigotał na chwilę dziwnym błyskiem oczu.

- Napijcie się piwa za jego zdrowie. Jam jest Jasiak z Głuchaczek.

Skinął na towarzysza, który jak cień sunął za nim. Wyszli. Przez okamgnienie chłopci zaniemówili. Ale zaraz wybuchnęli śmiechem.

- A to dobre! - zahuczał pierwszy filozof. - Słyszeliście? A to dopiero! Upił się i



fantazja pomieszała mu we łbie.

- Piwo mu się rzuciło na mózg - przyświadczył czupryniasty młokos. - To dziadowskie chuchro chce być Janosikiem! Taki harnaś ma koło siebie z dziesięciu chłopów. I broń musi mieć przy sobie. On by tu wlaźł między nas z gołymi rękami? ŚmieJCie się!

- ŚmieJCie się! Pijak nabrał nas na Janosika! Chwała Bogu, że choć dziesiątkę nam podarował. Pijmy!

- Pewnie fałszywa. Uważajcie.

- Dobra jest - rzucali monetę po stole, badając dźwięk.

- Pijmy na jego intencję. A to gnida!

- Pijmy prędzej, bo jak wytrzeźwieje, przyjdzie się upomnieć o te dziesięć złotych.

Pili i śmiali się. Legenda już pracowała na Jana Dziurę, przerastała go.

Wygnano bydło i owce na południowe hale babiogórskie. Banda Janosikowa przeszła na Orawę, celem jej było słowackie miasteczko Namiestów; tę pierwszą wyprawę zagraniczną rozplanowano na dwie doby. „Nie śpieszy się nam” - rozumował Jasiek.

Wyszli wieczorem, gołymi stokami południa. Na białym przysadzistym słupku kamiennym wyskakuje lewek sąsiedniej Rzeczypospolitej z napisem „Československo”.

- O, psiakrew, gdzie my to zaszli? - zaklął Tramek.

Jasiek znał na pamięć te graniczne czworograniaste słupki; nic sobie z nich nie robił. To ogromna ojczyzna swobody. - Popatrzcie - uświadamiał chłopców - to już nie nasza dziedzina. Tu tylko czeski żandarm może nam wleźć w paradę. Ale oni śpią w nocy. Stąd wszystkie wody płyną do Dunaju.

- Jak to? Kogutowy, co płynie z Wężowca, nie idzie do Wisły?

- Z tej strony Babiej wszystka żywa woda idzie na południe do Wagu, a Wag do Dunaju. A Dunaj się zlewa do morza rumuńskiego.

Tramek nie przestawał się dziwić. - To znaczy, że jak ja się odleję do tego potoku, to się w tym będą kąpali Węgrzy w Budapeszcie?

Wycofywali się ostrożnie ku Babiej, nie poprzednią drogą, lecz na zbocza Pilska. W nadgranicznej gęstwie buczynowo-świerkowej wylazł wprost na nich czarny drab w serdaku baranim, sierścią wywróconym na wierzch. W ręku trzymał strzelbę. Twarz ciemna, jakby unurzana w ziemi, włosy krucze, posmarowane tłuszczem, błyszczące. Istny bandyta.

Szli na siebie odważnie. Harnaś spoglądał na obcego bez trwogi. Ten przystanął na widok czwórki.

- Tyś hetman? - zapytał, wlepiając oczy w Jaśka.

- Ja.

- Weźcie mnie ze sobą.

Ależ sobie dobierał kompanów Jaś z Głuchaczek! Ten już czwarty: chłop na schwał, chłop jak tur, prawdziwie stworzony do zbijania. Pochodził ze wsi Rycerka pod Zwardoniem. Nazywał się Waniek. Uciekł z wojska, od miesiąca włóczył się po lasach. Przymaszerował piechotą z Krakowa. Uciekł z rozpacz, że go nie przydzielili do strzelców podhalańskich, lecz do saperów, i to w dolinie; on zaś chciał służyć w swoich stronach: w Bielsku, w Nowym Targu lub Cieszynie. Ogarnęła go wielka tęsknota za górą, nie mógł jeść ani spać. Schudł i poczerniał na twarzy. Nareszcie któregoś ranka, wprost z warty na jednym z fortów krakowskich, tak jak stał, poszedł wsiami prosto na południe. Bluzę i spodnie wojskowe zamienił u wieśniaka na spodnie cywilne, karabin porzucił w krzakach na forcie i bez marynarki, w samej koszuli zawędrował do domu. Ale we wsi już żandarm z Bielska złożył wizytę Wańkowym rodzicom. Syn pociągnął więc w góry. Matka co tydzień donosiła mu żywność na umówione miejsce.

I tak rekrut od saperów przystał do bandy Jaśkowej. To była gwardia wodza. Czterech wyniosłych harnasiów, na szumną miarę dobranych. I on - szczupły, niski.

- Masz kryjówkę tutaj?

- Mam.

- Pokaż. Przyda się kiedyś.

Była to zwykła jama pod wykrotem, pogłębiona, doskonale zamaskowana, podobna do tej, z której ich Witkowski w kwietniu wykurzył, lecz mniejsza. Leżała w niedostępnym gąszczu wśród boru Okrutnicy, zwanej też inaczej Okrutnym Groniem, a należącej do masywu Romanki.

- Zostaw tu strzelbę, Waniek. To dobre na zajęcia. Dostaniesz od nas rewolwer. A teraz pójdziesz z nami i zobaczysz, jak wygląda nasze mieszkanie.

Opuścili ziemiankę, powycinali znaki na drzewach, aby znaleźć drogę do niej. Zgodnie nadano jej miano Wańkowej Dziury, podczas gdy skalna rezydencja na Kotlarczyskach no siła miano Janickowego Domu.

Wracając na górę, zawadził Jasiek o Głuchaczki. Agnieszka uwijała się pod stodołą przy praniu w towarzystwie ciotki oraz Filomeny, cała lśniąca od potu, czerwona od gorąca, antypatyczna. Jej zgrzytliwy, niestrudzony głos huczał pośród dwóch towarzyszek i trzech cebrzyków. Słysząc go było na pół polany. Gdy zobaczyła zbliżającego się Dziurę, dopięła rozchełstaną bluzkę (niegdyś fioletową), ścisnęła sznurkiem spódnice w pasie, poprawiła niesforne, skudłaczony włosy, otarła pot z twarzy, podejmując dalej pranie z pozorną

obojętnością. Odwróciła oczy na niego dopiero, gdy stanął nad cebrażkiem. Przywitał ją grzecznie, jak zwykle zresztą, pozdrowił ciotkę (zawsze lubił z nią żartować), zapytał o Władka.

- Poszedł do lasu zgarniać ściółkę pod bydło. Zdumiony patrzył wokoło na ukwiecone łąki. Nie było go tu od miesiąca. Zboże wyrosło, szumi łanami, ziemniaki kwitną biało-żółto i fioletowo-żółto. Skowronki jak kamyki wzbijają się w niebo, trzepotliwie zawisając w powietrzu. Czemu nie dano mu żyć na Głuchaczkach?

- Witkowskiego u was nie było?

- Nie było.

- Powiedz Władkowi, Agnieszka, aby się ze mną zobaczył w niedzielę w południe. Koniecznie chcę z nim mówić. Nie zapomnij - upominał ją, odchodząc.

- Była tu pytać o ciebie Zośka Masłowska - rzuciła za nim jakby od niechcenia.

- Tak? - zdziwił się i zatrzymał. - Kiedy?

- Będzie temu ze dwa tygodnie. Lubisz tę dziewczynę, Jasiu? - spytała. Tłukła się hałaśliwie po ścianach cebrażka, trzepocząc rękami po wodzie, niby to bardzo zajęta, ale źrenice ciekawe utkwisły w młodzieńcu.

- Ma się rozumieć - odparł swobodnie. - A ty, Agnieszka? Lubisz Zośkę?

Głupie pytanie. Jak można pytać jedną dziewczynę o to, czy lubi drugą, kiedy przecież każda kobieta jest naturalną nieprzyjaciółką drugiej w zdobywaniu mężczyzny?

- Cóż ja? - jąkała się, zakłopotana. Chlapała się w mydlinach jak złowiona ryba. - Cóż ja ją mam lubić albo nie? Co mnie to obchodzi? - parsknęła, wydawszy wargi. Teraz dopiero widać było w całej pełni, jaka jest brzydka. Rozchwiane piersi trzęsą się przy praniu, dyndając luźno pod bluzką to w jedną, to w drugą stronę; niemiły widok.

- Ale jak ci się wydaje? Tak na pierwszy rzut oka?

- Nie znam jej tak bardzo. Trochę koza.

Nie zależało mu wcale na jej zdaniu, nalegał ot tak, dla żartu, ubawiony tą historią. Opadła go nieznośna myśl. Zastanawiał się mianowicie, czy też Agnieszka jest do dziś dnia dziewicą. Liczyła sobie prawie trzydzieści wiosen, ale nie objawiała podobno od wczesnej młodości żadnych skłonności do flirtu. Miał więc podstawy do przypuszczenia, iż nadal trwa w żelaznym, nietkniętym dziewictwie. Wchodził w cieniastą głąb lasu, a jeszcze słyszał z polany dudniący wśród cebrażków niezmordowany głos twardej baby. „Nazwała Zośkę kozą - rozmyślał - a ona sama stara, spóźniona jałówka”.

Przypadło mu do gustu to określenie. Nie żeby nie cierpiał Juraszkówny, przeciwnie, lubił ją i nie żywił żadnej złości do niej, ale miał już taki charakter: zmienny i przekorny.

Wyrażał się nieraz brutalnie, był niepohamowany w pysku. W porywach bezwzględny, w myślach rozpasany, w czynach okrutny. Kiedy indziej znów miękki, delikatny, wręcz niemęsko tkliwy. Ustawicznie kotłowały się w nim i brały górę na przemian dwie sprzeczne natury. Zrodziły go bowiem dwa odmienne strumienie krwi: melancholijnej garbuski i jurnego parobka. Rozpatrywał chłodno i z obrzydzeniem ujemne wdzięki Agnieszki Juraszkówny, rozbierał ją do naga, oglądał jej brudne ciało, potężne sinawe łydki, pełne żyłaków, gębę podłużną, kościstą, stopy szerokopalce jak racice, dotykał jej tłustych, zmierzwionych włosów, macał jej piersi, trzepotliwe, płaskie, obwisłe. Dość było spojrzeć na nie przy praniu; huštały się jak szmaty.

„Stara, spóźniona jałówka” - powtórzył w myśli z zadowoleniem. Przenicował ją dokładnie na drugą stronę i nie zostało nic, nic, ani jedna niteczka piękna, ani jedno włókienko zachwyty z tej żywotnej i dzielnej istoty - tylko kupa mięsa, wyśmiana przez mężczyznę.

W poniedziałek kosił Jasek Zośce siano na hali. Tramek pomagał. Matka była dziś nad miarę zadowolona, dostała bowiem prezent od harnasia: wzorzystą chustkę słowacką na głowę. Mimo iż nie była biedna, przecież chętnie przyjmowała podarunki. Parę ładnych setek utopił młodzieniec u niej, znosząc ciepłą ręką przez ubiegłą jesień i tegoroczną wiosnę korale i płótno z Orawy, mydło i cukier z Żywca. Chałupa Maśliny stała się dlań tak niemal bliska, jak do niedawna Ślepkowa.

W południe, ocierając pot z czoła, usiedli i we czworo zjedli obiad na polanie. Po jedzeniu rozwłóczyli siano na pokosach, aby przeszło. Posilili się podwieczorkiem, po czym śmignęli przez Mędralową w górę. Przy rozstaju wiodącym na Wężowiec Tramek odprysnął od wodza, schodząc ku południowi. O zmierzchu spotkał się z żoną siedzącą pod ogrodzeniem dawnego koszar, obecnie nie używanego. Przed laty nocowało tu bydło i trzoda gospodarzy przyborowskich, wyganiane na lato w hale. Umówił małżonków na spotkanie Agnieszka, zawiadomiwszy o tym Tramkową podczas sumy w niedzielę. Leon obawiał się schodzić do wsi, aby ludzie nie wypaplali o jego wizycie w chałupie, z czego żona mogłaby mieć nieprzyjemności.

Wypytał kobietę troskliwie o zdrowie, o dzieci, o ojca, o macochę, dowiedział się nowin; kto się ożenił, kto się wydał, kto się urodził i kto umarł.

- Owies będzie ładny?
- Ładny.
- Siano zebrałaś?

- Nie. Jutro mi Borniak skosi.  
- Skosiłbym ci, ale się boję, że się Witkowski dowie. Może się mścić na tobie.  
- Nie przychodź, Leon, nie.  
- Witkowski cię nie zaczepia?  
- Teraz dał spokój. Przedtem był parę razy. Szukał czegoś, spisywał ze mną protokoły.  
- Nic nie wiesz o mnie, Hanka, jakby się kto pytał. Pamiętaj - nalegał - nie wiesz, co się ze mną dzieje. Daj mi czasem znać o sobie do Juraszka. On nam dostarcza jedzenia. Siedź cicho, uważaj na siebie, bo dranie nie śpią. Na Głuchaczki nie chodź, aby cię kto nie stropił. Juraszkowie zagładną do ciebie, gdy będą szli na jarmark, do kościoła albo do sklepu. Tak będzie lepiej; nie żebyś ty tu laziła. To zanadto bije w oczy. Ucałuj mi dzieci.

Wziął od niej bochenek chleba, garnuszek masła, wsunął jej do ręki czterysta złotych i przepadł w lesie.

Dzień wstał nazajutrz przepiękny. Waniek z Michoniem pozostali na górze. Maściak, skubiąc po drodze poziomki, schodził po prowiant ku Głuchaczkom. Jasiek z Tramkiem kończyli sprawiać wczoraj skoszone siano, grabiąc je i ustawiając w kopy. Gawędzili z Maśliną, dziewczyna przyniosła im w pole śniadanie. Palili papierosy, żartowali. W południe dostali obiad. Stara z zadowoleniem oglądała jedenaście masywnych kóp, porządny zapas zimowej paszy, już w myśli lokując je po stodole i na strychu chałupy. Część wepchnie się do nie używanej komórki.

Mężczyźni gotowali się do odejścia. Jasiek przekomarzał się z Zośką. Uparł się, że się prześpi na wierchu kopy - ale jak wyspinać się na nią, aby jej nie zburzyć? - gdy wtem od lasu zagrzmiął strzał.

Porwali się obaj na równe nogi. Ze ściany lasu wychodził policjant z pochylonym karabinem, drąc się wniebogłosy:

- Ręce do góry! Strzelam! Trzask! Kula śmignęła nad nimi.  
- Strzelaj! - zaśmiał się Dziura, uskakując w przeciwną stronę; za nim chybnął Tramek. Słysząc było metaliczny szczęk odmykanego zamka. Policjant posłał jeszcze dwa strzały, które rozległy się echem na polanie, jak gdyby ktoś klasnął. Rabusie darli ku drzewom skokami. Słysząc było donośny śmiech Jaśka z oddali. Ileż to razy strzelał już za nim Witkowski?

Kobiety struchlały. Oczywiście, nie było sensu gonić zbiegów. Policjant zdyszany, zły, opadł przy kopie siana, rozpiął kołnierz, wypił resztę mleka z garnka. Czerwony, jadowity, spojrzał na Zośkę, zaczął kląć.

- To ty sobie do roboty koło siana sprowadzasz bandytów? Posiedzisz za to w

kryminale!

Stara wmieszała się. Była to sprytna i energiczna kobieta. Uspokoiła rozsierdzonego mężczyznę powolnym, łagodnym głosem, jakby go z prawdziwą przykrością karciała za pomyłkę:

- Panie Witkowski, nie straszcie nas kryminałem. Ja nieraz byłam przed sądem. Przyszli do nas z lasu, żadna z nas ich nie zapraszała. Niech sobie odpoczną.

- To bandyci! - grzmiał zapieniony posterunkowy.

- Ja o tym nie wiem - skostatowała obojętnie. - Mnie nic nie zrobili.

I najspokojniej grabiła dalej włókna siana, pozostałe na polu, nie racząc nawet zaszczycić Witkowskiego spojrzeniem. Z taką babą trudno zaczynać; niczego jej nie można udowodnić. I ma podobno niewyparzoną mordę, nawet Turcula jej unika. W Koszarawie i w Przyborowie nie mówią o niej inaczej jak „córka zbója”, bo jej matka podobno u opryszków w lasach zawojańskich służyła za gospodynię.

Nie poradzi z nią. Witkowski warknął jakieś przekleństwo pod nosem, przewiesił karabin przez ramię i zaczął schodzić, wycierając chusteczką spocony kark. To ciekawe, że Dziura był tu, pod Mędralową, kiedy wczorajsze meldunki donosiły, że przebywa z bandą koło Zwardonia na Raczy. Ten chłopak chyba podróżuje samolotem!

Podobnie myślał i Jasiek drapiąc się przez Czatożę na Kotlarczyska. Kto mógł donieść policji, że oni siano grabili na hali? Ktoś musiał ich z dołu zobaczyć i szybko zdał na posterunek. Pukanina nie pozbawiła go jednak humoru.

- Maściak - przestrzegał kompana - żebyś przypadkiem nie kosił żonie siana u Zimnej Wody. Bo dzisiaj Witkowski strzelał do nas w Górnem Cichem.

Tramek przyplątał się w poszukiwaniu papierosa. Zawsze wypalił najpierw swoje, a później zebrał po wszystkich. - Od razu poznałem tego chachara po głosie - dowodził. - Ryczał jak wół zarzynany. Cztery kule wypuścił z lufy za nami. Wronom na ogony.

- Pewnie się pętał koło drogi koszarawskiej - kombinował Maściak. - Ktoś was wyszpiegował i dał mu zaraz znać. Maślina musi mieć jakiegoś przyjaciela we wsi, że tak o niej pamięta. Pokazał dwa toboły w kącie. - Przyniosłem od Juraszka jedzenie.

- Mówiłeś Władkowi o naboje?

- Mam czterdzieści sztuk. Agnieszka była u mojej żony po sumie i oznajmiła mi nowinę, że dostałem nowe wezwanie do sądu na rozprawę do Żywca. Baba poszła z tym do Wojnara. Powiedział jej, że to to samo, co poprzednim razem. O komunizm. On tam zna te paragrafy, który i za co.

- Mogła była nie przyjąć pozwu, powiedzieć: mąż zmienił adres, jest na świeżym

powietrzu. Gwizdaj na rozprawę - Jasiek rozsiadł się na legowisku. - Posterunkowy Witkowski dał cztery strzały na nasze zdrowie Panu Bogu w okna. Wobec tego przez cztery dni będziemy spali do góry brzuchami z powodu cudownego ocalenia wodza i jego adiutanta.

Odpoczywali więc na zapas, ćmili papierosy i wieszali psy na policji. Kiedy nadymili w pieczarze, Jasiek zakomenderował Michoniowi, który im kucharzył: - Rozpal ogień, nastaw herbatę. Napijemy się czeskiej herbaty z czeskim cukrem i babiogórską wodą.

Michoń, łażąc po wyrębach, umyślnie opuścił się niżej, ku rodzinnej wsi, i natknął się w okolicy Krzyżówek na swojego syna. Jedenastoletni płowowłosy chłopiec szukał go podobno po lasach już z tydzień. Codziennie wyprawiał się z Korbielowa w kierunku Babiej Góry, bo tam właśnie głos ludu umiejscowił bandę Janosika. Józek postanowił więc dotąd chodzić po bezdrożach, aż natrafi na ojca.

Daremnie było mu tłumaczyć, iż to niebezpieczne. Michoń wzruszył się do łez. Kochał syna ogromnie i cierpiał, że musiał go opuścić. Mały przebywał w rodzinnej chałupie Dziadek zastępował mu oboje nieobecnych rodziców, matka bowiem odeszła od dziecka do swych ojców, od razu gdy odkryła się zbrodnia jej męża.

- Ale już dziadka u nas nie ma. Teraz gospodaruje stryjna Żelucha. Ja wam przyniosę jutro jedzenie, tatusiu - wmawiał się ojcu uradowany Józek.

- Nie trzeba mi jedzenia, synku. Mamy żarcia dość. Nikomu nie mów, żeś mnie widział. Ani stryjnie. Przyjdź tu w niedzielę rano o tej porze, gdy ludzie są na sumie w kościele. Tylko żeby cię nikt nie zobaczył. Weź koszyczek, że niby idziesz na grzyby. Ja tu będę czekał na ciebie.

Głaskał jaśniutki jak len włosy chłopczyka. Na pożegnanie dał mu trzydzieści złotych. - Kup sobie co za to. Stryjnie nie pokazuj. Nikomu nie mów, żeś to ode mnie dostał. Gdyby cię ktoś pytał o ojca, powiedz, że nic nie wiesz, gdzie się tatuś podziewa.

Ustalonym punktem zbornym Jaśka i jego kompanów podczas spokojnych, pogodnych dni było Cyłońskie Uwrocie w połowie drogi do grotty. Kompani leżeli, gnuśniejąc, na głazach lub mchach, nawet ciepłe noce przesypiając gdzieś obok, w gęstwinie. Trzeba było deszczu albo alarmu, aby ich stąd wyścigać na Kotlarczyska. Jeden Dziura był ciągle w ruchu, taką już miał żywotną naturę. Lubił wychodzić w słoneczny ranek na polany i siedzieć godzinami, zapatrzony w doliny. Czasem schodził aż nad zagrody Górnego Przyborowa, obserwując stamtąd życie wsi. Rankiem leżał pośrodku między łąkami żyta, wsłuchując się w gwizdanie skowronków, zawieszonych nieruchomo jak kamyczki nad głową. To najlepsza kryjówka w biały dzień, twierdził (poza lasem oczywiście), nawet gdyby się znaleźć w

samym centrum zabudowanego osiedla. Patrzył, jak długie wąsy kłosów kłuły gładki błękit; śledził w gęstym gaju cienkich żytnich słomek jaskrawe, czerwone plamy maków, niby płaty wielkich motyli, uwięzionych w locie; zachwycił się głęboką modrością bławatków, wystrzyżonych jak nożyczkami w fantazyjne wzory, oraz wysmukłymi biadolila kieliszkami kąkolu. Iluż ciekawych rzeczy można dopatrzeć się w zbożu! Pozbawiony ciepła ludzi, może właśnie w ten sposób odczuwać miłość do natury, jak dziecko czuje ją do matki? Niewątpliwie przyroda była dla niego czymś najbliższym, z czym żył się serdecznie.

Dziś w południe spotkał dwie kobiety jeleśniańskie, każdą w innym miejscu. Szły do Janosika, obie w tym samym celu. Nie poznały idącego, nie znały go w ogóle, aczkolwiek zrozumiały, że mają do czynienia z członkiem bandy.

- Ja znam Janosika - powiedział bez zająknięcia. - Jestem jego człowiekiem. Nie idźcie dalej, nie znajdziecie go. Z nim samym i tak nie mogłybyście rozmawiać. Ja tu pilnuję boru. Powiedzcie mnie, ja doniosę hetmanowi, co chcecie.

Niechętnie powierzyły swą sprawę niskiemu, zmarniałemu chłopcu. Dyrektor tartaku w Jeleśni zwolnił dwóch robotników, braci Szyberniaków, za komunizm podobno. Robotnicy zwołali zebranie, protestując przeciw wydaleniowi towarzyszy, a po zebraniu posłali do dyrektora delegację, aby przyjął z powrotem zwolnionych. Ten ani słyszeć nie chce o tym. Powiada, że gotów jest wszystkich robotników wydalić, tartak zamknąć, a komunistów nie przyjmie.

- Chłopi w Jeleśni powiadają: nie ma co, poślijcie wiadomość w góry do Janosika, niechaj on tę sprawę załatwi. Niejedną krzywdę już ludziom naprawił, niech i z tym zrobi porządek.

- I poszłyśmy obie - prawiała kobieta - każda inną drogą, aby przed harnasiem na naszą krzywdę się uzalić. Niech się o nas upomni. Ja jestem żoną starszego Szyberniaka, a tamta jest moją szwagrową.

- Dobrze - odpowiedział. - Powiedzcie ludziom w Jeleśni, że to będzie załatwione. Idźcie do domu.

To samo za pół godziny usłyszała druga spotkana kobieta. Tylko tyle, nic więcej. Przybywszy na górę, zrobił alarm.

- Idziemy z delegacją do dyrektora tartaku.

- Wszyscy?

- Wszyscy.

W mig zjedli obiad i ruszyli. W drodze wyłożył im całą sprawę, co, gdzie i jak. Gdy przemykali między chałupami górnego przysiółka jeleśniańskiego, parę osób pozdrowiło ich.



Nad samym wieczorem przekroczyli drogę schodzącą z Krzyżówek. Willa dyrektora tartaku stała na uboczu w obszernym ogrodzie; prawdziwie pańska rezydencja. Jasiiek pozostawił dwóch ludzi u wejścia przy parkanie, z dwoma zaś wszedł śmiało do wnętrza. Zadzwoił. Rozbłysło światło elektryczne w przedpokoju (nawet prąd z tartaku płynął dla oświetlenia dyrektorskiej willi). Stara kobieta uchyliła drzwi.

- Czego?

- Czy jest pan dyrektor?

- Nie ma. Wyszedł do nadleśnictwa.

- Kiedy przyjdzie?

- Późno. Zawsze wraca późno. O dziewiątej, może o jedenastej.

Mierzyła przybyłego podejrzliwym wzrokiem. - Ale pani jest w domu - napomknęła. Pożalowała wnet swej informacji. Janosik siłą rozparł drzwi, przepychając się do środka.

- To doskonale. Zobaczymy się wobec tego z panią dyrektorową.

Służąca aż krzyknęła z przestachu, gdy za pierwszym gościem wsunęło się dwóch opryszków. Pani domu, zaniepokojona głośną rozmową, wyłoniła się właśnie z pokoju w niebieskim lśniącem szlafroku; okazała, wytworna blondyna.

- Róziu, co to?

Uprzedził Rózię Jasiiek.

- Nic ważnego, proszę pani. Bardzo przepraszamy za najście. Mamy malutki interes do pana dyrektora.

- Mąż przyjdzie. Zaraz zatelefonuję - błysk strachu zamigotał w jej oczach.

- Nie trzeba telefonować - sprzeciwił się gość - Zostawimy mu kartkę.

Wszedł do pokoju. - Pilnujcie pod drzwiami - rzucił towarzyszom. - Pani pozwoli za mną. Proszę zaświecić - rozkazał. Zrozumiała, co się święci. Wyjął rewolwer z kieszeni, położył na biurku.

- Niech pani się nie rusza. Ja tylko napiszę do męża i pozostawimy panią w spokoju.

Patrzyła na niego przerażona, jak maczał pióro w atramencie i skrobał na świstku papieru:

„Obaj bracia Szyberniakowie mają być do trzech dni przyjęci z powrotem do pracy w tartaku. Inaczej tartak spłonie. Pańska willa także. Janosik”.

- To jest list do pana dyrektora - mówił z uśmiechem. - Niech mu pani nie zapomni go pokazać. Radzimy mu, aby zastosował się do naszej prośby. W przeciwnym wypadku zjawimy się tu jeszcze raz u państwa. Ale będziemy niegrzeczni. I zostawimy z tego domu kupę popiołu.

W rogu biurka zauważył dwie kasetki, jedną na drugiej. Otworzył górną, wybrał z niej wszystkie papierosy, ucałił jakiś papier, zawinał weń zdobycz, schował do kieszeni, odetchnąwszy z zadowoleniem. - Chociaż raz zapalimy sobie dobre papierosy!

W drugiej kasetce były pieniądze. Opróżnił ją dokładnie, zmiął banknoty w garści, włożył do drugiej kieszeni.

- Ależ to rabunek! - podniosła głos dyrektorowa.

- Skądże znowu rabunek? - zagruchał flegmatycznie. Złapał rewolwer, ostrzegając dobrotliwie: - Niech pani tylko, broń Boże, nie krzyczy, bo będę zmuszony uciszyć panią.

Otworzył szufladę, zobaczył akta i listy. Wtem wzrok jego padł na słuchawkę telefoniczną.

- Aha - zamruczał i jął przecinać drut nożem do papieru, leżącym na biurku. Bawił się tym dobrą chwilę, zanim skończył.

Odchodził uśmiechnięty uprzejmie. - Proszę pozdrowić od nas pana dyrektora. Gorąco polecamy naszą prośbę. I gratulujemy wyboru na prezesa straży pożarnej. Zapewne teraz nic nie stanie na przeszkodzie temu, aby pan dyrektor zajął się sprowadzeniem sikawki do Jelesni.

Wyjął klucz z zamka, wsadził z drugiej strony, przekręcił, po czym, świsnąwszy kluczem w krzaki, przemknął do furtki.

- Jazda! - huknął na towarzyszy.

Już w lesie będąc, zapalili egipskie papierosy dyrektora i zwolnili tempo. Księżyc wąskim okrawkiem filuternie przyświecał z góry. Z rozkoszą wyciągnęli się po północy w gąszczu na mchu w połowie drogi do Janickowego Domu.

W dwa dni później dowiedzieli się, że groźne imię Janosika zrobiło swoje. Dyrektor tartaku przyjął z powrotem braci Szyberniaków do pracy. Rozpowiadano niestworzone cuda o wizycie Jasia w dyrektorskiej willi. Pierwszy raz w ośrodku opowiadań znalazła się Turculina siostra, Różia, która z przedpokoju asystowała Janosikowemu rabunkowi. I to okraśliło wersję soczystym kolorem autentyczności. Ach, dopiero teraz jej siostrzyczka rozpuściła sobie język!

W niedzielę w południe na Gajdową Polanę wychodził Tramek z Maściakiem dla nawiązania kontaktu z miejscową ludnością; przyjmowali skargi, dokonywali wymiennych transakcji, zbierali wiadomości. Do Jaśka nie dopuszczano ludzi bezpośrednio, także spory rozstrzygał najczęściej za pośrednictwem Tramka.

Z początku niektórzy buntowali się przeciwko jego decyzjom. Ale kilka doraźnych represyj ze strony czarnych chłopców uciszyło najbardziej zawziętych. Tłumili złość w sobie,

nie śmiać głośno sarkać. Imię harnasia wiało grozą, niedobrze było z nim zaczynać. Mówiono, że w każdej chałupie miał szpiegów, których zjednywał terrorem albo pieniędzmi. Później już zwaśnieni godzili się natychmiast, ponieważ nie było żadnej apelacji od Janosikowych rozsądzeń, a ręce jego były długie. Kiedy radzono się go, czyby nie oddać do sądu pewnej zawikłanej sprawy, kazał zakomunikować przez Tramka:

- Nie groźcie nikomu sądem. Kto tam wejdzie, choćby był najczystszy, wyjdzie obłocony. Sprawiedliwość? Gdzież wy jej szukacie? Być w sądzie to znaczy wspólnie grzebać w kupie gnoju. Przy świadkach.

Któregoś dnia przyszedł Wojnar na Gajdową Polanę.

- Chcę się zobaczyć z Jaśkiem.

- Nie ma go - odpowiedziano mu. - Jest na czeskiej stronie.

- Chciałem go ostrzec.

- Co mu grozi?

- Policja z Żywca przygotowuje obławę.

- Niech przygotowuje. Od tego jest.

- Dwudziestu ludzi ma iść. Dwadzieścia karabinów! Czy wiecie, co to jest?

- Wiemy - odrzekli Tramek z Maściakiem jak na komendę. - To jest dwa razy po dziesięć.

- Mogą sobie jeszcze nagonkę wziąć - uzupełnił Tramek. Ale zasepiona twarz Wojnara nie dała mu spokoju. Odciągnął go na bok.

- Chodźcie ze mną.

Zaprowadził go w las pod Przegibem. - Zaczekajcie tu. Przyjdę za pół godziny.

Jasiek leżał w Cyłońskim Uwrociu, obserwując jastrzębia, który się woził nad borem. Świat był tu tak cichy, jak gdyby składał się tylko ze słońca i z ciemnozieleni; z dwóch bezcielesnych, bezgłośnych żywiołów. Dzień za dniem zapadał w knieję jak w pustkę, jak kropla deszczu w staw.

Przywitał się z Wojnarem serdecznie. Zapalili papierosy.

- Mówcie.

Słuchał uważnie, gdy tamten opowiadał. - Kiedy mają wyruszyć?

- Tego nie wiem dokładnie. W przyszłym tygodniu.

- Znikniemy stąd na przyszły tydzień. Na następną niedzielę od tej, która będzie, przyjdźcie do Władka Juraszka na Głuchaczki. W południe. Ja tam zagładnę.

Pogadali jeszcze o sprawach chłopskich. Wojnar (który to już raz?) zaczął go kusić.

- Zerwij, Jasiek, z rabunkiem. Zgłoś się do prokuratora, będzie sąd, zapłacimy

adwokatów. Odpokutujesz, wrócisz do społeczeństwa oczyszczony.

- Nie. Nic mnie tam nie ciągnie. Tam jest nowy świat, którego ja nie rozumiem. A tu jest stara swoboda, której oni nie zdołali jeszcze zamordować.

Tej nocy upojnie niósł się powietrzem zapach siana. Jasiak siedział na polanie z Zośką, wpatrując się w gwiazdy.

- Odejdiesz stąd? - starała się przeniknąć jego oczy.

- Dlaczego pytasz?

- Czuję, że porzucisz te strony.

- Wrócę - odparł krótko.

Położył się na trawie, spoglądając z ulgą w niebo. Głaskała go po głowie, wodząc palcami po miękkich, gęstych włosach; mogłaby je czesać godzinami. Dotykając jego czupryny, myślała z boleścią, czy tak samo pieściła go i pieści Walerka od Pasika. Chciała go zapytać o tę dziewczynę, lecz za każdym razem brakło jej odwagi. Ileż by dała, aby usłyszeć od niego słowa, których tak bardzo pragnęła! On zbywał ją zawsze obojętnymi zdaniem. Miała sto pytań, sto gotowych słów, którymi chciała go zasypać, a wystarczyło jedno spojrzenie jego oczu, aby jej myśli pomieszać.

Znowu odejdzie w las na poniewierkę, znowu będą go tropili policjanci. Już nie wiadomo, czego mu życzyć, czy żeby nie wychodził z boru i nie narażał się, czy żeby częściej się z nią widywał.

Nie leżał długo. Zerwał się nagle, jakby sobie coś przypomniał. Istotnie, przypomniał sobie słowa znachora: „Synu matki-kaleki”. Skąd Kudłoń wie o jego matce? I zaraz potem pomyślał o ostrzeżeniu ślepego: „Trzymaj się z dala od dziewcząt”.

- Już idziesz?

- Już.

- Dlaczego nie chcesz dłużej zostać ze mną? Źle ci?

- Dobrze mi, ale szczęście nie trwa długo.

- Kiedy się zobaczymy?

- Przyjdę jutro.

- Mówiłeś, że odchodzisz z tych stron.

- Jeszcze jutro zobaczę się z tobą.

Nie zobaczył się z nią oczywiście. Nazajutrz bowiem przenieśli się z Cyłu na Okrutnicę. Spali przez cały dzień w smreczkach, pod wieczór wyszli. Wcześniej wzeszedł księżyc, dobiegający pełni; wysrebrzał postacie zbijaków, odziewając je w białe zawoje.

Kamienne wielkoludy brodziły po polanach w poświęcie, jakby pływając w falach miesięcznego mleka. O północy przechodzili przez Lipowską. Następnego ranka wleźli do dziury Wańkowej, rozpalili ogień, posilili się. Nie mogli się zmieścić w jamie; tyle potężnych, rozrosłych ciał. Siedzieli skuleni, jak śledzie w beczce. Były gospodarz tego przyciasnego lokalu poczuł się w obowiązku obsłużenia gości. O zachodzie słońca zszedł do Rycerki w towarzystwie Michonia i, zgwitzdawszy się na polance z rodzicami, zabrał od nich koszyk z chlebem, kiełbasą, serem i mlekiem. Równocześnie za pośrednictwem ojca popełnił drobne szaleństwo: kupił pięć setek papierosów i beczkę piwa w karczmie. Przez ten czas pozostali towarzysze przysposobili legowisko: pogłębili jamę, nadarli mchu na podściółkę, nanieśli wody; wśród krzaków składali drzewo na ogień. W jamie nie można było palić, gdyż udusiliby się.

Beczka piwa pozostała tajemnicą Wańka i Michonia. Waniek niósł ją na plecach. Zaledwie weszli w las, odbili kamieniem szpunt i pili na umór. Po kilku kilometrach wyrzucili ćwiartówkę do wąwozu. Zapaliwszy papierosy, maszerowali w ciemnej gęstwie, dwa jarzące ogniki pod zasłanym chmurami księżycem.

Cały następny dzień leżeli w jamie, spali, kopcili dymem tytoniowym, gawędzili. Na trzeci dzień zbiegł Waniek znowu do Rycerki, aby przynieść prowiant i zasięgnąć języka. Na dole był spokój. Nożyczki przyniesione od Wańkowej matki przemieniły pięć kudłatych czupryn w porządne fryzury.

We wtorek wybrał się Michoń pod Pilsko dla zbadania terenu. Może już teren babiogórski wolny od obławy, może już uspokoiło się wszystko. Zamierzał się pokręcić koło chałupy, bo zatęsknił za synem. Umówił się z nim dwie niedziele temu na Krzyżówkach, ale jakoś spotkanie zawiodło. Nie wrócił na noc z wywiadu, myślano, może śpi w borze, nie chce mu się po ciemku przebijać przez gąszcze. Pojawił się dopiero nazajutrz koło południa, zadowolony, uśmiechnięty.

- Spałem w domu - powiedział.

- No, no, uważaj na siebie, Michoń. I na nas. Powiedziałem ci już raz: dom cię nic nie obchodzi. Obława była?

- Nie. Dopiero się stroi. Witkowski był w niedzielę w Żywcu, wezwany telefonicznie. W piątek ma Witkowska mieć u siebie komendanta z Żywca na nocleg.

- To znaczy, że we czwartek pójdą - wtrącił Tramek. - Bo policjant lubi się zawsze dobrze wyspać po obchodzie.

- I dwie fury zamówione są u chłopów na stację w Jeleśni.

- Na kiedy?

- Na środę lub czwartek.  
- Zgadza się.  
- Dwie fury to mało - mówił spowity w kłębach dymu Maściak.  
- Niektórzy przyjadą rowerami.  
- A my się ruszymy na Orawę - klasnął w dłonie Janosik. - I tak za długo leżymy beczynnie. Dziś wieczorem wychodzimy.

Rzucił się na posłanie i przez dwie godziny nie mówił nic. Leżał, rozmyślając. Kompani przypuszczali, że usnął. On zaś z zamkniętymi oczyma układał w myśli trasę i szczegóły wyprawy.

Nienadzwyczajnie powiodło się Jaśkowi i jego kompanom na orawskim skoku; przepędzono ich ze zdrojowiska w Polhorze, ledwo uciekli z życiem, łup zebrawszy mizerny; zmienne jest szczęście rabusia. Przenocowali na klepisku stodoły w Mutnem u gajowego Liska, który się trudnił przemysłem; to był ich człowiek.

Rankiem Jasiek wyprawił kolegów w drogę. - Mam tu coś załatwić w okolicy - przymknął filuternie jedno oko. - Idźcie sami na Okrutnicę, spotkamy się na miejscu.

Tramek pojął intencję wodza. Uśmiechnął się i kazał sobie dodatkowo usmażyć jajecznicę z sześciu jaj. Wiedział dobrze, z kim Janosik będzie się widział dzisiejszego wieczora.

Było południe. Nabijając ścieżką w gąszczu, omijał harnaś rozłożoną wśród polan wieś Nowoć. Popatrzył na zegarek, przebył chyba milę; na tym pustkowiu jedna wieś od drugiej daleko.

A Herdućka od Nowoci jeszcze dalej. To najwyżej położona wieś orawska. Orientował się po wierchach. Nie szedł jeszcze tędy od wschodu. Droga ich prowadziła zawsze odwiecznym szlakiem granicznym: południowo-zachodnim. Ależ te dni letnie są długie! Zwolnił kroku, przecież to spacer. Nagoniły się jego nogi dość w tym krótkim życiu. Nieraz żartował sobie wobec towarzyszy, że dlatego nie urósł wyższy, bo nogi zdarł na wędrówkach. „Gdybym tylko porachował te mile, które zrobiłem, koło krów chodząc - wspominał - pewnie bym do Ziemi Świętej zaszedł.”

Z Nowoci trzeba było przemierzyć jeszcze parę kilometrów. Gdyby ich było dwadzieścia, pobiegłby i tak do dziewczyny bez wahania. Nie zapomniał swej pierwszej przygody w Herdućce. Nie zapomniał pocałunków Jagi na skraju lasu owego jesiennego wieczora. Pół roku się nie widzieli. Czy też ona przypomni go sobie?

Miał szczęście tego dnia. Jeszcze nie doszedł do leśniczówki, z której należało

zboczyć w prawo do wyrębu, kiedy otworzyła się przed nim hala. Oznajmiała się mu jeszcze w lesie dzwonieniem trzody.

Zobaczył na polanie dorodną pasterkę. Poznał, nie darmo miał oczy jak jastrząb. Tak piękną dziewczynę pamięta się długo. Pasła czarne, krętowłose owce i przędła wełnę. W lewej ręce trzymała na patyku duży pukiel czarnej strzyży, a poślinionymi palcami prawej ręki wywijiała z gęstwy grubą nić. Jak błyskawica przeszło mu mózg wspomnienie obraz Zośki z Cichego, robiącej sweter z wełny podczas pasienia krów.

- Jaga! - krzyknął, przywracając się do przytomności

Przestraszyła się. Długo wpatrywała się w niego, jakby nie wierząc swoim oczom. Podchodziła doń śmiało, lecz powoli.

- Poznajesz mnie? - zapytał ją.

- Poznaję. Tyś raubsic z Polski.

- Przykrzyło mi się za tobą. I przyszedłem do ciebie.

- Ja o tobie myślałam.

- Pewnie ci się śniłem - zadrwił.

- Już mi się nieraz śniłeś - odpowiedziała poważnie.

Zaśmiał się hucznie, obejmując ją w uścisku. Drżał cały, sam nie wiedząc czemu.

- Rewolwer masz? - na pół spytała, na pół stwierdziła dziewczyna, obmacując mu kieszeń.

- Mam.

- Tyś z bandy Janosika - rzekła, jakby oznajmiała fakt dobrze jej znany.

- Skąd wiesz?

- My wiemy wszystko.

- A Janosika znacie?

- Znamy.

- Skąd? Widzieliście go?

- Nie. Ludzie o nim opowiadają. Był parę razy na Orawie. Teraz także pewnie jest, skoroś ty tu.

- Tak. Teraz też jest - odparł i umilkł.

Obserwował ją pilnie, jakby ją dopiero świeżo poznawał, jakby się uczył jej rysów na pamięć. Widzi ją po raz drugi w życiu, a po raz pierwszy ogląda w jasnym świetle dnia. Włosy koloru ciężkiego złota, ciemnomiedziane warkocze spadają na plecy, rozdział na środku głowy. Cera śniada, także jakby złotym proszkiem przysypana. Twarz pełna, wargi zmysłowe, wilgotne. Oczy czarne. Dziewczyna bujnie rozrosła, wysoka. Piersi pełne. Biodra

w chodzie uwydatniają się miękko, leniwie.

Pieścił jej twarz delikatną, smagłą, całował jej oczy głęboko ciemne.

- Gdzie macie koszar?

- Za lasem, w niższej hali.

- Szałas czy zagrodę?

- Szałas.

- Sama pasiesz?

- Nie. Z bratem. Ale brat ciupie drzewo.

- Nocujesz w szałasie?

- Tylko czasem, jak deszcz pada, zostaje się przy owcach. A tak schodzimy do domu.

Pół godziny drogi stąd.

- Kiedy brat przyjdzie?

- Gdy się będzie ściemniało. Pomoże mi zagnać. Kiedy idzie do góry, zawsze huka.

Która godzina? - spytała, zaciekawiona jego zegarkiem.

Spojrzał dumnie na zielone cyfry tarczy. - Pół do ósmej. Chcesz już pędzić?

- Nie. Gdy się zmierzcha, owce same idą na dół. Tak się tylko pytam. Człowiek żyje całymi miesiącami i nie wie nigdy, która godzina. Nie jesteś głodny? - wyszczerzyła zęby w uśmiechu. - Tak jak tamtym razem?

- Nie. Jadłem obiad niedawno.

- Zejdiesz do nas na wieczerzę.

- Nie - zaprotestował. - Pożegnam się z tobą, jak tylko brat będzie hukął.

- Dlaczego? - zdziwiła się. - Czy już musisz odejść? Sam jesteś?

- Sam. Ale nie chcę, aby mnie ktoś widział.

- Nie bój się. My ludzie z lasu. Pomożemy ci. Przejdiesz od nas do granicy przez Lehotę, zamiast przez Madohorę. Brat cię odprowadzi, to niedaleko. Pójdiesz ze mną do chałupy, zjesz z nami wieczerzę. Śpieszysz się?

- Nie.

- No, to zostań - namawiała go. - Możesz się śmiało przespać u nas. Mój ojciec jako chłopak chodził na zbój do Polski. Aż po Żywiec.

Przemógł niechęć i zgodził się.

- Pójdę z tobą.

Kiedy odezwało się hukanie, zeszli w dół z owcami, które zaganiał sprytnie brytan liptowski, wielki jak ciele. W lesie spotkali brata. We trójkę zamknęli trzodę w szałasie, zostawiając ją pod opieką psa-owczarka. W milczeniu sunęli ku domowi. Wnet znaleźli się w



niskiej, szerokiej izbie. Zasiedli za stołem. Ojciec - wysoki, dorodny góral o długich włosach, matka - zgrabna, drobna brunetka, syn - zwalisty, rasowy młodzian i córka - najpiękniejszy kwiat tego domu. Zaczęli mówić bez wstępów, bez znajomości, jak gdyby dawno się znali.

- Na zbijanie chodzisz? - spytał Jaśka stary..

- Tak.

- Sam?

- Nie. Z chłopcami.

- Gdzieście byli?

- W Polhorze.

- Jaga mi mówiła - ciągnął ojciec - że cię zdybała przed paru miesiącami na polowaczce w lesie. Jakbyś potrzebował czego, przyjdź do nas. Ja za młodu też zbijałem - uśmiechnął się. - Chodziło się do Polski. Na Żywiec, na Węgierską Górkę. Jeszcze przed wojną światową, jak my tu do Węgier należeli.

Zajadali kolację w milczeniu, taki panował tu surowy, dawny zwyczaj podczas jedzenia. Jaga spozierała na gościa zachwyconym wzrokiem, on zaś siedział skromny, cichy, jakby zakłopotany. Wyjął złotą papierośnicę, częstował papierosami.

- Palcie. To pańskie papierosy - po czym złapał się za kieszeń, wyjął pierścionek z zielonym, skrzącym kamieniem. Podał go dziewczynie.

- Weź, Jaga. To dla ciebie podarunek.

Zapłonila się. Ojciec dodał jej odwagi. - Weź, jak ci harnaś daje.

Jasiek włożył jej na palec pierścień. Był za duży. - Włóż na średni palec.

Rozgadali się.

- Janosik jest z wami? - spytał ojciec.

- Jest - odpowiedział gość krótko.

- Jak on wygląda? - dowiadywał się gospodarz. - Tu dużo o nim mówią.

- Jak ma wyglądać? Wysoki, postawny, chłop jak dąb.

- Ja myślę - potwierdziła matka.

- Podobno ma straszną siłę w ręce.

- Silny jest.

- Ma dwa rewolwery, które nigdy nie chybają.

- Wszyscy nosimy po dwa.

- Jego podobno się kule nie imają - wtrącił się małomówny syn.

- Tak mówią - uśmiechnął się przybysz z Polski. - Rzeczywiście, już wiele razy do niego strzelano i nigdy jeszcze nikt nie trafił.

- Tu o nim powiadają, że on moc dobrego ludziom robi. Spalił podobno policję w Jeleśni za to, że jego współnika pobili policjanci na śmierć.

- To prawda - stwierdził zwięźle młodzieniec.

- Żebyś był młodszy, przystałbym i ja do niego - westchnął stary. - Dobrze to były czasy! - zatarł ręce. - Podobno jego chłopcy to same wielkoludy, na jego miarę?

- No, nie wszyscy - odparł z zażenowaniem młodzik.

- Widzę. Boś ty na widok niestraszny. Ilu was jest?

- Ośmiu.

- A taki mały jest jeszcze który?

- Jest nas takich dwóch.

- A sześciu drągali. No, ty tam swoją siłę musisz mieć. Zresztą wy dwaj do czego innego jesteście potrzebni; do sprytu, odwagi, zręczności. Po oczach widzę, żeś szumny zbój. Inaczej by cię hetman nie wziął.

- Pewnie - brzmiała cierpliwa odpowiedź.

- Polska... ładny kraj - przerzucił się Orawiak na inny temat. - W czasie wojny przeżyłem u was prawie całe dwa lata. W wojsku. Byłem w oblężeniu Przemyśla. Pod Gorlicami o mało mnie Moskale do niewoli nie wzięli. Drugim razem także im sprzed nosa zwałem na Wołyniu. W Borowiczach nad Styrem. Po jednej stronie my staliśmy, po drugiej Moskale. Rzeka nieduża, ale głęboka. Przez wodę rzucaliśmy sobie chleb, gdy staliśmy na warcie. Tak było przez trzy miesiące. Aż przyszli do linii Czerkiesi zamiast warszawskich pułków. To były zażarte diabły. Już nie można było z okopu głowy wychylić, bo zaraz strzelali. A sztuki na koniach robili, aż się słabo robiło. A - machnął ręką - dużo rzeczy się widziało! Byłem we Lwowie, w Krakowie; śliczne miasta, duże. I Polacy ludzie porządni...

Znów zaczął snuć szczegółowe wojenne wspomnienia z Galicji, aż opamiętał się, że późna godzina. - Już północ dochodzi - porwał się z ławy. - Trzeba ci pościelić, prześpisz się. Jak ci na imię?

Gość odparł spokojnie, patrząc w twarz gospodarzowi:

- Jasiak.

- Czy chcesz może iść do swoich?

- Moi przeszli na tamtą stronę. Tylko ja zostałem. Prześpię się u was.

- Jak chcesz, Józek podprowadzi cię rano na Lehotę.

- Nie trzeba. Sam trafię. Gdzie mam spać?

- Na górce w stodole. Z Józkiem. Jakbyś był kiedy w tych stronach, u nas masz zawsze dom.

Jasiek wyszedł na dwór. Była rozgwieżdżona pełnoksiężycowa noc. Starzy poszli spać. Gospodyni zdążyła mu wcisnąć na śniadanie dwie pajdy chleba, grubo posmarowane twarogiem. Na strychu szeleścił w słomie Józek. W sieni poczuł Jasiek koło siebie ciepłe ciało Jagi, napięte jednością pierwszej młodości. Drżała. Objął ją ramieniem mocno a delikatnie, jakby używając jej jednocześnie obrony i czułości. Całowali się namiętnie, jakby w przeczuciu długiego rozstania.

- Już muszę iść - skarżyła się. - Kiedy wyjdiesz rano?

- Wczas. O świtaniu.

- Pożegnaj się ze mną. Kocham cię. Nazywasz się u mnie Północny Jasiek. Bo z północy przyszedłeś.

Raz jeszcze przywarła do jego ust i odbiegła. Usypiał, zmożony tą miłością. Na rękę tykał mu tuż przy uchu zdobyczny zegarek, fosforyzując zielonkawo cyframi w słomie jak gniazdo robaczków świętojańskich.

O świcie, kiedy jeszcze wszyscy spali, zerwał się z posłania i pomaszerował. Nie wznosił się ku Lehocie, jak mu radził ojciec Jagi, lecz kierował się na Madohorę. Miał niechęć do szlaków cudzych, przez siebie nie schodzonych. Ptaki śpiewały bez wytchnienia w gałęziach. Wstawało wczesne słońce, czerwonozłote.

Jaga wyganiała właśnie owce z koszar. Przed oczyma stał jej jak żywy Północny Jasiek. Tak go sobie nazwała. Tylu chłopców na schwał uwijało się koło niej. Kiedy schodziła raz na miesiąc do kościoła w Nowej Bystrzycy albo na targ do Namiestowa, cała gromada rosła koło niej. Same dębczaki, a ona pośród nich, śmigła brzoza, w śnieżnych pianach koszuli z kryzą, ubroczonej gwiazdeczkami czerwieni. Aż ćmiło oczy, gdy na nią popatrzeć.

I teraz jakiś przybłęda z północy, mały, szczupły, jakby dwa lata głodował, zjawił się przy niej na chwilę. I uciekł. Dlaczego tęskni za nim? Dlaczego myśli o nim? Swatano ją za Słowaka z sąsiedniej wsi, z Klina Zakamiennego. Chłop był bogaty, przystojny, niestary. Ale ona ciągle widzi przed sobą oczy Jaśka z Polski. Północnego Jaśka.

Także i chłopiec w drodze myślał o Jadze. I wtedy, podnieconego urokiem wspomnienia, nawiedziła myśl szalona, godna jego zuchwalstwa: nie wracać na Okrutnicę, pójść jeszcze raz samemu głębiej na wschód, do Namiestowa. Już raz tam był na rabunku. Tam mieszkają zamożni Słowacy i Niemcy. Nie to, co biedota, rozprószona w kurnych chałupach po górach. Tam można się obłowić.

Za Herducką na wschód rozsiadł się Klin Zakamienny, zabudowany gęsto obok drogi. Studnie skrzypią, pasterze śpiewają przy krowach, pięknie śpiewają. Jasiek nasłuchuje:

„Język prawie nasz, ale melodia piękniejsza od naszych". Pamiętał tę wieś z pierwszego pobytu w Herdućce; przez pomyłkę wziął ją wtedy za Mutne. Powiódł okiem po słonecznych, żyznych stokach Orawy. Za nim, na północ - góry, lasy, bieda, dzikość. Przed nim, na południu, rozpościerała się zieloność, piękno, bogactwo.

Wparł się w bór. Do Namiestowa! Lasy są po to, aby się w nich kryć. Za trzy kwadransy ukazały się w lewo przypadłe do zarosłych zboczy chatki wioski Benedyków. Z dala migąła w dolinie potoku równoległe doń idąca biała wstęga drogi. Usiadł na wyrębie, obserwując w dole pustą szosę. Na horyzoncie wykluwały się z odległości niecałej mili wieże Namiestowa.

Przybliżył się ku samej drodze, leżąc w krzakach, patrzył. Ogarniało go słodkie lenistwo. Przemknęło z góry w kurzu auto. Ktoś w Polhorze nastraszył się wczorajszego rabunku i zwiewa z wakacyj. Nisko nad lasem zataczała koła wielka czarna kania. Janosik grzał się na skraju polany, myśląc o Jadze.

Od drogi nawiewało echo gromadnego chóru. Na platformie ciężarowego auta przejechało kilkunastu żołnierzy, wzniesając za sobą chmurę kurzu. Przewionęli ze śpiewem na północ, w górę, ogarnięci gwałtownym obłokiem kurzawy. „Pewnie zmieniają straż graniczną" - pomyślał obojętnie. Albo - może wzmacniają? Zainteresował się tym. Jadą do Polhory. Pewnie dano znać stamtąd o napadzie zbójów. Może nawet będzie oblawa, skoro zaalarmowano Namiestów, że banda napadła na zdrojowisko polhorzańskie? Wstał. Postanowił jednak wycofać się ze względów ostrożności. Nie opłaci się ryzykować. Dla jednego pierścionka więcej lub kilkuset koron jeszcze stawić czoło dwudziestu uzbrojonym wrogom? Trzeba wracać przez Herdućkę ku Okrutnicy. Czeska straż gorsza od polskiej; bije i głodzi w areszcie, zwłaszcza gdy dorwie do rąk Polaka. „Oni nas nie lubią." Dotknął ręką obu rewolwerów, wyszedł na skraj młodego gaju. Nie stracił dobrego humoru, choć po raz pierwszy zrezygnował z zamierzonego planu.

Nagle usłyszał tętent galopu końskiego. Odwrócił się. Drogą pędziły dwa konie; jeden niósł jeźdźca, drugi biegł luzem. Zwolniły tempo. Szosę przecinał w tym miejscu mostek. Rumak zarżał triumfalnie, czując wodopój. Żołnierz zatrzymał się, zeskoczył z siodła, sprowadził konie do strumienia. Drugi koń, luzem idący, należał widać do szlachetnej rasy. Osiodłany wystawnie; skóra i lśniący nikiel. Wszystko błyszczało na rzędzie - pański koń.

Widok złotego gniadosza, zwycięsko rżącego przed chwilą, znęcił Chłopaka z Lasu. Zawsze przecież lubił konie.

Tego konia weźmie sobie. Już raz ogarnęła go podobna myśl, której śmiałość przekraczała granice zdrowego rozsądku. Kiedy na rampę kolejową w Suchej przyszedł go

aresztować Witkowski, młodzieniec zobaczył lśniąca kolbę jego brauninga, wystającą z futerału za pasem. „To będzie mój rewolwer” - błysnęło mu coś w mózgu. I rzeczywiście, rewolwer Witkowskiego nosi dziś w lewej kieszeni.

- Ten koń będzie mój - uprzytomnił sobie na głos, wychodząc z krzaków na skarpę. Żołnierz przyglądał się przybyszowi tępo, bez cienia zaciekawienia, nie mówiąc już o podejrzeniu. Młodzieniec kiwnął głową wojskowemu na znak pozdrowienia, tamten odpowiedział tak samo. Przybysz wyjął papierosy z kieszeni, poczęstował nieznajomego. Zapalili. Jasek z podziwem oglądał wierzchowca, klepał go po lśniącym, wypielegnowanym zadzie.

- Piękny koń - odezwał się.

- Harny - odpowiedział tamten.

Pech zrzucił, że drogą jechał jakiś wyrostek na rowerze. Rabuś rozejrzył się, poza tym droga była pusta. Koń rzeczywiście cudny jak marzenie. Luzak wyprowadził napojone konie po skarpie na szosę. U pasa przypięty potężny pistolet. Poprawił strzemiona, już miał wsiadać. Złotogniady niespokojnie potrząsnął głową, z politowaniem patrząc na swego karego kompana, opiętego marnym żołnierskim popręgiem. U niego rząd świecił od bogactwa.

Rowerzysta przejechał, nie zwróciwszy na nich uwagi. - Dla kogo ten drugi koń? Ten ogier? - zapytał, aby zająć żołnierza rozmową.

- To prezent sprzed roku od madziarskiego hrabiego, osiadłego w Szczyrbie, dla siostrzeńca, rotmistrza huzarów z Namiestowa. Rotmistrz udał się na dwa dni do przyjaciół, bawiących na wakacjach w Polhorze. Dziś właśnie ma wrócić do garnizonu i dlatego wysłano mu luzaka z koniem.

Cyklista zniknął na zakręcie drogi. Ordynans włożył lewą nogę w strzemię i nagle zwałił się na trawiasty brzeg szosy pod potężnym ciosem Janosikowej pięści. Lewa ręka napastnika chwyciła momentalnie za cugle. Gniadosz wstrząsnął się nerwowo, rozdał chrapy, przestraszył się.

Harnaś pochylił się nad leżącym - uderzenie w skroń ogłuszyło go. Rozpiął mu pas wraz z pistoletem. Jakiś grat starej daty; cisnął nim pod mostek. Zaciągnął szybko oba konie w las. Karego przywiązał na skraju do cienkiej brzozy, tak aby go zobaczono z drogi, hrabiowskiego zaś gniadosza poprowadził w głąb. Uważnie podziwiał jego doskonałą budowę, zawierając z nim powoli znajomość. Gładził go po szyi, dotykał nozdrzy, przemawiał do niego czule. Koń był gniadokasztanowy, aż złoty.

- Złoty! - Janosik popatrzył mu w oczy. Zwierzę spoglądało wyraziście, niemal po

ludzku. - Złoty mój, Złoty! - powtórzył człowiek. Ogier zastrzygł uszami, spodobał mu się ten dźwięk.

Opryszek wskoczył nań lekko, przycisnął łydki, usiłując mu nadać chód. Rumak drgnął jak rażony prądem. Oparł się. Nacisk w strzemionach wzmógł się. Człowiek jest przecież panem świata, a więc władcą zwierząt. Nie było reakcji. Łydki ugniatały zebra końskie coraz wydatniej, ogier cofał się kapryśnie, łamiąc zadem krzaki. Na próżno ściągały go cugle; targał łbem, wierzgał tyłem, tańczył.

Chłopiec nachylił się nad jego uszami. „Złoty, Złoty” - namawiał go, głaszcząc twardą szyję. Jednocześnie uciskał mu brzuch obcasami. Koń pojął, czego chce człowiek, ale nie dał się przymusić. Dumne bydlę. Zadarł łeb od nagiego ściągnięcia cugli. Ruszył żywego stępa, lecz w odwrotnym kierunku, niż chciał Jasiek. Niecierpliwie potrząsał głową, jakby wyraźnie protestując: „Nie” - i przeszedł w kłus. Za nic w świecie nie chciał biec na północ. Ciągnęło go do ojczyzny. Spięty w pysku wędzidłem, aż wykrzywiony, okręcał się w kółko jak na cyrkowej arenie. Pchał się w najgorsze krzaki, sądząc prawdopodobnie w złośliwym sprycie, że zrzuci jeźdźca w tej ciasnocie, że go przygniecie do pnia albo gdzieś straci po drodze.

Przystanął, szarpnięty silnie wodzami. Jasiek zeskoczył z siodła, poklepał szyję zwierzęcia. - Złoty, Złoty!

Gniady ogryzał z wdziękiem młodziutkie listki krzewu. Spoglądał rozumnie na swojego prześladowcę, jakby chcąc wyczuć, czy ten zaniecha dalszej próby.

Niestety, nie zaniechał. Wkupywał się w łaski zwierzęcia, klepał je po łopatce, głaskał po pysku. Dopiął popręgu, poprawił strzemiona, ponownie wskoczył na siodło. Znów rozpoczęli zmaganie. Złotogniady przebierał nogami nerwowo, jakby z rozpaczą, cierpiąc na sobie jeźdźca. Obcasy znów uderzyły w jego brzuch, dotkliwie, boleśnie. Ogier wstrząsnął się, położył uszy po sobie i poniósł. Rwał wśród liściastego młodnika, od czasu do czasu otrząsając się w skoku na czterech nogach równocześnie jak znarowiona krowa; Janosik musiał kurczowo ucześcić się grzywy, aby nie zlecieć. Koń, targany wędzidłem, mknął dalej na oślep pod gałęziami, nie zdołał jednak zrzucić z siebie nieproszonego gościa.

Z kwadrans trwała ta wspólna utarczka; zmęczeni się nią obaj. Jeździec wypuścił strzemiona, ześliznął się na ziemię. Gniadosz szeroko rozdymał chrapy ze złości, dyszał. Młodzieniec przytulił głowę do jego pyska, owionęło go ciepło najdelikatniejszego jedwabiu. Głaskał smukły łeb zwierzęcia, przemawiając łagodnie do jego wrażliwych uszu. Przyłożył usta do nozdry, jak do najczulszego egzotycznego kwiatu, palcami lekko wodził po dolnej wardze, obrosłej wiotkim puchem; zjednął sobie konia pieszczotą.

- Złoty! Złoty! - ta nazwa narzuciła mu się nieodparcie, jakby tak wołał go od wielu

lat. I koń przyjął chętnie to nazwanie.

Jasiek ponownie znalazł się w siodle. Ogier nie przestawał szaleć. Teraz szedł, bo żywotność i podniecenie nie pozwalały mu stać na miejscu, ale jak szedł! Za żadną cenę nie chciał przejść ze stępa w kłus.

- Udaje dziada, ale ja nie głupi.

Koń włókł się rzeczywiście jak wół w zaprzęgu.

- Nie dam się nabrać - Jasiek wypuścił nogi ze strzemion, wioząc się wolno jak na spacerze. Gładził mocarny kark konia, klepał go po zadzie, jednym słowem, był z niego zadowolony. Postanowił wziąć go na przetrzymanie.

Aż i Złotemu znudziła się ta rola. Jęknęła ziemia, gdy ruszył z kopyta. Strząsnął z siebie jeźdźca jak niewygodną muchę. I stał, spozierając na trawę, skąd Jasiek porwał się natychmiast w obawie, że go koń zmiążdży. Uczępił się strzemion, przemawiając pieściwie do Złotego, i w jednej sekundzie chybnął znów na siodło. Ogier skręcił się dookoła krzaka, otrząsając się z obrzydzenia. Chłopiec trzymał mocno cugle w garści, a górny łęk siodła w palcach drugiej ręki. Zaparty nogami w poprzęgu, tkwił przylepiony do konia, nie przestającego tańczyć. Ściągnął wędzidło - może koń pójdzie. Ogier wspiał się na przednie nogi, jakby tresowany w cyrku, i opadł na ziemię. Człowiek ani drgnął w siodle. Koń rzucał się po krzakach w prawo i w lewo, jak gżące się ciele. Nie pomogło. Jasiek triumfował.

Złoty zastrzygł uszami, puszczając się w galop. Jeździec nie dowierzał mu, z wolna tylko rozluźniając wędzidło. Po dwustu metrach galopu ogier zarył nagle kopytami w mech i Jasiek zleciał siłą pędu i nagłego zahamowania, wyrzucony jak z procy regularnym łukiem. Rumak z rozwianą grzywą obejrzał się na leżące ciało, kładąc uszy po sobie, rozwścieczony. Dziwne; nie uciekał wcale od jeźdźca, nie cierpiał go tylko na sobie. Cały kwadrans trwało następne oblaskawianie zwierzęcia. Dał się namówić na świeżutki zielony pęd rokity, której mięsiste liście zapachniały mu z daleka.

Jeszcze ogier dobrze nie przełknął gałązki, kiedy Jasiek już znalazł się w siodle. Bydlę z gałązką w pysku prysnęło nagle w powietrze, opadając sztywno na nogi. Jeźdźcem zakołysało w bok, aż ręką złapał strzemię, udało mu się jednak zostać w łuku. Koń otrząsnął się, podobnie jak to czyni pies po wyjściu z wody, aż zadźwięczały łańcuszki wędzidła, i ponowił swą sztukę skoku na cztery nogi. Dwukrotnie spadał bez rezultatu, gdy runął za trzecim razem, trzasnęły krzaki miażdżone kopytami i Jasiek wychynął z siodła łagodną parabolą, osiadając w jałowcach. Zwierzę znów zwyciężyło człowieka.

Zrezygnowany jeździec prostował bolący krzyż; nachylony, zajadał wokoło rosnące borówki. Koń obserwował go spode łba. Nie uciekał, wpatrywał się w swego prześladowcę.

Uparta bestia. A przecież to koń wojskowy. Wyglądało tak, jakby od człowieka przechodziły w konia fluidy dzikości i buntu. Musieli oboje zasłużyć na siebie.

Wolno podchodził zbój do konia. - Złoty, Złoty! - wabił go. Koń zadarł głowę nieufnie, wysoko, nieruchomy jak miedziany posąg. Oczy rozumne, niemal ludzkie utkwili w człowieku, zastrzygł uszami. Nie dowierzał. Jasiak wyciągnął prawą dłoń w stronę jego pyska. Górna warga, jakby z delikatnego aksamitu, czujnie zadrgała; nozdrza obwąchały ludzką dłoń. Ogier zarżał lekko i smutnie. Może był to sygnał przyjaźni? Może przekonał się wreszcie do człowieka?

Jasiak odchodził. Koń pokazał mu swoją siłę, teraz niech ulegnie duchowi człowieka. Z odległości paru metrów rozległo się nawoływanie:

- Złoty! Złoty! Złoty!

Zwierzę ruszyło wolno długimi, cichymi krokami po mchu. Podeszło ku wyciągniętej dłoni, zafalowało nozdrzami, zwietrzyło tę samą, znajomą sobie woń. Ten człowiek był mu przeznaczony.

Człowiek znikł w krzakach, poszukując słodkich gałązek rokity. Ogier czekał. Dał się głaskać po nozdrzach, pomiędzy oczami, po szyi. Najczulsze miejsce miał na szczycie czaszki, między uszami, gdzie się zaczyna kark. Pogodzili się jako towarzysze, lecz nie jako jeździec i koń. Słońce zachodziło, kiedy Jasiak trzykrotnie jeszcze wskoczył na siodło, próbując szczęścia. Za pierwszym razem wyleciał przez zad i upadł na pień zbutwiały, dwa pozostałe razy utrzymał wprawdzie równowagę (być może Złoty był już dostatecznie zmęczony), lecz poczuł, iż jeździć nie będzie. Zrezygnowany, prowadził konia za wodze na północ.

Cienie mroku kładły się po lesie, gęstniał opar zmierzchu. Nie ma co myśleć dzisiaj o powrocie do towarzyszy. Zmitrężył cały dzień na tę głupią historię. Na dnie ustronnego parowu urządził sobie nocleg, kładąc się u samych stóp konia. Ogier stał wiernie przy nim jak na straży. Lgnął do człowieka, lecz był nieprzystępny. „Może mnie zatratuje we śnie na śmierć” - pomyślał Jasiak i odsunął się przezornie dalej. „To diabeł.” Koń zbliżył się, stojąc z głową zadartą do góry. Na tle nieba oglądał opryszek jego olbrzymie kształty, nieskazitelną linię głowy, szyi, piersi i zadu, niezapomniane widowisko piękności i siły. Przemawiał miłośnie do zwierzęcia:

- Będziesz mój, przekonasz się do mnie jeszcze. Będzie nam dobrze razem. Złoty, Złociutki.

Koń nie opuścił zadartej głowy. Patrzył w ciemności wieczoru na wschodzące gwiazdy. Jasiak dostrzegł na tle firmamentu, jak parokrotnie jego górna warga zadrgała.



Nozdrza wciągały w siebie jakąś woń. Niebo rozjaśniało się od podnoszącego się księżyca. Koń trwał nieruchomo na posterunku przy śpiącym u jego kopyt człowieku. Jasiak jeszcze jak przez sen przemawiał do konia:

- Nie mam przyjaciela. Ty będziesz moim towarzyszem. Tyś stworzony do swobody, jak i ja. Złoty, ty będziesz królem tych lasów. Złoty mój.

Koń trzymał ciągle głowę uniesioną, patrząc na dalekie, sine czuby gór, ale jakby rozumiał mowę człowieka na dnie parowu. Zastrzygł uszami w odpowiedzi i zarżał lekko.

Kiedy Jasiak obudził się wcześniej rano, równo ze wschodem słońca, złoty ogier stał nieruchomo na tym samym miejscu. Należał widocznie do tych koni, które się nigdy nie kładą i śpią stojąc.

Koń był wielki rozmiarami, a kiedy chłopiec stanął przy nim, wydawał się jeszcze ogromniejszy.

Ruszyli na północ; ogier szedł za Jasiakiem jak pies. Stanęli na szczycie gołym i kamienistym. Z czterech stron świata zamykały widnokraj lesiste czuby. Jasiak głaskał jedwabistą sierść konia. „Teraz się już nie rozstaniemy” - szeptał mu do ucha. Ogier stał jak mur, obwąchując włosy Jasiakowe. Już teraz jedno tchnienie swobody owiewało oba stworzenia: człowieka i konia.

- Złoty, popatrz naokoło. To nasza ojczyzna. Ziemia wolności. Nasza pospólna dziedzina. Nie tobie gnić w wojsku i owies fasowany żreć w stajni u pana rotmistrza. Tobie galopować po wierchach, żuć słodką trawę z wyrębów.

Przytulił smagłą, chudą twarz do jego miękkich, ruchliwych nozdrzy.

- Złoty, będziesz mnie nosił na sobie? Nie ważę dużo. Tyle co piórko. Dasz sobie radę.

Ogier wionął gorącym oddechem w twarz chłopcu. Dłoń człowieka głaskała cienką skórę od oka do wargi. Porozumieli się.

W następnej sekundzie był Jasiak na siodle. To już nie to, co wczoraj. Koń tylko zadrżał gwałtownie, jak iskrą elektryczną tknięty, lecz natychmiast uspokoił się i stał nieporuszony jak posąg. Pysk podniósł tylko do góry, jakby czując szlak dotychczas mu nie znany.

Tak dokonało się przymierze człowieka z koniem.

Lekko zadzwoniły cugle i ziotogniady spłynął ze szczytu na północ ku Wielkiej Lipowskiej. Miał kłus podobny pływaniu na wodzie, delikatny i falujący. A cóż dopiero galop! Skoki długie, niskie, tuż przy ziemi, na podobieństwo wezbranego potoku. Nie czuło się odbijania kopyt o ziemię, tylko nieskończenie długi wyrzut nóg, płaski łuk, trwający prawie bez przestanku. Umęczyli się setnie, zanim się wzajemnie przekonali. Ale za to tym

bardziej przyłgnęli do siebie. Po wyrębach rozgrzanych od żaru, przesiekami zatopionymi w błogosławionym cieniu wdarli się na grzebień Madohory. Na miękkiej trawie polany popasł jeździec wierzchowca przez pół godziny. Napoił go w strumieniu, później szli razem obok siebie krok w krok jak koledzy. Poniżej przełęczy, w gęstej kniei świerkowej przekroczyli granicę.

Wiaterny Przysłop. Zachmurzyło się, może spadnie deszcz? Z północy wyłoniły się lasy Lipowskiej. Na lewo białą skałki Okrutnego Gronia, za ich plecami potężna Romanka. Kopyta ogiera głucho dudniły po trawiastym zboczu. Pod ścianą boru Janosik znowu ulżył koniowi; odpoczęli z kwadrans. Na górnej Siwcowej Hali siedział w szałasie, dobrze opłacany przez kompanię, baba z Rajczy wraz z synem, który mu juhasował.

- Pilnij mi tego gniadosza jak oka w głowie. Siodło schowaj pod szmaty. Paś konia o brzasku i o zmroku. W dzień nie wolno ci go wypuszczać ze stajni. Nikt nie śmie o nim wiedzieć. Nie może go u ciebie zobaczyć żadne oko ludzkie.

Wręczył mu sto złotych, przytulił twarz do pyska konia, żegnając się z nim. Przed samym wieczorem wszedł do Wańkowej Dziury. Oczekiwali go od rana zaniepokojeni kompani. Ucieszyli się, widząc wodza całego i zdrowego.

- To nic, że się spóźniłem - uśmiechnął się. - Ale zdobyłem najwspanialszego konia na całej Orawie.

O świcie poszli go oglądać wszyscy w piątkę. Wyprowadzili go w blasku słońca z szałasu na ogrodzenie koszar.

Ogier płowogniady. Nie darmo nazywany Złotym. Mógłby biegać na wyścigach. Rasowy i silny: długa szyja, piękny, kształtny łeb, lśniące inteligencją oczy. Piersi szerokie, zad szczupły. Setki słonecznych promieni łamały się i odbijały na jego gładkiej skórze.

Była sobota. O zmierzchu zabierali się z powrotem na Babią. Już byłby czas, aby się przeprowadzili na stare mieszkanie. Chyba o obławie już zapomniano.

- Trzeba zejść jutro koło południa na Gajdową Polanę - komenderował przywódca. - Może ktoś w niedzielę przyjdzie z dołu, trzeba porozmawiać, dowiedzieć się nowin. Ja będę także nad Polaną koło was. Przyjadę w nocy konno na Głuchaczki, nie widziałem się dawno z Władkiem.

Wieczorem dosiadł Złotego na Siwcowej. Ogier wyniósł go chyżo w ciemności na Miziową, a z Miziowej przez Las Uszczawny na przełęcz Glinne. Zsunął się zgrabnie po skalisto-trawiastych stromiznach. Przeciął ostrym tętentem kopyt szosę przygraniczną w Korbielowie, już przemykał się przez zagajnik Krzyżówek. W blasku księżycy kłusem

wznosił się ku Jałowieckiej.

Była duszna noc lipcowa. Jasiek rozpiął surduta. Za ciepło był ubrany, ciążyły mu w kieszeniach rewolwery.

- Uważaj, policja dybie na ciebie - przywitał go Juraszek w drzwiach swej chałupy.

- Także nowina! - machnął tamten obojętnie ręką.

Konia puścił wolno na łąkę pod domem. Przyzywał go świnięciem; ogier miał dobrą tresurę.

- Czyj to koń?

- Mój.

- Skąd go masz?

- Kupiłem z dobrej stajni. Szlachetna krew.

- Ładny.

Pod nieobecność Janosika zachodzili w las rozmaici ludzie, czekając rozsądzenia ich konfliktów. Baby ze skargami zaglądały kilkakrotnie na Głuchaczki. Harnasie gdzieś przepadli.

Także i Witkowski zaglądał. Lustrował podejrzliwym okiem brogi siana, rozpytując, czyje siano na której hali. Badał, czyją własność stanowi na pół rozwalony przez wiatr szałas w Jałowieckiej. Pies Maziarza przyplątał się do niego w wyrębie, chciał go zastrzelić, ledwie wybroniono kundla. Wczoraj policjant znowu kręcił się koło Dzieliny Potoku.

- Tramek miał rozprawę w Żywcu.

- O co?

- O płótno.

- Płótno spaliło się dawno. Ani Tramek, ani Witkowski nie mieli z niego pożytku.

- Toteż uniewinnili starego.

- Ale płótno się nie wróci.

- Nie wróci - zakończył Władek filozoficznie.

Jasiek pognał w noc do Cichego. Zgwizdał się z Zośką prędko. Wyszła najciszej, jak mogła. Matka spała, nocowały obie na strychu. Była ciepła od spania. Głaskała jego chłodną od pędu twarz. Całowała go z żarliwością stęsknionej kochanki, która odzyskała miłego po długiej rozłące.

- To twój koń?

- Mój.

- Ładny.

Złoty skubał trawę u ich stóp. Powiodła dłonią po delikatnej, cienkiej skórze szyi, pod

którą czuło się mięśnie jak stal. - Ładny - powtórzyła.

- Nie mów o nim nikomu.

- Ja z nikim o tych rzeczach nie mówię - sprostowała z wyrzutem.

Wyjął z kieszeni pierścionez zrabowany grubasowi w Polhorze, nałożył jej na palec. Był za duży, podobnie jak jego bliźniak, podarowany Jadze z Herdučki.

- Włóż sobie na średni palec.

Księżyc zachodził, robiło się chłodnawo. Noc była przepaścią chłonącą ich słowa. I szept, i krzyk, i strzał zapadały po równo w tę głuchą ciszę bez śladu, bez echa. - Zostawię ci tu konia - powiedział. Ten ogier go przywiózł, lecz nie wywiedzie go o brzasku do góry na słońce. Obaj żyją tylko w nocy, dniem trwając w ukryciu.

- Pamiętasz, Jasiek, jak spotkaliśmy się raz rano na polanie, nie wiedząc o sobie? Mówiłam ci, że widziałam cię poprzedniej nocy na jawie, nie śpiąc, jak pędziłeś na koniu. Przepowiedziałam ci wtenczas, że będziesz miał konia.

- Rzeczywiście - uśmiechnął się. - Tylko jak będzie z tym lataniem w powietrzu? Bo śniłem ci się przecież galopujący w chmurach. Nie tak ci się śniło?

- To mi się wcale nie śniło - zaprzeczyła żywo. - Powtarzam ci: nie spałam wtedy.

Na przegubie lewej ręki wyświetlała mu się zielonkawo godzina pół do czwartej. Noc bladła, szybko szarzało. Podnieśli się. Położyła mu rękę na ramieniu. - Uważaj na siebie, Jasiek. Witkowski ciągle się tu kręci.

- Niech się kręci.

- Kochasz mnie? - zapytała go w ten sposób po raz pierwszy, przytulona doń jak pisklę.

- A jakbyś chciała? - zagadnął ją figlarnie.

- Nie to ważne, co ja bym chciała, tylko, co ty czujesz.

- Ho, ho, moje dziecko, co ja czuję! - zbył ją tajemniczym niedomówieniem.

Nie pozwoliła mu wykręcić się wymijającym słówkiem.

- Kochasz mnie, Jasiek?

Był zmieszany tą jej powagą. - Ja nie do kochania stworzony - tłumaczył się z wesołym błyskiem oczu, ale z wyraźną niechęcią w głosie. - Zawracać głowę dziewczętom, owszem. Nic więcej. U mnie tylko jedna myśl: uciekać przed policją. U mnie tylko jedna myśl: zemstę robić.

- Nie żądam, abys mnie kochał - poprawiła się prędko, widząc, że mu sprawiła kłopot tym pytaniem. - Wystarczy, że ja cię kocham. Kocham cię jak nikogo na świecie.

Dygotała niby liść, była bliska omdlenia.

- Zośka, Zośka! - powtarzał nieporadnie, głaszcząc ją po twarzy. - Co ty robisz?

Opadła mu na ręce cała we łzach. Tyle włożyła w tę miłość! Całowali się bez pamięci w wybuchu szaleńczego zapału. Wstrząsnął nią płacz. Nie wiadomo, czy płacz szczęścia, czy żalu, czy trwogi, czy beznadziejności, czy upust wyzwolonych po długim uciśnieniu uczuć.

- Opuścisz nas?

- Skądże? Dopiero tu przybyłem. Zatrzymaj mi konia w stajni przez dzień. Przyjdę po niego, jak się będzie ściemniało. Nikt mnie nie może widzieć w słońcu na tym ogierze.

Razem wprowadzili konia do obory, przywiązali go koło krów, dali mu siano. Zośka obiecała wyprowadzić dlań komórkę w drugim rogu stodoły. Wstawał świt, gdy Jasiek przedzierał się przez Mędralową. Gorące słońce lipca oświetliło skałki Cyłońskiego Uwrocia, gdy wkraczał między znajome głązy, a czynił to tak cicho i niespodziewanie, że czterech drabów, którzy jeszcze spali, porwało za broń. „Za późno - grzmiał na nich, wyzywając ich od próżniaków. - Gdyby na moim miejscu był Witkowski, obudzilibyście się z kulą w piersiach”.

Po zachodzie słońca spłynął po miękkiej murawie ze wzgórz ogier Janosików pod cmentarz położony na granicy Przyborowa i Jeleśni. Harnaś przezornie puścił konia w krzaki nad strumyk, sam zaś poszedł pieszo ku figurze. W zmierzchu wysunął się ku niemu Wojnar:

- Chodźmy wyżej w jałowce, tu nas mogą podpatrzeć.

Weszli między rzadkie smreczki i kępy jałowców, usiedli na trawie. Rozpoczęli rozmowę od pogody, od zniw, obgadali sprawy wsiowe.

- Jasiek, nie boisz się chodzić do wsi? Pilnuj się. Policja nie śpi. A i Turcula może cię zobaczyć.

- Mam ich wszystkich gdzieś. Mogą mi nadmuchać.

- Tak nie mów. Czyś ty kiedyś myślał o przyszłości?

- Nie.

- Szkoda. Nie zawsze będzie tak, jak teraz jest.

- Ja wiem.

- Nie zastanawiałeś się nad tym?

- Nie. Po co?

- Nie zawsze będziesz miał osiemnaście lat.

- Zapewne.

- Ty się zmęczysz, policja nie. Witkowski może się zmęczyć. Ale po nim przyjdzie dziesięciu innych i zniszczą cię.

- Co mam do wyboru?

Wojnar rzucił raz jeszcze dawno hodowaną myśl:

- Zgłosić się do sędziego, odcierpieć karę i rozpocząć nowe życie.

- Oho! - wzdrygnął się młodzieniec. - Do kryminału nie pójde za żadne skarby świata!

- Adwokaci będą cię bronili. Gdy się hałas zrobi koło sprawy, gotów jesteś zafasować niedużo. A później drogę do legalnej akcji politycznej masz otwartą.

- Co mnie obchodzi akcja polityczna? Nie interesuję się tym.

- Namyśl się, Jasiek.

- Nie, przyjacielu. To mi się nie podoba. Wolę siedzieć w borze, ale być wolny. Wolę u Czechów kamienie łupać przy drodze, jak Cyganie, albo w fabryce pracować dla Madziarów, aniżeli siedzieć w ciupie. Czyście się kiedy zastanowili, Wojnar, jak jest lepiej umrzeć: na starość w łóżku, pod pierzyną, w zaduchu, w kaszlu, w chorobie, wśród lekarstw śmierzących, czy w młodości pod gołym niebem, na świeżym powietrzu, przy słońku, na trawie, w śpiewie ptaków?

- Nie.

- Szkoda.

- Gdy byłem młody, tak samo rozumowałem jak ty teraz. Człowiek dojrzewa i z wiekiem mądrzeje. Namyśl się, Jasiek.

- Już się namyśliłem. A zmądrzeć już nie zmądrzeję. Będę dalej głupi.

Wstali z trawy, na którą opadła wieczorna rosa. Wojnar opuszczał mroczne zacisze wśród smreczków.

- Słyszałem, że po wsi zbierają na pożyczkę narodową? - zagadnął go harnaś na odchodnym.

- Tak. Składamy się na pożyczkę. Było w sobotę zebranie w gminie. Mówił Franczak, Kaczmarczyk i jakiś urzędnik ze starostwa. Urzędnik gadał do rzeczy, a nasi, wiesz, jak przemawiają. Franczak: „Dawać państwu, bo trzeba”. Kaczmarczyk: „Dawać, bo taki rozkaz”. Uchwalili płacenie przymusowe po pięć złotych od domu. Ludzie sprzeciwili się. Nie każdy może zapłacić piątkę, a niektórzy mogą śmiało i pół setki wywalić. Niech będzie pożyczka dobrowolna. Kaczmarczyk groził, że będzie masami protokoły robił, ale ustąpił. I każdy ma płacić tyle, ile może.

- Żeby tylko znowu ta pożyczka nie utkwiała w kieszeni wójta!

- Tak samo mówili chłopci pod nosem. Dobrze, że jeszcze nie przyszedł na zebranie pisarz. On się też obłowił przy wójcie. Skąd doszedł do pieniędzy, że kupił cztery morgi pola od Pawlaka? Kiedy stary Czul, jak przyszło się podpisywać na pożyczkę, zadeklarował jednego złotego, wójt chciał go po pysku prać. Że za mało. Z czego zapłaci taki Czul? A kiedy Franczak zabierał się do czytania odezwy o pożyczce, chłopci zaczęli między sobą

szeptać: „Czy nie będzie wojny albo rewolucji? Że też rząd musi aż od nas pożyczać? To już tak źle z naszym państwem, że rząd leci na te parę złotych od górala? Jezus kochany!”

Pod Czorsztynem szumi kręty, wąski Dunajec, dołem drążący wiry. Stara Cyganka patrzy na podaną jej dłoń.

- Cudowna siekiera Jura Janosika zarąbana w skały ożyła i rozbłysła w słońcu. Idzie nowy zbójnik, zbawca ludu. Będą się z ciebie cieszyli biedni.

Całowała jego rękę, żyłastą, lecz drobną; szczupłą rękę niepozornego chłopca. Można mu było dać z wyglądu lat szesnaście, jeszcze narażając się tą oceną na posądzenie o hojność.

- Co więcej?

- Tobie jest pisana śmierć wysoko. Uśmiechnął się.

- Kiedy?

Przelekła się tego, co powiedziała. A ileż jeszcze wiedziała, nie śmiać powiedzieć! Patrzyła przerażona na linie dłoni.

- No, dlaczego nie mówisz? - nalegał.

Potrząsnęła bezradnie głową.

- Nie wiem. Nie ma znaku - jąkała się, zmieszana.

- Jaka to linia? - pokazał Cygance głęboką, krótką bruzdę od pulsu w kierunku wskazującego palca.

- To linia miłości - tłumaczyła zalotnie, lecz w źrenicach jej czaił się strach. - Będą lgnęły do ciebie dziewczęta, będą cię kochały. Ale ty nie będziesz z nich zadowolony.

- Powiedz no, stara, ile lat będę żył? - próbował podchwycić Cygankę. Nie dała się zbić z tropu.

- Kiedy umrzesz, nie wiadomo. Tego ręka nie mówi. O śmierci mówi. Śmierć wysoka, sława silna, miłość bujna.

Był lipiec, miesiąc natężonego upału. Nad gęstymi lasami Spiskiego Zamagurza wyblyskiwały na zachodzie postrzępione granie Tatr Wysokich. Jak szkło lśniły w słońcu śniegi Lodowego.

Nie żądał od niej, aby mu wróżyła. Ze zwykłą natarczywością Cyganek sama przypięła się do niego, nie wiadomo dlaczego; ani nie miał kobiety koło siebie, ani nie był zachęcająco ubrany. A jednak znalazła go w gromadzie defilujących obok plaży letników, jakby przyciągnięta doń przemożną, bijącą zeń siłą.

Zarumienił się ze wstydu, gdy stara kobieta, łachman brudnej rasy wróżbiarek, całowała go po ręce; chudego chłopaka w wypłowiałej koszuli. Ludzie zaczęli ze zdumieniem

obserwować tę scenę. Wyjął srebrną pięcioletówkę z kieszeni, dał babie, błysnął oczyma na znak, aby odeszła. Pojęła błysk i oddaliła się bez słowa.

Był lipiec, miesiąc natężonego upału. Jaśkowi harnasie przypadli daleko stąd, gdzieś w gąszczu Wysokiego Beskidu. On jeden zapędził się aż tu za ofiarą swej zemsty.

Wśród ciemnej nocy wiał szosą z powrotem w stronę Nowego Targu. Świt zastał go w Waksmundzie. Tu zboczył w las na stoki Turbacza, lepiej się w dzień nie pchać ludziom na oczy. W południe odpoczywał w ostępie, zajadając borówki wielkie jak groch. Rozmyślał o epizodzie z Cyganką. Dlaczego starucha tak się przełękała, spojrzawszy na jego dłoń - jakby ją strach poraził? I dlaczego od razu zaczęła mówić o Janosiku? Czyżby go ktoś poznał? Bzdury. Co kto na dłoni może widzieć? I dlaczego, u licha, całowała go w rękę? Wariatka. Zaczął bacznie oglądać swą dłoń.

- Tu gdzieś ma mi być śmierć pisana wysoko. Wysoko, to pewnie na Babiej Górze. Albo na Pilsku. A! - splunął daleko od siebie. - Durna baba!

Wieczorem znalazł się na Orawie, ciepłą, widną nocą wstąpił w znajome lasy. Tu mógłby iść z zamkniętymi oczyma, to jego państwo. Przespał krótką noc pod smrekiem. O wschodzie słońca przebijał się przez Świstowe Skalki. W pół godziny potem znalazł się wśród towarzyszy na Kotlarczyskach. Mimo iż znosił wytrwale najcięższe marsze, przecież był tak ogromnie zmęczony tym trzydniowym, prawie stukilometrowym spacerem, że usnął natychmiast bez jedzenia i spał do wieczora.

Dwa dni ulewnego deszczu. Po nawałnicy nastąpiły jeszcze dwa dni chmurnej słoty. Bractwo leżało w Janickowym Domu, nie mogąc się ruszyć z miejsca. Tylko herszt na trzeci dzień nie wytrzymał i polazł w chlapawicy do Juraszków; ależ stówek wpadło im w ręce obojgu! Przecież to była autentyczna melina zbójnicka i punkt kontaktowy. Całe Głuchaczki żyły w cieniu groźnej sławy herszta. Jasne, że musiały coś i zarobić na tym.

Z dołu przyszło ostrzeżenie, że przy drodze w Krzyżowej, w chałupie Budka, konfidenta policji, co noc zastawiona jest straż na zbójników, na wypadek gdyby przechodzili tamtędy na przełęcz Glinne.

Misiołek, który się wybrał któregoś dnia na pukawkę w okolice Buczynek, spostrzegł, przyczajony pod smreczkiem, idącą gęsiego procesję pięciu ludzi: czterech rosłych, maszerujących za piątym, niskim. Poznał ten pochód. Ten, co idzie na przedzie, wygląda na syna owej czwórki; a to ich herszt. Żaden z nich nie przekroczył trzydziestki, a herszt ma lat osiemnaście. Ileż zajęcy nabił z nim do spółki! Przeczekał w ukryciu, aż czarni chłopcy przejdą, nie chcąc ich płoszyć. Oczywiście nikomu nawet nie wspomniał o tym spotkaniu.



Po okresie słoty nastąpiła znów piękna pogoda. Ukończono żniwa. Opryszki pognały na zachód, nie było ich przez tydzień. Aż wybuchła wiadomość, od Żywca i Bielska jak burza idąca, że fabryka w Węgierskiej Górze została doszczętnie obrabowana. Cały oddział bandytów zszedł z gór, wszyscy podobno byli na koniach, każdy miał po dwa rewolwery. Wieść niosła, że było ich kilkudziesięciu, a zrabowali pięćdziesiąt tysięcy złotych. Zawezwano policję z Żywca; przyjechała samochodami. Goniono rabusiów do Zwardonia. W starciu podobno dwóch bandytów zostało zabitych, a dwóch rannych. Wódz ich uciekł na czeską stronę.

Ale wódz za tydzień zjawił się na koniu o świcie u Władka Juraszka.

- Wyście byli w Węgierskiej Górze?

- My.

Uśmiechał się, nie mówił nic więcej. Zjechał do Cichego, kiedy właśnie wschodziło słońce. Zaczepił cugle u siodła, pozostawił gniadego w gaju brzoźowym. Koń zaczął ogryzać krzaki. Wystarczyło nań świsnąć, a przybiegłby natychmiast. Janosik rozmawiał z Zośką.

- Czy ci ktoś nie dokucza we wsi?

- Prawie nie chodzę do wsi.

- Policja cię nie nachodzi?

- Nie.

Z początku parobcy koszarawscy niechętni byli flirtowi dziewczyny z obcym młodzieńcem. Czyż nie ma dość chłopaków w Koszarawie? Ale teraz są dumni z zaszczytu, jaki spotkał ich wieś. Zbójnika goszczą na swoich wzgórzach. Jeden tylko Tyniewicz, łajdak, przyjaciel Witkowskiego (swojego czasu przypalał się nieszkodliwie do Zośki), on mógłby coś szkodzić. Ale na razie siedzi cicho.

Ucieszył się, zobaczywszy dziewczynę po prawie półmiesięcznej rozłące. Pozostawił u niej Złotego ukrytego w stodole i pomykał zadowolony ku skalnej grocie. Zległ na Kotlarczyskach, spał przez resztę dnia oraz następną noc. Nazajutrz dobili do niego kompani i usnęli od nowa. Nie wszyscy: brak było Wańka, który lizał się z rany w szałasie nad Ujsołami u bacy na Hali Kryniawskiej.

O zmierzchu koń Jaśka galopował w długich susach trawiastymi zboczami Pilska i Lipowskiej. Niósł się równo, bez wstrząśnień, jakby płynąc w powietrzu. Gdy rozwinął się w cwał, nie dotykał prawie kopytami ziemi. Stąd poszła nedorzeczna legenda, iż galopował w powietrzu nad drzewami.

Wielu miało to widzieć na własne oczy. Stary Tumularz w Korbielowie zaklinał się na wszystkie świętości, iż oglądał wyraźnie i przytomnie konia zbójnickiego, niosącego się jak

ptak ogromny nad lasami Pilska.

- W powietrzu! Nie jestem dzisiejszy, ale powiadam wam, aż mnie coś ukłuło w boku. Taki widok! Gniady wali galopem nad świerkami! Strach człowieka zbiera.

- Sam był? Bez Janosika?

- Bez. Jak hetman gwizdnie, koń sam do niego leci.

Piętnastoletnia Jagienka od Mrowcy niosła jedzenie pasterzom na Halę Miziową. Patrzy, na polanie pasie się koń. Wysoki ogier złotego koloru. Przestał skubać trawę, obrócił się powoli, poszedł spokojniutko w las. I zaraz potem usłyszała Jagna straszliwy tętent. Co się dzieje? Koń wyskoczył nad drzewa i galopuje ku szczytowi.

- Nad lasami! Pomyślcie: koń rwie w powietrzu, a tu taki okropny huk od kopyt, jakby ziemia drżała. Przecież nie dotyka ziemi.

- Cud oczywisty!

- Tak chyba będą smoki latały przed końcem świata, jak opisuje Pismo Święte.

Była to zresztą jedyna osoba, która miała sposobność obserwować gniadosza w biały dzień. Wszyscy inni oglądali go po zachodzie słońca albo w nocy. Faktem było bowiem, iż Jasiek dosiadał Złotego w porze ostrożnej i bezpiecznej, kiedy topniała skuteczność zasadzki, kiedy mrok wyrównywał przepaście między górami a dolinami. Wtedy też zatracala się ostrość wzroku i niedostrzegalna stawała się granica między fantazją a rzeczywistością zmysłową. Stąd ta legenda. Znano ogiera tylko z obserwacji o zmierzchu, w wymiarach słabo dostrzegalnych, lub ze słyszenia w całkowitej ciemności. To sprzyjało najśmielszym wersjom.

Władze wściekały się. Chłopak z Lasu opłacał dobrze baców i pasterzy, którzy donosili zbójom o wszelkich poruszeniach policji. Porozumiewali się ze sobą światłami w nocy, dymem ognisk w dzień. Do Mitany przychodził codziennie wyrostek niby to po ser z dołu, w istocie z wiadomościami z Przyborowa. I tym razem łaska zbójników spłynęła hojnie na okoliczne wsie. Umiał sobie Janosik kupować sojuszników, co w opinii obdarowanych awansowało go zaszczytnie na dobroczyńcę biedaków.

Przed południem, kiedy Juraszek wybierał się kosić trawę do Przysłopu, przybiegła doń z alarmem Zośka Masłowska.

- Był tu Jasiek?

- Nie. Ale widziałem się z nim wczoraj.

- Gdzie ma konia?

- A co? - zmarszczył brwi podejrzliwie.

- Nic. Tak się pytam. Bo trzeba go dobrze schować.

- Jest schowany.

- Nie znajdą go?
- Diabli wiedzą. Myślę, że nie.
- Był u nas Witkowski dwa razy. Tej i tamtej nocy.
- To znaczy, że dzisiaj do mnie przyjdzie.
- Powiedz Jaśkowi, aby się pilnował. Dybią na niego.
- On dobrze wie o tym. Nie złapią go.
- Niech się strzeże.

Janosik wiedział o wszystkim. Także o tym, dlaczego policja była wczoraj i przedwczoraj u Zośki. Przyszedł do niej na krótko przed zapadnięciem wieczora. Koń skubał niespokojnie trawę przed ogrodzeniem.

- Tyniewicz cię zdał.
- Skąd wiesz?
- Wiem.

Miała dwukrotną rewizję. Wypytywał ją Witkowski z godzinę, spisując protokół. Naskarżył na nią Tyniewicz, odpalony konkurent: że dziewczyna jest kochanką opryszka i że przechowuje rzeczy pochodzące z rabunku. Parę dni temu donosiciel odwiedził policjanta w Przyborowie. Od roku łączyła ich obu zażyła znajomość, przypieczętowana kartami i wódką. I tym razem wódeczka zjawiała się na stole.

- Z kim śpi dziewczyna w nocy, to mnie nie obchodzi - powiedział Witkowski, przechylając do ust kieliszek.

- Nauczyła się tego rzemiosła od matki - zaśmiał się grubo gość. - A ta znów brała przykład od swojej matki, która była zbójnicką frajerką w Zawoi. I mnogie pieniądze miała po harnasiach. Tyle by na pewno nie zarobiła za samo pranie kałesonów.

- Obojętne mi jest, czy Masłowska kocha się z bandytą - wrócił do swej tezy policjant.  
- Ale jeśli ma u siebie rzeczy pochodzące z rabunku, to karalna rzecz. Pójdę do niej.

Poszedł. Szukał przez dwie noce, jedną po drugiej. Przetrzęsnał graty do góry nogami, męczył pytaniami rozespiane kobiety. Trzykrotnie pisał protokół, trzykrotnie darł kartki. Kiedy niewiasty zaczęły się stawiać, rozeźlił się; wykręcił rękę starej i pchnął Zośkę pod ścianę, tak że rozbiła gipsową figurkę Matki Boskiej. Ale nic nie znalazł, nawet pierścionka; żadnej rzeczy pochodzącej z kradzieży.

Tyle wyspiegował wywiad i tyle doniósł harnasiom.

Jasiek zleciał tego wieczora z gór jak wichur. Nachylał się nad karkiem konia, pieszczotliwie go wzywając. Uniósł się w strzemionach, położył dłoń na lewej skroni zwierzęcia, trzykrotnie krzyknąwszy mu w ucho:

- Złoty! Złoty! Złoty!

Koń, wstrząśnięty nagłym porywem, jak gdyby oderwał się od ziemi, posłuszny tajemnicy. Obu - jeźdźca i rumaka - ogarnęła furia mściwiska. Teraz dopiero, widząc to, mieszkańcy Przyborowa i Koszarawy mogli fantazjować, iż po zachodzie słońca koń Janosika galopuje ponad wierzchołkami drzew.

Wpadł do obejścia Tyniewicza niby piorun. Zeskoczył z gniadego, ogier szedł za nim jak wierny pies. Wkroczył do stodoły, podpalił w dwóch miejscach snopy żyta i siano. Wsiadł na konia i pognął z powrotem. Gonił go straszliwy ryk płaczu domowników i strzelanie ognia. Drzewo trzaskało, potworny ognisty krzak niósł się wysoko w niebo. Od stodoły, pełnej suchego zboża, ogień przerzucił się na dom. W mroku płomień trząsał się niesamowicie. Niżej zerwał się dzwon, zaczął rozpaczliwie jęczeć.

Janosik nie oglądał dzieła zemsty. Walił do Juraszka. Na tle pożaru jego niesamowity galop nabierał fantastycznych wymiarów.

Już za długo tego panowania zbójów! Władze z Krakowa przysyłają komisje, w gazetach psioczą na nieudolność policji. W całej Polsce jest ład, tylko w tym mizernym południowo-zachodnim kąciaku ciągle grasuje ten bandyta. Cóż robi policja?

Tak samo myśli Witkowski. Psiakrew, że to na jego rejon musiało paść! „Owszem, prawdą jest: w moim terenie ukrywa się banda. Ale czy kto wie w Krakowie, co to za rejon? Góry, lasy, bezdroża, gąszcze, granica, bezludzie. Mieszkańcy: złodziej w złodzieja. Cóż tu poradzi jeden policjant?”

Posterunek mu już spalili. Ludność stoi wyraźnie po stronie opryszków, chroni ich, ostrzega przed niebezpieczeństwem, żywi. Zrobiono pięć obław do serca gór; nie doprowadziło to do niczego. Górale niechętnie widzą akcję policji, szkodzą, jak mogą. Niech władze wzmocnią posterunek, niech zastosują represje wobec stronników i zaufanych szajki. On sam, Witkowski, składał kilka poufnych raportów w tej sprawie. Nie posłuchano go.

Wielki rabunek w Węgierskiej Górze wzburzył całe województwo. Nawet do Warszawy poszły meldunki. Gazety, ach, gazety! Ile one napsują krwi policji! Łatwiej napisać, trudniej wykonać. Schwytać przestępców, zgoda. Ale kto ma ich schwytać? Trzeba by na to użyć całej kompanii. A oni i tak mogą, przygniecenii do muru, zemknąć na stronę słowacką. I będą się śmiać w głos z policji. Pierwszą rzeczą, którą należy uczynić, to wzmocnić posterunek w Przyborowie. Tu właśnie jest środowisko przemytników i kłusowników. Sam Witkowski nie poradzi. I do tego jeszcze mając tak marną pensję.

To wielkie zmartwienie Witkowskiego i najczulszy punkt jego ambicji: niskie

uposażenie służbowe. Kto by nie tęsknił za wyższą pensją? A wyższa pensja idzie w parze z awansem. Kto by nie tęsknił za awansem? A Witkowski siedzi już trzy lata w tej zakazanej dziurze.

Trzeba by zrobić obławę na wielką skalę w porozumieniu ze strażą graniczną, nawet wspólnie ze strażnikami czeskimi. Jaś z Głuchaczek parokrotnie łupił Orawę; oni także mają interes w likwidacji bandy.

Witkowski pociał się długo w noc w swym nowym mieszkaniu, nie mogąc strawić zmartwienia. Liczył na awans, na podwyżkę uposażenia, miał nadzieję, że pewne przykre zarzuty zostaną mu zapomniane dzięki energicznej akcji tępienia bandytyzmu. Już obrobił w tym kierunku znajomych dygnitarzy wiejskich i zaufanych starościńskich; cierpliwie piął się po zasługę. Aż nagle sprawa Janosika stanęła na poprzek jego planom. Pod boki policjanta ciągle wyrastają nowe historie. Po niedawnym podpaleniu Tyniewicza obrabowano nadleśnictwo w Jeleśni. Znowu raport w Żywcu, znowu gorzkie wyrzuty, znowu tłumaczenia. Kiedyż tego Janosika szlag trafi?

Rząd pewnie daje gorzką pigułkę głównej komendzie policji w Warszawie. Tamci przez telefon mszczą się za to na inspektorach w Krakowie. Komenda wojewódzka ruga komisarza w Żywcu, a komendant powiatowy miesza z błotem Witkowskiego. I cała złość rządu oraz wszystkich policyjnych instancji skupia się w końcu na nieszczęsnym posterunkowym przyborowskim. On cierpi za wszystko. Niewinnie.

Nazajutrz Głuchaczki miały policyjną wizytę. Podwójną, w osobach Witkowskiego i Kowala. Podeszli po południu cichutko brzegiem lasu od strony dawnego koszar. Wstąpili na polanę pod chałupą Naściuli, z triumfem rozglądali się po mieszkaniu Juraszków i Mitanów. Oczywiście na wszystkie pytania odpowiadano im z uprzedającą grzecznością. Nikt nie wiedział o niczym, wyparto się jakiegokolwiek styczności z Jaśkiem Dziurą. Od miesięcy nie wiadomo, gdzie przebywa. Ludzie wprawdzie powiadają, że nocą hula po Babiej Górze, ale kto go widział? Teraz będzie praca koło siana, później koło ziemniaków, potem trzeba się będzie zakrzętnąć koło lnu, koło ścióły i koło drzewa. Niedawno skończyły się dopiero żniwa, a roboty ciągle pełno. Gdzie kto tu ma czas i głowę myśleć o bandytach? Witkowski przespał się u Agnieszki, Kowal u Mitanki. Mieli niby czuwać przez noc, czy aby herszt nieświadomie nie podejrze pod chałupy, ale sen ich zmorzył i dali za wygraną. Dziura naturalnie nie zjawił się, gdyż był wcześniej poinformowany o pobycie policji na Głuchaczkach. Rano obaj policjanci zeszli na dół, wypiwszy uprzednio po pół litra mleka

prosto od krowy. Po południu zaś Jasiek uśmiechnięty wylazł spod Cyłu i znalazł się we Władkowej stodole.

- Czego chciał od ciebie Witkowski?
- Jak zwykle Maca. Chciałby coś złapać.
- Niech się złapie za tyłek.

Ale jakoś i setki zbójnickie nie zdołały w Juraszku pokonać nurtującej go obawy. - Jasiek, zanadto igrasz z niebezpieczeństwem. Nie plątaj się tu ciągle. Kiedyś tak cię nagle nakryje policja, że ani się spostrzeżesz.

- Chyba że mnie zdasz sam - rzekł tamten chłodno, mrużąc oczy. - Inaczej mnie nie podejda.

- Ja ciebie nie zdam, ale oni chytre sztuki. Mają swoje sposoby. Gdy zrobisz skok, zaszyj się na miesiąc, dwa i siedź cicho. Po jaką cholere masz kusić diabła?

- Tchórz cię obleciał?

- Lepiej, abyś nie narażał siebie ani innych. Po co ma tu do mnie ciągle policja chodzić?

- Nic ci nie zrobią, bo nie ma dowodu. A za samą przykrość płacę ci pensję miesięczną.

- Nie o to idzie - Władek przełknął niezdarnie wyrzut. - Dziś na przykład spał u mnie Witkowski w nocy. Ledwo nogi wysunął z chałupy, ty przyłazisz prosto jemu w łapy. O parę godzin wcześniej byłaby strzelanina. A ja byłbym już w drodze do ciupy.

- Drugim razem, jak będzie u ciebie policjant, pozdrów go ode mnie serdecznie.

- Tu nie ma żartów, Jasiek. Ja zawsze w niedzielę mogę wyjść na Gajdówkę, nawet na Uwrocie, przyniosę wam prowiant na umówione miejsce albo pchnie się Ignaca i będzie dobrze. A ta historia z koniem! Bój się Boga, sprzedaj tego ogiera, bo nie ma sensu, abyś sobie przejażdżki urządzał jak nadleśniczy czy generał. W głowie mi się to nie chce pomieścić. To przecież jasny dowód, że mam z tobą spółkę, jeśli konia twojego przechowuję. Ludzie w dole wszyscy gadają o gniadym, a Witkowski u mnie konia łapie. Jak ci się to podoba?

- Wcale mi się nie podoba.

- Co?

- To, żeby Witkowski miał złapać mojego konia.

- Ty wszystko w śmiech obracasz. Powiem ci otwarcie, że boję się teraz ogiera trzymać. To nie pierścionek, który można ukryć między dylami.

- Jak to? Konia ci nie wolno chować? Odkąd to? Czyżby starosta zabronił chłopom

konie mieć? Ma Klimiec, ma Maziarz, nie może mieć Juraszek? Cóż to znaczy?

- Nie miej ludzi za głupców - zaśmiał się w rozdrażnieniu Władek. - To nie jest koń do orania. Ślepy by poznał. Przyjdą kiedy niespodziewanie, zrobią rewizję, ty stracisz konia, a mnie zamkną. Po co mi to?

- Masz rację. Zabiorę od ciebie gniadego.

Wziął go z sobą, tym bardziej iż koń od początku nie lubił instynktownie Juraszka.

- Nie będę go trzymał u siebie, bo bestia kopie i gryzie.

Złoty przebywał odtąd w dzień przy harnasiach. Paś się w słodkiej trawie na polance przy Uwrociu ze spętanymi nogami. Trzy razy dziennie poił go hetman w potoku. Szesnastoletni pasterz Ignac, daleki krewny Tranków, ofiarował się co dzień paść wierzchowca w Mędralowej (tamta okolica była bezpieczniejsza przed policją), a wieczorem dostawiać go na umówione miejsce. Lecz Janosik zrezygnował z poświęcenia chłopca, który w ten sposób pragnął zapoczątkować swoje terminatorstwo w bandzie. Dzięki pomocy zaufanych ludzi w dole miał Dziura tak świetnie zorganizowany wywiad, że nie ruszył się, dopóki mu nie powiedziano, iż droga wolna. Przed Wojnarową wizytą trzykrotnie czujki podawały wiadomość od Jeleśni ku Cyłońskiemu Uwrociu.

- Wojnar idzie do hetmana.

Jeden posterunek stał w Gajce przyborowskiej, drugi pod Głuchaczkami, trzeci na Gajdowej Polanie.

Młodzieniec oczekiwał gościa, leżąc na mchu. Zamknął oczy, zamyślił się, ogarnął go słodki bezruch. Słońce opaliło mu twarz na brązowo. Zerwał się, słysząc szelest, złapał za broń. Rozgarnęły się krzaki, wyrzwał Wojnar.

- Co robisz, Jasiu? Śpisz?

- Ja? - oburzył się. - Czekam na pociąg.

Nie opuszczał go prawie nigdy uśmiech, ilekroć znalazł się w towarzystwie tego człowieka; tak go lubił. Rozmawiali o nowych świństwach Franczaka. W dolnej wsi chodziła komisja dokonująca komasacji. Komisja załatwiała w jednym dniu dziesięciu gospodarzy, każdy z nich jednak obowiązany był płacić gminie za komisję osobno. Urzędowo jedna opłata komisyjna dziennie wpływała do kasy gminnej, a dziewięć do kieszeni wójta. A co było z lasem gminnym! Przez tydzień Żyd z Żywca ciął i woził drzewo z Kotliny. To gminny las: wspólne dobro mieszkańców. Czy zapytał Franczak kogo o pozwolenie? Czy podzielił się choć jednym złotym z innymi współwłaścicielami lasu? Szkoda nawet wywlekać tę sprawę do starostwa. Urwą temu łeb, tak jak urwali tyłu innym świństwom. A w razie czego wójt zawsze znajdzie wymówkę: że pieniądze zużył na braki w budżecie gminnym, albo że dał na

szkołę czy kościół.

- Wójtem jest. Rządzi. A jak rządzi, to i kradnie.

Od paru dni Jasiak nie nocował z kompanami na Cyłońskim Uwrociu, nie dowierzając ich czujności. Spali jak susły. On sam pół drzemał, pół czuwał na osobnym miejscu, pilnując siebie i ich. Rozmyślał, czyby nie wycofać się do groty na Kotlarczyskach. To znów planował skok w samą paszczę wroga: rabunek u wójta Franczaka. Na wszelki wypadek kazał rozpuścić wersję, iż banda przebiła się na słowacki Liptów. Wczoraj Juraszek przywitał go pod chałupą przelęknioną miną.

- Policja naciska mnie coraz bardziej.

Był wzywany do Witkowskiego, a z Witkowskim przespacerował się na posterunek do Jeleśni. Wypytywano go dość długo, nareszcie po południu Kaczmarczyk puścił go. Nic mu nie dowiedli, wyparł się wszystkiego. Kompan z lasu wcisnął mu w rękę stówkę na pocieszenie.

- Nie bój się, Władek, nic ci nie śmia zrobić. Nie mają dowodów.

- Bądź ostrożny, Jasiak. Nie łaż tutaj. Słyszałem, że oni co noc podchodzą w górę.

- Kto?

- Policjanci.

- Ja mam też swoich ludzi po drodze.

- Przyjechałeś na koniu?

- Nie.

- Pozbądź się go. Po co ci ten koń?

- Lubię go. Jest mi wierniejszy niż niektórzy ludzie.

I nagle Juraszek, jakby w świetle tego proroczego zdania, ukazał mu się mały, przestraszony, dygocący o własną skórę. Parobek opuchły od hetmańskich łapówek, ten, którego ongiś chciał Jasiak do kompanii zwerbować!

Szedł z goryczą do Zośki. „Władek stchórzył i będzie się starał wycofać z interesu” - pomyślał. Żeby tylko ich nie wsypał! Odtąd wywiad będzie specjalnie pilnował Juraszka.

Robiło się ciemno, niebiosa przybliżyły się ku ziemi. Ludzi ogarnia teraz senność i chcieliby iść spać, ale Janosik właśnie w tej chwili zaczyna żyć. Zośka wyszła ku niemu na podsadzie za stodołę. Głaszcząc go po czuprynie, nuciła szeptem z odcieniem rzewności, którą tak bardzo lubił w jej głosie:

*Kiedy się skończy ten dzień gorący,*

*w noc przyjdzie do mnie chłopiec śpiwający.*



Stali oparci o drzewo, z rękami splecionymi na ramionach. Poczula jego wargi na policzku. Nucił jej wprost do ucha, jakby powierzał tajemnicę:

*Zbójniku, zbójniku, masz frajerkę ładną,  
dajże pozór na nią, bo ci ją ukradną.*

Rozważała pilnie słowa jego śpiewki. Jeśli jest jego frajerką, i do tego ładną, dlaczego jej nie pilnuje? Szeptala tak cicho, jak gdyby do siebie samej mówiła, tak lekko, jak gdyby to była skarga jej ducha, nie ciała:

- Jasiu, dlaczego mnie nie kochasz?

Usłyszał to, choć nie powinien był usłyszeć. Przełknął niespokojnie ślinę, ręka na jej ramieniu poruszyła się, spojrzał jej w twarz. Ujrzał oczy we łzach. Nie cierpiał kobiecego płaczu.

- Co jest z tobą, Zośka? Płaczesz?

- Nie. Myślę.

- O czym myślisz? - ogarniało go rozdrażnienie.

- Myślę o tobie.

- I płaczesz? Tak, wiem. Jak silnie myślisz, płaczesz. Mówiłaś mi to już. O, beczeć to ty umiesz - siekł ją tonem szyderczego wyrzutu.

Chciał być wolny, chciał być sam.

Mało komunikował się dotychczas bezpośrednio z ludźmi, a teraz jeszcze mniej. Trzymał się z dala od nich, niedostępny, nieosiągalny. Kto wie, może czuł lęk przed ludźmi? Chętnie słuchał pogłosek o tym, że jest olbrzymiego wzrostu, z wąsami sumiastymi; że nigdy nie chodzi inaczej jak w towarzystwie czterech równych mu postacią wielkoludów; że dwa ogromne pistolety nosi wsunięte za pasem; że na ręce ma pełno pierścieni i dlatego, gdy kogo w twarz uderzy, zęby mu wybija; że jego koń kupiony został ze stajni regenta Węgier w Budapeszcie; że po drugiej stronie gór ma kompanię złożoną z szesnastu harnasi, a każdy z nich jest oficerem. Że nosi buty z cholewami, że stale jest ubrany na czarno, że nigdy się nie uśmiecha. Im dalej od miejsca jego działania, tym dziwniejsze były legendy.

Śmiał się z tych powiastek. Wychodził z nich zmieniony do niepoznania. Raz tylko pozwolił sobie na przyływ szczerości w korbielowskiej karczmie, ale to było jeszcze z wiosną na początku jego kariery. Był i tak pewien, że chłopie nie wezmą tego poważnie.

Naturalnie, zbóje byliby głupcami, gdyby się ludzili, że ich nikt nie zauważy w borze. Górą nie widział ich nikt ze względu na zakaz chodzenia po strefie granicznej. Lecz gdy zapuścili się niżej, widział ich Franek Mirocha, wczas rankiem za grzybami chodzący,

widziały ich dzieci Margośczyne, kucające w borówkach, widział chłop Wrona, wożący drzewo pańskie z Kotonia na kubiki do stacji jeleśniańskiej. Nie mówili tego nikomu, bo i po co? Zbóje są po to, aby w lasach żyli.

Niekiedy wychodził z lasu ku nim obdarty pastuch i meldował:

- Koszarawa wolna. Przyborów wolny. Witkowski siedzi w domu. Kowal poszedł ku Sopotniańskiej Gajce. Kaczmarczyk pije z Franczakiem u Habera. Mossakowski w domu.

Zośka była coraz smutniejsza. Jej pocałunki miały smak łez. Jasiiek odwiedzał ją może nawet częściej niż dawniej. Była jednak przekonana, że był nieobecny duchem przy niej. Zawsze wieczorem, gdy słyszała tętent konia, wybiegała z chaty. Nikt nie odważył się jej napastować po zemście na Tyniewiczu. Straszliwa lekcja dokonała swego; imię zbója wiało sławą i grozą.

Za każdym spotkaniem patrzyła chłopcu w oczy, czy się przypadkiem nie zmienił, czy może ma jej coś do powiedzenia. Nie miał; nawet kiedy mówił. To nie to, na co ona czekała. Pomyślała: „Rzeczywiście, za dużo wymagam od niego”. Kochać? Całą siłą wstrzymywała się od płaczu, wiedząc, że natychmiast odszedłby od niej. On i tak odejdzie.

Czuła w uścisku mężczyzny, że ukochany ucieka od niej myślą i sercem. Coraz częściej docinała jej matka: „Źleś ty sobie wybrała, Zośka!” Może matka ma rację. Gdzież mogła jej córka marzyć, aby taki człowiek ożenił się z nią? Aby gospodarował przy krowach?

- Jasiiek, nigdy cię nie mam całego. O czym ty ciągle myślisz? I po co ty myślisz?

Jeszcze ustami był przy niej, jeszcze tonęła w jego spojrzeniu jak w morzu, bez pamięci i bez ratunku. Ale to był cień dawnego zmysłowego Jasia z Głuchaczek. Teraz przyjeżdżał do niej Janosik, mściciel, którego imię szeptano ze strachem po rozległych dziedzinach. Już tak daleko zabrnął w niebezpieczeństwie, że miłość jej była dlań tylko przeszkodą, kamieniem u nogi.

Było to wtedy, kiedy przez dzień Złoty ukryty był w stodole Maśliny, w małej szopie, przeznaczonej na drewnię. Obora znajdowała się w jednej połowie stodoły, drugą zajmowały klepisko oraz komora. W komorę wciśnięta była z tyłu wąska, ciemna klitka. Nikt nie mógłby przypuścić, że w drewni, pozbawionej nawet okienka, znajduje się koń. Gniadosz nie oglądał nigdy światła dziennego z wyjątkiem kilku dni spędzonych na Cyłońskim Uwrociu. Stąd miał wzrok doskonale wyostrzony w ciemności.

Jakimś niewiadomym sposobem wywęszył Witkowski kryjówkę Złotego. Przyszedł wczesnym popołudniem do chałupy Maśliny; właśnie wkraczał w obejście, gdy Zośka przechodziła z pełnym wiadrem do drewni, aby napić konia. Sam, bestia, drogę jej

pokazał, poklepał gniadego po lśniącym zadzie i zapalając papierosa, powiedział:

- Ja sobie tu poczekam na właściciela.

Wlazł do izby, złożył karabin koło ławy i rozpoczął niewinną rozmowę z kobietami.

- Pójdziemy młócić - rzekła stara Masłowska.

- Pójdę z wami - odezwał się. Zabrał karabin, oparł go o kąt klepiska i podawał kobietom snopy żyta. Jak gdyby nigdy nic. Nie mówił nic o koniu, prowadził rozmowę życzliwie, zgoła jak dobry sąsiad. Tylko kiedy obie zabrały się do młócenia owsa, zauważył złośliwie:

- Ho, ho, na cóż wam tyle owsa? Przecież konia nie macie. Ten gniady na waszym utrzymaniu? Chyba na placki ten owies?

- Na placki - odparła stara ze ściśniętymi zębami.

Przeprosił je grzecznie, że pragnie zapalić papierosa, ale przy tym zadrwił:

- Ja się ostrożnie z zapalkami obchodzę. Pożaru nie będzie.

Już trzeci wieczór nie było Jaśka. Zośka drżała na samą myśl, że właśnie dziś się zjawi. Przecucie, które prawie nigdy nie myli kobiety, mówiło jej, że tak się stanie. Chciała gdzieś wyjść ku Głuchaczkom naprzeciw niego, skrzyknąć się z nim, uprzedzić, ostrzec, lecz jak tu wyjść, kiedy policjant stoi za jej plecami? Po zachodzie słońca Witkowski także zaniepokoił się trochę. Siedzieli wszyscy troje w izbie; policjant nie odstępował ich ani na krok, rozwalony okrakiem na ławie pod oknem, ze wzrokiem utkwionym we wrota stodoły. Maślina krzątała się koło blachy.

W zmierzchu odezwał się nagle z pola ostry świst: jeden, drugi i trzeci. Jasiak oznajmiał swoje przyjście.

Porwali się na nogi jednocześnie oboje: Witkowski i Zośka.

- Co to jest?

- Nic - odpowiada dziewczyna truchlejąc.

- Jakiś ptaszek śwista. Zobaczymy, co to za ptaszek.

Tu palnął głupstwo Witkowski, że pod pierwszym wrażeniem, ogarnięty pasją myśliwego, wyprzedził Zośkę, aby nie zdążyła ostrzec kochanka, i wybiegł na próg. Mina marsowa, karabin w prawicy. Trzeba było mieć oko sokoła: nie miał go Witkowski, miał je natomiast Jaś Dziura. Nie wyszedł już z zagajnika na obejście, gdy tylko dojrzał mężczyznę w drzwiach chaty. Zna tego mężczyznę, raz już jechał z nim do kryminału.

Przyczał się. O, to niedobrze, gdy policjant jest w Cichem. Posterunkowy stał przez chwilę w progu, bezradny. Spadł wieczór, dla zbója najlepsza chwila, dla Witkowskiego najgłupsza. Poszedł do stodoły, wymacał gniadosza, dał mu parę klapsów pieszczotliwych po

zadzie, siadł na szczeblu drabiny i czekał. Na próżno wypatrywał zjawienia się wroga.

Wpadł na pomysł. Niebo przybrało kolor ciemnoniebieski, strop wyczyścił się pod lśnieniem gwiazd, kiedy policjant wszedł na palcach do izby.

- Dajcie mi latarnię.

Dały mu. Zaświeciwszy, ustawił ją na klepisku obok drzwi do drewnutni. Wyszedł po drabinie na strych stodoły, usiadł w sianie i, wbiwszy oczy w latarnię, czekał. Sam widział wszystko, nie będąc widzianym. Nie zdawał sobie sprawy z tego że przeciwnik zdążył go już spostrzec dawniej.

Po upływie godziny zlazł z drabiny, przykręcił knot na ledwie pełgający płomyk, znowu wspiał się na górę. Był przekonany, że to świetna zasadzka. Dziura wejdzie do stodoły, nie spodziewając się niczego, skieruje kroki do drewnutni po konia, a tu trach! - z góry nakryje go Witkowski. „Nawet gdyby chciał iść do izby porozumieć się z Zośką, będę go stąd słyszał” - uśmiechnął się do siebie, zadowolony z udanego pomysłu.

Nudził się w sianie, rozmyślając o najróżniejszych rzeczach. Ach, Janosik, Janosik! Ile nocy nie przespał przez niego! Już chyba ze dwie godziny czeka tu bez ruchu. Wstał, aby zbadać, czy kobiety w izbie pokładły się spać, jak im przykazał. Być może, że Zośka pobiegła ostrzec kochanka, aby nie przychodził po konia. Trzeba temu zapobiec.

Zsunął się na klepisko, skontrolował lampę, czy jeszcze dosyć nafty, otworzył drzwi drewnutni, gniady cicho chrzęścił pod ścianą. Wszystko w porządku. Wyszedł ze stodoły do mieszkania, skradając się w ciemności z wszelkimi ostrożnościami, z nieodstępnym karabinem w prawicy.

W izbie świeciło się światło. Spojrzał od progu. Kobiety zjadły wieczerzę, stara siedziała przy blasze, córka na ławie pod ścianą. Coś uradzały, przerwały jednak rozmowę z nadejściem policjanta.

Przez ten czas, kiedy Witkowski przełożył nogę za próg domu, Janosik, który już od godziny stał przyczajony za węglem, skoczył na klepisko, otworzył drzwi od drewnutni, odwiązał ogiera z haka, wziął pod pachę siodło z cugłami i wyszedł. Złoty za nim, jak był nauczony. Zamknął drzwi, złapał konia za grzywę, skręcając w lewo za stodołę w stronę zagajnika. Strzemiona tylko trochę pod pachą mu zadzwoniły, zresztą kopyta końskie na miękkiej łące nie wydawały żadnego odgłosu.

- Spać idźcie! - komenderował tymczasem w izbie Witkowski.

- Nie chce się nam jeszcze.

- Napracowałyście się dość przy młóceniu. Co macie do roboty? Może czekacie na kogo? - uśmiechnął się ironicznie. - Spodziewacie się gościa?

- Może - odpłaciła mu stara tą samą monetą.

Jej drwiący ton rozeźlił go.

- Więc ja wam rozkazuję: gasić światło i spać! Dochodzi jedenasta. W tej chwili gasić światło!

Ociągając się i przegadując weszły do drugiej izby. Czekał, aż się ułożą. Popędzał je szeptem: „Gasić”. Zdmuchnęły wreszcie płomień w lampie. Opuścił mieszkanie, z lękiem w sercu obszedł domostwo naokół, nie zauważył nic podejrzanego. Lazł po szczeblach drabiny, lustrując oświetlone słabym płomyczkiem klepisko. Drzwi do drewnutni były przymknięte na skobel, tak jak je zostawił. Wszystko w porządku. Ach, gdyby można usnąć! Nie, zbyt wielka gratka kroi mu się dzisiaj. Uwziął się. Tu w sianie będzie czekał na opryszka choćby całą noc, aż się go doczeka.

Swoją drogą ta Zośka to smakowity kąsek. Ale musi być czupurna. Po matce. No, frajerka bandyty! Lepiej z taką nie zaczynać. Twarz jak ciosana w marmurze, zacięta, lecz piękna. Ciało drobne w budowie, zgrabne, jakby pańskie. Harda sztuka. Gdyby tak tu przyszła, do stodoły, można by coś z nią spróbować. Ale tam, w izbie, ho! Jej matka to diablica; siedzi nad nią jak kwoka.

Na śmiałych rojeniach schodziły mu godziny. Już mu teraz nie dziewczka w głowie. Oto odprowadza rannego Janosika wraz z koniem w dół. Odwozi herszta w asyście Kowala do Żywca. Komendant powiatowy gratuluje mu sukcesu. Idzie meldunek do Krakowa, z Krakowa do Warszawy. Pan posterunkowy Witkowski, bohater dnia, jest na ustach wszystkich. Gazety piszą o nim, zamieszczają jego fotografię. Witkowski otrzymuje premię. Witkowski otrzymuje pochwałę, podwyżkę pensji, Witkowski otrzymuje awans, Witkowski otrzymuje stanowisko komendanta posterunku w Jeleśni. Tak skrycie tęsknił do tego stanowiska!

Przerwał sobie brutalnie piękne marzenia. Pomyślał: „To niedobrze, że lampa się świeci”. Zszedł na klepisko, zdmuchnął płomień, usiadł na słomie w rogu pod drzwiami.

- Zanim ruszylibym się z góry, zwiąłby mi. A tak, gdy się tylko pokaże pod stodołą, kropnę w niego. On mnie nie zobaczy. Choćby strzelał, w ciemności nie trafi. A ja stąd dobrze widzę na tle nieba.

Czujnie dzierząc w dłoni zamek karabinu, wpłynął ponownie w sferę marzeń. Znowu objawił się mu Witkowski, awansowany na przodownika, odznaczony medalem, w towarzystwie starosty i komendanta z Żywca. Wójt Franczak ściska mu prawicą. „No, panie przodowniku, dzięki panu wytepiliśmy bandytyzm.”

Coś nie widać opryszka. Policjant znowu zmienił zasadzkę. Zaświecił lampę, knot

zniżył, płomyk zaledwie pełgał pod drewnianą. „Co to jest? - dziwił się - Jak jest ciemno, zaraz mnie na sen bierze.”

Usiadł ponownie na górze, z lufą karabinu opartą na szczeblu drabiny, wycelowaną w odrzwia stodoły. Nie przestał roić o sławie, zasłudze i dobrobycie przez resztę krótkiej letniej nocy. Światelko pod drewnianą nie dawało mu usnąć. Siłą woli utrzymywał się w czuwaniu. Stawało mu przed zmęczonymi oczami jako pewnik: już dzisiaj zbój nie przyjdzie po konia.

Zmartwił się tym, ale jednocześnie ucieszył, że chociaż konia bandycie zabierze. Owego cudownego ogiera, o którym baby legendy plotą po dolinach. Drzwi od stodoły na pole były otwarte. Sierpniowa noc bladła, świt wstawał szybko. Blask lampki bił się z pożogą brzasku.

Policjant opuścił swą dziurę w sianie, zesmyknął się po szczeblach, wziął w rękę latarnię i pchnął drzwi drewniane.

Drgnął, osłupiał. Konia nie było. Stał przez chwilę, niezdolny wykrztusić słowa. Jakby oczom nie wierząc, oświecał lampą wszystkie kąty komórki. Okna nie było, drugich drzwi nie było. A w te drzwi, jedyne, miał przecież wbity wzrok przez całą, całutką nie przespaną noc. Ach, prawda, z wyjątkiem tych kilku minut, kiedy zaganiał w chacie kobiety do snu.

I w tych kilku minutach?

Niech to szlag trafi! Brakło mu słów do przekleństw. Zdmuchnął latarnię, postawił na klepisku, założył karabin na ramię i zaczął schodzić w dół do Koszarawy w łagodnym wietrzyku rodzącego się poranka. - Szajka bandytów! - mruczał przez zaciśnięte zęby. Był pełen wściekłości i wstydu. Nawet nie rzucił okiem na dom uspionych kobiet. Gdyby umiał spostrzegać bystro, dojrzałby Zośkę z twarzą przylepioną do okna. I ona nie zmrużyła oka, bojąc się, że Janosik przyjdzie tej nocy po konia. Przypuszczała jednak, iż po pierwszym sygnale zwietrzył niebezpieczeństwo.

Była noc, tańczono koło ognia pod gołym niebem, na ubitym klepisku za stodołą. W Krzyżówkach odbywały się poprawiny po porannych chrzcinach.

Skwierczały suche jałowce, rzucane na ognisko, gwiazdy świeciły wspaniale, w gaju na dole zagwizdał słowik pełnym gardziółkiem, rytm bluźnierczej pieśni ogarniał zebranych. Cóż to za niespokojna melodia?

Wszedł w tan jeden z Jaśkowych opryszków. Poznali go: rewolwer wydyma mu kieszeń. Wódz też musi tu być w pobliżu, albowiem on nigdy od siebie nie popuści chłopców, zwłaszcza gdy jest zabawa. Nie dowierza im; zakazuje pić.

Na wszelki wypadek towarzystwo uczciło ich piosenką zbójecką. Hetman jednak nie ujawnił się, choć pół godziny temu z daleka naniósł się ku nim groźny huk kopyt jego ogiera. Wielu strachało się tego konia, taki był jego widok niezwykły. Czy to ten sam złoty gniadosz, który, nieposkromiony, zabił kopytem dwóch luzaków w Namiestowie? Nie na darmo opowiadano, iż Janosik lata na smoku.

Jasiek przebywał w niedalekiej chałupie, pił mleko, rozmawiał z ładną dziewczyną. Zatrzymali się tu po drodze, zmęczeni, wracając z Sopotni. Chwalili wespół z domownikami zalety węgierskiego wierzchowca.

- Złoty mi służy z miłości, nie z musu. Ja go nie pętam, idzie za mną wolny i nie przymuszony. Widzieliście kiedy takiego konia? Namordowałem się z nim długo, zanim się ze mną pogodził.

Właśnie księżyc wzeszedł na niebo, pękaty i czerwony. W Jaśku wzbierała dzika natura, każdym włókienkiem skóry wołając: do lasu, do lasu! Wstał, przytknął twarz do szyby, wpatrywał się jak urzeczony w narastające garby ciemności naprzeciw, na wały boru wskakujące jeden na drugi coraz wyżej, aż zerwał się, buchnął do drzwi.

- Do widzenia!

Krzyknął na kompanów, aby ściągnęli za portki Wańka z zabawy. Ogier miotał się na łące niespokojnie, podobnie jak jego pan. Ułożyli się do snu na Uwrociu, jak czynili to we wszystkie noce letnie, jedynie harnaś ze Złotym czuwali niżej, nie śpiąc.

Obudził ich wcześniej. Myli się w potoku, prychając jak konie. Jasiek, rozebrany do połowy, oglądał z politowaniem swoją koszulę:

- Psiakrew, kto mi ją upierze?

Odpowiedział mu Tramek:

- Poślemy babom na Głuchaczki do prania.

- Narzeczona jakaś bliżej by się przydała - chłopiec poglądał tęsknie na szerniały od brudu kołnierzyk.

- Przecież już mieszka chyba dość blisko. Mało ci jeszcze?

- Stul pysk.

Wygnał kompanów w skały na Kotlarczyska, sam zaś plątał się od Wężowca po Przegib, obserwując Głuchaczki i górny Przyborów.

O zmierzchu doszło do obejścia Maśliny w Cichem Koszarawskim gwizdanie Jasia z Głuchaczek. Twarz Zośki stężała: przyjmowała w siebie odległy sygnał kochanka jak ponadziemskie wzruszenie.

- Już gwizda na ciebie. Żebyś się nie ważyła wyjść!

- Nic mi nie zrobi, matusiu. Nie pożre mnie. Trzeba mu pomóc. Szczują za nim jak za psem.

Zaraz wymknęła się na dwór. Nie było na nią rady. Miała z nim ciężką rozmowę. Naturalnie, że o miłości. Ona o niczym innym z nim nie umiała mówić. Wykładał jej z bezczelną powagą, której prawda była niewątpliwa:

- Dawniej może zdawało mi się, że ja w tobie coś widzę. Ale naprawdę to mnie urzekła swoboda, dzikość, niezależność. Cieszyło mnie to, że chociaż goni mnie policja, mogę skoczyć w las, wyśmiać się z nich do woli, podejść nocą do chałupy, zjeść kolację, zgwiszczać się z dziewczyną na spacer w maliny. Uciekałem do ciebie, bo byłaś dla mnie wolnością, owocem zakazanym, po który odważyłem się wyciągnąć rękę. Jestem człowiekiem wyklętym, mnie nic nie wolno. Nie wolno mi kochać. Dlatego kochałem ciebie,

Twarz dziewczyny promienieje.

- Więc kochasz mnie? Twarz druga uśmiecha się.

- Nie. Ja kocham swobodę.

Zawsze był strumieniem sprzeczności. Czegóż on chciał właściwie?

- Zostań tutaj z nami, wszystko się naprawi.

- Nie usiedziałbym na miejscu.

- Przyzwyczaisz się do tego życia.

- Zbój, który będzie orał w polu!

- Więc nie da się, abys był przy mnie?

- Opamiętaj się. Wzieliby mnie stąd zaraz do kryminału. Ja kocham wolność. Nie mów mi o miłości. Co mnie to obchodzi?

- Kłamiesz. Sam sobie na przekór kłamiesz.

- Mówię ci świętą prawdę. Chcę być swobodny, pragnę gonić po dziedzinach jak ptak, nigdzie miejsca nie zagrazać. Czy może być coś smutniejszego nad drzewo wrosnięte w ziemię? Ja chcę być jak wiatr. Nie zrobisz ze mnie męża. Tak, jakbyś mnie okuła w kajdany.

- A o miłości nigdy nie myślisz? O kobiecie?

- To całkiem co innego - zaciął wargi zębami.

- Nie myślałeś jeszcze o żadnej kobiecie, z którą chciałbyś żyć całe życie? Albo bardzo długo? - poprawiła się.

- Głupie marzenie. Może je dawniej miałem, a może nie miałem go nigdy. Nie mów mi o tym. Moje życie jest w lesie.

Mżył deszcz, kiedy Tramek przyprowadził do Janosika młodą kobietę.



- Włoczyła się po borze. Mówi, że pragnie widzieć się z tobą.

Poznał ją. To Maryśka Medesówna z Sopotni, od niedawna żona sołtysowego syna

- Ja przyszedłam do ciebie, Jasiek - zaczęła niemrawo i zawstydzona od razu swą śmiałością. Jakże mu może mówić „ty”? Tych kilkanaście, niechby było kilkadziesiąt pocałunków z tamtego roku jeszcze nie uprawnia jej do poufałości. Przeszłość, która minęła. Chciała coś więcej powiedzieć, umilkła i zaczerwieniła się. Wyjęła garnuszek masła, położyła na trawie. Harnaś dodał jej odwagi, uśmiechnął się; po uśmiechu poznała, że to ten sam Jasiek, z którym chodziła do Gajki, którego żoną zgodziłaby się być natychmiast, gdyby tylko wówczas tego chciał.

- To bardzo ładnie, żeś mnie odwiedziła. Taki kawał drogi! Przez trzy wsie iść! Nie pytali cię, dokąd idziesz?

- Szłam ścieżkami przez lasy.

- Byłem tej wiosny z wizytą u twojego ojca. Nie miej mi tego za złe, żeś wziął mu parę koszul.

Dał znak Tramkowi, aby odszedł.

- Ja cię odwiedziłem na weselu, gdy się wydawałaś - ciągnął dalej - a teraz ty się do mnie wybrałaś. No, to już sobie nic nie winniśmy. A że tam wtedy na weselu po głowie oberwał od waszych parobków, to mi na zdrowie poszło.

- Nie gniewaj się na mnie - spojrzała nań błagalnie. - Ja z tym nie miałam nic wspólnego. O niczym nie wiedziałam. To Gałaś namówił chłopaków. On miał z tobą porachunki za Witka.

- A, widzisz - przypomniał sobie nagle. - O Gałasiu całkiem zapomnieliśmy. Co słychać w Sopotni?

Gruchała pieszczotliwie o tym i owym. Wsłuchiwał się raczej w jej głos, nie w treść, bo cóż mu mogła ciekawego powiedzieć? O sprawach, które go obchodzą, donosił mu wywiad. Po nowinkach natury towarzyskiej pochwalili wspólnie pogodę, zgodnie przepowiedzieli ziemniakom dobre urodzaje i rozmowa zdała się być wyczerpana.

Z czym mogła tu przyjść ta hoża mężatka? Dwa długie, złote warkocze uwinęła w węzowe gniazdo na tyle głowy. Chustka osunęła się z włosów na kark, może umyślnie? Na szyi wianek koralu; bluzka niebieska, wykropkowana gęsto w krwiste paciorki, podobne do tych, które miała nanizane w różańcu nad piersią.

- Czy masz do mnie jakiś interes, Maryśka?

- Nie - znów na jej twarzy pojawił się rumieniec zażenowania. - Chciałam cię tylko zobaczyć, przemówić do ciebie. Chciałam wiedzieć, czy sobie mnie przypomnisz, czy

dopuszczysz mnie do siebie, bo w dole mówią: dostać się do niego trudno. Nie pamiętaj mi niczego złego. Będę się za ciebie modliła. Ja cię kochałam, Jasiek.

Rozpłakała się. I w płaczu szepnęła:

- I teraz ja ciebie miłuję.

Porwała go za rękę, zanim się zdołał opamiętać, i ucałowała ją.

- Co robisz, Maryśka?

Zrobiło mu się głupio. „Co to jest, baby całują mnie po rękach jak klechę” - pomyślał ze wzrastającą złością, jaką budził w nim zawsze widok łez kobiecych.

„Co, psia krewo, wszystkie dziewczki przy mnie płaczą! Co ja im zrobiłem?”

- Będę się za ciebie modliła - powtórzyła żarliwie.

- Nie trzeba - ozwał się szorstko. - Myśl o mnie dobrze, to wystarczy. I nie płacz.

Uspokoila się. Spoglądała wielkimi, niebieskimi oczyma, lśnącymi od łez. Nie wyglądała na mężatkę, lecz na dojrzewającą dziewczynę. - Ja często o tobie myślę, Jasiek.

- Myśl dalej, może coś wymyślisz - zażartował. Ujął kobietę wpół, pocałował ją w usta. Oblała się czerwienią wzruszenia. To nie taki pocałunek jak sprzed roku, o nie. Te same usta, ale dotknięcie inne. Czuła, że teraz, w kulminacyjnym momencie pożegnania, powinna odejść natychmiast.

Odwróciła się, mignęła granatową spódnicą w krzakach i odpłynęła w głąb. Szła tu przez cztery godziny, aby go zobaczyć, a mówiła z nim przez pięć minut. I to wystarczyło, aby ją znowu potężnie w sercu i w myślach na długo nawiedził, taki sam, jaki był za jej panieńskich lat. Tylko że teraz odziany w groźną sławę harnasia. Kobiety nie bawią się w ocenę moralną swoich bohaterów, zwłaszcza kiedy bezpośrednio nie zagraża to ich interesom uczuciowym.

Jego zaś pierwszą myślą było, kiedy odeszła: „Czy to nie podstęp? Już raz przez nią dostałem po łbie. I jeszcze mnie w rękę całuje, durna. Jak Judasz. To coś podejrzanego”. Z lekkomyślnością właściwą swej naturze przerzucił się do analizowania wdzięków młodej mężatki sopotniańskiej. Uznał, że wyładniała. „Choć na ogół prawie nie zmieniła się od moich jeleśniańskich czasów. Wygląda jak dziewczyna.”

Gwiżdżąc, zawrócił w las. W przyzwoitej oddali krążył Tramek, jego nieodstępny adiutant. Wstąpili razem w skałki Uwrocia. Przykucnęli przez chwilę, bo zdało się im, że widzą turystę pośrodku głazów. Na szczęście było to złudzenie. Komu chciałoby się męczyć w upał bezcelową wędrowką? Zresztą ponury hyr bandytów oczyścił Babią Górę z turystyki.

Nazajutrz pastuch z dołu doniósł: Witkowski kręcił się pod Jałowcową. Widziano go rano koło Dziełinego Potoku, szedł sam. W Jeleśni bawił wczoraj w południe przez pół godziny wicestarosta żywiecki, rozmawiał z Franczakiem i z Kaczmarczykiem. Po obiedzie zjawił się w urzędzie gminnym sołtys z Przyborowa. Kaczmarczyk wezwał Wojnara na posterunek i kazał mu jeszcze raz przedłożyć imienną listę członków „Wici” w dwóch egzemplarzach. Do Sopotni przyjechał Witek ze Sporysza kupować świnie na jutrzejszy jarmark w Sucheju.

- A Gałaś?

- Pomaga mu. On mu zawsze furmani. Stanęli z wozem pod Singerem i piją.

W Sopotni znają obyczaje Witka: rano pije, później kupuje świnie, na wieczór znowu idzie do szynku i chleje do późnej nocy. Potem prześpi się parę godzin na wozie wraz z Gałasiem, a o świtaniu wyjadą na jarmark.

Już od dwóch dni myślał Janosik o tym krościastym drabie. Od dwóch dni kazał go śledzić swoim wywiadowcom. Z radością powitał wiadomość Ignaca.

- Świetna okazja! Mam ich obu razem.

W asyście kompanów zsunął się o zmierzchu nad rzeczkę w Krzyżowej. Zaległ wieczór, gdy wkraczali do Sopotni.

- Urządzimy Witka.

Od dawna tęsknił za tym. To jeszcze jeden, któremu coś był winien za zeszłoroczną weselną przygodę. Dobrze się stało, że się zeszli razem. Będą pili długo w nocy obaj z Gałasiem, kirusy zawołane.

Domysły były słuszne. Wnet stropili wóz świniarzy pod karczmą Singera. Na furze chrząkało parę świń, które handlarz miał jutro z zarobkiem spieniężyć na jarmarku.

- Będą jechali do Jeleśni - zauważył Maściak. - Gdy wóz stoi przed karczmą, to znaczy, że pojedą na poprawiny do Habera. Jakby fura była w wozowni, oznaczałoby, że będą tu nocowali. Ja znam ich zwyczaj.

Skulili się nagle, przyczajeni za śliwami, bo dojrzeli jakąś postać idącą miedzą z koszykiem na plecach. Przesunęła się z dala od nich, przygięta wpół od ciężaru, nie zauważywszy ich w mroku. Niecierpliwili się.

- Ależ chleją! - z zazdrością wzdychał Michoń.

- Im później wyjdą, tym lepiej, bo droga będzie pusta.

- I bez tego jest pusta - mruknął Jasiak, spojrzawszy na zegarek. Dochodziła dziesiąta.

- Czy te chamy nie wyjdą nigdy z knajpy?

W ciągu kwadransa doczekali się nareszcie upragnionych pijaków. Witek, wsparty na

ramieniu Gałasia, hałaśliwie wytoczył się z szynku. Kołysał się chwiejnie w biodrach, podśpiewując chrapliwie:

*Leciały gołębie, leciała ich para,  
kiedy ja cię kocham, to drugiemu wara.*

Trójka szła za nimi, pomykając od drzewa do drzewa. „Wyjdźmy przed nich. Zaczaimy się w Gajce przy potoku.”

Prześmignęli górą nad olszynami. Usadowili się wśród młodych smreczków w trawie, tuż nad przydrożną fosą. Z daleka niósł się w turkocie wozu ochryply głos świńskiego kupca:

*Widziałaś ty, dziewczę, ten kamień nad wodą?  
Jak kamień zakwitnie, ożenie się z tobą.*

Wpadli na nich znienacka z obu stron drogi. Witek z przestrawu wytrzeźwiał, zwałił się na drabiny, którymi nakryty był towar.

Chwycili ich za gardła, zwlekli z wozu, obłożyli porządnie kułakami, nie żałując pięści. Wytarzali ich w kurzu, zdarli im kabaty, wyciągnęli pieniądze. Zsunęli półkoszki z wozu, przecięli czterem świniom postronki na nogach, spędzili je na ziemię, rozgonili biczem. Już za chwilę słyhać było w krzakach głośnie łamanie gałązek i pochrząkiwania.

- Dołóż im po głowie - zachęcił wódz Michonia. - Niech sobie tu poleżą z godzinę.

Dwukrotny zabójca wykonał rozkaz z precyzją, nawet z przesadną gorliwością. Wyprzęgli konie, uwolnili z uprzęży, puścili je wolno. - Niech się pasą.

Już mieli odchodzić, gdy Janosik, niesyt zemsty, wpadł na pomysł.

- Rozebrać ich do koszuli!

Zdjęto im spodnie i buty. Tramek zabierał się i do koszuli, Jasiiek z Głuchaczek z uśmiechem zaaprobował ten plan.

- Niech zostaną nago.

Zabrali pod pachę garderobę pijaków i tak pozostawili ich na drodze leżących: bez ubrania, bosych.

Na drugi dzień wszystkie okoliczne wsie zaśmiewały się do rozpuku z Witka i Gałasia. Kilkoro ludzi oglądało w nocy żałosny widok: obu mężczyzn pielgrzymujących boso, nago w kierunku Sopotni. To ich zgubiło; Turcula dowiedziała się o tym, a od jej opowieści zaszumiała cała gmina zbiorowa. Handlarz ze Sporysza szalał z wściekłości. Świnie rozbiegły się po lasach; podobno połapali je ludzie, ale żadna do właściciela nie wróciła. Również jeden

koń przepadł.

Policja była bezsilna. Ten człowiek ma diabła w sobie: bandyta, który bezkarnie urządza sobie dowcipne kawały.

Tyle razy zasadzano się na niego i zawsze zdołał umknąć. W tej chwili był tu, za chwilę wyrastał o parę kilometrów dalej. Należałoby walczyć ze wszystkimi, aby go schwytać. Od dawna nauczył się tej sztuki, o której było głośno: wsiąkania w las. Gdy wszedł w drzewa, szarzał jak kora, ciemnozieleniał jak choina świerków, brązował jak pokład igliwia, po którym stapał. Jego gniadego ogiera znano wszędzie, aczkolwiek nikt go z bliska nie widział. Koń miał cudowny, długi sus w galopie, jakby płynął ponad ziemią. Co tu marzyć o schwyтaniu człowieka, który goni na takim rumaku?

Był przełom sierpnia i września, piękny, gorący czas. Powietrze pałało niezdrowym oparem, mdliło zaduchem. Zbójcy siedzieli pod zieloną ścianą Jałowieckiego boru, paląc papierosy i wygrzewając się w słońcu. Na przeciwległym wzgórzu przesieka cięła ukośnie knieję, jak odmierzona napiętym sznurem. Pod przesieką - Polska, nad przesieką - Czechosłowacja. Ze stromego ramienia Wężowca zwisały powalone w dół potężne trupy smreków. To cmentarzysko wykrotów, nie uprzątane od setek lat, stanowiło bramę wpadową dla orawskiego wiatru. Potok, do połowy zasypany głazami, ciekł skąpo wyschniętym łożyskiem.

Czy zdawali sobie sprawę z tego, jak beznadziejne było ich życie? Jak długo mogła trwać ta zabawa i jaki miała przybrać koniec? Nie namyślali się nad tym - to rzecz Jaśka. Jego to moc zmusiła czarnych chłopców do nierealnej wprost wegetacji. Żyli bez kobiet, bez wódki, bez awantur, bez bijatyk, aż dziw: młodzi, rośli jak buki, jedynie sycący swą jurność w przygodzie. Toteż rzucali się jak wilki zajadłe na ludzi, gdy przyszło rabować. Jakby spełniali jakieś wyższe zadanie, nie ulgę nawet znajdując dla swych zbijackich temperamentów, lecz wykonując cel Janosików: zemstę.

Och, po wyprawie chlali piwo jak pompy ssące. Kupili barana od bacy, zarżnęli, upiekli. Obżarli się tak, że przez dwa dni leżeli w dziurze jak chorzy, trawiąc. Później znów następowały dni uporczywego kluczenia po lasach, czujnych zwiadów, ostrożnych tropień, dni pełne napięcia, noce pełne niebezpieczeństw. Bez jedzenia prawie, o kilkunastu papierosach, o paru łykach wody, prowadziła ich po manowcach wola Janosika, niezrozumiała, ale silna, której poddali się na śmierć i życie. Co mieli robić? Nad każdym z nich czuwał już dawno jakiś posterunkowy Witkowski, czekając, aż osaczona zwierzyna sama mu wpadnie w łapy. Każdy z rabusiów poza jedynym wodzem tęsknił za żoną, za dziećmi, za

domem, każdy czynił to skrycie, samą tęsknotę już uważając za bunt. Każdy chciał pomóc swoim ludziom w koszeniu owsa, w okopywaniu ziemniaków, ale tam przecież w dole pilnowali ich Witkowsy i kto wie, czy nie groźniejsze oczy i uszy Turculi.

I to także było u nich beznadziejne: ta myśl o powrocie do domu, do żon, do dzieci, do koszenia owsa, do kopania ziemniaków. Szkoda o tym myśleć. „Jakbyście nie mieli żony ani dzieci” - przywracał ich do przytomności Jasiek. Więc z tym większym fanatyzmem poddali się władzy hetmańskiej, tym wścieklej odprawiali rabunki, jak gdyby w tym rzemiośle karmili i własną zemstę za odcięty powrót do domów.

Jasiek siedział pośrodku nich, obmyślając nową wyprawę. Popatrzeć na niego: nieborak wśród łotrów. A jednak było oczywiste, że ich poczwórne zuchwalstwo wynikało tylko z jego szaleństwa.

Przeraził się nagle. Kimże on jest? Bandytą. Wywłoką. Włóczęgą. Bękartem. Pastuchem krówskim. Synem kaleki. Kto to powiedział?

- Daj sobie wytłumaczyć, głupia dziewczyno - persadowała córce stara Maślina - że on się tobie nie oświadczy. Zrobiłby to już dawno, gdyby miał ten zamiar.

Kiedy się kogoś kocha, nie pyta się o takie rzeczy. Uczucie Zośki dla Jaśka miało wszelkie cechy bezinteresowności. Jej serce przyjęło go od razu silnym biciem w pierwszy wieczór poznania na przyborowskiej zabawie. I od tej chwili pozostała posłuszna tylko sercu.

- Odkąd się znacie?

- Od tamtego lata.

- Więc cały rok. I co? Może byłby czas nareszcie, aby ci powiedział, do czego to zmierza? Kiedy chłopak chodzi przez rok do dziewczyny, to znaczy, że się chce z nią ożenić. Nie można być awanturnikiem przez całe życie.

- On nie ma jeszcze dwudziestu lat.

- Toteż wiecznie nie będzie się uganiał z policją. Bo mu dadzą po łbie i odechce mu się figli raz na zawsze.

Matka Zośki była dzielną i energiczną kobietą. Od lat zaprawiona w gospodarstwie do twardej pracy męskiej, nie tęskniła za mężczyzną. Z dolnego przysiółka pożyczala konia od Sitkowskiego, orała, skrudliła, furmaniła sama, jedynie przy pomocy córki. W Koszarawie przy drodze mieszkał brat jej zmarłego męża, z którym jednak nie utrzymywała stosunków. Dzielila ich zadawniona niechęć od czasu sporu obu braci o majątek. Starszemu Masłowskiemu wydarł młodszy przy podziale wszystko, co było lepsze. Wdowa pamiętała to szwagrowi, choć sama była niebiedna i po rodzicach miała pieniądze, za które kupiła sobie

grunt.

Zośce przydałby się mąż. To przecież naturalne powołanie kobiety. Maślina nie będzie żyła bez końca. Ktoś musi przyjść na gospodarstwo. Lubiała Jaśka z Głuchaczek i liczyła na niego jako na zięcia. Bolała nad jego niespokojną naturą, ale, znając życie, wierzyła, że się ustatkuje i że będzie dobrym gospodarzem.

A Zośka? Zośka kochała go miłością bezrozumną. Zupełnie nie pojmowała jego postępów, obca jego marzeniom, daleka myślom, przeciwna usposobieniem. Wszystko to jednak, co w innym wypadku mogłoby się stać podstawą konfliktu, tym mocniej przywiązywało ją do niego. Inność kochanka imponowała jej. Jego namiętne pocałunki trwały tylko chwilę; znowu zamykał się w kole odrębnych zainteresowań, zapatrzony w coś, zamyślony nad czymś; ta odległość wzmagala jej miłość. On zaś wracał od dziewczyny do przyrody jak dziki człowiek, który najlepiej czuje się wśród smreków.

Dlaczego stał się bandytą? Nie znalazł bowiem dla siebie miejsca w uporządkowanym świecie. Natura jego dzika, aspołeczna podnosiła bunt przeciw wszystkiemu, co było uregulowane, objęte przepisami. Dlatego uciekł na swobodę. Tu leczył się z goryczy, z gniewu i z ran. Ciężkie życie miał od urodzenia, znał ból niepowodzeń. Widział wiele, rozumiał jeszcze więcej. Zośka nie doświadczyła dostatecznie życia. Wszystko się zmieni na dobre, myślała. Tak również myślała matka. Dziewczyna młoda, ładna, dostatnia, któż by się nie chciał z nią żenić? Na tym opierała swą nadzieję na zięcia.

Ale ta nadzieja stopniała w ciągu miesięcy, kiedy Maślina za pośrednictwem znajomych wybadala możliwość powrotu Jaśka na łono społeczeństwa praworządnego. Traktowała go przecież zawsze jako lekkomyślnego chłopca, który wpadł w złe towarzystwo, ale który się kiedyś uspokoi, ożeni i będzie wzorowym człowiekiem. Dowiedziała się z przerażeniem, iż młodzieniec zaszedł za daleko; groziło mu wiele lat więzienia za zbrodnie pospolite. We wsi uważano go tylko za zbijaka, lecz władze państwowe piętnowały Dziurę jako zbrodniarza i puściły w ruch przeciwko niemu ciężką, choć powolną maszynę sprawiedliwości. On zresztą przesiąkł już tak lasem i zbójem, że nic nie zdoła z niego uczynić gospodarza osiadłego na morgach. Wykolejony.

Już więc na pewno Jaś z Głuchaczek nie zostanie zięciem Masłowskiej. Rok cały chodził do Zośki i nic z tego nie wyszło. Tak rozpoczął się konflikt matki z córką.

Od dwóch tygodni nie był Janosik w Cichem. Zośka zaczynała tęsknić. Nareszcie przemogła ambicję. Wybrała się na Głuchaczki pod pretekstem zanieśienia swojemu chłopcu obiecanych skarpetek. Natrafiła nieszczęśliwie na Agnieszkę przy studni. Któż kobieta okaże życzliwość kobiecie, zwłaszcza kiedy pierwsza pyta o mężczyznę, a drugą bolą właśnie

zęby?

- Jest Jasiak?

- Nie ma - mruknęła wściekle Juraszkówna. Długa, grubokoścista twarz, podwiązana czerwoną chustką, skrzywiła się. - Skąd mogę wiedzieć, czy jest? Co mnie to obchodzi? Tutaj nie mieszka.

Władka także nie było. Zośka pozostawiła Agnieszce skarpetki. Raczej dorozumiała się, aniżeli dowiedziała, iż Jasiak wywiął w Orawę na skok. Matka w domu przywitała ją złośliwą ironią.

- Szukałaś narzeczonego?

Córka nie odezwała się. Od pewnego czasu nie reagowała na matczyne zaczepki.

- Zgubił ci się? - szydziła stara dalej, nie dając za wygraną. - Ej, Zośka, Zośka - tłumaczyła jej już znacznie łagodniej - kiedy ty zmądrzejesz? Czy naprawdę się łudzisz, że on się z tobą ożeni? Na niego czeka więzienie, nie żona. On bałamucił głowę nie tobie jednej; tylko ty jedna jesteś tak głupia, że do tej pory trwasz w zaślepieniu. Ocknij się. Powiedział ci, że cię kocha?

Córka zacięła zęby; milczała.

- Powiedział ci, że cię kocha? - nalegała matka z natarczywą troskliwością.

- Nie musiał tego mówić. Ale ja wiem, że mnie kocha - skłamała.

Spaliłaby się ze wstydu, gdyby miała powiedzieć inaczej.

- On nie jest z tych, którzy są nieśmiali. Czy powiedział ci, że się będzie z tobą żenił?

- Ja się go o to nie pytałam.

- Powiedział ci, że jesteś jego narzeczoną?

- Nie.

- A widzisz!

- Ale pierścionek włożył mi na palec.

- Ho, ho - zadrwiła stara. - Ile on tam innym dziewczynom rozdał pierścionków! Co to jest dla niego ukraść pierścionek i podarować frajerce!

Serce ścisnęło się córce z bólu.

- Każdy chłop powie kobiecie, że ją kocha, kiedy chce się z nią przespać - przygważdżała ją bezlitośnie matka w dalszym ciągu. - Co ty myślisz, że będziesz wiecznie w nim zakochana? Że on się z tobą nie ożeni, tylko tak będzie nadal chodził do ciebie? Tak jak od roku chodzi? Że będziecie żyli na wiarę?

Przeleżała się tego słowa. Żyć na wiarę to znaczy kochać się z kimś gorąco, bez ślubu, ku zgorszeniu całej wsi, ku zgromadzeniu, ohydzie, plotce, śmiechom i przekleństwom wszystkich



naokół.

- Przecież Bronek i Agnieszka Juraszkówna mają się ku sobie już trzy lata - chwyciła się tego przykładu jak ostatniej deski ratunku.

- To całkiem co innego. Bronek jest porządny chłop. Nigdy o nim ani o Agnieszce ludzie nie powiedzieli nic złego. Żyją przykładowo, jedno w jednej wsi, drugie w drugiej. Bronek czeka, aż się dorobi trochę majątku. Juraszek znów musi zebrać pieniądze, aby spłacić siostrę. Młodzi muszą się pobudować. Bronek i Agnieszka to nasi ludzie. Tu wyrosli i znamy ich od dziecka. Gdyby on nawet oszedł od niej i ożenił się z inną, to jeszcze Agnieszce szkody ani wstydu nie zrobi. A Jasiek? Kto on jest? Skąd go tu naniósł? Ze świata, skądś od Tatr. Kto go bliżej zna? To pędziwiatr, ladaco.

- Dawniej tak o nim nie mówiliście. Dobry wam był.

- Pewnie, bo się go bliżej nie znało. Myślałam tak, jak myśleli wszyscy: młody jest i ma pstro w głowie. Poawanturuje się i wyszumi.

- Nie skończył jeszcze dziewiętnastu lat. Ma czas.

- Już rok tak szumi, a przez ten rok więcej nabroił niż inni przez całe życie. Rabunki i podpalania to nie zbijanie, to zbrodnie. Myślałam, że skoro nie ma rodziny, my zastąpimy mu dom. Gdzie tam! Zdawało mi się, że gdy znajdzie sobie dziewczynę, ona przywiąże go do porządnego życia. Gdzie tam! To powicher. Więzienie mu się kroi na wiele lat. Na dziesięć lat! On ciebie skrzywdzi, zmarnuje i porzuci. Policja i sądy poszukują go jako bandytę. Jak ty sobie wyobrażasz życie z nim? Kiedy będzie zapakowany do więzienia na dziesięć lat? Na dziesięć lat! Do czego to wszystko prowadzi, co on robi? Jaki będzie koniec temu?

Nie wiedziała, co na to odpowiedzieć matce. Zaiste, nie wiedziała, bo nie rozumiała Jaśka nigdy, poza tym jednym, że go kochała. Ze wstydem słuchała słów matki, och, jakże słusznych! Z goryczą tłumiła łzy, tym bardziej zacinając się w gniewie na matkę, że nie szczędzi jej tak przykrego rozczarowania. „Ona burzy moją miłość, ona mnie od niego odpycha. Zrobię jej na złość, chociaż ma rację.”

Coraz częściej wybuchały takie rozmowy. Zośka unikała starannie tego tematu. Przecież matka nie dawała jej spokoju. - Oglądnij się za jakimś rzetelnym chłopakiem we wsi i nie zawracaj sobie głowy Jaśkiem. To nie ma sensu.

Zaprawdę ta miłość nie miała sensu. Nie kleiła się. Była bez przyszłości, bez zaczepienia, bez oparcia. Kiedy się kochali, czuli się szczęśliwi, było im wszystko jedno, nie myśleli o niczym. Kiedy szął przeszedł, Zośka zapytywała siebie: „Co dalej?” W uszach szumiało jej natarczywe, nie dające spokoju pytanie matczyne: „Czy ty naprawdę się łudzisz, że on się z tobą ożeni?”

Jeden Jasiak nie przejmował się troską obu kobiet. Jego w ogóle nie obchodziły te sprawy. Żył w wymiarach nierzeczywistych. Chyba nie istniała dlań miłość, przynajmniej w tym znaczeniu, w jakim ją ludzie pojmują. Nieraz Zośka widziała, że jego spojrzenie przebija jej twarz, sięga gdzieś dalej, poza nią. Jeśli się ma lat osiemnaście, choćby się było pastuchem od krów, widzi się życie w barwach cudownych. Zdawało się więc i jemu, że świat powinien być posłuszny marzeniom, a nie odwrotnie.

Ignac meldował: Maślina z córką były na przesłuchaniu u Witkowskiego. Policjant spisywał z nimi protokół ze dwie godziny. Będą miały obie sąd za przechowywanie u siebie konia zbójnickiego.

- Może to kradziony koń, kto wie? - kłopotał się ironicznie posterunkowy. - A przechowywanie czegokolwiek pochodzącego z kradzieży jest karane. Zresztą już samo to jest wystarczającym dowodem, że komunikujecie się z bandytą i pozostajecie z nim we wspólnictwie.

- Udowodnijcie nam to - podniosła hardo głowę stara.

- Sąd się tym zajmie - zakonkludował Witkowski. Włożył protokół do szuflady, wstał od stołu, zapalił papierosa i zakończył czynność urzędową.

Jeszcze jedna obława poszła w góry; liczyła osiem osób. Uprzedzony o niej, przeprowadził się Jasiak na Okrutnicę. Wbili się jak trusie w Wańkową Dziurę. Jedyne hetman wieczorami śmigał po polanach na gniadoszu, dniem ukrywając go w opuszczonym szałasie pod opieką bacy ujsolskiego; tego, który wykurował Wańka.

Którejś nocy wywiązał do Herdućki. Nie było go przez dwie doby. O brzasku wyszła mu naprzeciw Jaga, zwabiona tętentem kopyt. Ucałowała młodzieńca w usta i rzekła:

- Tyś jest Janosik.

Odpowiedział jej, pociemniały na twarzy od rumieńca:

- Jam jest.

Głaskała konia, który jej przywiózł kochanka z północy. Oglądała w świetle wschodzącego słońca całą piękność zwierzęcia. Pierś szeroko sklepiona, zad szczupły, nogi mocne, smukłe, jak w miękkim metalu kute. Skóra jedwabnie lśniąca, sucha, cienka, bez śladu tłuszczu. Pod wiotką sierścią znać było wypukłości twardych mięśni oraz siatkę żył. Oczy rozumne, zalśnione żywym błyskiem, głowa szlachetnie wąska. Udzielał mu się niepokój, gdy czuł istotę ludzką w pobliżu. „Wtedy cienkie nozdrza rozdyma szeroko i parska” - objaśniał jeździec. Pod ażurowym welonem skóry zadrgały czasem mięśnie; niby pod pajęczyną widać było to nerwowe drżenie. Złota grzywa podobna włosom dziewczyny spadała na kark jakby wyciosana z kamienia.

- To zagraniczny koń. Od grafa Beroczego ze Szczyrby. Wziąłem go jednemu rotmistrzowi z Namiestowa.

- Tu mówią o tym koniu, że się niesie w powietrzu jak ptak. Nad drzewami.

Uśmiechnął się. - Jak mu coś do ucha szepnę, śmiga jak wichur.

Przytulił twarz do nozdrzy Złotego, miękkich, delikatnych i przezroczystych jak muszle. - Przenocujesz nas?

- My was ukryjemy tak, że was oko ludzkie nie zobaczy. A i tu ciebie także szukały żandarmy.

- Kiedy? - zaniepokoił się.

- Będzie temu ze dwa, trzy tygodnie. Szło ich sześciu z karabinami od Nowej Bystrzycy na Mutne i Polhorę.

- Tak - przyświadczył. - Wtedy, gdy byłem ostatnim razem u ciebie. Uciekaliśmy z Polhory.

- Pilnuj się, Jasiek. Oni za tobą tropią.

- Ja wiem.

Zdemaskowanego harnasia przyjęto w domu Jagi z honorami należnymi jego znamienitości. Zabito kurę, podano na obiad rosół i mięso. Świeże masło, placki pszeniczne upieczone na blasze. Uradzał długo z ojcem. Przyjechał bowiem, aby spenetrować okolicę, pragnąc wywąchać po tej stronie legowisko i zapaść w nim na zimę. W Beskidzie Wysokim robiło się coraz goręcej. Obława za obławą szła w góry. Obeszli parę miejsc, nie udały się jednak Jaškowi.

- Najgorsze, że już wytyczyli zręby - prawil stary - i przesieki pójda przez najdziksze miejsca. A pod Lehotą stary szalas przerabiają granicznicy na placówkę. Na Madohorze zaś będą mieszkali drwale. Ale ja wam coś wypatrzę.

Następnego ranka poszli jeszcze raz we dwójkę w poszukiwaniu miejsca na kryjówkę.

- Na pięciu nie znajdzie się schowania. Ale rozbijecie się po dwóch. Ciebie zatrzymamy u siebie. Pies gończy cię nie wyczuje. Jakby ci źle było, od razu wiej do nas.

Pożegnał się z nimi po zachodzie słońca, w ulubionej godzinie swych wędrówek. Wyprowadził gniadego ze stajni, ogier podnosił uszy, jakby nasłuchując przyszłego tętentu swoich kopyt, rozdymał chrapy, wietrzył woń na szlaku.

Jaga odprowadzała harnasia w mrok. Całowali się tak żarliwie, jakby im już życia nie zostawało. Obejmowała jego głowę, wpiła palce we włosy.

- Powiedz coś, Jasiek.

- Wolę milczeć.

- Lubię, jak mówisz.
- Przyjemniej słuchać.

Chmurzyło się, pogoda się psuła. - Może spadnie deszcz?

- Nie, bo wiatr z północy.

Ona się pewnie lepiej zna, bo siedzi na tych wierchach.

- Zaśpiewaj coś, Jaga.

Nie dała się długo prosić, jak każda góralka, dla której śpiew jest codzienną mową uczucia. Miała głos miły, raczej niski. Koń niecierpliwie wycierał kształtny łeb o łopatki mężczyzny, który był właściwie jeszcze chłopcem. Dziewczyna śpiewała:

*Wietrzyk cię owieje, deszczyk cię uleje,  
gdzież ja się bez ciebie na świecie podzieję?*

Ton tej skargi jakby go w samo serce ukłuł. Oderwał się od niej, wskoczył na siodło.

- Już?
- Już.
- Przyjedź do nas znowu.
- Przyjadę.

Każdej tak mówił. Już koń unosił go w mrok, w wiatr, w pochmurność. Pan przemawiał pieszczotliwie, ogier strzygł uszami na znak, że rozumie. Wniknęli obaj w bór.

Nazajutrz Jaga snuła się leniwie przy owcach, przędąc jak zwykle czarną wełnę. Północny Jasiek, to było objawienie! Delikatny a namiętny. Ma wargi, zdawałoby się, nieczułe zmysłowo. A przy całowaniu, rzekłbyś, zębami krew z twoich ust wycisnie. Ręka, która chwytnymi palcami wodziła po masie czarnego runa, wywijając zeń swój własny, rozumny szlak, zadrgała. Tę rękę tak długo trzymał w swej dłoni Janosik, jakby ją chciał natchnąć swoim gorącem. Ta ręka wpijała się w gęstwę jego włosów, błędziła w jego czuprynie; palce nikły w miękkości pachnącej powietrzem i lasem.

I lasem. Przypędził z lasu i wrócił do lasu. Kiedy znów przyjedzie do niej? Może już nie wróci? Aby zobaczyć się z nią, musi przekradać się przez granicę. Oto kochanek! Jemu nieciężko wędrować z Polski po jej pocałunek. Zawsze uśmiechnięty; a przecież z obu stron ścigają go żandarmi i policjanci. Pojmą go kiedyś i zamkną do więzienia. Już go więc nigdy nie zobaczy. Utonęła w tej wizji i brakło jej oparcia, przejętej do cna miłością. Płacz posilił ją.

Pierścień obław zacieśniał się. Pasterze informowali Jaśka, iż policja po dwóch zachodzi na Babią, na Romankę, na Pilsko, na Lipowską. Przed paru dniami Witkowski nocował z Kowalem w niemieckim schronisku pod Diablakiem.

Podkomendni Janosika znowu przywarowali w ziemi. Tylko wódz znajdował się, jak zawsze, w rozjazdach. Nocami przywoził sam pożywienie do Wańkowej Dziury. Na Głuchaczkach zastał wszystkich zastrachanych. Wszedł śmiało wśród piania kogutów; błysnęła uśmiechem smagła zbrojnicka twarz. Juraszek stropił się na jego widok.

- Za często się kręcisz, Jasiek.

- Mnie nie szkodzi.

- Ale mnie szkodzi.

To znaczyło, że znowu obfitszą strugą popłyną mu pieniądze do kieszeni; ale że znowu rozpocznie się niebezpieczna gra chytrłości i czujności, życie w ciągłej obawie przed nakryciem, na pograniczu bogactwa i kryminału.

- Ruszać się nigdzie nie można - narzekał. - Strażniki łażą po piętach. Witkowski z Kowalem płaczą się ciągle nad przyborowskim koszarem. W niedzielę nocowali u nas.

Janosik pocieszył go prędko, posyłając na dół po napitek, chleb i kielbasę. Koń pał się w wyrębie, Ignac czuwał pod stodołą, a u Juraszków trwała biesiada. Nieśmiertelna żądza pieniędzy raz jeszcze zwyciężyła tych ludzi. Harnaś ofiarował Agnieszce w prezencie pierścionek zrabowany w Węgierskiej Górze.

- Daruję ci go na twój przyszły ślub z Bronkiem. Aby się wam dobrze wiodło.

Zawiał silny wiatr wschodni, zachmurzyło się, lunął deszcz. Po południu wśród chlapawicy kompania przerzuciła się z Okrutnego Gronia na Kotlarczyska. Suszyli przemoczone ubrania nad ogniem. Ta grotka wydała im się rzeczywistym pałacem w porównaniu z Wańkową Dziurą, gdzie było tak ciasno, że kiedy się budzili rano, dwóch musiało się wyczołgać z jamy, aby pozostali mogli wstać; a palić ogień na strawę musieli w krzakach, bo inaczej udusiliby się. Tutaj zaś mieli przestronne miejsce, świeże powietrze, bieżącą wodę; po prostu hotel. Według opowiadań nieboszczyka Ślepka cztery pokolenia zbrojników miały się złożyć na udoskonalenie tej pieczary. Przez skalne okienka w suficie widzieli rozplakane niebo. Grali w karty, pałac oszczędnie kończący się zapas papierosów. Janosik obmyślał plan wspólnego zejścia do Rabczyc i zagrzebania się w orawskiej Magórze na tydzień, dwa. Stamtąd mogliby powędrować do Herdučki. Niepokoiła go wiadomość, iż z Milówki wyszła dwudniowa obława na Romankę i Lipowską. Dotychczas uważali tamten teren za swobodny i bezpieczny. Może jakiś konfident coś wywęszył?

Spali osobno: wódz w głązach, Tramek na jego straży opodał, reszta w grocie. Złoty był ukryty w szałasie bacy rabczyckiego na południowej stronie Przegibu. Nazywano tę halę Niebieską od koloru kwiatów. „Nieporęcznie, bo za granicą” - narzekał z uśmiechem Janosik, ale nie było innej rady. Trudno o pewniejsze miejsce bliżej, zwłaszcza że ciągle trzeba było zmieniać ukrycie konia. Doprowadzał mu go pasterz o wyznaczonej porze na wierzch Przegibu.

W południe Michoń zabrał się do golenia kompanów. Zarabiał po cztery papierosy od twarzy; podstrzyżenie kosztowało dziesięć sportów. Niedługo jednak cieszył się zarobkiem, bo zaraz wydzierał mu go w kartach Waniek. Siedzieli pod ścianą skalistą na głazie gładkim jak stół, oblani ciepłym słonecznej jesieni. Biała piana mydła odcinała się śnieżycie na ich brązowych obliczach, z których żyłotka ściągała młody, silny zarost.

„Co też tam robi na dole Witkowski?” - martwili się zgodnie fryzjer i klienci. Jasiak leżał na wznak, plecami przywarty do kamienia, kolana zgięte, złożone jedno na drugim. Gazetą przysłonił niebo i czytał artykuł o sobie w piśmie, które mu Juraszek zapakował do plecaka. To podarunek od Wojnara, wiedział harnaś, bo artykuł był zakreślony fioletowym atramentem, Wojnarowym. Czego nie napisano w tej gazecie! Uśmiechnął się, odsłonił sobie czysty błękit. Na tym miejscu przed oczami, gdzie przed chwilą gazeta podzwaniała jego ponurą legendą, rozpościerała się głęboka przepaść wszechświata, to, co zbój najbardziej ukochał: wolne powietrze.

„Rzeczywiście, co tam porabia na dole Witkowski?”

O tej samej porze policjant przyborowski, oczekując spóźnionego obiadu, dławił się papierosem, kaszlał, spluwał, przeżuwał po raz nie wiadomo który gorycz niepowodzeń. Wyszedł znowu przed chałupę. Trawiony pasją, spozierał na szczyt Gylu. „Ja go spod ziemi wygrzebię” - nie obiecywałże sobie tyle miesięcy temu? I co? Nie tylko sobie obiecywał; także Witkowi, Franczakowi, Kaczmarczykowi, komisarzowi w Żywcu, staroście. I co? Mówiono, że kiedy Witkowski uweźmie się na kogo, wszyscy święci opuszczają z rezygnacją ręce. Nikt nie śmie ostać się przed jego zemstą. I co?

Chwała Janosikowa rozkwitała we wrześnieowym słońcu. Rabuś rósł ciągle nowymi czynami. „To zwierz, nie człowiek” - zżymał się policjant, mnąc papierosa pomiędzy palcami, poglądając ku puszczy czatożańskiej. Podczas chudego, złego roku wyłaniały się stamtąd ku sadybom ludzkim drapieżne, zgłodniałe czworonogi z gęstwin. Tamten był gorszy niż zwierz. Oczy powołane do pilnowania ładu w przyborowskim rejonie lustrowały ruchliwe stoki Mędralowej, spływające stromo ku Hucisku. Tam, od skoku z pociągu, zaczęła się kariera przestępcza Jana Dziury.

Dawniej chodził Witkowski w pojedynkę za tropami opryszka. Sam dziwił się swojej odwadze: toż to było samobójstwo. Takemu łotrowi i pluton policji nie dałby rady w lesie. Słusznie przestrzegała go żona:

- Nie chodź sam w góry, gotowi cię bandyci ubić. Co się będziesz narażał? Jeden na dziesięciu? Życie nadstawiać za te sto kilkadziesiąt złotych miesięcznie? - dodawała na końcu, lecz z akcentem, który nadawał ostatniemu zdaniu wagę pierwszorzędneho argumentu. Bo pani Witkowska, jego wierna połowica, podzielała zmartwienia prestiżowe i materialne męża.

„Trzeba zrobić jeszcze jedną obławę - rozmyślał posterunkowy - lecz tym razem na wielką skalę. I to nie jedną, dwie równocześnie. Jedną od Romanki, drugą od Babiej. Przetrzęsnać wszystko do góry nogami. Niech pójdzie ze stu ludzi, ale raz się wykurzy zbójów. Najważniejsze, aby ich odciąć od granicy i w ten sposób zrobić im koniec.”

Nareszcie obiad zjawił się na stole. Witkowski rozprostował się radośnie, jak gdyby troski myślowe znużyły mu mięśnie, i zasiadł do smakowitej zupy. „Co tam robią opryszki teraz? Jaki nowy skok planują?” - zastanowił się, biorąc pierwszą łyżkę do ust. W tej chwili opadło go błogie ciepło pożywienia i zapomniał o kłopotach zawodowych.

W dwa dni potem, kiedy wrócił po południu od Kaczmarczyka z Jeleśni, żona, odgrzewając mu obiad, dojrzała dawno nie widziany błysk uśmiechu pod mężowskimi wąsikami. Istotnie, był zadowolony; po pierwsze, ponieważ jego wygłodzony żołądek doczekał się obiadu, po drugie, ponieważ jego raporty nareszcie doczekały się posłuchu w Krakowie. Właśnie dowiedział się, iż w myśl jego wskazań przygotowuje się w Żywcu podwójna kleszczowa obława. „Zrobimy koniec bandytom. To się musi zmienić - zacierał ręce. - I to się zmieni.”

Jedna Zośka w Cichem nie zmieniła się. Janosik dowiedział się od zaufanych, że przed paru dniami Witkowski po raz drugi wodził ją samą, bez matki, do przesłuchania na posterunek jeleśniański.

Spotkał się z nią wieczorem. Wydała mu się chudsza niż zwykle. Twarz jej ściągnęła się, wydłużyła, można rzec: zbrzydła. Spalała ją miłość. Gdzież podział się dawny burzliwy kochanek? Przytulił się do jej twarzy, pieścił; nagle poczuł łzy na jej policzkach. Spozstrzegła się prędko, otarła ręką ślady nagłego wzruszenia.

- To tak z radości - usprawiedliwiała się.

- No, ja wiem - zapewnił ją ironicznie. - Miałaś jakieś przykrości przeze mnie?

- Nic wielkiego - machnęła ręką.

- Chcieli wydostać mój adres od ciebie?
- Wystarczy, że znają mój - odpowiedziała gorzko.
- O co cię pytali?
- O ciebie.

Zrozumiał, że niechętnie o tym mówi.

- Chodźmy do wyrębu. I tak matka będzie zła na mnie. Zakazała mi się z tobą widywać.

Milczał. Zrobiło mu się nieprzyjemnie. Już dawno domyślał się tego. Nie zajął stanowiska wobec matczynej złości. Może ją usprawiedliwiał? Mocniej tylko ścisnął rękę dziewczyny na znak zrozumienia. Jakby czuł, że i on sam jest bezradną ofiarą tego splotu sytuacji; że jednak inaczej być nie może. Pojął tragiczny konflikt obu kobiet. Wiedział, że gra idzie o jego serce i o jego ożenek. Matka ma rację: córka nie może się zmarnować. Ale harnaś nie śmie się żenić. Więc Zośka wybrała jedyne wyjście: kochać, nie mówiąc o przyszłości. Cóż miała do wyboru, Kochając go tak bardzo, a nie chcąc go utracić?

Słusznie. Lepiej nie mówić o przyszłości. On sam głosił zasadę: tylko ciamajdy martwią się tym, co będzie. Szli, spleceni w uścisku jak narzeczeni. Gniadosz straszyl ich co chwila, pomykając za nimi wśród pni niczym pies. Wczesnie wzeszedł księżyc, prawie pełny. Słowiki żarliwie nadymały gardziołka, wąska struga strumyczka gadatliwie ciurkała w rozlewisku. Nad wierzchołkami smreków przeleciał ostry wiatr.

- Pięknie tu jest. Nie chce się stąd odchodzić. Chciałabym tak pozostać z tobą na zawsze - szeptała w uniesieniu. - Na zawsze - zaakcentowała, pomyślawszy z goryczą o czekających ją wymówkach matki.

- Ho, ho! - zachnął się, ściągając ją z wyżyn poezji na ziemię. - Ja stąd wywieję jeszcze dziś.

- Kiedy znowu tu będziesz?

Wzruszył ramionami. - Dam ci znać przez Juraszka. Pytaj jego o mnie, on będzie wiedział.

Chciała mu powiedzieć, jak niechętnie odnoszą się do niej na Głuchaczkach, ale nie dał jej przyjść do słowa. - Nie będę gwizdał na ciebie przed chałupą, skoro matka zła na mnie. Abyś nie miała awantur z tego powodu.

- Ona nie zła na ciebie - próbowała mu tłumaczyć.

- Ja to rozumiem - zbył ją krótko, prawie gniewnie. Zasmuciła się. Więc on to rozumie. I stoi po stronie matki. Jak strasznie jest kochać bez wzajemności!

- Bądź ostrożna, Zośka. Mają cię na oku. Śledzą cię.



- Niech śledzą.
- Pilnuj się.
- Co mi to pomoże?
- Może ci zaszkodzić.
- Gdybyś mnie chciał wziąć ze sobą, poszłabym z tobą Wszędzie. Tak jak tu stoję.
- Dokąd?
- Tam gdzie i ty.
- Głupia jesteś. Źle ci w domu?
- Z tobą byłoby lepiej.
- Na konia cię wezmę? - zaśmiał się.
- Pójdę pieszo.
- Opuściłabyś matkę?
- Co mi matka!
- Matka jest jedna. A takich jak ja jest wielu. Pamiętaj.
- O nie! - zaprotestowała od razu. - Jeśli mnie zabierzesz stąd, pójdę, choćby teraz. Nie zostawiaj mnie samej. Z matką się pokłóciłam.

- To niedobrze. Nie opieraj się matce, ona chce twojego szczęścia - napominał ją po ojcowsku. Chyba żartował. Miał zawsze taki ton kpiący.

- Ale ona mnie od ciebie odrywa.
- Widać tak musi być, skoro ona tak czuje.

Dobił ją ten fatalizm. Jeszcze raz rozpoczęła beznadziejną grę od początku. Może to wszystko, co mówi, to żart? A myśli naprawdę inaczej?

- Gdybyś mnie zabrał stąd, Jasiu, poszłabym zaraz, Kto wie, kiedy się znów zobaczymy?

- Cóż ja bym robił z tobą?
- Znudziłabym ci się?
- Może.

Zawsze lubił wbić taką ironiczną szpilkę. Taki już był.

Wezwał do siebie konia gwizdnięciem. Miesiąc wygolił blaskiem pół wyrębu; druga połowa, równo ucięta cieniem od ściany Mędralowej, spała w ciemności.

- Już jedziesz?
- Już.

- Tak ciężko odejść od ciebie - wykrztusiła z prawdziwą rozpaczą. Uczuła ściśnięcie w gardle i pieczenie pod powiekami. Zaczęła pociągać nosem i przełykać ślinę. Łzy same

cisnęły się jej do oczu. To głupie. Co robić?

- Nie płacz - zmarszczył brwi z wyrzutem. Żeby to można na zakaz nie płakać! Szloch wstrząsnął nią nagle jak kaszel. Nie potrafiła go utrzymać. Stała jej przed oczyma cała ta miłość nieszczęsna, bez nadziei, bez jutra. - Jasiu, co będzie z nami?

- Co ma być? - odburknął opryskliwie. Nie lubił takich pytań, podobnie jak nienawidził płaczu. - Przestań płakać. Co ci z tego przyjdzie?

Wiedział, że złością z nią nie poradzi. Ujął ją za rękę, przytulił twarz do twarzy, spoglądał na nią z bliska. - Uśmiechnij się - prosił - no, uśmiechnij się. Wtedy jesteś najładniejsza.

Gniady podszedł do jeźdźcy, bódł go pyskiem po żebrach jak istota zazdrosna, pchał mu głowę pod pachę. Jasiu pieszczotliwie głaskał go po szyi. Już zamierzał wskoczyć na siodło, jeszcze raz pocałował dziewczynę. Z lubością i żarem podała mu ciepłe wargi.

- Odprowadź mnie do domu, bo się będę bała.

- Odprowadzę cię do skraju olszyn.

Więc to ten człowiek idzie koło niej, którego imienia pełne są góry? Którego przeklinają obrabowani? Którego ściga policja? O którym podobno piszą z oburzeniem w gazetach?

- Ach, Jasiu, Jasiu! Z chłopaka przedzierzgnąłeś się w zbója. Włła się w ciebie moja miłość, a tobie kochać nie wolno.

Czuła to dobrze przenikliwym sercem: coraz mniej było między nimi wspólnoty. Tracił jak gdyby z każdym dniem cielesność, stawał się cieniem siebie: chudszy niż zawsze, mniejszy niż zawsze, ciemniejszy na twarzy niż zawsze. Mój, a jednak obcy - mówiła. Patrzyła za nim, jak skakał na konia, jak nikł w kłusie wśród gęstej ciemności boru. Patrzyła za uciekającym wielkimi, podłużnymi oczyma i nagle spod powiek zaczęły jej spadać po policzkach ciężkie łzy, pod rzęsami ciepłe, koło warg nieprzyjemnie zimne. Płakała z otwartymi powiekami. Kochanek oddalał się od niej odmierzonymi susami galopu, już teraz nie przerwie jej płaczu.

Kiedy Janosik wyjeżdżał z kniei Mędralowej, uderzył w jego oczy blask ognia z południowego zachodu. Ktoś rozpałił ognisko na Głuchaczkach. To sygnał; tak bowiem nocą porozumiewały się doliny z gniazdem zbójników.

Niebezpieczeństwo jest koło Juraszków. Jeździec skręcił natychmiast konia w lewo i pomknął ku Czatoży, łukiem na północny wschód. Zaniepokoił się. Jego droga powinna była prowadzić przez Przegib na Niebieską Halę, skąd po ukryciu Złotego wracał ku

Kotlarczyskom. Dotychczas jeszcze nigdy nie byli alarmowani nocą. Może policja jest na Głuchaczkach albo obława idzie z dołu? Zagłębił się w Markowe Szczawiny. Ogier parsknął parę razy w zaroślach. Tak zawsze zwykł był parskać, gdy czuł istotę ludzką w pobliżu. Jasek trzymał prawą rękę na rewolwerze. Gdzieś w górze musiała się przyczaić policja.

Kto rozpałił ognisko? Czy kompani, czy Juraszek, czy ktoś z dołu? Wczoraj po południu widział się z przyborowskim pastuchem, Ignacem, który mu nie meldował nic niepokojącego, poza tym, że starego Tramka i Wojnara wezwano do stawienia się w jeleśniańskim urzędzie gminnym na jutro rano.

Zeskoczył z konia, puścił go za sobą luzno, związawszy mu wodze w węzeł na karku. Maszerowali powoli przez młaki Markowych Rówienek. Księżyc wyświecłał ostro w dali ciemne plamy lasów i jasne płaty hal. Najlepiej będzie przeczekać noc w gęstym, podrastającym młodniku. Policja na pewno zasadziła się pod Cylem, rozstawwszy na noc czujki od Mędralowej po Jałowiecką. Rano wnikną w bór.

Ale on jest już poza ich linią. Rozsiodłał Złotego, natarł go choiną, po czym wpełzł pod smreki. Ogier skubał trawę obok. Ściemniało się, księżyc zachodził. Harnaś zaciągnął się papierosem, oddając się rozmyślaniom.

Kto mógł rozpałić ognisko? Pewne jest tylko, iż to sygnał niebezpieczeństwa. Ale on je ominie. O świcie wejdzie od wschodu na Kotlarczyska. Trochę martwił go koń. Ogier szedł za nim jak pies. Gdzie go ukryć?

„Jutro przeniesiemy się do Wańkowej Dziury.” Gdyby ich i tam przycisnęła obława, przejdą z Gronia Okrutnego na Orawę, rozleżą się koło Herdućki. Ludzie ich ukryją; to ich sojusznicy.

Jeszcze przed brzaskiem doczołgał się Jasek wśród morza kamieni do zbawczej rozpadliny, pozostawiwszy Złotego na długich wodzach u skraju Czatoży na głuchej polance. Na straży u głazów tkwił Tramek. Żaden z nich nie spał tej nocy; od samego wieczora nieprzerwanie kurzyli papierosy. I oni byli zdenerwowani. Wiadomości nie były dobre. Z Bielska przybyło do Żywca dwunastu policjantów.

- Skąd wiecie?

- Michoń widział się wczoraj po południu koło Wężowca z Misiółkiem, który szedł do nas z alarmem, bo właśnie dostał wezwanie do gminy z Jeleśni na dzisiaj rano. To znaczy, że obława się rozpoczyna. Tak już jest ustalone.

- Tramek i Wojnar mają się również dziś zgłosić u jeleśniańskiego wójta. To będzie pułapka na nich. Nadchodzi obława. Kto rozpałił ognisko nad Głuchaczkami?

Wzruszyli ramionami. Nie oni. Nie wiedzieli nic o sygnale.

- Wyrrywamy pod Romankę - zdecydował bez namysłu Jasiek. - Schronimy się na razie do Wańkowej Dziury, później zwiemy na Orawę. Mam tam już namiarkowane miejsce na zimowanie. Jedźmy.

Podjedli sobie porządnie, jakby w przecuciu czekających ich tarapatów. - Będziemy schodzili po jednym - wydawał rozkazy wódz. - Na Korbielów koło Krzyżówek. Stamtąd po zachodzie słońca śmigniemy przez Buczynki pod Pilsko i na Romankę. Pierwszy idzie Michoń - zwrócił się do kompana. - Siądziesz na Krzyżówkach, będziesz wypatrywał podejrzanego ruchu na drodze. Ja stanę na Jałowieckiej, Tramek zaczatuje na zboczu Wężowca, Waniek na Czeskiej Polanie, Maściak pod Przegibem. Tak jakbyśmy na schodkach siedzieli; co który, to niżej. Po południu będziemy wszyscy opuszczali się ku Michoniowi. Gdy się ściemni, przeciągniemy się po jednym przez drogę i wio, na Buczynki.

Uszykowali się gęsiego. Jasiek udzielał im ostatnich dyspozycji. - Wychodzimy osobno, nie razem. Każdy zapada na swoje wyznaczone miejsce. Michoń, wylaż. Pamiętaj, masz na nas czekać na Krzyżówkach. Spotykamy się o zmroku. Zwołamy się na dole piskiem kani.

Zawiódł cicho jękiem deszczowego jastrzębia dwukrotnie. Rabusie zaczęli pojękiwać: pojęli hasło. Wyleźli z groty w szarości świtu, poutykawszy kamieniami dziury rozpadliny. Skierowali się po jednym ku znajomej czatożańskiej polance.

Wiał chłodny, przedranny wietrzyk. Nie było znikąd słycać żadnego hałasu. Ogier, przywiązany do buka, lekko zachrapał, po czym zastrzygł uszami z radości, zobaczywszy swego jeźdźca. Jasiek puścił go wolno za sobą. Wymykali się z objęcia boru, ciągle po jednym, jak spiskowcy, wnikając w polany. Oblało ich rzeźwe wczesne słońce wschodu, zapowiadając upał. Znów kluczyli wśród smreków, zatrzymując się co chwila. To najniebezpieczniejszy teren: zbocze Cyłu nad Głuchaczkami, przejście ku Przegibowi.

Dobrze poszło. Gdy tylko dał się słyszeć jakiś podejrzaný hałas w zaroślach, łapali za rewolwery, przykucając do ziemi. W pewnej chwili idący za nimi ogier parsknął gwałtownie i rzucił się w bok, jakby go żgnęła chmara os. Odczekali z dziesięć minut, podnieśli się ostrożnie z kucek. Koń zniknął im z oczu. Oto Gajdowa Polana, miejsce ich tylokrotnych spotkań z narodem dołu, plac zbójnickiego sądu. W ścianie mieszanego lasu żółciły się plamy buków.

- Teraz ty, Michoń, idź pierwszy na swoje stanowisko. Gdybyś coś zwietrzył złego po drodze, strzelaj; to będzie dla nas sygnał ostrzegawczy. Na Krzyżówkach dojdziemy cię o zmierzchu. Nasze miejsce spotkania na wszelki wypadek, gdybyśmy się rozpierzchli: Wańkowa Dziura.

Każdy z nich szedł od tej chwili na swoje miejsce, w którym się miał zaszyć przez dzień. Michoń miał im wypatrzeć drogę. On korbielowski chłop, jemu to pójdzie najlepiej.

Jasiek czuwał zmysłami napiętymi do ostatnich granic. Czyżby puszcza się zwiężała? Ogarniał go niewytłumaczony niepokój. Podświadomie czuł, że w tej zarosłej gęstą roślinnością ciszy gotuje się coś niebezpiecznego. Gdzie odbił się od kompanii Złoty? Spłoszony, może wyjść niepostrzeżenie na człowieka, zdradzić ślad opryszków. Jeszcze policja gotowa ustrzelić to piękne zwierzę.

Schował się nagle za pień, wyciągając rewolwer w kierunku zbliżającego się szelestu. Tak stąpa po liściach bosa człowiek! „Już tu zaleźli” - błysnęło w mózgu Jaśka z Głuchaczek. Kucnął przy ziemi, schował się w chaszczce. „Jeśli mnie dojrzy, niech się dzieje, co chce, będę strzelał.”

Z krzaków wylał obdarty, umorusany pastuch, rzeczywiście bosa. Dziura podniósł się zza buka. Tamten szedł ku niemu bez cienia strachu w oczach, rozgarniając gałęzie. To chłopiec od byłego bacy Wrończyka, krewnego Tramkowego, który dostarczał im wiadomości z dołu. Uderzył się dwukrotnie w piersi na znak, że jest zaufanym bandy.

- Mów.

- Do Przyborowa przyjechało dziś w nocy autem Holzbergera dwunastu policjantów. Idą wszyscy w górę. Rozleźli się trójkami po lesie.

- Co więcej?

- Baca mówi, abyście szli na Policę, a stamtąd w Tat przez Lipnicę, bo idą dwie obławy: jedna od Głuchacz druga od Lipowskiej.

- Już idą?

- Wyszli do dnia.

- Znasz Ignaca?

- Znam. Baców syn. My obaj wyszliśmy. On poszedł na Przegib, ja niżej. Żeby któryś z nas trafił na was i ostrzegł; jak nie on, to ja.

- Powiedz bacy, że na Policę musielibyśmy się cofać, a teraz już za późno. Zbliża się południe; na Głuchaczkach może być policja. Na Rabczę też się nie wydostaniemy, bo tam golizna. Ujdziemy przez Pilsko, buchniemy w Orawę.

Wyjął z kieszeni srebrną dziesięciozłotówkę, dał obdartusowi. Chłopak zniknął, skąd przyszedł. Wódz sunął ku Krzyżówkom. Nie było odwrotu, tylko jedno zejście. Zanim obława od Lipowskiej dotrze do Pilska i zanim policjanci z Babiej Góry zsuną się do korbielowskiej drogi, chłopcy muszą się przemknąć za granicę. A wtedy szukaj wiatru w polu.

To jedyna ścieżka swobody, jaka stoi obecnie przed nimi: szlak południowo-zachodni, szlak przemycanego jedwabiu i tajemnie ubijanych saren.

W górze pozostawali Maściak, Waniek i Tramek. Ale i oni zejść ku drodze przed zmrokiem. Stąd zamiast w Buczynki, strzelą wprost przez Glinne na Halę Miziową. I na Pilsko! Oby tylko uwinęli się szybciej ze schodzeniem!

Obserwował z wiatrołomu przeciwległą piramidę Pilska, skąpaną w łagodnym, południowym słońcu. Tamtędy pnie się odwieczny chodnik graniczny. Tamtędy będzie można ująć między dwoma kleszczami obławy do wsi orawskich, Mutnego, Nowoci lub Herdućki.

Herdućka. Przypomniał sobie Jagę i serce w niego wstąpiło. Nagle rozdarł ciszę strzał od dołu.

Na dole jest Michoń. Co się stało? Strzał ostrzegawczy?

Buchnęło parę strzałów, jeden po drugim, nieregularnie, bezładnie, może trzy, może cztery. To nie sygnał, to strzelanina.

Dokąd iść? Do góry czy w dół? Od Głuchaczek napiera obława, od Krzyżówek słyszą strzały. Jeżeli to Michoń strzela, musi się komuś odstrzeliwać, broni się.

W dół! Gdzie koń? Jakżeby mu się teraz przydał! Jasiak biegł prosto w paszczę strzałom, uznał, iż tak będzie lepiej. Naprzód, nie cofać się! Porwała go ciemnozielona głąb lasu, roztopił się w niej. Z rewolwerem w ręce, gotów do obrony, brnął przez zwarty, zarośnięty gąszcz. Wierzył w szczęśliwą gwiazdę: uda mu się przebić. Michoń zapewne potrzebuje pomocy. Może w słońcu wyszedł na niego niespodziewanie strażnik?

Ptaki polatywały nad brzoźkami. Wpadł znów między wysokopienne jodły, sadził w dół biegiem, ach, to był bieg! Z gałęzi podrywał się gwizd zięby. Czy towarzysze z góry słyszeli strzały? Powinni czym prędzej pośpieszyć w dolinę, ku drodze. Przecież od wschodu postępuje za nimi obława. Przez Cyl nie wymkną się. Może było lepiej siedzieć wśród kamieni na Kotlarczyskach?

Śmignął przez przesiekę na przełaj, tu już zaczynają się Krzyżówki. Za starą ryżą będzie gdzieś stanowisko Michonia. Zwolnił biegu. Słońce przebłyskiwało między koronami jedlic. Trzeba iść ostrożnie. W lewo odnoga młodego lasu, ścieżka do karbielowskiego przysiółka. Tędy raz wracali na Bronę z Polhory; w dół stromo do potoku, na prawo polana, za polaną szumny las, na jego skraju trawiaste zbocze. Stamtąd widać między drzewami drogę z Korbielowa do Jeleśni. Cała Krzyżowa rozsiadła się w dolinie rzeczki Bystrej.

Tu więc gdzieś była strefa strzałów. Powoli, uważnie wyłonił się ze smreczków na skraj polany. Odgarniając przed sobą choinę lufą wyciągniętego brauninga, obserwował

kwadrat rudawozielonej trawy. Pochylony, człapał brzegiem lasu, wśród leszczyn i jałowców.

Znów rozległ się strzał, tym razem w górze, gdzie może pod Wężowcem. I drugi! Właśnie echo nawiało go stamtąd, gdzie harnaś był przed półgodziną.

Stropili ich!

Wyszedł na oślep w słońce, rzucił się w bok między łysiny wśród brzózek, wałąc bez namysłu na jałowce w dole polany. Stamtąd buchnie przez las, przez potok, przez drogę na Glinne. Na ślepo w jasny dzień. Niech się dzieje, co chce.

Wzdrygnął się nagle i osłupiał. Wpadł pod brzózkami na trupa. Na poprzek jego skokom leżał w blasku słonecznym na odkrytej murawie chłopiec. Obok niego - koszyczek z chlebem, twarogiem i dzbanek, z którego wylało się kwaśne mleko.

Jasiek nachylił się nad chłopcem. Zabity. Włot kuli za uchem. Bose stopy dotykały rozlanej bieli. W kąciku ust, na brodzie i szyi czerwieniła się krew skrzepłym sznureczkiem. W słonecznej ciszy wrześnie leżało nieruchome ciało pastucha wiejskiego; krótkie, potargane porcięta, bosa, brudne stopy broczące piętami w mleku, twarz skrzywiona, z wąską strużką krwi wypłyniętą spomiędzy warg. Jakby się dziwił, za jaką nieznaną sprawę ginie. Włosy płowe jak słoma, bezładnie spadające na czoło. Wyglądał na lat dwanaście. Może szedł do nich z ostrzeżeniem od Misiółka? Czy to nie będzie syn Michonia? Ojciec opowiadał nieraz o chłopcu.

To na pewno mały Michoń; niósł ojcu jedzenie. Jasiek odtwarzał w myśli tę scenę: ojciec, ogarnięty przemożną tęsknotą za synem, wabi go ku sobie. Policja, przyczaiwszy się za śladem chłopca, wysłedziła ich obu. Wybucho strzelanina, stary ucieka, młody pozostaje z kulą w głowie.

Pogłaskał zmierzwioną czuprynę trupa. Jakby od tej śmierci nabrał energii. „Dziwne, że mnie nie ubili” - zastanawiał się, sunąc w dół ku rzeczce. Przecież mógł ktoś czatować w zasadzce przy zabitym. Zapewne pognali za Michoniem we wściekłym pościgu w górę. Gdy tylko złapali ślad, już go nie popuszczą.

Las stromo opadał ku potokowi Bystrej. „Smreki to moi bracia” - powtarzał w biegu zbój. Smreki mu zginąć nie dadzą. Usłyszał strzały daleko za sobą. Pukanina. Źle jest; na dole strzelają, w górze strzelają. Jak wywiną się z tej matni towarzysze? Najgorsze, gdyby ich zamknięto z dwóch stron. Nie wiedzieli bowiem o niebezpieczeństwie z zachodu. Wiejąc z Głuchaczek, skąd następowała na nich obława, pędzili w ręce policji nadchodzącej od dołu.

Michoń pewnie im uciekł. Może ich ostrzeże? A może przebił się przez policjantów, zbiegając w Glinne? Czy wie o śmierci syna?

Jasiek biegł szybciej, niż myślał. Stało się: trzeba opuścić Babią Górę. Wytropili ich.

Oto już słyhać szum Bystrej. Smreki przeredzają się. Ukazuje się wiosczyna Krzyżowa, rozłożona w dolinie potężnego strumienia, oparta o przełęcz Glinne. Lasy schodzą tu aż do drogi, tej samej drogi, która od Jeleśni biegnie ku szlabanom granicznym na Polhorę, na Namiestów.

A stamtąd po drodze - Herdućka. Zsunął się na spodniach po osypisku nad Bystrą. Tu już otwarty teren. Przeskakując przez kamienie, wpadł do wody po łydki.

Uciekać! Uciekać z góry objętej strzałami. Tu właśnie nad rzeczką opuścił masyw babiogórski. Teraz będzie się drapał na zbocza Pilska. Biegł gołym polem. Od czasu do czasu ukazywała się kępka marnego jałowca. Zresztą nic tu nie uchroni go przed okiem wroga.

Od strony chałup pędził ku niemu stary góral, machając kapeluszem. Wywijał nim nad głową, jakby go chciał rzucić w stronę Uszczawnego Lasu. Hetman zrozumiał. Chłop wskazywał mu kierunek ucieczki. Nie na południowy zachód, ścieżką ku gajówce, lecz na wielki zachód.

Kapelusz natarczywie wytykał drogę. Zbieg poderwał się w prawo. Oto już droga, centrum niebezpieczeństwa. Pusta. Byle tylko drogę przebyć! Nad gościńcem rozchełstany podrostek, dziecko prawie, biegnie ku uciekającemu, krzycząc:

- Lećcie na Uszczawny Las! Na Pilsko poszło trzech policjantów. Wyjdziecie ku Lipowskiej. Tędy! Tędy! - pokazuje mu kijem strumyk, wytycza ścieżkę. Tędy i w górę!

Huknął strzał. Odkryli go. Nieczuły, darł w górę, ile miał siły w młodych nogach. Drugi strzał rozdarł powietrze, po nim trzeci, za chwilę czwarty. Zobaczyli go, strzelają. Sadził skokami jak spłoszony zając.

Jeszcze raz mignął wśród chaszczów podszywających las. I odpłynął ku granatowej puszczy, ku szczytom. Bór wchłonał go, zamknął w sobie. Znów Jasiek znalazł się wśród swoich braci-smreków.

Ludzie z Krzyżowej patrzyli od rana na policjantów wnikających w las grupkami po trzech, po trzech. Obserwowali z nieukrywaną niechęcią w oczach, jak maleńkie ciemne kształty snuły się po wielkich kwadratach hal.

- Będzie bitwa - mówili, poglądając na Cyl i Mędralową. W południe zaniepokoił się ciszą, choć rano Misiołek i Wojtek Morawiec posłali na Babią gońców. Harnasie nie dali znaku życia o sobie. Dopiero o drugiej po południu usłyszano pierwsze strzały. Górale wyszli na progi chałup, czekając, co wyniknie z policyjnej obławy. Obrońcy ładu, zbrojni w karabiny, rozpełzli się ponad wsiami niby robaki. Jak nagonka obejmowali półkolem północ i zachód babiogórskiego masywu. Ścieśniali pierścień, zwierali linię pościgu. Nawet pod Pilsko posłali paru, aby ktoś przez Glinne się nie przedał.



Ludzie z Krzyżówek usłyszeli ponad dziesięć strzałów, ale zobaczyli tylko jednego zbója, który przemknął się przez linię obławy i zsuwał się właśnie po stromym, zwirowatym brzegu Bystrej. Wieczorem na wspólnych uradach rozpowiadano, iż według relacji naocznego świadka, który drogę wskazywał, miał to być sam Janosik. Ale kto to sprawdzi? Kto miał czas rozpoznać Jaśka z Głuchaczek w okamgnieniu i w zdenerwowaniu? Jeden z policjantów, który udał, że idzie na Pilsko, zaczął się gdzieś nad drogą i stamtąd kropił do uciekającego. Był za daleko, chybiał. Jak już ścigany przeskoczył szosę, przepadło, już przemknął się do granicy. A gdy stanie na granicy, jest ocalony.

Znowu wybuchła nad Krzyżówkami bezładna strzelanina. Mieszkańcy wsi znów rozpoczęli ożywioną dyskusję. - Biją się - powtarzali, z niepokojem spozierając na wschód.

I zobaczyli, jak wzdłuż przecinki leśnej z Jaworowej Przełęczy niósł się galopem samotny koń Janosika. Pokazywano go sobie palcami. Wkrótce koński cwał objawił im się nad doliną Bystrej, przeskoczył potok i szosę, darł na przeciwległy stok; można było usłyszeć wyraźnie chrapanie nozdrzy. I tak przegnał przed ich oczami jak wichher ogier niesamowity, pozbawiony jeźdźca.

Czyżby pan jego zginął? Nigdy, zaiste nigdy w biały dzień nie oglądano jeszcze hetmańskiego gniadosza.

W półtorej godziny po pierwszym zbójniku drugi, prawdziwy wielkolud, przebiegł olbrzymimi susami drogę korbielowską. I za nim posypały się strzały. I temu z chałup głośno krzyknięto właściwy kierunek, nie na Pilsko, lecz na Halę Lipowską. Popędził śladami poprzednika.

Za Uszczawnym Lasem rozciągała się Hala Wąska, za nią Dzika Leszczyna. Na hali usłyszał Janosik tętent swojego ogiera. Wierny koń walił ku niemu w wyciągniętym galopie z głową stuloną na jednej linii z tułowiem. Rozdęte chrapy wietrzyły niebezpieczeństwo. Biegł dwanaście kilometrów za swoim jeźdźcem, czując go w powietrzu. Z radością przysuwał swą piękną, rasową głowę ku twarzy człowieka, prychał delikatnie. Jego skóra, błyszcząca nad siatką nabrzmiałych żył, była zupełnie sucha po tym forsownym, panicznym biegu. Siodło tylko przekręciło się nieco na bok. Harnaś dociągnął popręgi, wskoczył na Złotego.

Uciekać! Zbawienie jest na granicy. Przez Dzika Leszczynę idzie ścieżka znakowana na Wielki Jałowiec, stamtąd w rogu Lipowskiej jest polana Jaworówka. O dwa kilometry - granica. Szlak południowo-zachodni!

Koń, gdy poczuł na sobie jeźdźca, zerwał z kopyta. Odbiegali obaj od kul policjantów, zrośnięci w jedno ciało, uniesieni pędem cwału. Świat cały leciał ku oczom Jaśka; musiał aż przymknąć powieki, tak szybko migwały przed nim drzewa. Położył się na grzbiecie końskim,

jedną rękę z wodzami zanurzywszy w grzywie, drugą wysunął ku szyi jak najdalej, wymacał palcami lewe ucho ogiera. - Złoty! Złoty! Złoty!

Koń zadrżał, jakby poderwany nagłym wybuchem. Położył uszy po sobie, głowę opuścił nisko między kolana i pognął jak burza. Janosik wbił dziesięć palców w rozwiane włosy grzywy i trzymał się ich kurczowo, nachylony nad karkiem rumaka, nieomal leżąc na nim.

To był lot tajemnicy, o którym opowiadano cuda nie tylko w Beskidzie Wysokim, lecz na Podhalu i na Orawie.

Przez kwadrans gniadosz sadił skokami ze straszliwym tętentem kopyt, aż wyszedł na polanę, oblał się zachodzącym słońcem. Wznosił się lekko, faliście, już wdzierał się w bory Lipowskiej. Tylko z nozdrzy rozdętych wydobywało się nerwowe chrapanie; jak gdyby czuł czyjąś obecność w pobliżu.

W kącie Jaworówki, tuż pod zbawczym lasem, przywitały go strzały. Koń wstrząsnął się, runął w bok, poprawił kurs na zachód i biegł na oślep.

Z sześciu muszek wzięto na cel mocarną pierś ogiera. Wspiął się przednimi nogami w górę, zakołował, zatańczył, słońce zagrało krwawym złotem na jego potężnym kłębie. I zwałił się w trawę z jeźdźcem jak kamień, upuszczony siłą bezwładności z góry.

Lot tajemnicy został przerwany sześciu kulami. Złoty broczył krwią z piersi na murawie. Ciało ogromne drgało gwałtownie, chcąc się unieść. Już nie wstał. Przednie nogi wparł w ziemię, darł ją kopytami. Opadała mu z pyska płatami piana jak najbielszy śnieg. Z gardła dobyło się ciche rzenie. Boki szybko podnosiły się i zapadały. Wnet piana zaróżowiła się. Z odległości dwustu kroków spod ściany lasu wyskoczyli policjanci. Jasiak już podniósł się z ziemi, sadił skokami w stronę przeciwnego boru.

Posypały się za nim strzały po otwartej polanie. Odwrócił się, wycelował do dwóch najbliższych z pościgu, strzelił raz, drugi raz i znowu biegł zygzakiem, aby utrudnić cel strzelającym. W biegu rozmyślał. Pod Lipowską jest policja, zatem jedyny ratunek: na zachód, ku Romance, na Okrutnicę. Wprost na południe do granicy nie przebije się. Strzelano za nim bez przerwy. Kule świstały koło niego, ale jego nogi niosły szybciej od policjanckich kroków.

Już poczuł pod nogami twarde poszycie igliwia. „W lesie nic mi nie zrobią.” Gnał jak zwierz. Ubili mu konia. Najlepszego konia na całej Orawie. Towarzysza zbijaczki, najwierniejszego do końca.

Zmierzch ciemniał pod drzewami, górą zasłaniającymi niebo. Postanowił dobrnąć po nocy do Wańkowej Dziury; tam najpewniejsze schronienie. Tak było, jak ostrzegwał w

południe pasterz pod Jałowiecką. Od zachodu szła także obława. Bo cóż robili w takim razie policjanci pod Lipowską?

To jest Kogutowy Wierch. Ten potok to Śmierząca Woda. Tu zachodził bić głuszce tamtej wiosny.

Tak więc wytropił ich Witkowski. Ale on, Jasiak, przebił się przez obławę; chyba że za nią idzie druga linia nagonki. Co się stało z resztą towarzyszy? Co robić? Odpowiedział sobie jak zwykle, zdecydowany i szybki:

„Iść na Okrutny Groń, stamtąd na Madohorę, walić do Herdučki”.

Zsuwał się z Kogutowego Wierchu, na wprost majaczyły zbocza Romanki. Zanurzył się w poplątany ostęp Śmietanowego Gronia. Mrok osnuł drzewa. Z trudem przemykał się między kłodami i gęsto zarośniętym młodniakiem.

Na polance, skąd odchodzi ścieżyna na zachód do Rajczy, a na wschód biegnie szlak chłopców na Madohorę, ogarnął Janosika pochmurny wieczór. Zatrzymał się, odetchnął. Ileż drogi przebył od dzisiejszego ranka, spędzonego na Jałowieckiej Przełęczy! Teraz dopiero poczuł zwiotczenie mięśni od wysiłku. Dotychczas biegł napiętymi nerwami, pędzony śmiertelnym niebezpieczeństwem. Wieczór wyzwolił w nim zmysły. Nogi odmawiały mu posłuszeństwa, nogi, które potrafiły tyle wysiłku pokonać. Ułożył się na mokrym od rosy mchu. Utrudzone ciało wdychało woń odpoczynku jak ostatnie zbawienie.

„Może mnie zabiją tej nocy?”

Przełękł się tej myśli. Nigdy nie myślał o śmierci dłużej niż pół minuty. Gardził nią, choć wyzywał ją tyle razy. Ale pierścień obławy zwiera się. Żywcem go nie wezmą. Wyciągnął przed siebie nogi, tysiące mrówek kłuło go poprzez mięśnie w skórę. Uczuł niemal radosne, omdlewające cierpięcie w udach. Jak przyjemnie mieć miękką równość pod plecami „Odpocznę sobie. Teraz jest noc. O świcie wyjdę stąd. Wymknę się”.

Tu nadszedł kres pościgu. Jak osaczony dzik chroni się w niedostępny gąszcz, tak on zapadł pod świerczkami Śmietanowego Gronia. Tu chyba go nie zdybią. Któż chodzi po nocy za bandytami?

Kto wie? Po niebie przewalały się ciężkie chmurzyska, grożąc deszczem. Księżyc zwycięsko pokonywał ataki skłębionych obłoków; okrągłe jabłko co chwila przebijało się bladym srebrem przez popieliste nawały. Janosik obserwował nad głową ruchliwe, zasłane chmurami pobojuwisko i zmienną walkę ciemności ze światłem. Byle nie usnąć! Bał się zasypiać. To jego piąta noc bez snu, a ta jest najgorsza i niebezpieczna. Niczym był dla niego marsz wielokilometrowy, zbójnickie noce stawały się pracowitymi dniami. Kiedy towarzysze odsypiali wyprawy z naddatkiem, wódz myślał za nich i martwił się za nich. On był ich

mózgiem, oni mieli tylko długie ręce. Trudno spać, kiedy się ziemia pali pod stopami, kiedy jest zagrożona wolność, choć całe ciało woła o sen. Od tygodnia nie zaznał odpoczynku, przenosząc się z miejsca na miejsce. Jego napięcie nerwowe doszło do zenitu.

Czuł, że powinien dojść przede dniem do kryjówki Wańkowej, wiedział jednak, że nogi go nie doniosą, że w czerności nocy zgubi się, pomyli chód, będzie się błakał, zginie. Postanowił odpocząć parę godzin.

Wdrapał się na drzewo, aby czuwać, nie śpiąc. Na ziemi uśnie, na pewno uśnie. Usiadł na pierwszym najgrubszym rozwidleniu gałęzi, oczekując brzasku. W głębokiej ciemni naokół było cicho, mimo to zdawało mu się, iż słyszy kroki skradających się policjantów. Zaczaili się i kropną do niego, gdy tylko zejdzie z drzewa.

A jednak zasypiał. Resztą świadomości czepiał się rzeczywistości, podobnie jak resztą siły utrzymywał się grubego konaru. Zdrowa natura wymagała snu. I wtedy objawiła mu się między gałęziami Jaga, wabiąc go ku sobie najpiękniejszym uśmiechem, jaki znał.

Jaga! To znaczy Herdućka. A Herdućka znaczy ocalenie.

Majaczył na jawie. Pół śnił, pół czuwał. Od Babiej Góry ogarniętej policyjną obławą podrywała się zapowiedź dnia. Zsunął się z drzewa. Wszystko dokoła ożywało. Wśród żółciejących liści robił się ruch, zaczynał się ptasi koncert przedświt. W sercu i umyśle Janosika nastąpiło odprężenie. Z rewolwerem odbezpieczonym w ręce rozpoczął od nowa wędrówkę. Przemykał się przez młodą liściastą gęstwinę, zapadł między grube, strzeliste jodły, wynurzył się z jodeł, wdarł się w buczynę. Wstające słońce wlało w jego żyły dawną energię. Znow zniknął wśród chaszczów i znow wchłaniała go wysoka głąb starodrzewu. Bez przygód dobił do Wańkowej Dziury. Przed wejściem zawahał się, czy nie gnać wprost na granicę i nie walić na osłep do Herdućki. Jakimż byłby hersztem, gdyby opuścił swych chłopców, tknięty zajęczą chęcią ucieczki? Aby tylko własną skórę wynieść z zasadzki? Tutaj umówił się z kompanami i tu będzie na nich czekał. Czy wyszli cało z opresji? Ilu ich wróci? I kiedy? Nawet ze względów ostrożności lepiej będzie odczekać w ziemi, aż się wszystko uspokoi. Granica może być pilniej strzeżona wskutek wczorajszej strzelaniny, resztki obławy mogą się plątać jeszcze po borze.

W jamie nie znalazł żadnych zapasów do jedzenia poza starą skórą ze słoniny, wiszącą na kołku. Że też żaden zwierz się na to nie zlakomił! Żuł ją z godzinę oszukując żołądek smakowitą śliną, po czym rozłożył się na przezornie pozostawionym tu kocu i usnął.

Po południu wbił się w jamę Waniek. Opadał z sił, ale był uśmiechnięty. Lewą rękę miał zawiniętą przekrwionym rękawem od koszuli. Ucałowali się, radośni ze spotkania.

- Rannyś? Gdzie reszta?

Olbrzym machnął zdrową ręką. - Tam.

- Wzięci?

- Nie wiem. Wiem tylko o Michoniu. Ubity.

- Zabity?

- Spotkałem go koło Wężowca, on wiał w górę, a ja na dół - opowiadał Waniek. - Ścigali go policjanci od Krzyżówek. Kropili w niego bez ustanku, ale jak utrafić w lesie? Pytam go: „Dokąd lecisz? Z góry idzie na nas obława”. Krzyczał: „Z dołu mnie gonią. Syna mi zabili”. Stracił głowę. Przyczailiśmy się w krzakach. Może by pijawki przeszły koło nas, ale Michoń zaczął w nich bić bez pytania. Wywalił wszystkie siedem strzałów. Położyliśmy trzech policjantów. Jego ukatrupili, ja się wymknąłem. Jeden pędził za mną, ale usłyszawszy strzały z góry, zawrócił. Przelazłem przez Bystrą, ludzie pokazali mi, żebym uciekał na Lipowską. Na drodze w Krzyżowej waliła do mnie policja jak w bęben.

- Do mnie tak samo.

- Wyrwałem na Lipowską. A tam znowu słyszę strzelaninę.

- Strzelali do mnie pod Jaworówką. Ubili pode mną konia.

- Zaszyłem się w Dzikiej Leszczynie. Siedziałem wbity w gęstwinę do wieczora. Przez noc obszedłem dołem Koszarzyska aż ponad Sopotnię, kołowałem i wlałem w Okrutnicę od zachodu. Reszty nie ma?

- Nie ma - rzekł ponuro hetman.

- Jest co zjeść?

- Nie ma.

Wyciągnęli się na mchu, dając odpoczynek skołatany mięśniom. Jasiek zabrał się do odwijania rany towarzysza.

- Trzeba przeczekać, aż się trochę w górach uspokoi, i wywiać do Herdučki.

Spod zakrwawionego rękawa ukazała się rana przedramienia.

- Tak samo dostałeś jak w Węgierskiej Górze.

- Tamto było w prawej ręce. Wyżej. I tam kula przeszła na wylot, a ta cholera siedzi w ciele pod łokciem.

- Pod wieczór przyniosę wody, obmyję ci ranę - mówił troskliwie towarzysz, nasuwając na zakrwawione miejsce czysty kawałek rękawa.

- Trzeba kulę wyjąć.

- Żebyśmy mogli z tym pójść do Kudłonia!

- U nas, w Rycerce, jest chłop, co to robi. Zagrzeje nóż w ogniu, rozetnie ranę,

podważy kulę w mięsie, wyciągnie szczypczykami i już.

Po chwili zmienił temat. - Michonia nam ubili. Szkoda chłopca.

- Szkoda. Ja widziałem, zbiegając w dół, trupa chłopca na polanie.

- To jego syn. Ojciec zgwiżdżał się z nim pod samym domem. W południe chłopiec przyniósł mu obiad na umówioną polankę w Krzyżówkach. Musiała już za małym następować policja, bo nakryli ich podczas obiadu. Ojciec wyrwał się, chłopaka usadzili na miejscu. I Michoń, już później z rozpaczą za synem, chciał zginąć. Strzelał w nich na oślep, głośno płakał, że się za syna mści. „Za co wyście mi, dranie, syna zabili? Co wam był winien? Jak psy was będę strzelał.” I sam legł zabity.

- Nie wiadomo, co z Tramkiem i Maściakiem - wzdychał harnaś. - No, to nas tylko dwóch zostało, Waniek. A tyś w dodatku ranny.

- To nic, będę się kurował. Żeby tylko było co do gęby włożyć. Jak mnie to pali!

- Na razie musimy przesiedzieć. Nie można łba wystawiać. Może który z naszych jeszcze przyjdzie. Jutro spróbuję ruszyć się na Halę Kryniawską po prowiant i po wiadomości.

O zmierzchu poszedł po wodę, nabierał trochę ożyn, bukwi i orzechów laskowych. Przewinał Wańkowi ranę, wymył. Ręka czerwieniała, puchła. Gryźli owoce lasu, przeżuując długo w zębach rozgoryczenie i klęskę. Już pewnie żaden z kompanów nie wróci. Sen pokrzepił ich trochę. Nazajutrz wstał piękny dzień, las rozedrgał się od rana śpiewem ptaków. Knieja dyszała ciepłym wrześniem; końcem września, początkiem złotej jesieni. Janosik znosił głód dobrze, zahartował się w dzieciństwie na cudzym chlebie. Natomiast Waniek marniał w oczach. Jego ogromna postać jakby się skurczyła. Ruchy miał leniwe, twarz, rzekłbyś, postarzałą. Ogarniało go wycieńczenie. Ból rwał go w łokciu, odzywał się w ramieniu. Odmówił nawet papierosa.

- Boli cię?

- Boli. Tak jakby ból szedł coraz dalej. Już jest w ramieniu, idzie pod pachę i na plecy. Parzy. I jeść mi się chce.

- Mógłbym pójść coś ustrzelić, ale boję się robić hałas. Może obława jeszcze siedzi w lasach? I znowu będzie alarm.

- Może siedzi. Jeśli mnie do wieczora nie przestanie rwać ból, to się zastrzelę. Albo ty mnie dobijesz. Nie zniosę tego, aby mnie żywego wzięła policja. Mnie i tak kulka w łeb pisana. Za dezercję, tak nam czytano w wojsku. Janosik, dasz mi dwie kulki z łaski, gdy będziesz stąd odchodził. Żebym się nie męczył. Musisz mnie zabić, gdybym całkiem osłabł.

- Co pleciesz, Waniek? Nie marudź! Gorączka uderzyła ci do głowy.

- Pół życia uciekło mi tą raną.

Ślina leje mu się po brodzie. Żalony obraz: olbrzym w chorobie, potężny kłęb mięśni i kości, stworzony do podboju, rzucony w kącie na koc niby zużyta ścierka.

- Waniek, Waniek, co z tobą?

- Nic, bracie. Przejadę się.

- Nie zawracaj głowy, jutro będzie ci lepiej.

- Przejadę się na drugą stronę, zobaczysz.

Kompan usiadł przy nim na mchu, chwycił go za rękę trawioną gorącem, nieomylną oznaką cielesnego nieporządku. W tempie wzmożonym spalały się bezustannie tajemnicze substancje w ustroju.

- Pewnie od gorączki tak słabnę.

Jasiek ścisnął dłoń rannego z przyjacielską czułością. Broniącemu się organizmowi przesyłał na pomoc własne umiarkowane ciepło, znak zdrowia i energii. - Człowiek ma, psiakrew, pieniądze w kieszeni, a nie może ci pomóc.

- Od śmierci setkami się nie wykupisz.

- Wszystko ci przejdzie, Waniek. Sprowadzę ci doktora, przeniosę cię na Kryniawską.

- Mnie? Tyle chłopca? - rozległ się śmiech z kąta, ale ten śmiech zabrzmiał jak jęk.

- Ciebie. Nie wiesz, ile mam siły?

- Wiem, tyś mocny. Może byś i dał radę mnie zanieść. Ale po co mnie będziesz włókł?

- Już się tam raz leczył. Pójdę po znachora do Rycerki, wyjmie ci kulę.

- Za ten czas reszta życia wycieknie mi przez dziurę w ranie. Tędy dusza uleci z ciała pod łokciem, ja czuję.

Uniósł zabandażowaną rękę, pokazał miejsce, którym dech żywota miał opuścić ciało.

- Waniek, pamiętasz, ileśmy tarapatów przeszli? I ze wszystkiego śmialiśmy się. Jak nas żandarmi gonili w Zwardoniu? Jak do nas strzelali w Istebnej? W Węgierskiej Górze także dostałeś kulę w ramię i wyleczyłeś się. Pamiętasz, jak półtorej mili wędrowaliśmy, aby się napić wody? Jak chciałeś wtedy cały potok wysuszyć? Pamiętasz, kiedy odbiłem Michonia w Korbielowie, cały las huczał od strzałów, to była muzyka! A my na gałęziach, jak wrony. Pamiętasz, jak wtedy lałeś ku nam po nocy, świstając, a ja ci z gałęzi odpowiadałem?

Złożył usta w ciup i trzykrotnie cicho zagwizdał. Ranny poruszył się niespokojnie.

- Tak, to wszystko było. Ładnie było. Ale posłuchaj mnie. Ciało olbrzyma załamało się wpół, Waniek usiłował się podnieść. Jasiek nachylił się ku jego twarzy.

- Co chcesz mi powiedzieć?

- W Rycerce mam dziewczynę. Nazywa się Barbara Natkaniec. Rodzice moi powiedzą

ci o niej. Miała być moją żoną, gdyby się tak z tym wojskiem nie stało. Daj Baśce zegarek, ściągnąłem go córce szynkarza w Milówce.

- Waniek! - Jaśkowi gardło ścisnęło się od wzruszenia. - Waniek, co mówisz? Sam dasz to do ręki Baśce.

- Nie zdążę. Ty jej to daj z pozdrowieniem ode mnie.

Janosik uniósł się z siedzenia na kolana. - Przysięgam ci na góry i na niebo, na wszystko, co nas otacza, że cię nie opuszczę. Wykuruję cię, zobaczysz. Zejdę zaraz dziś do ujsolskiego bacy, dowiem się nowin, przyniosę jedzenie i lekarstwo na ranę. A jutro wstąpię, jak tylko lasy będą czyste, do Rycerki, przyprowadzę ci tego chłopca, zrobimy operację. Wyciągnie ci kulkę i będzie spokój.

- I będzie spokój - uśmiechnął się gorzko Waniek. Wódz dotyka ręką jego twarzy, jest rozpalona. Obkłada go kocem w kącie, podgarnia mech pieczołowicie.

- Może baba będzie miał trochę sadła. Dobrze ci zrobi.

Zaczynał się wieczór, kiedy wyczołgał się z jamy, ostrożnie przepadając w gęstym, niskim poszyciu. Przewornie zabrał rewolwer Wańkowi, ukrywając go niedaleko, w miejscu gdzie zwykli byli palić ognisko na strawę. Lekko skrzypiały liście pod nogami. Znał tę drogę na pamięć. Na firmamencie coraz bardziej niebieskim wykłuwały się gwiazdy. Wszystko dookoła zdawało się być nieruchome i spokojne.

Po dwóch godzinach dotarł do szałasów bacy. Stary był sam, obaj synowie zeszli do wsi. Mieszkał tu na hali do końca września, czasem i dłużej, gdy utrzymywała się sucha pogoda. Choć trzodę zegnał, robił jeszcze koło siana i koło drzewa. Usiadł przy Janosiku na ławie obok ogniska, zaczęli rozmawiać. Była to ciężka rozmowa.

- Rozbili was - baba rozłożył żyłaste, ziemiste ręce, w które wpadła niejedna setka od harnasiów.

- Rozbili nas - zgodził się Janosik. - Ze mną jest tylko Waniek. I wiem od niego, że Michoń jest zabity.

- Maściak ubit, Tramek ubit.

- Skąd wiecie? - zerwał się Jasiek i stanął jak wryty z błyszczącym wzrokiem.

- My wszystko wiemy.

- Jak to było?

- Dzisiaj jest czwartek - rozpoczął baba. - We wtorek zaczęła się oblawa. Z dwóch stron: od Babiej i od Romanki. We wtorek w południe policja ubiła Michonia i syna Michoniowego na Krzyżówkach. Chłopiec niósł jedzenie ojcu i tam ich zdybali. Właściwie ojciec uciekł, zabili go później koło Wężowca. Waniek uciekł im. Po południu, wyżej, pod



Czeską Polaną, stropili Maściaka i Tramka. Tramek umknął. Maściak jest ciężko ranny; leży w szpitalu w Żywcu. Tyś jeden przedarł się. Policja, co szła od zachodu, ubiła konia pod tobą na Lipowskiej. Mówili, żeś raniony, ale widzę, że to nieprawda.

- Nieprawda.

- Z Tramkiem było tak. Ja wiem, bo tędy policja zносиła trupa do Milówki. Mój syn go widział. Ci od zachodu wyszlakowali go nocą z wtorku na środę na Boraczej. Przesiedział całą noc na drzewie. I cały dzień następny, to znaczy środę. Gdy się już zmierzchało, zszedł z drzewa, pomykając ku Romance. Spostrzegł się jednak, że jest otoczony, i zaczął strzelać. Zabił jednego policjanta, ranił drugiego. Dostał kulę w brzuch, złapali go. Gdy go wiedli, już rannego, wyrwał im się, buchnął między drzewa. I położony jest trupem.

- To się już nasza kompania skończyła - westchnął zbój i opadł na ławkę. - Nie macie papierosa?

- Mam.

- Zrobili nam koniec.

- Jeszcze jest was dwóch.

- Nie mamy co jeść.

- Dam wam.

- Waniek ranny w rękę. Kulę ma pod łokciem.

- Dasz mu trochę sadła świstaczego. Zaczął grzebać w skrzyni wśród garnków.

- Jutro przyprowadzę chłopca z Rycerki, który mu kulę wyciągnie. Dajcie to sadło, przyłożę mu na razie do rany, niech opuchlina zejdzie. I jaką szmatę czystą na bandaż.

- Owiń mu rękę, mięso się rozpułchni, możliwe, że zrobi się ropa i kula sama wyjdzie z rany. Ja już go raz wykurowałem. U mnie się lizał. I wylizał się.

Księżyc doskonale okrągły królował z samego zenitu nad państwem ziemskich dołów, gdy młodzieniec opuścił szalas ujsolskiego bacy. Jeszcze na odchodnym upewniał się: - Oblawa cała zesła z gór?

- Cała. Dziś rano schodzili ostatni policjanci. U mnie pili mleko.

Tak więc skończyła się kompania Jaškowa. Michoń ubity, Tramek ubity, Maściak ciężko ranny w szpitalu. Waniek ranny. Pozostał tylko on. Podleczy trochę Wańka, przejdą do Herdućki, przezimują tam, a później, wiosną, gdy zieleń wystrzeli z buków, znowu wejdą na szlak zbójceki. Znowu się kilku chłopców dobierze i będą hulali po dziedzinach. Czy tak zapiekł się w zemście, czy tak zasmakował w nowym życiu?

Myśl o chorym i głodnym koledze popędzała jego kroki. Noc idealna do pośpiechu, widna jak dzień. Było po północy, gdy trafił do jamy. Zrzucił u wejścia toból z jedzeniem,

wyjął z kieszeni sadło świstacze, owinięte w szmaty.

- Waniek!

Cisza.

- Waniek! - podniósł głos. - Śpisz?

Z kąta nie było słyhać oddechu śpiącego. Dobył latarkę, zaświecił. Na mchu leżał, głową oparty o ścianę, Waniek, z papierową twarzą, bez życia.

- Waniek! - krzyknął Janosik, chwytając go za rękę. Była zimna. - Rany Boga! Waniek umarł! Jezus Maryja!

Dotknął rękami jego twarzy. Skóra chłodna, stężała na kamień. W dłoni ściśnięte kurczowo i w kurczu zastygłe palce chowały zegarek oraz zwitek banknotów; przedśmiertną wolę i spadek zmarłego. Nie dało się palców odgiąć, musiał siłą wyłuskać ze zwartego kulaka Wańkowe oszczędności.

Więc jeszcze jeden towarzysz opuścił go. Ostatni. Ze zmartwienia nie ruszył przyniesionej żywności. Rozpiął koszulę zmarłemu, przyłożył ucho do piersi, czy nie usłyszy bicia serca. Nie. To było ciało na pewno umarłe. Tak zginął ostatni z kompanów, niedoszły żołnierz, rabuś napiętnowany na obu rękach strzałami policji. Teraz trzeba mu będzie wygrzebać grób w jamie, gdzie skonał, przez niego wynalezionej, jego nazwiskiem ochrzczonej, w Wańkowej Dziurze. Tu był początek jego zbójckich nocy, tu będzie koniec jego zbójowania.

Czuwał przy trupie do rana, nie śpiąc, nie jedząc, paląc tylko papierosy, jednego po drugim, aż powietrze zgęstniało w ciemnej norze. Od samego świtu darł ziemię rękami, rył ją kijem, grzebał dół w pieczarze. Następnie ucałował poszarzałą, kamienną twarz trupa, nakrył ją białą szmatą przyniesioną od bacy, owinał potężne, sztywne ciało kocem, ułożył je w dole na warstwie suchych patyków, przedzieliwszy je znów chrustem od góry, i zaczął zasypywać zwłoki. Niebawem urosła mogiła, odziana świeżymi gałązkami buka; grób w jamie.

Teraz dopiero, oddawszy trupowi ostatnią posługę, zabrał się Jasiek do jedzenia. Wieczorem pójdzie do Herdučki. Opuści ziemię zbroczoną krwią towarzyszy. Tu stracił swoją gwardię: czterech kompanów rozrosłych jak dęby, synów zemsty skłóconych ze społeczeństwem.

Obładowany trzema rewolwerami i prowiantem wylazł o zmierzchu z Wańkowej Dziury, a właściwie z Wańkowej mogiły, brnąc ku Madohorze. Tak więc zemsta Witkowskiego osiągnęła swój triumf.

„Wykurzył mnie stąd.” Tak obiecał i dopiął swego. „Ale i ja jego wykurzyłem z chałupy.”

„Założę nową kompanię, na wiosnę pójdę znowu z chłopcami na zbój." Tak przyrzekał Wańkowi, którego chciał wykurować przez zimę w Herdućce. Przypomnił sobie łagodne, niebieskie oczy olbrzyma, zachodzące już mgłą śmierci w chwili gdy opuszczał jamę, schodząc na halę.

„Pomszczę się. Za Tramka, za Maściaka, za Wańka, za Michonia. I za syna Michoniowego." Na kim ty się mścisz, Jasiek?

Zapadł ciemny wieczór, ukazał się granatowy firmament nad koronami drzew. Za co oni zabili Michoniowego syna? Co im ten chłopiec zawinił? Już szczyt Madohory był przed nim, z dala w głębi wyrastała mgliście kopulasta czapa Lehoty. W połowie stoku Madohory znajduje się granica. Tędy przed rokiem tropił płowoczarnego jelenia, za którym zapędził się aż do Herdućki.

Herdućka! To ocalenie dla szczonego zwierza. Widzi Jagę błyskającą perłami zębów w uśmiechu, czuje jej soczyste pocałunki na wargach. „Ukryją mnie jak snop owsa w brogu. A na wiosnę znowu zaczniemy się wadzić z Witkowskim."

Księżyc wzeszedł na niebo, strop pociemniał w kolorze o jeden ton. Pełnia; niedobry czas do przekraczania granicy. Ale nie dla Jaśka Dziury. Nachylał się pod nie okrzęsanyimi choinami jodeł, zwisającymi aż ku ziemi. Psim węchem odnajdywał utarty trop w mroku; wynurzał się i znów nikł. Opadłe listowie, zbyt świeże, aby szeleściło, raczej tłumilo jego umiejętnie kroki. Wysunął się z gęstej ściany poszycia, natrafił na wyrwę oświetloną księżycem.

Graniczna przesieka? W tych miejscach wszędzie panuje nieprzerwany bór; po tej i tamtej stronie. To chyba jakaś naturalna polanka leśna. „Dziura w lesie - zaśmiał się. - Dziura wlaź w dziurę."

Sylwetka jego przeszła przez pas miesięcznej poświaty, pozęgłowała w atramentową noc kniei. Ledwo wstąpił w las, rozległ się ogłuszający strzał z tej samej głębi ciemności, w którą właśnie wkraczał.

- Stać!

Szczeknął twardy, niski, nieustępliwy głos. Czeski. Chłopiec dał susa na oślep w lewo. Znów strzał potwornym hukiem rozdarł ciszę. Kula gwizdnęła koło głowy uciekającego. Rzucił się na wprost.

- Stać! Stać!

To już nie jeden krzyk, to dwa krzyki. Znów strzał. Nie jeden strzał, kilka strzałów.

Już go mają. „A, cholera!" Słysząc trzask łamanych gałęzi, gonią go. Znowu strzały. Zawrócił, pochylił się, biegł złamany w krzyżach we dwoje. Z powrotem! Z powrotem!

Błysnął ciałem w księżycu; cień jego przeciął ukośnie zdradziecką goliznę. Kula rozłupała korę przed nim; jakby ktoś kijem plasnął w pień drzewa. Już w lesie odwrócił się, wystrzelił z rewolweru bez celu, za siebie. Przez polankę przebiegał właśnie cień człowieka z karabinem wysuniętym przed piersi. Ścigany poderwał się w prawo, zdradzał go tupot nóg. Prześladowca biegł za nim. Odsadził się od niego skokami, zaczął się za drzewem, po czym wystrzelił w stronę kroków raz, drugi, trzeci, czwarty, piąty, szósty - więcej kul nie było. Rzucił rewolwer na ziemię, poderwał się. Jeszcze ma dwa brauningi w kieszeni. Zatrzymał się w biegu na chwilę, wyciągnął rewolwer, odbezpieczył. Kroki umilkły. Z lewej strony nadażały za to inne, z dalszej odległości.

- Idzie drugi - syknął i strach ścisnął mu piersi. Nie wyrwie się, psiakrew, z tego koła. Znów pomknął, zmieniając kierunek. Pomimo zdenerwowania nie stracił jednak orientacji w biegu. Pędził z powrotem na północny wschód. Trzeba się oddalić od granicy, bo strzelanina zaalarmowała strażników. Tędy już nie przebije się na Orawę. Usłyszał z południa strzał.

- Zwidziało im się coś. Biją we mnie - prawie ucieszył się ich pomyłką. - Niech biją.

Czy to polskie, czy czeskie terytorium? Droga była uciążliwa. Kroplisty pot zalewał czoło młodzieńcowi: Las zrzedniał. W księżycu widać rzeźbę wzgórz naprzeciw. „Tu będzie Polska.” Zboczył na lewo dla wszelkiej pewności, bardziej na północ. Opadł przy jakiejś grubej jedlicy.

„Zmęczyli mnie.”

Jakżeby chętnie odpoczął! Niebo prześwieca nad głową, las rzednieje coraz bardziej. Mlecznie i biało rozbłyskuje hala. To będzie Smytniówka, rozłożona u stóp Lipowskiej po stronie zachodniej. Ależ daleko się zapędził! Pod skrajną ścianą drzew ukryty, obchodzi herszt pracowicie długi bok wygolonego księżycem czworokąta. Dojrzewa w nim plan.

Noce zbójce! Przyzwyczał się działać w ciemności. W nocy lepiej widział i bystrzej myślał niż w dzień. „Po tamtej stronie na Lipowskiej zanocuję na gałęzi, przesiedzę przez dzień, wykombinuję drogę, wieczorem pomaszuję na wschód. W Tatry.”

Okrzyżł pół wierchowego zbocza, wstąpił w wysoki starodrzew zalegający stoki góry. Upatrywał długo sposobnej kryjówki, aż znalazł. Wypinał się na grubego smreka, pomykając zgrabnie po konarach jak wiewiórka. Korony niższych drzew przesłoniły go wystarczająco od dołu. Komu zresztą przysłoby na myśl wypatrywać opryszków po drzewach? Wyjął z tobołka skromne pożywienie, posilił się, wrócił do równowagi, sprawdził rewolwery i zaczął marzyć na jawie.

Marzącego w gałęziach odkrył świt, czysty, pogodny. Las rozśpiewał się ptakami, słońce uweseliło widnokraj. Jasiak układał plan akcji. Poprzez gałęzie widział przed sobą

północno-wschodni krajobraz. Zżył się z nim od dwóch lat. Na wprost przedzielona doliną korbielowską wynosiła się Babia Góra. Z lewa pod Cylem wybijał się uwiędłą zielenią kwadracik Głuchaczek; bór Czatoży; zielonoczarna Mędralowa; gdzieś w lasach zagubiona Gajdowa Polana, pagór Przegibu, siodło Jałowieckiej Przełęczy, wypalone słońcem trawy Wężowca. Tam, po stronie północnej, ich grota na Kotlarczyskach, zawalona kamieniami. Pod Mędralową - chałupa Zośki w Cichem Koszarawskim; na Głuchaczkach - izba Ślepka, w niej zaś jego, Jaśkowe, łóżko, które musiał zmienić na choinę i mech w podziemnej jamie, bo tak się podobało Witkowskiemu. W dole, nisko pod Głuchaczkami - tu nie widać, bo zasłania las - będzie Przyborów. Jeszcze niżej Jeleśnia. Potoki biegną przez las w dół do doliny jak nitki kręte. Tam pozostał ktoś, kto, będzie długo płakał za Jaśkiem. Och, Zośka lubiła płakać. Teraz dopiero pofolguje łzom.

Może by spróbować dostać się na Kotlarczyska, z powrotem odwalić kamienie Janosikowego Pałacu? Nie. Ten teren już nie dla niego. Trzeba to wszystko opuścić.

„Wrócę tu na wiosnę.”

Kiedy słońce zawisło w zenicie nad jego smrekowym posterunkiem, miał już cały plan obmyślony w głowie. Na rojeniach zeszedł mu czas do zachodu. Patrzył poprzez gałęzie poza siebie, jak słońce umierało nad Herducką. Zachodziło krwawo, jakby przesyłając Jadze pozdrowienia od kochanka oraz krew pobitych zbójów. Jakby żal Janosików przesączał się z chmur przez granicę do dzikiej orawskiej wsi, niosąc dziewczynie piosenkę ulubioną Północnego Jaśka:

*Śpiewam sobie, śpiewam, łzami się oblewam,  
Wszystko zaś dlatego, bo się na świat gniewam.*

Przez cały dzień i poprzednią noc nie zauważył żadnego śladu życia pod sobą. Zsunął się po korze, chwycił wiatr wschodni w nozdrza. Wiało silnie wilgocią obroszonej halnej trawy oraz głębokim zapachem butwiejącego listowia. Namacał dwa rewolwery w kieszeniach i ruszył na wschód.

Za nim pozostawała ziemia, która zaczęła mu się palić pod nogami. Głuche ostępy Wysokiego Beskidu przyjęły strzały obojętnie. O paru awanturników mniej. Kto by się nad tym roztkliwiał? Tylko ktoś w Jeleśni, w Przyborowie, w Korbielowie, w Rycerze długo będzie pamiętał i rozpaczał, czyjeś najdroższe serce kobiece rozplącze się i zatęskni.

Zmrok zapadał zupełny. Z prawej majaczyła przed oczyma młodzieńca trójkątna piramida Pilska, na dalszym planie z przeciwnego boku - przysadziste cielsko babiogórskie. Między tymi dwoma szczytami jest ujście na Podhale.

W dole jaśniej księżycem przestronna, goła plama Hali Lipowskiej. Tam przedwczoraj ubiła mu policja konia; pewnie jeszcze jego zewłok się wala. Ciągnęło go coś, aby zboczyć w górny róg hali, na rośnię trawy Jaworówki. Powinien pożegnać się z wiernym towarzyszem. Ale zwyciężył w nim twardy, nieustępliwy herszt. Odpędził prędko tę myśl, pełen nowej decyzji i nowego zapału. Z wielu istotami musimy się pożegnać, wiele zaś innych odchodzi od nas bez pożegnania. Wiatr wschodni wiał silnie, porywiście, tuż przy ziemi. Nad lasami coraz wyżej wspinał się na strop księżyc. Od Jeleśni ukazała się na granatowym firmamencie czarna, cienka strzała. Pod księżycem, napuchłym i rudym, ciągnęły dzikie gęsi. Na Polhorę, na południe, do ciepłych krajów. Od czasu do czasu odzywało się w górze wysoko pojedyncze gęganie jak kwilenie dziecka. Janosik pomykał ku zimnym, skalistym górą, od których wiał ostry, przenikliwy wiatr.

## **Śpiew świętej głowy**

## Rozdział trzeci

- Poznajecie mnie, Krzywulus?
- Nie pomnę.
- Ja tu sześć lat temu byłem.
- Ho, ho! Sześć lat! Dużo wody w Skawie upłynęło.
- Ale Babia Góra ta sama. Nie pamiętacie, jak ze mną chodziliście na Krowiarki?
- Nie.
- Pokazywaliście mi góry, hej, Orawę i Tatry.
- Nie pamiętam.
- Pasłem krowy u Palecznej, co przyjechała z Rokicin na gospodarstwo do męża.

Córka dróżnika; wydała się w Jabłonce.

- Ach, Jasiek! - wykrzyknął uradowany karzeł, aż zakołysała się jego niekształtna postać.

- Przenocujecie mnie?
- Jakżeby nie? Dokąd idziesz?
- Za robotą do Nowego Targu albo do Zakopanego.
- Gdzieś był przez ten czas?
- Pracowałem w Bielsku.
- Pewnie, że cię przenocuję. Aleś wyrósł!

- Trudno. Człowiek rośnie - uśmiechnął się z odcieniem dumy, ale zdziwił się w myśli: „Czego on chce ode mnie? Przecież znowu tak bardzo nie wyrosłem”. Tym bardziej się dziwił, ponieważ zdawał sobie dobrze sprawę z tego, że był właściwie niski. Widocznie i taki wzrost imponuje karłowi.

- No, niby z ciebie chudzina, aleś w ciele zmeźniał. Pamiętam cię przy krowach, wtedy z ciebie dziecko było.

Gość rozsiadł się wygodnie na łóżku, kiwając głową. Jabłonkowski dzwonnik krzątał się około wieczerzy.

- Wy ciągle na tym trzęsawisku mieszkacie?
- Gdzie mam mieszkać?



- Toteż ja od razu wiedziałem, jak do was trafić. Co słyhać z Paleczną?

- Choruje. Dziecka się spodziewa; trzeciego. A raczej czwartego, bo ostatnim razem miała bliźniaki. Pójdiesz do niej?

- Nie. Zmęczony jestem. Prześpię się i jutro wczas wyjdę w drogę. Co tu u was nowego w Jabłonce?

- Stara bieda. Gdzie ja się spodziewałem, że po sześciu latach spotkam się z tobą! - mrucał Krzywulas. - Mówisz, że już sześć lat, jakeś tu był?

- Sześć.

- Ale ten czas leci!

- Leci - przytaknął młodzik z ustami pełnymi ziemniaków. Podjadł sobie, wyciągnął się na łóżku, poczuł ulgę. Karzeł plątał się koło garnków.

- Nie mieliście chyba dużo roboty na dzwonnicy tego lata, Krzywulas. Nie było na co dzwonić, pogoda była.

- Chwalić Boga, deszczów nie było.

- Żniwa poszły dobrze?

- Dobrze.

- Co robi Jędrrek Matonóg?

- Żona mu umarła, będzie ze dwa lata temu.

- Na co?

- Czy na wsi się kto pyta, na co kto umiera? Na śmierć.

- Patrzcie, patrzcie! Nie pomogła jej cudowna paproć, po którą chodziliśmy razem na Palicowy Groń w noc świętojańską! Kiedy mnie ugryzła żmija, ona pierwsza poszła ze mną do aptekarza, który mnie wykurował.

Okna Krzywulasowej chaty wychodziły na zachód. Za wzniesionym szczytem Babiej Góry gasło słońce. Młodzieniec spoglądał przez szybę; pamiętał ten widok. Tak przed sześciu laty patrzył godzinami jako pastuch krów na tajemniczy wierch Diablaka, na ścielące się dołem knieje Orawy. Jeszcze noga jego wtedy nie postąpiła na szczytach.

- Pamiętacie, Krzywulas, jak staliśmy na Krowiarkach? Wyście mi pokazywali na zachód, że jakby tak iść z Jabłonki przez cały dzień wśród lasów, to na wieczór zajdzie się do Przyborowa.

- Tak - przyświadczył pokraka. - Ale teraz nie radziłbym ci iść przez góry. Bo tam gdzieś łązi Janosik ze swymi chłopcami.

- E, on na biedaków niełaszy - odparł z zimną krwią gość. - Na mnie się nie skrzepi.

- Prawda. On tylko moźnych rabuje. Biedakowi podobno jeszcze dołoży z własnej

kieszoni. Z nim dopiero mają policjanci robotę! A on się z nich tylko śmieje.

- Pewnie, że się śmieje.

- Wyście tam o nim nie słyszeli w Bielsku?

- Trochę się słyszało. Nie wiadomo, ile prawdy w tym, co ludzie gadają.

Słońce zaszło, tylko ostatki czerwieni czepiały się jeszcze bloków Diablaka. Chłopiec żegnał oczami górę pełną wspomnień. Tam odchodzi w mrok jego niedawne dziedzictwo, Wysoki Beskid, zbroczony krwią kompanów.

Następną noc spędził w Naprawie. Przyszedł wieczorem, po ciemku. Wszedł do znajomej sobie chałupy.

- Poznajecie mnie, Matulak?

- Nie.

- Ja służyłem za parobka u Wawrzyńca Halka.

- Tak, tak, poznaję cię! - ucieszył się biedak, podchodząc ku niemu z lampą. - Jasiu! Tak mi się zdawało, że skądś ta twarz mi znajoma. Dokąd idziesz?

- Za robotą do Nowego Targu. Przenocujecie mnie?

- Pewnie.

Kiwnął na żonę, aby przygotowała jedzenie. Jasiu wyciągnął banknot, położył na stół.  
- Kupcie za to coś do zjedzenia.

- Już późno, ale idź no, Janka, do Jędrzejowej, kup kiełbasy i chleba - zadysponował Matulak.

- I papierosów setkę, i piwa ze trzy flaszki, i cukierków dla małych - krzyknął Jasiu. - Co tu u was nowego?

- Jak zwykle. Stara bieda - rozłożył ręce gospodarz. - Bieda z nędzą. A tobie jak się powodzi?

- Nieźle. Miałem robotę w tartaku w Bielsku. Cały czas. Później w Makowie. Teraz idę do Nowego Targu. Tam robią zakopiański gościniec. Ja go już zacząłem robić trzy lata temu pod Obidową, jakem od Halka odszedł. Pamiętacie?

- No jakże!

- Wróć, dokończę go. Co słyhać z Haikiem?

- Jak zwykle. Zbija majątek; byle więcej.

- Dla kogo? Dzieci nie ma. Kto to dostanie?

- Nie wiem. Taka już natura bogaczy: im więcej mają, tym większa chytryść ich ogarnia.

- Co robi Rejka od Czubina? Żyje?

- Żyje. Za to żona Halkowa kiepska jest.

- Co jej?

- Astma ją dusi.

- Maria Magdalena nie poradzi?

- Coś pogniewały się.

- No, Halkowa ma swoje lata. A wasza Maryśka gdzie?

- Służy u Mirka. Już czwarty rok. Dobrze jej tam.

Matulakowa podała jedzenie. Posilali się i radzili.

- Musi być z niej ładna dziewczyna - wrócił Jasiak do poprzedniego tematu.

- Niebrzydka - przyznał ojciec. - I wydać by się wydała. Kawalerów jest dość. Cóż, kiedy biedna. Każdy się koło tego uwija, wszystko pięknie, ale jak zwącha, że ojciec nic nie da, od razu ucieka.

- Ile ma lat?

- Dziewiętnasty rok jej idzie.

- Już by się mogła wydać.

- Już.

- Poślijcie po nią, niech zaraz przyjdzie. Porozmawiamy trochę.

Maryśka przyszła z sąsiedztwa, prosto od krów, w powalonym fartuchu. Spłonila się, widząc przybysza.

- Poznajesz go? - spytał ojciec.

- Tak. To Jasiak.

- A, widzisz! - śmiał się stary. - Córka poznała zaraz, ojciec nie.

- Przecież my razem krowy paśliśmy pod Luboniem - tłumaczył młodzieniec. - Czemu miałyby mnie nie poznać?

- To nie to - zaprotestował Matulak. - Co młodzi, to młodzi.

Jedli chleb z kiełbasą, zapijając piwem, dzieci gryzły cukierki. Mężczyźni osnuli się dymem tytoniowym.

- Jedz, Maryśka - namawiał dziewczynę Jasiak.

- Już muszę iść - zerwała się. - Jeszcze krowy nie obrządzone. Zostajesz tu, Jasiak?

- Nie. Wstąpiłem tylko do was na noc po drodze. Żeby sobie przypomnieć te okolice.

Człowiek pozapominał dużo z tej Naprawy.

- Czy wszystko zapomniałeś?

Wiedział, o co pyta. Duchem przekory wiedziony, odpowiedział beczelnie: - Wszystko.

- Nic nie pamiętasz?

- Nic.

- Odprowadź mnie pod Mirka.

Wyszli. Chwytał ją pod rękę. Nie opierała się. Całowali się w pośpiechu co parę kroków. Przed samym pożegnaniem wyjął portfel (własność Witka-Cholery ze Sporysza) i wręczył dziewczynie dwa stużłotowe banknoty.

- Kup sobie co za te parę złotych, Maryśka. Ubierz się ładnie, żeby twoje koleżanki z zazdrości popękały, żeś jest biedna, ale że pięknie się nosisz. Wzbraniała się. Całował ją. - Weź, weź, ja mam pieniądze. Zarabiam.

Wrócił do Matulaka. Zamienił z nim surdut; chociaż był gorszy od jego prawie nowej wiatrówki, dorzucił jeszcze setkę. Zamienił się czapką. - Mnie ten łach wystarczy, wam się wiatrówka przyda. Jak zarobię, z pierwszej wypłaty kupię sobie ubranie. A u was się nie przelewa.

Miał swój cel w tym gościu. Umyślnie, dla niepoznaki przebrał się w połataną popielatą kurtkę, zamiast kaszkietu okrywając głowę starą, wytartą czapką zimową. Nazajutrz o wschodzie słońca przecinał zbocza Małego Lubonia oraz lasy Marytki, miejsca dawnych wspomnień. Jeszcze podczas noclegu obmyślił sobie plan. Niebezpiecznie było maszerować w Tatry gościńcem zakopiańskim wzdłuż kolei. To uczęszczana autostrada, pełna ruchu; policja mogła tam wzmocnić czujność. Trzymał się zasady: najlepiej z dala od ludzi. Pójdzie na Turbacz, z Turbacza w Pieniny, stamtąd przez Spisz przeczuci się w Tatry Bielskie i znajdzie się w czystym odludziu.

Gnał przez Stare Wierchy, okrążając ze wschodu szczyt Turbacza. Późnym wieczorem spuścił się nad Dunajec we wsi Harkłowa.

- Poznacie mnie, ojcze Michałek?

Kuternoga przygarbił się i postarzał. Przerażony nocnym najściem, przysunął lampę ku twarzy przybysza, spozierając chorymi, zaczerwienionymi oczyma.

- Nie poznaję.

- Pięć lat temu pasalem waszą krowę i kozę. Przyszedłem do was od Walczakowej, żony pisarza, która mnie wyrzuciła ze służby. Wołaliście mnie Jaśkiem.

- A Jasiek, Jasiek! - chwycił się Michałek za głowę. - Pamiętam cię. Aleś wyrósł, chłopcze!

Dziwne - każdy mu to mówi, a przecież on sam czuje, jak niewiele podrośł.

Była ciepła jesienna noc. Księżyc ogromny, jak nadgryziona bułka, włożył do okna

zabarykadowanego doniczkami. Wdowiec troskliwie kuśtykał koło blachy, trzynastoletnia Julka rozpalala ogień. Gość podjadł sobie trochę, ożywił się, rozpoczęli gawędę.

- Co robi ta jędza, co mnie morzyła głodem? - Jasiek pokazał ręką w okno, na chałupę Walczaka naprzeciwko.

- Już będzie przeszło rok, jak się z łóżka nie rusza. Jedną stronę ciała jej sparaliżowało; prawej ręki nie podniesie do góry. Jedni mówią, że od zaziębienia. Inni jeszcze, że od krwi. Ona miała zawsze spuchnięte nogi.

- To pisarzowa uspokoiła się teraz.

- Już nie jest pisarzową. Będzie chyba ze trzy lata, jak wybrali nowego pisarza. Dokąd idziesz, Jasiek?

- Do Szczawnicy. Mam tam dostać posadę portiera w pensjonacie. Wstąpiłem tu, aby przenocować i pogadać sobie z wami.

- Dobrze. Prześpisz się u mnie. Skąd teraz wędrujesz?

- Ostatnie dwa miesiące pracowałem w Rabce. A przedtem dwa lata w Żywcu.

- Tam bandyci grasują w żywieckim powiecie - uśmiechnął się Michałek.

- Nic o tym nie wiem - mruknął Jasiek, ignorując ten temat.

Gospodarz nie dał za wygraną. - Jak to? Nie słyszałeś o Janosiku? - zdziwił się.

- Słyszałem.

- On przecież ugania po Beskidzie jak po swoim gazdostwie. Ile tam narabował pieniędzy. Nie wiesz o tym? Tu wszyscy o nim mówią.

- Tam też mówili - odparł Jasiek zrezygowany. - Ale nikt tego Janosika na oczy nie widział. Baby więcej paplają, niż jest.

Już pół godziny temu zgasili światło, a wdowiec ciągle mówił. Zmienił się znacznie przez te pięć lat. Wyglądał zmięty, zmarszczony, schorowany; oddychał astmatycznie. Jaśkowi kleiły się oczy od zmęczenia. Spał na kurtce wypchanej dwoma rewolwerami. Michałek położył mu zagłówek z siana, ale Jasiek był pewniejszy, gdy czuł pod głową broń.

- Ale już się nam i Janosik skończył - snuł nieprzerwanie swój temat gospodarz.

- Dlaczego? - zainteresował się Jasiek.

- Bo zastrzelony jest. Nie wiesz nic o tym? Parę dni temu wielka bitwa była na Babiej Górze. Policja i strażnicy graniczni przez tydzień oblegali zbójników w lasach. Aż ich dopadli i zakropili wszystkich. Było ich coś z piętnastu. No i sam Janosik też zabity. Inni mówią, że sobie sam trzy kule wpakował w brzuch, gdy zobaczył, że im już nie ujdzie.

- No to już nie mamy Janosika - westchnął z ulgą młodzieniec i przewrócił się na prawy bok, pragnąc demonstracyjnie zaznaczyć niechęć do dalszej dyskusji.

Ale Michałek był niezmordowany.

- A szkoda - ciągnął - bo to był porządny człowiek. Siła dobrego ludziom robił. Nie znajdziesz jednego górala, co by na niego złe słowo powiedział.

Jasiek już nie słyszał, jak chory na bezsenność wdowiec kwieciście wygłaszał apologię harnasia. Usnął jak kamień. Nogi, które na przełaj przemierzały masyw Turbacza, wypoczywały przed nowym szlakiem.

- My tu już mamy jednego zbójcę.

- Gdzie?

- Siedzi pod Hawraniem. Jego także szukają. Ale szukaj deszczu w chmurach, a opryszka w górach.

- Zaprowadź mnie do niego.

Jasiek zszedł z wysoka do małej, ciemnej chatynki w Jaworzynie. Góral, spiski Polak, robotnik z papierni, dostał hojną zapłatę za udzielenie wskazówki.

- Tu jeden chłop z Podspadów nosi mu jedzenie. Pójdziecie razem z nim do wierchu.

Powlekli się rankiem we dwójkę przez las Chowańcowym Zboczem. Zębate turnie ukazały się rzędem sine, zjawiskowe, jakby za fioletowym welonem. Mgły żeglowały między górami niby wydęte, pierzaste statki. Jasiek ukazywał przewodnikowi perspektywy marszu: w prawicy rewolwer, w lewicy dwieście złotych. Oczywiście przyjemniejsze było to, co się znajdowało w lewej ręce. Przeszli Potok Jaworowy, wgłębili się w bujną roślinność stoków hawrańskich, pieli się z dobrą godzinę, brnąc w obłokach mlecznej kurzawy, aż mgły rozpierzchły się i za plecami rozścieliła się w dole atramentowa knieja Jaworzyny. Góral zaczął co parę minut dawać sygnały gwizdaniem. Po kilkunastu gwizdkach usłyszeli odzew. Nad potok wylazł smagły, szczupły chłop, wzrostu nie więcej niż średniego, z rewolwerem zatkniętym za pas, o twarzy pełnej fantazji.

- Co to za człowiek?

- Harnaś. Chce do ciebie przystać - odpowiedział góral. - Policja go ściga.

Przybysz wysunął się przed przewodnika.

- Słyszałeś kiedy o Janosiku? To ja jestem. Przyjmiesz mnie?

- Nie może być! - złapał się za głowę tamten.

- Tak jest - odparł spokojnie gość, wlepiając siwe oczy w towarzysza.

- Tyś jest, którego wołają Janosik?

- Ja.

- O rany boskie! O którym powiadają, że się go kule nie czepiają?

- Ja.

- Który łupił bogatych w Beskidzie?

- Ja.

- Który konia porwał grafowi z Orawy?

- Ja.

Rzucił się młodzikowi na szyję.

- Tyś hetman, ja twój zbój. Co ty tu robisz?

- Uciekłem. Gonili mnie. Ubili mi chłopców na Babiej Górze, zostałem sam. Sam jeden żywy. Harnaś bez kompanów. Weź mnie. Będziemy razem zbójowali.

- Dobrze.

Jasiek obdarował przewodnika dwiema setkami, odesłał w dół i osiadł z Wojtkiem Rzezawą w grocie wapiennej tatrzańskiego masywu.

Był zachód, jeden z tych, których się prędko nie zapomina. Słońce rozpylało krwistomiedziany posiew po lasach Jaworowej Doliny. Na południu piętrzyły się poszarpane granie skał oprószone śniegiem. To najwyższe góry, jakie dotychczas widział. Popatrzył w lewo, w gniazdo Łomnicy i Lodowego, w Garłuchowskie baszty i jeszcze dalej w samotny, zwalisty trzon Krywania. Siedzieli wśród głazów twarzami ku Jaworzynie. Nowy towarzysz herszta czknał potężnie, zbyt potężnie jak na jego szczupłą tuszę (później wyjawilo się, iż naśladował czkawkę dla żartu).

- Ja tu siedzę już szósty miesiąc z łaski Pana Jezusa Ukrzyżowanego, samiuteńki jak palec, naturalnie odcięty od dłoni. Jak pustelnik, psiakrew.

- Kryjówkę masz dobrą.

- E, bo też czuwają nad nią dniem i nocą trzy osoby - roześmiał się Wojtek szeroko.

- Któż to?

- Nie wiesz? Trzy Osoby Boskie: Bóg Ojciec, Syn Boży, Duch Święty.

„Ki diabeł - pomyślał Jasiek. - Ciągle tylko o religii gada.”

Ogromny cień spadł w krainę skał; naprzód w przepaście, w załomy, w szczeliny, w kąty, stamtąd zaś podniósł się i zgęstniał w żywej pustce. Nadchodził wieczór. Siedzieli już wewnątrz groty, ale Rzezawa bynajmniej nie zdążył się wygadać przez pół dnia. Teraz godność jego wzrosła, nazwisko jego będzie wymieniane jednym tchem obok imienia słynnego hetmana.

- Nieraz mi się śniło, że siedzę w więzieniu - przez chwilę pluł, aby odczynić zły urok brzydkiego słowa. - Śniłoż mi się kiedy, abym siedział, tak jak teraz, na swobodzie z

Janosikiem? Ile masz lat?

- Dziewiętnaście. A ty?

- Dwadzieścia dwa. Pierwszych dwadzieścia przeszło mi jak z płatka. Nic nie pamiętam, żyłem jak nowo narodzone dzieciątko, niewinny jak garbata staruszka. Dopiero dwa ostatnie lata, te mi dały w dupę! Przez dwadzieścia lat nie żyłem, nie czułem, byłem głupi i święty, a przez dwa lata zestarzałem się. Niech szlag trafi!

- Wyglądasz na szczeniaka, tak jak i ja. Wiesz, co to znaczy: zestarzeć się?

- Cóż użyłem? Największa przyjemność dla mnie to upić się jak świnia, wytłuc kogoś po pysku. Powiedz sam, czy nie jestem godniejszy lepszemu losu?

- Nie będziesz pił, dopóki ja jestem przy tobie.

- Już mi się i tak od pół roku picie urwało. Siedzę tu jak mysz w dziurze. Lewak mi wódki nie przyniesie. Abram nie sprzeda, Banach im zakazał. Wskutek tego mózg mi wysycha w głowie. Najśłodsze Serce Jezusa, może się przy tobie odmienię! Daj Boże, daj Boże! - wznosił oczy pobożnie na szerniałe ściany skalnej pieczary.

Wojtek Rzezawa był morowym kompanem. Łączył w sobie wesołość Tramka z zawadiactwem Wańka. Ale przewyższał ich obu humorem, sprytem, temperamentem i inteligencją. Siedział w górach od kwietnia. Pochodził z Jurgowa, a więc z polskiej strony. Zdażył sobie usklądać ładną hipotekę. Zaczęło się od tego, że zorganizował pochód na wiec ludowy w Zakopanem i za to doniósł go do sądu policjant. Dwukrotnie siedział w areszcie za przemyt, a na placówce granicznej w Jurgowie leżało doniesienie, że cztery kozły wybił księciu Hohenlohe w Jaworzynie. Powiedział coś po pijanemu na jarmarku o porządku w państwie; znalazł się zaraz ktoś uczynny, kto doniósł władzom, gdzie Wojtek Rzezawa ulokował najmożniejszych z rządu. Gdyby nie ten cham-donosiciel, wszystko byłoby w porządku. Tamci żyliby w wygodzie jak dotychczas, nieświadomi zaocznej zniewagi, i Wojtek także miałby spokój. Niestety, stało się inaczej; zadzierzysty góral utknął po raz trzeci w areszcie za obrazę władz państwowych. Kiedy komendant posterunku w Jurgowie powiedział mu coś przykrego z racji jakiejś pijackiej burdy, obrażony Wojtek, niewiele myśląc, zareagował na obelgę ostrym policzkiem. Tego dotychczas tu nie było.

- Cóż to, policjant nie człowiek, nie może dostać po mordzie? Tylko on może innych walić?

Zbili go wtedy porządnie. Przodownik Lipowczan nie podarował tego zelżenia w obecności dwóch podwładnych posterunkowych. Wzięli się do niego we trójkę. Poza tym wynikła z tego sprawa sądowa. Nie można puścić płazem takiej historii: policjant podczas służby uderzony w twarz! Przez góralskiego parobka! Co by wieś na to powiedziała, gdyby



się tego przestępstwa nie ukarało przykładowie?

Duży kryminal groził Rzezawie, bo to już czwarty raz zadarł ze sprawiedliwością. Uciekł z Jurgowa i po tygodniu zgłosił się sam u sędziego śledczego w Nowym Targu. Był sąd. Góral wybronił się, udając wariata. Uwolniono go. Policja pieniała się ze złości. Nie mogąc osiągnąć synalka, który gdzieś zwiął, mściła się na jego rodzicach, tak że zmuszeni byli przenieść się do Ratułowa, skąd pochodziła Wojtkowa matka. Syn, w odwet za te szykany, obrabował przodownika Lipowczana, zbił go do nieprzytomności, zabrał mu rewolwer i zbiegł w góry na słowacką stronę. Siedział tu od pół roku, strzelając zwierzynę, sprzedając skóry, a nawet mięso znajomym w Podspadach. Parokrotnie podebrał gotówkę włóczącym się turystom. Od czasu do czasu rodzice coś mu przysyłali.

Trwała nadal cudowna jesień; babie lato, ciepłe i słoneczne. Na słodkich trawach łąk pasło się jeszcze gdzieniegdzie bydło i trzoda. Obaj rabusie wygrzewali się w załomach skał, paląc papierosy.

- Tutaj opowiadali, że cię policja ubiła na granicy.
- Kropili we mnie, to prawda. Może ze dwadzieścia kul wywalili. I nic.
- Powiadają, że ciebie się kule nie mają.
- Możliwe - uśmiechnął się. Patrzył w trawiaste upłazki, znaczące się na ścianie odartej, czarnej, pełnej załomów, uskoków i garbów.
- Zagrajmy w karty.
- Zagrajmy.

Któregoś dnia zeszli do Jurgowa, do chałupy Jelenia, leżącej właściwie w przysiółku Grochałowce. Jurgów był rozległą wsią, zabudowaną ciasno, spiskim sposobem, bokami chałup do drogi. Ludność wsi żyła z pracy wykonywanej po drugiej stronie granicy: przy wyrębie, wywozie i obróbce drzewa w dobrach jaworzyńskich. Sąsiednia republika władała nawet częścią pastwisk górali jurgowskich. W nadgranicznym lesie mieściło się maleńkie osiedle, Grochałowce, złożone z kilkunastu chałup. Oddalone było o trzy kilometry od macierzystego Jurgowa, o dwa zaś od Podspadów, leżących już w Czechosłowacji.

- Dla nas obojętne, czy tu Polska, czy Czechosłowacja - mówił Jeleń, gruby gazda, do towarzysza, rosłego bruneta o bujnych wąsach. - Tak samo Warszawa, jak i Praga są daleko od nas. My jesteśmy górale.

- No dobrze, ale od tysiąca lat, pokaż tu pamięć ludzka sięga, należymy do Polski, tak czy nie?

To mówił Banach, któremu Wojtek Rzezawa zawdzięcza swój pierwszy występ

polityczny i zarazem pierwszy protokół policyjny w swojej karierze. Spod krzaczastych brwi spozierają przymrużone oczy o życzliwym blasku. Dobroduszny uśmiech, energiczny ton mowy. To przywódca okolicznych ludowców: pół powiatu nowotarskiego znajdowało się pod jego bezpośrednim wpływem. Z jego to inicjatywy Wojtek prowadził w pierwszy dzień zeszłorocznych Zielonych Świąt gromadę górali na nielegalny wiec do Zakopanego. Wiec był nielegalny, ale się odbył, Banach przemawiał na nim dość napastliwie, za co później czekały organizatorów przykrości w starostwie.

- I królów mieliśmy prawowitych - ciągnie dalej Banach. - Dlaczego nie mielibyśmy słuchać prezydenta wybranego przez cały naród?

- Prezydent nie wie, że nas urzędnicy okradają. Jak się poskarżyć? Komu?

Banach umilkł, nie znajdując odpowiedzi.

Znad Hawrania kurzyło: niezawodny znak nadchodzącej słoty. Tu się kończy ojczyzna, w obramieniu gęstego lasu, w beładnej kupie wierchów, jarów, uroczysk, dolin i wąwozów. Latem - gorąco, że nago można chodzić. Kiedy indziej - zimno i deszcz, że się żyć odehciewa. Chmury szybują po niebie we wszystkich kierunkach, tylko skały stoją nieruchomo i czujnie.

Czujny jest również krok harnasiów. W pięć minut po opuszczeniu chaty Jeleniowej zatrzymali się obaj na ścieżce w krzakach, nadsluchując. Zza potoku, zwanego Smoczą Wodą, dobiegł ich czysty śpiew dziewczęcy:

*Gonili Jasia w smreczynowym lesie,*

*o Jasia konik nad smrekami niesie.*

- Halo - odezwał się Jan Dziura - kto tam śpiewa?

Śpiew umilkł po to, aby znów za minutę wytrysnąć silnym, srebrnym pokrzykiem:

*Gwizdnął Janosik, gniady w mig nadleciał,*

*wzbił się pod chmury i chmurami leciał.*

- Halo - wrzasnął ponownie Dziura - kto to śpiewa?

- A kto się pyta? - odparł z tamtej strony przekorny głosik.

- Ktoś ciekawy - zadudnił basem Rzezawa.

- To się nie dowiesz - brzmiała rezolutna odpowiedź.

- Ech, dziewczuszko, idę do ciebie - westchnął młodszy i rozgarniając krzaki, chybnął po kamieniach ku strumieniowi.

- Daj spokój, Jasiu - mitygował go Wojtek. - Co cię obchodzi jakaś dziewczka?

Ale tamten wbił się już w jałowce na drugim brzegu.

- Chodź no tu, dziewczynko - mrucał w gąszczu.

- Po co? - dosłyszał.

- Bo chciałbym cię zobaczyć.

Wyskoczył z krzaków na stromą łąkę. Pośród stada krów stała szczupła dziewczyna w kusawej popielatej spódnicy, w granatowej bluzce, w kierpcach, z gołymi nogami i gołą głową. W ręku trzymała gałąź leszczyny, a w zębach gryzła świeże orzechy laskowe. Jasiu śmiało podchodził ku niej. Jakby się go przestraszyła, wypluła na dłoń łupki orzecha i trwała tak w przerażeniu z wyplutym orzeszkiem w ręce, z poszerzonymi oczyma koloru brązowego.

- Coś ty za jeden? - przemknęło pytanie.

- Ja? Turysta.

- Turysta - powtórzyła, ściskając bezwiednie w dłoni szczątki orzecha.

- Boisz się mnie?

Uśmiechnęła się niemrawo.

- Daj mi orzeszki - patrzył w jej twarz nieskalanie białą.

Wyciągnęła ku niemu gałązkę, podając mu bez słowa. Wziął, jakby mu się należało, odchodził od niej bez pożegnania.

- Śpiewaj dalej - burknął i zniknął w jałowcach.

Ach, to prawie dziecko. Nic ciekawego. Był nieomal zły na siebie. Przyśpieszyli kroku. - Już wiem, kto to śpiewał - mówił Rzezawa. - Ewa Jeleniówna. Poznałem ją po śpiewce.

- Ładna - stwierdził lapidarnie Jasiu, gryząc orzeszki w zębach.

- Kto? Córka czy śpiewka?

Harnaś spojrzał na niego uważnie, jakby rozgryzał wraz z orzeszkiem ważny problem, i po namyśle rzekł:

- Śpiewka.

I od tej śpiewki rozpoczęli rozmowę o Janosikowym koniu.

Prowadzili ją przez cały czas, maszerując ku legowisku. Brodzili w szeleszczącej czerwonoawoczystej kurzawie opadłego listowia.

- Ja słyszałem, że konia pod tobą ustrzelili. I że zanim zdechł, zabił dwóch policjantów kopytami. Dostał dziesięć strzałów, ale i tak się przed zdechnięciem zwłókł i tam opadł pod krzakami, gdzie ty miałaś umierać.

- Gdzie tam! - śmiał się Janosik. - Ubili ogiera pode mną w galopie, kiedym uciekał na

Lipowską. Gniady się zwalił, ja razem z nim. Nie miałem czasu zajmować się koniem, bo policja z lasu wyskoczyła. Gnałem, ile sił w nogach. A mój Złoty musiał zginąć na miejscu.

Szeroko wypytywał Wojtek o konia; jakiej maści, jakie nogi, jaka skóra, jaka sierść, jaki obwód w pęcinie, w piersiach, zadzie. Raz jeszcze rozpatrywali szczegółowo zalety jego chodu.

- Tu cuda opowiadali o tym koniu. Ale chyba połowa z tego jest prawdą.

- Mniej niż połowa - przyznał skromnie towarzysz.

Jeszcze w nocy, zasypiając w ustronnej grocie na posłaniu z mchów i widłaków, obliczał w myśli Jasiek, jak długo właściwie miał tego konia. Zdobył go w połowie lipca, gdy szli rabować Polhorę. Teraz jest początek października. Miał go więc zaledwie dwa i pół miesiąca. A zżył się z nim jak z człowiekiem, więcej, jak z bliskim przyjacielem. I przez te pół-trzecia miesiąca jeździec z koniem tak mocno zrosli się w pieśni i w mowie ludzkiej, że nawet śmierć ogiera nie zdołała przerwać tej przyjaźni.

Z rozrzewnieniem przypomniał sobie śpiew pasterki i zatęsknił za koniem. Usnął z myślą o Złotym. W grocie było zimno, przyzwyczał się do tego w wielomiesięcznej tułaczce. Przyszli do legowiska po ciemku, nie było już sensu rozniecać ognia. Zapalili papierosy, położyli się obok siebie, przykryci jednym kocem. Jasiek zatchnął się dymem, zakaszłał.

- Zdrowie sobie zepsułeś na tym lataniu po górach - pożałował kompana Wojtek. Nie wiadomo, czy mówił poważnie: u niego wszystko było możliwe. - Po coś ty właściwie gonił ciągle przez granicę?

- Dla gimnastyki.

- Mówili, że to polityczne sprawy. Żeś podobno prznosił tajne pisma do Witosa w Czechach.

- Ani mi się śniło.

- Więc po co się tam pchałeś?

- Jako turysta.

- Przemyt był?

- Był.

- Tak mi mów. Co więcej?

- Jakiś rabuneczek; czasem do znajomej dziewczyny się poszło...

- Proszę, to mi się podoba! - zatarł ręce pod kocem Rzezawa.

Ulewa biczowała doliny i wierchy. Usnęli w jej poświęście.

Dużo uciechy miał Janosik z Wojtka. To nieoceniony chłopak. Opowiadał z właściwym mu niefrasobliwym humorem, jak siedział w areszcie, udając wariata. Wiedział, że teraz tak łatwo mu nie pójdzie jak poprzednio. Sprął po pysku komendanta posterunku. Trzykrotnie już siedział w areszcie; za czwartym razem będzie grubsza sprawa.

Siedział w Nowym Targu. Przyprawdzili go na przesłuchanie. Już od drzwi pozdrowił sędziego po staropolsku: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!” - po czym jak na komendę zbliżył się do stołu sędziowskiego i, zanim się opamiętano, wyporządził się kompletnie przed sędzią. Porwali go zaraz i wsadzili na dzień do ciemnicy, obostrzonej postem i twardym łóżem. Nazajutrz przyprawdzili go znów przed sędzią. Teraz już policjant trzymał więźnia za rękę, aby nie dopuścić do niepożądanych odruchów. Rzezawa uśmiechał się jak dziecko do włodarza sprawiedliwości. Krzyknął, stanąwszy na bacność, salutując po wojskowemu:

- Niech żyje święty marszałek Józef Piłsudski, król polski!

Uśmiechano się dyskretnie, nikt nie považył się protestować. Policjant poklepał go poufale po łopacie. Nie wolno przecież takiego nazwać wariatem. Sędzia odpokutowałby za to grubo, choć zaczynały się w nim budzić wątpliwości co do poczytalności aresztanta. Sam Rzezawa w toku badania wyczuł niewłaściwość swego postępowania. Zmienił więc metodę i postanowił unikać polityki. Zaczął chodzić jak pies na czworakach, szczekał na policjanta, gdy ten chciał go za kołnierz poderwać z ziemi. Od czasu do czasu podnosił w górę tylną nogę. Sędzia śmiał się. Znowu Rzezawę odtransportowano do aresztu. Widocznie jego kawały przeszły bez wrażenia. Stał się więc milczkiem, odmawiał przyjmowania posiłków. Sędzia przestraszył się. Najgorzej z tymi głodówkami. To pewnie jakiś polityczny przestępca, zwłaszcza że już raz siedział za ludowcową opozycję. Jeszcze prasa narobi z tego powodu alarmu. Rzezawa podawał się teraz za Abrahama, ostatnie wcielenie boskie.

- Jakiego Abrahama? - pytano go. - Przecież ty nie jesteś Żydem.

- No, Abrahama, boga arabskiego.

Śmiali się; to już było lepsze. Gorzej, że jako Abraham, bóg arabski, pocałował w rękę lekarza, którego sędzia przysłał do zbadania stanu umysłowego aresztanta.

- Czy wy wszystkich całujecie w rękę? - spytał lekarz, jakiś pocziwina, przyglądając mu się bacznie znad binokli.

- Nie. Tylko dwóch moich braci, to znaczy Boga Wszechmogącego, w Trójcy Świętej jedyne, oraz pana doktora. Wszyscy inni ludzie całują mnie, nie ja ich.

I wyjaśnił bez ogródek, że całują go nie w rękę, lecz w całkiem inną stronę ciała, na której się zazwyczaj siedzi. Z początku odpowiadał rzetelnie na pytania, później zmienił kurs.

Śmiał się do rozpuku, gdy lekarz uderzał go ręką w kolano, piszczał, że go łechce, fikał nogą aż pod doktorskie okulary. Później zaczął się poufalić z lekarzem. Szturchał go palcem pod pachę, aby się przekonać, czy on też jest tak wrażliwy na łechtanie. Doktor nastroszył brwi, mruknął:

- No, no, trzymajcie ręce przy sobie!

Rzezawa nie przejął się tym wcale. Przeciwnie, nabrał śmiałości. Zaczął wodzić delikatnie palcem wskazującym po małżowinie usznej nachylonego doktora. Ten wyprostował się, poczerwieniał z gniewu i parsknął:

- Kto tu z kogo wariata robi?

Zawołał z korytarza dozorcę, kazał mu stanąć obok siebie. Rzezawa poczuł się obrażony tym brakiem zaufania.

- Kto kogo bada właściwie? - oburzył się identycznie. - Po co ten bęcwał tu stoi? Poszedł stąd, bo jak cię kopnę!

Zachłysnął się, zaperzył, aż mu ślina z ust pociekła. Szedł z pięściami na dozorcę, tak że lekarz musiał łagodzić jego furię.

Wreszcie pacjentowi znudziło się badanie. Z kolei i on zaindagował lekarza:

- Pan się mnie pyta, ile rok ma miesięcy? Przypuśćmy, że dziesięć. Ale ja się pana doktora o co innego zapytam: ile waży świat?

Tamten zrobił minę na pół głupią, na pół dobrotliwą.

- Aha, złapałem pana doktora! - uśmiechnął się triumfująco Wojtek. - Ja panu powiem - wyprowadził go prędko z kłopotu. - Siedem i pół kilo. Kto nie wierzy, niech zważy, przekona się, czy nie mam racji.

Cieszył się jak dziecko, gdy udało mu się kopnąć w pośladki dozorcę. Pocałował znowu w rękę odchodzącego lekarza, zasypując go na odchodnym gradem wesołych, śpiewnych okrzyków:

- Całuję rączki! Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród! Sto lat, sto lat, niech żyje, żyje nam! Boże, coś Polskę!

Ostatecznie jakoś ten zespół pomysłów udanych i nieudanych złożył się na decyzję przychylną i Wojtek Rzezawa został wypuszczony z aresztu jako patentowany wariat.

Buchnęła wieść po górach, jak echo gromu:

- Janosik jest w Tatrach!

Buchnęła na zmartwienie policji jurgowskiej. Można by tę wersję było złożyć między legendy, gdyby nie napad rabunkowy w schronisku w Roztoce. Dwóch opryszków wdarło się

wieczorem do schroniska. Sterroryzowali gospodarza i kilkanaście osób zebranych w jadalni, zrabowali, co się dało, i zbiegli w noc.

- Muszę masę forsy nazbierać - wzdychał harnaś, wracając z wyprawy.

- Po jaką cholere potrzebna nam masa forsy? - spytał Wojtek z głupia frant.

- Ja okradam złodziei i zwracam pieniądze okradzionym. Na papierosy i na żarcie i tak nam nie zabraknie, nie bój się.

- Ach, jak ja lubię jeść!

- Najesz się, Wojtuś. Ale przede wszystkim muszę zdobyć furę pieniędzy, aby wypłacić odszkodowanie rodzinom za pobitych kompanów i uezierać posag dla jednej dziewczyny

- To się zrobi - zacierał ręce z radości Wojtek. Był żądny przygód, palił się do zbójckiej roboty. Jasiek napracował się trochę, zanim go okiełznał. Kiedy bowiem przy Jaśku z Głuchaczek żywot Wojtka stał się ruchliwszy, zapachniała mu jak dawniej wódka. Dwa razy pobili się okrutnie, a właściwie Dziura sprął Rzezawę, gdyż nie można było tego nazwać bitką. Wywrócił pijaka na ziemię, walił bez skrupułów, parokrotnie podnosił z ziemi jak walizkę, znów rzucał nim. Na zakończenie rzekł: „Wychodzę na spacer, będę w Jaworowej Dolinie, idź na dół, możesz mnie zdać policji”. Poszedł, nie było go w pieczarze przez trzy dni i trzy noce; łąził po górach. Wrócił, nie przemówili nic do siebie. Aż po godzinie Wojtek zmartwiony przeprosił kompana.

Wnet znalazło się dwóch nowych towarzyszy. Młode, dorodne chłopaki jak świece: Jędrrek Radoń i Józek Szaflarski z Bukowiny, obaj grubych gazdów synowie. W domu i we wsi mówiło się, że wyjechali na roboty do Niemiec.

„Pod takim honor służyć.”

Uśmiechało się im to zajęcie. Gnić na ornej glebie - to nie dla górali. Pewnie, bez zboża i bez ziemniaków chłop zdechnie na wsi, ale oni w małym stopniu żyli z orki. Wszystko, byle nie harować na roli! Niech Bóg się nad nią zlituje; pługiem tych skrawków ukrajać nie można. Zajmowali się więc pasterstwem, serowarstwem, strzyżą owiec, ciesielką, tokarką, furmanką, handlem. Nie na darmo pociągał ich Janosik; ukazywał im lekki a honorny w ich pojęciu zarobek. Wetowali sobie dawną namiętność przodków, tkwiącą w tradycji zbójnickiej, wchodzili na drogę bandycką bez żadnych oporów sumienia, z czystej parobczańskiej fantazji.

Ich wspólny debiut wypadł w słoneczne jesienne przedpołudnie nad szosą w dolinie Roztoki. We czwórkę obłuskali turystę z żoną przy Wodogrzmotach Mickiewicza. Bogacz zatrzymał auto na drodze i poszedł podziwiać wodospady. Zrabowali mu portfel z

dziesięcioma setkami złotych, zegarek, papierośnicę, obrączkę ślubną. Na prośby żony Jasiak nie tknął jej obrączki, nawet oddał mężowską.

Choć zapadli w kryjówce pod Hawranem, schodzili czasem na stronę polską do Grochałowiec, gdzie u Jelenia spotykali się z Banachem. Zaczęły się długie wieczorne rozmowy z przywódcą jurgowskich ludowców. O czymże można mówić na wsi? Jeśli się mówi o urodzajach i o podatkach, to już jest polityka. Chyba o dziewczkach, ale Jaśkowi nie odpowiadał ten temat; w dodatku Banach i Jeleń byli statecznymi gospodarzami. Można było jeszcze pić na umór. Ale dla czarnych chłopców wódka to śmierć. Znowu więc powróciła atmosfera Jeleśni, brudne machlojki Franczaka, psioczenie Wołka na świat z wyżyn plugawego łóżka, przygnębiające gadulstwo Stachonia, tajemne pogwarki Wojnara przy lampie naftowej - wszystko w nowym wydaniu. Cała ta śmieszna konspiracja ludu, zabawka w teatr. Tfu!

- Ja także myślę często o polityce - konkluduje Wojtek. - Kiedy idę w krzaki. Bo wtedy mi się najlepiej myśli.

Dzień stawał się coraz krótszy, ciemność dłużyła się, trudno było ciągle spać. Herszt nie był zresztą stworzony do spania. Niedawno Jeleń proponował mu nocleg u siebie. Zanosilo się na deszcz, nawet zapowiedziany Banach nie przyszedł.

- Prześpij się u mnie - perswadował gospodarz młodzieńcowi.

- Nie mam czasu. Spać to znaczy marnować życie.

Szedł w deszczu, który siekł niemiłosiernie po twarzy i po ramionach. Czego szukał? Czego pragnął? Szczęścia? Czy istnieje szczęście? Spokoju? Po cóż wyzywał los? Miłości? Kobiety były mu zawsze przeszkodą. Chciał pokazać policji, że się jej nie boi? Czy chciał coś wyrazić przez swój bandytyzm? Może protest? Dokąd właściwie dążył? Nieraz słyszał na to odpowiedź głośno huczącą w smrekach: do więzienia. Skoki rabunkowe tylko od czasu do czasu absorbowały jego nadmierną żywotność. Zmarnowany człowiek.

- Po coś ty się stał zbójem? - indagował go Banach.

- Muszę uciekać przed sprawiedliwością - odparł tamten wymijająco.

- Wszędzie istnieje świat niezadowolonych. Ty nie jesteś wyjątkiem. Dlaczego wybrałeś bunt? I po co rabujesz?

- Przemocą jestem uczyniony zbójem.

- Twoje miejsce, Jasiak, nie w lasach, ale w radzie. Wśród ludzi, nie z dala od nich. Mógłbyś powrócić do nas.

- Przez kryminal? Nie chcę.

- Walczyłbyś wspólnie przy naszym boku.



- Gadaniem? Nie chcę.

- To także polityka, kiedy się marzy o tym, co zakazane.

- Słuchajcie, Banach. Odkąd sięgnę pamięcią w dzieciństwo, zawsze żyłem na cudzym chlebie. Do siedemnastego roku życia byłem pastuchem. Jak pies bezpieczeństwa tułałem się po wsiach. Przez dziesięć lat pasłem krowy i marzyłem. Och, i jak marzyłem!

Ach, więc marzenie to polityka! A bandytyzm? Przecież i jemu samemu zdawało się, że w ostatnich dniach pościgu nie był niczym więcej, jak tylko zmęczonym przestępcą, któremu udało się uciec. Ale głos serca huczał: „Głupcze, czyż nie dlatego ominęły cię kule, że jesteś niewinny?” Którejś nocy zjawiły mu się duchy czterech kompanów. „Za co cierpimy?” - skarżyli się jeden przez drugiego. „Ja, zastrzelony za zniewagę? Ja, zastrzelony za zabójstwo? Ja, zastrzelony za dezercję? Ja, ranny i uwięziony za komunizm? Sam widzisz, czy jesteśmy winni. Pomścij nas.” Jak wielka odpowiedzialność spadała nań! Bał się o tym pomyśleć, lecz wiedział, że już się z tego nie zdoła wycofać.

Był wczesny ranek. Ewa szła ku stajni do porannego udoju, niosąc w jednej ręce koszyk z trawą, w drugiej skopiec. Zatrzymała się nagle. Na podsadziu stał pod śliwą Jasek i patrzył na dziewczynę, mierząc ją od stóp do głowy. Podobnie jak za pierwszym razem, nad Smoczą Wodą, i teraz Ewa przelękła się go.

- Widziałem ciebie raz, jak wiodłaś krowy od pojenia - mówił z niedbałym uśmiechem. - Śpiewałaś piosenkę, która mi się podobała. I już wtedy wiedziałem, że cię drugi raz zobaczę.

- Ktoś ty?

- Zbój.

Zrazu nie odpowiedziała nic, potem z ulgą wyszeptala jakby przełykając ślinę:

- Ja czułam.

Była to szumna dziewczka. Miała swojego chłopca. Znaleziono go zabitego w Jagnięcym Żlebie. Wróżka z Murzasichla rzuciła przekleństwo: kto go zgładził, ma zginąć do roku. I zmarło w ciągu roku dwóch parobków w Jurgowie. Jednego drzewo przydusiło w lesie i zginął na miejscu. Drugiego pobili w karczmie pijani koledzy i z rozplataną czaszką przewieziono go do Zakopanego; nie dojechawszy do szpitala, wyzionął ducha.

Szatynka. Oczy jasnobrażowe pobłyskiwały zielenią. Cechował ją szczególny znak: mały fioletowy kwiatek, biegnący od lewej brwi ku skroni, coś jakby siniec od mocnego uderzenia kamieniem. Miała to znamię od urodzenia.

Po paru dniach zapomniała Ewa o epizodzie z Jaśkiem. Młodzieniec nie zainteresował

jej zbyt, mogłaby to przyznać z ręką na sercu, ani też nie spodobał się jej. Niski, chudy, jakby zamorzony głodem. Tyle że przy nagłym spotkaniu przestraszyła się jego oczu, ale zaraz uśmiech i głos rozproszyły jej obawy. Oczy zastanowiły ją trochę. Nic o nim nie wiedziała, nie zwykła była o nic pytać. Chowana była w domu surowo. Kiedy raz spytała ojca o Jaśka, obojętnie, ot tak, dla ciekawości, ten machnął wymijająco ręką. - Nie zajmuj się tymi rzeczami. Pilnuj swoich krów - mruknął. Więc nie pytała więcej. Przypuszczała, że to zbijak; taki, co musi się ukrywać przed policją - wszak sam jej to powiedział. Ale nawet i to nie pociągnęło jej ku niemu. Była dumną dziewczyną, nieufnie nastroszoną do mężczyzn, a po tragedii z narzeczonym zamkniętą w sobie i twardą. Parokrotnie, zawsze prawie nocą, słyszała, jak młodzik wymykał się z chałupy ojca. Nie wiedziała, co za interesy ich łączą; nie obchodziło jej to. Zauważyła jednak, iż Banach odwiedzał teraz częściej ich dom. Może to więc będzie jakiś polityk, chowający się przed sądem? Czy ma taki humor jak Wojtek, który, gdy opowiada, doprowadza wszystkich do śmiechu? Sądziła wreszcie, iż wchodzi tu w grę kombinacje przemytnicze. Ale nie o przemyśle rozmawiał Jasiek wieczorami z Banachem.

- Czy ja się kiedy spodziewałem, że poznam osobiście Janosika? - kiwał głową ludowiec. - Ej, chłopcze, moglibyśmy siłą działać. Gdyby nie to, żeś się zrobił zbrojnym.

- Oni ze mnie zrobili zbrojnego.

- Ty to nazywasz zemstą. Ale rabunek to łamanie prawa. Dziwne to: działacz stronnictwa politycznego, a więc bojownik idei, konferuje z bandytą.

- Jak długo myślicie tak zbijać?

- Do końca.

- Złapią was.

- Żywych nie.

- Nie szkoda wam umierać?

- Nie.

- Lepiej żyć niż umrzeć.

- Śmierć każdemu pisana. A umrzeć na swobodzie pięknie.

- Pilnuj się, Jasiek.

- Za mną gonią już od zeszłej zimy - uśmiechnął się. I z tym uśmiechem wyszedł. W sieni natknął się na Jeleniową córkę. Nozdrza mu zadrgały lekko, prawie niedostrzegalnie. Przypomniał sobie ponury ranek pod stajnią, kiedy się go przelekła dziewczyna ze skopcem.

- Ach, ja skądś znam panienkę - rzekł dwornie, zastępując jej drogę. Ten gest oburzył ją. - Jak ci na imię?

- Co ci do tego? - odparła szorstko.

- Nic. Chciałbym wiedzieć.

- To się nie dowiesz.

- A jeśli już wiem? - schwycił ją za rękę.

Czym prędzej strząsnęła z niej jego dłoń.

- Więc po co się głupio pytasz?

Była cała napełniona niechęcią i złością.

- O, dziewczusko - zdziwił się figlarnie - ostra jesteś jak żmija. Czy nie chciałabyś się przejść?

- Chciałabym.

- To chodź.

- Ale nie z tobą - rąbnęła.

- Dlaczego?

- Bo mi się nie chce.

- Nie podobam ci się?

- Nie.

- A jak cię poproszę, byś poszła ze mną na spacer? - ponownie poszukał jej ręki. Odrzuciła ją od siebie ruchem jeszcze energiczniejszym niż poprzednio.

- Idź, gdzieś się zabrał, daj mi spokój - rzuciła gniewnie i wymknęła się do izby. Jeszcze zasypiając, rozmyślała z oburzeniem o jego bezczelności. Dziwne tylko, jaką on miał ciepłą w dotknięciu rękę. To był jeden półprzyjemny moment w tym przykrym na ogół wspomnieniu.

Jasiek kroczył z rękami w kieszeniach ku Masarykowej Ceście. Naokół rozpościerała się cicha gęstwa lasu. Ciemność i chłód przenikały się wzajemnie. Księżyc dopiero jutro miał zabłysnąć pierwszym sierpkiem po nowiu. Uznał, że lepiej przespać tę smutną porę, zapadł po drodze między smreczki i usnął, nieczuły na chłód. Poderwał się nad ranem. Po trzech godzinach wśliznął się do Wojtkowego Pałacu. Tak nazwał, swoim zwyczajem, grotę pod Hawranem, mieszkanie Wojtka Rzezawy, sklepione wysoko w skale wapiennej, zaciszne, o zamaskowanym do niepoznania wejściu. Stanowiło je okno w skalnej ścianie, niedostępne na pozór, z boku wąskim uskokiem osiągalne. Na zimę będzie to pierwszorzędne legowisko. Wyściele się je na dnie grubym pokładem cetyny i mchu, a ściany obłoży zapasem chrustu i patyków.

Wojtek okazał się niezastąpionym kompanem. Miał dar barwnego opowiadania, można go było słuchać godzinami z nie słabnącym zajęciem. Podobnie jak wylizał się z

kryminału, udając matolka, tak samo wymigał się z wojska, jako wariat. Zdążył jednak przesłużyć w armii trzy tygodnie dla najjaśniejszej Rzeczypospolitej, zanim biurokracja wojskowa wyprowadziła go szczęśliwie z chaosu ewidencji.

Mile sobie wspominał tę służbę, ukryty w dzikiej hawrańskiej pieczarze. Maszerował oto na paradzie, wystrzyżony do gołej skóry, obleczony w zbyt przestronny mundur. Porucznik komenderuje: „Równyyy krrrok! Na prawooo patrz!” Właśnie bowiem przechodzi dowódca batalionu. Ziemia dudni od wybijanego paradnego kroku, kurz podnosi się od tupotu podkutych butów, a Wojtek drze się, ile ma siły w młodych płucach:

- Niech żyje nasz kochany pan kapitan Sokołowski!

Wsadzono mu przy raporcie trzy dni kasarniaka. Sam przełożony złagodził mu karę, wruszony tym niezwykłym, acz prymitywnym dowodem przywiązania żołnierza do oficera. Kiedy odbywano na strzelnicy ostre strzelanie, rekrut Rzezawa puknął najspokojniej w świecie w bok, w okno strzelnicy, rozbił szybę i niezmiernie ucieszył się tym sukcesem. Lekarzowi, do którego go posłano (bo już i kapitan podejrzewał swojego wielbiciela o brak piątej klepki), rzucił się do nóg, pocałował w obie ręce, pchał się do twarzy. Kiedy zaś doktor, niemało przestraszony, kazał mu się rozebrać, zawoławszy do pomocy sanitariusza, Rzezawa zdjął buty, wytarł nos w onuce i zabrał się do ściągania spodni, śpiewając posępnym basem „Boże, coś Polskę przez tak liczne wieki”.

- Bluzę zdejmuj, durniu! - huknął na niego lekarz. - I koszulę! Pomóżcie mu - skinął na towarzyszącego Rzezawie żołnierza. Ledwo tamten podszedł, otrzymał kopniaka od Rzezawy, tak że się zachwiał na nogach.

- Sam zdejmę, sam zdejmę - sumitował się rekrut. - Przepraszam pana kapitana. Wszystko się zaraz zrobi, w tej sekundzie, melduję posłusznie panu kapitanowi - mrucał zadowolony, zdzierając z grzbietu koszulę. - Wszystko dla jego cesarskiej mości! - mrucał ni w pięć, ni w dziewięć. Ukląkł na środku izby chorych półnagi, skłonił głowę jak pod topór i zaczął się nabożnie żegnać. Lekarz przeraził się nie na żarty.

- Słuchajcie, Rzezawa, z was jest tępy tuman.

- Melduję posłusznie, że tak jest.

- Po co wyprawiacie te głupie kawały?

- Na większą cześć i chwałę Pana Boga w Trójcy jedyne, Ojca i Syna, i Ducha Świętego - pochylił się jeszcze niżej, bił się potężnie w piersi, wreszcie zająknął się i brakło mu słów.

- Wariat! - wrzasnął mu nad uchem lekarz, aż Wojtek wzdrygnął się i osłupiał. Wstał z klęczek.

- Melduję posłusznie, że tak jest - rzekł uspokojony.

- Byliście badani?

- Tak jest, melduję posłusznie, panie kapitanie. W sądzie. Dwa miesiące temu wypuścili mnie z kryminału przed rozprawą, jako że jestem niespełna rozumu.

I tak zwolniono Wojtka Rzezawę z wojska. Upił się z radości i po pijanemu sprął po mordzie sąsiada w Ratułowie za to, iż ten w rozmowie z rodzicami Wojtka nazwał ich syna gówniarzem. W Poroninie podpiał sobie dalej, lecz zachował jeszcze tyle trzeźwości, aby wybić szyby na posterunku policji w Jurgowie, po czym uszedł na zbijaczkę w góry. - Niech wie ten drań - odgrażał się Lipowczanowi w ciemności, zmykając wzdłuż Smoczej Wody ku granicy - niech sobie popamięta, że przez niego moja familia musiała się ze swojej wsi wyprowadzić.

Pierwsza połowa listopada była słotna. Wysokie Tatry ukazały się w śniegu. Droga rozmokła, deszcz zacinał w maziaste kałuże, wiało przenikliwym zimnem. Białowielniste mgły zalegały polany rankiem i wieczorem. Szymon Banach spożywał w chałupie spóźniony obiad, wspominając Janosika. Zateśknął za nim, nie widział go już drugi tydzień. Zapewne nie był to czas odpowiedni na spacer, w dodatku dla zbója, tropionego przez władze. Dopiero zaczynał życie, a bolesna konieczność odepchnęła go od współżycia z bliźnimi.

- Chętnie się przejdę te trzy, cztery godziny, aby zobaczyć się z kimś swoim, pogadać sobie. Dlatego nie ścierpiałbym więzienia. Bo nie ma tam powietrza ani ludzi.

O więzieniu także była mowa, choć nie powinno się mówić o stryczku w domu powieszzonego. I Banach chciał bowiem, podobnie jak swego czasu Wojnar, pogodzić tę niespokojną naturę z życiem uporządkowanym. Oczywiście, droga do tego prowadziła przez sąd. Myślał o tym wieczorami, obliczył nawet, iż czekałoby Dziurę pięć do ośmiu lat więzienia. Ciężka kara, ale cóż to znaczy dla kogoś, kto nie ma jeszcze dwudziestu lat? Kiedy wyjdzie na wolność, nawet po ośmiu latach, jeszcze będzie młody.

Ale młodzieniec nie chciał słyszeć o niczym, gdy tylko padło słowo „więzienie”.

- Powiedziałem wam raz na zawsze - tłumaczył Banachowi - nie mówcie mi o więzieniu, bo pomyślę, że jesteście w zмовie z policją.

- Brrr! - zatrząsł się tamten z odrazy.

Nasadził na nos okulary i zabrał się do czytania gazety. Tu w góry nie dochodziło echo z dolinnego świata. Jaki kawał drogi z Jurgowa do Nowego Targu! A ile godzin jazdy koleją dzieli stolicę Podhala od Krakowa? A Warszawa?

Warszawa! To legendarne miasto, którego nikt nie widział. Najszybszym pociągiem dopiero na drugi dzień zajedzie z Zakopanego do stolicy Polski. Tam siedzą ministrowie, komendanci, naczelnicy, dyrektorzy. I rządzą. Tylko krzykną do telefonu, a w górach zaraz zrobi się porządek.

Rzeczywiście, ktoś tam krzyknął do telefonu z Warszawy do Krakowa, z Krakowa do Nowego Targu, z Nowego Targu do Jurgowa:

- Co jest, psiakrew, z tym Janosikiem?

Zaniosło się całe Podhale imieniem groźnego zbója. Na przestrzeni dwóch tygodni trzy napady rabunkowe! Więc Jasia Dziury nie ubito, jak wieść niosła, w obławie na Babiej Górze? Więc przedarł się z Beskidu Wysokiego w Tatry i znowu daje znać o sobie?

Tak. Znowu daje znać o sobie ku utrapieniu trzech policjantów z jurgowskiego posterunku.

Zerwał się gwałtowny wiatr, syjąc po całej wsi zamiecią zeschniętych liści, przewalając się narowicie grzbietami. Pod zachód wyszedł Banach do obory, spoglądając na tumany popielistych chmurzysk pędzonych z południa.

Z tych bałwanów może być śnieg - pomyślał i cofnął się do chaty. Z hawrańskiej pieczary Wojtek Rzezawa także wysadził nos, chwycił wiatr w nozdrza, popatrzył na bezładną ucieczkę chmur nad głową i wrócił do kart. - Wiatr się upił - określił barwnie swoje spostrzeżenie i uwierzono mu bez sprzeciwów, gdyż w kwestii picia nie było nadeń bardziej fachowego znawcy w towarzystwie.

Przodownik Lipowczan również grał w karty w domu Andrzeja Sobczaka. Co jest lepszego do roboty w taki czas? Wichur bił upartymi nawrotami w chałupę z wszystkich kierunków; słycać było trzask łamanych gałęzi. Wszystko dokoła: góry, las, chmury, chaty i polany, zlało się w jedną skłębioną szarość.

Jasiek usnął wcześniej tego ponurego wieczora. Stała mu przed oczyma Ewa Jeleniówna, roztrząsał w myśli pierwsze spotkanie z dziewczyną, jej piosenkę o koniu zbójckim. Potem przyśnił mu się złoty ogier, zabity policjanckimi kulami. Jak cud z bajki objawiony wydał mu się teraz po śmierci ów potężny rumak o piersi sklepionej jak brama, nie znający zmęczenia; dziki syn węgierskiej puszczy, którego młodość upłynęła na słowackim winorodnym pogórzcu, syn lasów i wąwozów, śmigły jak jelen w ucieczce. Czy nie zdawało się Jaškowi, że kiedy koń upadł z sześciu kulami na trawę Jaworówki, z piersi jego dobyło się żalosne, ciche rzenie? Padł jak bryła ciężkiego złota na dywan zieleni. Lepiej, że zginął. Miał popaść w niewolę, miał na nim jeździć na spacerach starosta, lepiej, że padł nie splugawiony obcym jeźdźcem, nie zaprzęgnięty w służebne jarzmo.

Zuchwałość Janosika była zaiste wyjątkowa. Tej samej nocy, w której obrabował w Rzepisku dwór oraz znanego spekulanta drzewnego, Żyda Natana, nie zawahał się zbroczyć do przysiółka jurgowskiego na wesele. Ach, wesele! Jak przepuścić podobną okazję, która tak szczęśliwie nawinęła się pod rękę?

Weszli we czwórkę, znęceni muzyką. Ogarnął ich zaduch i smród. Odprawiano dzikie pijaństwo od zmroku. Mało co było w izbie widać od dymu i kurzu wzbijającego się z podłogi. Wydzierano się na umór, kto kogo przekrzyczy, jazgotały wysoko skrzypce.

Powitano przybyszów nieśmiało, ale uprzejmie. Wiadomo było od wieków wśród ludu, że zbóje przychodzą na wesele, aby się zabawić; nigdy gości nie obrabują. Choć kto wie, jak to teraz jest? Broń mają, nie wolno im się sprzeciwiać.

- Można potańczyć chwilę?

- Prosimy bliżej.

Wojtek uśmiechał się szeroko, wodząc ciekawym wzrokiem po gościach. Chyba go rozpoznali; wsiowego krajana by nie znano? Ale nie wiadomo, czy można się teraz przyznać do niego, bo może by harnaś w pysk za to strzelił? Jędrak komentował inaczej zamiary Wojtka. „Skoczy - pomyślał - do lampy na środku powały, zbiję i w ciemności zacznie się bitka.” Albo będą rabowali. Ten jednak stał spokojnie, z rękami w kieszeni kurtki, z uśmiechem poglądając po kobietach. Nie, rabunku nie będzie.

Jasiek już tańczył. To słynny król tańca, który nigdy nie bywa pijany. Wrzask był okropny, podłoga i ściany pękały. Jakaś pogańska namiętność bucha z ich ust nieopanowanym krzykiem.

Wszyscy patrzą na tę jedną parę: dziewczyna jurna, twarda i parobek mocny, a dziki jak tygrys. Ona blada, on śniady niczym Cygan.

Ktoś zwalisty wyszedł z oparu dymu i z mroku kąta. Jasiek poznaje go: to Banach. Bierze go pod pachę, mówiąc: - Marsz stąd, co wy tu robicie? - i pokazuje hersztowi Wojtka, siedzącego na kolanach dziewczuchy i popijającego wódkę ze szklanki. Czerwień nabiegła do twarzy wodzowi. Wolnym krokiem zbliżał się do niego Rzezawa, jak winny grzesznik, gotów do skruchy.

- To można było robić sto lat temu, durniu jeden. Choć się upiłeś jak wieprz, mogłeś pół dnia leżeć w krzakach; żandarm przyszedł na drugi dzień dopiero. Za ten czas mogłeś wytrzeźwieć. Dzisiaj w pięć minut po awanturze telefonują po policję, za chwilę przyjeżdżają motocyklem, mordę ci zbiją, ręce skują, wsadzą do pociągu i jutro już gnijesz w kryminale. Niech to szlag trafi, takiego jołopa mieć u siebie. On ciągle nie rozumie, że minęła już swoboda!

Szarzało na świecie, gdy opuścili izbę pełną żywych, ruchliwych ludzi, wchodząc w posepny, wilgotny ziąb przedświt.

Padał deszcz. Wszystko dokoła zasnute mgłami. Zdawało się, że tu, w skałach Hawrania, jest koniec świata. Dalej nie przejdiesz. Mur z kamienia, wiatru, ulewy i mgły. W taki dzień i psa z domu nie wypędzi. Ale siapawica nie przeszkadzała im. Jasiek wyrzał przez szczelinę. Był wieczór, ciężkie chmurzyska zasłały firmament.

- Kiedy będzie pełnia, Wojtek?

- Jak sobie dobrze pojem.

- Ty sobie już chyba nigdy nie pojesz.

- Tak mi się coś zdaje - jęknął boleśnie. - Ach, umrzeć z przejedzenia! To najpiękniejsza śmierć.

- Masz koński dowcip, Wojtek. A właściwie krowi.

- Nic dziwnego. Urodziłem się w stajni. Moja matka właśnie doiła krowę, kiedy ją chwyciły boleści.

- Powiedz lepiej, że doiła barana - dociął mu Jędrak. - Bo łeb masz naprawdę barani.

- Twoja matka musiała się za to na kundla zapatrzeć - odpalił Wojtek. - A kundel był parszywy.

O, Rzezawa miał pysk wyszczekany.

Wieczorna wyprawa do Jaworzyny poprawiła trochę finanse bandy. - Wreszcie zaczyna się uczciwy zarobek - wyraził swe zadowolenie Wojtek. - Ach, chciałbym raz zjeść dobry obiad! - zaczął swoje. - Taki, za który się płaci dziesięć złotych w mieście. Najpierw wódeczka i zakąska, później rosół z makaronem, kotlet wieprzowy z kapustą i ziemniakami, wszystko pomaszczone, podlane sosem. To rozumiem. Do tego wódka, jeszcze raz powtórzyć drugie danie; tym razem kotlet wieprzowy z grochem, trzy kieliszki żytniówki gołnać, potem jakąś leguminę, ryż ze śmietaną i z cukrem, kawałek tortu, popić piwem. Na koniec herbata z ciastkami. To się nazywa jedzenie!

Łakomstwo było jego cechą wrodzoną, choć przez niego samego mocno przereklamowaną. - Co tam! Raz się żyje! Raz się pije! Raz się tyje! Raz się gnije! - pokrzykiwał. Miał dziewczynę w Jurgowie, ale ją rzucił, czy też ona jego, świat różnie o tym mówił. Od tego czasu Wojtek zniechęcił się do kobiet i zajął się sprawami żołądka. Nie tylko lubił dużo zjeść, ale jeszcze więcej wypić. Teraz skończyło się picie, bo herszt pod tym względem krótko ich trzymał. Nie miał też sposobności wystawić swego brzucha na najwyższą próbę. Frygał co prawda za dwóch, lecz wcale nie było tego znać po jego chudej



figurze. Pijak żyjący wyłącznie kosztem dawnej sławy; żarłok obrażający ten najlżejszy z grzechów głównych jedynie tęsknotą. Tyle im już naopowiadał o tym, że nawet w najpomyślniejszych okolicznościach nie zdołałby ani w połowie spełnić pokładanych w nim na tej podstawie nadziei. W gruncie rzeczy pyskacz i fantasta. Kawalarz, dla którego nie istniało nic świętego.

Z łupów uskładała się wodzowi suma trzech tysięcy.

- To będzie posag dla Maryśki Matulakówny.

Siedzi oto przy stole z Jeleniem i Banachem; ćmią papierosy, aż gęsto od dymu, gawędzą o tym i o owym, młodzieniec powoli wtajemnicza Banacha w swój zamiar.

W rezultacie dyskusji spotkali się obaj następnego tygodnia na stacji w Zakopanem. Jurgowski góral starał się wyperswadować młodzikowi tę niebezpieczną grę, ale nie udało mu się. Przeciwnie - tamten od razu wpłatał go w misternie skonstruowany plan.

- Rany boskie, Jasiu, że ty tak się nie boisz chodzić między ludźmi! Ktoś może cię poznać.

- Właśnie, że to jest najpewniejsze. Nikomu przecież na myśl nie przyjdzie, że bandyta będzie się, tak jak ja, pokazywał publicznie.

Na peronie był ścisk. Wsiedli do krakowskiego pociągu, wysiedli w Chabówce, stamtąd zaś przez Skomielną udali się piechotą do Naprawy.

Dzień był pochmurny. Babia Góra dymiła ołowianą płachtą chmur, niosąc ziąb i krople dżdżu. Kroczyli nowiutką, szeroką wstęgą betonu, która bielą daleko pod Luboniem, wnikając serpentynami w lasy górnej Naprawy.

- To moja robota - puszył się Jasiu. - Zrobiłem panom wygodną drogę, aby się im śmigało dobrze do Zakopanego. Tu, przy tej szosie, miałem pierwszą posadę, kiedy zerwałem z pasieniem krów. Ale mnie się źle chodzi po betonie. Łydki bolą od łażenia po równym, twardym kamieniu.

Goście zawitali do Matulaka. Biedak przyjął ich, czym mógł: ziemniakami z kwaśnym mlekiem. Kupili wódkę, piwo, chleb, kiełbasę. Banach podał się za bogatego gospodarza z Bukowiny, Jasiu miał być jego parobkiem.

Maryśka przyszła do domu późnym wieczorem, jak zwykle, obrządziwszy Mirkowe gospodarstwo. Banach przystąpił od razu do rzeczy.

- Zdziwicie się, jak wam powiem, że przyjechaliśmy do was wywianować wam córkę. Sprzedałem dobrze parcelę i las pod Poroninem. Miesiąc ubijaliśmy ten interes i obiecałem Jaśkowi, że jak to załatwi, bo on w tym pośredniczył, dostanie dziesięć procent, to znaczy

tysiąc. A drugi tysiąc dorobił sobie chłopak w Zakopanem; on zna się na radiach, jest monterem od elektryczności. Przedtem był u mnie parobkiem, teraz, gdy ma fach i dobrze zarabia, nie chce mu się nawet o wsi myśleć.

- Rozumiem.

- Więc powiada mi przedwczoraj tak: „Jedźcie ze mną do Naprawy, bo mnie samemu jechać nie wypada. Ja się tam zaprzyjaźniłem z biedakami, kiedy krowy pasłem w tej wsi przed laty. I tak mi w głowie bieda ich siedzi. A że byli dobrzy dla mnie, postanowiłem sobie, że pierwsze pieniądze, jakie zarobię, dla nich przeznaczę. Na posag dla Maryśki. Takie sobie zrobiłem postanowienie”.

Matulakowie byli oszołomieni. Coś takiego zdarza się pierwszy raz za ich pamięci. Janosik kręcił się na ławie nerwowo, nieporadnie, rumieniec dumnego wstydu przyciemnił mu twarz. Matka z córką uderzyły w płacz. Ojciec, osłupiały, bąkał: „Taka suma, taka suma!” Jeden Banach nie stracił rezonu. Wręczył chłopu pieniądze.

- Weźcie, tu są trzy tysiące. Przyda się wam dla dziewczyny. Tak rozporządził Jasiek i niech tak będzie. Nie bójcie się o niego, on zarabia pieniądze.

- Prawda to, Jasiek? - ryknęła we łzach Matulakowa.

- Tak, matusiu.

Mężczyźni zapalili papierosy, golnęli po kieliszku wódki, niewiasty popłakiwały w kącie. Nagle Matulak rzekł:

- Dziwne mi to, Jasiek, że ty mi córkę wianujesz. Skąd?

Wywręczył młodzieńca Banach: - Bierzcie, kumotrze, nie pytajcie się. To jest postanowione. Pieniądze są jego. Inny by wydał na coś innego, on ma taką fantazję. Jak taka jest jego wola, uszanujcie ją.

Mówił dostojnie i poważnie, jego argumenty trafiały w sedno. Możecie mi ufać. Ja mu jestem jak ojciec.

Kobiece łkanie przycichło, słychać tylko pociągania nosem. Matulak nachylił się ku gościom, spojrzął na Jaśka.

- Miałeś co z nią? - wskazał głową w kierunku młodej.

- Nie.

- Wiesz co, Jasiek? Żeń ty się z Maryską. To będzie chyba najprostsza sprawa.

Ognie wystąpiły na twarz młodzieńca. Nie spodziewał się tak bezpośredniego ataku. Popatrzył siwymi oczyma w twarz ojca.

- Ja teraz nie do żeniaczki. Muszę jeszcze dużo świata zobaczyć. Mnie ciągnie natura z jednego miejsca w drugie.

- Tak - przyświadczył tamten. - Znam cię. Zawsze byłeś taki. Ciekawy na wszystko. Niespokojny. Ty nie wytrzymałbyś na roli.

- Właśnie - uśmiechnął się harnaś.

- Ja wiedziałem, że ty pójdziesz do miasta. Ale jak ci się dziewczyna podoba, może poczekać - proponował ugodowo stary.

Banach próbował pośredniczyć.

- Gdy parobek nie skończył dwudziestu lat, ma jeszcze kupę czasu do żeniaczki. Ale jak dziewczynie minie osiemnaście, to najwyższy czas, aby sobie poszukała męża. Jasiiek pomyśli o ślubie, jak odsłuży wojsko.

Ta światła opinia, nie pozbawiona głębszej słuszności, spodobała się gospodarzowi.

- Niegłupio mówicie.

I zbójnik uchwycił się tej myśli. - Niech się rozgładnie za kimś ze swojej wsi - perswadował szeptem ojcu. - Co my jej będziemy męża szukali? Ma oczy, niech szuka. Zdrowy, porządny, robotny żeby był. Zawsze co swój, to swój. Ktoś, kogo się zna. Tu we wsi każdy wie, ile kto jest wart.

Już w nocy, gdy mieli iść spać, dopadła młodzieńca samego w sieni Maryśka.

- Tyś jest Janosik. Ja poznałam.

Przycisnął ją do siebie, ucałował, palec na wargach położył. - Nie wolno ci o tym nikomu mówić. Nawet rodzicom. Nie powiesz? - nalegał, głaszcząc ją po twarzy, po jasnych, puszystych włosach.

- Nie. Jasiiek, Jasiiek! - schyliła usta do jego ręki. Okrzyk zastygł jej na wargach; nadchodziła matka.

„Cholera, co to jest? - pomyślał. - Kobiety mnie po rękach całują. Jak księdza.”

W parę dni po naprawskiej wizycie złupili modny lokal rozrywkowy na Toporowej Cyrli. Po udanym skoku kazali się podwieźć taksówką w stronę Morskiego Oka, wysiedli na Wierchporońcu, zapadli w jaworzyńskie knieje. Przy podziale łupów Jasiiek nie omieszkiał suto obdarować sojuszników, to mu zapewniało bezpieczeństwo i sympatię.

W deszczu i niepogodzie kończył się listopad. Rabusie rzucili się do polowaczki tym śmieiej, iż skaptowali sobie za pensję miesięczną jaworzyńskiego gajowego, Macha. Należało porobić zapasy na zimę. W Tatrach Wysokich od tygodnia spadł śnieg.

W dżdżyste popołudnie taszczył Wojtek Rzezawa w towarzystwie Jędrka prowiant od Lewaka. Pomykał chwiejnie, wspierając się od czasu do czasu na barczystym ramieniu kolegi. W Podspadach przysiadł na kretowisku z ciężkim plecakiem, podziwiając grona dojrzałych

jarzębin. Za żadną cenę nie dał się wyrwać z głębokiej kontemplacji, a właśnie znajdował się pod dobroczynnym wpływem wódki, którą go poczęstował gościnny gospodarz.

- Wojtek, rusz się, do cholery, tu jest wieś. Może nas kto zobaczyć.

- Kto nas na tym odludziu zobaczy? - protestował towarzysz. - Nie bądź cymbałem. Chyba wrona albo wróbel.

Jędrak bez ceremonii ściągnął kolegę z mizernej glinianej kupki, aż tamten przygiął się, o mało nie zarył nosem w ziemię, już, już, zdało się, plecak przeleci mu przez głowę. Ale wyprostował się szczęśliwie i utarłszy hałaśliwie nos, pobrnął naprzód, pławiąc się po kostki w błocie. Na polankach wśród jałowców zapadały całymi stadami kwiczoły. Ilekroć chmara ich zrywała się, spłoszona, do lotu, Wojtek sięgał do rewolweru, aż Jędrak zmuszony był mu broń odebrać.

- Ubiję, ubiję ich ze dwadzieścia na kolację, będziesz widział - perswadował nieczulemu towarzyszowi. Towarzysz proponował natomiast Wojtkowi, aby zeszli do potoku, gdzie zleje mu głowę dokładnie wodą, tamten jednak wymówił się brakiem czasu i buńczucznie wstrząsając czupryną, parł niewzruszenie naprzód. Po dobrej chwili dopiero, zanalizowawszy propozycję Jędrkową, parsknął z oburzeniem:

W listopadzie, draniu jeden, do potoka? Chcesz, żebym dostał zapalenia płuc?

Z daleka dojrzał go, gestykującego, gajowy Mach, lecz wycofał się przezornie, bojąc się, aby pijacy nie narobili hałasu. Gotowi go jeszcze zaprosić na wódkę do szynku.

- Muszę powiedzieć Janosikowi, aby się te świnię nie plątały urżnięte po wsi.

Jakoż poskarżył na nich i hetman zmył łeb Wojtkowi, jak się patrzy.

- Ty capie! Schlałeś się niczym bydlę, jeszcze tylko brakło, abys śpiewał. Jak capa powiedliby cię do ciupy. Wytrzeźwiałyś dopiero w Kieżmarku albo w Nowym Targu. I zgniłbyś tam na amen.

Odkomenderował Józka i Jędrka do noszenia prowiantu, a Wojtkowi polecił umacniać grotę na zimowe legowisko, drzeć mech i targać choinę.

- Te dziki niech siedzą w jamie. Nie można ich puszczać do ludzi - skonstatował, schodząc na wieczór do Grochałowiec. W progu u Jelenia wpadł niespodziewanie na Ewę. Usunęła się w mroku do sieni, czekając aż przejdzie. Nie ruszył się z progu, zastąpił jej drogę do wyjścia. „Znowu ten beczelny chłop. Czego on chce ode mnie?” - pomyślała.

- Powiesz mi, jakie masz imię? - spytał ją miłym, lekko drwiącym głosem.

Pamiętała ten głos, tak jak i jego ciepłą rękę.

- Nie masz nic ważniejszego do roboty, tylko takimi głupstwami się zajmować?

- To dla mnie nie głupstwo, moja panienko - powiedział.

Czuła, że ją przewierca oczyma w ciemności. Nie cierpiała go; a jednak ucieszyła się tymi słowami. Więc to nie jest dla niego głupstwo. Pochlebiło to jej próżności.

- Zapytaj tatusia i mamusi, jak mnie ochrzcili. Może sobie przypomną.

- Sama nie powiesz?

- Nie.

- Nigdy?

- Nigdy. - Zniecierpliwiła się. - Puść mnie. - A jak nie puszczyć?

- Ślepa ci wydrę.

- O, psiakrew! - syknął i zaśmiał się szeroko. - Morowa dziewczyna.

Znał już taką jedną: Maryškę Medesównę z Sopotni, która obiecywała zrobić to samo swojej rywalce. Ta zaś grozi jemu samemu. Niebezpieczniejsza.

- Nie bądź taka zła - rzekł pojednawczo. - Mogę ci się nie podobać, już mi to raz powiedziałaś, ale możesz ze mną porozmawiać, tak czy nie? Nic od ciebie nie chcę. Tylko bądź grzeczna.

Mówił to na pół poważnie, na pół śmiejąco, swoim zwykłym lekceważącym głosem. Zalecał się i groził. Dla świętego spokoju odsunął się od niej. Była czerwona ze złości. Uśmiechnął się wesoło; nienawidziła tego uśmiechu. Wiadomo było, że się z niej śmieje. Pokazał jej ręką przejście.

- Proszę. I poskarż się mamusi, że ci nie dałem spokoju.

Przeszła szybko przez próg z energicznym szumem spódnicy, dumna i obrażona. Co sobie właściwie do niej upatrzył ten natręt, który tu ciągle łązi?

Ciągle? Nie ciągle. Przed spaniem zaczęła się namyślać. Mówiła z nim trzy razy w życiu, widziała go poza tym może jeszcze ze trzy razy. Parokrotnie słyszała, jak nocą wymykał się z ich chałupy. Nie można powiedzieć, aby znów tak często się z nim spotykała. Ciekawe, gdzie on mieszka. Skoro to zbój, ktoś go musi ukrywać. Pewnie gajowi po słowackiej stronie. „Nic od ciebie nie chcę - powiedział jej - tylko porozmawiać.” Ogarnęło ją uczucie zawodu. Więc jeśli nie chce od niej nic, to po co ją zaczepia? I już nie dotknął jej dzisiaj ręką jak poprzednim razem, ową ciepłą dłonią, od której gorąco rozeszło się po jej skórze.

„Jest natrętny, brzydki, grubiański i nic mnie nie obchodzi” - wyrzuciła go z myśli i usnęła.

Pierwsze dni grudnia zeszyły w beznadziejnym deszczu, pomieszanym ze śnieżną kaszą. Któregoś słotnego wieczora ciapkał się Wojtek Rzezawa po drodze jurgowskiej,

wracając od Banacha, któremu zaniósł skórę upolowanego rysia. Kupił ją Abram, obiecując sobie puścić ją z dobrym zarobkiem do Krakowa. Kłusownik nie ośmielił się sprzedać skóry przez Lewaka, gdyż odstrzał rysia był surowo zakazany w rezerwacie. W Polsce natomiast, gdzie ta zwierzyna była zupełną rzadkością, honorarium zapowiadało się suto.

Było całkiem ciemno, dochodziła godzina dziesiąta. Deszcz popadywał od samego rana, raz mocniej, raz słabiej. Wojtek kroczył śmiało błotnistą drogą. Chałupy rozkwitały wzdłuż drogi bladymi światełkami okienek. Nagle rozległ się skrzyp otwieranych drzwi. Wojtek czym prędzej chybnął w rów, przypadając do opłotków. Przez sztachety zobaczył sążnistą postać mężczyzny z rozjarzonym ognikiem papierosa. Przypomnił sobie: przecież to dom Ślimaka, tu mieszka przodownik Lipowczan. A to pech! „Nastraszył mnie, psiakrew” - pomyślał, kucając w obmokłym, wstrętnym trawsku. „Gdzie on idzie? Chyba mnie nie zauważy w ciemności. W najgorszym razie dam mu w łeb i ucieknę.”

Ale policjant nie miał ochoty wychodzić dalej na deszcz o tak późnej porze. Płaszcz Lipowczana rozchylił się, ukazując jaśniejącą pod spodem bieliznę. „Aha!” - głębokie uczucie ulgi i zrozumienia napełniło pierś Wojtka. Podobne zresztą uczucie ulgi nawiedziło i przodownika. Papieros w ustach nocnej zjawy rozjarzał się, to przygasał. Czarna firanka płaszcza znów się zasunęła, postać znikła w drzwiach. Zgrzytnął klucz przekreślony w zamku. Krople deszczowej wody ściekały jak przedtem ze strzechy, słabiutko, równiutko, rzadziutko. Wojtek Rzezawa pomyślał z humorem, który go nie opuszczał w najcięższych chwilach życia:

„Co by to było, gdybym się znalazł bliżej schodków i kucnął przy furtce? Obsikałby mi głowę jak z cebrzyka. Tfu!” - wstrząsnął się z obrzydzeniem i podniósłszy się pobrnął dalej. „Ach, jak mi Bóg miły, sprabym go po mordzie! Cóż by mi zrobił? Przecież rewolweru nie miał przy sobie!”

Widać nie było mu przeznaczone tego wieczora przejść swobodnie drogą, bo za chwilę wynurzyła się przed nim zza chałupy jakaś grubawa, krępa postać, idąca w tym samym co on kierunku. Nie stropił się tym bynajmniej, tylko przez mózg przemknęło mu obelżywe przekleństwo. Czemu to chłopisko teraz nie śpi? Chłop zwolnił kroku, aby się zrównać z nieznanym.

- Ale leje! - rozpoczął dyskusję.

- Leje - potwierdził półgębkiem Wojtek.

Tamten wsłuchał się w jego głos, nie poznawał go. Na wsi, choćby tak wielkiej jak Jurgów, wszyscy znają się między sobą; przynajmniej takie ambicje żywił wieczorny spacerowicz. Wpił się wzrokiem w twarz Rzezawy, ale cóż wypatrzy po nocy?

- Skąd idziecie? - zagadnął.

- Od Ślimaka.

To jakiś obcy głos, nigdy go nie słyszał.

- A dokąd to Bóg prowadzi? - dopytywał się natręt, przyskajając rzadkim błotem spod nóg.

- Bóg mnie prowadzi do łaski niebieskiej i właśnie tam idę, ale widocznie po drodze zabłądziłem do piekła, bo jest ciemno i jakiś, psia jego mać, Lucyfer się do mnie przymitwał.

Tamten struchlał. Może to dusza pokutującego zbrodniarza? Może wisielca? Nie, bo wisielcy pokazują się podczas halnego wiatru. To chyba jakiś wariat.

- Coś ty za jeden?

- Boże Drzewko - odpowiedział Wojtek. - O, takie malutkie - wyjaśniał, pokazując do kolan - co się w trawie wyklulo. Rosnę na chwałę Bogu i ojczyźnie. A sobie na przyjemność - dodał, chlipiąc nosem z kataru. - A draniom na zmartwienie - zgrzytnął zębami jak kat i wściekły ton tego ostatniego zdania wzbudził dreszcz przerażenia u sąsiada. - Widzieliście, aby w grudniu taki deszcz lał? Już czas na śnieg. Od tej słoty chodzę ciągle usmarkany jak gówniarz.

- Ty, czy ja cię nie znam przypadkiem... - zaczął się jąkać chłopina, lecz nie skończył zdania, bo dostał pięścią w twarz i zwałił się do rowu. Wojtek, jak gdyby nigdy nic, poszedł dalej. Chałupy rzedniały, był koniec wsi. Zapukał do ostatniej chaty, wpuszczono go. Kobieta z latarnią osłupiała u drzwi, poznawszy przybysza. Jakżeby nie znała Wojtka Rzezawy, jurgowskiego dziecka? Tu się urodził, tu się wychował, przez dwadzieścia lat tu mieszkał, teraz pląta się po świecie, zbija, awanturuje się z policją, po sądach się prawuje.

Przybyły wszedł do izby, uchylił czapki.

- Pochwalony.

- Na wieki.

Gospodarz wstał z ławy pod ścianą, podali sobie ręce.

- Ciemno, choć w pysk daj, a nie wiadomo komuś dał - ozwał się gość nie bez istotnego uzasadnienia.

- Paskudna plucha - przyświadczył chłop. - Chcesz się u nas przespać, Wojtek? - zdał sobie od razu sprawę z sytuacji, prędzej niż żona.

- Nie, zaraz idę. Dajcie mi kopertę i kartkę papieru.

Kobieta wydobyla spomiędzy starych gazet i kalendarzy czysty list. Wojtek poczęstował górala papierosem, ujął w palce ołówek i w nikłym poblasku naftowej lampki pisał zamaszystymi, niezgrabnymi literami:

*Proszę, aby się pan Przodownik nie plątał nocą po polu, bo się możemy natknąć na siebie, czego Boże nie daj. Ciemność stworzona dla bandytów. Policja ma chodzić w dzień, a w nocy spać. Posyłam dwa złote, aby sobie pan Przodownik kupił nocnik i nie potrzebował wychodzić po ciemku i w deszczu na dwór. Dziś wieczorem o mały włos nie oblał mi pan głowy. Dałbym panu z przyjemnością po łbie, ale byłby mi nie honor, bo pan Przodownik był w gaciach.*

*Wojtek Boże Drzewko*

Przeczytał list jeszcze raz, odczuł głęboką satysfakcję. Wsadził do koperty papierową dwuzłotówkę (szukał długo w pieniądzach, zanim znalazł najbardziej wytarty i poplamiony banknot), zalepił list, zaadresował do przodownika Lipowczana i wręczył kilkuletniemu chłopcu ze srebrnym piątkiem.

- Słuchaj, tu jest pilny list do Lipowczana. Wiesz, gdzie mieszka pan przodownik?

- U Ślimaka.

- Pójdiesz i dasz mu ten list. Powiesz, że ktoś kazał ci odnieść. Nie powiesz kto. Ciemno było, nie poznałeś kto.

- Wojtek - rzekł spod ściany góral - nie rób krzywdy małemu. Lipowczan gotów zbić bachora. Wiesz, jaki on nagły. Pewnieś tam coś policji wyrupał.

Rzezawa popatrzył na malca i na starego, decydując się od razu.

- Macie rację. Wprawdzie nie mam czasu, ale sam sobie to załatwię. - Pogłaskał chłopczyka po włosach. - Te pięć złotych możesz sobie schować na cukierki. Zostańcie z Bogiem.

- Boże cię prowadź!

Schował list za pazuchę, już go nie było. Biegł drogą, zapadając butami w kałużę; błoto rozchłapywało się na boki fontanną. Za pięć minut był na miejscu. Krople ciurkały ze strzechy swoją monotonną piosenkę, deszcz siąpił nieustannie, jak przez cały dzień. Wojtek wcisnął delikatnie list za listwę drzwi wchodowych; woda z dachu kapła mu na plecy. Kto pierwszy rano otworzy drzwi, musi list zauważyć.

Zadowolony, brodził po kostki w wybojach. Wszystko jedno, i tak przemoczył nogi całkowicie. „Dlatego mi się tak z nosa leje. To od nóg idzie wilgoć.” Choć był, jak rzadko kto, wytrzymały na tarapaty, nie doszedł dalej w ciemności i w deszczu, jak na Grochałowce. Zastukał do Jeleniów. Była północ.

- Przenocujcie mnie, prześpię się parę godzin, do dnia wyjdę na górę.

Wbił się w słomę na strychu, nakładli na niego kocy. Przedtem jeszcze ucieszył



zołądek kolacją, a rodzinę Jeleniową kilkunastu humorystycznymi gadkami. Z radością śnił o komendancie jurgowskiego posterunku, który sobie przeczyta jutro zabawny list wesółka. Chyba pozna od razu nadawcę. Wojtek Boże Drzewko... Takie przezwisko nie było mu zapewne znajome; wszak i sam Rzezawa dzisiejszego wieczoru nie miał o nim pojęcia. Ale po treści domyśli się przodownik natychmiast, kim jest autor listu. Któż mógłby się zdobyć na taki kawał, kto w dodatku nosi imię Wojtek, jeśli nie były dyplomowany wariat, którego cały Jurgów znał z dowcipów?

Któregoś wieczora stało się nieszczęście i skandal. Jasiak pamiętał tę datę: w dwa dni po szóstym grudnia, dniu świętego Mikołaja. Rankiem znaleźli pod głową podarunki; był to pomysł Wojtka. Nic nadzwyczajnego tam nie było, ale nie o to szło; ucieszyli się przyjemną niespodzianką. Dostali po torebce cukierków i po pudełku papierosów egipskich (zazwyczaj palili sporty lub junaki). Tego samego dnia Wojtek z Józkiem zeszli po żywność do Podspadów. Póki jeszcze się dało, znoszono prowiant na zimowy zapas. Lada chwila mógł spaść śnieg i odciąć ich całkowicie od dołu. Zima nadchodziła ospale.

Gdy chłopcy nie powrócili na noc, nie zmartwiono się z tego powodu w grocie. Dzień jest krótki, noc zimna i ciemna. Zatrzymali się pewnie na dole do rana, przyjdą w południe. Ale gdy następnego dnia i nocy kompani nie przybyli, Jasiak zaniepokoił się. Czekał jeszcze pół dnia. Po obiedzie wybierał się właśnie do Lewaka, aby z zachowaniem wszelkiej ostrożności zasięgnąć języka, gdy przed samym zmierzchem, na trzeci dzień od wyjścia, przywłókł się do groty Wojtek, prowadząc Józka jak dziecko za rękę.

- Upiliście się jak świnie!

Buchnął smrodliwy, duszny powiew spirytusu. Przyskoczył do Wojtka, wyrznął go w łeb ciosem, który mógłby słabszego przyprawić o omdlenie.

- Znowu zaczynasz? Ile razy będę cię prosił, abyś nie chłął wódki? Grosza ci nie dam do ręki i będę papierosy wydzielał!

Obaj pijacy zwalili się na mech jak nieprzytomni. Dopiero po chwili zorientował się Jasiak, że Józek nie widzi.

- Co mu się stało?

- Oślepl od wódki.

Było to tak: wczoraj wracał Wojtek od Lewaka z żywnością i nad Gajdowym Potokiem natknął się na idącego z Jaworzyny górala. Przez pomyłkę wziął go za swego wroga, Hanusa, z którym od dawna miał porachunki. Załatwił się z nim do spółki z Józkiem; porachowali mu porządnie kości. Już po tej egzekucji spostrzegł Wojtek, że się pomylił, i

pobił jakiegoś Bogu ducha winnego chłopca. Na przeprosiny obiecał poszkodowanemu zafundować grubsze pijaństwo. Gospodarz, aczkolwiek ledwo trzymał się na nogach, zaprosił napastnika do swego domu. Wojtek posłał do karczmy po piwo i wódkę. Pili przez resztę dnia i przez całą noc. O północy, gdy wysuszyli wszystko, góral wyciągnął zza pieca dwie butelczyny gorzały, ostrej, cuchnącej jak siarka, i zaczęli pić od nowa. Zalali łby jak się patrzy. Nad ranem pokłócili się w porywie serdeczności i Wojtek dopiero teraz naprawdę sprzął swego niedawnego przyjaciela, z którym przeprosił się parę godzin temu. Porozbijawszy dla większej parady okna w chałupie, pobrnął w las pijaniusieńki jak bela, wsparty na ramieniu Józka. Śpiewał na cały głos, mimo iż kompan uciszał go, jak mógł. W lesie wywrócili się i zgodnie przespali obok siebie do południa. Pierwszy obudził się Józek ze strasznym krzykiem:

- Jezus Maryja! Nie widzę!

Chciał sobie oczy wydrapać z rozpacz. I tak oto dobrnęli na noc do grotty.

Wojtek Rzezawa radził dobić towarzysza, aby mu skrócić męki.

- Cóż wart jest ślepy zbój? Takiemu lepiej kulę w skroń - sugerował Jaškowi na osobności.

- Nie. Osiądzie na szumnym gospodarstwie. Ożeni się, młody jest, jeszcze będą z niego ludzie.

- Która baba będzie chciała ślepego?

- Głupi jesteś. To honorny parobek. I majątek ma. Dziewki polecą na niego jak na miód.

- No tak, do łóżka trafi. I gdzie indziej także - rezonował wesołek. - Ale może nas zdradzić.

- Jakież miałby w tym interes? Myśmy mu nic złego nie zrobili. Zarobił przy nas trochę grosza, hyr koło siebie ma. Odprowadzę go do Jelenia, on go odstawi furą do Bukowiny.

Usiedli, zapalili papierosy. Janosik pociągnął Rzezawę za rękaw.

- A teraz słuchaj, Wojtek. Po raz ostatni zapowiadam ci po dobroci: picie musi się skończyć. Póki jesteś ze mną, nie pozwolę, abyś kroplę wódki wlał w siebie. Jeśli cię mierzi życie, idź na dół do szynku i pij. Ale wolność twoja prędko się skończy. Odejdź ode mnie na zbity pysk, nie chcę oglądać twojej gęby ani słuchać twoich dowcipów. Ale zanim wsypiesz wszystkich, wsadzę ci siedem kul w brzuch. Zrozumiałeś?

- Ja wsypać? Bodaj mi pysk sparszywia!

- Głupcze! Po pijanemu nas wsypiesz! I nic nie będziesz wiedział, coś mówił, gdy wytrzeźwiejesz! A parchy z gęby ci już nie zejną. Wytrzeźwiejesz dopiero w pace.

- Nie będę pił.

- Mówię do ciebie jak chłop do chłopca. Dla mnie nie jesteś nic wart jako pijak. Wyrzucę cię z kompanii. Co znaczy pijany zbój? Flak. Takiemu lepiej kulę w skroń dać.

- Nie będę pił.

- Ile razy tak mówiłeś i później znowu się schlałeś?

- Tylko dwa razy.

- Pamiętaj: jeśli skończysz marnie, to przez wódkę. Będę cię traktował jak zasmarkanego chłopca, któremu noża do ręki nie wolno dać. Grosza nie dostaniesz, rewolwer ci odbiorę, będziesz porządki robił w jamie, patyki zbierał, nigdzie nie będziesz mógł wychodzić, zwiążę cię. I łeb ci rozwalę w dodatku.

Józek był w kącie groty nieludzko jak zwierzę. Jakby dopiero teraz zdawał sobie sprawę z okropnego kalectwa. Musieli mu schować rewolwer, bo groził, że sobie śmierć zada.

- Pojedziesz do szpitala w Nowym Targu - przedkładał mu Jędrzek - może się wyliziesz. Albo niech cię ojciec zawiezie do Krakowa, tam są dobrzy lekarze.

- Od ślepoty się nie wykuruję - jęczał nieszczęśliwiec. - To już mi zostanie do końca życia. Prowadźcie mnie do tego drania, co nam truciznę w wódcę zadał - zgrzytał zębami, przewalając się na posłaniu. Rozpacz buchała z jego krzyku, nieokiełznany żal młodego człowieka za światem, którego nie będzie widział więcej.

Usnęli w przygnębiającym nastroju. Następny dzień włókł się im leniwie. Wojtek stracił partnera do kart. Po obiedzie, zanim zapadł szybki zmierzch, Jasiak zabrał ze sobą Józka na dół.

- Pożegnaj się z kompaniami.

Padli sobie w objęcia i ucałowali się mocno. Rewolwer swój wręczył Józek Jędrkowi, który mu na odchodnym powiedział:

- Pozdrowisz mi pięknie ojca i matkę. Powiesz, żeś był na robocie w Zakopanem i żeś się zatrzał wódką na weselu. A ja poszedłem za pracą w Orawę, stamtąd może się sypnę do Madziarów. Tak masz powiedzieć. Matce przesyłam tysiąc złotych, niech za to kupi od szwagra pole Pod Gruszką.

Ślepy prosił go o jedno:

- Przechowaj mi mój rewolwer. Później mi go dasz. Będę go miał na pamiątkę zbijaczki. Aby dzieci miały zabawkę po ojcu, co za młodu w górach zbójował. Krótka miałem ten honor.

Odszedł. „W cień” - jak się wyraził obrazowo Wojtek. Aby stłumić żal z powodu utraty towarzysza, zaczął grać w karty z Jędrkiem. Ćmił papierosy jednego za drugim,

dogadując: - My jak na wojnie. Jak nas nie utłuką w lesie z karabinu, to nas powieszają na podwórzu więziennym. Jak nas nie powieszają, zgnijemy w kryminale. A jak nie zgnijemy w kryminale, będziemy się cieszyli wolnością i zdrowiem, co daj Boże, amen.

- Jak długo?

- Aż do śmierci.

- Dobra pociecha!

- Lepsza od tej, którą mój ojciec dostał w wojsku od lekarza. Oberwał ranę na froncie włoskim, leżał z kulą w łopatce, skarżąc się na ból. Lekarz mu mówi: „Nic się nie bójcie, gorzej byłoby, gdybyście mieli w brzuchu kulę. Wczoraj umarł tu u nas jeden, któremu granat tylko dwa palce u ręki oberwał”.

Czknął parokrotnie, umiał to robić zadziwiająco. Nie przerywając gry, natęczał myśl równocześnie. I wygrywał. Stale wygrywał. - Z zemsty za Józka zbiję, po mordzie pierwszego lepszego człowieka, którego napotkam - obiecywał sobie solennie. Z trudnością wyperswadował mu Jędrrek, że taki ślub nie ma sensu, bo pierwszym człowiekiem, który ich spotka, będzie prawdopodobnie Jasiak albo Lewak, jego syn albo Mach. A tych nie wypada bić po pysku. Uwierzył, ale nie uspokoił się. Grał, kłął i śpiewał.

Góralka postawiła na stole garnek ze słodkim mlekiem, właśnie zdjętym z blachy. Rozlała do garnuszków, gorący napój dymił smakowicie. Krajali chleb, smarowali twarogiem i jedli.

- Jasiak, czy to nie do ciebie ten list? - odezwał się Banach. - Przyszedł na moje nazwisko, nie ma podpisu, po pieczętce tylko widzę, że nadany w Żywcu. Jakiś wujek, jakaś siostrzenica, jakiś dziadek; co to wszystko znaczy? To pewnie ktoś z twoich, bo ja się nie poczuwam do treści tego listu. Coś się w tym kryje, ty to będziesz rozumiał.

- Pokażcie.

Rozłożył małą, różową kartkę taniego papieru, przebiegł oczyma koślawe, jakby dziecinne pismo.

*Ukochany mój Wujciu!*

*Dlaczego odjechałeś nagle i bez pożegnania? Jak smutno mi bez Ciebie! Trzeci miesiąc tęsknię, mama mi robi awantury, że ciągle o Tobie myślę. Chciałabym Cię znowu zobaczyć, gdy kwiatki zakwitną. Czy to prawda, że ten, który Cię unosił, już nie żyje? Była u nas żałoba po rodzinie. Chodzę do dziadka, on mi nic pomóc nie może, mówi ciągle, że jestem za mała. Płaczę. Ty tego nie lubisz, Wujaszku, ale będę się śmiała, gdy będziesz koło mnie. U nas teraz pogoda, nikt się koło nas nie kręci. Kochany Wujku, gdy mnie zawieszysz, przyjadę*

*natychmiast. Daj znak życia, a będę szczęśliwa, żeś nie zapomniał o mnie. Czemu nie przyjeżdżasz? Przyjedź.*

*Twoja mała, wierna siostrzenica*

- Do ciebie? - Banach spozierał uważnie na młodzieńca spod przymkniętych powiek.

- Czy ja wiem? - odął wargi opryszek. - Może być. Nic mi nie mówi - zaświecił zapalną, podpałił papierka. Kartka drgnęła jak żywa od dotknięcia płomienia, skręciła się, zbrunatniała, zliliowała w ogniu, w końcu zszarzała. Listek popiołu wypuszczony z palców opadł na podłogę. - Takie to niezrozumiałe - mruknął Janosik patrząc na to, co pozostało z miłosnego listu. Dmuchał pod nogi i resztkę popiołu rozwiała się. Dla niego było to od razu zrozumiałe. - O czym mówiliśmy? - odwrócił się do zebranych. - O Warszawie. Byliście w Warszawie, Banach?

- Ja nie byłem. Ale zapytaj Mroza, on ci opowie. On był tamtego roku z delegacją Podhalan na Zamku warszawskim.

Góral opowiadał o stolicy. - Ho, ho, Warszawa! Jak była uroczystość, wzięli nas do środka, popijali, aż się im z głów kurzyło. Pan prezydent podawał nam rękę, generałowie tręcali się z nami kieliszkami, poniekąd zawiódł zbójnicką nutę, wycalał się z nami po twarzy z dubeltówki. No, jednym słowem, ładnie było. Ledwośmy przyjechali do gór, a tu żona powiada: „Egzekutor był w chałupie. Rata w terminie nie zapłacona, sieczkarnię zajął”. A, psiakrew, z takimi porządkami! To mnie w Warszawie pan prezydent rękę ścisnął, generał po pysku całował, a tu taki marny egzekutor parę tygodni nie poczeka, aż pieniądze będę miał? A policjant obiecuje mi dać po mordzie, jak będę się zajmował chłopską polityką!

- Ilu jest członków Stronnictwa Ludowego w powiecie?

- Będzie ze dwa tysiące. Tych zarejestrowanych.

- Cóż to jest? - zaśmiał się gorzko Jasiek. - I wy chcecie mieć siłę? Iluż jest ludzi w nowotarskim powiecie?

- Chyba ze dwieście tysięcy.

- Pomyślcie, pomyślcie!

- Niełatwo jest płynąć przeciw prądowi - usprawiedliwiał się ludowiec. - Władze utracają nas na każdym kroku; odmawiają pozwolenia na urządzenie odczytów, starosta zakazuje wieców, gazety ludowe giną na poczcie, policja tępi nas, gdzie i jak może, grzywna za grzywną się sypie. Myślą sobie: jak chłopa po kieszeni uderzymy, to mu się odechce polityki.

Jasiek przed zaśnięciem na krótką chwilę wspominał tajemniczy list. Idiotka z tej

Zośki. Skąd wpadło jej na myśl pisać do Banacha? Czy nie od Wojnara wydebiła adres? Skąd znał go Wojnar? List nie wzruszył go, przeciwnie - rozzłościł. Wszystko, co było tam, przybladło, stanowiło epizod przeszłości. Głupia gęś! Koszarawa, kartka zapisana, przeczytana, spalona. Dmuchać na to jak na popiół - uleci. I myśl uleciała. Usnął.

Nazajutrz jako tako wyklął się z chmur ospały świt. Wiał mroźny wiatr od skalistej bariery z południa. Po wierchach naokoło ciapnęło świeżym bielutkim opadem. Wysokie góry spały już pod sutą kołdrą zimy. Banach wsadził ślepego młodziana na wóz, przyszykowany przez Jelenia, zaciął konia i pojechał oddać ojcu nieszczęśliwego syna. Przed stodołą rozbeczała się w głos Ewa, oglądając ten tragiczny widok. Nic nie pytała; nie była przyzwyczajona w tym domu do stawiania pytań. Wystarczyło jej, że widziała oślepego chłopca, najładniejszego, jaki zawitał do tej chałupy. Jeszcze miesiąc temu, kiedy zwróciła uwagę po raz pierwszy na jego urodę, widziała go w zdrowiu i sile, a teraz ogląda kalekę. Rozegrała się tu jakaś tragedia, której tajemnicy próżno by jej było dociekać.

Jasiek eskortował wzrokiem ten na pół pogrzebowy wóz. Ewa ze złością patrzyła na niego. Że też to właśnie musiało paść na tamtego, który się jej tak podobał! Dlaczego on oślepl? Wszystko było tak zagadkowe. Co mu się stało?

Zrobiło się jej trochę przykro, kiedy człowiek, którego przysięgała sobie nienawidzić, opuścił ich obejście, nie rzuciwszy nawet wzrokiem w jej stronę. Tyle razy ją zaczepiał, teraz nie chce do niej nawet słowa przemówić. Podbiegła ku niemu i spytała.

- Dlaczego on oślepl?

- Od wódki chłopskiej, w domu pędzonej. Struł się. Ale się wyleczy.

Odchodził. Krzyknęła za nim: - Będzie widział?

- Będzie - odparł, nie zatrzymując się ani nie odwracając głowy.

Ogarnęła ją zarazem złość i rozpacz. Za rękę ją dawniej łapał, przejść jej nie dał koło siebie, dzisiaj jakby jej nie dostrzegał. Ohydny! Zrobiła jeszcze parę kroków, buchnęła mu w twarz:

- Nie możesz grzecznie porozmawiać, kiedy cię pytam? Śpieszy ci się?

Wesoły uśmiech zaigrał na jego twarzy. Wcale mu nawet ładnie z tym uśmiechem.

- Naturalnie, że mi się śpieszy, dziewczynko.

Jeszcze jej tak nikt nie nazwał pieszczotliwie: dziewczynko.

- Dokąd idziesz?

- Chciałabyś wiedzieć?

- Pewnie - potrząsnęła figlarnie głową.

- Ale nie dowiesz się. Za to ja dowiedziałem się nareszcie, jak ci na imię?

- No, jak? - szepnęła. Chyba go widzi drugi raz dopiero w dziennym świetle. Nie jest znowu taki brzydki, jak jej się zdawało. Twarz drobna, ściągła, ale mocna, wyrazista. I oczy! - No, jak mam na imię? - nalegała zalotnie.

- Genowefa - odrzekł poważnie.

- Zgadłeś - plasnęła w ręce.

- Ale jeszcze nie jestem całkiem pewien, czy mnie fałszywie nie poinformowano. Gdyby się okazało, że to nieprawda, i ty także ucierpisz za to.

- Ja? - przekomarzała się, udając głębokie oburzenie. Dreptała w kierpcach, w krótkiej brązowej spódniczce i swetrze niebieskim, modelującym zgrabnie jej figurę. Nosiła się po miejsku. No, córka bogacza. Zmrużył filuternie oko. Spodobał się mu siny kwiatek podbiegłej krwi na jej lewej skroni. Pokazał nań palcem.

- Skąd to masz?

- Od urodzenia.

- E! - mruknął z niedowierzaniem. - Komu innemu opowiadaj te historie. Pewnie spadłaś z drabiny i taki siniec ci pozostał. Albo ktoś kamieniem uderzył cię pod oko.

- Powiadam ci, że mam to od urodzenia - broniła się, jakby przed zarzutem poniżającym jej urodę.

- W każdym razie ładnie ci z tym sińcem. Mnie się podoba. Bądź zdrowa.

Zniknął pomiędzy pniami grochałowickiego gaju. Szedł na południe, a więc ku granicy. Tak właśnie przypuszczała - ukrywa się w górach po słowackiej stronie.

- Zima za pasem. Chyba prześpimy śnieg jak niedźwiedzie, nie wychodząc z gawry - postanawiali harnasie.

Mimo to dwukrotnie jeszcze, korzystając z nie ustalonej pogody, Wojtek z Jędrkiem opatrzyli doły nad Goliassowskim Potokiem i na Gąbosiej Polanie, gdzie Lewak od pewnego czasu składał dla nich chleb, mąkę, słoninę, tytoń, ser, zapalki, papierosy i świece. Na trzy dni przed Bożym Narodzeniem sypanął hojnie śnieg i pozostał. Rabusie siedzieli na posłaniu z mchu, grając w karty przy świetle świeczki, wetkniętej w szyjkę flaszki. Kiedy się znudzili, dmuchali w świeczkę i niezmordowany Wojtek wywodził po ciemku swoje ucieszne historyjki.

- Zbój nie ma co robić w zimie przy ludziach. Smród idzie od chlewa i od stajni, jak cholera. Wolę sto razy wykopać sobie dół w borze, nakryć gałęźmi i spać. Przez miesiąc mieszkałem w dolinie Pańszczycy, miałem tam doskonałą norę. Siostra nosiła mi raz na

tydzień prowiant, chowała w kamieniach pod Żółtą Turnią; ja w nocy wylazłem i ściągałem do dziury. Dobrze się żyło. Pod Wołoszynem też mi było nieźle. Żeby tylko papu podstawili pod brodę. I żeby go było dużo, a dobre! Bo odziać się jest czym - klepał po kurtkach w kacie.

Gdy Wojtek chwilowo zmęczony się gadaniem lub przerwał, rozpoczynał swoje Jędek:

- Mój ojciec ma bzika, jak idzie o skarby w górach zakopane. Gazda z niego gruby, a sukę gonilby do Kieżmarku, jakby mu pokazać garnek z dudkami, wydrapany spod skał. Ile on się nałaził po wierchach za złotem!

Grota była pełna dymu papierosów, na dworze sypał śnieg. Na środku pieczary płonęło ognisko. Nad dziurą wylotową w suficie kamienie obrastały warstwą sadzy. Jasiak nie brał udziału w rozmowie. Leżał wpatrzony w małe okienko nieba u sufitu, przeświecające na wylot w skałę. Przypomniawszy sobie, owinięty w mgłę tytoniowego dymu, swoje zbójnickie przygody. Stała mu żywo przed oczyma scena, jak hipnął z platformy jadącego pociągu przed Huciskiem; jak szedł z Tramkiem przez zasypany babiogórskie, siekany ostrą śniegawicą. Wstawiały w nim miesiące włóczędzy po górach, głód, noce pod gwiazdami, dni przyczajone w jałowcach i wykrotach. W takich rojeniach morzył go znienacka sen.

Święta przepędzili na podwójnym żarciu. Wojtek przeżywał błogosławione dni. Kolędownali do ochryplego. Zgasili świecę, tylko głównie tliły się resztką żaru na ognisku. W ciemności siedzący nad kupą rozżarzonych węgli, oświetleni od dołu słabym czerwonym poblaskiem, stanowili teatralną grupę, nierealny obraz, jakieś czary wróżbitów albo obrady spiskowców. Kiedy zaczęli śpiewać, wydali się sami sobie pasterzami w szopce, zebranych u ziółka. Grota podobna była do pieczary w Kotlarczykach, choć nie tak przestronna ani tak widna. W każdym razie można było w niej palić ognisko, wodę zaś brano ze śniegu. Patyków naznosili dość jesienią, obłożywszy nimi wysoko ściany wewnątrz jamy.

Pod koniec roku pocieplało znacznie. Nastąpił nawet okres kilkudniowej odwilży. Korzystając z tego, pobrnął Jaś Dziura do Grochałowic, ciapiąc filcowymi butami w miękkim, kaszowatym śniegu. Nie istniała zła droga dla niego, zwłaszcza że szedł na tańce. Dziś jest ostatni dzień starego roku. Jeleń zapowiedział, że w Sylwestra urządza u siebie małą zabawę z muzyką. Jakże opuścić taką okazję? Pod wieczór śnieg zaskorupił się w szkliwo; mróz szczypał Jaśka po twarzy, po udach, po ramionach. „Ach, natańczę się za całe pół roku!”

Ludzi nie było dużo, sami znajomi. Ci zaś, którzy go nie znali, umieli na wszelki wypadek utrzymać tajemnicę. Od razu natknął się na Ewę. Miał szczęście albo też pecha do tej dziewczyny.



- Będiesz tańczyła ze mną?

- Będę.

Nie widziała go dawno. Szczupły, muskularny, same mięśnie. Jak można było dawniej tego nie zauważyć? Spodnie krótkie, popielate, spięte pod kolanami, wyrzucone poza filcowe cholewy. Krawat w niebieskie ukośne pasy. Kurtka zielonkawa, włochata, elegancka; wyszukał ją sobie w szatni restauracji na Cyrli. Czapka narciarska, granatowa. Wyglądał raczej na studenta wracającego z wycieczki lub na leśniczego.

- Ubrany porządnie, nie na chłopca - rzekła do siebie. - Ale musi być z niego nie byle jaki harnaś. On jest starszym nad Wojtkiem-kawalarzem i nad Józkiem, co oślepl.

I on obejrzał sobie uważnie dziewczynę. Niebieskawa sukienka w białe groszki dobrze uwydatniała jej urodę. Miała piersi wysokie. Po cóż ona się tak ścisnęła stanikiem? Ileż może mieć lat? Siedemnaście, nie więcej. Może nawet tyle nie. W chodzie ujawniała się zgrabna, strzelista wysmukłość nóg przy niewysokim wzroście. Przez to wydawała się wyższa, niż była w rzeczywistości.

Pierwszy to raz znaleźli się tak blisko przy sobie, twarzą w twarz. Ten taniec, bliskość, dotknięcie, spojrzenie, uśmiech związały ją z nim mocno. Powiedziała mu to otwarcie.

- Dobrze tańczysz. Zatańczysz jeszcze raz ze mną?

- Z przyjemnością, jeśli panna Genowefa pozwoli. Za to trzeci raz kto inny z tobą zatańczy.

- Dlaczego?

- Bo już się więcej nie zobaczymy.

Spojrzała na niego z powagą.

- Naprawdę mówisz?

- Nie. Na żarty.

Wyczuła jednak prawdę w jego słowach.

- Odejdiesz stąd?

Kiwnął głową, przytakując. Taniec skończył się, chłopiec wypuścił dziewczynę z rąk. Koniec śpiewki. Serce ścisnęło się Ewie, kiedy do następnego tańca wybrał sobie Magdę, służącą od dalszego sąsiada, czarną jak Cyganka. Więc i ona machinalnie oddała się w ręce jakiemuś przygodnemu partnerowi. Coś jej tam mówił, czego nie słyszała: że Zośka wydaje się za Jędrka Matejowego, ale to bitnik i pijak, że Zygmunt żeni się tego karnawału w Brzegach, ksiądz wołał na sumie w święta pierwsze zapowiedzi. Cóż ją to obchodziło? Wypatrywała Jaśka pośród par. Teraz dopiero czuła różnicę w tańcu między nim a innymi. Przepełnął właśnie koło niej z brunetką w ramionach, wyszczerzył zęby w uśmiechu,

krzyknął ku niej: - Ge-no-we-fa! - i pomknął dalej.

Muzyka rznąła od ucha cienko i piskliwie. Wnet porzucił czarną Magdę i wrócił do Ewy. Ciągle miał twarz uśmiechniętą. Tak, to jest jeden z tych zbójów czy dezerterów, którzy siedzą w górach po czeskiej stronie.

- Czemu masz głowę odwróconą ode mnie? - upomniał ją partner łagodnie.

- Bo mi się tak podoba. Nie wolno mi? - wstrząsnęła buntowniczo włosami.

- Wolno - rzekł z pewną melancholią. - Mogłabyś mi się przypatrzeć, abys wiedziała, z kim tańczysz.

- Och, dobrze wiem.

- Co to znaczy? - ubodło go to. Źle zrozumiał. - Chcesz, to mogę przestać tańczyć, abys nie narzekała na przybłądę.

Rozluźnił uścisk ramion. Przestraszyła się tego gestu, odwróciła nań wielkie orzechowe oczy. Dałby się posiekać dla tego spojrzenia.

- Nie masz się za co obrażać. Przecież ja nic nie powiedziałam - przytuliła się silniej do niego. Niósł ją w rękach lekko jak źdźbło trawy. - Jak ci na imię? - spytała.

- Zgadnij.

- Skąd mogę wiedzieć?

- Ryś.

- Co to za imię?

- To nie imię, to przezwisko.

- Imienia nie masz?

- Nie mam.

- Dobrze, niech będzie Ryś.

Kończył się taniec. Pary usuwały się pod ściany.

- Wyjdź ze mną - zaproponował.

- Po co? - zdziwiła się.

- Porozmawiamy.

- Jużśmy porozmawiali.

- To nie to, co na dworze.

- Po co mam wychodzić? Tu jest mój dom.

- Tam jest swobodniej.

- Nie mam czasu.

- Pożałujesz - rzekł obojętnie i odszedł w mrok. Nie wiedziała, czy miała się śmiać z tego, czy bać się.

Niedługo popasał z dala od tańca. Spoceni muzykanci właśnie raczyli się piwem. Nie dał im skończyć. Dostkoczył do nich, wsunął dziesiątkę do basów i huknął:

- Zbójnickiego!

Skrzypce od razu zawiodły szeroką nutę. Jasiak oparł się o piec, słuchając melodii z oczyma przymkniętymi, jakby nieobecny. Myśl jego wędrowała po leśnych czubach i skalnych graniach, wyzwolona z ram izby. Przechodziły przez niego zmienne przyływy i odpływy; wydawał się teraz obcy temu zgiełkowi. Nagle porwał z ręki laskę najbliższemu góralowi

I pierwszy rozpoczął taniec zbójnicki, zawodząc ciasne koło. Wyrzucił kij w górę i łapał go, kucając nisko, to znów skacząc wysoko na skrzyżowane nogi. Inni szli za nim przysiadami, jakby się skradali w zasadzkę.

Był to zaiste tancerz nieporównany. Jakby płynął pod ścianą, a skok miał sprężysty niby wyrzut pstrąga nad spiętrzonym nurtem. Po chwili zbliżył się do tańczącego Jeleń, szepnął mu słówko na ucho. Janosik wysunął się z rzędu, oddał laskę właścicielowi i poszedł z gospodarzem w kąt, na osobność.

- Wolałbym, abyś się stąd ulotnił.

- Policja zwąchała?

- Nie, ale może który przyleźć.

- Skąd wiecie?

- Banach mi mówił, jakoby Lipowczan zapowiadał na dole, że idzie na zabawę do Grochałowiec. Może go tu jakie licho nanieść. Oni lubią chodzić na takie okazje, bo popić można. Wolałbym, aby cię tu policjant nie zobaczył.

- Ja też bym wolał. Ale chyba po nocy nie będzie tu łaźni. Oni są za wygodni.

- Gdy idzie o wypicie, policja nie popuści żadnej sposobności. Taki Lipowczan schleje się, wyśpi i jutro w południe pójdzie do służby.

- Wyniosę się.

Kiedy się znalazł w sieni, wyszła ku niemu Ewa.

- Idziesz?

- Idę.

- Dokąd?

- Piwo zamówić na wsi.

Mimo że się uśmiechał, wzięła to na serio.

- Przyjdiesz wnet?

- Zaraz wrócę.

- Zatańczysz ze mną, jak przyjdiesz?

- Następny mój taniec będzie z tobą.

- Obiecujesz?

- Obiecuję.

Coś kłamliwie wykrętnego poczuła w jego tonie.

- Zatańcz ze mną teraz, zanim wyjdiesz. Co ci to szkodzi?

- Teraz nie mogę.

- Dlaczego? - zdziwiła się. - Pięć minut nie możesz się wstrzymać? Piwo nie poczeka?

- Nie.

- Co się stało?

- Powiedzieć ci?

- Tak.

- Powiem ci, ale nie wolno ci tego zdradzić nikomu - nachylił się nad jej uchem. Z ciekawością nasłuchiwała sekretu. W tej chwili pocałował ją w skroń, w ów siny kwiatek, który mu się tak bardzo podobał. - Następnym razem ci to wytłumaczę, gdy będziemy znowu tańczyli - dobiegł ją wesoły głos z mroku nocy.

Znowu zostawił ją po ciemku w sieni. Bezcelny. Gorąco ogarnęło ją od pocałunku, ciarki przechodziły po udach i ramionach. Czy ma się gniewać na niego, czy wspominać czule? Pierwszy raz poczuła jego usta. Stało się to tak nieoczekiwanie, że nie miała czasu zebrać myśli. Dlaczego nie chce nigdy z nią mówić dłużej? Dlaczego już drugi raz od niej ucieka?

Tej samej nocy sylwestrowej miała się dowiedzieć przypadkiem, okreśną drogą, iż ów mały, chudy, młody zbój, który chodzi do jej ojca i widuje się z Banachem, to Janosik. Mówiło się o nim najgłębszym szeptem, jakby się wyjawiało zakazaną tajemnicę. Smarkacz, który budził szacunek u statecznych gospodarzy! Podśluchała ich rozmowę niechcący, nalewając kawę w garnuszki. Więc ten, który dziś z nią tańczył, który znikł w mroku przed paru godzinami, ten, który pocałował jej lewą skroń, to słynny Janosik! Nie do uwierzenia, a jednak prawdziwe. „Co to jest? - martwiła się. - Kiedy on chciał się do mnie zbliżyć, ja go odpychałam. Teraz, kiedy się ku niemu garnę, on ode mnie odchodzi.” Poprzez jego lekkomyślność na pół czuła, na pół wzdurliwą wyczuwała zimno i twardość tego serca. Ale czy kobieta liczy się kiedy ze swoimi szansami w tej dziedzinie? Przez jeden pocałunek weszła w zaklętą orbitę, z której się już nie zdoła wycofać.

Usnęła nad ranem z głową nabitą serdecznymi troskami. To tak jak z dzisiejszym tańcem; póki tańczyli razem, było pięknie. A później jest źle.

- Świat dzieli się na frajerów i morowców - rozprawiał z ożywieniem Wojtek. - Frajerzy istnieją po to, aby ich morowcy mogli nabijać w butelkę.

Zawiała śnieżycą z północnego wschodu. Zadymka szalała przez całą noc. Nie można było oddychać na dworze. Dęło tak, że na metr dokoła nie było nic widać. Śnieg przysypał hawrańską kryjówkę. Po dwóch dniach silnego opadu wypogodziło się i chwycił ostry mróz. Pogoda trwała do następnej niedzieli. I znowu zaczęło walić z nieba.

W niedzielne południe usłyszeli trzykrotny rozdzierający pisk. To sygnały Lewaka. Wojtek polazł do wyjścia, ogarnął okiem przeinaczony świat. Kilkudniowa kurniawa poprzestawiała góry, wydmuchała nową rzeźbę terenu. Lewak z synem przybyli na nartach, niosąc w plecakach prowiant. Grzebali się powoli w zaspach; bez ustanku sypał śnieg. Jasiiek pochwalił przezorność Lewaka, który wybrał się podczas opadu, aby nie pozostawiać śladu.

Przybysz, zajęty wyładowywaniem plecaków, udzielał im wiadomości z dołu, Szykarz Abram donosi, że w Jurgowie jest cicho. Banach przesyła papierosy. - Co więcej? - Gajowy Jarzabek zgodził się być współpracownikiem bandy z pensją stu złotych miesięcznie. Herszt i chłopcy mogą korzystać z jego chałupy.

- Doskonale - zatarł ręce Janosik. Dawno marzył o tym, aby po drodze z Hawrania do Jurgowa mieć jakieś schronienie, gdzie by mógł zanoć, wracając z wieczornej wizyty u Banacha. Gajówka Jarzabka stała wśród lasu, o sto metrów zaledwie oddalona od granicy w Podspadach.

Cały dzień spędzili w różowych humorach. Jędrak Radoń opowiadał historyjki o swoim ojcu, opętanym manią poszukiwania skarbów tatrzańskich. Każdej wiosny nieodmiennie wybiera się on w góry szukać pod Lodowym zakopanych w kotliku pieniędzy i kosztowności. - Nie opuścił go ten bzik od młodości i zostanie mu już pewnie do śmierci.

- Rozmaite rzeczy uderzają człowiekowi na mózg - odezwał się poważnie Rzezawa. - W Ratułowie, dokąd się teraz moi rodzice przenieśli, mieszkał bogaty chłop. Stary jak świat, Boże mu nie pamiętaj grzechów, bo już na cmentarzu; ale na kobiety był strasznie ciekawy. Jak kot na skwarki. W młodości nie dał spokoju żadnej dziewczynie. Ze dwadzieścia bękartów jego płałało się po wsi, a ile pozostawiał gdzie po jarmarkach czy odpustach! Trzy razy się żenił, każdą żonę przeżył. Gdy został wdowcem po raz trzeci, miał siedemdziesiąt trzy lata i jeszcze się za czwartą żoną oglądał. Aż mu synowie wyperswadowali, po mordzie dali i odechciało się staremu żeniaczki. Jednemu skarby w głowie do końca życia, drugiemu znów baby. Nie wiadomo, który gorszy bzik.

Rzezawa był nieprzejednany na punkcie kobiet; zniechęcił je z powodu jednej.

Banach przebąkiwał coś Janosikowi o tej dziewczynie Wojtkowej. Była lekkomyślna, nie żałowała swych wdzięków jego kolegom. Niektórzy twierdzili jednak, iż to było oszczerstwo. Owszem, całowała się z innymi, ale żeby ją coś więcej z kim innym łączyło, to nie. Wojtek porzucił ją w przekonaniu, że go zdradziła, nie wierząc jej łzom. Była bliska samobójstwa. Poszła na służbę do Zakopanego. Puściła się tam wszakże na lżejszy zarobek i w tym samym charakterze przeniosła się później do Krakowa, gdzie podobno pędzi życie w spokoju, a nawet w dostatku. Znow posypało setnie.

Jasiek przeklinał swoje odcięcie, spozierając na krajobraz odmieniony w bieli, skrzący oślepiającym blaskiem w słońcu. Gdyby teraz siedział u Jarząbka, nie miałby daleko do Jelenia. Gnił beczynn timerami, gdy na dole sprawy jego bandy rozrastały się, a sieć pomocników wzbogacała się o nowe oczka. Po stronie czeskiej miał zaufanych: Lewaka z synem oraz Żyda-handlarza. Byli to agenci od zaopatrywania go w prowiant i od zamiany łupów na gotówkę. Poza tym dwaj strażnicy graniczni, żandarm oraz gajowy Mach od księcia Hohenlohe otrzymywali stałe pensje miesięczne. Z polskiej zaś strony byli na usługach Janosika: szynkarz Abram, strażnik graniczny, gajowy Jarząbek, nie licząc garstki przyjaciół z Banachem na czele.

Już ponad miesiąc siedzą uwięzieni w grocie. Nawet i humor Wojtka nie potrafił poprawić nastroju, chociaż wesołek był nie znużony i dokazywał wprost cudów. Ani na krok nie można było wyjść z pieczary. Latem była to kotlinka pusta i kamienista, ledwo po brzegach trawiasta; bezładny gruz bloków zaścielał jej dno. A teraz - misa, wypełniona zdradzieckim śniegiem, w którym można było utonąć. Tak, właśnie utonąć, jak oni wewnątrz jamy tonęli w bezgranicznej, jałowej nudzie.

Na przełomie stycznia i lutego grube śniegi nawiedziły znow Jaworzynę. Nakurzyły śniegu ze dwa metry na Hawraniu. Jasiek nudził się, leżąc godzinami na posłaniu z choin, po wierzchu wymoszczonym mchami. Wzrok miał utkwiony w okienku na suficie, zalepionym białością. Rozważał niemożliwy plan zejścia do Grochałowiec. Gdyby choć przekopał się do gajówki Jarząbka, mógłby się tam zaszyć. Skorzej pogadałby z Banachem i dziewczynę nawiedziłby prędzej.

Na ogniu stał trzylitrowy garnek z wrzącą wodą. Jędrak wrzucił doń garściami mąkę z woreczka, bełtając mieszaninę bez ustanku. Zrobiła się gęsta papka, kucharz posolił ją, odstawił jedzenie. Psiakrew, setki kradli, a wcale lepiej nie jedzą niż ich bracia na dole. W rondelku zaskwierczała słonina. Stała dymiący garnek. Wzięli łyżki i zaczęli jeść, maczając kluski w roztopionych skwarkach.

To było ich najczęstsze jedzenie. Dla Wojtka przedstawiało tę zaletę, że mógł go dużo natkać w brzuch. Jemu zawsze zostawiano garnek do wyskrobania; czynił to z zadziwiającą skrupulatnością. Nieraz, kiedy nie mógł się doczekać, aż Jędrrek upitrası żarcie, maszerował naokoło pod ścianami, zrzucając nieostrożnie ramionami patyki. Krążył jak zwierzę uwięzione w klatce. W chwilach takiego zdenerwowania żołądkowego najchętniej opowiadał. Bo wtedy zapominał o trapiącym go bólu i ani się spostrzegał, jak szybko schodził mu czas do obiadu. Jasiek umiał zawsze uchwycić taki moment.

- Byłeś w Krakowie, Wojtek?

- Pewnie - wydał wargi z dumą. Przerwał spacer i usiadł przy Jaśku. - Pięknie tam.

- Ludzi dużo?

- Przejść nie można przez ulicę, takie tłumy. Kobiety ubrane jak na wystawie sklepowej. Oczy ci wyłazą z ciekawości. Same hrabianki. Co prawda, nie na mój gust, ale błyszczą się na nich wszystko jak w lusterku.

- Nogi muszą boleć od chodzenia, nie? Godzinami tak łązić po równym, podeszwy puchną.

- Na to są tramwaje albo samochody. Auto za autem jeździ jak zwariowane. Jakbyś oglądał prawdziwe wyścigi w ulicach. A Wawel! To cud dopiero!

- Jak jest na Wawelu?

- Wisła płynie dołem. Nad Wisłą jest góra, na górze wznoszą się mury, nad murami zamek, a nad zamkiem śmigają w niebo wieże. To jest Wawel. Coś wspaniałego. Kościół. Choćbyś nie chciał, musisz klękać. Same kolana się gną; złoto i marmur. Okna wszystkie w kolorach, czerwone, niebieskie, fioletowe. Cichutko jak w studni. Na jednej z kaplic cały dach kuty ze szczerego złota. Pod kościołem w piwnicach zbudowany drugi kościół. Groby poetów i królów. Powiadam ci: płakać się chce. Nie masz ochoty wyjść, siedziałbyś godzinami.

- A zamek?

- Dwa piętra biją w powietrze. Na podwórzu w krąg, jak spojrzeć, rzeźbione krużganki. Zamiast tynku wszystko pokryte od dołu do góry malowidłem. Przez okno patrzysz do środka: Jezus Maryja! Całe ściany w lustrach i w obrazach, srebro i szkło, schody i podłoga w dywanach. Królowie tam dawniej mieszkali. Wieczorem na dziedzińcu festiwal, po naszymu festyn. Święto. Za biletami się wchodzi. Jak w teatrze; tyle że pod gołym niebem. Ciemno jak cholera, a tu nagle rozlega się śpiew. Najpiękniejszy, jaki słyszałem w życiu. Naokoło czysta noc. Wreszcie wyłazi księżyc ponad dachem. Zamek sięga do połowy nieba, a jeszcze wyżej wisi miesiąc jak wążutki sierpek. Na dziedzińcu rżnie orkiestra; gdzieś z kąta po ciemku. Powtarzam ci: można by wyć z płaczu, gdyby było wolno. Ale musisz siedzieć jak

mysz i tylko ciarki ci przechodzą przez skórę. Wszędzie czarno i cicho, a tu z samego środka nocy bucha śpiew i muzyka. Chciałbym tam być jeszcze raz!

- Będiesz.

- Dla mnie nie ma powrotu w doliny. Już poznali chyba, że nie jestem wariatem. Trzeci raz ich nie oćmię. Któregoś dnia wywrócę się tu jak zdechła krowa.

- Bzdury pleciesz - rzekł lodowato Dziura. - Możesz być głupi, ale nie jesteś niedołągą. Prześpij się, wytrzeźwiejesz.

- Oho - obraził się tą propozycją. Spać przed samym obiadem! - Jużem się dość naspał. Każdy mnie częstuje spaniem, jedzeniem nie.

- Jedyna chwila, w której nie myślisz o żołądku, to kiedy śpisz.

- Tyle mojego przed śmiercią, co się najem - zwierzył się, jakby się spowiadał z najgłębszego przeżycia.

- Nie skarż się. I tak zjesz trochę więcej jako wolny zbój, niżbyś dostał w więzieniu lub w zakładzie dla obłąkanych.

- Toteż dlatego tu zostałem.

- Baby mówią, że jest piekło i niebo - wtrącił się do rozmowy Jędrak. - Dokąd my pójdziemy?

- Ach! Znowu rozmowa schodzi na baby! Brrr! - zatrząsł się z obrzydzenia wesołek. - Nie wspominajcie mi o tym plugastwie. Nie znacie tej opowiadki? Była niedziela, słońce świeciło, Pan Bóg miał właśnie wolne. Schylił się, ułamał pięć promieni ze słońca i zrobił z nich kobietę. Ale nie spostrzegł się, że zamiast promieni diabeł podłożył zgniłe, kruche patyki. I z tego niewiasta stworzona jest: krucha i zgniła. Amen.

Kto wie, czy ta historia z obżarstwem także nie była komedią. Bo cały Wojciech Rzezawa od stóp do głowy był nadziany żartami. Humor operlał jego słowa, myśli, uczucia i czyny.

Ale i wesołość opryszka wyczerpywała się. Nuda bezczynnych dni wysysała ze zbojów pogodę, czyniła ich przygnębionymi i złymi. Przesypiali godziny, tonęli w dymie tytoniowym, nie odzywając się do siebie. To znów kłócili się o byle co. Jasiak staczał milczące pojedynki karciane z Wojtkiem. Jędrak pichcił coś na ogniu. Aby wprawić wesołka w miłe złudzenie i zatrudnić jego nienasycony żołądek, grzał wodę na herbatę lub gotował kawę poza normalną porą posiłku. Popijali gorący napój i Wojtek z ogniem w oczach opowiadał najnowsze kawałki, wyssane, jak się nieestetycznie wyrażał, ze starej onucy. Im bliżej było obiadu lub kolacji, myśl jego pracowała bardziej gorączkowo, humor skrzył się, nadzieja wstępowała w jego serce. Wyglądał jak knot w gasnącej lampie, do której dolewa się



nafty. Bezpośrednio po jedzeniu nie był już tak skłonny do wysiłku myślowego. Fantazja jego wydawała się uboższa; wszystkie siły organizmu oddawał trawieniu. Najchętniej wtedy spał. Dziwne to: bandyta, który tak dba o sprawy brzucha. Sam wódz powątpiewał w prawdę Wojtkowej namiętności; chyba dla kawału tak się zażera? Wszystko było możliwe. W każdym razie więcej gada o tym, niż je. Jędrak za to wyśmiewał Nielitościwie obżartucha, piętnując go jako tuczną świnię, choć jedzenie nie powiększało ani na jotę objętości jego ciała. - Gdzie się to wszystko podziewa u ciebie? - biadał kucharz.

Męczyła ich ta wegetacja. Wiele dni było takich, że nie ruszali się w ogóle z posłania. Ponieważ nie można było przewidzieć, kiedy nadejdzie Lewak z żywnością (pogoda zawodziła wszystkie rachuby), Janosik objął w zarząd papierosy, wydzielając każdemu cztery na dzień. Któregoś południa wydało się im, że skała w posadach drży; jakby wstrząs nastąpił w łonie góry. Herszt odważył się wyrzeć na świat. Ujście szczeliny zawiane do połowy. Pobrnął dalej, w załomach świszczał skłębiony atak nawałnicy śnieżnej. Kurniawa smagneła mu twarz ostrym, lodowatym śniegiem jak piaskiem. Cofnął się z powrotem do grotty. Patyki trzaskały wesoło w płomieniach. Grzało ich bardziej to trzaskanie niżli wątlý ogień. Wódz zasiadł z Wojtkiem do kart.

- Zwariować można od tego siedzenia - rzucał się. - Jak myślicie, kiedy Lewak przyjdzie?

- Za tydzień może.

- Niech, to szlag trafi!

- Do dziewczyny by się poszło - podśmiewał się Wojtek. - Ja też lubię dziewczęta, ale w maju.

- I w gaju - dogadywał Jędrak.

Wreszcie przywędrował na nartach do bandy długo oczekiwany Lewak z synem, przynosząc prowiant. Jak zawsze, wybrał dla zatarcia śladów dzień zasnuty opadem.

W tydzień po ich wizycie zaczęło świszczeć w skałach od rana. Naturalne okno w suficie, niedawno zalepione grubą warstwą śniegu, odsłoniło się obecnie, wywiane przez noc z nawisu. Ukazało się niebo szare, z przelatującymi popielatymi chmurami.

W połowie lutego zerwał się niezwykle jak na tę porę wiatr południowy, który przez całą dobę siekł góry bez litości. Chłopcy wróżyli sobie po nim wczesną wiosnę. Wyjrzeni przez uskok. W Jaworowej pokotem falował bór, smagany wichrem. Dwadzieścia cztery godziny nieustannego ciepłego biczowania wylizwały śnieg miejscami do gołej ziemi. Wierchy ukazały się nazajutrz wychudzone, ostrzejsze, przeświecając gdzieniegdzie skałą.

Ucieszono się tą wyjątkowo gwałtowną zmianą pogody wśród pełnej zimy. Po rozmięklej zaspie zszedł Jasiak do gajówki Jarząbka. Z jaką rozkoszą znów oglądał ludzi! Do kolan przemoczony, suszył nogi i obuwie przy piecu. Wnet odwiedził go Abram, powiadomiony przez gajowego o jego obecności. W Jurgowie wszystko było w porządku. Nazajutrz szynkarz przydreptał ponownie. Janosik przygotował się na alarmującą wiadomość; ktoś, kto się chłapie po raz drugi przez rozgrajdane wsiowe błoto, przez dziewicze kałuże przysiółka oraz przez czarno-białą papkę odludnej ścieżyny nie przychodzi z byle czym.

- Co jest, Abram? - zapytał, tając niepokój.

- Jest u mnie kandydat na zbója.

- Co mnie to obchodzi?

- Chciałby zbijać z wami.

- Nie chcę spółki. Kto go posłał?

- Nikt. Sam was tu szukał. Idzie do was aż z Chochołowskiej Doliny. On od jesieni siedzi w górach,

- U ciebie jest?

- Schowany w piwnicy.

- Umarznie ci, biedak, na kość.

- Wstawiłem tam piecyk żelazny.

- Powiedz mu, niech dalej sam zbija, jak dotąd zbijał. Nas trzech wystarczy.

- On już od tygodnia idzie do was.

- Po co?

- Pod wami honor służyć - paser zaśmiał się i pogładził brodę. - On siedział w więzieniu za politykę i uciekł.

- Do cholery! Znowu za politykę? Nie odczepię się od tego? Nie chcę go.

- Wolelibyście, aby za kradzież siedział?

Nie odezwał się.

- Skąd on jest? - zapytał łagodniej.

- Z Murzasichla. Kształcony. Chodził do szkół w Zakopanem.

To znów zepsuło szanse kandydata w oczach wodza. Skrzywił się.

- Niech wróci do więzienia. Albo niech się uczy dalej. Ja wolę zbójować z moimi niekształconymi chłopcami.

- Chcecie go zobaczyć?

- Nie. Co będę sobie brał na kark przybłądów? Coś mi to podejrzenie wygląda, cała ta historia. Przygotujcie plecak, Jarząbek. Jutro rano wychodzę na górę.

Ale tej samej nocy jeszcze zastukał do karczmy Abrama. Wzięli światło, szynkarz podnosi w piwnicy lampę do góry.

- Tyś Klimek?

- Ja.

Przed nim stał młodzik przystojny, czarnowłosy, rozrośnięty w barach, twarz ściągła, śniada, orli nos. Podobny trochę do Tramka, lecz niższy.

- Chodziłeś do szkół?

- Tak. Trzy gimnazjalne skończyłem. Później pracowałem w restauracji jako pomocnik kelnera.

- Dlaczego uciekłeś z więzienia?

- Nie z więzienia. Przed więzieniem. Tamtej wiosny zaciągnął mnie kolega w Zakopanem na wiec. Policja wpadła na salę i zaczęła pałkami rozpędzać ludzi. Dostałem miesiąc aresztu z zawieszeniem za czynny opór władzy. Ale potem wpadłem przy organizacji strajku rolnego. Zrobili na mnie skargę i dostałem wezwanie do sądu na czternastego listopada. Miałem czekać, aż mnie zasądzą i zamkną? W Murzasichlu już mnie dwa razy szukali, choć wiedzą, że w Zakopanem pracowałem. Poszedłem w góry i tam siedziałem od listopada.

- Skąd wiedziałeś o mnie?

- O was się dużo mówi.

- Czego chcesz ode mnie?

- Służyć pod wami.

- Zabiłeś kogo?

- Nie.

- Masz broń?

- Mam.

- Będziesz mieszkał u Abrama przez tydzień, za ten czas dowiemy się szczegółów o tobie.

Posłano Abrama do Zakopanego, aby się wywiedziało o chłopcu, co, gdzie i jak. Żyd powrócił z przychylną relacją. Należało umożliwić chłopcu zwianie z terenu, gdzie naraził się policji.

- Wezmę go.

- Kiedy?

- Dam wam znać. I tak są śniegi, niech na razie posiedzi w piwnicy.

Wczas raniutko zwiął na górę. Brnął bohatercko w błocie, kopiąc się w śniegu, kłął

siarczyście, chciał zawracać. Przez pełne cztery godziny maszerował uciążliwie do hawrańskiego upłazu. Przyszedł, sprany do szczytu śniegiem, kiedy naokół szalało zwichrzone kłębowisko bieli, zamiatające pół widnokregu. Ani Wojtek, ani Jędrak nie byli zachwyceni, dowiedziawszy się o nowym kandydacie na towarzysza.

- Kiedy przyjdzie?

- Może za tydzień.

Jasiek nie kwapił się wołać Klimka. Upłynął jeszcze tydzień w śniegu i w mrozie. Potem zawiął ponownie halny. To coś niezwykłego; już drugi ciepły wiatr pośrodku tęgiej zimy. Gdy się uciszyło, zstąpił Janosik do Jarząbka, a od niego do Jelenia. Ewa od półtora miesiąca nie widziała harnasia. Wyszła przezornie ku stodołę, napiętnowana sinym kwiatkiem na skroni. Przywitał ją:

- Więc ten siniak nie zeszedł ci jeszcze spod oka? Któż cię tak pozdrowił, że pamiątka została ci na stałe?

- Zapytaj się matki. Powie ci, że mam to od urodzenia.

- Ciebie poznałbym przez to w całej Polsce. Chyba żadna inna dziewczyna nie jest tak naznaczona.

Przytulił ją do siebie, szło od niej potężne młode ciepło. Podczas gdy inne jego dziewczęta były świadome swej dojrzałości, ta jest nie rozbudzona. Przyciska do siebie chłopca z taką siłą, niezwykłą nawet u młódki, że mogłaby mu klatkę piersiową zgruchotać.

- Wiesz, kogo masz za chłopca, Ewa?

- Wiem.

- Zbója.

- Nie żal ci tego, coś ludziom narobił?

- Ani trochę.

- Opowiedz mi o sobie, Jasiek.

- Nie umiem opowiadać. I nie byłoby o czym. Wojtek, ten by ci opowiadał! On ma gębę do gadania!

- I do jedzenia.

- Wy go też z tego znacie?

- Sam się nam chwalił, że gdzie on je, tam się ani pies, ani świnia nie pożywią z odpadków. Kiedy mówi dowcipy, ludzie płaczą ze śmiechu.

- Tak, jego można słuchać godzinami z rozdziawioną gębą. Miałem czterech zbijków jak konie. Chłopcy na podobieństwo dębów, przestraszyłabyś się na sam ich widok. Już ich nie mam, trzech ubici kulami, jeden raniony gnije w więzieniu.

- Duszę mam na ramieniu - szczebiotała. - Gdybym cię nie znała, bałabym się ciebie. Tylu ludzi ma strach przed tobą, mówią, żeś ty krwawy zbój, a ja widzę, że tak nie jest.

- Widocznie cię wzrok myli, dziewczynko.

- Podobam ci się? - spytała, trzepocząc figlarnie rzęsami.

- Oczywiście.

- Kto wie, czy nie byłoby mi lepiej, gdybym nie była córką mojego ojca.

- Dlaczego?

- Jakąś sierotą bez nikogo. Wtedy mogłabym zrobić, co chcę. Pójść za tobą, nosić ci jedzenie, koszule prać, spodnie łątać.

- Co ci za bzdury na myśl przychodzą? - wziął ją pod brodę i patrzył jej w twarz z uśmiechem. - Puknij się w czoło - i sam palcem zapukał nie w czoło, lecz w ciemną plamkę na skraju skroni.

Była obrażona, że ją wyśmiewa, że tak zbagatelizował jej najzarliwszy poryw serca. Przytulili się twarzami do siebie; parę patyków spadło ze stosu spod strzechy, kot skoczył zgrabnie z dachu stodoły na węgiel, z węgla na ziemię. Gdzieś kury zagdakały przestraszone. Ewa poczuła dreszcz, jak nagłe zemdlenie. - Chodźmy - rzekła.

Jasiek wszedł do izby, uciął gawędę ze starymi. Jeleń namawiał chłopaka, aby pozostał z dzień, dwa u niego. Na wszelki wypadek mógł go ukryć w loszku pod izbą, zamaskowanym nie do poznania. Stało na tym miejscu łóżko. Wystarczyło odsunąć dwie ruchome deski i po trzech schodkach wpuścić się do otworu, którego istnienia nikt domyślić by się nawet nie zdołał. W takiej kryjówce można siedzieć miesiącami i śmiać się z policji. Zbój wymówił się od zaproszenia obawą o pogodę. Gdyby śnieg upadł w nocy, nie dokopałby się chyba do towarzyszy.

Po rozmarzającym ciepłe góralskiej izby owiał go mroźny dech wyiskrzzonej nocy. Zapaliwszy papierosa, rozważał w drodze: „Żeby tylko ta dziewczyna sobie czego nie ubzdurała! Żeby to nie była przypadkiem miłość! I żeby, broń Boże, nie była to miłość na smutno! Jeleń, zacny człowiek. Nie wolno mu zrobić takiego świństwa, aby rozkochać w sobie dziewczynę i rzucić ją". Postanowił trzymać się z rezerwą wobec Ewy. Owszem, całować się mogą, ale nic więcej.

Kiedy przekraczał potok Goliasowy, wylazł mu naprzeciw Klimek. Stał pod pnem, w brązowej grubej kurtce, w butach z cholewami, wesoły, uśmiechnięty. Miał minę dziecka, które coś zbroiło i postawiło ojca wobec faktu dokonanego. Teraz w blasku księżycy wyglądał okazalej, niż oglądany po raz pierwszy w żydowskiej piwnicy przy naftowej lampie.

- Co ty tu robisz, Klimek?

- Szukam was.

- Dlaczego nie siedzisz u Żyda?

- Uciekłem. To nie dla mnie siedzieć w piwnicy. Prawie tak samo jak w ciupie. Chcę być z wami. Będę wam służył. Przyjmijcie mnie.

Rozczuliło to Jaśka.

- Chodź ze mną.

- Jużes nasz, Klimek.

- Jużes wpadł, bracie, jak śliwka w gównu - zakpił po swojemu Wojtek, opiekając skórę słoniny przy ogniu. - Ach, przydałby się szpaczek - westchnął. - Taka świetna okazja do popicia! Odstawiono mnie od wódki jak niemowlę od piersi, a przecież w Piśmie Świętym napisane jest, że bez spirytusu ani rusz.

- Nie kłam, bluźnierco - upomniał go łagodnie Jędrak.

- A we mszy świętej, kabanie, kapłan nie powtarza co drugie słowo „spirytus”? Co z tobą mówić, łaciny nie znasz, prostak jesteś.

Mimo pewnych, niesłusznych zresztą uprzedzeń Klimek okazał się dobrym towarzyszem.

- Szedłem do was kilka dni z Chochołowskiej Doliny - opowiadał, gdy siedzieli na mchu naokoło ogniska. - Już nie pamiętam, ile. Zleciałem dwukrotnie do wąwozu ze żlebu, podarłem ubranie w krzakach. Ale doszedłem.

Jędrak rzucił nań ciężkie podejrzenie, iż wśliznął się do ich kompanii z podmówienia policji, ale ponowne badanie Klimkowych kontaktów w przeszłości, zarządzane przez herszta, nie potwierdziło Jędrkowych domysłów.

Ponownie spadła na nich duża zima. Śnieg zaniósł się ogromny. Wojtek wygrywał fantastyczne sumy w groszach od Jędrka (gdyby grali o wyższe stawki, puściłby partnera bez portek). Jasiak leżał w kącie, puszczając w górę kłęby dymu. Klimek grał na ustnej harmonijce.

- Też sobie zabawkę wybrałeś! Jak dziecko zasmarkane ze wsi - strofował go wesołek.

- Wąsy ci się sypią pod nosem, a do harmonijki się bierzesz. Tyś przecież kształcony.

Grzało słońce marcowe, opalało twarz. Janosik leżał przed grotą. Ktoś kopał się w śniegu do nich.

- Kto to idzie?

- Człowiek - odparł swoim zwyczajem Wojtek.

Szedł na nartach Mach, gajowy z Jaworzyny. On tylko mógł sobie pozwolić na nieostrożność pozostawienia śladów; gajowemu chyba wolno uganiać po całym rewirze.

Banda miała na usługach ludzi po obu stronach granicy.

Janosik usiadł z gajowym na deskach narciarskich przed wejściem do pieczary. Zapalili papierosy, rozpoczęli rozmowę.

- Ale słonko smali - podjął pierwszy Jasiek.

- Chwalić Boga, dobra zima - przyświadczył Mach.

- Nudzi się nam tu.

- Karnawał mija - zaśmiał się gajowy. - Jeszcze tylko tydzień do wielkiego postu.

- Nawet mi nie mówcie, bo mnie taka ochota do tańczenia bierze, żebym z Hawrania na portkach zjechał po śniegu do karczmy na zabawę.

- No, no! - śmiał się gość. - Żebyście tylko z karczmy do kryminału kieźmarskiego nie trafili! Ale ja tu przyszedłem do was z interesem.

- No?

Gajowy przedstawił konkretną propozycję. Szło o zorganizowanie akcji przemytniczej.

- Czemu nie? Ja stary fachowiec od szmuglu.

- Mam człowieka w Lendaku, któremu będziecie donosili towar z Rzepiska. Tam jest nasz człowiek, Żyd Stein. Tylko uprzedzam was, że w Jurgowie przemycem zajmuje się Sobczak, hruby gazda, drab kuty na cztery nogi. On zagarnął wszystko, nikomu nie da nic zarobić. Jest z policją w zмовie. Ale was chyba nie będą zaczepiali. On może prowadzić swój interes, a swoją drogą my także możemy mieć swój zarobek.

- Zejdę do was, obgadamy sprawę. Jak tylko śniegi miną, możemy zacząć robotę.

Mach mrużył powieki, spoglądając w rozelśnione słońce.

- Wiosna będzie wczesna, na kamieniach we wsi śpiewają już kopciuszki.

- Żeby tylko prędzej przyszła - dorzucił stojący za nimi Wojtek - bo nas krew chce zalać z nudów.

- Co robi Banach? - spytał przybysza Janosik. - Widzieliście go?

- Mówiłem z nim. Chodziłem do Abrama po wódkę. U nas zabrakło. Czy republika się nam kończy, czy co? Posyłałem do Zdziaru, nawet i tam nie ma. Wykupiona. W tym tygodniu zapusty; na ostatki takie picie się kroi. Wstyd, żeby do drugiego państwa chodzić po alkohol.

- Co mówi Abram?

- Jak zwykle, narzeka na podatki.

- Że też nie zjawił się taki kombinator, który by zaproponował rządowi podatek od zbierania miodu! Opodatkować pszczoły u Banacha.

- To jeszcze mało - wtrącił Wojtek. - Sady opodatkować! Wodę w studni! Jeśli drzewo

w lesie płaci podatek od tego, że stoi, woda też ma prawo. Woda płynąca nie, bo ucieka sprzed nosa; za to chyba nie każą płacić. Ale wodę w studni mogą opodatkować. A rosę na łące? A deszcz na żniwa? A gruszki na wierzbie? A szyszki? A kwiaty w ogródku? A jaja u kury? Jeszcze jest tyle źródeł do wyciągania pieniędzy!

Łagodnymi serpentynami przerywał gość śnieżną kipieli, aż znikł w leśnej drożynie. Chłopcy zabrali się gorliwie do nowego zapasu papierosów. Jędrak rozpoczął znowu beznadziejnie przegrywać świeży zapas drobnych, otrzymany z dokonanego przed chwilą rozdziału pieniędzy. Janosik myślał z żalnością o straconych na dole okazjach do tańca. Klimek przyszywał oberwane guziki w kurtce. - Daj mi papierosa. Nic mi się nie chce robić. To wszystko wychodzi mi bokiem.

- Bokiem? - zdziwił się Wojtek. - To ciekawe, bo mnie całkiem inną stroną wychodzi.

Jasiek rozmyślał, spowity w kłębach dymu. Kim był jego ojciec, który mu nie dał nazwiska, który ostał się ukryty przed świadomością syna? Może dlatego gorzała w chłopcu niespokojna młodość, że wszędzie wnosił burzliwą tajemnicę swojej krwi, że zawsze i wszędzie pozostawał samotny? Nie mógł się przyznać do nikogo. Do jednego Śleпка przywiązał się jak do ojca. Ale i Ślepek już ziemię gryzie w grobie.

On wie dobrze, co znaczy być nieślubnym dzieckiem! Do dziś dnia pozostało mu w pamięci, jak cierń w ranie, przezwisko „bąk”, którym go stale wołano w ochronce. Bąk oznacza w gwarze wiejskiej bękarta. „Bąku” - huczy mu w uszach do dzisiaj pogardliwe miano z dawnych lat. Gdy go ktoś pytał o ojca, zawsze czerwienił się wstydem. Do matki ze smutną dumą mógł się przyznać: „Umarła” - lecz co powiedzieć o ojcu? Ojciec też jakby nie żył. Dlatego syn słusznie nazwany był Jaśkiem-Sierotą.

Usnął w grocie, odprowadzony w sen rzewną nutą Wojtkową. Wyłaził z niego w chwili bezczynności samotny, nieszczęśliwy włóczęga, pastuch krów, wywłoka, nieprawie dziecko niewiadomego ojca i matki-kaleki.

Kaleki? Kto powiedział, że kaleki?

Odcięci zaspą od sadyb ludzkich butwieli w nudzie, gorzknieli w przekleństwach. Klimek zabłysnął niesamowitym talentem karcianym. Gdy tylko oswoił się z towarzyszami, pokazał im lwi pazur. To była sensacja pieczary, wielkie zmartwienie Wojtka, zdetronizowanego mistrza. Klimkowi dopisywało stale szczęście w grze, tak iż podejrzewano go o praktyki oszukańcze, a Wojtek obiecywał zbić mu mordę. Nie dowiedziono jednak kompanowi niczego. Nielitościwie ogrywał kolegów do nitki, aż wdał się w to Jasiek, ustalając minimalne stawki, a później pozostawiając zwycięzcom tylko satysfakcję.

W przerwach między triumfami karcianymi Klimek stawał się ofiarą zjadliwego



Wojtkowego języka.

- Klimek to twoje imię czy nazwisko? - udaje niewinną minę wesolek. - Klemens rodem z kalendarza? Jak ci właściwie na imię, bo zapomniałem?

- Nie wiesz? - oburzył się tamten. - Józef.

- No, to mamy drugiego Józka - westchnął Wojtek - na miejsce naszego kolegi. Oby ci się lepiej wiodło niż jemu! Oślepl, biedak, a kto wie, czy i tobie podobne nieszczęście nie grozi.

- Dlaczego?

- Bo obaj macie nędznego patrona. Marny święty.

- Głupcze! Piłsudski też był Józef, a stał na czele państwa. I w marcu na świętego Józefa było święto w całej Polsce.

- Teraz, kiedy nie stoję przed komisją ani przed sądem, powiem ci: Piłsudski ani mnie ziębi, ani grzeje. Matka moja mówiła: „On ma czyste ręce”, ojciec zaś kłął na niego, że ludziom zamknął pysk na kłódkę i wszystkie posady w kraju rozdał dupkom za to tylko, że służyli z nim w legionach. Co mnie Piłsudski obchodzi? A kimże jest święty Józef? Z zawodu stolarz. I jako taki pracuje w niebie.

- Święty Józef to największy patron.

- Bodajeś pypcia złapał! Nie ma większego nad świętego Piotra, tumanie. Prezydent rady dwunastu apostołów, pierwszy zastępca Chrystusa Pana na ziemi - wyrzekł Wojtek z gorzką pogardą, zmieszaną z politowaniem. - A dla czegoż, ruro wołowa, święty Piotr ma klucze od nieba? Bo ma władzę nieograniczoną, od Boga daną. Kogo wpuści, ten jest zbawiony, kogo od bramy odepchnie, ten skazany na męki piekielne.

- Święty Józef, mój Wojciechu - odgryzał się protekcyjnie Klimek, przybierając ton nieomal naukowy - jest przybranym ojcem Pana Jezusa. Z tego wyciągniesz wniosek, że mogę mieć nie byle jakie protekcje w niebie, i to u samej góry, nie przy bramie. Widziałeś Świętą Rodzinę na obrazie? Święty Józef stoi z jednej strony Dzieciątka Jezus, z drugiej zaś Matka Boska. Więc kto jest najbliżej Pana Boga? Gdzie twój święty Piotr? Pod drzwiami załatwia gości!

- Powtarzam ci jeszcze raz: święty Piotr wydaje wstępy do nieba, rozstrzyga o rajach lub o potępieniu duszy. A święty Józef, prosty robotnik, należy do klasy pracującej.

- Święty Piotr był także rybakiem z zawodu, zanim się stał odźwiernym na drugim świecie.

- Nie obrażaj świętych, bo ci łeb rozwalę. Święty Piotr był pierwszym papieżem, rozumiesz? To wielka figura. Z gazety się dowiesz, że papież idzie przed królami. A stolarz?

Jak takiego traktują w niebie? Tak samo jak i na ziemi. Inni święci to kardynałowie, doktorzy, rycerze, uczeni, słowem - pracownicy umysłowi. Przypuśćmy, że święty Józef chce się iść zbadać do lekarza. Pokaż książeczkę, aha, stolarz. Mówią mu: „Poczekajcie, aż wszyscy wejdą, bo wyście pracownik fizyczny”. Tak, tak, kochany Józefie - klepnął Klimka po zwalistych plecach. Ten, choć jadał chleb z niejednego pieca i umiał się odcinać, przecież nie zdzierzył Wojtkowi w tej naiwnie bluźnierczej dyskusji teologicznej. Podczas gdy tamten rozpalał swój nieopisany temperament mówcy, Klimek już się znużył niebiańskim tematem. Usiadł przy Janosiku, wyciągnął przed siebie długie nogi i rzekł spokojnie, dobywając z kieszeni harmonijkę:

- Teraz, skoroś sobie gębę po same dziąsła nadarł, mogę ci powiedzieć, że na imię mi Maurycy - i zaczął czym prędzej grać, aby nie dopuścić Wojtka do nowego ataku.

Tak upływały dni w ciepłym gnieździe skalnym, wypełnionym dymem, poczwórnym gadaniem, chlupaniem, chrapaniem, kłótnością, śmiechem oraz nudą. Słońce iskrzyło się tęczą na sutych śniegach, mróz trwał. Góry z południa ostro odcinały się na błękitnie jaskrawą bielą, jakby wystrzyżone nożyczkami z kartonu.

Klimek znów rozpoczął opowiadać hetmanowi o Tatrach, o Krakowie. Mniej był wygadany od Wojtka, lecz inteligentny i więcej widział. Znanca gór zawołany. Ojciec jego był dawniej przewodnikiem, później przerzucił się na fiakrowanie w Zakopanem. Syn także kształcił się na przewodnika górskiego; nie myślał jednak o górach, zdobywszy posadę w świetnie prosperującej restauracji. Zapowiadał się też dobrze jako skoczek narciarski. Chorował niestety na lenistwo, tak że nie osiągnął sukcesów w tym sporcie. Był trochę bitnikiem; twierdził, iż pochodzi to z nerwów.

- Ach, chciałbym poznać świat! - skarżył się harnaś, najmłodszy wiekiem, a najstarszy rangą. - Nigdzie nie byłem. Gdzie można pieszo dojść? Beskid, kawałek Śląska, Podhale, trochę Tatr, Spisz i Orawa, to wszystko, co zwiedziłem. Niby w dwóch państwach byłem, a największe miasto, które widziałem, to Bielsko. Chciałbym być w Krakowie.

- Będiesz - ozwał się Wojtek.

- Przypuszczam - odpowiedział Janosik. - Teraz, zanim Jędrus ugotuje nam kolację, zróbcie śpiew i muzykę. Po koncercie otrzymacie premię w postaci dwóch papierosów.

Wojtek zaczął pochrząkiwać, jakby dogrzebując się najbardziej metalicznych pokładów swojego nigdy nie zużytego głosu, Klimek zaś czyścił o rękaw harmonijkę, którą niebawem miał znowu zapluć sążnistym dmuchaniem. Tak dobiegał końca dzień w hawrańskiej pieczarze.

Przewiał ostry, wyraźnie ciepły halny, dmąc przez dwie doby z ogromną siłą. Jeszcze przez następne pół tygodnia, słabnąc, porykiwał w lasach. Śnieg kurczył się w wyższych rejonach, dołem zanikał. Jasiak znów zamieszkał u Jarzabka, towarzysze wylegiwali się nadal na Hawraniu.

- Znak wam dam, kiedy macie wyjść - zapowiadał im, opuszczając Wojtkowy Pałac. Spotkał się z Banachem, po raz pierwszy dowiedział się nowin o Wojnarze. Na zjeździe ludowców w Nowym Targu rozmawiał jurgowski przywódca z działaczami partyjnymi z Żywieccyzny i usłyszał od nich, że Wojnar miał proces z oskarżenia wójta jeleśniańskiego o niebezpieczne pogroźki i obrazę. Wójt wezwał go podobno do gminy, coś mu tam miał ubliżyć, chłop sobie nie dał w gębę pluć, zaczęli się przemawiać. Był obecny przy tym przodownik policji, wójt podał go za świadka. I Wojnar zarobił za to trzy tygodnie paki w Żywcu.

- Tak, tak, wójt Franczak to kawał draba - stwierdził Janosik i chłód dziwny rozlał się mu po twarzy. - Będziecie u Jelenia?

- Będę.

- Ja tam wpadnę.

Z roztargnieniem słuchał relacji Abrama o przygotowaniach do chodu przemytniczego. Szynkarzowi bowiem powierzył pośrednictwo w dostawie przemytu z Rzepiska do Jurgowa. Przed oczyma stanęła mu Jeleśnia: chałupa Wojnara na wzgórzu, krzyż na cmentarzu zmarłych na cholere, rynek z kościołem, Haberową karczmą i sklepem Pasika, plebania, cmentarne wysokie kasztany, pod którymi leży Ślepek, murowana szkoła - największy budynek wsi, tartak, w połowie drogi do niego szeroki dom Franczaka, mieszczący w sobie urząd gminny. Z okna domu wyjrzała gruba, wąsata twarz wójta. Chłód twarzy udzielił się oczom; błyskał w nich zimny ogień. Znowu nawiedziło go uczucie przejmującej pustki, straszliwy smutek osamotnienia. Z kim zamierza walczyć i kimże jest? Pastuchem krów, któremu ubzdurało się w głowie, że jest mścicielem ludu, a który w rzeczywistości jest zwykłym bandytą.

Był wieczór niedzielny. Jasiak wybrał się do Grochałowic. Znalazł Ewę krzątającą się koło bydła w stajni. Ciekawe, co ona ma tam teraz do roboty? Jest służąca i matka, w dodatku dziś niedziela, dzień ma się ku końcowi, a córka ciągle siedzi przy krowach. Był niedomyślny. Dziewczyna, widząc go, celowo wychodziła z izby, aby spotkać się z nim w cztery oczy na neutralnym gruncie.

Ogarnął go ciepły dech żywych bydła, gnoju i słomy. Pomimo to chłód nie zniknął z jego twarzy. Nie pocałował jej na powitanie, choć spodziewała się tego. Wyglądał jakoś obco,

lodowato. Wyjął z kieszeni pierścień, skradziony na Spiszu.

- Wprawdzie ja ci się nie podobam, ale ty mi się podobasz. I dlatego daję ci w podarunku ten pierścionek.

Tyle razy już miał go jej zanieść, zawsze zapominał o tym w ostatnim momencie. Głos jego brzmiał oschle, cała ta scena straciła wdzięk, jakiego mogłaby nabrać w innych okolicznościach. Rozzłościło ją to zachowanie.

- Skąd wiesz, że mi się nie podobasz? - spytała szorstko.

- Sama mi to powiedziałaś.

- Możliwe. - Bawiła się pierścionkiem, złoto lśniło w mroku. Nie miała gdzie schować klejnotu, włożyła go na palec i czekała. Może ruszy ku niej w ciemności. Przecież nie będzie mu się sama rzucała na szyję. Och, ci mężczyźni! Jak oni nie rozumieją kobiet! Dawniej za rękę ją łapał, teraz ma ją koło siebie i nic. Żeby choć trochę czułości okazał! Przecież to nie jest nieśmiałość, zna go na tyle. Żeby ją wziął w ramiona! Po cóż tu wyszła? Ogarnęła ją wściekłość na niego. Brutal, podeptał wszystko to, co tak pięknie rozpoczął; całe poprzednie spotkanie zatarł i zatrul.

Głupio im było obojgu. Zapalił papierosa. W świetle zapałki ujrzała jego twarz bladą, ostrą, pozbawioną uśmiechu. Wyciągnął ku niej płonącą zapałkę, oświetlił.

- Więc jak to? Nie zeszedł ci jeszcze znad oka ten kwiatek? Już tak pozostanie na zawsze? Trudno, niech zostanie - zgodził się żartobliwie.

Z tą żartobliwą ironią wydał się jej wstrętny. Już nie pocałuje jej dzisiaj. Szkoda. Nastrój zepsuty. W myśli powiedziała sobie: „Znienawidzę cię na zawsze”.

Opuściła stajnię, szedł za nią chmurny. Dopiero w Jeleniowej izbie wpadł w gwar męskich głosów i w dym tytoniowy; to go nieco ocuciło. Jak zwykle w niedzielę, zeszli się naokoło stołu sąsiedzi i radzą.

- Robotnik może żądać podwyżki wynagrodzenia za pracę, chłop nie. Robotnik w mieście może legalnie za pomocą strajku bronić się przeciw wyzyskowi, tak? Chłop nie może!

- Taka sprawiedliwość!

- A przecież żądania strajkujących robotników muszą być słuszne, skoro zostają zaspokojone. Więc strajk robotniczy jest legalny, a strajk chłopski jest zbrodnią?

- Takich czasów dożyliśmy!

Banach popatrzył niemo. Janosik zapalał powoli papierosa. Zaciągnął się, wypuścił kłąb dymu i uciał sucho:

- Gnijcie dalej, skoro jesteście głupi.

Nie spodziewali się tego wyrzutu, ale jeden z górali przyświadczył:

- To prawda. Jeszcze jest dużo ciemnoty w chłopskim narodzie.

- Co mnie to wszystko obchodzi? Pranie nie odebrane od Lewaka, nie zapłaciłem za prowiant z tamtego tygodnia i na nodze w dodatku zrobił mi się wrzód - z uśmiechem rozglądał się wokoło, jak dziecko, które starszym zrobiło na przekór.

- Słuchaj, Jasiu - perswadował Banach. - Rzuć to wszystko, coś dotychczas robił. Poślemy cię do Krakowa, będziesz się kształcił.

- Ho, ho! - zaśmiał się. - Zanim dostanę się na naukę do Krakowa, utknę w nowotarskiej ciupie. Słyszałem to już od Wojnara w Jeleśni, znam to na pamięć. Nie kuście mnie, Banach. Powtarzam wam: dla mnie nie ma powrotu do świata.

- Chwyć się porządnego życia.

- Jestem wyrzucony poza nawias społeczeństwa.

- Wszelkimi siłami postaramy się przywrócić ci prawa uczciwego obywatela.

- Boże! Nawet dowcipy Wojtka nie są tak zabawne! Wy chcecie mi przywrócić prawa? Cóż wy możecie zrobić? Sędzia to załatwia. A sędzia poszukuje mnie od dawna jako bandytę.

- Odcierpisz więzienie. Weźmiemy dla ciebie adwokatów z Warszawy i z Krakowa.

Zbój zaśmiał się gorzko. Czy nie słyszał już tego od Wojnara w Jeleśni?

- Nie puszczą mnie tak prędko na wolność, choćby mnie broniło dziesięciu najlepszych adwokatów.

- Możesz liczyć na amnestię.

- Tylko łajdaki na to liczą. Każda zbrodnia musi być ukarana.

- Jesteś mężczyzną, mówię ci prawdę w oczy. W najgorszym wypadku po dziesięciu latach jeszcze będziesz młody. Chłopcze, ty nie masz dwudziestu lat! Życie możesz zacząć przy nas!

Janosik wstał z ławy, rozprężył ręce, zawiesił wzrok na lampie.

- Nie opowiadajcie głupstw, panie Banach. Sami w to nie wierzycie. Kogo myślicie pocieszać? Nie łudźcie mnie ani siebie. Nie okłamujmy się nawzajem. Ja dobrze wiem, jak się sprawy mają.

Wbił w niego swój ostry wzrok. Gospodarz umilkł, spuściwszy oczy ku ziemi jak człowiek, który się poddaje.

- Jestem bandytą. I dlatego muszę się ukrywać. Pan starosta mnie skaże i wtrąci do więzienia. Szkoda gadać.

Przez całą noc nie spał; myślał o Wojnarze i Franczaku. W ciemności najlepiej widział sprawy, których ważność ginęła w świetle dziennym; dopiero w nocy występowały przed nim wyraźniej. Raniutko wstał z gotowym planem. Zapakował na plecy prowiant i ruszył ku Hawraniowi. Przed tygodniem rodzina Klimka z Murzasichla dostarczyła do szynku Abrama Foertera żywność, która mogła im wystarczyć na miesiąc. Karczmarz taskał ją trzykrotnie, zanim złożył w gajówce.

Jędrak ugotował doskonały obiad ze świeżych zapasów.

Na twarzy Wojtka wykwitł rumieniec błęgiego wzruszenia. Po południu Jasiak ubrał się odświętnie, zawiązał krawat pod szyją, wdział włochatą zielonkawą kurtkę z Toporowej Cyrli; miała ona być niebawem podarowana nie znanemu jeszcze biedakowi.

- Znowu idziesz?

- Znowu - odpowiedział. Stał gotów do wyjścia. - Chłopcy, mam załatwić pewien ważny chód. Sam, bez świadków. Nie wiem, jak mi się powiedzie. Myślę, że dobrze. Dziś jest poniedziałek. Czekać na mnie do niedzieli. Jeżeli nie wrócę, to znaczy, że nie będzie mnie między wolnymi. Zbijajcie beze mnie.

- Matko Chrystusowa! Nie mów tak! - jęknął płaczliwie Wojtek. - Co my bez ciebie zrobimy? Królowo Wszystkich Świętych! - wznosił oczy pobożnie do nieba. - My bez ciebie jak sieroty bez ojca i bez matki; jak kurczęta, którym kwokę na rosół zarżnięto; jak ślepe trusie, którym króliczka zdechła, kopnięta przez krowę.

- Nie rób z siebie błazna. Siedźcie spokojnie. Powtarzam: jeśli do niedzieli rana nie będę przy was, to już nigdy nie będę. Wtedy otwórzcie kopertę, którą złożę u Jarzabka, i postąpcie tak, jak tam napisano. Po mnie przewodzi nad wami Wojtek. On będzie miał pieniądze, jego słuchajcie. Pozwólcie mu się nażyć.

Po ciemku już dotarł do Jarzabka. Ten zdziwił się niemało, widząc Jaśka ponownie tego dnia u siebie.

- Wy macie nogi, Janosik, jak jeleni! - kiwał głową ze zdumieniem. - Ten z Jaworzyny, nie z Grochałowic.

- Jutro rano wyjeżdżam pod Nowy Targ załatwić mały interes - objaśniał gospodarza właściciel przed chwilą pochwalonych nóg. - Nie będzie mnie tu tydzień. Zatrzymajcie tę kopertę. Gdybym nie zdążył wrócić do niedzieli, dajcie ją Wojtkowi, który się tu zgłosi.

Zjadł kolację i poszedł spać. Jeszcze przed usnięciem oglądał w wyobraźni uważnie chałupę Franczaka, dojdąc do niej, rozważając plan wizyty oraz ucieczki. I podczas tego intensywnego myślenia zapadł w nieświadomość.

Był świt, kiedy już kręcił się w kuchni z papierosem w zębach. Jarzabkowa ugotowała

mu mleko. Posiłkował się śniadaniem, po czym wymknął się z gajówki, pogwizdując z cicha. Nie schodził do Jurgowa, walił wprost na zachód przez Ciche i Murzasichle do Zakopanego. Podwiózł się na furce. Trzęsąc się po wybojach, ogarniał wzrokiem przyrodę budzącą się z długiego snu. Na polach wystrzelały kwiaty górskiego przedwiośnia.

W uzdrowisku ogarnęło go tchnienie miasta; szybki, gorączkowy ruch, gromady opalonych narciarzy, przybyłych tu na firmy i słońce, sklepy błyszczące wystawami, auta warczące po ulicach.

Nie bawił długo. O dziesiątej odchodził pociąg do Krakowa. Przed kasą biletową ogonek. Już siedzi w wagonie; gwizdek, pociąg rusza. Ależ tu ludzi! O dwunastej będzie w Suchej. Z zajęciem obserwował przez okno krajobraz. Od Nowego Targu przepadł ślad śniegu. Tu już zapomniano o zimie; na polach rozpoczęto prace. Kiedy w południe wysiadł na peronie w Suchej, opadło go prawie ciepłe tchnienie powietrza.

Boże! Nic się tu nie zmieniło! Z trwożnym wzruszeniem popatrzył na rampę, zasłaną stosem drzew, z której go zabrał przed rokiem Witkowski. Nie było czasu do stracenia. Pociąg żywiecki stał sycząc parą. Janosik spojrzał na znajomą sobie drogę wiodącą na zachód; lśniła od rzadkiego błota niby struga rzeki. Pociąg, złożony zaledwie z sześciu wagonów, wzywał pasażera ciężkim dyszeniem lokomotywy. Za półtorej godziny będzie w Żywcu. A nuż natknie się w przedziale na kogoś, kto go pozna? Ryzyko? Całe jego życie obecne jest jednym ryzykiem. Nie wahał się ani chwili, parowóz przesyłał mu sapiące wezwania. Podeszedł do kasy biletowej.

- Proszę do Żywca.

- Niech się pan śpieszy, za dwie minuty odjazd. Pociąg prawie pusty.

Jasiek usiadł pod oknem, spojrzał na niebo zaciągające się chmurami. Pociąg drgnął, parowóz ciężko odetchnął, nabierając sił, i ruszył.

Już raz ten sam pasażer jechał tym pociągiem. Siedział nie sam, jak teraz, lecz w towarzystwie anioła stróża z karabinem. Ogarniało go coraz większe wzruszenie, kiedy lokomotywa zaczęła stękać, drapiąc się ku Hucisku. Przejeżdżali przez przesiekę leśną, wpił oczy w szybę, gdzieś w tym miejscu hipnął z wagonu. Jak szczęśliwie się złożyło, że na tej zakazanej linii używa się starych wozów z platformą wyjściową, zamiast zamykanych drzwiczek! Gdyby nie to, hetman nie siedziałby dzisiaj w tym wagonie. Tamten pociąg zawiózłby go do stacji przeznaczenia.

Od skoku z pociągu rozpoczęła się wówczas jego kariera zbójcka. Kiedyż to było? W grudniu zaprzeszłego roku; szesnaście miesięcy minęło od tego czasu. Zamknął oczy, bo krajobraz, nawiedzony wspomnieniami, kłuł go boleśnie. Już w tyle zostało Hucisko, już łeb

Cyłu wyzierał znad lasów. Parowóz, hamując pęd, zsuwał się w dolinę Jeleśni. Na południu odsłoniła się biała czapa Pilska, nad Cylem ukazała się jak zjawia Wielka Babia; jej szczytowe śniegi brodziły w chmurach. Wzruszenie rozsadzało pasażera. Serce tłukło się jak oszalałe. Od wierchów płynął ku niemu znajomy zew. Śniegi babiogórskie przyzywały go: „Pozostań tu, twoje życie należy do nas”. Krew zabitych towarzyszy wołała go: „Pomścij nas”. Po co tu przyjeżdżał? Powinien zjawić się w nocy i nocą opuścić to miejsce.

Z pagórków otworzył się widok na rozległą wieś. Mimo iż było południe, jakaś ośma mroczyła brzegi widnokregu. Niebo miało barwę popiołu. Tu zimniej niż w Sucheju. Może spadnie śnieg? Przewalili się z hałasem przez mostek żelazny na Bystrej. Ile razy przeskakiwał po kamieniach tę rzeczkę w jej wyższym biegu! Zobaczył wysoki komin tartaku, czerwoną wieżę kościoła, utopioną w nagich gałęziach kasztanów. To wszystko. Pociąg zatrzymał się dwie minuty na stacji. Wsiadły trzy kobieciny. Na peronie pusto. Naczelnik stacji o twarzy bladej jak kreda podpisał papierek kierownikowi pociągu, machnął ręką, parowóz stęknął i odjechał. Jasiak mógłby tu nawet wysiąść i nikt by nie zwrócił uwagi w tej martwocie. A może właśnie dlatego, że tak pusto, wzbudziłby ciekawość? Pociąg oddalał się teraz szybciej po równinie, mijając szosę żywiecką na przejeździe. Za drągiem jakiś furman wlepił oczy bezmyślnie w wagony. Obudowana domami droga błyskała taflami kałuż. Niebo wisiało nisko nad wsią.

Jeszcze raz mignął komin tartaku, gołe kasztany z nadzianą na nie wieżą, w tyle na lewo zabielał jednopiętrowy budynek dworca i Jeleśnia przepadła. Tylko dwa śnieżyste czuby stróżujące nad doliną nie opuściły krajobrazu w oknie, towarzysząc pasażerowi do samego Żywca.

„Nocą się zjawię i nocą stąd wyjadę” - tak sobie powiedział i tak wykonał. O jedenastej godzinie, kiedy wieś Jeleśnia ułożyła się do zasłużonego snu, zawarczał samochód na ubłoconej drodze. Zatrzymał się przed wsią, zgasił światła, gość zatrzasnął drzwiczki i wyszedł w ciemność, obiecując szoferowi wrócić za pół godziny. Kierowca otrzymał suty zadatek, a szczodry pasażer nie chciał narażać resorów po wybojach i kałużach gminnej drogi. - Pieszko dojdę i załatwię. - Słusznie; szofer ułożył się do drzemki.

Noc była zimna, ale Jaśka rozgrzewała ochota. To kwadrans drogi. Był pełen energii; noc zawsze sprzyjała jego zamysłom. Wybrał drożynę równoległą do głównej drogi, którą zazwyczaj jako krótszą chodzili ludzie idąc ze stacji do rynku. Położona wśród pól, na tyłach domów, wbiegała na główny szlak dopiero koło urzędu pocztowego, kilkaset metrów przed samym kościołem.

Nie spotkał nikogo, nawet psa. Obmacywał rewolwery w kieszeniach, wstępował



bowiem między zabudowania. Minął urząd pocztowy. Ta jednopiętrowka, jeszcze nie wykończona, należy do reemigranta z Ameryki. W mroku wykłuła się wieża kościelna na tle cmentarnych lip i kasztanów. Tu, na lewo od drogi, stoi dom Franczaka; bliżej stodoła, w głębi chałupa mieszkalna. Krążył przez chwilę naokoło zabudowań. To źle, że sąsiedztwo tak blisko; lecz znowu nie tak blisko, aby ludzie mogli słyszeć. Zresztą na wsi śpi się twardo, przekonał się o tym. Nie było śladu życia w chałupach. Żeby tylko pies nie narobił hałasu! Na szczęście pies wójtowski był na noc spuszcany. Jednakże pies z sąsiedztwa, czując człowieka, zaczął szczekać. Opryszek zaklął i przywarował. Kundel nie uspokoił się; z podwójną gorliwością spełniał, uczciwiec, swoje zadanie. Nie było rady, Jasiak podszedł do okna, zapukał w szybę.

- Panie wójcie - starał się mówić tak, aby głos między ramą okienną szedł do wnętrza - ja tu przysłany z pilnym listem od sołtysa z Korbielowa. Z pilnym listem - wionął białą kopertą przez szybę. Słysząc było, jak w izbie ktoś stęknął, wstał z łóżka, odezwały się dwa głosy, wreszcie zwalista postać w białiznie podeszła do okna, odryglowała haczyk. Przybysz, trzymając w lewej ręce kopertę, machał nią ciągle jak przynętą. Okno uchyliło się, wójt spod wąsów zapytał:

- Co jest do jasnego pioruna? Jutro rano nie ma czasu? Pali się? Dziś po nocy musicie mnie budzić?

Wyciągnął rękę po list. Janosik otworzył szerzej połówkę okna, napał na nią całym ciałem, prawą ręką wyciągnął błyskawicznie rewolwer i przytknął go do piersi stojącego w oknie.

- Aaa! - chrapliwe rżenie strachu dobyło się z piersi wójtowskiej. Potężna postać w koszuli zachybotła się. Zbój wskoczył już za nim przez okno, sycząc:

- Ciiicho, jeśli panu życie miłe. Przyszedłem pana obrabować, ale mogę tak samo zabić. Kto jeszcze u was śpi w domu? - zwrócił oko lampki elektrycznej na łóżko pod ścianą, gdzie grzebała się w pierzynie wójtowa.

- Nikt więcej - wyjąkał wójt.

- Kłamiesz! Gdzie wasza służąca?

- Śpi w kuchni.

Opryszek otworzył drzwi, wołając do wnętrza:

- Niech no panienska zwlecze się ze spania.

Doszły go jakieś westchnienia.

- Prędko! Bo przyjdę popędzić i po łbie dam.

Dziewczyna ukazała się w progu, przerażona, rozkudłaczona, otulona w koc.

- Marsz do łóżka! - pokazał jej miejsce rewolwerem. - Do pani wójtowej!

Posłuchała. Zaczęły obie pojękiwać wśród pościeli.

- Gdzie pieniądze?

Wójtowi drgały ze strachu wąsy, lecz odpowiedział twardo:

- Nie mam.

- Do jasnej cholery! Pan nie ma pieniędzy? Więc kto będzie miał?

- Nie mam.

Janosik wyrznął go w szczękę, wójt zachwiał się, przygiął w kolanach, chwycił się stołu, zasyczał:

- Ach, draniu!

Żona jęknęła z płaczem:

- Zygmunt, daj.

- Jak dam, kiedy wszystkie pieniądze poszły do Żywca?

- Ty knurze opasły! Kłamliwy psie! - zbój dołożył wójtowi jeszcze raz w łeb. Kobiety pod ścianą zawyły. - Moi chłopcy spalą wam w tej chwili dom! A ja ci wpakuję kulę w łeb. Otworzyć tę szafę!

Z rewolwerem na łopacie ofiary asystował przy otwieraniu szafy. Wójt klęknął nachylony nad szufladą. Lampka kieszonkowa, położona na podłodze, rzuciła snop światła na powałę. Pies na szczęście już ucichł. Wójt kopał w papierach, wyciągnął trzy dwudziestozłotowe banknoty, podając rabusiowi. Tamtego porwała wściekłość. Przełożył rewolwer do lewej ręki, a prawą, zwiniętą w pięść, machnął na odlew w skroń skąpca, który runął z łoskotem na deski podłogi. Gorączkowo wywalił napastnik zawartość szuflad, rozrzucił stertę papierów, władował w kieszeń pliki banknotów po dwadzieścia i pięćdziesiąt złotych; osobno setki, ujęte w spinacze. Wójt leżał bez ruchu, obie kobiety zmartwiały, modląc się i pochlipując z cicha. Janosik przewracał kupę papierzysk. Co jeszcze? Jakiś zegarek, łańcuszek, korale, pierścionki...

Wstał. Rewolwer w prawej ręce, lampka w lewej.

- Co mu pan zrobił? On nie żyje! - załkała wójtowa.

- Na nieszczęście jeszcze żyje. Wiecie, kto jestem?

- Wiemy - odpowiedziały obydwie.

- To łajdak - rzekł, wskazując na leżącego. - Przez niego jestem bandytą.

Wyglądał jak duch zemsty.

- Macie siedzieć bez ruchu do rana. Inaczej wasz dom spłonie.

Kopnął na odchodnym ciało wójtowskie, chybnął w okno, przesadził, już go nie było.

Buchnął na drogę. Nawet pies zasnął, bo się nie odezwał. Wiał ostry wiatr z północy, chmury gromadziły się na nieboskłonie w niekształtnych zwałach. Zbój minął pocztę i znalazłszy się na drożynie, puścił się biegiem. Parł rażno w samo czoło wiatru, w chmurzystą północ. Za kilka minut był przy taksówce. Obudził szofera.

- Jedziemy.

Motor zagrał. Janosik spojrział na zegarek.

- Za kwadrans dwunasta. O pierwszej mamy być w Suchej, niech pan pamięta!

Jechali pełnym gazem. Rzeczywiście za godzinę znaleźli się w Suchej. Gość polecił kierowcy kupić zakąski w restauracji dworcowej, po czym natychmiast ruszyli dalej na Maków, Jordanów, Chabówkę, Nowy Targ. Posilali się w milczeniu.

Okolo piątej nad ranem taksówka przejeżdżała przez uśpione Zakopane, mknąc szosą do Morskiego Oka. Na wysokości Wierchporońca przy serpentynie leśnej zatrzymała się na znak pasażera.

Robił się świt. Popadywał suchy, kłujący śnieg, mroząc i grzejąc na przemian. Jasiek wyszedł z auta zziębnięty, skurczony. W jednej ręce trzymał rewolwer, w drugiej pieniądze.

- Oto dwieście złotych za jazdę. Za grzeczność i łaskawy pośpiech dodaję jeszcze sto. Wolałbym, aby pan nie wracał do Żywca przez Suchą. Proszę sobie wybrać inną drogę. I proszę o dyskrecję w pańskim własnym interesie. Dokąd pan jeździł, to pańska prywatna sprawa.

Czekał, aż auto zawróciło i pognało na gacie ku Zakopanemu, po czym wsiąkł w graniczny las nad Białką i przepadł. Do legowiska miał niecałą milę. Właśnie nad Hawraniem rozmazywała się płomienista gama kolorów, z której za pół godziny miało wytrysnąć słońce. Maszerował w stronę żywego świtu, dołem zarosłego leśną ciemnością, ciągle mając przed oczyma wąsatą gębę wójta Franczaka. To nic nie znaczy dać mu po zębach. Zbicie po twarzy zwierzchnika gminnego to żadne zelżenie dla Franczaka; zawsze był bez honoru. Ale chciwiec okradziony - to może dotkliwsza kara. Kto wie?

O zmierzchu siedział nad trawiastym upłazem w Hawraniu, spoglądając na północ. Kilkumorgowy łąn kosodrzewiny ścielił się pod łagodną, zawaloną głazami kopułą Ostregnicy. Ziąb skuwał ziemię. Za plecami patrzącego usypiały w śniegu postrzępione granie; smutek sączył się z nich na całą dolinę. Jasiek lubił tę porę, kiedy ciemność przesiąka w lasy, kiedy człowiek bliższy jest śmierci niż snu.

Podzieleni na dwie partie odstawili gładko przemyt z Lendaku do Rzepiska. Przy okazji wizyty u Jarzabka Jasiek nie omieszkał odwiedzić Grochałowiec. Znów doszedł do

porozumienia z Ewą. Miała z nim zerwać nieodwołalnie, ale kiedy go zobaczyła, odmieniło się w niej wszystko. Był znowu wesoły, rozmowny, promieniał uśmiechem. Tak podziałała nań zapewne jeleśniańska przygoda. Dokonał przecież zemsty na Franczaku.

I jemu Ewa wydała się piękna. Może to wiosna, pękająca dokoła, tak w niej rozkwitała? Twarz miała pociągłą, o karnacji jasnokremowej, oczy wielkie, brunatnozielone, zawsze szeroko rozwarte, jakby się czemuś dziwiły. W swej regularności twarz ta przypominała nieco Zośkę:

- Opowiedz mi coś o sobie.

- Mam włosy ciemnoblonde i oczy brązowe. Nie wiem sama, skąd u mnie takie oczy. W całej rodzinie naszej takich nie było. Matka ma oczy niebieskie, a włosy czarne. Ojciec za to także niebieskooki, ma włosy jasne.

- Dawno ściąłś włosy?

- Dwa lata temu. Nosiałam dawniej gruby warkocz.

- Miałaś chłopców?

Zawahała się przez chwilę.

- Chodziłam z chłopcami, ale to nie to, o czym ty myślisz. W żadnym się nie kochałam.

Czy nie kłamała? Przecież kochała Ludka, chłopca na schwał, którego zabili w górach parobcy. O, bo nie przepuścił żadnemu; nie pozwolił nikomu zbliżyć się do swojej dziewczyny. Przysięgała sobie, że się nie uśmiechnie więcej w życiu, nie spojrzy na żadnego chłopaka. Jeszcze cały rok nie minął; czyżby była tak przewrotna? A jednak nie kochała dotąd nikogo tak jak Jaśka i zdawało się jej, że gdyby ją teraz porzucił, nie byłaby zdolna pokochać nikogo więcej w życiu.

Całował ją w szyję; spłynęła po niej fala gorąca aż do serca. Przywarł ustami w wycięcie bluzki, w przesmyk pomiędzy piersiami. Znow prąd elektryczny poraził ją i obezwładnił, oczy stały się prawie szare, przepastnie rozwarte. Było w niej coś z dziecka, a trochę z wielkiej pani. Naiwna jak dziecko, wyniosła jak hrabina. Lubił, gdy nucila śpiewki tatrzańskie, proste i smutne melodie.

- Och, dziecino! Jakby mi ktoś dziesięć lat ujął, kiedy słyszę twój śpiew. Młodniej, młodniej, jak Boga kocham, kiedy śpiewasz tę piosenkę.

Dziewczyna mierzyła go wzrokiem uważnie; o czym on może mówić nocami z ojcem lub z Banachem?

- Czego ty chcesz, Jasiek? Do czego dążysz?

- Czego ja chcę? Życ swobodnie w dolinie Jaworowej, leżeć brzuchem do słońca,

patrzeć na chmury, raz na tydzień zejść na Halę Goliassowską po żarcie.

- To niedużo.

W gałęziach gwizdał perliście słowik, robiło się ciepło. Jasiak stał oparty o pień, z rękami w kieszeniach.

- Nie chce ci się spać? - ćwierkała mu nad uchem jak ptak w gałęziach. - Że ty tak zawsze po nocy łazisz!

- Kiedy ma zbój chodzić?

- Musisz w takim razie w dzień sypiać. Całkiem na odwrót niż my.

- Nigdy w dzień nie śpię.

- Przenocuj u nas.

- Mam tu gdzie indziej stały hotel. Zresztą przyzwyczailem się do niespania. Dawniej oczy mnie piekły z tego, teraz nie. Przemywałem je wodą i byłem jak nowo narodzony. Tak samo nie odczuwam głodu.

Przyłożyła do twarzy jego ciepłą rękę. - Jak ty będziesz wyglądał za pięć lat, Janosik? - rzuciła niespodziewanie. - Czy też ja cię poznam?

- Za to ja ciebie poznam po tym nieśmiertelnym kwiatku.

- Kiedy będziesz na gospodarstwie z żoną - ciągnęła dalej - wśród innych, nowych ludzi.

- Tylko mi nie mów o żonie! - zachnął się. - Gnić na gospodarstwie! Chciałbym coś jeszcze zobaczyć. Nie potrafiłbym wytrzymać w domu. Mógłbym zniechęcić wszystkich naokoło. Umarłbym z nudów.

- Przy żonie?

- Nie pleć głupstw. Żonę zabiłbym ze złości. Albo jeszcze prędzej ona uciekłaby ode mnie.

- A miłość? - szepnęła nieśmiało.

- He, miłość! Miłość to znaczy niewola.

Dziwnie mówił. Stał przy niej, a przecież jakby samo powietrze odrywało go od dziewczyny. - Mieć ciebie przy sobie, a być każdej chwili wolnym jak ptak, o, to byłoby piękne! Ale to się nigdy nie zdarzy.

- Dlaczego? Czy myślisz, że jedno nie da się z drugim połączyć? - przeraziła się jego determinacji.

- Może jestem obłąkany, czy ja wiem? Zdawało mi się, że będę porządnym człowiekiem. To była pomyłka. I teraz za to cierpię.

Jakie to górne, niezrozumiałe! Nie słyszała jeszcze nikogo, kto by tak mówił.

Chwyciło ją wzruszenie tak mocne, że równe chyba swym napięciem śmierci. Szamotała się w próżni, przeniknięta namiętnością nie opuszczającą jej nigdy, ani przy pracy, ani podczas snu.

W dolinie u stóp Hawrania morze boru jaworzyńskiego falowało pod smaganiem wiatru. Jasiak podniósł wzrok ku Zadnim Koperszadom. „Skąd się wzięły góry na świecie?” - zaczął się głowić nad dziwnym pytaniem. Inteligencja jego pracowała, ale nie miał wykształcenia, nie mógł na to znaleźć odpowiedzi. Pełen był starożytnej wiary nieuczonego człowieka, który zaludnił niebo niższe i wyższe tłumnym światem żywiołu. Wierzył, że najjaśniejsze gwiazdy wiszą w krzyż na firmamencie letnim, że siedem Panien ze wschodu na zachód przecina Drogę Mleczną, że Srebrny Potok ciecze znad Strzelca, a wszystkie gwiazdy, które spadają w końcu sierpnia, muszą przelecieć przez jego sito. Ale skąd się wzięły góry przy powstaniu świata?

Nowy wróg zjawił się na horyzoncie. Przewidywali go trzej zaufani wodza: Banach, Jarząbek i Mach, sądzili jednak, że nie będzie on śmiały zaczynać z harnasiem. Był nim Sobczak, jeden z najgrubszych gospodarzy jurgowskich. Pierwsza przybiegła do Jarząbka Ewa, aby ostrzec Jaśka przed nim. Ten drab miał długie uszy. Od razu nie uszła jego uwagi robota konkurentów.

- Sobczak za tobą węszy.
- Nie znam go - wzruszył ramionami harnaś.
- Ale on ciebie zna. Cięty jest na was, że chodzicie ze szmuglem.
- Niech się poskarży straży granicznej.
- To nie ma nic do rzeczy.
- Cóż to? Jemu tylko wolno?
- On ma spółkę z policją, jemu nic nie zrobią.

Chciał odpalić wprost, powiedzieć o swojej spółce, ale ugryzł się w język. To nie są sprawy do opowiadania dziewczynom.

Wyszedł, aby ją odprowadzić. Lunał silny deszcz, wobec czego zawrócili do gajówki, stanęli pod strzechą stodoły. Od klepiska słyhać było młócenie. Harnaś ujął twarz Ewy, palcami delikatnie; gładził od kąta oka ku skroni uchodzącą siatkę żyłek, silnie podbiegłych krwią. Całowali się w nagłym nawrocie ulewy. W stodole nastąpiła przerwa przy młócce, a potem rozległ się wewnątrz śpiew.

- To śpiewa Kunda. Ona się do mnie przypala - uśmiechnął się łobuzersko. Jarząbkowa służąca, przysadkowaty garkotłuk, przekroczyła już wiek średni i nie grzeszyła bynajmniej pięknnością; nie szkodziło jej to szczycić się dwiema hożymi nieślubnymi córkami.

- Tak, dziewczki lgną do ciebie - Ewa głaskała jego gęstą czuprynę o barwie jasnobrunatnej. Taki kolor mają zeschnięte liście dębowe. Całowała go bez pamięci, wtulając twarz w gęstwę jego włosów.

- Muszę sobie ostrzyć kudły - narzekał, odgarniając kosmyki znad oczu. - Wiosna jest, ciepło się robi.

- Nie strzyż, tak ci ładniej.

Przypomniała sobie, jak ubiegłego lata, kąpiąc się w lodowatym potoku, oglądała w słońcu swe nagie ciało, chociaż podobno to grzech spojrzeć w biały dzień na cielesną nagość, nawet na własną. Z jakimś bezwstydem głaskała piersi, drobne, lecz jędrne, doskonale okrągłe. Czuła, jakby ją kłuły setki szpilek. I teraz, kiedy ją przyciskał do siebie, poczuła dziwny ból w koniuszkach piersi, połączony z rozkoszą.

- Nie mogę w to uwierzyć - szepnęła w uniesieniu.

- W co?

- Żeś ty jest Janosik.

- Może nie jestem.

- I że o tobie śpiewają.

- Na pewno nie o mnie - uśmiechnął się. - Gdy cię pierwszy raz zobaczyłem w drodze do Podspadów, śpiewałaś piosenkę, pasąc krowy. Kto wie? Może to i o mnie? - drwiąco popatrzył jej w oczy. - Tylko że gniady nie leciał nigdy ze mną nad smrekami.

Ewa nachyliła się, ujęła dolny brzeg spódnicy, wyjęła w palcach z wody; Janosikowi, stojącemu za nią, odsłoniły się nogi nagie od kostek do połowy ud. Chwycił dziewczynę za ramiona, tak jak stała przechylona, aż się przestraszyła. Odwrócił ją ku sobie. W jego oczach, przymglonych z podniecenia, wyczytała, czego chce.

Czy sprawa nie była prosta? Dziewczyna i chłopiec, którzy się kochają.

- Jasiek - broniła się na pół przerażona, na pół szczęśliwa.

Ogarnęło go pożądanie jak burza. Ciągłe tylko myśleć, czy strażnik graniczny nie śledzi, czy policja nie ściga, ciągle się martwić o żywność, o pieniądze, o towarzyszy - czyż nie jest człowiekiem z krwi i kości? Czy musi żyć jak zwierz, bez ludzi, bez kobiet? Samymi pocałunkami także nie można się zadowolić. Położył dłoń na jej ramieniu, jakby biorąc ją pod swoje skrzydło.

- Jasiek - powtarzała, nie mogąc się zdobyć na nic innego.

Zbliżali się do brogu z sianem.

- Słuchaj - szeptał jej porywczoko do ucha. - Sobczak mnie nic nie obchodzi; niech złamie kark. Gwiżdżę na Lipowczana, na straż graniczną. Dziś jestem tu, jutro tam.

- Dokąd mnie prowadzisz?
- Na bezdroża - żartował. - Usiądziemy w sianie, będziemy rozmawiali.
- Jasiek, tak nie można. Jarząbek widzi z okna, gdzieśmy poszli. Żona jego tak samo.
- Ani on twój ojciec, ani mój. To nie ich rzecz.
- Kunda patrzy, rozniesie po całej wsi...
- O nią ci idzie? Tego się boisz? Niech ona swoich bękartów doziera, nie ciebie.

Już byli na sianie. Deszcz padał dalej. Wyleźli po ostrewce na szczyt pod sam daszek. Ewa drżała na całym ciele.

- Zimno ci? - przytulił ją do siebie.
- Nie. Muszę już iść. Ojciec będzie się pytał.
- Zaraz pójdziesz. Ewa, słuchaj - zaczął ją całować po oczach, po twarzy, po szyi. Poddawała się świadoma tego, że ginie, szczęśliwa. Deszcz mgłą otulał bróg. Drżała jak liść - czy od zimna? Ułożył się obok niej, ramieniem otoczył jej głowę, drugą ręką odgarniał mokre kosmyki z jej czoła, skroni i uszu.

- Dziecino - mówił, głaszcząc ją po włosach. Patrzyła nań z przestachem, ale i z rosnącą dzikością. Miał usta zacięte od pożądania, w oczach zapalały się ogniki. Obudziła się w niej bujna, zuchwała namiętność, jakże długo skrywana! Co będzie dalej? Jęczała, gnieciona pocałunkami, przecież zadowolona, że wyzwoliła z siebie choć cząstkę buntowniczej i dumnej natury.

Deszcz siąpił monotonnie. Czy to akompaniament miłości? Pożądała tej chwili od wielu dni. Niech się dzieje, co chce. Ach, co on robi? Nie protestowała, tylko skarżyła się: - Jasiek, Jasiek, co robisz? - Było jej na przemian zimno i gorąco. Nie przestawał jej całować. Trzymała go silnie w ramionach, jakby chwytając się żywej deski ratunku. Zapomniała o wszystkim. Jakby najpiękniejszy maj rozkwitał dookoła nich; oboje stopili się w jedno.

Więc to jest miłość? Był przy niej, dokładnie twarzą w twarz. Widział jej oblicze blade, bledsze niż zwykle, usta zacięte bez krwi, oczy szeroko otwarte, zdziwione, nieruchome w błysku; jak gdyby głowa nie brała udziału w rytmicznym życiu ciała.

I nagle w chwili największej ekstazy z oczu Ewy, przez cały czas otwartych, spłynęły dwie łzy.

- Ty płaczesz?

Nic nie odpowiadała. Patrzyła weń bez słowa.

- Ewa, ty płaczesz?

Wolno potrząsnęła głową na znak przeczenia i uśmiechnęła się przez łzy. Pogłaskała go po twarzy. Pasja ich przesilała się, omdlenie powoli przeciekało w mięśnie.



Dopiero teraz zamknęła oczy, przeżywając odpływ uniesienia. Leżała na wznak w sianie, powalona zmęczeniem. Ani jedna kropla krwi nie napłynęła jej do twarzy. Wolno budziła się z odrętwienia; zgięła się, jakby w chwili przebudzenia wstydząc się swojej nagości. Jak się to stało? Bezmyślnie zapinała bluzkę. Więc tak wygląda to, co ludzkość od wieków oplotła poezją? Jasiak siedział, włożywszy ręce do kieszeni, gwizdał jakąś melodię. Nie patrzył na dziewczynę. Po ścianach brogu skuczał wiatr. Chłopak rozmyślnie wbił oczy w powałę daszku, nogi wyciągnął przed siebie. Po minucie nawiedziły go wyrzuty sumienia, położył się na bok, głaskał ją po twarzy. Otworzyła brązowe oczy.

- Ja wiedziałam, żeś ty zbój. Od razu, kiedy cię po raz pierwszy zobaczyłam nad potokiem. Nic się nie pomyliłam. Takiś jest.

- Dlaczegoś się nie broniła?

Końcami palców dotknął sonej pieczętki na jej skroni. Wyszło to zupełnie głupio. Czy to ma być pieszczota? Po tej furii, która przeszła nad nimi? Wzruszyła niewyraźnie ramionami. Powodowana nieśmiertelną obawą kobiety, która oddała kochankowi to, co miała najcenniejszego, spytała: - Nie kochasz mnie już, Jasiak?

I Jasiak, podobnie jak każdy mężczyzna w tym momencie, nie umiał osłodzić jej powrotu ze szczytów na ziemię, opuszczając ją w chwili zmęczenia i smutku.

- Dlaczego nic nie mówisz?

Wzruszył ramionami, uśmiechając się nieporadnie. Cóż na to odpowiedzieć? O czym mówić w takiej chwili? Odpowiedział więc pytaniem:

- Czyś ty tego nie chciała, Ewa?

- Chciałam.

- Jeżeli cię zepsuł, nie jestem gorszy od innych. A zapłacę ci więcej, niż inni by mogli zapłacić. O reszcie pomów z Frankiem Matogą.

„Łajdak” - pomyślała Ewa. Franek Matoga kręcił się już dawniej koło Jelenianki jako kandydat na męża. Żal, pomieszany z wściekłością, ścisnął jej krtań. Oprzytomniała prędko. Puściła jego rękę, poprawiała włosy.

- Idź już, Jasiak - syknęła przez zęby. - Na ciebie czas.

Zsunął się po ścianie jak kot, sam zły na siebie, zostawiając ją w górze rozbitą i zhańbioną. Znienawidziła go za to. Usiadła w sianie, poprawiała koszulę. Różyczko, różyczko, komu zakwitłaś? Temu, co pierwszy napoczął dziewczynę. Zbójowi. „Aleś sobie narobiła”. Więc już nie będzie mogła, poślubiona mężowi, pochwalić się dziewictwem. Czy zawsze po tym następuje taka przeraźliwa beznadziejność? Zamknęła się w sobie, ani jednej łzy nie uroniła. Wlokła się powoli, ponura i przygnębiona. A tyle mówiono i śpiewano, że to

takie cudowne. Kochankowie, nie wiercie temu!

I Jasiak był w gorzkim nastroju. Oczywiście jako mężczyzna przeżył tę przygodę o wiele mniej głęboko niż Ewa. Przez okno Jarząbkowej chaty oglądał zawsze te same plamy lasów, te same szczyty gór; znudził mu się ten widok. Kiedy podniósł wzrok wyżej, zauważył ciągle zmieniającą się kawalerię chmur. Tam zawsze działo się coś nowego, ruchliwego. Przypomnił sobie ostrzeżenie Ewy, z którym do niego przybiegła.

„Cóż może mi zrobić taki Sobczak? Najwyżej napisze doniesienie, że szmugluję. W Jurgowie nie mieszkam, nikt nie poleci za mną w czeskie góry. Sobczak może mi najwyżej nadmuchać.”

Nazajutrz, kiedy właśnie Janosik wybierał się na górę do towarzyszy, przybiegł Abram.

- Był u nas na posterunku policjant z Żywca.

Młodzieniec drgnął.

- Skąd?

- Z Żywca. Siedział z Lipowczanem z godzinę albo i więcej.

- Z Żywca? - zdziwił się harnaś, zaniepokojony.

- Spod Żywca - poprawił Żyd. - Z jakiejś wsi.

- Z Przyborowa - poddał szynkarzowi.

- Tak. Z Przyborowa.

- To w mojej sprawie.

- W waszej sprawie - jak echo potwierdził Abram.

- Skąd wiesz o tym?

- Ja wszystko wiem - mruknął tamten tajemniczo.

To ciekawe. Skąd ten Żyd to wie? Czy on nie pracuje przypadkiem na dwie strony? Spojrzał na niego przenikliwie, Abram przymykał spokojnie powieki.

- Nie bójcie się o mnie, ja mam swoje źródła. Na posterunku był Lipowczan i ten, co przyjechał z Przyborowa. Na rowerze przyjechał. Mówili ze sobą długo, przybysz zapisywał coś w notesie. Wyszli przed dom, zapalili papierosy, pożegnali się, tamten siadł na rower i odjechał.

- Abram, uważaj na Lipowczana, gdzie chodzi i co mówi. Jak się czego dowiesz, daj zaraz znać do Jarząbka.

Wyruszył z gajówki pełen sprzecznych, gorączkowych myśli. Już zapomniał do cna o tym, co było w brogu z sianem, nowa troska siadła mu na czole. Pośród świerkowego młodnika leżał rozmiękły śnieg. Klimek golił właśnie Wojtka; Jędrak paradował już z

podstrzyżoną głową.

- Wiosna nadchodzi, policja zaczyna się ruszać - rzekł Jasiak sentencjonalnie. - Klimek, podstrzyż i mnie.

Usiadł i zaczął umyślnie pogwizdywać, aby ukryć nurtujący go niepokój. To chyba Witkowski przyjechał za nim do Jurgowa. Oczywiście węższono za bandytą. Przypuszczalnie wiadano, iż grasuje w Tatrach, huczało o tym w krąg. Ale skoro znikł na ich szczęście z Żywiecczyzny, co ich to mogło obchodzić? Niech teraz Nowy Targ trochę się zbójem pomartwi. „Widocznie wójt Franczak po ostatnim rabunku narobił alarmu i policja żywiecka ożyła” - rozumował Janosik. Cóż mogą się dowiedzieć od Lipowczana? On dużo im nie powie, tyle że podobno w górach, w jego terenie, hula banda. Ślad jej urywa się na granicznym szlabanie. Więcej nie wiadomo. Gdyby mu nawet było wiadomo, nie powie.

Harnaś wyjął nowego papierosa i zapalił. Odchrząknął kilkakrotnie, zdmuchiwał popiół ze spalonego tytoniu, obserwując go uważnie.

Robi się wiosna. Zejdą w tatrzańskie doliny, porozciągają się po lasach, wnikną w koliby, kto ich w Tatrach dopadnie, gdyby ich nawet szukał? Po czeskiej stronie?

Klimek z wprawą zawodowego fryzjera podcinał zgrabnie nożyczkami hetmańskie włosy na karku. Lepiej to robi niż Michoń tamtego roku. Świętej pamięci Michoń. To zrozumiałe: tamten był prostym góralek wsiowym, a ten skończył trzy klasy gimnazjalne. Janosik tkwił ciągle myślami przy Witkowskim. „Nie zapomniał o mnie pan Witkowski! Taki kawał drogi chciało mu się robić w moim interesie! Pomyśleć: rowerem! Ale się musiał namachać!”

- Bardziej podstrzyc czy zostawić?

- Rób, jak chcesz.

I znowu wrócił w myślach do policjanta. Jutro zajrzy do Jarzábka, zasięgnie języka, może Banach będzie coś więcej wiedział. Z policją jurgowską nie udało się jakoś nawiązać stosunków, pomimo wysiłków i sprytu Abrama. Policjanci nie mogli zapomnieć, że herszt obrabował im posterunek, że jego sprawką były dwa napady rabunkowe w górach w rejonie jurgowskiego posterunku: w schronisku w Roztoce i na drodze przy Wodogrzmotach Mickiewicza. Ostatnio zaś policja z inspiracji Sobczaka zaczęła śledzić bandę za przemyt nielegalnego towaru przez granicę.

„Nie zapomniał o mnie pan Witkowski - myślał uparcie Janosik, przewracając się niespokojnie na posłaniu. - Żebym sobie tylko kłopotu nie narobił z tą głupią Ewą! - przez parę minut wspomniął wczorajszy epizod z dziewczyną; nic się tym nie przejął, ponownie nawrócił w myślach do Witkowskiego. - A to cholera zażarta! Nie zapomniał o mnie!”

Istotnie, posterunkowy Witkowski nie zapomniał o Jaśku. Kiedy się okazało, że z pamiętnej wrześniowej obławy na zboczach Babiej Góry, poza rannym Wańkiem, z którym nie wiadomo, co się stało, jeden jedyny hetman, żywy i cały, zdołał się wymknąć z policyjnego pierścienia, policja żywiecka rozpoczęła za nim poszukiwania. Witkowski był kilkakrotnie na Głuchaczkach, rozpytując Mitankę, jej męża oraz oboje Juraszków. Wywiedział się tylko tyle, że Jan Dziura urodził się w Nowym Targu w szpitalu, wiek młodzieńca szacowano na dziewiętnaście lat.

Sprawa Janosika była zbyt głośna, aby ją zbagatelizować, aby zadowolić się unieszkodliwieniem bandy z pominięciem herszta. Komenda policji powiatowej w Żywcu wysłała pismo do policji nowotarskiej o podanie szczegółów, dotyczących Jana Dziury. Za dwa tygodnie nadeszła odpowiedź. Jan Dziura, jak wynikało z poszukiwań, urodził się o rok później, niż podawali mieszkańcy Głuchaczek. Dokładna data urodzenia: 27 stycznia 1919 roku. Przyszedł na świat w szpitalu, ochrzczony nazajutrz jako dziecko nieślubne. Matka, Waleria Dziura, mieszkanka wsi Naprawa, lat osiemnaście, stanu wolnego, zmarła po porodzie tego samego dnia. Ojciec nie znany z nazwiska. Według położnej miał mieć na imię Andrzej, rzekomo pochodził z Jurgowa. Poszukiwania sądowe za nim w sprawie alimentów nie dały wyniku. Ojciec Jana Dziury miał w czasie przebywania Walerii Dziura w szpitalu znajdować się jakoby na robotach we Francji. Ostatnie szczegóły, wyjaśniał tekst policyjnego pisma, są rezultatem postronnych informacji osób z byłego personelu szpitalnego i za ich autentyczność nie można ręczyć. Według dalszych wywiadów Jan Dziura oddany został jako sierota do żłobka miejskiego w Nowym Targu, stamtąd zaś po pięciu latach przeniesiony do ochronki magistrackiej. W trzecim roku pobytu w ochronce ośmioletni chłopiec uciekł bez śladu. Metryka jego znajduje się do dziś w kancelarii ochronki miejskiej w Nowym Targu.

Tyle donosiło pismo. Witkowski zanotował sobie dane w notesie. Ale na razie dał spokój hersztowi. Był bowiem bardzo zajęty na miejscu likwidacją Janosikowej bandy. Dwoił się i troił w wysiłkach. Chodził tam i z powrotem po Przyborowie, po Głuchaczkach, Jeleśni, Korbielowie, Sopotni, Koszarawie, węsząc zawzięcie najlżejsze tropy kontaktu harnasiów. Jeździł do Żywca, konferował z tamtejszym komisarzem, a nawet raz wespół z dygnitarzami gminy zbiorowej Jeleśnia i okolicznych gromad wziął udział w naradzie, zaszczyconej obecnością starosty. Rozrywała go praca; praca dla awansu, dla podwyżki pensji, dla przeniesienia na lepsze stanowisko.

Maściak, jedyny, który wpadł półżywy w ręce policji w babiogórskiej bitwie, nie doczekał się procesu. Umarł z ran w szpitalu żywieckim. Miałby murowane trzy, jeśli nie pięć lat więzienia. A tak dostał kwaterę na cmentarzu. Szczęśliwy, że dostał ją bez trudności, bo

jego dwaj kompani mieli w związku z tym duże kłopoty. Proboszcz jeleśniański wzbraniał się bowiem początkowo przyznać bandytom miejsca w poświęcanej ziemi, ponieważ zginęli bez pojednania się z Bogiem, a w dodatku byli zbrodniarzami. Ale jakoś zrozpaczone rodziny przebłagały kapłana, aby im przed wsią takiego wstydu nie robił. Dał się ubłagać i powierzył tę funkcję wikaremu. I tak trzy mocarne ciała Janosikowych zbójów, napiętnowane kulami policji, legły pogrzebane w glinie pod jeleśniańskim kościołem. Tylko z Wańkiem stało się coś tajemniczego; zniknął wraz z wodzem i żadnej wiadomości o nim nie było. Wódz wypłynął niebawem w Tatrach i znowu głos się o nim rozszedł, ale o Wańku słuch zaginął. Nie zbójował z hetmanem.

Słynna historia z płótnem znalazła swój epilog w sądzie żywieckim. Witkowski okazał się nieprzejejdany. Ślepka uwolniła śmierć od stawienia się na ławie oskarżonych. Mimo iż nie żył od siedmiu miesięcy, przyszło do niego urzędowe wezwanie na rozprawę do Żywca. Biurokracja nie ominęła oczywiście i nieboszczyka Leona Tramka (był to bowiem trup o wiele świeższy) oraz Jana Dziury o niewiadomym adresie. Główny oskarżony nie stawił się, hulał dalej na wolności. Za to na ławie oskarżonych znaleźli się podani przez policjanta współwinni kradzieży, jako będący w zмовie ze złodziejem i przechowujący skradziony łup: stary Tramek, jego żona, wdowa po Leonie i Mitana z Głuchaczek, zięć Ślepków. Sąd uniewinnił ich wszystkich czworo z braku przekonywających dowodów winy, niemniej sprawiedliwości musiało się stać zadość.

Tymczasem od strony Podhala coraz głośniejsze było o Janosiku. Podobno był w Tatrach, zebrał sobie nową bandę i szalał po górach. Z gazet, z meldunków policji, z opowieści ludu dowiadywała się policja żywiecka o wyczynach harnasia. Począwszy od napadu w Roztoce aż po rabunki na Spiskim Zamagurzu szła fama o zbójcu, który kpił sobie z policji.

Na konferencji w komisariacie żywieckim Witkowski usłyszał najświeższe nowiny. Terenem działania Janosika po polskiej stronie było Zakopane-Jurgów, po czesko-słowackiej - Kieżmark-Podoliniec. Musi tkwić gdzieś zaszyty w ostępie, skąd urządza wypadki na obie strony przygranicza.

Witkowski drapie się po głowie, czarnowłosej, ostrzyżonej na jeża. Porusza drobnymi wąsikami.

- Jurgów, Jurgów? To wieś jego ojca. Stamtąd miał właśnie pochodzić ojciec Jana Dziury, według tego, co donosiło pismo policji nowotarskiej.

- Panie Witkowski, musi pan pojechać do Jurgowa i zbadać rzecz na miejscu. Oni będą wiedzieli coś więcej - odzywa się komendant. - I do Nowego Targu zagładnie pan po drodze. Komenda powiatowa ma u siebie raporty z posterunków. I do ochrony niech pan wstąpi; nie

zaszkodzi. Czasem w najgłębszym miejscu człowiek może natknąć się niespodziewanie na dobrą wiadomość. Jakaśmy złapali Budarza? Przez napisy na ścianie w wychodku na stacji.

Teraz dopiero Witkowski ma czas na Janosika. Pożyczył sobie rower od Kowala z Jeleśni i wyjechał w podróż służbową. W komisariacie nowotarskim nie dowiedział się wiele. Panował tu jakby duch konkurencyjnej zawiści. Gdyby to jeszcze przyjechał ktoś z Krakowa!

- Owszem - streszczał lakonicznie komendant z wysokości swego służbowego stopnia - mieliśmy meldunek z Jurgowa zaraz po napadzie rabunkowym na posterunek. Była to banda Jana Dziury, z trzech ludzi złożona, która wycofała się na Jaworzynę. Pewne jest, że bandyci ukrywają się po stronie słowackiej. Kilka napadów dokonali na Spiszu i Podtatrzu.

Tu komisarz rozłożył przed sobą mapę Podhala i zapaliwszy papierosa ciągnął dalej: - Tak więc rabowali dotychczas: Podoliniec, Białą Spiską i Kieżmark. Byli także w Jurgowie i w Rzepisku. Rabunek na Cyrli dokonany był z Hali Waksmundzkiej. Ku Wodogrzmotom podeszli z Roztoki. Do schroniska przywędrowali z doliny Białej Wody. Przez zimę były duże śniegi, nikt w taki czas nie ruszy się w góry. Nas tu już naciska Kraków w tej sprawie i naturalnie pilnuje się tego. Jak się tylko ciepło zrobi, zajmiemy się Janosikiem.

- Zagładnę jeszcze do Jurgowa - oświadczył Witkowski. - Mam rozkaz od komendanta wywieźć się na miejscu - tłumaczył się.

- Niech pan jedzie, jak pan chce - odparł cokolwiek urażony komisarz. Wyglądało to bowiem tak, jakby policjant przyborowski był niezadowolony z wyników wizyty u niego. - Co oni tam panu więcej powiedzą? To, co oni wiedzą, i my musimy wiedzieć.

Co za natrętny gość! Niby służbista, a chce być gorliwszy od komisarza. „Ja mam wszystkie raporty z Jurgowa, a on jedzie przesłuchiwać moich ludzi, niby jaki inspektor.” Skrzywił się i rzekł:

- Nadam telefonogram do przodownika Lipowczana o pańskim przybyciu.

- Dziękuję bardzo.

Napompował rower, ruszył, zniknął na zakręcie ulicy. Po drodze wstąpił do ochronki, lecz nie zebrał tam dużego plonu. Pokazano mu tylko metrykę pechowego wychowanka. Stwierdził, iż była zgodna z zapiskami w notesie. Ponieważ dzień miał się ku końcowi, policjant pedałowal w odwrotnym kierunku do oddalonej o dziesięć kilometrów Sieniawy, gdzie przenocował u swego szwagra, kolejarza. Wczesno przy pięknej wiosennej pogodzie ruszył Witkowski przez Nowy Targ do Jurgowa.

Na posterunku przyjął go przodownik Lipowczan. Nie było dla niego tajemnicą, iż Janosik ukrywa się niedaleko jego rejonu.

- Faktem jest, że nie ma kryjówki na naszym terenie - bronił się. - Siedzi po drugiej stronie granicy, prawdopodobnie w lasach Jaworzyny. Co my możemy zrobić? Rejon mamy ogromny, a jest nas tylko trzech - dosiadł swego ulubionego konika. - To posterunek graniczny, tu nie tak łatwo pracować, jak się wydaje panom komisarzom w Nowym Targu albo w Krakowie - biadał z miną zawodowego malkontenta.

- Kiedy mieliście rabunek na posterunku?

- We wrześniu.

- I od tego czasu nie było Janosika w Jurgowie?

- Nie - zdziwił się Lipowczan. Po chwili zaniepokoił się. - Dlaczego miałby tu chodzić? Niby ludzie plotą, że go gdzieś widziano, ale czego to ludzie nie bają? Nikt go za rękę nie złapał. My o niczym nie wiemy.

- Bo dowiedziałem się w komendzie powiatowej w Nowym Targu - powiedział Witkowski - ciekawych szczegółów o Dziurze. Urodził się w szpitalu nowotarskim jako syn nieślubny. Matka jego nie znała z nazwiska ojca dziecka, a zmarła przy porodzie. Podała tylko przedtem, gdy się ją pytano, że ojciec dziecka miał na imię Andrzej i że miał pochodzić z Jurgowa.

- A! - zachnął się przodownik. - Bo to która baba pamięta, z kim miała dziecko? Na takiego bękarta na pewno musiało się złożyć kilku chłopów.

- Nawet sąd poszukiwał o alimenty tego Andrzeja z Jurgowa. On pracował razem z tą dziewczyną gdzieś na folwarku pod Nowym Targiem. Później, jak się dowiedział, że dziewczka jest w takim stanie, uciekł na roboty za granicę.

Lipowczan uznał za stosowne zareagować: - Każda kobieta łże, gdy idzie o stosunek z mężczyzną. Na każdego pokaże palcem, że ten jest ojcem jej dziecka, jeśli to jest jej w danej chwili potrzebne. Gdy się chłop prześpi z babą, to dla niej wystarczy, aby mu bąka na kark złożyć. Ojciec nigdy nie jest pewny, tylko matka - zakończył filozoficznie. - Jak mu miało być na imię? Andrzej?

- Andrzej.

- Jurgów jest wielki - zaśmiał się. - Będzie z pięćdziesięciu Jędrków, takich naturalnie, co mogliby mieć gdzieś w świecie dziecko. Ale to bujda - nie przestawał się śmiać. Machnął szeroko dłonią. - Nie można przywiązywać wagi do majaczeń kobiety w połogu.

Witkowski, wyśmiany przez przodownika, co więcej, sam przekonany dostatecznie o niewiarygodności tej koncepcji, zarzucił powyższy temat. Pogadał jeszcze o możliwościach obławy; Lipowczan niechętnie mówił o tym, zasłaniał się instrukcjami komendy powiatowej, powrócił do trudności terenowych, do szczupłości załogi policyjnej i na tym się skończyło.

Komendant nowotarski uprzedził swego podwładnego, jak ma się zachować wobec przybysza z sąsiedniego powiatu. Podwładny więc ograniczył się do udzielenia skąpych informacji dotyczących osiągniętych (jakże znikomych) wyników, nie odsłaniając zamierzeń na przyszłość ani tajników śledztwa.

- Czy bandyci nie zadają się z kimś ze wsi? - zapytał Witkowski na odjeździe. - Nie mają jakich cichych współników?

- Nic mi o tym nie wiadomo - wzruszył ramionami Lipowczan. Nawet gdyby coś wiedział, nie powiedziałby. Przecież to hierarchiczny nonsens, nietakt służbowy, aby posterunkowy egzaminował przodownika. Odczuł to pytanie niemal jako osobistą obrazę. Odezwała się w nim urażona ambicja. - Nic mi o tym nie wiadomo - powtórzył chłodno. Powoli ogarniała go złość. Ten policjant spod Żywca wypytuje go, jakby był co najmniej komisarzem z Nowego Targu.

Witkowski pomacał opony, czy dość twarde, zsalutował służbowo i odjechał wyboistą drogą w stronę Nowego Targu.

Może tam i Lipowczan coś niecoś wiedział. Wszak dość głośno przebąkiwano we wsi o tym, że harnaś chodzi do Ewy Jeleniówny. Ale czy go kto u niej widział? Owszem, sam komendant jurgowskiego posterunku słyszał taką wersję; mówiło się o tym szeptem. Jeleń zresztą mieszka na Grochałowcach, między wierchami, za lasem, przy samej granicy. Zbój zdążyłby dwa razy stamtąd uciec, zanimby go kto dopadł na tych dalach. A poza tym wszystkim, z kim jak z kim, ale z Jeleniem właśnie żył Lipowczan dobrze. Wszak od niego prawie za darmo dzierżawił ogród i dwa kawałki pola przy swoim, a niegdyś Jeleniowym domu. A za ziemniaki, które wziął w jesieni, dotąd jeszcze nie zapłacił. I góral o pieniądze się nie upominał.

Zresztą, czy to prawda, co ludzie bąkają? Policja winna się opierać na faktach, a faktów nie ma. Jurgów, jak każda wieś, chłapie plotkami na prawo i lewo. Ile to niestworzonych fantazji nawymyślają dziewuchy, zazdrosne o powodzenie swej rówieśniczki? Ile potwornych oszczerstw, w których choroba weneryczna stanowi najlżejszy zarzut? To znany objaw, że zawiść rodzi niedorzeczne kłamstwa przeciw Bogu ducha winnym ludziom. Zresztą Jeleń jest bogaty; to wystarczy, aby się stał obiektem złośliwych plotek ze strony biedniejszych i bogatszych od siebie. Wszyscy mu zazdroszczą, wszyscy o nim źle mówią.

Uspokoiwszy w ten sposób skrupuły policyjnego sumienia, rozpiął guziki bluzy, zapalił papierosa i zagłębił się w czytaniu gazety. O pierwszej przyszedł posterunkowy Wróbel i złuzował szefa, który zostawiwszy następcy gazetę, udał się na obiad.



Abram przyniósł do gajówki wiadomość, iż jurgowska policja nie bardzo się przejęła wizytą posterunkowego z Przyborowa. Ciekawe, o czym on mógł rozmawiać z Lipowczanem. Jasne - o nim, o Janosiku. To będzie na pewno sprawka Franczaka. On tu przysłał Witkowskiego na przewiady.

Z właściwą sobie lekkomyślnością Jasiek przeszedł do porządku dziennego nad domniemaną treścią rozmowy obu policjantów. Karczmarz wyciągnął z kieszeni dwa niewielkie pudełka, kładąc je na stole.

- Do Lendaku - ujął zwięźle zamówienie w dwóch słowach.

- Załatwione - rzekł herszt.

- Ważne - dodał lapidarnie Abram.

- Ile dostanę?

- Dwie stówki.

- Phi! - gwizdnął ze zdumieniem młodzik, spoglądając z szacunkiem na pudełka. - Co tu jest?

- Stein mi nie mówił. Tylko że pilne...

- Jutro będzie w Lendaku, jako ekspres-poleczone. Zapalił papierosa i poszedł przekomarzać się do sieni ze służącą Kundą, która dostała wypieków na jego widok. Następnie pobawił się z czteroletnim dzieciakiem, Jarząbkowym synem, dumą ojca i nadzieją matki. Frygnał obiad z niezrozumiałym pośpiechem; miał zwyczaj szybkiego jedzenia. Pogadał z gajowym, naćmił moc papierosów (nowy zapas na jutro przygotowuje już Lewak), poczytał przez chwilę gazetę. Gospodarz nastawił parę starych płyt na jeszcze starszym patefonie. Janosik słuchał w zachwyceniu wielkoświatowej muzyki, ręce skrzyżowawszy pod brodą; nawet za papierosa nie śmiał chwycić. Słońce zniżyło się, płyty się skończyły, zbój wdział kaszkiet na niesforną czuprynę i skoczył w gaj do Jeleniów.

- Masz złość na mnie, Ewa?

- Nie.

Już było znowu wszystko dobrze między nimi. Przez wiele godzin dnia i nocy myślała o ostatnim spotkaniu. Życie jest takie krótkie. Dlaczego mamy się męczyć, kiedy możemy być choć przez jedną chwilę szczęśliwi?

Całował ją po szyi, ramionach; nie broniła mu. Włosy jej pachniały rumiankiem, zamknawszy oczy, zanurzył się w tej woni. Zaczął całować dziewczynę ze wzrastającą dzikością po włosach, uszach, policzkach. Aż przeraziła się tego ataku, lekko napominając kochanka: - Jasiek, Jasiek! - raczej siebie w tym okrzyku pilnując, aniżeli jego powstrzymując.

- Od tego nikt nie umarł ani się nie zhańbił - tłumaczył jej swoją pasję. - Tylko bądź mądra, Ewa.

- Nie bój się, nie chwycę cię na męża - odrzekła z goryczą. Ten głupiec boi się zawsze tego samego. - Nie bój się - powtórzyła - nie zaprowadzę cię przed ołtarz.

- Nie boję się - zapewnił ją z beczelnym uśmiechem. - Ja i żenić się? Dziewczyno! Widziałas ty kiedy żonę zbója?

Zabierał się do odejścia. Powstrzymała go.

- Nie wchodź do izby, Jasiek. Zostańmy tu.

- Kto jest u was? - aż sprężył się od czujności.

- Nic ważnego - wzruszyła ramionami. - Franek Matoga przyszedł i siedzi.

- Nie krzyw się na niego, Ewa. Kto wie, czy to nie będzie twój mąż.

Już nie pierwszy raz częstuje ją nim jako kandydatem odpowiednim do małżeństwa. Franek był Banachowym bratankiem.

- Nie myślę wcale o weselu - odrzekła obojętnie, nie dając poznać po sobie, jak bardzo ją ta propozycja zabolęła. - Może ci tu nudno ze mną, to pójdę do niego.

- Skądże? - obruszył się, obejmując ją mocno na znak protestu. Chciała mu powiedzieć: „Rzuć to wszystko, nie wydziwiał, będziemy szczęśliwi” - lecz przełękła się. To byłoby bluźnierstwo. Zadałaby mu śmiertelny cios. Nieraz w nocy myślała o tym: „Przecież on uprawia haniebne rzemiosło”. Kochając go, ona także jest z nim współwinna. Kochanka bandyty, czy nie tak?

Niebo nad stodołą podbiegało zwiędłym szkarłatem, pasy układały się liliowo i sino. Czy to tych samych dwoje przed trzema dniami kochało się gorąco i brutalnie w Jarząbkowym brogu? Czy to ten sam harnaś obejmował dziewczynę, przyciskał jej twarde, świeże ciało i porzucił frajerkę, gwizdząc i odchodząc z rękami w kieszeniach?

Pieściła jego miękkie włosy, rozczesując je palcami. Nie pozostał jej dłużny. Głaskał jej lewy policzek, tak aby dotknąć palcami ulubionego kwiatka na skroni.

Zrobiło się szaro, zmierzch wypełził spod lasu, opanowując zdradliwie przestrzeń.

Stali pod strzechą w podwójnym cieniu: nieba i stodoły. Jasiek przymknął powieki jak od ciężaru widzenia.

- Lubisz mnie? - spytała pełna powagi. Nie odpowiedział, tylko się roześmiał. Oplótł jej szyję rękami. Patrzył na niebo, z którego wykluwał się blade, białawą linijką świeży nów. Wilgotna ziemia pachniała sokami zieleniny. Ewa tuliła się do Jaśka jak kotka. - Czy jesteś szczęśliwy? - zaryzykowała pytanie i wnet go pożałowała. Może to odnosiło się do epizodu na sianie?

Wzruszył ramionami, wbił w nią ciekawe oczy i odrzekł z powagą: - Co to jest szczęście? Wystarczy, gdy nam jest dobrze.

Oparta o ścianę stodoły, odetchnęła pełną piersią i uśmiechnęła się, myśląc na pewno o czym innym.

- Ja jestem bardzo szczęśliwa.

Nie przestała gładzić włosów młodzieńca. Zadumana, nuciła półgłosem pojękliwą melodię starej piosenki miłosnej, tak starej zapewne jak szum dookólnego lasu.

*Darmo wy się, dziewczki, w niego wpatrujecie,  
bo on tylko jedną mnie widzi na świecie.*

- Czy dobrze śpiewam, Jasiu?

- Dobrze.

Coś ukłuło go w serce. Czy słowa piosenki? Czy wspomnienie? Czy myśl nagła? Odciągnął ręce Ewine od głowy, pocałował ją dwukrotnie w usta, bąknął: - Muszę iść na bajki do ojca - i odszedł, pozostawiając ją w półmroku pod strzechą stodoły.

Tyle ją widział tego wieczora. Nie pokazała się w izbie więcej, położyła się wcześniej do łóżka. Słyszała tylko od czasu do czasu z drugiej izby jego głos, lekko drwiący; nie rozróżniała słów. To wystarczało, aby cierpiała tym więcej. „Ależ mam krzyż Pański z nim! Bóg mnie ukarał. A może to się nazywa właśnie miłość?”

Opuścił Grochałowce późno, kiedy już wszyscy poza gospodarzem spali. Tak jak wrócił do Jarząbka, rzucił się w ubraniu w siano na górze i usnął. O świcie włożył dwa Abramowe pudelka za koszulę i ruszył wprost ku Kominom, nie zaglądając do Lewaka. Spoza masywnego szczytu wytrysnęło wczesne ranne słońce, mięsiste, złotoczerwone. Szedł w tę rozwartą, oślepiającą bramę blasku. Cieszył się światłem i swobodą. „Można żyć dwadzieścia lat, żyjąc dłużej niż osiemdziesięcioletni starcy.”

Myśl jego pobiegła ku towarzyszom. Rozpatrywał cechy i zalety swoich chłopców w porównaniu z tamtegoroczną beskidzką czwórka. Ci byli inteligentniejsi od tamtych. To także chłopcy ze wsi, którzy nie bali się przygody ani poniewierki. Groziło im kilka tygodni aresztu, może parę miesięcy, woleli w góry wywiać, zadrzeć ze sprawiedliwością i zarobić sobie na lata. A dwóch z nich przystało doń dla czystej fantazji. Nie było w nich nic z pokory mieszkańców dolin. Nic ich nie przywiązało do ziemi, nie było się do czego przywiązać. Nie kochali gleby, kochali tylko skrawek gór, hal i lasów za to, że ich ukrywa i oddziela od innych. Ich przodkowie przecież puciekali tu z dołów przed uciskiem panów. Chłop na

dolinach przyjął pańszczyznę, chodził w jarzmie, ponieważ godził się ze swym niewolnictwem. Ci nie. Podczas gdy tamci ich bracia mieli upór i siłę, wiekami tkwiąc w poniżeniu na roli, ci odznaczyli się wyobraźnią i zuchwalstwem. Nie dziw, że porzucili domy, żony, dzieci, rodziców. Janosik obudził tkwiący w ich krwi instynkt. Od setek lat żyła w nich ochota zbójcka.

Nowe życie budziło się w lasach i halach. Na odświeżonej zieleni łąk pokazały się pierwsze wiosenne kwiaty. W gałęziach zagnieździł się tłumny ludek ptasi, podnosząc piskliwą wrzawę do słońca.

Harnaś znowu u Jarząbka. Wieczorem zjawiła się w gajówce Ewa; szybko zwiedziała się o jego obecności. A może ją po prostu wyczuła niezaprzeczoną, natężoną zmysłem intuicji?

- Sobczak coś kombinuje przeciwko tobie.

Zły był na nią. Ledwo odpoczął parę godzin, ta już przylatuje straszyć go Sobczakiem.

- Co cię to obchodzi? Nie twój interes - zgromił ją. - Zajmij się swoim bydłem.

- Przecież ja dla twojego dobra - spojrzała nań z wyrzutem.

- Policja nie może mi dać rady, a ty mi kraczesz ciągle o Sobczaku.

- Ty go nie znasz. On ma całą policję za sobą.

- A ja mam jego i całą policję także za sobą. To znaczy gdzieś - pokazał dobitnie swoje poślądki, rozsierdzony. - Coś się dowiedziała? - spytał po chwili, ochłonawszy nieco.

- Po co się zajmujesz przemytem?

- To nie twoja sprawa.

- On sobie nie da odebrać chleba.

- Ja mu nie odbieram. Wolno jemu, mnie też wolno.

- Ale on się za to policjantom opłaca.

- Ja płacę innym ludziom.

- On się będzie mścił na tobie.

- Niech się mści.

I Abram nie dał Jaśkowi spokoju. Przydreptał zaaferowany. Ledwo przelazł przez próg gajówki, przywitał go ironiczny głos: - Pewnie znowu w sprawie Sobczaka?

- Tak. Był u mnie wczoraj w domu - mówił szynkarz z uśmiechem, mrużąc oczy. - Aby mnie ostrzec.

- Czy wyście powariowali z tym Sobczakiem? Cóż to za alarmy? Kto to jest Sobczak? Czy on ma za sobą kompanię wojska?

- On jest u nas ważniejszy niż policja, wójt i straż graniczna do kupy wzięte - szynkarz

pogładził bujną brodę koloru zbrukanej szmaty. Nie był zwykłym szynkarzem; miał spryt za trzech. Mówiono o nim, że dobrze żył z policją całego powiatu. - Przyszedł mnie ostrzec - powtórzył.

- A ty co?

- Ja nic. Powiadam: „Co mnie to obchodzi?” On na to: „Wiem dobrze, że wyście nastreczyli przemyt Janosikowi”. Odparłem: „Nieprawda, bo tak nie jest”.

- Dureń! Mach przyszedł pierwszy do mnie z tą propozycją.

- Sobczak zaczął mi grozić: „Dajcie sobie spokój, bo się to może dla was źle skończyć. Nie pozwolę, aby obcy ludzie pod moim nosem trudnili się kontrabandą. Od tego ja tu jestem. Wczoraj szmuglowali coś z Rzepiska, torowałem ich. Znam te sprawy; od Steina do Lendaku idzie chód. I zabrała mi go banda Janosika. Ja sobie nie dam bruździć w kapuście. I ostrzegam was, Abram. Wyście porządny Żyd, z wami można żyć. Nie maczajcie palców w tej sprawie, bo to się może i na was skrupić”.

- A ty co? - na twarzy rabusia wykwitł drwiący grymas.

- Powiedziałem mu, że nie mam nic wspólnego z przemytem. Owszem, handluję, z kim się da, zarobić lubię. Czy banda Janosika chodzi z towarem przez granicę, nie interesuje mnie. Ale wiem, że Janosik na pewno nie bawi się w kontrabandę. On za wielki pan. I ma więcej pieniędzy, niż się nam zdaje. W każdym razie tyle, że nie potrzebuje się oglądać za marnym szmuglem.

- Dobrześ powiedział.

- Będziecie odtąd chodzili sami do Steina. Poślę mu kartkę. Niech lichy porwie moją prowizję. Ale Sobczak tego przemytu w łapy nie dostanie.

Tego samego dnia spotkał Sobczak we wsi posterunkowego Wróbla, z którym się przyjaźnił.

- Panie Wróbel, musicie skończyć tego Janosika. Mało mu zbójectwa, już drugi raz przed nosem przeprowadza nam przemyt. Kpi sobie w żywe oczy z policji: Tak nie może być - dodał ciszej. - On mi cały szmugiel podbiera, napycha sobie kieszenie. A my zostaniemy bez grosza. - Sięgnął do kieszeni, poczęstował policjanta papierosem. - I to kto, pytam się? Bandyta. Obcy przybędą spod Żywca odbiera nam zarobek.

- Nie inaczej, tylko musiał sobie skaptować strażników - wycedził przez zęby Wróbel.

- Ale jest bandytą. Tak czy nie? Obrabował wam w jesieni posterunek. Policja ma do niego prawo. Tak czy nie?

- Złapcie go za rękę, to go zaaresztujemy - rzucił tamten niedbale.

- Nie moja rzecz chwytac bandytow.

- Od pol roku wszyscy mowia o Janosiku. Ale kto go widzial? Siedzi z banda w gorach po slowackiej stronie. Zlapcie go za reke.

Dlugo zlosc mocowala sie w Sobczaku. Widomie lekcewazono jego sprawe. Przemogl sie, zacisnal szczeki i rzekl:

- Zlapie. Wczoraj wytropilem jednego z jego szajki. Szedl z Rzepiska, na pewno od Steina, zniknal w lesie na Grochalowcach. Nie moglem isc dalej, bo mnie zobaczyła Ewa Jeleniowna. I to sobie zauwazcie, panie Wróbel: do niej zbój chodzi.

Na dzwiek tego nazwiska policjant skrzywil sie. Wiedzial, ze jego zwierzchnik, Lipowczan, ma zobowiazania wobec Jelenia. Trzeba to jakoś uzgodnic. Nie bedzie przeciez narazal sie przodownikowi. „Co nas to obchodzi - pomyslal sobie w duchu - ze on konkurencje robi Sobczakowi? Poza pazdziernikowymi napadami na nasz posterunek oraz na Rzepisko do dzis dnia, to jest do kwietnia, nic nie wiemy pewnego o bandycie w naszym rejonie. Przede wszystkim nie wiadomo, czy to sprawka Janosika, czy byl ktos jeszcze inny. Komu bedzie sie chcialo laciz po tych bezdrozjach i bezludziach? Mamy dosc swojej roboty w Jurgowie. Jesli nam bandyta nie depcze po pietach w domu, nie bedziemy go szukali po gorach. We trojke? A ich tam ilu jest? Zaczaja sie za skalami i beda kropili w nas jak w buben. Za te marne sto trzydziesti zlotych, co sie dostaje na miesiac, lezc na wariata pod kule?”

Sobczak wyczul wahanie w umysle posterunkowego, - Ja od Janosika nic nie chce. Niech go szlag trafi. Bandyta, bo bandyta. Mnie nic nie zrobił; wam wiecej. Niech sobie siedzi w gorach. Ale jak sie do przemytu bierze, ja chce sie broniec. On mnie pozbawil zarobku.

Lgal, oczywiscie. Mial swoje chody, do ktorych mu sie nikt nie wtracal. Ale cel swój osiagnal. Uderzyl w czula strune policjanta. - Ja juz od miesiaca jednego grosza nie zarobilem - biadal. - Niech ich cholera wezmie!

To rzeczywiscie nieprzyjemne. Bo to oznacza dla posterunkowego Wróbla, ze prezenty od Sobczaka sie skoncza.

- Pogadam o tej sprawie z Lipowczanem - pocieszyl urzedowo goral.

Nazajutrz zreferowal przodownikowi wczorajsza rozmowe z jurgowskim kmieciem.

- Sobczak skarzy sie, ze obcy przemyt idzie przez wieś. To robota Janosika. Podbieraja mu caly zarobek.

Lipowczan byl zdenerwowany. Siedzial w otoczeniu dwuch swoich podwladnych i wlasnie byl po rozmowie z Sobczakiem, ktory od wczesnego rana umial chodzic koło swoich

interesów. Po chwili wstał, potrząsając przed oczyma posterunkowych jakimś listem.

- Psiakrew, bania rozbiła się z tym Janosikiem! Gdzie się ruszyć: Janosik i Janosik. Wiosna nadchodzi, już nam spokoju nie dadzą. To cyklista z Przyborowa, to telefonogram z Nowego Targu, to telefon z Zakopanego, to list z Kieżmarku, to znowu list z Nowego Targu i jeszcze jeden telefon z Zakopanego. To znów Sobczak mnie molestuje, a teraz pan, panie Wróbel. A dziś rano dostałem taką pigułkę z komendy Powiatowej: list polecony.

Przeczytał im. Na skutek żądania komendy wojewódzkiej z Krakowa policja powiatowa w Nowym Targu domaga się dokładnego raportu, dotyczącego działalności Jana Dziury, zwanego Janosikiem - od czasu zanotowania jego obecności w rejonie jurgowskiego posterunku. Równocześnie żądano wniosków co do możliwości najszybszego zlikwidowania bandy rabusiów.

- Termin przygotowania raportu do trzech dni. Mówiłem z Sobczakiem, obiecał, że pomoże nam nakryć Dziurę. Zaprowadzi nas na miejsce, gdzie go będzie można za kołnierz złapać. Nie ma bardziej zawziętych ludzi jak dwóch konkurentów.

- Ma pan rację - przyświadczył poważnie zwierzchnikowi Wróbel. - Nasadźmy jednego na drugiego, niech sobie łby pourywają.

- Gdzie dwóch się bije, tam trzeci korzysta - uzupełnił sentencjonalnie trzeci towarzysz.

- Przecież muszę czymś zatkać gębę tym z Nowego Targu. Inaczej żyć nam nie dadzą. Pismo za pismem idzie, powołują się na Kraków, szkoda, że jeszcze Warszawy w to nie wmieszają.

Lipowczan wyciągnął z kąta butelkę piwa, napili się po niecałej szklance. Podkomendni wyszli, przodownik pozostał, aby się męczyć nad układaniem raportu. Jakoś mu nie szło, zdania nie kleiły się. Kreślił po papierze, poprawiał, mylił się. Widząc beznadziejność pisarskich wysiłków, zamknął na klucz posterunek i wyszedł.

„Jutro będę pisał.” Spoglądał na kwietniowe słońce, jaskrawo rozświetlające ośnieżone szczyty. Spędził tu pięć lat, nie mogąc się nigdy nadziwić, po co tu zjeżdżają co roku turyści z dalekich stron. „Pełno ich w górach. Co oni tutaj widzą?” Jego marzenie: domek z ogródkiem w okolicy Wadowic, pola zasłane kłosisłym żytem, łagodne, faliste wzgórza, spokojna, rozlewna rzeka, cienisty las, horyzont naokoło szeroki i widny, strony cywilizowane, miłe miasteczkowe sąsiedztwo. A tu? Ostep, dzikość, pustkowie, skały i bór, ziemia przychylna rozbojowi.

- Nawet i turystów przepłoszył ten łotr - mruknął nie bez ironicznego zadowolenia.

Wiosna wtargnęła na dobre w tatrzańskie doliny. Nabrzmiące strumienie wściekle hulały pośród naniesionych głazów, pni i gałęzi. Zbójcy wylegli z hawrańskiej groty i w rzeźwym tchu poranka włączyli się po Zadnich Koperszadach.

- Będziemy szukali w skałach letniej kwatery; w czystej skale. W rejonie Macha. Rozejdziemy się osobno - komenderował wódz. - Niech każdy coś znajdzie. Wieczorem spotkamy się na starym miejscu.

Snuli się po graniach i dolinach przez cały dzień. Wojtek natknął się pod Stefanowym Żlebem na gajowego Macha; porozmawiali i pożegnali się. Na noc ściągnęli po jednym do starego legowiska w Hawraniu. Zatrzeszczały patyki w ogniu; gotowała się kolacja.

- Coście znaleźli?

Najlepsza okazała się kryjówka Klimka. Koliba naturalna na południowym zboczu Płaczliwej Skały. Miała dwie najważniejsze zalety: niewidoczność i niedostępność. Dochodziło się do niej lasem; teren był świetnie zamaskowany. Do wejścia prowadził załom skalny z głęboką szczeliną, rozłupujący się w kącie w okno; doskonały punkt obserwacyjny. Obok szczeliny szła wygodna rynienka do otworu wejściowego.

- Wymarzone miejsce - rzekł Klimek nie bez dumy.

- Możliwe - oświadczył Wojtek nie bez zazdrości.

Nową rezydencję ochrzczono Klimkówką. Przeprowadzono się do niej nazajutrz. Już tego samego dnia miała zdać egzamin ze swej przydatności. Od rana obwieszczała się burza zdradliwym wiatrem z południowego zachodu. Omszałe smreki, oblepione od dołu wrzodami sęków, szumiały złą, mściwą melodią. Pociemniało niebo, pociemniał las. Nawała chmur ścigała się jedna za drugą w szybkich zagonach po niskim nieboskłonie. Błyskawica mignęła nad Lodowym i po niej długi łoskot rozpruł kamienisty świat. Fioletowy cień osiadł na poszarpanych zrębach grani, błyskawice targały chmury raz po raz, gromy przewalały się przeraźliwie głośno. Żlebami rzygnęły strugi, u stóp gołych głazów ulewa wycierała podmywiska. Zza turni dymiły gęste chmury. Przespali cały dzień, śniąc o nowych udanych wyprawach i o sukcesach nad policją jurgowską.

Do Jelenia doszły wieści o pogrózkach Sobczaka. Nienawidził on przemytnika; stało między nimi morze zadawnionych zatargów i uraz. Stali naprzeciw siebie w Jurgowie jak dwaj groźni przeciwnicy, obaj gardzący policją, a przecież dobrze z nią żyjący. Jeleń odznaczał się, podobnie jak Sobczak, fantazją za młodu. Starsi we wsi pamiętają do dziś dnia jego głośne sprawki: pobicie i rabunek na targu w Kieżmarku. Było to przed samą wojną światową, miał wtedy lat dziewiętnaście; żandarmeria węgierska jeździła wówczas za nim aż do Nowego Targu. Później także przyczynił swą osobą trochę kłopotu władzom. Ale był zbyt



bogaty, a przez to wpływowy, aby z nim można było zadzierać. Jego ojciec był przez dwanaście lat wójtem jurgowskim.

- To diabelskie nasienie ten Sobczak - wygadywał Jeleń. - Dwa lata się z nim prawowałem i dał mi radę.

- My nie takim dawaliśmy radę - rzekł butnie Janosik. Odwrócił się do Banacha i zaczął z nim mówić. Ewa patrzyła na zarys jego małej, kształtnej głowy. Nie od razu się w nim zakochała, o, nie. Trzeba było parę dobrych miesięcy. Październik, listopad, grudzień; już w noc sylwestrową zaczęło się coś w niej przełamywać; ale minął styczeń i luty, zanim uświadomiła sobie, że zapadł w jej serce głęboko, jak żaden inny z tych, których znała. Więc prawie pół roku utrwałała się w niej miłość; tydzień za tygodniem narastało w niej uczucie. Nie zgąsło, kiedy uświadomił ją bez ogródek: „Nie mów mi tylko o wierności. Gdybyś mi broniła innych dziewcząt, byłbym nieszczęśliwy”. Którą kobietę nie zaboląoby podobne zdanie? Ale kochać to znaczy czekać i spodziewać się.

Żona Jeleniowa na wszelki wypadek siedziała na progu chałupy. Nie wiadomo, jakie лихо może się zdarzyć. Zawsze, ilekroć Janosik bawił w Grochałowcach, matka na przemian z córką zajmowały stanowisko przed obejściem.

Po zachodzie słońca stara zabrała się w sieni do skrobania ziemniaków. Harnaś wyszedł ku dziewczynie, wartującej pod stodołą, i rozpoczął z nią pogwarękę. Klimek rozgadał się z gospodynią o znajomych z Murzasichla, zerkając przezornie w stronę północy, rychło li wynurzy się spodziewany kompan.

O ósmej godzinie bystre oczy hetmana dostrzegły wyłaniającego się z gaju Wojtka. Wyszli naprzeciw niemu przed chałupę.

- Masz?

- Mam.

- Co?

- Walutę.

Jeden po drugim wniknęli w las za polaną. Zmierzch gęstniał. Janosik obejrzał się w tył, coś zachrząściło w patykach. Zatrzymali się, nadsluchiwali. - Zaczekajmy, aż się całkiem ściemni - szepnął Wojtek.

- Nie ma co czekać - zdecydował wódz. - Walmy od razu. Pewnie spłoszyliście zającą.

Znał tę drogę na wylot: przeciąć silnie podszyty jar, po stromym zboczku pośród rzadkich świerków do trawiastej buli, zwanej Juhaską; przeskoczyć przez potok między kamieniami - i w perć; percią między mchami do kosówek, z kosówek w cmentarzysko głazów i po piargach.

Zniżyli się po zbitym poszyciu na dno jaru, przeleźli przez cienką ciurkającą wodę, wydźwignęli się chaszczami. Zamroczyło się porządnie. Jeszcze kwadrans tym stokiem na grzbiet, a grzbietem przebiega granica.

Tu ze ścieżynki jest skrót. Zboczyli na polankę, sunęli jej krajem.

- Stać! - huknął im nagle donośny głos nad uchem. Rozległ się strzał. Jakby waliły się od wybuchu rozsadzane skały. Zmartwieli w okamgnieniu, aż przygięli się ze zdumienia i przestachu. Trwało to tylko sekundę. I już poderwali się do ucieczki.

Ale w tej samej chwili każdy z harnasiów poczuł czyjaś rękę na sobie. I lufę karabinu pod łopatką. Janosik poczuł dwoje rąk.

Trzej policjanci stali przed trzema opryszkami, każdy nad swoim, a koło hetmana ukazał się Sobczak, przestępując z nogi na nogę.

- Dawać ręce! - rozkazał przodownik i lufa oparła się o pierś Jaśka. Tęgi, zwalisty pomocnik w góralskim kapeluszu ujął w potężne garście drobne dłonie Janosika. Lipowczan założył kajdanki na przegubach rąk, zatrzasnął.

- Już przygotowaliście kajdanki? - zaśmiał się gorzko Dziura.

- Tak, wszystko zostało przygotowane - odparł chłodno policjant. Dla pozostałych bandytów nie było kajdanków. Tylko te jedne znalazły się w dyspozycji jurgowskiej policji.

Zaczęli błyskać latarkami. O, to herszt? Tak marnie wygląda? Obmacali ich, wyłuskali rewolwery. Sobczak celował w Janosika elektrycznym okiem, kiwając głową, dziwiąc się przesadnemu uzbrojeniu chłopca. „To, czego mu brakuje w wyglądzie, chce sobie odbić spluwami w obu kieszeniach” - rozumował. Przy odbieraniu broni od Wojtka wpadła w oczy Lipowczanowi beczelna gęba draba, skrzywiona jakby w ironicznym grymasie.

- A, starych znajomych się spotyka! - zauważył przodownik z fałszywym uśmiechem, choć złość kipiała w nim. - Wojtek Rzezawa! Boże Drzewko, tak?

Opryszek nic nie odpowiedział. Za to policjant twardo terkotał: - Jak to dawno nie widzieliśmy się? Oj, Rzezawa, Rzezawa, pogadamy jeszcze ze sobą.

Aresztant nie wytrzymał. - Za co się pan na mnie tak gniewa, panie starszy? - Za te dwa złote na nocnik?

- Stul pysk! - wrzasnął przodownik wściekły, że rozpaplano jego wstydliwą tajemnicę. Przecież nikomu się nie pochwalił tym haniebnym żartem. - Będziemy rozmawiali na posterunku.

- Oj, będziemy - westchnął Wojtek, nie wiadomo, czy drwiąc, czy współczując sobie w przecuciu kłopotu. „Morda świńska!” - uzmysłowił sobie dobitnie w myśli. Wzrok jego widocznie to samo wyrażał, gdyż Lipowczan zamierzył się, by dać mu w pysk od razu na

przywitanie za to wszystko, co od niego wycierpiał. Lecz wstrzymał się. Lepiej nie ryzykować; powetuje sobie to dostatecznie przy przesłuchaniu albo gdy będzie eskortował aresztantów do Zakopanego. Co się odwlecze, to nie uciecze. Czekał na tę okazję rok, potrafi poczekać jeszcze godzinę. Obmacał wszystkich trzech dodatkowo po kieszeniach.

- Gdzie przemyt?

- Jaki przemyt? - zdziwił się Janosik.

- Nie udawajcie wariatów. Szliście ze szmuglem.

- Boże ucho! - zaparł się Wojtek z pełnym poczuciem niewinności.

- Więc szliście sobie na spacer za granicę, tak? Na wycieczkę turystyczną?

- Nie. Do domu - odparł jak najobojętniej Rzezawa.

Rzeczywiście, zgasił Lipowczana. To prawda, przecież oni się kryją gdzieś w lasach Jaworzyny. Zakłopotanemu przyszedł z pomocą Sobczak.

- Niosą przemyt na pewno. Za koszulą niech pan patrzy - doradził fachowo. - Wszystkie w surduty na kołnierzu albo pod pachą, albo w klapach. Albo w spodniach w pasie, albo w bucie. Na pewno się znajdzie.

- Na posterunku się ich obszuka - machnął ręką przodownik. - Co ich będę macał pod koszulą? „Ale już temu draniowi żeber się domacam” - pinił się na samą myśl o Wojtku. Sprął go cham po pysku i skopał, a później przed sądem zrobił z siebie idiotę. I puścili go wolno. Jeszcze mu potem szyby wybił! O, on sobie wypożyczy Wojciecha Rzezawę!

Kto wie, czy nie jego właśnie należało skuć zamiast tego smarkacza? Zgasił lampkę, schował do kieszeni, wyciągnął przed siebie karabin w kierunku marszu, zapraszając naprzód gości.

- Chodźmy.

- Chodźmy - powtórzył jak echo Wojtek. Kroczyli trójkami, pierwsza trójka hultajska z wodzem pośrodku. Za nimi trzej policjanci, obok siebie, każdy z bronią w pogotowiu. Sobczak sam jeden w tyle zamykał pochód, syt triumfu. Dopiął swego, pozbył się konkurenta. Zapalił papierosa, oddychając z ulgą.

Więc tak wygląda słynny herszt opryszków? Gdzież legendarna zuchwałość zbójce? Czemu się nie odezwały jego dwa rewolwery, które nigdy nie chybiają? Złapał się w potrzask jak zając we wnyki, ani palcem nie kiwnął. Kto tego dokazał? Sobczak, niegdyś najhonorniejszy parobek Jurgowa, tancerz i bitnik zawołany, a teraz stateczny gospodarz, dorabiający sobie ubocznie interesami przemytniczymi. Niech wie ten gówniarz, że nie wolno bezkarnie grasować po cudzym rejonie. Gdyby siedział w górach i zajmował się zbijaniem, pal go lichem. To nie sprawa Sobczakowa, on nie jest policjantem od ścigania bandytów. Ale

on nie pozwoli obcym ludziom włożyć sobie w kapustę. Od czterech lat przemysł w Jurgowie należy do niego; wszyscy o tym wiedzą. Wie i policja, bo co miesiąc otrzymuje z gospodarstwa Sobczakowego gratyfikacje w naturze, a oprócz prezentów skromną, lecz stałą sumkę pieniężną co kwartał.

Nie takim cherlakom dawał Sobczak radę w młodości. I on także niejedną raz miał zatargi z policją. A teraz żyje z nią dobrze. Miewał także do czynienia z policją francuską, kiedy był na robotach. Trzech Francuzów po pijanemu skuł na kwaśne jabłko, jednego z nich odwieziono do szpitala. Szalały za nim mężatki, żony kupców i przemysłowców. Ze sprawy sądowej wywinął się jedynie dzięki obronie dobrego adwokata, którego opłaciła jego przekwitająca sympatia.

O, bo Sobczak to ziółko nie lada. Nawet i hetmanowi zbójcekiemu da radę. „Tfu! Jaki to hetman!” - splunął z pogardą, myśląc o zakutym w kajdanki chłopaku. Wychudzony, jakby wyglodniały, małego wzrostu. Gdyby go silnie trącić, upadłby.

W ciemności wieczora policjanci prowadzili schwytanych, podczas gdy samotny Sobczak zagłębiał się we wspomnieniach swej jurnej młodości. Ominęli bokiem Grochałowce, schodząc ku ścieżce. Trzeba było iść po jednym. Każdy wziął sobie swojego draba pod lufę. Góral i tym razem zamykał pochód. Szli w całkowitym milczeniu. Wyłonili się z lasu, dołem zamigotało parę mizernych światełek Jurgowa. Sobczak pstryknął zapalniczką, po czym z zadowoleniem wypuścił pierwszy obfity kłęb dymu. Minęli ciasno zabudowaną uliczkę, po czym wyszli na wolną przestrzeń, zdążając do drewnianej parterowej willi, w której mieścił się posterunek. Sobczak pożegnał policjantów krótkim „dobranoc”, nikiąc wśród chałup.

Wprowadzono zbójników do kancelarii, zaświecono lampę. Nadspodziewanie udał się dzisiejszy połów. Tak cennej zdobyczy nie popuści się łatwo z rąk. Złożono do szuflady cztery skonfiskowane brauningi, komendant mruknął, spojrzawszy na nie: „Psiakrew, policyjne!” - zamknął szufladę na klucz, klucz schował do pugilaresu, pugilares do kieszeni. Kazano usiąść aresztowanym na ławie. Przodownik spojrzął na nich. Ten trzeci, z którym nie zawarł dotąd znajomości, ma bary jak wrota, może właśnie jego należało skuć zamiast chudzielca? Głowił się: ma trzech bandytów i nie wie, który z nich niebezpieczniejszy. Posterunkowy Wróbel stanął w kącie izby na straży, wsparty łokciem na szafce, przy której postawił karabin; nie spuszczał oka z trójki. Jego towarzysze, Ostrowicz, wyjmował papiery, szukał czystych, nie zapisanych kartek, ołówków, sposobił się do pisania protokołu. W drugim kącie leżały dwa sienniki wypchane słomą. W środku pod ścianą pościelone łóżko.

- Który z nich będzie miał dyżur? - zapytał szeptem Rzezawa.

- Wszyscy trzej nie opuszczą nas do świtu - odszepnął Jasiek. Lipowczan borykał się z telefonem. Kręcił korbą, stukał w aparat, wołał centralę, nie mógł się dowołać. Okrężną drogą za pośrednictwem placówki granicznej obudził jednoosobowy śpiący urząd pocztowy jurgowski. Wreszcie przy pomocy półsennego telefonisty uzyskał połączenie z Zakopanem. Nie mógł jednak niczego w słuchawkach zrozumieć, poprosił więc o połączenie z Nowym Targiem. Tu poszło jeszcze gorzej. Nowy Targ w ogóle się nie odzywał.

- Co jest, psiakrew? - denerwował się. - Czy tam w centrali śpią w nocy?

Wrócił do zakopiańskiego drutu. Krzyczał w słuchawki, nie zdołano go usłyszeć po drugiej stronie przewodu. Zlecił tedy dyżurnemu strażnikowi granicznemu - ponieważ straż była połączona własnym przewodem z Zakopanem - aby ze swego aparatu przekazał pilny telefonogram do policji zakopiańskiej. Raport opiewał: „Przodownik Lipowczan dziś w nocy ujął trzech bandytów, wśród nich Jana Dziurę, zwanego Janosikiem. Aresztowani znajdują się na posterunku w Jurgowie. Proszę przysłać bezzwłocznie dwóch ludzi eskorty z dwiema parami kajdanek". Raport miano przetelefonować z policji zakopiańskiej do komendy powiatowej w Nowym Targu.

Podczas gdy Lipowczan pocił się i klął nad telefonem, siedzący na ławie więźniowie porozumiewali się półgłosem.

- Czuję się jak Chrystus przed ukrzyżowaniem. Sam jeden wobec zgrai żydowskiej - bluźnił po swojemu Rzezawa.

- Nie wytrzymam tutaj do rana - syczał Jasiek do ucha Wojtka. - Muszę im uciec.

- Jak?

- Wyjdę z potrzebą.

- Zwariowałeś? Co zrobisz? Skuty?

- Może się uda coś skombinować. Słyszysz mnie?

- Słyszę.

- Musi mi się udać. Masz przy sobie zapalki?

- Mam.

- Jeden wyjdzie ze mną, zostanie dwóch, dacie sobie z nimi radę. Najważniejsze: zaskoczyć ich. Spróbuję jakoś uwolnić się od kajdanek. Wy ich urządźcie za ten czas i podpalcie sienniki w kącie. Słyszysz?

- Słyszę, nie drzyj się. Łatwo gadać.

Lipowczan nie skończył jeszcze dudnić na własną rękę do Zakopanego, usiłując na próżno uzyskać połączenie, gdy Jasiek podniósł się wolno z ławy i patrząc pokornie na Wróbla odezwał się:

- Panie posterunkowy, potrzebuję wyjść.  
- Jutro wyjdiesz stąd do kryminału - mruknął tamten posepnie, kładąc rękę na karabinie.  
- Potrzebuję wyjść tylko na chwilę. Muszę.  
- Dokąd? - huknął policjant groźnie.  
- Z potrzebą osobistą.  
- Potrzymaj trochę. Później pójdziesz.  
- Panie posterunkowy - nalegał płacząco młodzieniec - ja muszę koniecznie wyjść, i to zaraz.

Kolega po mundurze, słysząc tę rozmowę, zbliżył się do Wróbla.

- Czego on chce?  
- Wyjść z potrzebą osobistą.

Policjant popatrzył na zbója, na jego nieszczęśliwą minę, na szczupłą, niską postać, na ręce spętane stalową obrozą. Żal mu się zrobiło chuderlaka.

- Wyjdź pan z nim. Ręce ma w kajdankach. Karabin mu pan przystawi za plecami. Ja za ten czas dopilnuję tych łobuzów.

Lipowczan od telefonu dojrzał te manewry i krzyknął na Wróbla:

- Dokąd pan z nim idzie?  
- On musi wyjść na pole z potrzebą osobistą.  
- Co jest z tobą, Janosik? Co za kawały wyprawiasz?  
- Mam bóleści brzucha, panie przodowniku. Muszę natychmiast załatwić się za chałupą - gorączkował się chłopak, drobiąc wstydliwie nogami. - Zaraz wrócimy.

Już, już miał przodownik grubsze przekleństwo na ustach, lecz zwyciężyła w nim ludzka natura. Aresztant, choć to groźny drab podobno, wygląda tak marnie. I to ma być herszt opryszków? Nikt by za to niebożę nie dał dwudziestu groszy. Policjant też człowiek.

- Idźcie - pozwolił. - Tylko pilnować go, panie Wróbel!

Z uznaniem powitał gest Ostrowicza, który stanął w kącie, wymierzywszy ostentacyjnie karabin ku dwu aresztantom; siedzieli na ławie, zwiesiwszy bezradnie głowy. Krzyczał dalej w swój telefon. Budził dyżurnych po nocy, przewracał do góry nogami centralę, nie mógł niczego zrozumieć, dziwił się, dlaczego tamci go nie słyszą, ryczał do niewiadomego słuchacza po drugiej stronie drutu.

Za minutę powrócił Jasiak w towarzystwie Wróbla. Policjant miał niezadowoloną minę, aresztant jeszcze nieszczęśliwszą niż przed chwilą. Zbliżyli się do biurka, przy którym odprawiał swe głośnie brewerie Lipowczan.

- Czego znów chcecie? - warknął.

- Kluczyka do kajdanek nie mam - skrzywił się pogardliwie Wróbel, którego nużyła już ta historia. To nudna robota dla policjanta: wędrować za chałupę z aresztantem, aby mu towarzyszyć przy niemiłej funkcji. - Niech ktoś wyjdzie z nim i rozkuje go - rzucił opryskliwie. - Przecież ja mu nie będę rozpinał spodni ani tyłka obcierał.

- Dajcie mi spokój, do cholery! - wrzasnął Lipowczan. Ważniejszą dlań sprawą było uzyskanie połączenia z Nowym Targiem.

Popatrzył na twarz Dziury. Na ten widok opadły zeń wszelkie obawy. To ma być bandyta? Toż to pisklę. Wyglądał tak boleściwie, jakby mu się już zrobiło niedobrze.

- Może już w portki narobił? - zażartował, chichocząc, posterunkowy z kąta.

Ta ordynarna uwaga pobudziła wszystkich, z wyjątkiem Janosika, do śmiechu. Wszystkich, nawet obu aresztantów. Lipowczan przełożył słuchawkę w lewą rękę, prawą poszukał kluczyka w kieszeni i wręczył Wróblowi.

- Tyle gadania o jedno gówno - burczał za wychodzącymi. I znów zaczął huczeć w telefon. Darł się, jakby chciał głosem pokonać przestrzeń dzielącą go od powiatowego miasta.

Tamci wyszli w noc. Za chałupą Jasiak przystanął, podając dłonie policjantowi.

- Zaraz, zaraz, co ci się tak śpieszy? - mówił Wróbel. Zdjął go nagły lęk przed zbójcem. Ale nie dał tego poznać po sobie. - Tylko uważaj, żeby ci się czego innego przy sposobności nie zachciało, bo wsadzę ci kulę w łeb bez pardonu.

Manipulował nerwowo koło zatrasku. Ze strachu ręce mu drżały. Gdyby go tak Dziura kopnął teraz w brzuch? Zanim zdążyłby porwać za karabin, już by leżał na ziemi. Na wszelki wypadek karabin oparł o biodro. Zastanowił się przez chwilę.

- A cóż to właściwie? Nie możesz się załatwić z rękami w kajdankach? Co to przeszkadza jedno drugiemu?

- Kto mi portki rozepnie? - zaskomlił aresztant. - Kto mi koszulę odwinie?

Rzeczywiście, te usługi wydały się Wróblowi wstrętne. Niezdecydowany, trzymał w jednej ręce obie dłonie Dziury, objęte metalową obręczą w przegubach.

- Czego się pan boi, panie posterunkowy? - uderzył w jego ambicję Janosik. - Pan ma karabin nabity, ja nie mam nic, tylko gołe ręce. A w tych rękach będę portki trzymał.

Ten argument ostatecznie zwyciężył. Niepokój Wróbla pierzchnął. Przekręcił zatrask kluczykiem, półpierścień z brzękiem opadł na zawiasach. W tej sekundzie obie ręce Janosika wraz z kajdankami błyskawicznie podniosły się w górę i straszliwym ciosem spadły na skroń policjanta. Wróbel bez jęku osunął się w trawę. Gdyby harnaś wyrznął kajdankami wyżej, stał zgruchotałaby czaszkę. Jasiak pochylił się nad leżącym, wymacał w trawie narzędzie

ocalenia, zwarł ręce Wróbla w zimne, metalowe półobcęgi, zacisnął. Podjął karabin: „Przyda mi się”. Dotknął czoła Wróblowego, wyczuł lepłą krew. Już biegł w ciemności do towarzyszy. W drzwiach skierował broń w stronę policjanta pilnującego ławy.

Na ten widok porwali się z siedzeń obaj aresztanci i w okamgnieniu skoczyli na przodownika przy telefonie. Janosik rzucił się na Ostrowicza, który stracił głowę w ogólnym zamieszaniu i dostał cios pięścią w żołądek. Hetman pomógł mu upaść, zdjął mu pas i ułożywszy ręce wzdłuż bioder, spiął go pasem na ziemi, jeszcze ogłuszonego. Dwaj kompani, dopadłszy Lipowczana, mocowali się z nim; silna była zeń sztuka. Dopiero przy pomocy Jaśka powalili go na ziemię i tak samo skrepowali jak pierwszego.

Odnieśli ich wszystkich trzech, włożywszy im chusteczki do ust jako kneble, ze sto kroków od domu. Sprawowali się tak cicho, że nie słyszeli ich zupełnie Rekowe, mieszkający na tyłach budynku i korzystający z osobnego wyjścia. Zresztą, gdyby nawet słyszeli, nie przejęliby się tym zbytnio. Przyzwyczaili się do tego, iż z posterunku nieraz dobiegały krzyki, klótnie i jęki, nieodłączne rekwizyty policyjnego urzędowania, stały hałas śledztw i aresztowań. Janosik nie zapomniał wyjąć z pularesu przodownika kluczyka od szuflady. Otrzymali z powrotem swoją broń.

Zniknęli szybko, zanim się gwar w domu zrobił. Na próżno strażnik graniczny telefonował z placówki, donosząc Lipowczanowi o przesłaniu telefonogramu do Zakopanego i potwierdzeniu go przez dyżurnego. Nikt nie odpowiadał.

- Jeszcze Sobczaka trzeba było tak urządzić - powiedział Wojtek. - On nas musiał szlakować od początku. On nas wsypał, cholera!

- Jeszcze swoje dostanie - mruknął Jasiek.

- Nic, tylko Sobczak nasadził na nas policję; z konkurencji, że mu w jego parafię wchodzimy. Odkądże to policja łązi za przemytnikami? To rzecz strażników granicznych.

- Idziemy na górę wyspać się.

- A co ze szmuglem?

- Mamy czas, nie śpieszy się. Zaniesie się pojutrze.

Nazajutrz zawrzało w Jurgowie. Znaleziono trzech policjantów porzuconych w zagonach, skrepowanych i poturbowanych. Wróbla z krwawiącą twarzą odwieziono natychmiast do szpitala w Zakopanem.

Najbardziej przestraszony był Sobczak. Nie przewidywał takiego obrotu sprawy. Lipowczan chodził struty, ponury jak cień. Raniutko przyjechało autem trzech policjantów z dwiema parami kajdanek. Wrócili do Zakopanego z niczym. Nie z niczym; z rannym kolegą w aucie.



Śmiech. Kompromitacja. Sobczak pojął, że z nie byle jakim konkurentem ma do czynienia. Trzech policjantów unieszkodliwić, będąc bez broni, z rękami zakutymi w kajdanki! Związać ich jak barany, co za wstyd! Spotkał przodownika opodał swego domu, zaprosił go do siebie. Odczuwał potrzebę wewnętrznej ekspiacji za to, że naraził policję na przykrą przygodę. Czuł się w obowiązku pocieszyć przedstawiciela bezpieczeństwa z powodu tak nieprzewidzianego obrotu wypadków. Choć... czy to jego wina?

Napili się po trzy kieliszki, Sobczakowa przyrządziła jajecznicę na skwarkach. Lipowczak bowiem lubił dobrze zjeść. Postawiła na stole chleb, obok masło i ser. Po chwili dymiła w garnuszku gorąca kawa.

- Tak, tak - zagajał Sobczak - to bandyta kuty na cztery nogi. Po nim można się było wszystkiego spodziewać. Kto mógł jednak przypuszczać, że wam tak zwieje? Jak on mógł uciec?

Ale przodownik nie miał ochoty wyjawiać tajemnicy i szczegółów ucieczki Janosikowej. Nie było to zbyt pochlebne dla policji. Zbył więc pytanie milczeniem.

- Cholera w nim siedzi. Jakiś diabeł chyba - rzekł po dłuższej chwili, żując chleb suto obłożony twarogiem. - Nie chciało mi się wierzyć, gdy się nań popatrzyłem, aby był zdolny do czegoś podobnego. Pasterz od krów, to ma być herszt?

- Teraz strzelił w góry i wypłynie na Spiszu. On tak umie. Tu ślady zatrze, tam niespodziewanie wylezie.

- Możliwe, że teraz przerzucił się na tamtą stronę - policjant ze smakiem wyskrobywał łyżeczką resztki jajecznicy z talerza. - Bo czuje, że go tu będziemy szukali.

- Co on sobie ten Jurgów tak upodobał na nasze nieszczęście? Ile ja straciłem przez niego poniosłem! - biadał obłudnie Sobczak. - Nie mógł siedzieć na Babiej Górze czy w Orawie?

- Ja słyszałem - odpowiedział Lipowczan, po czym poprawił się - to znaczy, urzędowy wywiad doniósł, że ten Dziura miał ojca w Jurgowie.

- He, he! - roześmiał się tubalnie góral. Przodownik zajadał dalej i popijał kawę. - Musicie wiedzieć, panie Sobczak - ciągnął tonem przyjacielskiej, poufnej informacji - że Dziura jest nieprawym synem jakiejś dziewczyny spod Rabki i parobka z Jurgowa. Młodzi pracowali podczas żniw w jakimś majątku koło Nowego Targu, podobno w Rokicinach. Ten chłopak jurgowski kosił tam zboże czy siano, a ona obrządzała bydło. Ciepło było, młodzi... I tam, ma się rozumieć, doszło do tego.

Kawusia rozmarzyła Lipowczana. Chlipnął smakowicie słodkiego, dobrze zabelonego śmietanką nektaru, wykroił ręką krągły ruch w powietrzu, jakby wzywając się dosadnie w obraz rozpamiętywanej miłosnej sielanki.

- No i, panie dobrodziejku, zrobiło się z tego dziecko.

Gospodarza zainteresowało niezwykle to opowiadanie. Szeroko rozwartymi oczyma wpatrzył się w przodownika. Na twarz wystąpiły mu czerwone wypieki. Niespokojnie poruszył się na stołku, nie spuszczać zrenic z policjanta, który zajął się gorliwie smarowaniem nowej kromki i podczas tej czynności wtajemniczał rozmówcę w dalszy ciąg historii.

- Później, kiedy się syn urodził w szpitalu w Nowym Targu, a matka umarła przy porodzie, ojciec, widząc, jakiego bałaganu narobił, dał nura i ślad po nim zaginął. Żeby nie płacić alimentów. Nikt nie wiedział, jak się nazywa. Matka umarła, zanim zdążyła powiedzieć, kto był ojcem dziecka. Zapała się, a może nie wiedziała naprawdę? Czy kawaler musi koniecznie przedstawić się po nazwisku, kiedy się chce zabawić z dziewczyną? No i tak bękart faktycznie został sierotą. Bez ojca i bez matki.

Jakby prąd elektryczny przebiegł przez ciało Sobczaka. Wstał ze stołka, czuł, że się udusi, siedząc. Jakaś ogromna rana otworzyła się nagle w jego wnętrzu, słowa, które słyszał, drążyły w niej boleśnie, jakby powoli obracały nożem. Jakieś wspomnienie nagle a straszne stanęło mu przed oczyma. Przepaść, przepaść otworzyła się przed nim. Stanął, zapalił papierosa, przeszedł się parę kroków. Tym razem zbladł, otulił się chmurą dymu, utknął przy oknie, bezmyślnie wpatrując się w Hawrań. - He, he, he - podśmiewał się nieszczerze, chrapliwie, niemal tragicznie. Chrząknął z zakłopotaniem, zwalając to na karb tytoniu.

Przodownik nie zwracał na niego uwagi. Smarował twarogiem czwartą kromkę, dopijał resztę kawy. Opowiadał obojętny kawałek urzędowy, jeszcze jeden z tych, które musi od rana do wieczora odwalać.

- I tak z sieroty zrobił się bandyta. Ale ja myślę, jeżeli to jest prawda, a tak opiewa raport policyjny, czy Dziura nie po to się tu przywłókł, aby się z ojcem skumać?

Podniósł oczy na gospodarza, po raz pierwszy od początku tego opowiadania, ale gospodarz ukrył twarz za gęstym dymem, niedostępny, z dala pod oknem wyrosły. Aby nie zdradzić swego zdenerwowania, zaczął nerwowo chodzić od ściany do okna. Wyglądał jak uderzony obuchem. Przecież nadludzką siłą woli opanował się; nie w takich tarapatach już bywał.

- E, coś mi to pachnie bujną - zbył krótko przypuszczenie Lipowczana. „Czy też coś poznał po mnie?” - przemknęła mu trwoźna myśl. Odchrząknął znów parę razy, dając dowód, że jego kaszel to nie fraszka. - Kto tam może wiedzieć, ile w tym prawdy? - zastrzegł się najbardziej, jak mógł, obojętnie. Popatrzył w okno i zilustrował swój pogląd lekceważącym machnięciem ręki.

Lipowczan chętnie podjął umiarkowaną krytykę gościnnego gospodarza. On sam odniósł się od początku sceptycznie do tej koncepcji, szydząc z niej wobec Witkowskiego, który ją pierwszy poddał.

- Ja też nie przywiązuję żadnej wagi do tego - potwierdził wątpliwości Sobczaka. - To, że kobieta powiedziała, iż ojcem dziecka jest ktoś z Jurgowa, jeszcze niczego nie dowodzi. Gdyby chciała wydać wszystkich, z którymi spała, to syn mógłby wołać na dwudziestu chłopów w powiecie nowotarskim „tatusiu”!

- Bo to chłopak taki głupi, żeby jej powiedzieć, skąd jest! - oprzytomniał już Sobczak. Chodził od stołu do okna z rękami w kieszeniach. Z przyjemnością wsłuchiwał się w swój głos, odzyskujący dawną naturalność, utrzymany w tonie spokojnego obiektywizmu. - Kochanek podał jej imię, nazwisko i dokładny adres, tak? - próbował nawet ironizować. Stawał na coraz pewniejszych nogach. Dopomógł mu gość, który właśnie wycierał usta chusteczką po ostatnich drugiego śniadania.

- Umyślnie powiedział jej, że pochodzi z Jurgowa, a właśnie był z Czarnego Dunajca albo z Waksmundu. Babskie plotki!

- Ta kobieta umarła? - dopytywał się góral.

- Podobno umarła w szpitalu. A jej narzeczony zwiął gdzieś za granicę na roboty, aby go nikt nie znalazł.

Przodownik wyjął papierosa i zapalił.

Sobczak wziął do ust drugiego sporta. Ręka mu drżała, gdy przytykał doń zapalniczkę. Całe szczęście, że robił to pod oknem i Lipowczan nie zauważył jego podniecenia.

Znowu zaczął spacerować po izbie. Ochłonął i stał się swobodniejszy.

- A co z Wróblem?

- Nie mam wiadomości. Zawieźli go do szpitala. Był nieprzytomny, gdy go wsadziliśmy do auta. Ale, ale - przypomniał sobie nagle coś, zrywając się od stołu. - Ja tu sobie siedzę, a muszę iść na placówkę. Miałem telefonować do Zakopanego.

Pożegnał się śpiesznie i wyszedł do budynku straży granicznej.

Sobczak ciężko opadł na stołek. Opowiadanie Lipowczana uderzyło w niego jak grom. Jakaś szczelina rozłupała się we wspomnieniach i przez tę szczelinę, wiodącą ku młodości, z przerażeniem oglądał Sobczak romantyczny epizod, opowiedziany przed chwilą przez policjanta. Jakby przodownik wyszarpywał te słowa z jego własnych trzewi.

Znowu zapalił papierosa, porwał się z siedzenia, podszedł ku oknu, łapiąc się za głowę, wykrzykując jakby u kresu sił.

- Boże! Czy to możliwe? Chryste Panie!

Czy to możliwe? Jak dziś przypomina sobie garbatą dziewczynę, złamaną kalectwem, ale piękną. Naturalnie, że sobie przypomina, jakże można nie zapamiętać romansu z garbuską? Pamięta: to było w Rokicinach, w miesiącu maju i czerwcu. Nigdy nie mówił jej o miłości ani tym bardziej o małżeństwie. Któż mógłby garbatej dziewczynie prawić o podobnych rzeczach? On sam był przecież wtedy jeszcze zielonym, niedojrzałym parobkiem, któremu brakowało dwóch lat do dwudziestki. Kiedy mu powiedziała, że spodziewa się zostać matką, wyśmiał ją. Tak jakby w swej naiwności przypuszczał, że ułonna kobieta nie może mieć dziecka. Czy była głupia i wzorem innych dziewcząt nie umiała się tego pozbyć? Kiedy już dwa miesiące minęły i na trzeci miesiąc znowu nie miała swojego czasu, przeląkł się. Uciekł z folwarku. Właśnie skończyła się wielka wojna światowa. Zgłosił się na roboty emigracyjne do Francji. Wrócił po dwóch latach, kraj znowu znajdował się w wojnie. Przez pięć miesięcy służył w wojsku, walcząc nad Dźwiną. Po powrocie ożenił się w rodzinnej wsi. I zapomniał o przygodzie z rokicińską garbuską. Nie wiedział nic o jej losie. Nie wiedział nawet, jak się nazywała. Pamiętał tylko jej imię: Walerka.

Więc to prawda? Jeśli tak, Janosik byłby jego synem! Obliczał w myśli, ile lat może mieć chłopiec. Widział go tylko raz: wczorajszego pamiętnego wieczora, kiedy wytropił go w Grochałowcach i przeciąwszy mu drogę, przyczał się nań w nadgranicznej zasadzce. Zobaczył go w blasku latarki: mizerna figura, osiemnaście lat, nie więcej. Sobczak rachował. Do Francji wyjechał w grudniu 1918 roku, z powrotem w ojczyźnie znalazł się w 1920. Następnego roku się ożenił. Starsza córka ukończyła obecnie lat szesnaście. Gdyby więc szło o jego dziecko z garbuską, musiałyby się ono urodzić podczas jego nieobecności w kraju w początkach 1919 roku. A zatem miałyby lat dziewiętnaście.

- To niemożliwe! Matko Boska! Co za cios!

A jednak możliwe. Rachuba zgadza się. W skroniach biło mu młotem, pot zimny kroplami wystąpił na czoło. Podszedł do szafki nad komodą, wyjął flaszkę wódki, nalał kieliszek, wypił. Napój rozlał się po komodzie. Z kolei wychylił drugi. Dźwięk trącanego szkła zwabił żonę. Z niepokojem popatrzyła na męża.

- Co, Jędrzek? Jest coś niedobrego?

Sądziła, że mu poszło źle z interesami lub że ma jakiś kłopot z władzami.

- Nie - burknął oschle. - Nieprzyjemna historia z policją. Wściekli są za kompromitację. Nie mogą tego ścierpieć, że leżeli w trawie, powiązani jak barany na pośmiewisko całej wsi.

- I tym będziesz się przejmował? Co cię to obchodzi? Opryszki mają z policjantami

swoje porachunki.

- Wiesz, że ja z policją dobrze żyję. Oni kryją mój interes ze szmugłem. Gdy wyniknie śledztwo, przyjadą z Nowego Targu, mogą mnie ciągnąć do sprawy.

Podszedł do szafki, wypił trzeci kieliszek.

- Nie martw się zawczasu. W tym jest interes Lipowczana, on będzie chodził koło tego. Jak my wpadniemy, to i on wsiąknie.

- Tak się mówi - machnął ręką. - Jak przyjdzie co do czego, najlepszy przyjaciel wyprze się nas, aby siebie ratować.

- Nie myśl o tym. Żebyś sobie tyle do głowy przybierał z powodu jakiegoś bandyty!

Wziął kapelusz, wyszedł. Nie mógł ukryć wewnętrznego wzburzenia. Może na powietrzu prędzej ochłonie pod posterunkiem policji. Już raz tu był rano, nie wiedząc jeszcze o niczym. Z jakże innym uczuciem spozierał przed paru godzinami na dom, w którym - tak krótko - przebywali zbiegli bandyci; bandyci, którym przewodził jego syn.

Syn? Ta myśl ukłuła go zdradziecko w serce. Lęk i wstyd zaparły mu oddech. Więc on jest ojcem zbója?

Ojciec zbója! Sam oddał syna w ręce policji! On go wypatrzył i ścigał od Grochałowiec, krok w krok tropił go, czując, że idą z przemytem. I on własnymi rękami dopomógł policjantom do schwytania Jaśka. I on sam eskortował syna do aresztu!

Na drugi dzień wybrał się Sobczak prosto od robót w polu do Nowego Targu. Żonie powiedział, że udaje się do Zakopanego celem zasięgnięcia porady u doktora.

- Tak mnie coś dusi w piersiach, aż mi oddech zatyka - skarżył się od wczorajszego wieczora.

- Mówiłam ci, że za dużo papierosów palisz.

Była sama zaniepokojona jego usposobieniem, od wczoraj gwałtownie zmienionym, i domyśliła się, że był chory.

- I buty sobie może jakie kupię przy tej sposobności.

Namawiała go, by jechał wozem. Czy nie stać na to jego, właściciela pary koni? Co sobie ludzie pomyślą, że on, gruby gazda, wali na piechotę do miasta? To nawet nie wypada ze względu na opinię. Zawoła się parobka, niech przygotuje półkoszki i siedzisko.

Mąż sprzeciwił się temu kategorycznie.

- Zwariowałaś, kobieto? Teraz, na wiosnę, w najgorszy czas ja bym miał konie odrywać na cały dzień od orania w polu? Złapię okazję po drodze.

Wyruszył pieszo. Doszedłszy do Brzegów, skręcił zamiast na Murzasichle, na Stasikówkę i walił do Poronina. Za dwie godziny odchodził pociąg zakopiański do Krakowa.

Dojechał nim do Nowego Targu. Zapytał o szpital, pokazano mu. Wszedł śmiało do kancelarii, umyśliwszy sobie cały plan przez drogę.

Jakaś starsza pani spojrzała nań życzliwie.

- Czego chcieliście, gospodarzu?

- Proszę pani - przysunął się do niej, jakby zwierając się jej w zaufaniu - ja tu przyjechałem z Poronina. Prosił mnie krewny, który umarł tamtego miesiąca, abym się zaopiekował, w tajemnicy przed jego rodziną, pewną dziewczyną, a właściwie synem dziewczyny, która umarła w tym szpitalu przy dziecku. Mam wręczyć jej synowi albo jej krewnym pięćset złotych, które im w legacie pozostawił nieboszczyk. Bo to wie pani - podniósł dłoń na wysokość piersi i zaczął przebierać znacząco palcami - oni oboje żyli ze sobą, a później, naturalnie, chłop ożenił się z inną. Ale zawsze o tym pamiętał, aby coś zostawić dla swojej pierwszej dziewczyny. I mnie to w ręce przed śmiercią w tajemnicy zlecił.

Urzędniczka przerwała rzeczowo:

- Jak się nazywała dziewczyna?

- Dziura Waleria.

- Kiedy była u nas w szpitalu?

Podał w przybliżeniu rok. Pani szukała w księgach, przewracała kartkami, szeleściła, powtarzała dla zapamiętania:

- Dziura, Dziura. - Zniecierpliwiła się.

- Nie. Nie ma.

- Może w następnym roku.

Znowu śliniła palce, wertując w księdze.

- Oddział położniczy? Tak? - mówiła niby do siebie, niby do górala, aż wreszcie plasnęła dłonią w księgę.

- Jest.

Przeczytała wypis. Zamienił się cały w słuch: 27 stycznia 1919 roku urodził się Jan Dziura, nieślubny syn Walerii Dziura i niewiadomego ojca. Tego samego dnia, 27 stycznia, zmarła Waleria Dziura, panna, lat osiemnaście, ze wsi Naprawa, powiat Myślenice, na skutek krwotoku wewnętrznego po porodzie. Miała operację. To wszystko.

- A co z synem?

Zatrzasnęła księgę. - Tego już nie wiemy. Chyba go ktoś z rodziny wziął na wychowanie.

- Nie - odpowiedział, choć nie miał co do tego żadnej pewności.

- To do szpitala nie należy. Mamy tu tylko zapisanych tych, co się u nas leczyli.

- Może umarł w szpitalu? - błysnęła mu nagle myśl. „Oby tak było!” - westchnął w duchu. Niechętnie zbliżyła się do półek, wyjęła znowu księgę.

- Dziura, tak?

- Tak, Dziura Jan - rzekł z zaschniętymi wargami. Urzędniczka wodziła szybko ołówkiem po nazwiskach. Patrzył na jej wąskie, sine usta, rychło z nich padnie pomyślna wiadomość.

- Jest tylko Dziura Waleria z Żegleniów. To jego matka. Poza tą położnicą nie ma żadnego nazwiska Dziura wśród tych, którzy u nas umarli.

- Może nie w tym roku on umarł? Może za rok lub za dwa lata? - nie chciał się odczepić od tej myśli, która mu natrętnie utkwiała w mózgu.

- Ależ człowieku - uśmiechnęła się dobrodusznie. - W tej księdze jest wykaz wszystkich pacjentów i pacjentek, którzy umarli w ciągu ostatnich dwudziestu pięciu lat w naszym szpitalu. Na końcu księgi jest spis nazwisk wszystkich nieboszczyków. Jak popatrzę w wykazie pod literą alfabetu, już wiem od razu, czy taki jest w księdze, czy go nie ma. Rozumiecie?

- Rozumiem. Więc nie ma tego Dziury?

- Nie ma. Pewnie wziął bachora ktoś z krewnych.

- A jakby go nikt nie chciał wziąć? Albo nie miał kto wziąć?

- To byłby posłany do żłobka miejskiego.

- Więc mógł być w żłobku?

- Skąd ja mogę wiedzieć? Szpital się tym nie zajmuje. Pewnie że dziecko mogło być w żłobku. Zawsze się u nas tak robi. Jeżeli nikt się nie zgłasza po noworodka, a to mogło się stać w tym wypadku, skoro ojciec nieznan, a matka umarła przy porodzie, to dziecko odsyła się do żłobka magistrackiego.

- Gdzie ten żłobek?

- W rynku. Ale zwracam wam uwagę, iż dziecko urodziło się przed dziewiętnastu laty - urzędniczka uśmiechała się kącikiem ust z naiwności górala - więc teraz chyba nie będzie siedziało w żłobku. To już teraz kawaler do wzięcia.

- Ja się tam zapytam, co się z nim później stało.

Wyszedł. Rzeczywiście, to już dzisiaj musi być kawaler.

Więc to wszystko prawda! Wszystko co do joty, co opowiadał Lipowczan. Walerka ze wsi Naprawa! Parokrotnie była w ciągu tego nieszczęsnego lata w Naprawie. W każdą niedzielę szła pieszo do swej rodzinnej wsi, aż później flirt przykuł ją także i w niedzielę do

miejsca pracy. Pamięta jak dziś. Nie może być wątpliwości.

Walerka już nie żyje. Ale żyje jej syn. Jej i jego. Syn-bandyta, którego ojciec zaszczył policją i którego na posterunek własnoręcznie prowadził.

Gdzie pochowana Walerka? Zapomniał o to zapytać. W bramie stał portier; stary, siwy, dobroduszny. Sobczak podszedł doń, poczęstował go papierosem, pytając: - Byłem w kancelarii na górze dowiedzieć się o jedną moją krewną, co tu umarła już dawno po operacji. Ale zapomniałem się zapytać, gdzie wy tu chowacie umrzyków? Bo chciałbym zajść na jej grób.

- Jak to gdzie? - zdziwił się portier. - Na cmentarzu.

- Aha!

- To znaczy - poprawił informator - jeżeli miała kogoś z rodziny, to ją pochowali u siebie, tam, skąd pochodziła. Jeśli mieli pieniądze na pozwolenie przewozu.

- Nie. Nie miała nikogo z bliższych krewnych.

- Na co umarła?

- Przy dziecku. Operacja była.

A nuż ten stary wie więcej niż ta na górze w kancelarii? Portier zrobił ważną minę, wpadając w ton dobroduszno-protekcjonalny. - Muszę wam powiedzieć, człowieku, że u nas jest taki zwyczaj w szpitalu - nachylił się tajemniczo i uświadomił górala: - Gdy ktoś umrze po operacji i nie ma się nim kto po śmierci zająć z rodziny, to takiego umrzyka biorą na stół, na sekcję, to znaczy na krajanie. I na tym ciele nieboszczyka doktorzy się uczą, co mu brakowało za życia, co trzeba było zrobić, aby mu zdrowie polepszyć. Patrzą po wnętrznościach, co i jak tam jest, a jak się napatrzą, zaszywają skórę trupa i jazda do trumny. Dopiero wtedy zwłoki się grzebie.

Sobczak nie słuchał dalej. Wybiegł na ulicę. W dziewiętnaście lat po swym zgonie nawiedziła go Walerka, przejściowe, lekkie przeżycie jego młodości, które od dwóch dni kamieniem zaciążyło na jego sercu. Od wczoraj wizja nieszczęśliwej garbuski stała przed oczami Sobczaka. Nie mógł jeść, nie mógł spać. Był to twardy chłop, miał liczne miłostki poza sobą. Ale ta dziewczyna wydała na świat jego dziecko: syna, który stał się bandytą. Kto wie, czy nie stał się nim właśnie z winy ojca. Gdyby się ktoś chłopcem zajął, wychowałby go przecież na uczciwego człowieka. A tak, chłopak puszczony samopas, pozbawiony rodziców, zszedł na manowce. I teraz ojciec sam pchnął syna w ramiona policji.

Walerka, Walerka! Garbata frajerka! Tak później śpiewał o niej cynicznie. A przecież chodził do niej z lubością i używał do woli jej młodego, zniekształconego ciała, jak prawowitej, naturalnie dobranej kochanki. Więc nie od razu została pochowana po śmierci w



ziemi cmentarnej, lecz poszła na sekcję, na krajanie. Lekarze badali jej trupa, zaglądali we wnętrzości, przewracali w nich. Nawet po zgonie nie dano spokoju umęczonej dziewczynie.

Wstąpił do żłobka w rynku. Opowiedział tę samą historię co w szpitalu. Owszem, był tu przyniesiony ze szpitala noworodek Jan Dziura, sierota. Po pięciu latach wypisano go ze żłobka i przeniesiono do ochronki miejskiej.

- Gdzie to jest?

- Ulica Kościelna.

Tam okazano zdziwienie z powodu tak silnego zainteresowania się osobą ich byłego wychowanka.

- Już dwukrotnie była u nas policja badać papiery tego chłopca. A wy przychodzicie jako trzeci w sprawie Jana Dziury. Co ten chłopaczek musiał na świecie narobić, że się tak nim wszyscy na gwałt zajmują? Nie dziwię się, bo i u nas dawał się wszystkim we znaki. To łobuza kawał - informował Sobczaka stary, zatabaczony pan. Sam Janosik nie poznałby w tym pijaczynie swojego nauczyciela z ochronki, od którego tyle razy jako malec zbierał po uszach, który go eskortował w pociągu po nieudanej ucieczce.

Tak. Urwis przyszedł tutaj ze żłobka na nieszczęście i kłopot kierownictwa ochronki. Bawił tu wszystkiego dwa lata. Sprawował się jak najgorzej, był utrapieniem personelu. Aż w ósmym roku życia uciekł i śladu po sobie nie zostawił.

- Trzy razy nam uciekał. Dwa razy mu się nie udało, aż za trzecim razem zwiął. Pamiętam go; to było z dziesięć, piętnaście lat temu. Raz na pięć lat mamy taką perełkę. Wywiął w świat i nikt nie wie, co się z nim stało. Tylko metryka po nim została.

Sobczak wracał do domu, przybity strasznym odkryciem. Wszystko się zgadza, wszystko jest prawdą. Kosiarz z Jurgowa w folwarku zakonnicy w Rokicinach, Walerka, dziewczyna z Naprawy. I że porodziła nieślubne dziecko, i że umarła po porodzie w szpitalu, i że ojciec uciekł na roboty do Francji z obawy przed ściganiem go o alimenty.

Nie będzie już ojciec musiał płacić alimentów. Syn wyrósł, doszedł do pełnoletności bez jego pomocy. Usamodzielił się. Sam się wykształcił - na bandytę. Sława jego przerosła dwa powiaty, zuchwałość jego czynów znana jest w dwóch państwach. Lud ze strachem wymawia jego imię: Janosik. Czyli właściwie Jan Dziura, policyjnie notowany osobnik, pierworodny, naturalny syn Andrzeja Sobczaka!

Przeraził się. To przecież nie może wyjść na jaw! Andrzej Sobczak ma dom, żonę, dwie dorastające córki, zasobne gospodarstwo. Jest radnym gminy, gazdą na dziesięciu morgach uprawnej roli, na dwudziestu trzech morgach łąk i hal oraz na trzydziestu sześciu morgach lasu. Szumny gospodarz. Chowa w stajni parę koni, trzy krowy, dwa cielęta,

jedenaście owiec. Jak drogo musiałyby zapłacić za tę tragiczną rewelację?

Jak zareagowałyby na to opinia? Zamożny góral, stateczny małżonek, ojciec dwóch dziewcząt - ojcem bandyty, mającego na sumieniu kilkanaście napadów rabunkowych!

Wysiadł z pociągu w Poroninie, wędrując ku rodzinnej wsi z głową pękającą od nadmiaru wrażeń. Naokoło trwała piękna wiosenna pogoda, w sercu górala zaś miotła się burza, jakiej nie zaznał dotąd w życiu. Kandydat na przyszłego wójta gminy, w sile wieku męskiego (dobiega właśnie czterdziestki), ma się załamać wobec strasznej tragedii? Zaufany władz, przyjaciel komisarza straży granicznej oraz przodownika policji - zaplątany w kłęb przestępstw z powodu własnego syna?

Nie przyzna się. Nikt się o tym nie dowie. Czy to się jednak nie wykryje? Czy stado zazartych, jadowitych języków nie wywacha jego tajemnicy i nie rzuci się na nią jak psy na kość? Przecież ma dość wrogów osobistych we wsi.

Niby rój uprzykrzonych komarów napastowały go najprzeróżniejsze refleksje. Ileż pląta się po wsiach nieprawych dzieci które, dziś poważni mężowie, mocni gospodarze napłodzili za czasów, gdy byli jurnymi parobkami! Tak, ale ten bękart to nie zwykłe dziecko, sietniak góralski, popychany z kąta w kąt. To zbój głośny na całą ziemię wierchową. Jego karta wizytowa dymiała dzisiejszej nocy na cały Jurgów. Syn obwieszczał się ojcu ogniem. Czyżby znał tajemnicę Andrzeja Sobczaka? Ach, więc po to przyszedł tu zbijać? Lipowczan miał rację, mówiąc, iż syn pragnie się skumać z ojcem. Czyż mógł przodownik przypuścić choć na chwilę, że właśnie Sobczak ponosi haniebną trud tego ojcostwa?

Targany najsprzeczniejszymi uczuciami, dobił do domu. Przypadła do niego na progu stroskana żona. Popatrzyła w jego twarz napiętnowaną boleścią. Jakże śmiałyby jej powiedzieć całą prawdę gniołącą mu piersi? Zrzucił z siebie jej natarczywe pytania, jakby się opędał od nieznośnej muchy. Nie kupił butów, nie udały mu się żadne, za drogie były. Doktor kazał mu przyjść za tydzień; sam zrobi leki. Teraz w domu poradził przykładać ciepłe kompresy na piersi i plecy.

W nocy nie mógł usnąć. Niespokojnie przewracał się na łóżku, rozboleła go głowa. Ale mimo bólu, wbrew cierpieniu w ciemności otwierał szeroko powieki, szukając na powale niewidocznego ocalenia, jakiegoś wyjścia z błędnego koła. Jak nie narazić swej opinii; nie stracić szacunku, nie zniszczyć tego wszystkiego, co nazbierał mozolną pracą kilkunastu lat? Jak pogodzić to wszystko, jak powiązać z rosnącym wyrzutem sumienia, jak naprawić krzywdę wyrządzoną dziecku? Jak ujawnić miłość do syna, którego zawsze tak bardzo pragnął, którego mu żona nie dała? Krew z jego krwi, kość z jego kości, syn prawdziwy, żywy, pierworodny tuła się po górach, ścigany przez policjantów. Jakże nie kochać

człowieka, który wyrósł z nas, który się począł z naszego porywu? Złodziej, podpalacz, bandyta, ale własny syn.

Przed szeroko otwartymi oczyma ujrzał niskiego, chudego młodzieńca w krótkich spodniach: tak jak wyszedł z Jeleniowskiego obejścia. W godzinę później sam, wespół z Lipowczanem, łapał go za rękaw kurtki. Sam ścisnął mu oburącz dłonie, kiedy przodownik nakładał rabusiowi kajdanki.

Sprzed oczu Sobczaka nie zniknęła postać Janosika. Chłopiec potrząsał kajdankami, ojciec słyszał wyraźnie ich metaliczny brzęk, co więcej, czuł na skroniach ich lodowate szczerne objęcie. Janosik wznosił kajdanki do góry. Twarz jego ściągnęła, wybiedzona rysowała się blado. Czyje oczy ma ten chłopiec? Oczy Walerki, w nocy bijące blaskiem, napiętnowane bolesnym znakiem kalectwa, przeczuciem bliskiej śmierci przepiękne. Oczy wpijają się w leżącego, drżąc wspomnieniem podwójnej krzywdy: swojej i matczynej. Oczy krzyczą: „Ojcze! Zakuleś mnie w kajdany!”

- Aaa! - ryknął Sobczak tragicznie i zerwał się z łóżka. Żona uniosła się z pościeli pod ścianą, natychmiast rozbudzona. Wstała, zaświeciła lampę, zaczęła grzać kompresy na piersi.

- Daj mi najpierw okład na głowę.

Sobczak spoczął ponownie na poduszce. Ale nie było mu dane usnąć tej nocy. Zjawa syna nie chciała ustąpić sprzed jego oczu.

Szynkarz Abram zaczął pierwszy śmieiej komentować tę dziwną nagłą przypadłość.

- Sobczak choruje - powiedział do Banacha. - Ale jak choruje? Nic go nie boli, chodzi. Za to nie może jeść ani pić, tylko pali papierosy. I nic nie mówi. Ja znam tę chorobę.

- No?

- Trapi go sumienie. Przecież on nasłał policję na Janosika. Żeby nie on, byliby go nie złapali. Cały tydzień ich śledził. I zasadzkę obmyślił. Bo chciał się pozbyć konkurenta w szmuglu.

- Co z tego? Przecież im i tak zwiął.

- Właśnie dlatego Sobczak się martwi. Boi się zemsty. Z takim źle zaczynać. To człowiek, który nie może zginąć. Jego bronią duchy z góry.

Żyd pokazywał z przekonaniem oczyma na niebo, wierząc święcie w wysoką protekcję zbója. - Sobczak przestraszył się o swoją chałupę. Jeżeli spalili policję, jeszcze prędzej puszczą jego z dymem. Oni nie głupi; wiedzą, że to była Sobczakowa namowa. Nie podarują.

- No, zobaczymy - rzekł ugodowo Banach.

Tego samego dnia wyszła w lasy jurgowskie obława policyjna, złożona z trzech

policjantów pod kierownictwem Lipowczana; nie mieli wielkich złudzeń co do jej wyników. Po prostu trzeba było posłać raport o dokonanej obławie do komendy powiatowej w Nowym Targu. Zbóje mieli swe schronienie w górach na terenie sąsiedniej republiki.

Nazajutrz rozeszła się pogłoska, iż Sobczak zwariował. Nie wiadomo, ile było w tym prawdy. W każdym razie leżał w łóżku. Jeśli na wsi człowiek zlegnie, wiadomo, że musi być ciężko chory. Nie odzywał się prawie nic, jadł bardzo mało, dużo palił. Niektórzy byli zdania, iż trawił go paniczny lęk przed zemstą Janosika. Bał się, że opryszek spali mu dom, a jego samego sprzątnie. Najoryginalniejszą tezę ustaliła siostra Sobczakowej, która podejrzewała, iż szwagrowi wdarł się rak do mózgu.

- Jak zacznie ssać - tłumaczyła - człowiek traci rozum. W oczach marnieje. I tak zginie, wyssany przez raka. Pod koniec choroby dostaje obłędu.

Sobczak przetrwał twardo pierwsze dni naporu tragicznej wiadomości. W oczach tylko czały się ślady walki wewnętrznej i bezsenności. Powoli odzyskiwał spokój. Wstał, zabrał się do roboty. W dzień można by wytrzymać, zapominając o zmartwieniach ducha w nawale fizycznej pracy. Ale nocą wracało wszystko od nowa z niezmaconą siłą. Wyłaziły skądś potworne zjawy ciemności, atakując nerwy, serce i mózg. Cios odnawiał się, rana nie przestawała krwawić. Postanowił zamknąć w sobie przeraźliwą prawdę i przetrwać nieszczęście w milczeniu. Nie powie nikomu o niczym, tajemnicę zabierze ze sobą do grobu. Synowi i tak przez to nie potrafiłby pomóc, a sobie mógłby walenie zaszkodzić. Nie tylko zaszkodzić, odebrać sens życia.

Znów nadchodziła noc wstrząsów. W takie noce zmieniał postanowienia. To jedno, czego by chciał: zobaczyć się z synem. Uczyni wszystko, aby mu pomóc. Zapłaci suto adwokatów, byle wybronił chłopca w sądzie, byle mu dali możliwość powrotu do uczciwego życia.

Wzburzenie nie cichło. Jakby coś w Sobczaku pękło bez ratunku, podcinając jego żywotną naturę. Budziło się sumienie w człowieku, który nie znał litości ni kompromisu. Czyżby to był dowód, że jednak istnieje gdzieś we wszechświecie miara wyrównująca szale ludzkich nieprawości? Jawiła mu się przed oczyma dziewczyna ułomna, umierająca na łóżku szpitalnym w boleściach porodu. „Była operacja” - mówiła urzędniczka. „Krajali ją za życia i po śmierci” - tak powiedział portier. Nie użyła szczęścia na tym świecie. Ale obudziła, już martwa, sumienie w Sobczaku.

Musi teraz naprawić błąd młodości, musi zań odpokutować. Musi Jaškowi oddać nie tylko to, co mu winien był dać ojciec, lecz także i to, czego mu nie mogła dać matka.

Co jednak powie na to żona? Co powiedzą dwie córki, nad które chce przenieść syna, z

nieprawego związku zrodzonego, którego prawo nazwało bandytą? Czemu go żona nie obdarzyła synem?

Rozpocząła się znowu potworna męka rozdarcia, w której szamotał się bez wyjścia. Chwilami chciał zawołać Wiškę i zwierzyć się jej z ciężącej jak kamień tajemnicy; poczułby wtedy ulgę. Wiedział jednak, że nie otworzy ust przed tą cierpliwą, lecz głupią, zazdrosną kobietą, której zresztą zawdzięczał połowę majątku. Nie przebaczyłaby mu tego nigdy, nie zrozumiałaby go. Każdemu innemu wypowiadałby się, nie żonie. Najprędzej jeszcze Banachowi, który jest ponadto przyjacielem Janosika, albo Ewie Jeleniównie, którą opinia wskazuje jako frajerkę harnasia. Ale jak się odważyć na tak straszną, poniżającą spowiedź? Więc nigdy nie spadnie mu ten kamień z serca?

Czy syn wie, kim jest jego ojciec? Czy nie dlatego właśnie obrał sobie Jurgów za teren swoich wizyt? W ciągu czterech ostatnich dni i nocy Sobczak uparcie zastanawiał się nad tym.

I doszedł do przekonania, iż syn nie wie o niczym. Skąd miałby wiedzieć?

Jasiek zaszył się w Klimkówce. Pod wieczór Wojtek śmignął do Lendaku, przyniósł stamtąd karteczkę z pokwitowaniem odbioru. Z karteczką gorzej, trzeba ją bowiem doręczyć Steinowi i na tej podstawie dopiero Żyd wręczy im umówioną zapłatę.

- Załatwimy to w swoim czasie - uspokoił go herszt tonem dyrektora banku.

Przez cały dzień próżnowali, obserwując, jak wiosna hula naokół po dziedzinie. Byli względnie bezpieczni, tu bowiem nie sięgało ramię policjanta polskiego.

Zmierzchało się. Głęboka dolina, niby przepaść, pociemniała od lasów. Pod zbitą masą chmur dźwigały się posępnie szczerbate kły wierchów, szerniałych od starości. Jasiek myślał o Ewie. Nawet w myślach zbliżał się do tej dziewczyny z najwyższą nieufnością, z obawą; tak silnie od lat najdawniejszych wrosła weń niechęć do kobiet. Od pamiętnego momentu w brogu Jarząbkowym unikał dziewczyny, jakby się jej wstydził, jakby przewyciężył punkt krytyczny swojego flirtu i wszystko to miał poza sobą. Nie czuł ani żalu, ani tęsknoty po tym cieple gorącym, które posiadał z takim wzburzeniem zmysłów. Każdej chwili był gotów do gwałtu, tylko nie do miłości. Jakby od przyrody wyssał wiedzę o słabej, zdradliwej płci kobiecej, która nawet w pieszczocie przemycza oszustwo. Tajemnicze krążenie krwi na ślepo pchało go ku dziewczkom, ale czujny instynkt odpychał go od niebezpieczeństwa. Wierzył w przestrogi Ślepka i Kudłonia oraz w tezę Wojtkową: wszystko, co kobieta mówi, myśli i robi, to kłamstwo i jeszcze raz kłamstwo.

I Ewa długo wieczorem myślała o harnasiu. Ile razy jej powtarzał, że nie znosi kobiet,

choć ją całował. Zawsze był taki dziwny, inny od wszystkich. Może to taka gra miłosna? Boi się, że się zakocha, że wpadnie na amen, z kretesem w dziewczynską miłość, w Jeleniowe gospodarstwo, w życie góralskie aż do śmierci. Zawsze było mu to wstrętne. Biedna Ewa! Każdy chłopiec szarpie się tak z początku, każdy jest nieugięty, ale gdy przyjdzie do czego, ślepnie jak głuszcak przy toku. „Czy mówił mi na sianie, że mnie kocha? Nie. Sama pomagałam mu, gdy mi zdejmował spódnice. Mam, czego chciałam.” Wydoiła machinalnie krowy, obmyła naczynie i poszła spać. Co by rodzice rzekli, gdyby wiedzieli, że ktoś im córkę napoczął? Wnuczka wójtowska, która się zadała z bandytą!

Banda odbyła dwudniową wyprawę rabunkową na Szmeks. Zalegli w Klimkówce odpoczywając po trudach udanego skoku. Noc mieli znakomitą i spali jak susły.

Nazajutrz był dzień generalnego wypoczynku, po nim zaś nastąpił dzień strzyżenia, golenia i prania. Czwartego dnia dwaj rabusie złożyli łup u Lewaka, który był paserem bandy po słowackiej stronie.

- Gotówki potrzebujemy bardzo prędko - ostrzegł go Klimek. - Za trzy, cztery dni.

Chłop kiwnął głową. Zrobi się. Miał ludzi usługujących i gotowych do szybkich interesów, zwłaszcza Żydów, przede wszystkim Abrama z polskiej strony.

- Jakie nowiny?

Nie było żadnych. Jakie nowiny mogą dochodzić do tej wsi deskami zabitej, wysokimi górami odciętej od zaplecza spiskiego, na niedostępnych kresach czesko-słowackiego władania?

Sporządzili sobie znakomitą kolację. Wojtek wylizał dokładnie resztki z garnka. Zagrali w karty: Klimek urządził koncert na harmonijce. Jasek rozmyślał nocą przed zaśnięciem: „Poszedłbym do Grochałowic, ale boję się poruszyć gniazdo os. Nie będę wyzywał licha. Poczekam, aż się wszystko uspokoi”.

Postanowił jeszcze wytrzymać dzień i pojutrze skoczyć do Jurgowa. Zajdzie nocą, nikt go nie wyśledzi. Męczyła go tęsknota za rozmową ze swoimi: z Banachem, Jarząbkiem, Abramem, Jeleniem. I z Ewą. Na końcu przypomniał sobie Ewę. Śniły mu się Kotlarczyska, jakaś droga zakurzona, kręta, wyboista. Nie przypominał sobie, jaka to droga, dokąd prowadzi, lecz czuł, że ją zna, że już nią niegdyś szedł. Wiła się doliną pomiędzy górami ku jakiemuś miastu, biała w słońcu. Z niezwykłym lękiem wstąpił na nią, popychany ku niej przemożną siłą. Chciał się cofnąć, nie potrafił oderwać się od tego szerokiego szlaku, coś ciągnęło go naprzód. Nie był w stanie odwrócić głowy, spojrzeć ku górom, droga więziła jego wzrok, przykuwała stopy. Dziwny sen.

Po tygodniu nieobecności zajął nad wieczorem do Jarząbkowej gajówki. W progu przywitała go radośnie Ewa. Nie ucieszył się zbytnio jej widokiem. Zawsze to pech, gdy się pierwszą babę spotka. Ofuknął ją ostro:

- Nie chodź tutaj za często, bo to zwraca uwagę. Co tu masz za interes? Banacha nie ma? - spytał, chcąc osłabić swą pierwszą furie.

- Nie ma. Jest Abram, siedzi u ojca. Dam mu znać.

- Zostań, sam pójdę. Po co będziemy się oboje plątali?

- Ja tu czekam, aby go zawiadomić, gdy przyjdiesz. Trudno mu codziennie chodzić i wypatrywać ciebie.

- Myślisz, że policja tego nie widzi, że tu ciągle łazisz? - mruknął zgryźliwie. - I przez to możecie wszyscy wpaść. I Jarząbek, i ojciec twój, i ty, i Banach, i Abram.

Rzeczywiście, Jeleniówna chodziła często do nadgranicznej; gajówki w nadziei zobaczenia Jaśka. Do Jarząbkowej żony zaglądała pod byle pozorem. Ostatnim razem zobaczyła Ewa Jaśka u Jarząbkowej w towarzystwie trzech rośliwych młodych górali. Gajowy niechętnie powitał jej przyjsię. Tyle że pogadała sobie z jego żoną stojącą na stałym posterunku w progu gajówki i pobawiła się z dzieckiem. Zbój był tego wieczora mocno zajęty. Zdziwił się, że znów na tym miejscu spotkał dziewczynę, pocałował ją w sieni dwa razy, coś tam bąknął mało ważnego i odszedł, słyszała jego głos w izbie.

W drodze powrotnej do domu rozważała dziwne usposobienie chłopca. Że gniewa się o przychodzenie do Jarząbka? Ma rację; nie powinna tego czynić. Nie powinna mu się również narzucać. Której kochającej kobiety nie raniłby niezasłużony chłód kochanka?

I on nie przestał myśleć o niej. Dlaczego była nerwowa, delikatna, smutna, kiedy powinna być śmiała, ostra i wesoła? Dlaczego i Zośka Masłowska była płacząca i zazdrosna? Czyżby miłość tak rozklejała te dziewczyny? Jedna Jaga stanowiła wśród nich wyjątek. Zawsze zdawało mu się, że byłby zdolny kochać wszystkie kobiety, ale najbardziej przywiązał się do Jagi. Za to, że go darzyła największą swobodą, że wszystko było u niej bez zarzutu, że go nie męczyła pytaniami:

„Czy mnie kochasz?“, „Czy masz inną?“, „Kiedy wrócisz?“, „Czy się ożenisz i kiedy?“ Widział wiele dziewcząt, korzystał bez skrupułów z ich względów, lecz ta zastanowiła go. Jakże się zmieniła od paru miesięcy! Nie pozwoliła zbliżyć się do siebie nikomu, spojrzeniem onieśmielając wszystkich. Niby zwyczajna dziewczka wiejska, jak każda inna, ale dumna. Wnuczka wójtowska, panna do pasienia krów z pokaleczonymi od siekiery nogami. Miała twarz dojrzałej kobiety, znającej życie; podkreślał to jeszcze ów krwawy siniec, który się tak bardzo Jaśkowi podobał. Pomimo opanowania i spokoju była pierwotna, żywiołowo

namiętna. Aż sam Janosik się dziwił: jedynaczka, bogata, piękna, a nie rozpieszczona, bez dąsów i dziwactw. Gdyby trafiła na mniej kapryśnego kochanka! Targany niezrozumiałym niepokojem, wymykał się z jej objęć pospiesznie, w najtkliwszym momencie. Nie to było powodem, że ciągle znajdował się w niebezpieczeństwie; zbyt dobrze znała jego lekkomyślność i brawurę. Nie to, że na miłość miał tylko czas w ucieczce, ponieważ jego życie było nieprzerwaną ucieczką przed pościgiem. Trwał w nim nerwowy lęk przed miłością, wmówione poczucie klęski. Nieraz wyraźnie dłużyła mu się pieszczota, wydawał się jakby nią znudzony. Rozmyślnie przeplatał czułość brutalnością, jakby w przeczuciu niechybnego zawodu.

Nie mogła pojąć jego natury nieobliczalnej i skłóconej. Powiedział jej raz, że tylko ćwierć serca ma dla niej, resztę zaś chowa dla spraw ważniejszych. Jakie mogą być ważniejsze sprawy? Pewnie polityka, która ją nic a nic nie obchodziła. To gorsze podobno niż sprawy rabunku; za to dotkliwiej karzą. Wiedziała, że Jasiak jest zbrojcem bez wyjścia, bez nadziei, zamkniętym w kole własnych czynów; wiedziała, że czeka go więzienie. Nie pragnęła go zmienić. Jedyne, czego chciała, to aby trochę więcej serca zachował dla niej, aby więcej czasu mógł jej poświęcić. Za każdym razem kiedy odchodził, wiedziała, że miłsza mu będzie rozmowa z Banachem. Tak bardzo bał się utonąć w miłości, tak bardzo nie nadawał się do życia stałego przy jednej kobiecie.

Jakże się bał, że go ta dziewczyna pokocha! Bał się tym bardziej, iż czuł, że to się już stało. Dla niego, wędrowca, miłość na dłuższą metę będzie z pewnością, jak wszystkie inne dotychczasowe, ciężarem. Nigdy nie powiedział dziewczynie, że ją kocha. Nie powiedział tego dotąd żadnej. Przeciwnie, zapowiedział od razu ze zdumiewającą szczerością: - Męża mieć ze mnie nie będziesz. Chłopca możesz mieć. Na męża mógłbym ci wybrać Franka Matogę. To parobek bogaty, dzielny i ma serce.

Z jakim bólem słuchała tego! Równało się to dla niej wyrokowi śmierci. Zamknął przed nią to, co stanowi najskrytszą nadzieję wszystkich kobiet. A ona chyba zatraciła wszelką ambicję, że pogodziła się z tym stanem rzeczy. Po co jej o tym powiedział? Tak robi wielu mężczyzn, ale żaden nigdy tego nie mówi.

Zaczynało się więc to samo co z Zośką Masłowską. Im bardziej przywiązywała się do Jaśka, tym bardziej Jasiak oddalał się od niej. A Ewa pozostawała sama, bez wielbicieli. Przedtem nie mogła się opędzić od parobków, teraz dano jej spokój, ponieważ harnaś zachodził do niej. Niełatwo jest być konkurentem do ręki Jelenianki. Pierwszy zginął tajemniczo zabity w górach; dwóch jego domniemych zabójców zmarło gwałtowną śmiercią. A drugi jest hersztem opryszków, noszącym dwa rewolwery w kieszeni.



Po napadzie złości, który go nawiedził w gajówce, Jasek wkraczał w obejście Jeleniowe z uśmiechem na ustach. W samym progu przywitał żartobliwie szynkarza:

- Co słyhać, panie dyrektorze filii monopolu spirytusowego? Urzędniku bankowy od wymiany waluty, pośredniku handlu wymiennego, dostawco najświeższych wiadomości?

Abram uśmiechnął się lekko, słysząc tę serię tytułów, i pogłaskał brodę palcami gestem tak ostrożnym, jak gdyby chciał stwierdzić, czy jeszcze jest na miejscu.

- Wróbel leży w szpitalu. Ciężko z nim. Mówią, że bliski jest śmierci.

Harnasiowi zrzęda mina w jednej chwili. Zrobiło mu się nad wyraz głupio, lecz opanował się błyskawicznie. - Kto z kajdankami narabia, od kajdanków ginie - rzekł chłodno.

- Co więcej?

- Sobczak zwariował. Coś mu się na mózg rzuciło.

- Co ty mówisz? To świetny kawał!

To już lepsza wiadomość. Karczmarz ciągnął:

- Nie żartuję. Może mu policja obiecała coś za to, żeby ich na was naprowadził, a teraz mu nic nie dali. Zbójów nie ma w więzieniu, więc i premii nie ma. A on strasznie chytry na pieniądze. No i z tej chytrości i z żalu mógł sobie coś przybrać do głowy.

- Coś mi się to nie podoba. Jak powiadasz? Zwariował? Błądzi?

- Coś go na rozumie tknęło. Z ludźmi nie mówi, nie wychodzi z domu, nie je, spać nie może. Czymś się gryzie.

- To możliwe - snuł przypuszczenie Jeleń - że obiecali mu nagrodę za pomoc w wykryciu bandy. Nie dostał, a jeszcze teraz się martwi, że może dostać kulę w łeb od zbójnika. I że mu chałupę spalą. Może być, że się tym przejął.

W dobrą chwilę po Jaśku przywlokła się do domu Ewa. Utkwiła w nim brązowozielone oczy. Wytrzymał wzrok, bezczelnie się uśmiechnął, przeciągnął w ramionach. - Trzeba się gdzieś stąd ruszyć - powtórzył. - Chociaż właściwie teraz, kiedy Sobczak zwariował, miałbym więcej do roboty z przemytem; główny konkurent odpadł. Kiedy przyjdzie Banach?

- W niedzielę.

- Chciałbym z nim mówić. Będę tu wieczorem w niedzielę.

- Zapowiadają, że komisarz ma zjechać z Nowego Targu na śledztwo.

- Nic mi nie robi - skrzywił się, rozdawszy nozdrza. - Najwyżej nie będę się z wami widział przez pewien czas. Jakby co było, Abram da znać przez Jarzábka Lewakowi, a Lewak nas zawiadomi. Komisarz w czeskie góry za nami nie pójdzie. Co się będziemy martwili na zapas? Tylko ciamajdy tak robią.

Wyciągnął z kieszeni wąską złotą obrączkę, niedawny łup ze smokowieckiej wyprawy.

- Ewa, przyniosłem ci prezent. Weź to sobie na pamiątkę - wstał, przechylił się przez stół, pogłaskał niemal po ojcowsku jej ciemnoblond włosy. Zaczerwieniła się ze wzruszenia. Przed godziną był wściekły i zły, można go było przekląć i zapomnieć, gdyby się go nie kochało. A teraz tkliwy, wspaniałomyślny, czuły. Włożyła obrączkę na palec. Rozpierała ją dumą; przecież to tak, jak gdyby się zaręczyli. Głupia, tak samo myślała swojego czasu Zośka Masłowska. A pierścionek dostała także i Jaga z Herdučki.

Wymknęła się za wychodzącym. Chwycił ją poufale pod ramię i rzekł swoim zwykłym lekko kpiącym tonem: - Gdybym nie przyszedł w niedzielę do was, będzie znaczyło, że udałem się w podróż zagraniczną.

- Dokąd?

Co za niedorzeczny zwyczaj miała ta dziewczyna: pytać o sprawy, które jej nie powinny obchodzić.

- Przeprowadzę się za granicę, ale tylko chwilowo.

- Przecież i tak siedzisz za granicą.

- Pójdę głębiej.

- Ja czułam po tej obrączce, że chcesz odejść.

Zdjął natychmiast rękę z jej ramienia. Niech się tylko jeszcze zapyta: „Czy masz inne dziewczyny?“, „Czy będziesz mnie pamiętał?“, „Kiedy się zobaczymy?“ - a miara goryczy będzie dopelniona. Ani mu przez myśl nie przeszedł plan opuszczenia legowiska, gdy zabierał dla niej pierścionek. Dopiero rozmowa z Abramem natchnęła go taką decyzją. Co to ma wspólnego z obrączką?

- Zajrzę do was w tych dniach. Na wszelki wypadek pytaj o mnie u Jarzabka, tylko nie łaż tam w jasny dzień. Możesz smyknąć wieczorem, niby to w interesie.

- Boisz się czegoś, Jasiek?

- Nie boję się, ale zawsze dobrze się mieć na baczności. Zresztą trudno ciągle siedzieć w skałach i próżnować.

Chciała zapytać: „Co to znaczy, że nie będziesz próżnował?“ - ale przelekła się, że znowu wybuchnie, ofuknie ją opryskliwie, aby nie mieszała się w nie swoje sprawy.

- Siedz w górach - prosiła go.

- Będę niedaleko - już teraz kłamał na pewno. - Weź od Banacha adresy, o które cię prosiłem. Zostawisz tę kartkę dla mnie w gajówce. Rozumiesz?

- Rozumiem.

Trzymała go kurczowo za rękaw, nie chcąc puścić od siebie. Wyglądała na trwożne

dziecko, uwieszona u kapoty ojca. Kiedy przebywała z Jaśkiem, jak gdyby odnawiała w sobie raz jeszcze dzieciństwo: gładziła kota, zbierała kwiatki, obrywała z nich płatki, aby powróżyć. Nawiedzała ją zalotność nieświadomego dziewczęcia, zalotność nie splamiona burzą. Ale chwilami budziły się w niej zmysły dorosłej kobiety. I on był taki sam wobec niej: namiętny i delikatny. Lubił ją, a przecież był brutalny. Bał się, aby nie przybrała sobie zanadto do głowy tej miłości.

Naturalnie, nie pomylił się w przeczuciach. Nastąpiło teraz pytanie, którego spodziewał się z lękiem i niesmakiem:

- Wrócisz?

Z trudem opanował wzrastającą falę złości. Zaczynało się znowu to samo. - Naturalnie, że wrócę - zełgał z nie tajonym chłodem. Naprawdę, gdyby nawet miał ochotę wrócić, straciłby ją w tej chwili. Pomyślał jeszcze w pasji: „Przecież się z nią ślubem nie związałem. Wolny jestem. A ona chce, abym wracał. Głupia gęś”.

Zaiste, głupia. Nie rozumiała, że musi mu dać swobodę, aby tym bardziej przywiązał się do niej.

- Powiedz mi jeszcze coś, Jasiek.

Na próżno czekała, naiwna. Mogłaby czekać do rana; i tak nie usłyszałyby tego, co pragnęła usłyszeć. Nie odpowiedział; za to całował ją raz po razie. Miał w tym wprawę.

- Ja wiem, nudzę cię gadaniem. Jak mam powiedzieć, abyś mnie zrozumiał?

Trzymała go ciągle za rękaw, jakby siłę i odwagę przejmując w sobie z tego trzymania.

- Nie mów nic, Ewa, najlepiej zrozumiem.

Nienawidził żywiołowo tych żalonych scen. Nie wiedział, iż stworzony był na to, aby ranić kobiece serca.

- Nie umiem mówić tak jak ty, to rzecz pewna. Myślisz, że jestem wariatką.

Trzeba mieć anielską cierpliwość do tej dziewczyny. Policja naciska go coraz silniej, a ta nic, tylko trajkocze o swoim.

- Nie - tłumaczył jej z łagodnym uśmiechem. - Tak nie myślę. Ale będę cię musiał opuścić. Szkoda czasu na mówienie.

Nie rozumiała go. Nie chciała go zrozumieć.

- Dlaczego? - udała znowu zdziwienie.

Nie wybuchnął gniewem. Cierpliwie tłumaczył:

- Idę w góry. I tam pozostanę. A potem... - machnął ręką.

- Co potem? - spytała strwożona.

- Później wywieję na Liptów, w Orawę.

- Co ja pocznę z sobą, Jasiek? Bez ciebie? - tuliła się pod jego ramię. - Powiedz mi, co mam zrobić?

- Idź do domu i zapomnij, żeś mnie znała.

Popatrzyła z przestachem na chłopca. Nigdy nie można było odróżnić, kiedy kpi, a kiedy mówi poważnie.

- Zostań tu. Tu lasy większe, więcej dziczy. Skały, bezludzie, pustka. Prędzej się skryjesz.

- Mnie wszystko jedno. Czy tu, czy tam, jedno mnie czeka.

- Co?

- Śmierć.

Ukłuł ją ten krótki wyraz. - Co mówisz, Jasiek? - jęknęła, tuląc się silniej do niego. Walczyła ze sobą, aby nie zapłakać; wiedziała, jak bardzo tego nie lubił. Kiedy zabrzmiało jej w uszach słowo „śmierć”, uczuła, że traci na długo, może na zawsze chłopca drogiego jej jak życie, mimo jego szorstkości i zmienności; tak właśnie jak samo życie, gorzko-słodkiego. I to słowo „śmierć” uprzytomniło jej wstrząsającą prawdę, że oboje są już na zawsze sobie przynależni.

O północy wstąpił do Lewaka. Góral podspadzki załatwił pomyślnie transakcję walutową z ostatniego rabunku.

- Prześpijcie się do rana - zapraszał harnasia.

- Pójdę, noc jest ładna, wyśpię się na górze - wymówił się tamten.

Wyszedł w noc zalaną księżycem. Minął rozległe polany, wlaź w ponurą czarność lasu, dążąc ku spowitym we mgłę skałom. Kiedy dochodził do dzikich zerw u stóp Nowego Wierchu, nad Hawranem rozpoczynało się właśnie teatralne widowisko wschodu. Dymiły chmury niebieskie, fioletowe, różowe, aż spod nich wytrysnął czerwony, mięsisty, drżący kwiat.

Ogarnął go dobry humor; z powodu pięknej pogody, wstającego słońca, bezchmurnego nieba, ciepła w powietrzu. Ptaki śpiewały w dolinie, trawa zieleniła się, żaby wylazły na drogę wzdłuż potoku. Świat jest piękny.

- Wiecie co? - przywitał kompanów nowiną. - Wróbel leży w szpitalu i zanoszą się na to, że umrze.

Gwizdnęli wszyscy przeciągle. Bądź co bądź to nie fraszka zabić człowieka.

- Uderzyłem go kajdankami po skroniach, tak aby draba ogłuszyć - tłumaczył się z

przejęciem wódcz. - Inaczej przecież nie wybrnąłbym z tej matni.

Debatowali nad siłą uderzenia, nad konsekwencjami ciosu. - Innego wyjścia nie było - zgodzili się. - Gdyby Wróbel po łbie kajdankami nie dostał, nie siedzielibyśmy dziś tutaj pod Nowym Wierchem.

Jeden Wojtek nie poddał się nastrojowi pewnego przygnębienia. Jego humor zadźwięczał normalnym, nie fałszowanym cynizmem.

- Przejdzie się, jak drut, do świętego Piotra na piwo! Co wielkiego się stanie, jeśli odwali kitę? Wszyscy musimy kiedyś kipnąć i ani święty Boże nie pomoże. Umierasz, bracie, i tak samo ci grabarz w dupę da łopata, jak panu staroście albo gospodyni księdza proboszcza. Gdy będę umierał, ja sam najwięcej się z tego ucieszę. Że już nareszcie cały ten bałagan mam za sobą.

- Może Wróbel nie umrze - kompromisowo odezwał się Klimek.

Jasiek zamknął dyskusję o Wróblu: - Ale mam dla was drugą lepszą nowinę: Sobczak zwariował.

Nie chcieli uwierzyć, myśleli, że to żart. - A to dobre! - śmiali się.

- Świeć mu, Panie Boże! Umarł już? - klasnął w rękę Rzezawa.

- Nie, ale z rozumem nie w porządku. To tak prawie, jakby nie żył.

- Patrzcie, patrzcie - pohukiwał wesołek. - Wróbel dostał po łbie kajdankami, a Sobczakowi od tego pokręciło się w mózgu. Cuda się dzieją!

- Z czego on mógł pobłądzić?

- Nie wiadomo. Dość że zwariował.

Prędko pogrzebali w myśli wariata. Zabrali się do jedzenia.

Tego samego ranka Lipowczan przespacerował się na Grochałowce do Jelenia. Góral przyjął go czołobitnie.

- Witam najpokorniej pana przodownika. Proszę siadać.

Podali sobie ręce. Jeleniowa postawiła na blasze kawę i zaczęła mieszać masło z serem na bryndzę. Mężczyźni zapalili papierosy, podejmując towarzyską rozmowę. Rozpoczęli od Wymiany poglądów na pogodę, na piękną wiosnę, rozpatrywali dobre szanse zasiewów i urodzajów. - A nas takie zmartwienie spotkało - przodownik przeszedł do właściwej rzeczy, która go tu przywiodła. - Posterunek obrabowali nam bandyci.

- Słyszałem, słyszałem - uciął krótko Jeleń.

- Mamy parę tysięcy złotych szkody.

- No, no! - cmoknął przeciągle góral ze współczuciem i ze zdziwieniem równym

niedowierzaniu. - Tak, tak, nieszczęścia chodzą po ludziach - oświadczył z filozoficzną rezerwą. Nie puszczał farby.

Wyczuwszy ostrożność gospodarza, Lipowczan przystąpił do ataku. Musiał to uczynić w przyjaznej formie, jako że Jeleń był hardy z natury, a poza tym policjant żył z nim dobrze i winien mu był niemało.

- Ja słyszałem, że Janosik kręci się tu czasem koło was.

- Jak to, koło nas? - oburzył się góral. - Nie rozumiem.

- No, w okolicach waszego obejścia - wycofywał się przodownik.

- Wątpię - wyrzekł gospodarz z głębokim przekonaniem. - Czego by tu szukał? Ja o tym nic nie wiem. Możliwe nawet - zmienił zdanie. - Nie podpatruję, kto chodzi w okolicach mojej zagrody. Mam co innego do roboty w domu. Nie zajmuję się śledzeniem obcych ludzi jak inni gospodarze, którzy może mają czas na to. Ale oni nie muszą pilnować swego gospodarstwa, bo mają zarobki skądinąd. Z boku; mogą sobie ludzi nająć do pracy i zapłacić im. Ja na jedno nie mam czasu, a na drugie pieniądze.

Pił wyraźnie do Sobczaka, trudno było się tego nie domyślić. Lipowczan udał, że nie zrozumiał aluzji.

- Może nawet przechodził tędy bandyta, ja nie wiem. Lasy są naokoło, możliwe - śmiało poddawał góral.

- Dalibóg, może to prawda, bo on umie tak chodzić, że przewinie się koło ciebie, patrzysz na niego i nie widzisz.

- O, są tacy, co go umieli znaleźć - gospodarz kłuł dalej swą aluzją nieobecnego przyjaciela Lipowczana. Posterunkowy nadal puszczał ataki mimo uszu.

- Ale u was nigdy nie był Janosik?

- U mnie? Cóż ja mam z nimi za interesy? Za kogo mnie macie, panie przodowniku? - nacierał groźnie Jeleń, nie spuszczając oczu z policjanta. Ten zmieszał się.

- Doszły mnie słuchy ze wsi, że podobno Jan Dziura miał się plątać podle waszej chałupy.

- Kto tak mówił? Proszę podać nazwisko. To kłamstwo.

- I że miał nawet rozmawiać z waszą córką.

- Kto to widział?

- Tego ja nie mogę stwierdzić. Takie pogłoski kursują. Ten mówi, że słyszał od tamtego, a tamtemu znowu powiedział ktoś inny. Toteż ja przyszedłem po prostu do was od razu, co będę dowiadywał się bokami, aby zapytać, czy ta informacja polega na prawdzie.

- Może pan być pewien, panie przodowniku, że nie polega na prawdzie, lecz na

plotkach. A co do mojej córki, życzę sobie, aby się nikt do niej nie mieszał i nikt sobie nią pyska nie wycierał. Mogą ją dziewczuchy przed kościołem obgadywać z zazdrości, bo to babska rzecz, ale dziwię się wam, panie przodowniku, że w takie bzdury wierzycie. Gdybym chciał wierzyć we wszystko, co o mnie mówią we wsi, musiałbym się powiesić, bo okazałoby się, że jestem największym łotrem.

- Nie gniewajcie się, Jeleń, ja mam was za porządnego i honorowego człowieka, ale otrzymałem takie informacje. Obowiązkiem moim jest prowadzić wywiad i śledzić. Bandyci ograbili posterunek i zranili ciężko kolegę, muszę więc badać wszystko, co ma z nimi związek.

- Więc ja mam związek z nimi? - Jeleń ostro podniósł zmrużone oczy na Lipowczana.

- Wcale tego nie mówię. Przyszedłem tu tylko, aby stwierdzić, czy wam nie wiadomo o tym, że w pobliżu waszego domu kręci się Dziura.

- Nic mi o tym nie wiadomo. Może się kręci, nie wiem. Nie widziałem go. Może pragnie mnie obrabować albo spalić. Nic na to nie poradzę. Policja jest od tego, aby pilnowała. Ja domu nie upilnuję, gdy go będzie chciał spalić.

- Ani tu nigdy nie był u was?

- Nigdy - rzekł twardo gospodarz, wytrzymując wzrok policjanta. - Ja się nie trudnię rabunkiem ani przemytem. Nie jestem jego współnikiem ani konkurentem. Po co miałby tu chodzić? On ze mną nie ma żadnego interesu. Z Sobczakiem może miałby prędzej - uśmiechnął się złośliwie.

- Ja was przepraszam, panie Jeleń - ciągnął zdetonowany przodownik - że wam takie pytania zadaję, ale musiałem z obowiązku urzędowego skontrolować na miejscu pogłoski, które mnie od pewnego czasu dochodziły. Sam w nie zresztą nie wierzyłem od początku, ale - rozłożył ręce - służba jest służbą.

Góral zmrużył powieki i patrząc w okno, wypalił śmiało:

- Hm, pogłoski! Gdybym chciał wierzyć kłamliwym pogłoskom, które mnie dochodzą ze wsi o panu przodowniku, musiałbym dojść do przekonania, że pan jest łapownikiem.

Lipowczan zaczerwienił się, otworzył usta, zapało mu dech. Nie wiedział, co powiedzieć. Uprzedził go gospodarz, który mówił dalej, jak gdyby tylko pół zdania wypowiedział i teraz je kończył:

- Ale ja jestem człowiekiem rozumnym i dlatego nigdy w podobne oszczerstwa nie uwierzę. Ja mam swój honor i swoje gospodarstwo; to mi wystarczy. Wiem, jak daleko może prowadzić zawiść i głupota ludzi. Nigdy nie zwracam uwagi na to, co kto o mnie plecie. Niech plecie dalej.

Przodownik ucieszył się, że gospodarz znalazł tak zręczne wyjście z sytuacji i zażegnał konflikt, bo doprawdy zapomniał języka w gębie, tak był zaskoczony niezwykłym obrotem rozmowy. Tymczasem Jeleniowa podała kawę i chleb ze świeżą pachnącą bryndzą. Napięcie, które groziło wybuchem, rozpięchło się, rozpląnęła w smakowitym oparze jedzenia. Nastrój wypogodził się w grzecznościach.

- Proszę, panie przodowniku, posilcie się - zapraszała gospodyni.

- Raczcie, panie przodowniku, spróbować naszego marnego chłopskiego jedzenia - góral uderzył w ton pokorny. Policjant nie dał się prosić.

- Ja wiem - dowodził - znam was nie od dzisiaj, że wyście uczciwy człowiek i stateczny gospodarz. Toteż ja się wyśmiewałem od razu z tego gadania; z tych babskich plotek. Ale służba jest służbą, rozumiecie?

- Rozumiem.

Trudno go co prawda było zrozumieć, tak miał napchane usta jedzeniem. Już rozkrochmałił się zupełnie. Gospodarz przyniósł butelkę wódki, napili się po dwa kieliszki. Jeleń zapalił papierosa, policjant jadł chleb z bryndzą i popijał kawą. Przeszedł się z pół mili, wygłodniał. Już zdążyli naturalnie zmienić temat rozmowy.

- Niech pan jeszcze dobierze sobie trochę bryndzy - nalegał gościnnie gospodarz. - Może panu nie smakuje? - zaniepokoił się jak urodzony aktor.

- Skądże? - zaprzeczył tamten żywo. - Doskonała jest. Świeżutka. Bardzo lubię taką bryndzę.

- Salka! - zawołał Jeleń na żonę w drugiej izbie. - Daj panu przodownikowi garnuszek bryndzy do domu.

- Ale nie trzeba, naprawdę nie trzeba - bronił się bez przekonania policjant.

- Nie pogardzi pan naszym darem - uśmiechnęła się góralka. Czubek porcelanowego garnuszka wytoczyła drewnianą łyżką w piękne półksiężycy.

Nie pogardził. Garnuszek, owinięty w papier, wsunął w głąb torby służbowej. Zapalili jeszcze na odchodnym papierosa. Jeleń odprowadził gościa na próg domu. Pożegnali się uprzejmie, obaj zadowoleni. Gospodarz długo patrzył za policjantem, znikającym na leśnej ścieżce. Kiedy już jego granatowy płaszcz rozpląnął się w głębi szpilkowego lasu, góral wypuścił z ust kłąb dymu i rzekł do żony:

- Wściekła glista. Słyszałaś, jak się do mnie zabierał?

- Słyszałam. Aleś go dobrze zgasił.

- On niegłupi; on swoje wie. Ale i ja swoje wiem. On tu przyszedł, aby się tak nazywało dla ludzi. Musiał przyjść.



- Jak zacząłeś go czesać, niby to z głupia frant, o tych łapówkach, zatkało go z miejsca. Słowa nie pisnął.

- Nie bój się, on ze mną zadzierał nie będzie. Przyszedł tu, żeby formalności stało się zadość. Ja za dużo wiem o panu Lipowczanie. Mam go w ręku. Nic mi nie zrobi.

Wizytę na Grochałowcach odbył przodownik rano. Po obiedzie znalazł się na posterunku. Tu otrzymał dwa telegramy z Nowego Targu i przeprowadził rozmowę telefoniczną z Zakopanem, po czym w nastroju niespokojnym wyszedł do wójta. Po drodze do urzędu gminnego zaczął o karcznię. Abram trzepał właśnie fartuch z kurzu koło studni pod oknami. Kiwnęli sobie przyjaźnie. Człowiek odpowiedzialny za bezpieczeństwo jurgowskiej gminy zbiorowej przystanął, wpatrzył się bezmyślnie w brodę Żyda, pozbawioną wyraźniejszej barwy, jakby spoglądał w pustkę.

- Co słyhać? - zagadnął karczmarz z przyjemnie uśmiechniętą miną. - Może pan przodownik pozwoli uprzejmie do szynkwasu? - namawiał pokornie. Tam bowiem Lipowczan ucinał sobie stałe pogwarki z Abramem. Tam informowali się wzajemnie obaj o bieżących sprawach, a raczej karczmarz udzielał informacji gościowi. On zawsze wiedział więcej od tego ostatniego.

- Dziękuję, nie mam teraz czasu - odparł sucho zaproszony.

- Oj, coś pan przodownik bardzo zajęty?

Zdziwienie było zgoła uzasadnione, ponieważ nie zdarzyło się dotąd jeszcze, aby dla przechodzącego komendanta istniało coś pilniejszego nad kieliszek wódki. Lipowczan nie spuścił oka z brody żydowskiej, uważając ją widocznie za centralny punkt swoich zainteresowań.

- Ej, urwie się wam handel z Janosikiem, Abram.

- Nie wiem, o czym pan mówi, panie Lipowczan - padła twarda odpowiedź.

- Wy tam wiecie, Abramku. Skończymy Janosika.

- Cieszyłbym się, gdybyście oczyścili okolicę ze zbójników. Zawsze to przyjemnie spać, gdy się ma pełne poczucie bezpieczeństwa.

- Ale Janosikowe kombinacje jurgowskie także się skończą.

- Co pan ma na myśli?

- To samo, co i wy w tej chwili, Abramku.

Żyd znał Lipowczana na tyle, aby wiedzieć, że kiedy ten był zdenerwowany, mówił mu zawsze „Abramku”.

- Ja o niczym nie myślę. Chyba o tym, aby mi dziś utarg poszedł lepiej niż wczoraj.

- Słuchajcie, Abram, żyjemy dobrze ze sobą i nie chciałbym, abyśmy się pozarli.

- Boże uchwaj! - szynkarz gwałtownie poruszył brudnym fartuchem jak flagą, broniąc się przed niewidzialnym przeciwnikiem. - Żyd z każdym musi dobrze żyć. Ja prowadzę interes i więcej mnie nic nie obchodzi. Pracuję w karczmie, poza tym dorabiam sobie ubocznie na handlu starzyzną. Nie robię z tego tajemnicy, wszyscy o tym wiedzą. Czy pan ma mi coś do zarzucenia?

- Nie mydlicie mi oczu, Abram. Mówimy w cztery oczy. Idzie mi o Janosika.

- Nie wiem, jak wygląda Janosik. Nigdy go nie widziałem, nigdy z nim nie mówiłem. A może mówiłem, tylko nie wiem, że to on? Opowiadają, że zmienia ciągle wygląd, podobnie jak i przezwiska. Nikt nie wyciąga biletu wizytowego, kiedy podchodzi do szynkwasu. Każdemu sprzedaję wódkę. Nie znam go, powtarzam. Ale gdyby przyszedł do mnie na piwo, sprzedałbym mu, zarówno jak i panu staroście, którego także nie znam. Bo ja żyję z interesu. Z czego ma żyć biedny Żyd?

- Nie dogadamy się, Abram - mruknął policjant i odszedł. Karczmarz stał pod studnią i spoglądał za Lipowczanem, który oddalał się z groźną miną. Broda żydowska, niedawny cel niezrozumiałych spojrzeń przodownika, jakby lekko zadrgała od śmiechu.

W pół godziny później, kiedy karczmarz ciągle jeszcze wracał w myśli do rozmowy pod studnią, Lipowczan siedział u wójta, rozprawiając o Janosiku.

- Powiadają - odezwał się wójt - że zeszedł wczoraj do Jurgowa oglądać posterunek. Podobno widzieli go ludzie. To znaczy, wiedzieli, że jest, ale go nie mogli zobaczyć, tak im się w oczach mieniło. Coś ich zaślepiło.

- Nie wiem, można by to między plotki włożyć - kręcił się na stołku Lipowczan - ale i Ostrowicz bajtlował mi, że niedawno widział Janosika w lesie. Zdejmuje karabin z ramienia, przeciera oczy, a tamten jakby wpadł w ziemię, w okamgnieniu znikł.

Wójt poczęstował gościa wódeczką, trzy kieliszki rozgrzały go i pod wpływem tego nastroju wrócił nagle do tonu poważnego. - Tylko jedno, panie wójcie, nikt nie śmie wiedzieć, że się przygotowuje oblawa. On ma tu swoich ludzi - szeptał, nachylony do ucha rozmówcy.

- Tajemnica urzędowa - zapewnił z powagą wójt, pieczętując wargi wskazującym palcem.

- Co z Sobczakiem? Ciągle choruje?

- Mówią, że go Janosik urzekł. I od jego wzroku Sobczaka poraziło. Inni powiadają, że przeląkł się o chałupę: że go spalą z zemsty. Napijmy się po jednemu na odchodnym.

Lipowczan wychylił kieliszek duszkiem, prychnął jak koń czujący wodę (czyżby czuł ją w tej gorzałczyni?), raz jeszcze na pożegnanie upomniawszy gospodarza służbowo:

- Pamiętajcie, panie wójcie: obowiązuje bezwzględna tajemnica. Instrukcja nakazuje przygotować obławę z elementem zaskoczenia. Niechże to zostanie ściśle między nami.

- Jak mur - przytaknął kierownik urzędu gminnego, dumny z urzędowego wtajemniczenia.

Gajowy Mach przeczytał w gazecie kieżmarskiej wiadomość o niedawnym rabunku na Hrebenioku pod Szmeksem. Notatka wyliczała ostatnie napady tych samych rabusiów w Podolińcu, Kieżmarku i Białej Spiskiej oraz zapowiadała w najbliższych dniach obławę policyjną w górach. Kiedy zbój zjawił się w gajówce, Mach przekazał mu alarmującą wiadomość. Właśnie zjechał do jaworzyńskiego nadleśnictwa komisarz policji z Kieżmarku celem przygotowania kwater dla dwunastu ludzi na pojutrze. Jego czerwony motocykl otoczyli kołem gajowi, których rozpytywał o ślady w lasach.

Jasiek spędził cały dzień u Macha. Pod wieczór przyjechał Lewak z równie niepokojącymi informacjami. Całe Podtatrze jest zastraszone akcją bandycką. Uzdrowiska południowych Tatr interweniowały w Pradze i w Bratysławie, aby przed sezonem usunąć groźbę wiszącą nad tysiącami gości, którzy tu mieli zjechać. W tych dniach pójdzie obława w głęb gór; już w niektórych schroniskach nocuje po dwóch żandarmów. Tak jest w dolinie Wielickiej i w Popradzkim Stawie. Straż graniczna ma współpracować z żandarmerią.

- Wygląda to, jak gdyby chcieli nas stąd wykurzyć - skonstatował wódz. U Lewaka zastał dwie kartki, przyniesione przez Jarząbka. Na jednej Banach wypisał adresy mężów zaufania na całym Podhalu, do których harnaś mógłby się zwrócić o pomoc, nocleg lub prowiant; w drugiej Jeleniówna zapraszała Jaśka do Grochałowiec na niedzielę wieczorem. Zaproszony skrzywił się, przeczytawszy pismo. Nic ważniejszego nie ma na głowie, jak umawiać się na schadzki z dziewczyną.

Już drugą noc nie spał w Klimkówce z towarzyszami, włącząc się samotnie po Jaworowej. Powrócił nazajutrz wygłodniały, zmęczony. Wojtek podśpiewywał w kącie, Jędrzek gwizdząc smarował wazeliną buty, Klimek grał na harmonijce.

- Chłopcy, ładnie brzmi ta muzyka, ale będziemy wiali stąd na Orawę. Gorąco się robi.

Opowiedział im wszystko, co słyszał w dolinie, okraszając relację najnowszą wiadomością: że w Zakopanem przygotowuje się obława z udziałem trzydziestu policjantów ściągniętych z powiatu nowotarskiego. Schroniska w Roztoce i w Pięciu Stawach dostały już zamówienie na noclegi od jutra w nocy. Z psami mają być.

- No to co? - upierał się Wojtek. - Stąd nas nie wykurzą. Tu nas i pies nie poczuje.

- Wojtuś, nie opowiadaj bzdur. Jeśli z czeskiej strony pójdzie trzydziestu ludzi, a z polskiej trzydziestu, to żadna przyjemność znaleźć się w środku obławy. Zamurują nas;

kawałeczka chleba nikt nam nie doniesie. Zdechniemy z głodu i z pragnienia. A pamiętaj, że będą ściskali i naszych ludzi w dole. Któryś może wyśpiewać. Oni mają sposoby.

- My im płacimy.
- Tamci im więcej dadzą.
- My możemy się zemścić.
- Tamci ich zapakują do kryminału.

Nie było rady. Jutro rano postanowili wyemigrować przez Tatry Zachodnie w lasy Magury Orawskiej. Znowu nad Janosikiem zwierzał się pierścień policyjnych obław. Znowu zaczniesz się udręka; gorączkowe szukanie bezpiecznego legowiska, wypatrywanie dogodnego szlaku, nocne chody za wiadomościami, czajenie się godzinami w krzakach z rewolwerem w dłoni, wielokilometrowe gonitwy w ciemności po kilo słoniny i bochenek chleba - życie zwierzęcia osaczonego w miocie, przeznaczonego na odstrzał. Psie życie, czyli złota swoboda.

W sobotę przed południem przybiegła Ewa do Jarząbka. Nie był zachwycony tą wizytą. Rzeczywiście w ostatnich czasach za często tu latała.

- Możebyście nam dali trochę fasolki - szczebiotała do żony gajowego - tej rumuńskiej, co tak zielono kwitnie? My wam damy za to marchewki cukrowej, w Krakowie kupionej.

Dostała trzy garście fasoli, zawinęła w szmatkę i rozejrzawszy się po izbie, rzuciła na odchodnym od niechcenia:

- Jaśka nie było?
- Nie było.
- Nie mówił, kiedy będzie?
- Nie - zbył ją Jarząbek. Nie podobało mu się od początku to zainteresowanie dziewczyny. Zatrzymała się w progu, jakby przypominając sobie.

- Trzeba by go ostrzec, bo mówią po wsi, że kroi się obława w góry.

- On sam najlepiej wie, co ma robić - burknął gajowy. Nie było mu wcale na rękę wtajemniczanie osób trzecich w ich wzajemne konszachty. Taka Jelenianka może go kiedy wsypać.

- Zawiadomcie go w każdym razie ode mnie, gdyby tu przyszedł.

- On ma tam swoich, co go zawiadomią na czas - wypluł opryskliwie, odzegnując się od ściślejszego współnictwa z Jaśkiem. Gdyby było naprawdę coś groźniejszego, niechybnie przybiegłby do niego Abram. Nie jest dobrze, gdy kobieta miesza się do spraw, które winny

być udziałem mężczyzn.

- Zresztą jutro będę się z nim widziała - rzekła dumnie Ewa. - Czasem i dziewczyna może dać dobrą radę nawet Janosikowi - błysnęła ironicznym spojrzeniem w stronę Jarzabka.

- A czy ty wiesz, Ewa - przybiegła w pomoc mężowi żona - skoro już mowa o dziewczynach, że on ma swoją dziewczkę pod Babią Górą? I to nie jedną, lecz dwie?

- Trudno, każdy harnaś dziewczki bałamuci - uśmiechnęła się młoda, lecz straszna gorycz wlała się w jej serce. - Takie jest życie - stwierdziła filozoficznie.

Zakręciła się na pięcie, strzeliła w drzwi. - Zostańcie z Bogiem.

- Z Panem Jezusem!

Dawniej czułaby nienawiść i obrzydzenie do mężczyzny, który by pieścił inne kobiety, teraz, kiedy szło o Jaśka, nie miała zupełnie tego uczucia. Zrobiło się jej tylko smutno i pusto. Odkąd znalazł schronienie w gajówce Jarzabka, przestał chodzić do nich do domu. Jasne, nie zależało mu na dziewczynie, tylko na mieszkaniu, gdzie mógłby się widywać z Banachem i Abramem. W ciemności spowite są jej i Jaśka losy. To pewne, że się nie połączą. Nieraz próbowała mówić z ojcem i Banachem o chłopcu, nie chcieli podjąć rozmowy na ten temat. Jedno wszakże nie ulegało wątpliwości: Jaś Dziura był człowiekiem straconym. Jeśli nie ucieknie za granicę, za morze, czeka go więzienie. Od pięciu do ośmiu lat. Słyszała, jak przyciszonym głosem radzili o tym przez niejedną wieczór, rachując jego zbrodnie na palcach, próbując je ocenić fachowo i wyrokować jak sędzia.

Tego samego popołudnia zjawił się herszt nieoczekiwanie w Grochałowcach. Nie wszedł nawet do izby, gwizdnął na Ewę, by wyszła. Czemu należało przypisać jego nagłą decyzję? Miał się już z dziewczyną nie zobaczyć. Zbagatelizował jej zaproszenie, był wściekły na nią, że zawraca mu głowę schadzkami w czasie, kiedy policja dwóch państw gotuje na niego obławę. „Głupia baba!” parsknął. „Jej się kochania zachciewa!”

A jednak przyszedł. Nie uczynił tego wszakże z tęsknoty do dziewczyny. Ostatnie spotkanie wystarczająco zmęczyło go i zdenerwowało. Jutro o świcie postanowił opuścić te strony. Pod wpływem otrzymanych wiadomości przyśpieszył odwrót ku Orawie. Nie czekając zmierzchu (jak zwykł był to zawsze czynić), wybrał się do Jarzabka, aby przesłać przez niego list do Banacha. Przeszedł gładko granicę i w odległości stu metrów od gajówki wyszedł strażnika granicznego, krocącego ścieżką wraz z policjantem ku Jarzabkowemu obejściu. Spłoszył się tak, że natychmiast zawrócił na wschód, nabijając łukiem na Grochałowce.

- Ewa - powiedział krótko - jutro już mnie tu nie będzie.

O dziwo, nie zatrzymywała go. Nie prosiła, aby został. - Dzisiaj przyjechało do wsi pięciu policjantów - mówiła z przestachem. - Komisarz z Nowego Targu także jest z nimi,

będą robili obławę. Chciałam ci dać znać, byłam nawet rano u Jarzabka.

- Nie chodź do gajówki. Widziałem, jak szedł tam teraz policjant ze strażnikiem. Śledzą chałupę.

- I w Zakopanem także moc policji. Będą szli w góry. Dokąd pójdziesz?

- Zwieję im sprzed nosa - uśmiechnął się.

- Będziesz o mnie czasem pamiętał?

- Będę.

Pocałował ją. To nawet niezłe. Niewiele wymaga, tylko pamięci, i to czasem. Dobra dziewczyna. Może był za ostry dla niej? Ogarniała go znowu czułość. Jakby ją wynagrodzić za to, że nieraz cierpiała przez jego nagłe, nierówne usposobienie? Chwała Bogu, że nie wspomniała nic o żeniaczce, o miłości, o planach na przyszłość. Takie dziewczęta lubił: dyskretne. Takie, którym się nigdy nie powinno zdawać, że mężczyzna cały do nich należy.

- Odprowadź mnie, nie chcę tu tkwić przed domem.

- Gdybyś mi pokazał, gdzie siedzisz w skałach, przyniosłabym ci kiedy jedzenie. Albo gdybyś mi powiedział, na jakie miejsce donieść.

- Kobiecie nie godzi się chodzić po takich kryjówkach.

- Kiedy się zobaczymy, Jasiu?

- Następnym razem - powiedział jej tak, jak wszystkim innym mówił w takich wypadkach. - Zamelduję się u ciebie - błysnął bielą zębów. Jak on się opalił! To od słońca na wiosennych śniegach.

- Wiem, że nie możesz tu zostać - rzekła rozumnie. - Lubisz mnie choć trochę?

- Nie trochę. Bardzo. Zamknął jej usta pocałunkiem.

- Przypomnij mi to, coś mi dawniej śpiewał. Żem taka malutka.

Na pół mówił, na pół nucił jej do ucha:

*W grochałowskim lesie chałupka bielutka,  
serce swe mi niesie dziewczyna ładniutka.*

Urwał. Czekwała bez ruchu na dalszy ciąg, bojąc się nawet oddechem przerwać melodię.  
- Dalej - wyszeptwała. Dokończył:

*Chociaż jest malutka, ale jest zgrabniutka,  
to kwiat najpiękniejszy z całego ogródka.*

Tuliła jego rękę, drobną, zawsze ciepłą. Głaskała nią pieścizotliwie swą własną twarz. Dotknęła jej wargami, przycisnęła silniej do ust. Zrobiło mu się przeraźliwie głupio. Wysunął gwałtownie dłoń. Do diabła, która to już z kolei baba całuje go w rękę? Ujął jej twarz w obie dłonie, utkwił w niej siwozielone oczy i jakby dokonując ważnego aktu samoobrony, powiedział:

- Nie myśl, Ewa, że się z tobą ożenię. Żebyś się niepotrzebnie nie łudziła nadzieją. Wybij sobie to z głowy, zwróć się lepiej od razu do Franka Matogi. Nowa chałupa, koń, trzy krowy, stado owiec, pięć morgów uprawnego pola, nie licząc hal i lasu. Jest się nad czym namyślić.

Który to już raz dokucza jej tym Frankiem Matogą? Czy choć kiedy słówkiem wspomniała mu o małżeństwie? Przetykała bohatersko ślinę, aby wstrzymać płacz, natrętnie cisnący się do gardła. W tej chwili stanęło jej przed oczyma bolesne utrapienie, przyszły na myśl słowa Jarząbkowej: „On ma dziewczynę pod Babią Górą. I to nie jedną, lecz dwie”. I żalność nagle przedarła się jej przez krtań.

- Rany boskie, nie płacz, bo mnie szlag trafi! Bezradny, nie wiedząc, co uczynić, głaskał ją po twarzy. - Ewa, Ewa - łagodził - uspokój się. Co się stało?

- Nic, nic - z zamkniętych oczu spływały łzy. Nachylona ku jego włosom, zaszepiała śpiewnie:

*Darmo wy się dziewczki w niego wpatrujecie,  
Bo on tylko jedną mnie widzi na świecie.*

Dopiero teraz, uświadomiwszy sobie głęboką ironię tych słów, rozplakała się na dobre. Aż wyrwał chusteczkę z kieszeni i pragnąc ukryć zmieszanie, mówił pośpiesznie:

- Ewa, bądź spokojna, nie płacz. Nie mogę teraz zobaczyć się z Banachem, daj mu ten list ode mnie, to ważne. Nie zapomnij. I pozdrów go ode mnie.

- Już? - podniosła na niego załzawione oczy.

Objął ją, przytulił. - Przecież myśmy się właściwie pożegnali już we wtorek. Od wtorku jestem na nogach bez odpoczynku.

Istotnie, prawie śłaniał się ze zmęczenia. Jak zawsze, on jeden myślał i działał za wszystkich. - Przez ten tydzień nie robię nic innego, tylko chodzę tam i z powrotem, z dołu do góry, z góry na dół - śmiał się. - Bądź zdrowa. Myślę, że się jeszcze kiedyś zobaczymy.

- Jaśku, Jasieńku! - płakała na jego ramieniu. - Co się ze mną stanie?

Nie próbował jej pocieszać. Jak to się stało, że ona się tak zakochała? Nie dał jej do tego wyraźnego powodu.

- Jeśli mnie choć trochę lubisz, Ewa, przestań płakać.

Głaskał ją po włosach puszystych, w dotknięciu jedwabnych. - Przejdzie ci ból, przejdzie ci miłość, jak wiatr przechodzi po górach. I zapomnisz.

Aż zdziwił się sobie, że tak to śmiało wyraził.

- Łatwo powiedzieć: zapomnisz. Ja nie zapomnę.

- Muszę stąd odejść - całował ją po oczach. - Patrz, wszędzie naokoło wiosna. Kwiaty kwitną, trawa rośnie, ptaki śpiewają w gałęziach, krzaki zieleńią, na Hawraniu śniegu nie ma. Życie zaczyna się jakby od nowa. Wyjdiesz na pastwisko, zapomnisz i znowu wspomnisz.

Tak przemawia bandyta, były pastuch krów! Może tak właśnie nastraja życie w górach: albo się tu milczy, albo się przemawia wzniosłe. Gdzież indziej mogłoby się zrodzić uniesienie, gdzież indziej można by usłyszeć czystszy jego głos, jeśli nie na wysokościach?

Zdjął ją lęk; już nawet nie miłość. A ona, naiwna koza, chciała, aby ten człowiek pozostał przy niej!

- Pomyśl o mnie kiedyś, gdy będziesz koło Smoczey Wody. Tam, gdzie ujrzałem cię po raz pierwszy przy bydle, gdy śpiewałaś piosenkę.

Odsunął ją od siebie, płaczącą, delikatnie, lecz stanowczo. - Nie płacz, Ewa. Wszystko będzie dobrze. Jeszcze się na pewno zobaczymy. Nawet nie będziesz przypuszczała, kiedy się zjawię koło ciebie. Pozdrów mi wszystkich znajomych, ojca, Banacha, Abrama. Dam im znać o sobie przez naszych ludzi. Gdy będziesz chciała dowiedzieć się czegoś o mnie, Banach będzie wiedział, powie ci. Jemu jednemu ufaj.

Już odchodził, wtopiony w las, ku Dolinie Jaworowej, ku szumowi potoków. Jeszcze Ewa czuła ciepłe pocałunki na wargach, na oczach, na twarzy zmoczonej łzami.

Tej nocy opuścili Klimkówkę, wynosząc resztki dobytku do dziury w podhawańskim Skoruśniaku. Zimą donosił im tam Lewak prowiant, skracając sobie do połowy drogę na górę. Pozostawili tu gospodarstwo z minionego sezonu; kuchenne dziadowanie Jędrkowe, parę garnków, cztery koce, lampę z naftą, pół worka mąki i inne mało ważne drobiazgi. Byli gotowi do drogi.

Wstawał deszczowy niedzielny świt. Nabijali wprost na zachód, przez Holicę na Roztokę.

Ku południowi niebo przejaśniło się nieco. Żleby w Wysokiej, w Batyżowieckim, w Ganku białeły jaskrawo od śniegu. Chłopcy przykucnęli ostrożnie w jałowcach, zanim przeskoczyli gościniec wiodący do Morskiego Oka. Ruch turystyczny - znikomy.

Zostawili za sobą obszerne bory Jaworzyny. Już Tatry Bielskie poza nimi. I poza nimi



nudne zimowe siedzenie pod Hawraniem, okraszone kilku zaledwie przygodami, oraz krótkie górskie legowisko, jak gniazdo orle uczezione u grani płaczliwej Skały. Drapali się na stoki Miedzianego, obrawszy najwyższą ścieżkę pod samą granią, aby mieć dogodny widok przed sobą i za sobą. Zwały chmur przewalały się po niebie. Na lewo w dole odsłoniła się tafla Morskiego Oka. Mięszowieckie i Rysy do połowy brodziły w mgłach.

- Żebyśmy się tylko na kogo nie natknęli;

- W taką pogodę?

- Od czego buldog w kieszeni?

Gwoli ostrożności nie zeszli Szpiglasową Przełęczą w Pięciostawiańską dolinę, lecz zsunęli się w Ciemne Smreczyny.

Herszt wtajemniczał kompanów w plan pochodu. - Dziś zanocujemy w Koprowej, jutro pod Pyszną albo na Tomanowej. Później skręcimy w Chochołowską dolinę. Od jutra prowadzi nas Klimek. W Witowie siedzi nasz człowiek, znajomy Banacha. Skoczę do niego i zważę sytuację. Jeżeli będzie spokój, pójdziemy samą granicą do Lipnicy. W Rabczy już są moi ludzie. Gdyby było niepewnie, wejdziemy z Chochołowskiej od razu w Magurę Orawską i przez Chyżne lasami wprost do Rabczy.

Lustrowali uważnie ujście doliny. Ścieżka opadała w dół, oślizła, najeżona zwirowiskiem. O zachodzie słońca znaleźli się w gąszczach Koprowej, zasłoniętej zerwiastym, poszarpanym masywem Hrubego.

Powieczerali i usnęli. Następnego rana przy ładnej pogodzie wstąpili w dolinę Wierchcichą. Słońce wstawało nad Rysami. Po przeciwnej stronie zapaliły się od niego chmury zachodnie oraz połowa Czerwonych Wierchów. I tak płonęło niebo, przemieszane ze skałą, gdy pod uskokami Koprowych Czub w takt bezczelnego świstania Wojtka przemykali się Janosikowi chłopcy w ucieczce przed obławą. Szli lasem, godzina za godziną, długim korytem Cichej Wody. Przewinęli się zgrabnie pod Tomanową. Klimek wiódł ich tu jak gospodarz po swym obejściu. Przecięli na poprzek dolinę Kościeliską, zanocowali w wygodnej wapiennej grocie pod Smytniańskimi Turniami.

Trzeciego dnia podróży obrali kurs na północ, posuwając się doliną Chochołowską. Klimek także miał w Witowie swoich sprzymierzeńców z czasu zeszłorocznego pobytu. Gdy więc dwóch opryszków zapadło na trzecią noc w wywierzysku skalnym, Klimek wraz z Jaśkiem puścili się do pobliskiego Witowa, gdzie odwiedzili tamtejszego rymarza, Styczkowskiego.

Przyjął ich życzliwie; poczęstował gości kolacją, żonę z dziećmi wyprawiając spać do drugiej izby. Wdali się w rozmowę. Na łóżku pod ścianą jęczała chrapliwie stara kobieta.

- To moja teściowa. Sparaliżowana od pół roku. Możemy śmiało mówić.

Chora jednak zainteresowała się wizytą. - Kto to jest? - spytała zięcia skrzeczącym głosem.

- Leżcie. Sąsiedzi z Chochołowa.

- Ten mały?

- Mój znajomy. Śpijcie.

Jasiek siedział tyłem odwrócony do ściany, frontem do okien. Czuł, jak ktoś wpatrzył się w jego kark, przewiercał go wzrokiem. Chciał się obejrzeć, jakaś moc przygwoździła go do stołka. W tej chwili rozległ się skrzek starej:

- Spotka cię nieszczęście. Losu nie odwrócisz. Będzie to w czasie pełni księżyca. Strzeż się. Możesz się śmiać z tego, ja i tak za miesiąc umrę.

Wszystkim trzem zrobiło się głupio. Głos brzmiał jak krakanie. Jasiek wiedział, że to do niego zwrócone.

- Co ona mówi?

- Plecie w gorączce, co jej ślina na język przyniesie. Ma pomieszane w głowie.

- Ho, ho! - Janosik zapalił papierosa. - To wróżka?

Starucha na łóżku umilkła; górale przy lampie radzili. Po chwili doszło ich znów z nad łóżka terkotanie; chora brzęczała monotonna swoje zdrowaśki.

Styczkowski był dawniej działaczem partii chłopskiej „Wyzwolenie”; miał za sobą cztery miesiące więzienia. Teraz dał sobie spokój z polityką. On to ubiegłej jesieni zaopatrywał w prowiant Klimka. Znał dobrze Banacha. O dziwo, rozpoznał od razu Janosika, choć go nigdy na oczy nie widział.

- Wyście herszt.

- Skąd wiecie? - uśmiechnął się nieporadnie młodzieniec.

- To widać. Idziecie w Orawę?

Kiwnęli potakująco głowami. - Co tu słychać?

- Nic.

- Mówią tu o nas?

- Ludzie mówią.

- A policja?

- Siedzi cicho. Słyszałem, że z Zakopanego i z Jurgowa poszły wczoraj obławy do Tatr.

- Z Kieżmarku poszła trzecia. Czeska. U was policja się nie rusza?

- Nie. Tu spokojnie. Banach zdrowy?

- Zdrowy.

- Niech go Bóg dalej w zdrowiu trzyma. Ja dawniej szarpałem się, kiedy byłem młodszy, ale posiedziałem sobie ponad kwartał w kryminale i mam dość. Każdego człowieka, który się im będzie sprzeciwiał, będą tak długo tępili, aż go do nędzy ostatecznej przywiodą. Czy będzie kiedy lepiej?

- Może będzie. Ale czuję, że idą złe czasy. Za coście siedzieli?

- Za to, że powiedziałem, iż rząd nie dba o chłopów. Gdybym chciał dłużej bawić się w politykę, zniszczyliby mnie na amen. Wolę w domu chomąta szyć, a swoje w głowie będę miał nadal. Nie masz prawa nic powiedzieć, upomnieć się o swoje, bo cię zaraz w pysk biją i od chamów śmierdzących wyzywają.

- No, tak jest - rzekł chłodno Jasiek.

- Długo tak jeszcze będzie?

- Nie wiem. Nie jestem prorokiem.

Czwartego dnia od wyruszenia z tatrzańskiej pieczary, klucząc pośród torfowisk i czystego lasu, trzykrotnie przekraczając granicę czeskosłowacką, wyszli na przełęcz orawskie. Ponad ciemnogrnatowym morzem lasów zobaczyli z bliska ośnieżony wierzch Babiej. Wyniosła góra witała Janosika jak dziewczyna po półrocznej nieobecności, rozjaśniona w słońcu od bieli szczytowych śniegów; potężna, przysadzista. Za nim zaś, wnikającym w bory pomiędzy Lipnicą, znaczyły się odchodzące w horyzont Tatry z narzuconym welonem mgieł; najpiękniejsze góry jego życia, które niebawem nawiedzi lub już nawiedziła policyjna obława. Uciekał przed nią jak tropiony zwierz i wracał tu, gnany fatalizmem swego losu, skąd, szczuty pościgiem, umykał zeszłego lata w przeciwnym kierunku.